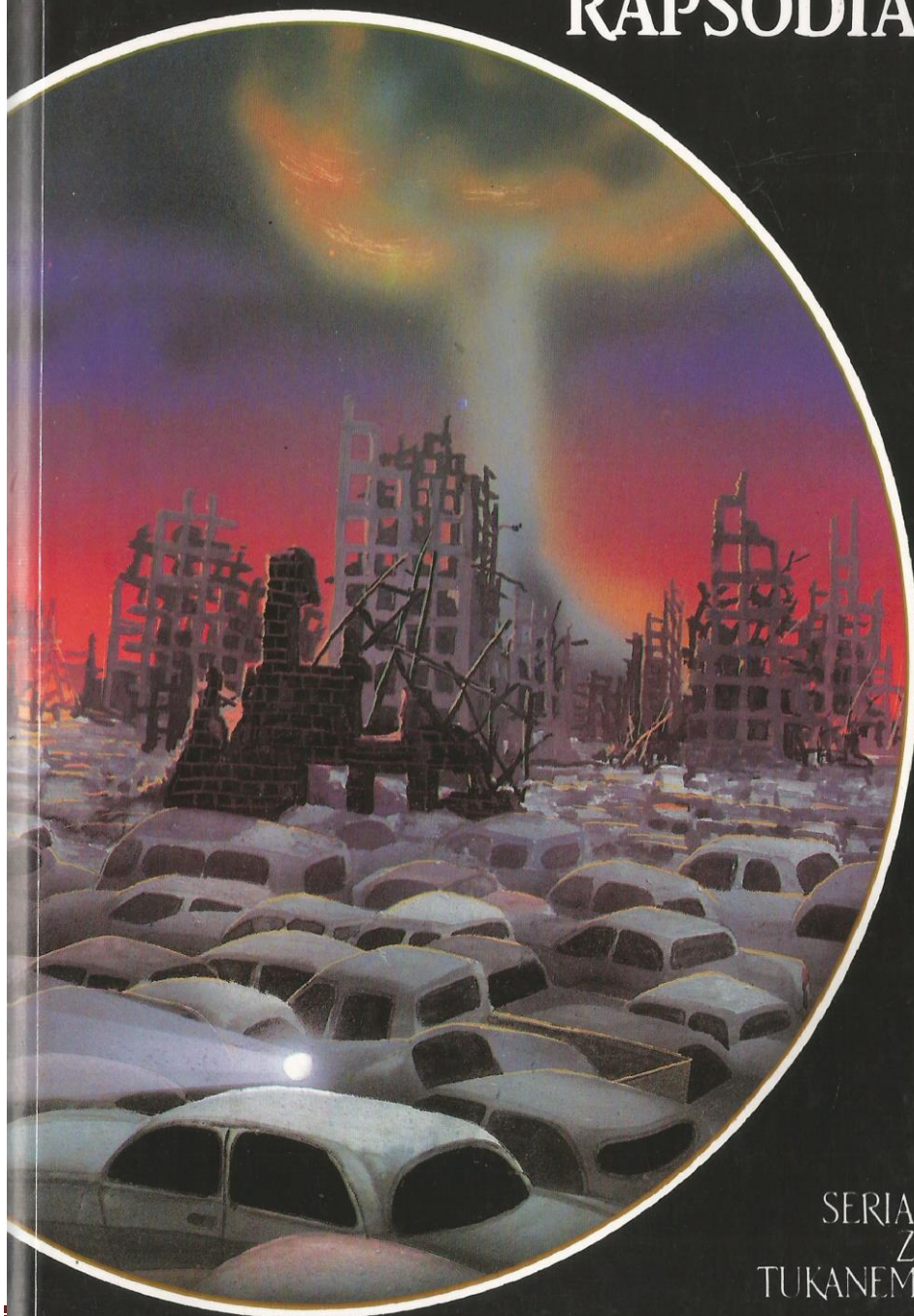


Brunatna rapsodia

Otto Basil

BRUNATNA RAPSODIA



SERIA
Z
TUKANEM

Brunatna rapsodia

Spośród osób, które wspomagały mnie podczas pracy nad tym przekładem, szczególne podziękowania pragnę złożyć pani Renate Birkenhauer, współautorce glosariusza „NS-Deutsch“.

R. W.



SERIA
Z
TUKANEM

Brunatna rapsodia

**BRUNATNA
RAPSODIA**



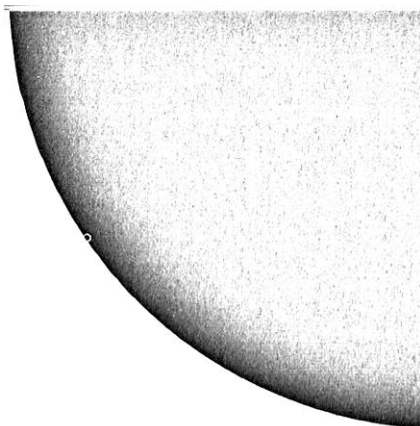
*Otto
Basil*

*przełożył
i przypisami
opatrzył
Ryszard
Wojnakowski*

Wydawnictwo ALFA
Warszawa 1993



Brunatna rapsodia



Amazonka

*Frô Saelde ist wilder danne ein rêch,
und ist ouch wider mich gevêch.
Ich folge ir allez ûf ir spor,
und bin ir dicke nâhe komen:
nû get si mir mit lîsten vor.*

*Pani Saelde płochliwsza niżli dziki zwierz
i nieprzystępna dla mnie też.
Podążam za nią wszędzie w ślad,
a gdym już całkiem zbliżył się,
podstępem teraz zwodzi mnie.*

Herr Rubin

Brunatna rapsodia

9 listopada 196... roku była sobota. W uliczkach Heydrich — Heydrich w paśmie górskim Kyffhauser — zimny wiatr zacinał leniwie deszczem, strącając z drzew ostatnie liście. Czuć było zapach śniegu, wilgoci i rozkładu. Słabe światło późnego poranka tłumiło wszelkie barwy; w gęstym, przepływającym białymi oparami półmroku przedmioty wydawały się blade i nierzeczywiste.

9, 10 i 11 listopada były właściwie dniami surowo nakazanej żałoby narodowej. Ale wspomnienie wielkiej hańby 1918 roku zatarło się stopniowo nawet w partii, tak więc nastrój, jaki panował tego mglistego jesiennego poranka, nie odznaczał się niczym szczególnym. Zaczynał się dzień, dzień jak każdy inny.

Hóllriegl, po wzięciu zimnego prysznic, sprężystym krokiem, niemal podskakując, zbiegał po schodach do swego pokoju przyjąć. Wyglansowane oficerki skrzypiały na drewnianych stopniach. Jak to już nieraz ostatnio bywało, zżymał się na Burjaka, który zapomniał wyczyścić metalowy szyld na drzwiach i w ogóle coraz bardziej zaniedbywał swoje obowiązki. (Zbyt dobrze traktował niewolników — jego stały błąd). Na tabliczce można było przeczytać wygrawerowane gotyckimi literami:

ALBIN TOTILA HOLLRIEGL

tropiciel radiacji

NS Zrzeszenie Różdżkarstwa, biuro w Heydrich
usuwanie wszelkiego rodzaju szkód popromiennych
wykrywanie wahadłkiem okoliczności życiowych
elektrody ochronne, ozdoby radowe, pasy oscylacyjne
łańcuszki odpromienne zgodne z normami VDI'

Brunatna rapsodia

dla instrumentów sydcryjskich
nordyckie doradztwo bytowe
przyjmuje codziennie od 9 do 11 oprócz sobót
w niedziele i święta nieczynne
WOJNA PROMIENIOM ZIEMSKIM!

Giromanta, a więc wróżący z ruchów wahadełka, przemierzył surowo urządzoną poczekalnię z dwunastoma krzesłami ustawionymi gwiazdźście wokół stołu i wszedł do swego gabinetu, który służył mu także jako laboratorium oraz miejsce ćwiczeń odprężających i kontemplacyjnych. Przed portretem sędziwego Fuhrera, zajmującym prawie całą, bardzo wąską ścianę czołową, uniósł ramię w niemieckim pozdrowieniu, wysuwając klatkę piersiową do przodu i dziarsko stukając obcasami. Portret Fuhrera, barwna reprodukcja naturalnej wielkości, mocno już zrudział, tak iż jarzył się niby w promieniach zachodzącego słońca; rysy męża, z których biła fanatyczna stanowczość i niezłomna wola zwycięstwa, wydawały się dzięki temu miększe i łagodniejsze, rzec by można, w większym stopniu znamionowały ojca narodu. Równocześnie jednak, a wrażenie to potęgowało się z każdym dniem, pokrywająca stopniowo portret różowa poświata miała w sobie coś z migotliwego blasku odległego pożaru. Tę przypaloną czerwień Hollriegl wyczuwał niemal powonieniem i za każdym razem, ilekroć mimo woli spoglądał na zdjęcie, tego rodzaju odczucia, będące przypuszczalnie tylko urojeniami, przyprawiały go o posępne myśli. Fuhrer podupadał na zdrowiu; wiedział o tym pomimo ścisłej blokady informacyjnej całej naród, a szeptało pół kuli ziemskiej.

Hollriegl, przygnębiony, przysunął się z krzesłem do biurka,

dobry nastrój przysł, zniknęło także dobre samopoczucie i wrażenie bezpieczeństwa. Biurko zakrywały stosy listów, formularzy, broszur i wycinków prasowych; pośród tej powodzi papierów rzeczony Burjak, były nauczyciel pomocniczy z Warthe

* *Verein Deutscher Ingenieure — Związek Inżynierów Niemieckich.*

gau, przydzielony Hollrieglowi z obozu dla podludzi w Heydrich (Uml² 1238), zostawił mu na blaszanej tacy śniadanie. Hollriegl jadł bez apetytu i śpieszniej niż zazwyczaj. Podczas posiłku przeglądał z roztargnieniem ostatni numer „Odynowej Zagwi“, organu Niemieckiego Różdźkarstwa. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po otwartej książce, był to *Podręcznik okrucieństwa* Schultzego-Russinga; rozdział, który Hollriegl rozpoczął wczoraj w nocy i znał już w połowie na pamięć, traktował o duchowych metodach hartowania rasy aryjskiej, zwłaszcza o właściwym obchodzeniu się z niewolnikami. Tuż przed pójściem do łóżka kartkował bogato ilustrowane tomisko, ale nie po to, żeby się podbudować duchowo, jak nakazywała instrukcja, lecz by oddawać się pewnym, jak musiał przyznać przed samym sobą, zdrożnym fantazjom.

Wkrótce powinna nadejść poczta. Hollriegl rzucił przelotne spojrzenie na kalendarz terminowy. Była sobota, jedyny dzień powszedni, kiedy nie musiał przyjmować pacjentów. Wstał późno i dobrze mu to zrobiło, Wielkie Budzenie Narodu, emitowane w świat przez wszystkie stacje radiowe, po prostu przespał. („Znowu się nie sprężyłem!“) W poczuciu winy Hollriegl wcisnął klawisz radia i z głośnika popłynął zaraz llegmatyczny namaszczony głos: „Wszelkie życie jest łaską. Bycie niemieckim chrześcijaninem nie jest niczym innym, tylko pragnieniem uświęcenia wszystkiego, co ziemskie. Szlachectwo pra-

cy, raj na ziemi, aktywnie i w dziecięctwie bożym, bez tęsknego wypatrywania tamtego świata, co czyni jeno człowieka istotą bierną. Tak rozumiemy my, niemieccy...” Godzina umocnienia duchowego Ogólnoniemieckiego Ruchu Chrześcijan Rzeszy. Myśli Hollriegla powędrowały dalej — ku pewnym prężnym kształtom — prędko jednak wróciły do tego, o czym gładził

² *Uml — Untermenschenlager.....*
głos: „...A jeśli przyjdzie ktoś, jeden z tych, co wciąż jeszcze nie chcą pojąć, że ich kapłańskie pośrednictwo się skończyło, i zarzuci nam mesjański kult Fuhrera czy wręcz próżne samoubóstwienie partii i narodu, temu damy tutaj zdecydowany odpór...”

O dziesiątej, tak miał zanotowane w kalendarzu, w lokalnym domu partii zaczynały się, jak w każdą sobotę, zajęcia w ramach kursu dla funkcjonariuszy niższej kategorii zaszerogowania C-2. Obowiązkowe szkolenie poświęcone Nowemu Porządkowi wprowadzonemu przez partię na terenach czandalskich, ze szczególnym uwzględnieniem rosyjskich okręgów lennych. Prowadzącego kurs — był to jeden z Waregów, tak nazywano teraz na Wschodzie funkcjonariuszy szacownej SD3 oraz Deutsche Selbstschutz — Hollriegl znał tylko przelotnie. Nic przepadał za nim. No cóż, mimo to musiał być na kursie. Godzina jedenasta: pogadanka dla saksońsko-siedmiogrodzkich pimpfów⁴, którzy przebywali na obozie zimowym w Sachsenburgu koło Heldrungen, zorganizowanym pod hasłem „Dwa razy Compiegne: 11 listopada 1918, 21 czerwca 1940. Zestawienie porównawcze”. Miał napisać z tego relację, nudna sprawa rutynowa, dla „Kyffhauser-Bote”, ponieważ Kummernuss zachorował na grypę. Potem zamierzał w redakcji podyktować lis-

ty i przejrzeć korektę swojej coniedzielnej rubryki „Nordyckie oglądanie wnętrza“.

Przełączył odbiornik na falc krótkie i kręcił dalej. „Tu rozgłośnia Wehrmachtu Johannesburg z antenami kierunkowymi Bloemfontein i Vereeniging. Nadajemy transmisję ze spotkania koleżeńskiego Afrikaner Broederbond w Krugersdorp“. Dalej. Głuchy, przytłumiony głos: „Któregośmy winni czcić, ścię-

³ *Sicherheitsdienst — Służba Bezpieczeństwa.*

⁴ *Pimpf — członek Deutsches Jungvolk, formacji Hitlerjugend dla chłopców w wieku 10-14 lat.*

liśmy. Nic godzi się nam obu srożyć na siebie wzorem wilków jako szare psy Norny, co żarłoczny żywot pędzą w pustym borze jodłowym. Hel domaga się ofiary! “ To z kolei była rozgłośnia Asgard: lekcja niemieckiego dla Jungvolku z Nordlandu. Dalej. stary usmolony leśny szcurze! Czyżby przetarto cię dzisiaj z góry na dół papierem ściernym? Ty gumowa małpo, zarobiłbyś dwa lata domu starców bez zawieszenia!“ — „Zamknij dziób, bo zatkam ci go kolbą karabinu! Co sobie pomyślą o nas koledzy, jeśli nie potrafisz choć przez chwilę trzymać języka za zębami, ty stary lumpie z rynsztoka! U nas obowiązuje przyzwoity ton, rozumiano, bo dostaniesz w dupę!“ — „Co ci znowu odbiło...“ Ankara z programem rozrywkowym dla oddziałów stacjonujących w Protektoracie Osmańskim. (Hollriegl znał doskonale wszystkie te audycje, słyszał je tyle razy, że niemal mdliło go od nich.) Dalej. Szkliście dzwoniące dźwięki odległego klawesynu — była to pewnie jedna z tych silnych stacji niemieckich znad Wołgi — unosiły się w pokoju z półkami pełnymi książek i gablotami, w których połyskiwały czarodziejskie przedmioty: wahadełko z kryształu górskiego, mieniące się zło-

tym blaskiem gwiazdki do zawieszania (będące właściwie ogniwami), srebrne płytki do umieszczania przy naszyjnikach uodparniające przeciwko promieniom ziemskim, błyszczące anteny i odoskopy, ozdoby chroniące przed promieniowaniem wielkiej częstotliwości, różdżki, łańcuszki odpromienne, antyczne wahadła. Ach, to Wariacje Goldbergowskie! Hóllriegl ściszył radio i z rękami w kieszeniach spodni, pochłonięty bez reszty słuchaniem, podszedł powoli do okna. Jak Bach zbudował kiedyś katedrę muzyki niemieckiej, tak Adolf Hitler wzniósł katedrę Imperium Germańskiego. Katedrę, która jest i pozostanie potężną twierdzą, zamkiem Graala i twierdzą warowną, nie do zdobycia, niezniszczalną po wsze czasy. Ale Fuhrer był chory, nawet ciężko chory, jak mówiono. Czarne pogłoski! Hóllriegl zadrżał. We mgle na dworze tu i ówdzie stali ludzie, tworzyli grupki, a na gałęziach drzew siedziały nieruchomo wrony. O 13.30 był umówiony na badanie wahadłem w pewnym biurze przy Richthofen-Strasse. A potem... potem pojedzie do Eycków.

Rozległ się dzwonek u drzwi. Listonosz.

— Heitla! — pozdrowił go Hóllriegl na swój leniwy wschodniomarchijski sposób.

Tamten podał mu przez drzwi kilka listów oraz plik druków.

— Heil Fuhrer — powiedział uprzejmie, a przy tym dobitnie.

— Heil Fuhrer — odparł Hóllriegl, głos mu zadrżał. Z nachmurzonym czołem przyglądał się skąpej pocztce.

Hóllriegl był w miasteczku kimś nowym, ściślej mówiąc, zaledwie przed rokiem został przeniesiony z Goringstadt nad górnym Dunajem (byłego Linzu) do tej dziury w Kyffhauser, przeniesiony nie z własnej woli. Krety w jego zrzeszeniu kopały

pod nim dołki w Stadl-Paura, gdzie po uroczystym wyklęciu Wiednia przez Fuhrera miał odtąd swą siedzibę Namiestnik Rzeszy wszystkich okręgów Marchii Wschodniej. Czuł się młody i był ambitny. Należało pokazać zawistnikom, co potrafi! Grono jego klientów ciągle rośnie, chodziło jedynie, jak zawsze, o przewyższenie ukrytych oporów. Miejscowe czynniki nie zaniedbywały żadnej okazji, by rzucić Wschodniomarchijczykowi kłody pod nogi, co było o tyle łatwiejsze, że pewne ogniwa partyjne i przyłączone do partii organizacje, na przykład Hauptamt für Volkswohlfahrt* oraz NS Związek Lekarzy Niemieckich, z zazdrości lub na skutek zwyczajnej ciasnoty horyzontów, okazywały różdżkarzom, ilekroć tych zatrudniano w służbie sanitarnej, nic skrywaną niechęć — resentyment zrodzony jeszcze w czasach przedwojennych. Niechęć ta była początkowo powszechna. Dopiero kiedy w partii i w SS zwyciężył „kierunek metafizyczny” i Alfred Rosenberg objął patronat nad Niemiecką Giromancją — miało to miejsce tuż przed historycznym procesem zbrodniarzy wojennych w Toledo, na którym trzydziestu czterech mężów stanu z państw alianckich skazano na garotę — dopiero wtedy skończyły się ataki na radiestezję. Giromantom zarzucano ni mniej, ni więcej, tylko wschodnią proveniencję, spiskowanie, odchylenia od linii nordyckiej, a nawet wrogość wobec partii, państwa i Wehrmachtu. Rosenberg, apostoł idei rasowej, po Toledo mianowany przez Fuhrera paladynem ogólnoświatowej Ariogermańskiej Wspólnoty Narodów (AGWN) z tymczasową siedzibą w Reykjavíku, Delphoi i Benares, zawsze był przyjacielem wschodniej mądrości. Również ona, Hóllriegl domyślał się tego już od dawna, sięgała ostatecznie swymi korzeniami w głąb świętej nordyckiej ziemi. Lecz Rosenberg, do końca bezsprzecznie pierwszy filozof

państwowi, nic żył. Młody, oficjalnie niekiedy jeszcze ganiony, po cichu jednak tolerowany ruch (co pozwalało przypuszczać, że nowi ideologowie partyjni zdobyli już pewne przedpola) parł do przodu, w atakach prasowych nazywano go NARMAT, czyli „narodowy materializm”. Giromancji, na której ciążyło odium protekcji Rosenberga, wyrastał nowy wróg.

Druki — bzdurne materiały szkoleniowe i instrukcyjne — Hollriegl ze złością odrzucił na bok. Listy! Właściciela kantyny z sąsiedniej miejscowości, po operacji prostaty, prześladował lęk przed rakiem; cierpiał na zawroty głowy, spazmy, biegunkę na tle nerwowym (drzewa owocowe w jego sadzie, jak pisał, miały typowe węzły rakowe). Pasy zadrażnień? — Czterdziestoosmioletnia wdowa po profesorze gimnazjum z Pforty, który zginął w Folkestone podczas operacji „Lew Morski II”, wskutek

** Główny Urząd Dobrobytu Narodu — zajmujący się opieką społeczną; w skrócie także NSV.*

ciężkiego artretyzmu nie opuszczająca niemal pokoju, skarżyła się na bezsenność, ucisk w mózgu, zaburzenia wzrokowe i krótkotrwałe stany utraty przytomności. Dolegliwości klimakterium czy promienie ziemskie? — Trzeci przypadek: maszynistę, w sile wieku, żonatego, dręczył lęk przestrzeni, kompleks niższości oraz ciężka depresja. Autor listu napomykał o tym oczywiście w bardzo oględnych słowach, kompleks niższości uchodził za zbrodnię stanu. — Dwudziestotrzyletni pomocnik laboratoryjny, który z wielkim zapałem, jak pisał, pracował od półtora roku nad działem kobaltowo-cezowym w centrum badawczym UmL Neuengamme (ze złowróżbnym oznaczeniem V) i podczas seryjnych doświadczeń naświetlił setki przypadków, przeważnie materiału ostyjskiego, przypuszczalnie się kończył.

Cierpiął na nudności, halucynacje, reakcje alergiczne i całkowitą bezsenność. Zatrucie środkami nasennymi? Syndrom popromienny? A może oddziaływanie ziemi? Zapewne to ostatnie. Prosił o literaturę fachową i przesłanie jakiegoś instrumentu syderejskiego.

Ciągle te same skargi. Zaburzenia snu, choroby psychiczne, manie prześladowcze, przesył życiem. Epidemia samobójcza, utrzymywana przez władze w ścisłej tajemnicy — karane było nawet użycie cufemicznego określenia „śmierć z wyboru“ — niewiedziała nic tylko Rzeszę, lecz również cały zjednoczony przez Fuhrera świat cywilizacji zachodniej. Dotknęła ona przede wszystkim elity. Nieudana próba samobójstwa karana była ciężkim więzieniem, a w niektórych wypadkach nawet przymusowym osadzeniem na terenach czandalskich lub w obozach dla podludzi. Bezsenność? Naród niemiecki sypiał kiepsko od dnia największego zwycięstwa w swej historii.

Na fotelu przeznaczonym zwykle dla pacjentów leżały dziś gazety i czasopisma ilustrowane. Na samym wierzchu „Tysiącletnia Rzesza“, duży magazyn ilustrowany wydawany przez KdF⁶. W tym stosie można było znaleźć zarówno tytuły w raczej starofrankońskim stylu, w rodzaju „Miotacza Płomieni“, „Czarnego Korpusu“ czy „Szturmowca“ (który podjął właśnie kampanię przeciwko Żółtym małpom, a zwłaszcza przeciw Soka Gakkai oraz rodzinie termo), jak i „Landwerzystę“, „Somatologię Rasową“, „Naród Panów“, „Niedźwiedzia Pancernego“, „Runy Zwycięstwa“, „Zbrojną Wolę“, czasopismo ilustrowane dla kobiet „Krymhilda“ oraz „NS Róźdzkarza“. Hollriegl pewnym ruchem wyciągnął ze sterty numer „Minne“⁷, którego okładka przedstawiała półmagą kobietę na jakiejś południowej plaży.

„Minne“ czytała z upodobaniem młodzież Rzeszy; zadaniem

pisma było przygotowanie młodych towarzyszy i towarzyszek narodowych krwi niemieckiej do owych wzniosłych celów, które realizowane były później w zamkach zakonnych oraz klasztorach rasowej matki. „Minne“ tępiła szczególnie zawzięcie „pozapańską“ miłość oraz indywidualny dobór małżonków. Była radykalnym organem propagującym wychów niebieskookiej blond rasy, a jednocześnie, jak mówiono, tubą NARMAT-u, jakkolwiek o zabarwieniu arystokratycznym. Redakcja tego chwytliwie ilustrowanego czasopisma, wydawanego w Berlinie przez byłego oficera politycznego nazwiskiem Hansjorg Fenrewolf Stoffregen, potrafiła znakomicie, pod popularnonaukowym płaszczykiem artykułów rasoznawczych i eugenicznych, drażnić zmysły i otwierać na oścież drzwi nowego rodzaju erotyce, której korzeni należało szukać w przedwojennych obozach pracy dla dziewcząt.

⁶ *Kraft durch Freude (Siła przez Radość) — przybudówka Niemieckiego Frontu Pracy (DAF), organizacji założonej w miejsce wolnych związków zawodowych, zajmująca się organizacją czasu wolnego.*

⁷ *Minne — dosłownie: miłość, w ujęciu średniowiecznej poezji rycerskiej.*

Przedstawiona na zdjęciu — była to barwna reprodukcja o niemal prowokującej ostrości i wierności szczegółów — mniej więcej czterdziestopięcioletnia, smukła, ale o pełnych kształtach kobieta przybrała przepisową agresywną postawę, a jej twarz zaskakiwała fanatycznym wyrazem. Długie, grube wargoczki miały barwę pszenicy, ciemnoszare oczy błyszczały zwycięsko, duże brutalne usta o wąskich wargach otwarta w wyraźnie pogardliwym uśmiechu, zęby miały w sobie coś uderzająco zwierzęcego. Podniecające w tej kobiecie było to, że w jej rysach cechy nordyckie i ostyjskie mieszały się ze sobą w niemal karygodny sposób, że na to, co w niej było bohaterskie,

nakładła się natura węża. Ubrana była w krótką tunikę kąpielową, która, jako że całkowicie mokra, nic tylko uwydatniała plastycznie wszelkie cielesne detale, ale też w połowie je odślaniała. Pod cienkim białym płótnem zaznaczały się różowobrazową barwą sutki pełnych, wysokich piersi. Rozpiętą koszulę luźno tylko przytrzymywała dłońmi, które były szczupłe, choć wcale nie szlachetne. Fotografia oddawała nawet gęsią skórę na opalonych na brąz, oszronionych morską solą udach, ukazywała każdą kropelkę wody i nawet delikatny meszek, który z wyglądu przypominał cień, nad górną wargą i na ramionach. Napis nad zdjęciem, utrzymany jak zwykle w rezolutnym stylu, głosił: „A to, niemieccy chłopcy i dziewczęta, jest Ulla Frigg von Eyck, niegdyś komendantka obozu koncentracyjnego dla kobiet «Dora», obecnie małżonka obersturmbannfuhrera i inspektora do spraw gospodarczych w oberrabschnitt Fulda-Werra Erika Meinolfa von Eycka, na plaży ośrodka wypoczynkowego Leibstandarte SS «Adolf Hitler» w Soczi nad Morzem Czarnym“. Pod spodem zaś: „Strażniczka rasy“.

Strażniczka rasy, Hóllriegl wiedział o tym z pewnego źródła, czterokrotnie poroniła. Żyły jedynie pierwsze dzieci: Manfred i Erda, bliźnięta. Ta tryskająca siłą Niemka pochodząca z jednego z dawnych krajów bałtyckich była jak piękne, ale w środku robaczywe jabłko. Od dłuższego czasu pani von Eyck cierpiała na niewytłumaczalną neuropatię, przypominające manię prześladowczą urojenia, napady zimnej pasji, bezsenność, a także na podrażnienie pewnych partii skóry. Lekarze dopatrywali się związku z początkiem przekwitania, z kolei inne symptomy przeczyły tej diagnozie. Pomimo różnych kuracji wyleczenie z tej coraz bardziej uciążliwej choroby wydawało

się sprawą beznadziejną. Hóllriegl zetknął się z Eyckami przypadkiem na konferencji NS Związku Lekarzy Wspierających Naturę w Radebeul. Poinformowany o historii choroby Ulli, zaproponował swoje usługi jako radiesteta i próbował przekonać Eycków, by pozwolili zekranować przed promieniami ziemskimi swój dom w pobliżu Heydrich, gdzie mieszkała najczęściej Ulla z bliźniętami, a przede wszystkim sypialnie. Von Eyck, olbrzym o małej, ciemnej, jakby skórzastej sępiej głowie i jasnych złośliwych oczach w zniszczonej, poznaczonej bliznami twarzy („Koszmarna mord!“), z początku tylko patrzył przed siebie nienawistnie, ironicznym wzrokiem. Zarówno jemu, jak Ulli obito się o uszy to i owo o „ródźkowaniu“ Hollriegla, słyszeli także o jego osiągnięciach — do klientów Hollriegla, jeszcze w czasach wschodniomarchijskich, zaliczali się czołowi funkcjonariusze partii i małżonki wpływowych na arenie politycznej przywódców z kół przemysłowych — przeważał jednak głos chorowitej siostry Eycka, Anselmy, która przez długie lata mieszkała w tropikach, istoty w dziwny sposób pozbawionej energii, o wielkich oczach, leniwych, jakby roślinnych ruchach i bladej, pokrytej plamami wątrobianymi cerze (trudno byłoby wyobrazić sobie większe przeciwieństwo Ulli!). Sceptycznie uśmiechając się, z rezerwą, Eyckowie zgodzili się na jego interwencję. I właśnie dziś po południu miało się odbyć pierwsze badanie.

Ulla wywarła na Hollrieglu ambiwalentne, lecz niewątpliwie magnetyczne wrażenie. To, co w tej kobiecie było rasowego, pańskiego, fanatycznego, podbiło go i oczarowało od pierwszej chwili, natomiast pospolita, brutalna, wyzywająca strona jej charakteru odpychała go. Od lat krążyła fama o jej nieobliczalności i okrucieństwie, słyszało się również wiele o jej

ryzykownych wyczynach jeździeckich. Pani von Eyck, wówczas jeszcze Ulrike Mlakar, była jedną z najsurowszych komendantek kacetów; jej styl kierowania obozami w Stuttholie i w Gross-Rosen stał się głośny w najszerszych kręgach partyjnych równie szybko, jak jej fanatyzm w stosunku do czołowych przywódców hierarchii politycznej. Dzięki określonym metodom wychowawczym (które nie zawsze wychodziły na dobre więźniarkom) bardzo wcześnie zyskała szacunek i rozgłos. Często można ją było oglądać na ekranie jako uosobienie wzorowej żony i matki, a także amazonki; jej nazwisko pojawiało się ciągle w codziennej prasie.

Obudzone przez zdjęcie z okładki marzenia Hollriegla, które, jak przeczował z udręką, musiały pozostać nie spełnione, poczęły krążyć wokół ciała tej kobiety emanującego czarem dojrzałej żądzy. Co dziwne, odbijająca się w twarzy Ulli popolitość ściągała go coraz mocniej w dół w rejony podświadomego pożądania; tego, co było w niej zwyczajne i bohaterskie, nie potrafił już tak podziwiać. Może to wszystko było tylko maską. Do wysoko osadzonych kości jarzmowych i lekko skośnych oczu ze zdradzieckimi brązowymi cieniami poniżej pasował zapach potu klaczy i brudnej bielizny. I nagle — Hóllriegl odłożył śpiesznie na stos czasopismo — ogarnęło go uczucie bezpośredniego fizycznego zagrożenia. Ta kobieta budziła nie tylko chęć bicia, bicia do krwi, lecz także pragnienie bycia bitym.

Zabrzączał telefon. Hollriegl wyłączył radio i zdjął słuchawkę z widełek.

— Heil! Tu Damaschke — odezwał się szorstki głos. (SA-man Damaschke, stary bojownik z Krumme Lankę, inwalida wojenny pierwszej kategorii odznaczony Orderem Krwi,

obecnie telefonista w domu partii). — Niejaki pan von... Schwertfejer z Wiednia chciałby z panem mówić. No, pewnie sam już się pan domyślił, kto zacz. Co? To ten znany literacik. Miał tutaj kiedyś odczyt. Łączę...

Hollriegl natychmiast zorientował się, z kim ma do czynienia. Przed laty zbadał wahadełkiem gabinet popularnego pisarza Arbogasta von Schwerdtfegera w jego mieszkaniu w Döbling, po czym zarządził gruntowne przestawienie mebli, przede wszystkim pulpitu do pisania — Schwerdtfeger przeważnie pracował stojąc. Jak poinformował go później literat, usunięte zostało w ten sposób „irytujące zahamowanie naładowanej energii”; odtąd znów mógł pracować na pełnych obrotach.

— Przypomina pan sobie jeszcze swoją interwencję u mnie? — usłyszał głos Schwerdtfegera, który brzmiał miękko, dźwięcznie, kojarząc się poniekąd ze „staroaustracką” intonacją. — Złociutki, nie zechciałby pan na chwileczkę wpaść do mnie do Parlamentu? Mieszkam tutaj. Chętnie sam wstąpiłbym do pana, ale czekam na ważną rozmowę międzymiastową, połączą mnie pewnie lada chwila, więc nie mogę się ruszyć z miejsca. Mam dla pana interesujące zlecenie. Coś bardzo oficjalnego. Tajemnica Rzeszy...

Hollriegl zgodził się przyjść, skreślił naprędce na kartce papieru parę słów do Burjaka i włożył płaszcz. Gdy wyprowadzał samochód z garażu, przemknęło mu przez myśl pytanie, skąd Schwerdtfeger mógł się dowiedzieć, że on, Hollriegl, pracuje w Heydrich. Tajemnica Rzeszy! Jakim sposobem ten „literacik” wpadł na pomysł, żeby powierzyć ją akurat jemu?

I jeszcze coś zwróciło jego uwagę i wydało mu się dziwne: Schwerdtfeger użył słowa „Parlament”, a więc jednego z owych

ironicznych wyrażen, którymi określano niekiedy — tylko w zaufanym gronie — domy partii. Czy przyjął zatem, że łączą ich aż tak poufne stosunki? („Miałem z nim do czynienia jedynie na płaszczyźnie czysto zawodowej, a i to przed wielu laty“ — rzekł do siebie półgłosem Hóllriegl pogrążony w rozmyślaniach). Czy zrobił to przez nieuwagę? Należało raczej wątpić. Prędeziej już dlatego, że czuł się przesadnie pewny siebie. A może celowo użył tego właśnie słowa? W każdym razie Schwerdtfeger mieszkał w domu partii, gdzie zwykle zatrzymywali się tylko wyżsi funkcjonariusze. Tajemnica Rzeszy?

Na Hindenburg-Chaussee zaczęło kropić, a wkrótce potem deszcz siąpił już w najlepsze. Pomimo to, tak mu się wydawało, na ulicach było więcej ludzi niż zazwyczaj. Przystanął przed domem partii przerobionym z koszar wojsk pancernych, pomalowanym na brązowo olejną farbą, a dzięki przebudowie istniejących i dostawieniu nowych skrzydeł utrzymanym teraz w monumentalnym stylu, jednolitym dla całej Rzeszy. Żadnej luki, żeby zaparkować — w poprzek chodników, jak było modne w pierwszych latach Wehrmachtu, stały ciasno jeden przy drugim samochody funkcjonariuszy i sekretarek. Hóllriegl zostawił swego volkswagena w bocznej uliczce i dygocąc z zimą pospieszył do „Parlamentu“.

W portierni z okienkami przypominającymi otwory strzelnicze siedział Damaschke ze słuchawką przewieszoną przez ramię i gorliwie przekładał wtyczki w centrali telefonicznej. („Heil!... Jawollja... Łączę...“) Wykonując to automatycznie prawicą uzbrojoną w pomysłowy chwytak, lewą ręką wypisywał Hollrieglowi przepustkę. Obok niego siedział pomocnik, który smarował akurat margaryną kromkę chleba. Gała portiernia była przystrojona chorągiewkami i transparentami, Hóll-

riegl dostrzegł też popiersie Fuhrera oraz pożółkłe fotografie przedstawiające Damaschkego z uśmiechem na twarzy w dawnym mundurze SA, podczas pochodów, przed sklepami żydowskimi lub wymachującego puszką Pomocy Zimowej.

— Pokój piętnaście, drugie piętro, trakt prywatny — mruknął jowialnie. Kuśtykając na skrzypiącej protezie wyszedł ze swojego pomieszczenia i chwytakiem wskazał drogę na dziedziniec koszarowy. — Powodzenia, panie Heiminsreich⁸ — zawołał za Hollrieglem.

Długie korytarze były przegrzane, przesycone wonią nafty, kiepskich papierosów, pisuarów, lizofornu i biurowego kurzu — również zapach urzędu był zgodny z normą dla całej Rzeszy. Interesanci czekali na wpuszczenie do środka, z pokoi dobiegał cichy kłopot maszyn do pisania. Wszędzie na ścianach portrety Fuhrera lub wyblakłe schematy jakiejś przedpotopowej broni szybkostrzelnej. Hasło „Pożytek wspólny przed interesem osobistym“ dawno już zostało zatynkowane, lecz dało się jeszcze odczytać. Korytarze „traktu prywatnego“ odcinały się przyjemnie od spartańskiego wystroju innych skrzydeł czerwonymi chodnikami z włókna kokosowego oraz roślinami pnącymi, które wyglądały na mocno zaniedbane.

Kiedy Hóllriegl, usłyszawszy rzucone dziarskim tonem „No, śmiało do boju!“, wkroczył do zaciemnionego wnętrza, Schwerdtfeger wyszedł mu na spotkanie z szeroko otwartymi ramionami. Pisarz potrząsnął obiema dłońmi swego gościa. Schwerdtfeger, potrójny *doctor honoris causa* sławnych niemieckich uniwersytetów, wyglądał prędzej na Hunę niż na Germanina (i dlatego jego azowe honorowe imię „Hódr“ brzmiało anachro

⁸ *Heim ins Reich* — dosłownie: powrót do Rzeszy; żartobliwe określenie Austriaków w czasach III Rzeszy.

nicznie), świetnie pasowałby do roli króla Etzela w ekranizacji Nibelungów. Kulista, krótko ostrzyżona czaszka — na uznanie zasługiwało zwłaszcza wypukłe czoło, jakby wykute z kamienia — odstające uszy, skośne żółte oczy, usta z gładko wygoloną górną wargą, wydęte, jakby ciągle zasznurowane. Zęby wyraźnie sztuczne. Potężna czworokątna klatka piersiowa, która — jakby z cichym skrzypieniem — unosiła się i opadała, nadawała mu wygląd atletycznie zbudowanej figury z panoptikum. Dłonie Schwerdtfegera były równie delikatne i rycerskie jak jego formy towarzyskie. („Dżentelmen w przedwojennym stylu!“) Jego najnowsza powieść, *Demony Marchii Wschodniej*, opaste tomisko, w którym nakreślił panoramę stosunków społecznych w Republice Weimarskiej, stała się tak przytłaczającym bestsellerem, że nawet Hollriegl, nienawidzący generalnie powieści i literatury pięknej jak zarazy, nie mógł się z nią nie zapoznać przynajmniej we fragmentach. Bądź co bądź ten wybitny człowiek był Wschodniomarchijczykiem i fakt ten wystarczał do stworzenia poufnej, swojskiej atmosfery.

Rozmowa była krótka.

— Jeżdżę właśnie po kraju z cyklem odczytów — zaczął Schwerdtfeger bez żadnych wstępów, kiedy nie udało mu się namówić Hollriegla na coś do picia i cygaro i w końcu sam zapalił przesadnie pykając. — W Berlinie miałem nie lada zaszczyt wystąpić przed gronem czołowych osobistości kierownictwa Rzeszy — Fuhrer niestety nie był obecny. Sam pan wie... — Schwerdtfeger przybrał w okamgnieniu bolesciwą minę, jakby miał ją zawsze na podorędziu. — Żeby nie przeciągać: chodzi o ważną, wysoko postawioną osobę; trzeba zbadać na obecność promieni ziemskich jej gabinet i pokoje prywatne. Wspomniałem o panu i pańskich sukcesach, naturalnie

w szczególności o pańskiej interwencji wtedy u mnie w Döbling. Panowie okazali wielkie zainteresowanie i tym sposobem zlecenie wyniknęło samo przez się. A zatem była to moja własna inicjatywa. Dowiedziałem się, dokąd zagnały pana wiatry, a ponieważ trasa mojej podróży tak czy owak miała prowadzić przez Heydrich, podjąłem się zawiadomienia pana. o wszystkim osobiście. Tyle że niełatwo było ustalić, w którym Heydrich pan mieszka. Tutaj miałem już kiedyś odczyt, dwa lata temu. Drętwe towarzystwo. Brak prawdziwego zrozumienia. No cóż, po prostu prowincja...

— Dziękuję panu. Powinienem jednak poznać bliższe okoliczności — przerwał Hóllriegl swobodny potok słów swojego rozmówcy, który niedbałym na wpół sportowym strojem chciał, jak się zdaje, zasugerować, iż należy do nobliwej bohemy — w jakich miałbym przeprowadzić to badanie. Cenne byłyby osobiste kontakty, powinienem również zapoznać się z historią choroby, jeśli takowa istnieje. Czy mógłby pan powiedzieć mi coś na ten temat?

— Z miłą chęcią — gdybym był upoważniony do mówienia. Ja też wiem zbyt mało. Tyle jednak mogę panu powiedzieć, że osobistość, o której mowa, jest bardzo, bardzo chora. Całej reszty, a więc tego, co interesuje fachowca, dowie się pan już na miejscu. Zameldować należy się w T4 (Hollriegla w jednej chwili przeszedł zimny dreszcz) u obersturmführera Hirnchristla, nawiasem mówiąc, to nasz krajan, miły facet, entuzjastyczny narodowy socjalista — on jest zorientowany. Od niego otrzyma pan wszelkie instrukcje. Możliwe (Schwerdtfeger ssał z wysiłkiem swoje cygaro, które nie chciało się palić), że wprężnięta zostanie do tego również astrologia. A może nawet (ironiczne mrugnięcie kałmuckimi oczyma) najwyższy astrolog

Rzeszy. Nie ma pan chyba nic przeciwko temu, co?

— Nie, oczywiście że nie, chociaż... Moje badania, tak zupełnie bez żadnego kontaktu, zdadzą się właściwie psu na budę. Naturalnie istnieje obiektywne, naukowo stwierdzone oddziaływanie ziemi na organizmy. Jak jednak to oddziaływanie ziemi wpływa w określonych warunkach na określony organizm, to zupełnie osobna i nader delikatna sprawa — ustalenie tego to kwestia czucia! Może pan to nazwać wczuwaniem się, intuicją, wycuciem w palcach, czarną magią... Kiedy mam być w Berlinie?

— *Momentino*, wyleciało mi z głowy! — Schwerdtfeger przyniósł swój notes i zaczął go wertować. — Pojutrze: w poniedziałek. Hirnchristl oczekuje pana o godzinie 16. Wystarczy, że powie pan wartownikowi swoje nazwisko. Wyjazd jutro.

Hollriegl podniósł się. Denerwował go lakoniczny, nieco władczy ton, jakim zostały wypowiedziane ostatnie zdania. To absolutnie nie pasowało do stylu bycia Schwerdtfegera. Tajemniczy facet — w każdym razie ostrożność w stosunku do niego nic zawadzi.

Pożegnanie znowu było nadzwyczaj serdeczne, można powiedzieć, że wschodniomarchijskie. Hollriegl wyszedł pełen wewnętrznego niepokoju. Obowiązkowe szkolenie powinno się zacząć lada chwila. Czuł się oczywiście zaszczycony misją powierzoną mu przez Schwerdtfegera. Ale co się za nią kryło? W dodatku ten ckliwy sposób wyrażania się: z miłą chęcią — *momentino* — cała ta egzaltacja. Rzygać się chciało! Bez wątpienia jeden z tych, którzy dostąpili wyższego wtajemniczenia. Słowo „Parlament” było zapewne pułapką, jedną z wielu. Pozostałych po prostu nie zauważył. Czy powinien był jakoś zareagować? I dlaczego ma się zameldować w T4? Była to, o czym każ-

dy wiedział, wcześniejsza siedziba Urzędu do spraw Polityki Demograficznej i Czystości Rasowej, a więc centrala programu eutanazji: Tiergartenstrasse 4. Akcja „Terapia Specjalna 14 F 13“. W 1959 roku dotyczyło to jeszcze równo 748 000 osób, w całej Europie. („Ta moja przeklęta pamięć do liczb! “) Wkrótce potem obniżono tę liczbę, ponieważ wszyscy obciążeni dziedzicznie, którzy byli w miarę zdolni do pracy, zostali przeniesieni do UmL-i, gdzie trzymani w specjalnych, przypominających przegrody dla świń klatkach służyli jako króliki doświadczalne dla potrzeb neurochirurgii lub wykonywali najniższe roboty.

(Nawet debile po skutecznie przeprowadzonej lobotomii trafiali z powrotem do gospodarki). Kierownictwo programu eutanazji przeniesiono tymczasem gdzie indziej — ale gdzie, „wyleciało“ Hollrieglowi z głowy. Pozostała zła sława. Jakże to mówiono o T4?... Rakarnia Rzeszy. Kto urzędował teraz pod tym adresem?

Rozejrzał się dookoła. Budząc się z tej swojej nieobecności duchowej z uczuciem zagrożenia spostrzegł, że zgubił się w długich pustych korytarzach, wszystkie były równie monotonne i zuniformizowane. Prawdopodobnie już po wyjściu z kwatery Schwerdtfegera ruszył w niewłaściwym kierunku. Stukot jego butów odbijał się echem od kamiennej posadzki. Wyglądało na to, że trakt prywatny kończy się tutaj, pomieszczenia urzędowe musiały się znajdować w bloku naprzeciwko. Za oknami, w mglistym świetle, majaczyła pustka koszarowego dziedzińca. Hollriegl, mocno podenerwowany, pędził przez plataninę pograżonych w półmroku, niepostrzeżenie zwężających się, krętych korytarzy. Czasami miał wrażenie, jakby zza przymkniętych tylko drzwi ścigały go uporczywe, palące spojrzenia spod zgarbionych pleców, jakby spoglądał z góry na szerokie,

połyskujące żółto, niskie czoła pod kołtuniastymi czarnymi włosami — zastygłe w bezruchu grupy. Czy to była brygada niewolników w trakcie sprząwania? (Pytanie o drogę półzwierząt nie miałyby sensu). Kiedy Hollriegl wspiął się na górę po krótkich, kręconych bocznych schodach, powitał go nagle przestronny korytarz utrzymany w wyrazistym stylu i pogodnych pastelowych rokokowych kolorach, z łukowatymi oknami po jednej i nielicznymi wysokimi drzwiami po drugiej stronie. Uczucie, że jest ścigany, minęło jak ręką odjął, znowu oddychał pełną piersią.

Hollriegl nigdy nie był w „Rezydencji, jak nazywano potocznie mocno uszkodzony podczas wojny pałacyk. Siedziba osiadłego tutaj od wieków, wymarłego już za Wilhelma Drugiego feudalnego rodu, w ciągu ostatnich dziesięcioleci wielokrotnie zmieniała właściciela. Po pierwszej wojnie światowej — tak opowiadał Kummernuss — pałac dostał się w ręce pewnego potentata przemysłowego z Nadrenii, który, bądź co bądź, odrestaurował obrócony nieledwie w ruinę teatrzyk Rezydencji, a nawet dbał o to, żeby w nim wystawiano sztuki. Po przejściu władzy przez Fuhrera również tutaj przestało straszyc widmo Republiki Weimarskiej. Rezydencję w krótkich odstępach czasu przekształcano kolejno: w ośrodek szkoleniowy dla pielęgniarek z oddziałów dla noworodków, w sanatorium dla inwalidów wojennych, około 1940 roku w dom wypoczynkowy dla rekonwalescentów z jednostek Totenkopfu⁹, a później w zakład wytwórczy działający w ramach jakiejś kooperacji (Kummernuss uważał, że w ramach programu „Ariel“). Podczas terrorystycznych nalotów alianckich klejnot architektury częściowo padł ofiarą bomb burzących. Zakład zbrojeniowy zniknął w podziemnych sztolniach, i zrujnowany pałac znów

pozostał bez właściciela. Po zwycięstwie, pewien kawaler Orde-ru Krwi, najwyższy urzędnik Abwehry w Bad Frankenhausen (tak przedtem nazywało się Heydrich), nabył za bezcen to, co zostało z pałacyku, zmarł jednak w trakcie jego odbudowy. Niedawno Rezydencja przeszła w posiadanie partii, która do- budowawszy to i owo połączyła ją z koszarami i Parlamen-tem.

Pewne zdarzenie, przelotne i zagadkowe jak wszystkie dal-

⁸ *Heim ins Reich* — dosłownie: powrót do Rzeszy; żartobliwe określenie Austriaków w czasach III Rzeszy.

sze tego brzemiennego w skutki jesiennego dnia, miało jednak zachować osobliwy ciężar gatunkowy. Na odległym końcu ko-rytarza Hóllriegl dostrzegł balustradę, która widocznie zamy-kała tu na górze klatkę schodową. Tamtędy mógł więc szybko wydostać się na zewnątrz — szkolenia na temat terenów czan-dalskich nic wolno było opuścić, sprawdzano obecność. Mija-jąc śpiesznie jedne z nielicznych drzwi, usłyszał ze środka ja-kieś monotonne szemranie lub szept, co brzmiało niczym od-mawiana chórem litania. Powodowany wewnętrznym przymu-sem zatrzymał się i otworzył drzwi, które skrzypiąc obróciły się w zawiasach.

Znajdował się na emporze (albo na chórze) jakiegoś wyso-kiego, wąskiego, wypełnionego mglistymi oparami pomieszcze-nia sakralnego; była to prawdopodobnie pałacowa kaplica. Na frontowej ścianie pustej apsydy wisiał potężny chrześcijański krzyż (brakowało jednak ciała Ukrzyżowanego), do którego przybito gwoździami równie wielki czarny hakenkreuz. Nie było obrazów ani żadnych innych rytualnych ozdób. Zarówno na emporze, jak i na dole, w nawie, tłoczyli się ludzie. Uczestnicy

nabożeństwa (większość stanowiły stare kobiety w żałobnych strojach) zwróceni byli twarzami, na których malował się wyraz ekstazy, ku stojącemu na stopniach ołtarza czarnobrodemu mężczyźnie o czerwonych policzkach; na jego barkach po obydwu stronach siedziały ptaki, nieruchome, jakby wypchane, kawki, wrony albo kruki. Mężczyzna, może kaznodzieja, a może mówca wiecowy, którego potężne ciało osłaniał ciemny płaszcz, wydawał się mieć tylko jedno oko; miejsce, gdzie powinno znajdować się drugie, zasłaniała czarna opaska założona tak niedbale, że widać było wyraźnie czerwony oczodół. Na czoło nasunął nisko miękki kapelusz z szerokim rondem. Hóllriegl nie mógł przyjrzeć mu się dokładnie ze swojego miejsca, gdyż zasłaniaли go klęczący w ławkach ludzie, a ponadto z dołu wznosiły się bez przerwy rzadkie obłoczki dymu, które, choć rozpląwały się szybko, pogarszały jednak widoczność. Dym miał zapach przypalonego mięsa.

Wierni kiwali się rytmicznie w przód i w tył, kołysząc się w swego rodzaju uroczystym rytuale i nie przerywając przy tym monotonnego zawodzenia. „Fuh-rer! Fuh-rer!“ — zrozumiał Hollriegl. W zduszonych łzami głosach dawało się wyczuć niezwykłą żarliwość.

— Zasiada po prawicy Odyna, ojca wszechmogącego — przemówił zaklinającym tonem skald (kimś takim wydawał się prowadzący modły), a jego oczy błyszczały w ekstazie.

— Fuh-rer! Fuh-rer! — odpowiedział posłusznie chór. Hollriegl ujrzał wlepione w siebie oczy, widział śliniące się usta w żółtych pomarszczonych twarzach — a więc intruz został odkryty. Miękkie ręce wyciągnęły się w jego stronę, kobiety przysunęły się do siebie bliżej, żeby mu zrobić miejsce. Ich zwiędłe ciała wydzierały słodkawy zapach, niektóre trzymały w dłoniach małe

wieńce. Gdzieś na dworze zarżał nagle koń, było to rzenie śmierci. Łagodnie, ale siłą próbowano go ściągnąć w dół na siedzenie. — Fuh-rer! Fuh-rer! — westchnął znowu tłum.

Hollriegl strząsnął z siebie ręce, których uchwyt, jak mu się wydawało, stał się nagle żelazny. Jakiś dryblas, oparty dotąd o ścianę za jednym ze skrzydeł drzwi, zastąpił mu drogę. Hollriegl, któremu zakręciło się w głowic, odepchnął go na bok, omal nie doszło do bójki. Dotarł wreszcie do drzwi i nie zważając na hałas, jaki spowoduje, zatrzasnął je za sobą. Jasność korytarza wzięła go na powrót w swoje ramiona.

Dochodziła za dwadzieścia trzecia. O godzinie piętnastej Hollriegl miał przeprowadzić badanie u Eycków. Czuł, że ma gorączkę, nie będąc chorym, nerwowo prowadził samochód przez uliczki Starego Miasta, żeby skrócić sobie drogę. Saliny oraz zakład kąpieli solankowych, przed którym stał długi, ciasny szereg zaparkowanych aut, pozostały w tyle po lewej stronie; tuż za skałą stanowiącą zwieńczenie ruin górnego zamku skręcił w Guderian-Allee, arterię wylotową, na której o tej porze, w sobotnie popołudnie, ruch znacznie już zmalał. Nacisnął pedał gazu i pomknął przed siebie, wciąż czując nerwowy ucisk w karku. Cel go przyciągał, zarazem jednak miał wrażenie, że powinien odwlec spotkanie z panią von Eyck. Teraz, kiedy miało się spełnić to, o czym od tak dawna marzył, zaczynał się wahać. Jakie to niemęskie! A jednak niejasne uczucie zagrożenia nie ustępowało.

W południe poproszył lekko śnieg — w tym roku spadł bardzo wcześnie — teraz jednak pokrywa chmur rozerwała się na długie pasma, niespodziewanie ukazał się błękit, błękit jesiennego nieba bawiącego się w lato, i niewyraźne blade słońce zalało fałszywym światłem zalesione zbocza Schlacht-

bergu, które właśnie mijał w wielkim pędzie. Hollriegl przejeżdżał przez strefę paraliżującego ciepła, miejscami powietrze wysuszyło asfalt, lecz tu i ówdzie dopadały go zdradzieckie podmuchy zimnego, mokrego wiatru.

Wykład na temat włączonych do Rzeszy terenów czandalskich aż po Ural — Ural, który naszpikowany kopalniami uranu i bronią jądrową stanowił wschodni wał obronny cywilizacji zachodniej — mimo że większość zaprezentowanych faktów już znał — potężnie go wzruszył i uszczęśliwił. Pierścień zależnych od Rzeszy państw, od Protektoratu Bałtyckiego i Finlandii na zachodzie — Bałtyk był morzem wewnętrznym — aż po byłe komisariaty Rzeszy, a obecnie skonfederowane prowincje: Kaukaz, Zakaukazie i Ruś (Ukrainę), którym Fuhrer przyznał specjalną konstytucję stanową według średniowiecznych wzorów (w nagrodę za to, że pierwsze powstały przeciwko apokaliptycznej bestii bolszewizmu), oraz okręgi lenne: Chiwę, Bucharę, Kirgizję, Chakazję i Ałtaj — także Tybet należał do strefy wpływów niemieckich (Mongolia do japońskich) — otaczał zasiedlone przez warownych chłopów krwi niemieckiej i nordyckiej północne i środkowe okręgi dawnego Związku Sowieckiego. Rozbudowany w głąb system umocnień i stref osadnictwa zabezpieczał bezkresny Ostland. Wszędzie widać było dzieła nosicieli światła. Tam, gdzie dawniej stały obozy zagłady (UmL-V), wznosiły się teraz sztuczne pagórki — właściwie, jak mówiono, usypane z czaszek — zamki warowne zakonu SS oraz walhalle ariozofów. Prelegent pokazał nadzwyczaj imponujący barwny film o życiu w owych grodach nadgranicznych, których jednolita monumentalna architektura gotycka została zaprojektowana przez samego Fuhrera. Na rozległych terenach kraju słowiańskiego rozsiane były także

tysiące rasowych zakładów wychowawczych, w których dorastały przyszłe elity narodu panów. Wkrótce po zwycięstwie zaczęto tam z powodzeniem krzyżować rasę germańską blond ze słowiańską blond (plemię Waregów), i właśnie te mieszańce okazały się później wyjątkowo fanatycznymi wojownikami tępiącymi resztki mongoloidalnych pod ludzi zamieszkujących obszary położone na wschód od Jeniseju: wyruszali w stepy, pierwotne puszcze i lodowe pustynie, by ogniem i mieczem głosić tam świętość aryjskiego praglifu, swastyki, rozdeptywać czandalskie robactwo i karczować wyludnione obszary pod przyszłe kolonie czystej rasy. Wszystko to dopiero powstawało, ale już teraz tworzone było z takim rozmachem, że słuchało się o tym z zapartym tchem. Chwała Fuhrerowi, który to stworzył!

Wrażenia owe pojawiały się w mózgu Hollriegla nie w przedstawionej tutaj kolejności, lecz bardziej chaotycznie, i nakładały się na nie mamiące obrazy, w których silna jasnowłosa rasowa kobieta ukazywała mu się w pozie lubieżnie niedbałego oddania, a więc w słabości i poniżeniu. (Oczekującą go podróż do Berlina w znacznej mierze wyłączył już ze świadomości). Czy cały dom Eycków stał ponad źródłem szkodliwego promieniowania, czy tylko pokoje pani von Eyck znajdowały się w sferze zaburzeń wywoływanych przez podziemne ciekły wodne lub żyły kruszcowe? To ostatnie było wielce prawdopodobne, ponieważ jedynie pani Ulla odczuwała dolegliwości cielesne i duchowe. Na dzisiejsze, pierwsze badanie Hollriegl zabrał, oprócz zwykłego sprzętu kontrolnego, jedno z najprostszych wahadełek znanych giromantom: wahadełko bursztynowe na zawieszaniu z włosa. Wybrał bursztyn, ponieważ skamieniała żywica najlepiej odpowiadała barwą grzywie Ulli (w skrytości ducha

nazywał ją swoją „Bursztynową Czarownicą”), a pętlę z włosa dlatego, że jest on żywą, ludzką substancją przewodzącą — i że wciąż myślał o włosach Ulli. Decydujące znaczenie miało to, jak on sam osobiście potrafi się nastawić na aurę i od pani von Eyck („byłoby najlepiej, gdybym jej nie zastał”), jej istota była wszak uwięziona w domostwie von Eycka i dzięki temu uchwytana także bez cielesnej bliskości. Musiał, to było oczywiste, wspiąć się na szczyty swych możliwości. Od wyniku tego pierwszego badania wiele zależało, tak pod względem komercyjnym, jak i towarzyskim, no i co najważniejsze: jak wypadnie w oczach samych Eycków, a przede wszystkim Ulli.

Wahadełko było tylko narzędziem — powodzenie lub niepowodzenie akcji zależało jedynie od jego własnego biomotoru, od jego electromagiconu, jak nazywał to Paracelsus. Czy uda mu się maksymalnie skoncentrować, wyłączyć w domu pożądaną kobietę wszelkie uboczne myśli, stłumić wszystko, co skryte, osobiste, co tak uszczęśliwiająco, lecz zarazem tak boleśnie beznadziejnie wiązało go z Bursztynową Czarownicą?

Punktualnie co do minuty, jak stwierdził, zatrzymał się przed szeroką kratową bramą z barokowymi ozdobnikami; do rezydencji prowadziła stąd prosta jak strzała, zapuszczona aleja. Bardzo rozległa posiadłość, otoczona wysokim, rozpadającym się już murem, leżała w lesistym terenie, tuż obok odgałęzienia drogi w kierunku Rottleberode, a więc blisko autostrady. (Tamtędy pojedzie do Berlina dopiero pojutrze rano, a nie w niedzielę, jak rozkazał „literacik”; przeklęta sprawa, Schwerdtfeger, T4 — co to wszystko, u diabła, miało znaczyć?) Hollriegl był już raz w tej położonej z dala od miasta rezydencji na przyjęciu, jakie Eyckowie wydali dla wysokich rangą bonzów ze sfer gospodarczych.

Brunatna rapsodia

Przycisnął guzik dzwonka, a usłyszawszy charkot, który miał być pytaniem, wymienił swoje nazwisko; przypuszczalnie je znano, gdyż ze szczęknięciem otworzyła się boczna furtka. Wchłonął go mrok starej alei, gdy ruszył dziarskim, niemal zamaszystym krokiem po zwirowanej dróżce gęsto obsadzonej klonami, z których opadały liście. W pozującej na willę, zaniedbanej dozorcówce z zamkniętymi szarymi okiennicami nie dostrzegł żadnego ruchu. Gdzieś daleko, w głębi parku, ujadają psy. Poza tym nie było słycać żadnych dźwięków.

W gruncie rzeczy wcale nie był w dziarskim nastroju. Trawiąca go gorączka oczekiwania, owa osłabiająca ciepłota krwi, sprawiała, że czuł się otępiały. Odczuwał ucisk w żołądku (Damaszke powiedziałby, że go „ssie w dołku“), a w kolanach próżnię, tak iż nogi w wyglansowanych na wysoki połysk oficerkach poruszały się niemal samoistnie. Zdenerwował się, bo prawe ramię, którym przytrzymywał wciśniętą pod pachę aktówkę z przyrządami różdżkarskimi, zaczęło mu śmiesznie dygotać — możliwe zresztą, że dlatego, iż zbyt kurczowo przyciskał teczkę. Kurcz przybierał na sile w miarę zbliżania się do dworu.

Do spodni mundurowych i brunatnej koszuli Hollriegl założył jeszcze w południe bluzę w kolorze khaki z patkami na kołnierzu, naramiennikami i paskami na rękawach. Bluza była częścią munduru galowego i dobrze uwydatniała jego sylwetkę. Wyłogi w kolorze zielonego jabłka zdobiło wyszywane srebrem drzewo życia. Jako różdżkarz-terapeuta Hollriegl zaliczał się do „uzdrowicieli bez nominacji“; ponieważ jednak był wcześniej w służbie sanitarnej Wehrmachtu i SS i jako radiesteta uzyskał dyplom partyjny, przyznano mu rangę kierownika wydziału lub truppenführera RAD-u¹⁰, stopień służbowy,

który przysługiwał mu zresztą także jako sekretarzowi zrzeszenia branżowego.

Przed nim otwierał się szeroki, wietrzny plac. Chrząst żwiru. Geometrycznie rozmieszczone trawniki były teraz szarobrązowe i sprawiały niepozorne wrażenie. Po lewej i po prawej stronie jakieś szopy i stajnie, wyglądem przypominające mury zamku i obrośnięte bluszczem. Minął rozwartą paszczę jakiejś remizy, w głębi której błyszcząły niklowane nosy limuzyn von Eycka; pan domu jeździł oczywiście samochodem tej samej marki i barwy co reichsfuhrer SS. Tuż obok — Hollriegl poczuł pulsującą falę straszliwego napięcia — stał znany w okolicy opel-kapitan w kolorze zieleni morskiej, wóz pani von Eyck, ozdobiony znakami rozpoznawczymi „Czarnego Korpusu“. Ulla była w domu!

Prastare dęby stanowiły jakże niemieckie kulisy. Na pagórku, ku którego szczytowi prowadziły z dwóch stron schody, wznosiła się siedziba Eycków, utrzymana w luksusowym stylu ery wilhelmińskiej (imitacja Renesansu), z wieżyczkami, blankami, wykuszami, ślepymi ścianami szczytowymi i podobnymi ozdóbkami. Surowe cegły i ornamentyka z piaskowca. Kom-

¹⁰ *Reichsarbeitsdienst — Służba Pracy dla Rzeszy.*

¹¹ *Saara-Palatynat — okręg NSDAP.*

pleks należał pierwotnie do pewnego szlacheckiego bogatego człowieka z dynastii producentów win musujących Springorum; ostatnim właścicielem przed Eyckami był komisarz Rzeszy do spraw pracy na Saarpfaltz¹¹, niejaki pan Will Fette, który przez jakiś czas przyjeżdżał tu jeszcze każdego lata, żeby zażywać tak wychwalanych kąpieli solankowych.

Na maszcie przed głównym budynkiem wisił czarny trój-

kątny proporzec z białym orłem Rzeszy: sztandar Jungvolku. Leniwie łopotał na wietrze. Hóllriegl przypomniał sobie, iż słyszał, że córka Ulli, Erda, jest scharfuhrerin w Jungmadelbundzie¹².

Lokaj w czarno-piaskowej liberii złożył ukłon giromancie, który, wzięwszy się znowu w garść, wszedł na taras sprężystym krokiem. Służący był kościstym człowiekiem o lnianych, a właściwie białych włosach, orlim nosie i wystającej grdyce; miał powierzchowność albinosa i arystokratyczną postawę — przypuszczalnie należał do dawnej szlachty, której pozwolono służyć u nowych panów. Hall spoczywał w półmroku i oczy przywykłe do dziennego światła w pierwszej chwili niewiele mogły dostrzec. W odległym kącie pomieszczenia siedzieli przy stole dwaj mężczyźni w kapeluszach i pili piwo z ciężkich kufli. Umilkli, lecz nic zwracali uwagi na przybysza. Hóllriegl odniósł wrażenie, że mają mięsiste, czerwone, brutalne twarze.

— Pani von Eyck jest poza domem. Zechce pan pofatygować się na górę — obwieścił albinos przyjemnie sepleniąc. I z gestem, który miał oznaczać wezwanie, żeby Hóllriegl poszedł za nim, ruszył przodem.

Wyłożony ciemną boazerią hall był wysoki i przestronny niczym hangar, Hóllriegl pamiętał to pomieszczenie ze swojej

¹² *Formacja w obrębie Hitlerjugend, zrzeszająca dziewczęta w wieku 10-14 lat; w wieku 14-18 lat musiały one z kolei obowiązkowo należeć do BDM-u (Bund Deutscher Madei), Związku Dziewcząt Niemieckich.*

pierwszej wizyty. Ogromne, nierozpoznawalne już portrety rodzinne jeden za drugim pokrywały ściany, jakby te były stronicami w albumie ze znaczkami pocztowymi. W niszach stały japońskie wazony wysokości mężczyzny lub masywne neorenesansowe szafy, których płyciny pomysłowo obite były wyblakłymi chińskimi krajobrazami malowanymi na jedwabiu.

Wszystko tutaj wydawało się posągowe, muzealne, nagromadzone jak zdobyczne mienie, wyrażało teatralną przesadę, stanowiło uzurpację. Szyby w oknach, kolorowe, osadzone w łożu, przedstawiające sceny bitewne (można było rozpoznać „Grubą Bertę”, dzieło Kruppa, moździerz ogromnych rozmiarów), przepuszczały jesienne światło w postaci krwawej łuny; drewniane schody, po których wspinali się do otwartej na oścież sali, były tak szerokie, że wygodnie można by po nich wchodzić dziesiątkami. Labiryntowa budowla ze swoimi balkonami, altanami i korytarzami wypełniona była od góry do dołu bladymi popiersiami i hermami z brązu, jelenimi rogami, wypchanymi głowami łosi i niedźwiedzimi skórami. Na gzymsach kominków stały modele starodawnych hanzeatyckich statków. Wszystko odznaczało się solidnym, ostentacyjnie konserwatywnym przepychem; nic sposób było nie dostrzec dążności do pokazania tradycji i bogactwa w ich plastycznym oddziaływaniu. Wystrój przypominał operę Wagnera przeniesioną w wymiar architektoniczny.

Lokaj pozostawił Hollriegla samego w półokrągłym przedpokoju, który prowadził do prywatnych komnat pani von Eyck. Teraz już nie zwlekając może przystąpić do pracy, nikt mu nie będzie przeszkadzał. A gdyby czegokolwiek potrzebował, spokojnie może zadzwonić. („Spokojnie” — powiedział ten przeżytek z innej epoki).

— Pani von Eyck nie wróci zbyt prędko, po obiedzie wybrała się na przejażdżkę konną.

Umieblowanie w pokojach Ulli — które Hóllriegl teraz szybko przemierzył, zamknąwszy przy okazji jedyne otwarte okno — utrzymane było w tym samym ciężkim romantycznym stylu, jaki dostrzegł w pozostałych pomieszczeniach. Pomimo to zrobi-

ły one na Hollrieglu o wiele przytulniejsze wrażenie. Może dlatego, że tutaj, w przeciwieństwie do ostentacyjnego porządku na zewnątrz, panował przysłowiowy groch z kapustą; kolorowa mieszanka przedmiotów użytkowych nadawała całości pozór dzikiej improwizacji, niechlujstwa, a nawet kobiecego wyuzdania. Szufłady były powysuwane. Szafy stały otworem, tak że widać było ich nie uporządkowane wnętrza (miało to w sobie coś bezwstydnego, bezwstydnosć nagich trzewi). Na fotelach leżały porozrzucane części garderoby, a wśród nich, jak Hollriegl dostrzegł z dreszczem rozkoszy, również te najbardziej intymne. Na podłodze środkowego, największego pokoju z bardzo szerokim tapczaniem i potężnym portretem Fuhrera nad wezgłowieм żyły niejako samodzielnym życiem połyskujące majtki w kolorze łososiowym z przyczepionymi do nich jeszcze jedwabnymi pończochami. Rozłożoną na tapczanie tygrysią skórę pokrywały zeszytowe powieści, papierowe chusteczki i listy. Pod owalnym, obracającym wokół własnej osi stojącym lustrem, skierowanym dokładnie na łóżko, pani von Eyck porostawiała w czarującym nieładzie swoją kolekcję kosmetycznych utensyliów. Pod ścianą leżały ciśnięte w kąt buty do konnej jazdy.

Hollriegl, bystry obserwator, wchłonał w siebie wszystkie te szczegóły jednym zachwyconym spojrzeniem. Stojąc w sypialni swej Bursztynowej Czarownicy na kilka uderzeń serca zamknął oczy, pogrążając się całkowicie w słodkim oszołomieniu, jakie wywoływało promieniowanie jej ciała. Czuł się tak, jakby leżała już w jego ramionach. Fakt, że zostawiła tutaj taki bałagan, mógł mieć jakąś szczególną przyczynę. A może zapomniała o nim i o jego zleceniu? Czy w tym właśnie przejawili się jej temperament, jej kapryśna natura, jej rozpasanie

— że zlekceważyła jego osobę? To również pasowałoby do „stajennych manier“ Ulli, jak nazywali to ludzie. Hollriegl jednak myślał o niej z drżeniem jako o amazonce.

Choć starał się nie patrzeć w tamtą stronę, majtki z tajemną siłą przyciągały jego wzrok. Były już nieco przybrudzone, lecz właśnie z tego powodu wydawały się Hollrieglowi fascynujące. W podnieceniu, nad którym nie potrafił dłużej zapanować, pochwyił elastyczny materiał i zanurzył w nim twarz. Z paska bił cierpko-kwaskowaty zapach juchtu, skóry i potu. Po prostu zapach kobiety. Hollriegl przycisnął majtki do ust, wbił zęby w materiał i zaczął go ssać. Po chwili jednak rzucił śpiesznie majtki na podłogę, gdyż usłyszał drobne, szybko zbliżające się kroki.

Pojawiła się pokojówka, której wygląd zdradzał, że pochodziła z południa, młoda i drobniuteńka, perlistym potokiem słów (ta niezrozumiała paplanina wskazywała, iż włoski jest jej językiem ojczystym) wyraziła przerażenie obecnością Hollriegla, na widok panującego w pokoju nieładu załamała ręce i zabrała się do robienia przynajmniej powierzchownych porządków.

Hollriegl wyjaśnił jej, najprościej jak umiał, cel swojej wizyty — mała osóbką nic rozumiała z jego szwargotania ani słowa, tylko bez przerwy chichotała — poprosił więc stanowczo, żeby go zostawiła samego, na co pokojóweczka, strojąc z wdziękiem zdumione miny, znikła. Nie trzeba było żadnych dalszych dowodów: personel Ulli nie miał pojęcia o jego wizycie. A lokaj przypuszczalnie został poinformowany przez zarządcę zamku, który telefonicznie przekazał Hollrieglowi zlecenie. Pani von Eyek zapomniała o nim!

Giromanta, porzuciwszy wreszcie swoje szalone myśli

i oprzytomniawszy, stał się tym samym bardziej zdolny do wymaganej koncentracji; zdjął płaszcz i wyciągnął z aktówki bursztynowe wahadełko. Upłył kilkanaście minut, nim przyrząd się rozhuścił. Na końcu włosa (był to włos kobiety w kolorze rudozłotym) zawiązał pętlę i wsunął w nią palec wskazujący prawej ręki. Równocześnie przybrał luźną, lecz wyprostowaną postawę, a wolną rękę z rozstawionymi palcami położył na kości krzyżowej. Przy wezglowiu tapczanu w ciężkiej srebrnej ramce stała fotografia ptasiogłowego pana von Eycka w mundurze obersturmführera. Hollriegl zatrzymał wahadełko nad zdjęciem i po chwili bursztyn zaczął się kołysać, zrazu nieznacznie, a potem odchylając się coraz mocniej. Zgodnie z oczekiwaniami przyrząd zataczał wkrótce pełne lewoskrętne koła, jedynie z początku monogram oscylacji nie był wyraźny, tylko ukazywał splątane linie, jako że wahnięcia występowały w różnej częstotliwości i w różnych kierunkach, zanim w końcu przybrały kształt regularnego koła. Nad wizerunkami Erdy i Manfreda, które stały obok na nocnej szafce, wahadełko zachowywało się podobnie. Emanacja dziecięcości zmusiła jednak przyrząd, by zaczął w końcu zataczać piękne lewoskrętne elipsy.

Pokój był wypełniony wyjątkowo mocnym promieniowaniem Ulli. W miarę postępu badań Hóllriegl uświadamiał to sobie coraz wyraźniej, aż w końcu niemal był odurzony siłami emanującymi z jej potężnej płci. Niespodziewanie znowu doznał owego uczucia strachu, które przejmowało go zawsze, kiedy nawiązywał szczególnie bliski kontakt życzeniowy z odem Ulli. Wrażenie groźącego niebezpieczeństwa połączyło się w tym momencie nierozdzielnie z uczuciem grozy, jaka ogarnęła go dziś w kaplicy Rezydencji. Nagle uprzytomnił sobie

wszystko. (Dziwne, że nie pomyślał o tym wcześniej). Tam zbliżyło się do niego wówczas coś prastarego, niebezpiecznego, brudnego, a ów ujrzany własnymi oczami obraz staroświeckiego obrzędu nakładał się na obraz władczej piękności, która zajeżdżała konie i w obrzydliwy sposób upokarzała mężczyzn.

Hóllriegl uchwycił mocniej pętlę pomiędzy kciuk i palec wskazujący i zbliżył pendulum do tapczanu. Główny kierunek drgań ustalił się już po kilku sekundach; tworzyło się zwężone koło, czyli elipsa — oznaka kobiecości. Niedługo jednak, gdyż wahadełko zaczęło zaraz poruszać się w linii prostej — możliwe, że winna była temu tygrysia skóra — po czym jęło odchyłać się w różnych kierunkach w stosunku do południka, aż w końcu poczęło zataczać regularne prawoskrętne koła. A więc uzyskał niezbity dowód na to, że pod budynkiem, w głębi ziemi, występują żyły wodne albo stojąca woda. By się upewnić, Hóllriegl powtórzył próbę lewą ręką — z takim samym rezultatem. Następnie zmienił przyrząd, wyjął lekkie wahadełko kontrolne zespane z niklu i miedzi i kontynuował doświadczenie. Początkowe wahnięcia instrumentu były znacznie wyraźniejsze i miały jakby postać skomplikowanych monogramów, lecz już po chwili wahadełko przeszło do zataczania jednoznacznie prawoskrętnych kółek. Wkrótce ostrość widzenia Hollriegla uległa osłabieniu, nowe wahadełko wywoływało bóle głowy. Przerwał badanie. Tapczan należało przestawić, przenieść do innego pomieszczenia, w miarę możliwości do innego skrzydła. (A może tytułem próby powinno się wbudować urządzenie odprowadzające zakłócenia?) Niewykluczone było też występowanie pod budynkiem materiałów emitujących podobne promieniowanie, na przykład węgla albo rud.

Różdżkarz przemierzał uważnie, a nawet w skupieniu, pokoje Ulli, było ich sześć, i tropił promienie ziemskie. Nie miał już żadnych wątpliwości: ta część budynku znajdowała się w zasięgu szkodliwej emanacji wodnej, a może mineralnej. Walczył z nią od tej władczej kobiety, gdyż istota Ulli wysyłała prawdziwie wiedźmowy fluid, czarodziejski wiew, który nie tylko wywierał diabelski wpływ na mężczyzn, lecz obracał się także przeciwko siłom naturalnego otoczenia. Bardzo możliwe, że powstające przy tym prądy i napięcia (które Hóllriegl czuł już oglądając tylko zdjęcia Bursztynowej Czarownicy w czasopiśmie) powodowały u niej owe histeryczne stany. Przed sformułowaniem na piśmie orzeczenia należało w każdym razie skontrolować wyniki dzisiejszego badania za pomocą wyjątkowo czułego odometru — potrzebne były dokładniejsze dane.

Należało sporządzić szkic i gruntownie przemyśleć kwestię przeprowadzki do innego skrzydła. Hóllriegl wciąż wędrował przez amfiladę pokoi, zatrzymywał się ze spuszczoną głową i na wpół zamkniętymi oczami, by za pomocą wahadła stwierdzić oddziaływanie promieni na siebie. Pomimo to dostawał się coraz bardziej pod wpływ Ulli. Jej promieniowanie było tak dominujące, że Hóllriegla, kiedy usiadł do szkicowania, ogarnęła fala łechcącego lubieżnie podniecenia, które zagłuszało wszelkie odruchy rozumu. Oddanie! Oddanie! Oddać się jej! Oddać! Niepewną ręką zaczął rysować, co jakiś czas biegał po pokojach jak nieprzytomny, grzebał niczym złodziej w rzeczach Ulli, przyciskał namiętnie — co sam natychmiast uznawał za dziecinadę — jakiś trykot (z gatunku tych ciepłych, zimowych) do mocno bijącego serca, wędrując przez pomieszczenia natrafił również na ukryte w ścianie drzwi i po przekręceniu jakiejś szklanej gałki mógł wejść do luksusowo urządzonej

toalety wyłożonej czarnymi kafelkami w deseń naśladowujący paciorki różańca oraz dużymi przesuwanymi lustrami. Na drzwiach od wewnątrz umocowany był stary drzeworyt przedstawiający sceny katowania, na przykład, jak głośił napis, posługiwanie się garotą, „pomorską czapką” i „szpikowym zającem” podczas torturowania nagich muskularnych mężczyzn. Obok wisiał kalendarz; przy niektórych datach zaznaczone były ołówkiem kreski, przy innych zaś zera. Przed bidetem swej Bursztynowej Czarownicy Hollriegl padł na kolana, objął zimny owal i zaczął obsypywać siedzenie dzikimi pocałunkami.

Pewna myśl zabłysła w jego zamroczonym mózgu, myśl tak niedorzeczna, że przejął go dreszcz. A co by było, gdyby polecił zmierzyć się pod względem siły radiacji geniuszowi Fuhrera i kobiecości Ulli! Taka metafizyczna próba, magiczna operacja! To, co najbardziej męskie kontra to, co najbardziej kobiece! Heliogermanizm w walce z pierwotnymi siłami chthoniczno-ostyjskimi, Tyr-Zeus kontra Hel-Kalipso! To był zuchwały pomysł, szaleństwo, taka próba byłaby kuszeniem bogów! Kiedy tak myślał, wydawało mu się, że słyszy, jak wąż Midgardu bije ogonem w ziemię. Najbardziej zdumiewający eksperyment, na jaki kiedykolwiek można by się odważyć — nic zważając na polityczne i osobiste konsekwencje! Ale nikt przecież go nie zobaczy, nikt się o tym nie dowie. Musiał to zrobić: teraz — natychmiast!

Pobiegł do sąsiedniej sypialni i wszedł na rozkosznie miękkie tapczan. Dygocząc na całym ciele zdjął ze ściany portret Fuhrera i położył go, reprodukcją w dół, na tygryziej skórze — w miejscu, gdzie w widoczny sposób odcisnęło się ciało Ulli. Następnie wyciągnął z kieszeni pion Ni-Cu i zwolnił go nad zdjęciem. Minuty napięcia — na obrazie wahnięć pojawił się

pas zadrażnień. Syderyjski pion szybko wychylił się w amplitudzie jonowych ruchów okrężnych nad portretem Fuhrera, fotografie nie są bowiem martwym odbiciem, lecz elektromagnetycznymi refleksami wewnętrznej jedności sportretowanej osoby, co dawno już udowodniła nauka wahadlarska. Poza tym odgrywał też tutaj rolę fakt, że sam Adolf Hitler brał niekiedy wahadełko i z powodzeniem, z genialnym wyczuciem, działał jako giromanta — ze strony Fuhrera nic należało się więc obawiać żadnego zakłócającego wpływu.

Po każdym pełnym wahnięciu Hollriegl zostawiał na krótko pion w lewej dłoni, taka szybka, niemal mechaniczna procedura. Chwył ten powodował odprowadzenie z obciążnika wahadełka nagromadzonego tam zakłócającego odu. Tym razem należało zastosować wszelkie środki ostrożności, w grę wchodziło duże ryzyko!

Wahadełko zachowywało się dziwnie. Jako indykator duszy i ducha czuły przyrząd potrafił w uniwersalny sposób pokazywać wszystko, czego się od niego pragnęło. A pragnieniem Hollriegla było zobaczyć teraz, jak najpotężniejszy mąż, jakiego ziemia kiedykolwiek nosiła, narzuca swoją wolę najwspanialszej ze wszystkich kobiet. Tytaniczna wola Fuhrera musiała sobie podporządkować ciało tej amazonki.

Giromanta zadrżał pod naporem przeciwstawnych mocy. Wirujące koła, najpierw zgodnie z ruchem wskazówek zegara — potem krótkie wahnięcia w pionie, w kierunku serca Hollriegla. Po kilku obrotach linia pozioma, a więc zaprzeczenie. I znowu koło, tym razem wsteczne. Właściwie ta figura powinna go zadowolić, jako że pole oscylacji zostało harmonijnie zamknięte — wyraźnie widoczny był znak krzyża. Linia pozioma, niezwykle mocno zaakcentowana w całym rysunku,

oznaczała negację, odmowę oraz — zakaz! Słabe były natomiast wahnięcia pionowe: prawdopodobnie wmieszał się tutaj eros Hollriegla i walczył — niepoważne, śmieszne przedsięwzięcie! — z siłami emanującymi z portretu. Wymowa całości zdawała się mniej więcej taka: Ulla była dla niego, Hollriegla, owocem zakazanym; znajdowała się w krzyżowym ogniu potęg, które toczyły rozgrywkę na innej płaszczyźnie. Wyraźnie przecież widział znak zakazu, wróżący również niebezpieczeństwo.

Ogarnął go paraliżujący niepokój, pomimo to nic przerwał eksperymentu. Wahadełko parę razy zakreśliło te same tory, i coraz czyściej, wolna od wszelkich zniekształceń, ukazywała się figura krzyża, przechodząc na koniec w znak mnożenia lub moltiplicacji. Gdyby zinterpretować ją jako „inny krzyż“, krzyż św. Andrzeja, oznaczałoby to, że nosiciel oscylacji, a więc Fuhrer, jest istotą najwyższej mądrości, pozostającą już w kontakcie z tamtym światem. Znak krzyża i mnożenia łącznie oznaczały śmierć. Fuhrer naznaczony był piętnem śmierci — czyżby miał pociągnąć za sobą Ullę?

Wszystko to Hóllriegl uświadomił sobie teraz z przerażającą jasnością, wystarczyło, że popatrzył z zewnątrz na tę kombinację. Figura śmierci odnosiła się wyraźnie do Fuhrera, Ulla spełniała tylko funkcję katalizatora. Nad Fuhrerem widniał znak śmierci — kiedy wódz wstąpi w krainę wiecznego cienia? Leżał na łożu śmierci albo już nie żył, lecz nawet w godzinie śmierci miał władzę nad życiem — życiem, które w eksperymencie Hollriegla symbolizował element kobiecy, Ulla. Gwiazdy, spadajcie z nieba!

Jakby uderzony obuchem w głowę, nieobecny myślą, przejęty chłodem, w którym mógł rozpoznać tylko chłód grobu,

odniósł portret na miejsce. Zeskoczył z tapczanu, krew pulsowała mu mocno w bolących skroniach, jego ciało oblewał pot, a zęby szczękały z ogromnego nerwowego napięcia. Kroki, zbliżały się twarde, męskie kroki. Przed domem skamlały i szczękały baraszkujące psy. Hóllriegl podbiegł do okna, nagle znów pojawiło się owo wrażenie pustki i automatycznego poruszania nogami. Na dziedzińcu dwóch parobków wprowadzało akurat do stajni przykrytego derką konia. Kiedy odstąpił od okna i odwrócił się, stanął oko w oko z panią von Eyck.

Wydawała się rozpalona i nieco zadyszana. Kapelusz wirując poszybował w kąt, strząsnęła z czoła niesforny kosmyk włosów. Natychmiast podeszła do lustra, obrzucając różdżkarza nieokreślonym spojrzeniem lekko skośnych oczu. Ten zaś stał bez ruchu z twarzą oblaną krwistym rumieńcem, zapomniawszy już o „grobowym chłodzie“, który czuł przed chwilą w żyłach.

— Ach, hauptstellenleiter Durriegl... — rzekła przeciągle Ulla, dziwnie i jakby ironicznie tocząc „r“, a zarazem przyglądając się swemu odbiciu w lustrze. — Heil Hitler! — (To w odpowiedzi na niemieckie pozdrowienie Hollriegla połączone ze stuknięciem obcasami). — Przypominam sobie... to pan jest tym naszym różdżkarzem. Znalazł pan coś?

Znów ten dziwaczny ton pobrzmiwający w jej głosie — a może tak mu się tylko wydawało? Ani śladu zażenowania z powodu swego zapominalstwa, z powodu nieporządku. Nagle odwróciła się i wyciągnęła do niego rękę.

Hóllriegl pochylił się nad nią, by ucałować szczupłe palce, lecz Ulla raptownym szarpnięciem zabrała swoją dłoń, tak iż jego ukłon wypadł mało rycersko, przypominając raczej rewerans służącego. Napłynęła na niego i otoczyła go fala przyjem-

nego ciepłego zapachu.

— Łaskawa pani — powiedział dźwięcznie i szarmancko na swój wschodniomarchijski sposób, co z miejsca wydało mu się głupie i żałosne — otrzymałem zlecenie... telefonowano do mnie wczoraj, żebym był tu o trzeciej. Proszę wybaczyć, że tak... wtargnąłem tutaj.

— Och, nic ma o czym mówić, panie...

— Hóllriegl.

— Właśnie: Hóllriegl.

Bez żenady ściągnęła żakiet. Pod skrojoną na męską modłę, u góry szeroko rozpiętą koszulową bluzką uwypuklały się kołyszając elastycznie piersi. Pod pachami widać było na koszuli mokre plamy.

Coś strasznego, coś, czego nie da się nigdy naprawić, zdarzyło się teraz. Ze zdławionym okrzykiem, w którym próbowało znaleźć ujście całe zdanie, wyznanie jego serca, Hóllriegl padł przed panią Eyck na kolana. Z całej siły przycisnął zeszywniałą nagle kobietę do siebie, obejmował ją dziko, zuchwale obmacywał jej podbrzusze (nigdy nie zapomni jędrności pośladków!), całował rysujący się wyraźnie pod obcistymi bryczesami wzgórek Wenerzy i z jękiem wbił zęby w coś, co było jednocześnie tkaniną i żywym ciałem, w coś ciepłego od krwi, miękkiego, pęczniejącego, gdzie trwał jeszcze zapach konia i skórzanego siodła.

W tej samej chwili Ulla wyrwała mu się z objęć, Hóllriegl poczuł nagle, jak piekący ból przebiega mu przez czoło i policzek. Bursztynowa Czarownica zadała ten dobrze wymierzony cios bez słowa, z całej siły, szpicruta wyslizgnęła się jej przy tym z dłoni. Kiedy chciał się podnieść, dosięgło go drugie uderzenie, tym razem rękojescią, które musnęło prawe oko. Odcho-

dząc od zmysłów, wychłostany, na wpół oślepiony, zataczając się wypadł z pokoju, ciężko dysząc pokonał po omacku nie kończące się korytarze i schody — później nic potrafiłby powiedzieć, jak wymknął się z tego labiryntu i dotarł do swojego auta ani czy ktoś widział jego haniebny odwrót. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy włączył rozrusznik. Rozgrzał silnik i wcisnął bieg. Jego teczka? Razem z wahadełkiem została na górze; zdołał pochwytyć jedynie płaszcz. Gzy Ulla rozpowie o tym?

Wspomnienie jazdy powrotnej pozostało niekompletne. Później pamiętał tylko, że płacząc z wściekłości, wstydu albo bólu (dobrze, że nikt nie widział go w tym stanie!) powtarzał bez końca bełkotliwym głosem pieśń bojową z czasów nielegalnej HJ. „Do walki żeśmy dojrzewali — Do walki o ojczysty dom — Przysięgę Hitlerowi dali — Uściskać chcemy jego dłoń”. Błądząc myślami gdzie indziej, podał Burjakowi, szczerzącemu zęby w niepewnym uśmiechu, płaszcz i pozwolił ściągnąć sobie buty. Ponieważ i tak było mu wszystko jedno, nie starał się nawet odgrywać przedstawiciela rasy panów przed nędznym niewolnikiem. Był śmiertelnie zmęczony, rozbity, wewnątrz poszarpany. Gzy Ulla rozpowie o tym, czy Ulla rozpowie o tym, co się stało?

Podszedł do okna i zaczął wyglądać na ulicę, jak miał to w zwyczaju, niczego jednak nie widząc. Czoło paliło go straszliwie. Nagle na dachu domu naprzeciwko ukazał się znajomy świetlny napis, który pozwolił mu wrócić do rzeczywistości. „PARTIA MYŚLI ZA CIEBIE“ — przeczytał, i hasło to, pokazywane codziennie w przerwach między programami emitowanymi przez Dryblasa, wieżę radiowo-telewizyjną w stolicy Rzeszy, napełniło go satysfakcją i pociechą.

Burjak przyniósł dwa listy, które doręczył goniec z domu

partii. Podczłówek gapił się przy tym tak ostentacyjnie w bok, nie chcąc patrzeć na oszpecone czoło, że Hollrieglowi zrobiło się głupio. Poczta kurierska. W jednej kopercie znajdował się przeznaczony na podróż do Berlina rozkaz wyjazdu zobowiązujący go do zameldowania się u obersturmführera Hirnchristla, Tiergartenstrasse 4, od którego miał otrzymać dalsze dyspozycje. Do dokumentu wpisano zwyczajowe pozwolenie na przejazd przez „małe“ strefy zamknięte B i D. (Głupie formalności!) Jako dzień wyjazdu podano niedzielę; mogą być obiekcje, jeśli wyjedzie dopiero w poniedziałek. Kwaterę miał przydzieloną na tydzień, skierowanie opiewało na pensjonat Zweenemann przy Uhland-Eck. Z drugiej koperty, zaadresowanej odręcznie, wyjął list prywatny. Sztywny papier w kolorze heliotropowym o słodkawym zapachu perfum. Mocno wydłużone litery, pomieszane pismo gotyckie i łacińskie. List datowany w Berlinie. „Drogi Tow. Hollriegl! Przypadkiem dowiedziałam się — proszę nie pytać, od kogo — że ma się Pan zatrzymać w Berlinie. Niech pan nie omieszka zadzwonić do Freisslerhorst 82-57, najlepiej rano przed ósmą. Albo do Gneisenau 69-11, wewn. 272, do godziny 17. Chciałabym się z Panem zobaczyć. Z niemieckim pozdrowieniem! Anselma Geldens, z domu von Eyck. PS. Mam nadzieję, że nic postawi Pan znowu na złego konia! “

To była „egzotyczna“ siostra pana von Eycka. List wprawił go w zakłopotanie. Gzy wyrażenie „zły koń“ należało rozumieć w sensie politycznym, czy prywatnym? W każdym razie niedwuznaczna aluzja! Gzy ta uwaga odnosiła się do Ulli? Ton był dość uszczypliwy.

Przeżyte w pewnym sensie jedynie na wpół świadomie godziny wieczorne tego katastrofalnego dnia, które wlokły się

zresztą w nieskończoność, Hóllriegl spędził, leżąc na sofie i gapiąc się tępym spojrzeniem w sufit. Po walce z samym sobą połknął kilka z owych pigułek uspokajających, które, choć oficjalnie surowo potępiane, były masowo rozpowszechnione wśród ludności. Chwilami siadał do pianina, by jak kiedyś w Linzu dziko fantazjować, na swój romantyczny sposób, często używając pedału i przelatując przez klawiaturę w wirtuozowskich pasażach, a oczy miał przy tym pełne łez. Od czasu do czasu robił sobie kompresy; w pokoju rozchodził się zapach wody Burowa. Niekiedy docierały do niego głucho dźwięki werbli. Dobiegały z ulicy czy przez ściany? Pręga była krwistoczerwona, oko zapuchnięte i sine. Okłady należało stosować bez przerwy przez cały jutrzejszy dzień, jeśli w poniedziałek chciał jako tako wyglądać.

Znowu werble, a w chwilę później ryk lurów¹³, przeciągły, straszliwy, jakby obwieszczały koniec świata, Ragnarok, wielki zmierzch bogów. Go to było? Pojął wreszcie, że to coś więcej niż specjalne orędzie do narodu. Serce przestało mu bić, poczuł, że kark mu zeszywniał, ucisk w potylicy stał się nie do zniesienia, podłoga pokoju kołysała się pod nogami, stawała dęba.

Natychmiast włączył telewizor; była dokładnie godzina 22. Na ekranie pojawił się minister oświecenia publicznego i propagandy, jego twarz wyglądała na mocno zniekształconą, poszczególne stopnie jasności obrazu odcinały się od siebie w nie-naturalny sposób. Z zapadniętymi policzkami, niewyspany, z nieco pochyloną szczupłą, jakby wyrzeźbioną głową, z wyrazem niesamowitej koncentracji i napięcia na twarzy — wydawał się Hollrieglowi i każdemu z osobna zaglądać w głąb serca — wypowiedział stłumionym bólem głosem tylko jedno

zdanie:

— Niemiecki narodzie! Fuhrer przeniósł się do wiecznej Walhalli.

Obraz zniknął niby jakieś widmo. I znów werble i dźwięki lurów. A potem rozległ się głos:

— *Uuanta sar só sih diu sela — in den sind arheuit — enti si den lihhamun — likkan lazzit — só quimit ein heri — fona hinilzungalon — die pringent sia sar — uf in himilo níhhi — dań ist lip dno tód — liocht dno finstri — selida dno sorgun...*¹⁴

¹³ *Instrument staroskandynawski.*

¹⁴ *Fragment „Sądu Ostatecznego” z poematu Muspilli, powstałego ok. 830 r.: „Kiedy dusza wyruszy w drogę i opuści swą cielesną powłokę, wtenczas zstąpi hufiec z firmamentu niebieskiego (...) potem zanosą ją do Królestwa Niebieskiego: tam jest życie bez śmierci, światło bez ciemności, mieszkanie bez trosk...”*

Arcy-Żyd Trzeciej Rzeszy

— *Bardzo możliwe, że Marsjanie będą mieli swoich ulubieńców; wyuczają ich sztuczek, kto wie? Będą rozczulać się nad kochanym chłoptysiem, że już utył i że trzeba go zarżnąć. A niektórych nauczą polować na nas.*

— *Nie! — krzyknąłem. — To niemożliwe! Żaden człowiek...*

— *Po co te kłamstwa? — przerwał. — Znajdą się i tacy. I będą to robić. Nawet bardzo chętnie. Byłoby głupotą udawać, że się w to nie wierzy.*

H.G. Wells, *Wojna światów*

Przez całą niedzielę lało jak z cebra, a teraz — w ponie-

działek w południe — padała mżawka. Tak pochmurno i beznadziejnie nie było jeszcze nigdy. Wydarzenie o potędze żywiołu, doniosłe jak żadne inne w historii cywilizacji zachodniej, wstrząsnęło kulą ziemską. Jakiś dziwny, wyczekujący paraliż, jak się Hollrieglowi wydawało, ogarnął cały świat. To odrętwienie mogło być jednak zarazem najwyższym napięciem. Nikt jeszcze nic śmiało postawić pytania, co się teraz stanie — lecz wszyscy mieli je na końcu języka. Jeden z sąsiadów Hollriegla w Heydrich, niejaki doktor Senkpiehl, z zawodu neurolog, wyraził się przez telefon — Hollriegl nie wystawił nosa za drzwi — konkretniej; mówił o stanach katatonicznych, porażeniu kurczowym, odrętwieniu i podobnych zjawiskach. A więc to samo czuli także inni, tylko że każdy wyjaśniał to sobie na swój sposób. „Goś wisi w powietrzu“ — powiedział lekarz, ale nie wynikało z tego jasno, czy miał na myśli zagmatwaną sytuację na Dalekim Wschodzie.

Mimo wszystko Hollriegl, choć bardzo się irytował, a nawet martwił z tego powodu, nie potrafił się zdobyć na prawdziwą żalobę. A tak przecież pragnął bólu. Kochał bałwochwalczo Fuhrera do samego końca — nie inaczej niż dawniej, gdy jako młody bezimienny nielegalny bojownik z Marchii Wschodniej przystąpił do walki przeciwko władzy Żydów, wolnomularzy i klechów. Lecz Adolfa Hitlera już nie było. Odyn wezwał swego łącznika do Walhalli, by złożył wielki raport. O tym, co będzie dalej, Hollriegl nie chciał i nie potrafił myśleć. I co dziwne: w ciągu tych wszystkich godzin decydujących o losach świata czuł coś w rodzaju drobnej ulgi. Teraz bowiem Bursztynowa Czarownica z pewnością nic będzie rozpowiadać o „tamtych“. Wielkie wydarzenie, które każdy towarzysz narodowy przeżył głęboko w swym sercu, które pograżyło w naj-

głębszej żałobie pierwsze mocarstwo światowe, pozwoli zapomnieć o tym drobnym brzydkim incydencie.

Wilgotny chłód przenikał do szpiku kości. Hollriegl nic nie czuł młodego ciepła w samochodzie i dlatego nic nie włączył ogrzewania. Bardzo powoli posuwał się przez sterowane elektronicznie blokady ulic wokół Zoo. Stolica Rzeszy tonęła w czarnym suknie. Z okien i różnych otworów zwisały skręcone przez wiatr w powrózki, przemoczone doszczętnie flagi żałobne. (Wszystkie władze partii i Wehrmachtu we wszystkich częściach świata otrzymały rozkaz „Wywiesić flagi!“) Czarna krepka okrywała sztandary, opuszczone do połowy masztu flagi Rzeszy i proporce SS i SA. Wszystko to prezentowało się nieszczególnie, bez cienia godności, upiornie wesoło. Flagi dyndały na swoich drążkach i drzewcach jak wisielcy. Wielu przechodniów nosiło ciemne ubrania, widywało się także kobiety w gęstych czarnych woalkach. W taką pogodę na ulicach było mało ludzi, za to tym więcej aut. Poza tym nie rzucało się w oczy nic szczególnego, może tylko to, że policjanci patrolowali ulice po dwóch, a nad ruchem na wszystkich większych skrzyżowaniach czuwały jednostki pogotowia NSKK¹.

Hollriegl jechał przez pół nocy, w ogóle lubił jeździć nocą. Uwielbiał ciche, puste gospody przy autostradach, z zaspanymi kelnerkami (które, nie bardzo wiedząc dlaczego, ochrzcił mianem „zaczarowanych księżniczek“) i ciepłym zapachem kawy. O tej porze spotykało się tam tylko kierowców ciężarówek dalekobieżnych i personel kontrolny stref zamkniętych, ludzi małomównych i opryskliwych. Tym razem — zatrzymał się po drodze dwukrotnie — wszędzie panowało przygnębiające milczenie; każdy wydawał się zajęty własnymi myślami. W pobliżu Eiehmannstadt gospoda miała kształt wiatraka

i urządzona była bardzo przytulnie, kelnerka, blada Inianowłosa koza o zaczerwienionych powiekach i cierpiąca na chorobę Basedowa, zdawała się ścigać go zza kontuaru natarczywymi spojrzeniami. Od czasu do czasu przerywała robótkę na drutach i ukradkiem spoglądała na jego czoło. (Kainowe piętno!) Był jedynym gościem w lokalu. Gdy szedł do ubikacji, znalazła sobie nagle jakieś zajęcie w wąskim przejściu i przecisnęła się obok niego — niema scena — tak, iż chcąc nie chcąc, musiał poczuć chudość jej ciała, lecz także zaskakująco duży, gąbczasty biust. Kiedy załatwiał się w ustępie, miał wrażenie, że podsłuchuje pod drzwiami. Ale tak mu się tylko wydawało, zaczarowana księżniczka siedziała znowu przy ekspresie z oczyma wlepionymi w robótkę. Wychodząc rzucił na pożegnanie swoje niedbałe „Heitla“. Dziewczyna zgarnęła monety i mruknęła, jakby nieobecna duchem: „Do widzenia“.

Nic czuł zmęczenia, do jazdy w nocy był przyzwyczajony; zresztą po zażyciu środków uspokajających przedrzemał pół niedzieli, tylko trochę popracował nad następnym numerem „Kyffhauser-Bote“ i odpowiedział na listy czytelników. Przed

¹ *NS-Kraftfahrkorps — NS Korpus Kierowców.*

udaniem się do pensjonatu przy Uhland-Eck, do którego miał skierowanie, chciał jeszcze rzucić okiem na budynek przy Tiergartenstrasse.

Utracona wieża kościoła Pamięci, będąca również pomnikiem zwycięstwa po wielkiej Kryształowej Nocy, sterczała na tle nieba, które jakby nie miało końca i było pozbawione wszelkich szczegółów. Zrobiło się tak ciemno, że samochody poruszały się z zapalonymi reflektorami przeciwmgielnymi. Leniwy po-

tok pojazdów przeniósł auto Hollriegla ponad Kanalem Landwehry, którego czarne jak sadza, oleiste wody przepływały pod mostem. Na końcu Graf-Spee-Strasse pojawiły się we mgle pierwsze drzewa ogrodu zoologicznego. Hollriegl przejechał obok zamkniętego, udekorowanego godłami państwowymi i czarnym sukniem kina, w którym jeszcze w sobotę grano film według Karola Maya *W królestwie srebrnego lwa*. Przeszył go niemal fizyczny ból. Nawet każde dziecko w wieku szkolnym wiedziało, że właśnie tę książkę Fuhrer wyjątkowo lubił.

Uszczęśliwiony, że potrafi jeszcze odczuwać żalobę, skręcił na rogu i wjechał w Tiergartenstrasse, gdzie ruch kołowy nie był już tak gęsty. W całej dzielnicy Tiergarten mogli parkować auta jedynie wyżsi funkcjonariusze państwowi, a i to za okazaniem specjalnych zezwoleń, które skrupulatnie kontrolowano. Rozkaz wyjazdu, którym musiał się już wielokrotnie legitymować, powinien wystarczyć.

Tiergartenstrasse cztery. Ogromna bryła, ośmiopiętrowa, z rzucającą się w oczy odnowioną fasadą, wyraźnie zaakcentowana betonowa skromność i tylko z lekka zaznaczony monumentalizm. Budynek pomalowany na brązowo, a więc o charakterze urzędowym. Jedna jedyna okryta krepą flaga opuszczona do połowy masztu: flaga Podróży Kosmicznych NSFK².

² *NS-Fliegerkorps — NS Korpus Lotniczy.*

Jego wyćwiczone spojrzenie prześlizgnęło się wzdłuż frontu budynku. Potężny, przypominający bramę świątyni portal z doryckimi kolumnami po bokach był zamknięty. Ani śladu wartowników. W większości okien, chociaż jeszcze był dzień, jarzyły się lampy neonowe. Po drugiej stronie ulicy brygada podludzi starała się postawić w luce pomiędzy parkującymi samo-

chodami transparent przedstawiający Fuhrera w pozie mówcy.

Hollriegl wysiadł z auta, żeby z bliska odczytać szyldy przy wejściu. NIEMIECKIE MASZyny MYŚLĄCE, S-KA KOMANDYT. (obok zębate koło DAF-u z obowiązkowymi 100%) — GŁÓWNY URZĄD ĆWICZEŃ CIELESNYCH, OKRĘG WIELKI BERLIN — KEOUGH & SONS, PEARL CULTIVATORS AND EXPORTEURS, HONG-KONG/KOBE — ZARZĄD DS. REGULACJI PRAWNYCH OGÓLNONIEMIECKIEGO ZWIĄZKU CHRZEŚCIJAN RZESZY E. V. — INŻ. LEODEGAR SCHWEMMLE, MASZyny DO PRAC ZIEMNYCH — NACZELNIK REZERWATU PRZYRODY SCHORFHEIDE — ŚLĄSKIE WŁÓKNO CELULOZOWE, S.A. — KOHLMORGEN & HASSEBRAUK, SPRZEDAŻ HURTOWA WYROBÓW FUTRZARSKICH — NIEMIECKI FRONT PRZESTRZENI KOSMICZNEJ: PEŁNOMOCNIK DS. SZERZENIA IDEI NS WE WSZECHŚWIECIE — MEGUSCHER & MESSCHUGER LIMITED, KAPUSKASING—ALBUQUERQUE — TOOWOOMBA — STANLEYVILLE —ZRZESZENIE KOŁODZIEJÓW I BUDOWNICZYCH KAROSERII — OKRĘG ŁOWIECKI MARCHIA KURLANDZKA: GAUJAGERMEISTER — JOACHIM TROXBÓMKER, KONSERWACJA SAMOCHODÓW OSOBOWYCH I OMNIBUSÓW — CENTRALNE BIURO PRZYJMOWANIA PODAŃ O ODZNACZENIA — DEUTSCHE REICHSBANK WSCHÓD, ZARZĄD FILII WOLGAGAU — SZKOŁA KONTROLI POWIETRZNEJ I OCHRONY PRZED PROMIENIOWANIEM (to były pewnie „jego“ władze) — SIOSTRA HULDRE, SPECJALISTYCZNA APARATURA DO PIELEGNACJI SKÓRY — BIURO SKŁADANIA PODAŃ O POŻYCZKI DLA MAŁŻEŃSTW, OKRĘG WEZERA-EMS — REDAKCJA KALENDARZA PRAG DZIAŁKOWYCH — MADAME DE SAINT-PUNT, PRZEPOWIEDNIE —

URZĄD REJESTRACJI PATENTÓW, WZORÓW UŻYTKOWYCH I ZNAKÓW FIRMOWYCH.

Niektóre tabliczki były nowe, wilgotny brąz połyskiwał różowawo. Inne z kolei zdawały się pochodzić z dawniejszych czasów. W budynku mieściły się zatem także prywatne firmy.

Gdy siadł już za kierownicą, żeby pojechać na Uhland-Strasse, przez myśl przemknęły mu znowu słowa Schwerdtfegera: „Tajemnica Rzeszy“. A jaka była jego druga uwaga? Że wprzęgnie się najwyższego astrologa Rzeszy... W tym wypadku mógł mieć na myśli jedynie byłego zastępcę Fuhrera (jego urzędu wraz z pięcioma wydziałami dawno już nic było, swego czasu rozwiązał go osobiście reichsleiter Martin Bormann), który po wyzwoleniu z niewoli brytyjskiej i bardzo surowym postępowaniu przed Najwyższym Sądem Partyjnym nagle jakby się zapadł pod ziemię. Schizofrenia? Przebąkiwano o czymś w tym rodzaju. W każdym razie żywy trup (któremu być może pozwolono dalej uprawiać ulubioną dziedzinę, astrologię). Czyżby więc zmartwychwstał? Dziwne. Chyba że „literacik“ rzucił mimochodem tylko jeden z owych frazesów, jakich używano, by zasugerować własną przynależność do „wewnętrznego kręgu“, do którego zwykli towarzysze narodowi nie mieli klucza?

I jeszcze coś. Od kogo i dzięki jakim wybiegom pani Anselma — jakie to nazwisko nosiła po mężu? — dowiedziała się, że on, Hollriegl, będzie w Berlinie? Może wiedziała więcej, na przykład, gdzie i dla kogo będzie pracował.

Hollriegl umówił się na spotkanie z Anselmą Geldens w duńskim barze w górnej części Ku-Dammu o 13.30 (lokal nie powinien być już o tej porze zbyt zatłoczony). W mrocznym kiszkowatym pomieszczeniu ze stolikami nakrytymi białymi

obrusami w kwiatki i rozjaśnionym światłem w kolorze ambry od razu poczuł się dobrze. Zajął zaciszny kącik dla dwóch osób i w napięciu wpatrywał się w wejście do lokalu. Kelnerzy o wyglądzie południowców przemykali bezszelestnie po sali, przytłumione głosy gości, szcęk sztućców i naczyń, dźwięk odkorkowywanych butelek – wszystko było jak zawsze. Zdrowy, spokojny, nieskończenie bezpieczny świat! Czuł się dobrze, to za słabo powiedziane, czuł się niebiańsko i pogwizdywał cicho przez zęby. W quasi-antycznym lustrze naprzeciwko odbijała się jego głowa otoczona leniwie snującą się chmurą tytoniowego dymu. („...Właściwie prezentuję się całkiem dobrze... “)

Nagle poczuł czyjaś dłoń na swoim ramieniu. Obróciwszy się ujrzał przed sobą panią Geldens, drobną osóbkę delikatnej budowy.

— Zjawiam się jak duch — powiedziała uśmiechając się do Hollriegla, który na jej widok zerwał się z krzesła. — Po tej stronie ulicy nie znalazłam miejsca, żeby zaparkować, musiałam więc wejść przez tylne podwórze. Jak leci?

Pochylił się nad jej drobną dłońią markując pocałunek i pomógł jej zdjąć futro. (Coś wyjątkowego — czyżby z małpy?) Dziecinny kark połyskiwał niczym kość słoniowa, pod obciążeniami po chłopięcemu ciemnymi włosami Hollriegl dostrzegł z nagłym zachwytem małe uszy o szlachetnym kształcie. Od jej stroju biła odurzająca, intensywnie cierpka woń, kojarząca się trochę ze stęchlizną. Taki zapach miały umierające kwiaty. Pani Geldens nosiła oczywiście żałobę narodową.

Hollriegl widział siostrę pana von Eycka dwa lub trzy razy, zawsze bardzo krótko. Raz w Radebeul, a potem na przyjęciach. Pozostała w jego pamięci jako osoba lalkowata, choro-

wita, ciągle marznąca; pewnie cierpiała na suchoty lub na wątrobę. Jak się dowiedział, przez wiele lat mieszkała na Archipelagu Malajskim jako małżonka pewnego agenta handlowego z branży stalowej, z pochodzenia Holendra. Mijnheer Geldens już nie żył.

— Ustalmy od razu dwie rzeczy — powiedziała z trudną do zdefiniowania drażniącą nutą w głosie. — Pan mnie nie będzie pytał, od kogo się dowiedziałam o pańskim przyjeździe do Berlina, a ja nic będę pana pytać, skąd pan ma tę szramę i podbite oko. Zgoda?

Słuchając jej konwencjonalnej paplaniny i odpowiadając coś mechanicznie, by podtrzymać rozmowę, obserwował ją bez przerwy, zamówiwszy wcześniej dwa półmiski wegetariańskie i soki owocowe. Anselma miała drobnokościstą budowę, cerę bladą, plamistą i niemal przezroczystą, jakby skóra opinająca stawy była odrobinę zbyt jasna i zbyt błyszcząca. Nerwowe, eleganckie gesty. Niskie, inteligentne czoło. Co dziwne, twarz wyglądała z profilu inaczej niż *en face*: Anselma miała dwie twarze, tak jak węże mają dwa języki. Jej głos brzmiał miękko, zmysłowo, ale była to nie ciepła, lecz zimna, a nawet szkliście zimna zmysłowość. Nie sposób było sobie wyobrazić, by ten głos mógł brzmieć również donośnie. Ta kobieta sprawiała wrażenie dziecka, osoby jeszcze nie w pełni rozwiniętej, zarazem jednak nie pierwszej młodości (delikatne zmarszczki wokół ust!); możliwe, że była młodsza od Ulli, ale wyraźnie już przekwitwała. I tego przekwitania nie ukrywała, przeciwnie: podkreślała je zarówno doborem perfum, jak i (być może nie w pełni świadomie) niektórymi rzucającymi się w oczy szczegółami stroju.

Oczy Anselmy! Nie uznałby ich jednak za oczy, które

zniewalały. Tęczówka była zielona w brązowe cętki, ze źrenic bił kłujący, wsysający blask. Tym, co w niej przede wszystkim przyciągało, i to przyciągało natychmiast, było nieruchome, przenikliwe, rozumne, „stare“ spojrzenie. W szczupłej twarzy o lekko więdnących policzkach oczy wydawały się przesadnie duże.

Podczas posiłku rozmawiali na wszystkie możliwe tematy. Oboje należeli do zwolenników Niemieckiego Przyrodolecznictwa, którego ojcem był Bilz z Radebeul. Wspominając konferencję lekarzy wspierających naturę, na której się (tam właśnie, w Radebeul) poznali, Anselma napomknęła krótko o swojej bratowej; wyglądało na to, że nic darzy jej szczególną sympatią.

— Ulla to fasadowa piękność zrobiona na typ nordycki, a przy tym bardziej Słowianka niż Germanka. Jest niesamowicie witalna, opętana na punkcie samej siebie, wiedział pan o tym? Czy Erik jest z nią szczęśliwy? Nie przypuszczam. Mój brat jest człowiekiem bardzo zamkniętym w sobie, pochłoniętym bez reszty polityką...

Szybko porzuciła tematy rodzinne, zerknąwszy przy tym podejrzliwie na Hollriegla. Okazała wielkie zainteresowanie różdżkarstwem, podobnie jak już wtedy w Radebeul. Musi też przyjść do niej, zbadać mieszkanie. Dziwne, ich rozmowa niepostrzeżenie przerodziła się w przekorne, a nawet dwuznaczne przierzucanie się słowami. Można było odnieść wrażenie, że się przed sobą rozbierają — naturalnie z całym dla siebie szacunkiem („nudystyczny raj“). Hollriegl zaczął się nagle popisywać, raczej głupekowato, swą wiedzą mitologiczną, recytował fragmenty z *Sagi o Wolsungach*, z *Pieśni o Helgim zabójcy Hundinga* („Dawno temu, gdy orły pieniem zawodziły...“) oraz z *Pieśni o Sygrdrifie*. Następnie przeszedł do frontalnego ataku.

— Z pewnością ma pani jakieś uroczę azowe honorowe imię — rzekł mrugając oczami, po czym dodał podstępnie: — A może erotyczne?

Zmierzył ją zuchwałym spojrzeniem, zbyt zuchwałym, jak mu się zdawało, dlatego też szybko zneutralizował jego wymowę.

— Mam na imię Kostbera, ale wolałabym się nazywać Knefrodh, Kłęcząca. — Jej wzrok prześlizgnął się po jego ramieniu, miał w sobie coś z pokory, a jednocześnie z bezwstydu. Podniosła spojrzenie i patrzyła mu uparcie prosto w oczy. Odwzajemnił to jej spojrzenie — żadne nie spuściło oczu. W rozmowie nastąpiła przerwa, podczas której anioł milczenia, z całą pewnością nie świętego milczenia, przeszedł wolniutkim krokiem przez pomieszczenie.

— Pani jest drogocenna, to imię dobrze pasuje. Jeszcze lepsze byłoby Hyr, Płomień, albo Ridhil lub Swasud, Słodki War — mówił dalej prawiąc jej mitologiczne komplementy. — A ja pożądam pani Sefafjall³. Dla mnie jest pani Synfjotli, Sinfessel, Pętająca Zmysły.

— Wszystko pan miesza, wrzuca pan wszystko do jednego worka. — Przygana Anselmy była łagodna i mile brzmiąca dla ucha. — Ridhil to Schwirrl, miecz Regina, a zatem przedmiot rodzaju męskiego. Ja natomiast mogę być tylko pochwą. A Synfjotli to mężczyzna, syn Sygmunda i wnuk Wolsunga z „Synfjotllok“ — wie pan, to ta zagubiona pieśń bohatera, z której Herms Niel zrobił najgłupszą operę pod słońcem... — I nagle zaśpiewała miękkiem głosem: — Synu, zostaw brodę swą.

Pieśni z *Eddy* miała w małym palcu. Pod tym względem nie dorastał jej do pięt.

— Pomimo to dalej będę panią nazywał Pętająca Zmysły.

Brunatna rapsodia

Rozkoszny dreszcz przenikał jego ciało, łaskotał w żyłach niby musujące wino. Anselma była istotą czarodziejską, prawdziwą Fenją. Od jej ciała z wyprężonymi małymi piersiami biły fale ciepła. Jego nerwy dygotały pod naporem tych wrażeń.

Rozmowa znowu zaczęła się obracać wokół spraw mniej drażliwych. Pani Geldens pracowała w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w wydziale gospodarczo-politycznym. Zatrudniona była w referacie ds. Archipelagu Malajskiego, protektoratu Rzeszy, który uważano, jak wiadomo, za najbardziej zagrożone terytorium, ponieważ stanowił enklawę w kontrolowanej przez Japsów części świata. Znajomość kraju i ludzi czyniła z niej wysoko cenioną siłę fachową; władała holenderskim, mówiła płynnie po malajsku, a także trochę po chińsku, japońsku oraz w pidgin-english. Niedaleko Wilhelmstrasse, gdzie znajdowało się jej biuro, zajmowała na najwyższej kondygnacji niedawno odbudowanego domu bardzo eleganckie, prawdopodobnie przestronne trzypokojowe mieszkanie z tarasem na dachu (pokazywała zdjęcia), urządzone dosyć oryginalnie, ozdobione w egzotycznym stylu. Mieszkała tam ze swoim niewolnikiem — chińskim kucharzem, którego swego czasu przywiozła znanad południowego Pacyfiku.

Höllriegl próbował wydobyć od niej jak najwięcej informacji o jej życiu prywatnym, przede wszystkim chciał się dowiedzieć, czy utrzymuje jakieś „stosunki“ w stolicy Rzeszy. Anselma udzielała najpierw wymijających bądź ironicznych odpowiedzi, po czym dała mu do zrozumienia, że ma wpływowych protektorów i przyjaciół. Znała na przykład siostrzeńca byłego reichssportfuhrera von Tschammera und Osten, który piastował kierownicze stanowisko w Centralnym Urzędzie Kontroli Filmów; mówiła o swej przyjaźni — bardzo szerokie pojęcie — z

generałem-lejtnantem Hansjoachimem von Gelem-Aufseserem, obecnie kierownikiem wydziału GIMKD przy OKH⁴ w randze generalnego inspektora, który sprawował nadzór nad młodą kadrami dowódczą w wojsku; wymieniła także nazwisko Bonhoelfer — to oznaczało najwyższe kręgi gospodarcze, a w

⁴ *Generalny Inspektorat Młodej Kadry Dowódczej; Oberkommando des Heeres — Naczelne Dowództwo Sił Lądowych.*

końcu wspomniała, że ma dojście do kancelarii Fuhrera. Więcej Hóllriegl nie chciał wiedzieć. Zamarł z respektu.

Raz tylko przelotnie poruszyli problem śmierci. Anselma, w przeciwieństwie do Hollriegla, nie wierzyła w życie pozagrobowe, nawet gdy chodziło o duszę Fuhrera. Człowiek przybywa z nicości i musi do niej powrócić. (Hóllriegl w skrytości ducha dziwił się odwadze Anselmy, która tak otwarcie wypowiadała poglądy mocno odbiegające od oficjalnej doktryny przed prawic obcym człowiekiem; co prawda skrajni rasiści, werwolfy, zwolennicy NARMAT-u i tak dalej, również odrzucali istnienie życia pozagrobowego). Zdaniem Anselmy naród niemiecki jako całość powołany był teraz do tego, by stać się nosicielem „duszy Fuhrera“, a więc naród panów będzie w pewnym sensie „mistycznym ciałem” Adolphi Hitleri. Nic więcej w związku z tym nie powiedziała — może było to ustępstwo na rzecz romantycznej natury Hollriegla. Ów wracał bowiem jeszcze nazbyt chętnie do wzniesłego pierwotnego świata Azów i Wanów, naturalnie nie wierzył już w ich metafizyczną egzystencję, wierzył jednak w uosabiane przez nich idee. Wierzył więc na przykład w święte nasienie świętego jesionu, Ask Yggdrasil, z którego rozwinął się Wieczny Naród Niemiecki. Lecz ten kanon wiary, nauczany w szkołach, nie mógł się ostać pod drwiącym spojrzeniem Anselmy.

Jakby się umówili, nie padło już nawet słowo o śmierci Fuhrera, i tak było dobrze. Pełna czci bojaźń, a może to była ostrożność, powstrzymywała ich od wracania do tego tematu. Również kwestię następcy, w ogóle wszelkich następstw, pozostawili w spokoju. Anselma wspomniała jedynie o plotce, jaka wylęgła się w partyjnych kręgach stolicy Rzeszy, według której Fuhrer na łożu śmierci nagrał na magnetofon swój polityczny testament, taśma jednakże zniknęła; było więcej niż prawdopodobne, że testament zabrał „Leśny Diabeł”. Przed Leśnym Diabłem — nazywanym tak od zainicjowanej przez niego podczas wojny historycznej operacji „Leśny Diabeł” z udziałem ustaszowców i „hiwi”, ochotników, przeciwko partyzantom Tita — drżeli bez wyjątku wszyscy. Ten chorwacki Niemiec, którego prawdziwego nazwiska nikt nie znał, potrafił tak rozbudować swą podwójnie kluczową pozycję w partii, że stała się jakby twierdzą nie do zdobycia. Był szefem sztabu w urzędzie zmarłego — w nie wyjaśnionych zresztą okolicznościach — Martina Bormanna. Po jego śmierci (lub zniknięciu) objął osierocony urząd, odsuwając przy okazji osobistego adiutanta Bormanna; jednocześnie Fuhrer mianował go szefem Kancelarii Rzeszy, mimo że Ivo Kopfler — tak brzmiał jego polityczny pseudonim — był wszystkim, tylko nie zawodowym dyplomatą. Kopfler, reiehsorganisationsleiter NSDAP, szef Kancelarii Rzeszy i minister bez teki, był najpotężniejszym po Adolfie Hitlerze człowiekiem w państwie. Nikt w takim stopniu jak on nie cieszył się zaufaniem Fuhrera.

I jeszcze coś opowiedziała pani Geldens, a były to naprawdę złe wieści. Bezpośrednio po ogłoszeniu na cały świat wiadomości o śmierci Hitlera, w Zjednoczonych Stanach Zależnych Ameryki (United Vassal States of America), a głównie w „Ape-

men Reservations“ (AMR) i „Apemen Camps“ (AMG) na południu, wybuchły krwawe zamieszki. Zagadką było, w jaki sposób ta wiadomość mogła dotrzeć do podludzi, gdyż od chwili objęcia władzy przez Radę Trzech K-K-K i przywrócenia niewolnictwa, jakie istniało przed oślawioną „Emancipation Proclamation“, rygorystyczna już sama w sobie blokada informacyjna została maksymalnie zaostrowana. W dwóch punktach — Anselma rozłożyła karteczkę z notatkami — w Neosho, Missouri, i w Wickliffe, Kentucky, doszło nawet do otwartej rewolty. Przestępcy polityczni i kolorowe małpoludy wyróżnili w pień załogę obozu i — wprost nie do wiary! — włamali się do składu broni laserowej. W Wickliffe przywódcą buntowników był murzyński eks-pastor.

— Po złapaniu szubrawca minutemieni powiesili go na gałęzi głową w dół i przypiekali na wolnym ogniu. Łajdak wyrzaskiwał przy tym podobno psalmy, żydowskie, rzecz jasna.

O tych w zasadzie nieistotnych faktach nie wspomniano w radiu ani w gazetach; odnotowano je jedynie w komunikatach partyjnych wewnętrznego użytku, do których od czasu do czasu miała dostęp.

— *A propos* przypiekania — rzekła z uśmiechem. — Na kursie hartującym dla zaawansowanych, na który właśnie uczęszczam, nawiasem mówiąc z czysto taktycznych powodów, rozpoczęto niedawno projekcję cyklu filmów, który powinien pan zobaczyć. Nowe materiały szkoleniowe, wszystko filmy amatorskie. Jeden zwłaszcza mi zaimponował. Pokazano w nim ścinanie krnąbrnych podludzi za pomocą topora, we wszystkich fazach i w zbliżeniu. A więc „ręczna“ egzekucja, jakie wykonuje się jeszcze, jak wiadomo, jedynie w celu zastraszenia. U bułgarskiego więźnia o byczym karku, skazanego za prze-

śladowanie pewnej dziewczyny krwi niemieckiej ciągłymi oświadczeniami, głowa w ogóle nie chciała spaść. Kat, najwidoczniej jeden z tych idiotów zobowiązanych do służby w wymiarze sprawiedliwości, musiał uderzyć trzy razy, nim skazaniec skonał. A potem inny filmik: wykonanie kary na materiale kobiecym przez spalenie na stosie. Tym razem był też dźwięk. Rewelacja! Trzeba było panu słyszeć te wrzaski, kiedy zaczęły skwierczeć stopy. To niewiarygodne, jak bardzo ludzie są wrażliwi na ból!

Oczy Anselmy Iśniły, można by rzec, że tylko one istniały w jej twarzy.

— Mówiąc o „wrażliwości na ból“ mam na myśli damy z mojego resortu. Najpierw same się pchają, a potem robi im się słabo. Jedna dostała potwornych mdłości, rzygała jak kot i narobiła w majtki podczas seansu. Druga przewracała oczami, jakby miała padaczkę, i bez przerwy robiła z siebie widowisko — mimo że zaliczyła już kurs specjalny. Wszystko to oczywiście histeria, nie brak im niczego oprócz...

Znowu zmierzyła go o ciężałym, wyczekującym spojrzeniem. Hollriegl nie spuścił oczu, lecz kosztowało go to sporo wysiłku. Przypominało długie potajemne dotknięcie.

— A co dopiero powiedzą, kiedy przyjdzie kolej na następne odcinki. Przesłuchiwanie i „szprycowanie“ krnąbrnych więźniów. Zdjęcia w zwolnionym tempie, a poza tym duszenie drucianą pętlą na hakach rzeźniczych, praca z garotą albo — może w tym wszystkim najpiękniejsze! — nasze eksperymenty na oddziałach zamkniętych, LSD-25 i tak dalej.

Taką lub podobną gadaniną zabijali czas. Hóllriegl czuł z satysfakcją, jak się do siebie zbliżają, jak w myślach się nawzajem obmacują. Anselma z całą pewnością nie była w jego

typie, jego serce łaknęło świetlistych nordyckich postaci, bohaterkich istot kobiecych o silnych poślachkach (nagle pomyślał o Ulli — jakże to było bolesne!), lecz jej wdzięk, połączenie tropikalnej mentalności i owego nowego rzeczowo-zuchwałego stylu bycia, który tak bardzo podziwiał, ponieważ nie potrafił go sobie przyswoić („jestem zbyt staroświecki), oczarował go. Bez wątpienia była kobietą bardzo starej rasy, prawdziwą von Eyck. A on? Czym był? Zwykłym kundlem.

Kiedy się rozstawali, obiecał do niej „natychmiast” znowu zadzwonić.

— Dziś wieczór jestem zajęta — powiedziała — ale jutro... może... — Jej spojrzenie prześlizgnęło się znowu, pozostawiając rozkoszne ślady, po jego ciele. — Jako zacny Wschodniomarchijczyk obrał pan naturalnie bohaterkie imię króla Ostrogotów, tyle że przy zdobywaniu Rzymu nie obejdzie się czasem bez podbitego oka. Totila to właściwe imię burszowskie; mój ojciec — jego korpusem byli wormaccy „Czarni Germanowie”— używał go na planszy szermierczej. — A po chwili dodała z dwuznaczną intonacją: — Powinien pan się nazywać Moldwerf, Kret...

Wypielęgowana drobna dziecinna ręka spoczęła w jego dużej męskiej dłoni; zadrżała, kiedy złożył na niej pocałunek, tym razem prawdziwy.

Było równie pochmurno jak przedtem, nie kończący się ciemny listopadowy dzień. Naprzeciwko budynku przy Tiergartenstrasse 4 nadal pracowała nad transparentem ubrana w szare uniformy brygada robocza. Hóllriegl sprawdził czas i wszedł do budynku, zamaszystym, jak zawsze, krokiem. Ozdobne kolumny, takie jak te, które zdobiły front, ciągnęły się też dalej, w głąb hallu.

Na portierni, która tutaj była wartownią i przypominała mały obóz wojskowy, podał swoje nazwisko i z kim ma się spotkać. Otrzymał przepustkę z wybitą godziną. Wewnątrz roіło się od mundurowych. Na każdym podeście schodów stali, niczym czarne posągi, wartownicy, jeden w drugiego rosłe chłopcy, z pustym spojrzeniem skierowanym w pustkę przed sobą.

Ostuf Hirnchristl, bladolicy szczupły mężczyzna o rzadkich włosach, z jasnym wąsikiem i cofniętym podbródkiem, rzucił tylko okiem na jego przepustkę, po czym z ożywieniem powitał krajana.

— Fajnie, że pan jest.

Natychmiast „wiedział, w czym rzecz“.

— Tak, przewidziano dla pana zajęcie z wahadłkiem na dziś wieczór, przyjedziemy po pana o szóstej. Mieszka pan (rzut oka na przepustkę) w pensjonacie pani Zweenemann przy Uhland-Eck. Mam nadzieję, że nie zrobi panu różnicy, jeśli pojedzie pan zielonym heniem³. Otóż nie może pan wiedzieć, dokąd będziemy pana wieźli. Taki rozkaz!

Hirnchristl skakał za przypominającym twierdzę biurkiem jak gumowa piłka, wymachując przy tym bez przerwy ramionami, jakby był policjantem drogowym na ruchliwym skrzyżowaniu. Przed nim stały trzy telefony, czerwony, czarny i biały, które dzwoniły na zmianę. Rozmowę z tym „krajaniem” można było prowadzić chyba tylko w stylu telegraficznym lub na raty.

W urzędowym pomieszczeniu znajdował się także okrągły stół, ponadto stały tam dwa skórzane fotele oraz sofa. Naprzeciwko Hirnchristla, przy maszynie do pisania, siedziała jakaś podstarzała istota z przepisowym kokiem. Biuro jak ty-

siące innych. Składały się na nie również: światło neonówek, portret Fuhrera z żałobną opaską i rośliny ozdobne, efekt najnowszego rozkazu DAF-u: „Twórzcie słoneczne miejsca pracy“. Na ścianie wypisane masywnymi literami gotyckimi w stylu Wehrmachtu swojskie hasło: „PARTIA MYŚLI ZA CIEBIE“ (które dawno już wyparło slogan opieki społecznej: „Partia troszczy się o ciebie“).

— Po zakończeniu badania nic musi się pan już fatygować tutaj osobiście: po prostu wracając proszę do mnie po drodze zadzwonić, a ja przekażę meldunek wyżej. — Po przerwie wypełnionej rozmową przez telefon: — Mielibyśmy dla pana jeszcze jednego pacjenta... Czy mówi panu coś nazwisko Gundlfinger? Mam na myśli tego filozofa czy kim on tam jest... Pocałuj mnie w dupę! — Cytat z *Gotza*, rzecz jasna, wymruczany tylko pod nosem, odnosił się do brzęczenia czerwonego apa-

³ *Samochód policyjny do przewozu więźniów.*

ratu. Mimo tak dosadnego wyrażenia obersturmfuhrer przybrał z miejsca nadzwyczaj dziarski, służbisty ton; w jednej chwili wyzbył się swego niewymuszonego stylu. — Tak jest!... Zrobi się!... Brudna robota, cha, cha, cha!... Tak jest! — I tak dalej.

Zwracając się ponownie do Hollriegla:

— Zna pan Gundlfingera?

Hollriegl potwierdził. Naturalnie, znał to nazwisko. Całkiem niedawno czytał fragmenty rozprawy wielkiego uczonego przedrukowane w jakiejś broszurze szkoleniowej dla funkcjonariuszy, teraz przypomniał sobie dokładnie. Jak brzmiał tytuł tego artykułu? „O humanitarnym wykonywaniu kar w kace-tach“ lub jakoś podobnie.

Brunatna rapsodia

— U tego profesora Gundlfingera pomacha pan trochę wahadełkiem. Zaprotegował pana niejaki pan (Hirnchristl sprawdził w kalendarzu terminowym) von Schwerdtfeger, gruba ryba w Izbie Piśmiennictwa Rzeszy. Moje uznanie, nieże ma pan znajomości. — Przerwa na telefon. — Tylko jak pan tam dotrze? Pan profesor mieszka na zupełnym odludziu, chwileczkę, w... (Hirnchristl znów zaczął wertować kalendarz) w Sauckelruh za Rundstedt, willa „Walpurgia“, w pobliżu Brockenu. Do Magdeburga ma pan autostradę, stamtąd, jadąc przez Halberstadt i Wernigerode, drogi główne. Przez Harz co prawda nie jest panu za bardzo po drodze, ale jakoś się pan dostanie. Właściwie nie ma znaczenia, kiedy pan tam dotrze — może po prostu w drodze powrotnej. Tu jest numer telefonu pana profesora razem z numerem kierunkowym. Nawiasem mówiąc, ma również teleks, i co pan na to!

Gładko wszystko poszło, jak po maśle! Hóllriegl wydawał się sobie figurą szachową, którą jakiś niewidzialny gracz przesuwiał z jednego pola na drugie. Myśl ta miała w sobie coś uspokajającego, tak było dobrze. Wszystko było dobrze. Czasem tak miło było nie musieć myśleć. Inni — władza — robili to za człowieka. Zdrowy świat.

Maszynistka odnotowała na przepustce czas wizyty, a ostuf Hirnchristl postawił swoją parafę. Hóllriegl pożegnał się stukając obcasami i wyrzucając w górę prawe ramię — także jego *vis-a-vis* przyjęło postawę zasadniczą, błyskawicznie wysunęło do przodu słabo rozwinięty podbródek, a jego blade oczy nabrały stalowego blasku.

Na schodach, gdy zbiegając w dół mijał wartowników, ogarnęło go nagle potworne zmęczenie, czuł się, jakby miał w żyłach płynny ołów. Na szczęście było jeszcze trochę czasu,

żeby odpocząć. Teraz szybko do pensjonatu. W swoim pokoju — przegrzanym, ciasnym pomieszczeniu o paraliżująco bezosobowym charakterze — rzucił się w ubraniu na otomanę i natychmiast zasnął. Nic była to krzepiąca drzemka. Szczególnie dręczyła go jedna scena ze snu, powtarzająca się w kilku fazach, z osobami, które zamieniały się rolami. Czarnobrody, jednooki mężczyzna w płaszczu i miękkim kapeluszu z szerokim rondem, z pistoletem do uboju zwierząt w ręku, otoczony kręgiem czeladników rzeźnickich w spryskanych krwią fartuchach, próbował uśmiercić spętanego konia — Hóllriegl wiedział, że to była klacz. Kiedy jednak przyjrzał się jej z bliska, okazało się, że owa klacz to naga kobieta o jasnej skórze, pszenicznych warkoczach i jędrnych kształtach — pęta wrzynały się jej głęboko w ciało. Hóllriegl chciał wpaść między rzeźników i uwolnić ofiarę, lecz tamci rzucili się na niego i przywiązali go do drugiego drewnianego kłosa. Mężczyzna z pustym oczodołem zniknął, a jego miejsce zajęła naga jasnowłosa kobieta; wyzwoliwszy się z pęt, wymachiwała teraz nożem, który ostrzyła na staroświeckim toczydle z napędem nożnym, jakie Hóllriegl widywał w dzieciństwie u wędrownych szlifierzy. Ale nie była to piękna amazonka, którą widział wcześniej, lecz blada, koścista, ufarbowana na blond istota z zaczerwienionymi po brzegach, wytrzeszczonymi oczami i baloniastymi piersiami. Zbliżyła się do niego z zaciekawioną miną i powoli poderżnęła mu gardło. Hóllriegl chciał krzyknąć, lecz zdołał tylko zacharczeć i zabalgotać. Z jego ust buchnęła strumieniem krew...

Obudził się, była za kwadrans szósta. Czuł ucisk i ból w potylicy. Napuścił do umywalki trochę wody i umył gorącą, wysuszoną twarz. Następnie wyjął z walizki dwa wahadełka i różdżkę. Starannie, w skupieniu sprawdził przyrządy. Właśnie

w chwili kiedy był gotów, rozległ się dzwonek.

W przedpokoju stało dwóch mężczyzn w cywilu. Jak wyglądają strażnicy (lub wartownicy)? Wyglądają nijako i po tym właśnie można ich poznać. Bez słowa zaprowadzili Hollriegla do samochodu czekającego na rogu ulicy. Tymczasem podniósł się wiatr i zacinał w twarze drobnym deszczem. Okropna pogoda! Jasno oświetlona ulica była zupełnie wyludniona.

Samochód okazał się ciemnozielonym wozem policyjnym z niebieskimi światłami, w takich właśnie ciupasem odwożono aresztowanych. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi w tylnej ścianie i pomógł Hollrieglowi wsiąść. Żadnych okien, tylko wąskie zakryte otwory nie dające możliwości wyglądania na zewnątrz. Na drewnianej ławce położono poduszkę. Wzruszające, traktowano go jak więźnia z wyższych sfer. Drzwi zatrzasnęły się, zostawiono go samego w rozjaśnionym mętnym świetłem przedziale.

Kiedy pojazd ruszył, Hóllriegl — niemal bezwiednie — sięgnął ręką pod siedzenie. Czy aby rury wydechowe nie wchodzi tutaj do wnętrza wozu? Niczego nie odkrył. A więc nie była to wycieczka do nieba.

Jazda trwała mniej więcej pół godziny. Może jakiś berlińczyk obdarzony świetną orientacją przestrzenną mógłby rozpoznać, kierując się słuchem, w jakim kierunku jechali. Hollriegl za słabo jednak znał berlińskie bruki, nie potrafił także orientować się według odgłosów ulicznych. Dwa razy słyszał pociągi szybkiej kolejki miejskiej przejeżdżające z hukiem przez wiadukty. Potem na zewnątrz zrobiło się ciszej, słychać było jedynie silnik wozu. Przez wąskie otwory wdierało się świeże, chłodne powietrze. Miało korzenny zapach — a może tak mu się tylko wydawało?

Samochód jechał powoli krętą, jak dało się wyczuć, drogą. Potem się zatrzymał. Drzwi otworzyły się nagle i do przedziału wszedł strażnik, oświetlony jaskrawym światłem zza pleców.

— Mam polecenie zawiązać panu oczy — powiedział i tak uczynił.

Pomógł Hollrieglowi przy wysiadaniu, po czym położył jego prawą rękę na swoim ramieniu i ruszył małymi krokami przed siebie. Przez opaskę wdzierało się światło.

— Uwaga: schody!

Tak szli przez kilka minut, mężczyzna dyrygował nim, rzucając od czasu do czasu krótkie zdanie. W twarz uderzyło go suche, jakby pustynne powietrze, przez opaskę znów sączyło się światło, tym razem słabsze. Gdy wspięli się na górę po trzeszczących drewnianych schodach i przeszli przez kilka pokoi — albo sal — strażnik zatrzymał się.

— Tutaj pan zostanie — powiedział szorstkim tonem i zdjął Hollrieglowi opaskę z oczu. — Ktoś po pana przyjdzie. — I zniknął.

Höllriegl znajdował się w wysokiej, przestronnej komnacie ze szczelnie zasłoniętymi oknami. Żółtawe kotary z jakiegoś ciężkiego materiału wyglądały, jakby zrobiono je z wosku. Pomieszczenie lśniło ciemną żółcią i złotem. Kandelabr (z drewna hebanowego?) rozsiewał rozproszone światło, wydobywając z półmroku zarysy barokowych, z całą pewnością drogocennych mebli. Można się było raczej domyślać wszystkiego, niż dostrzegać wyraźne kształty. Z obrazów na ścianach bił osobliwy blask.

Höllriegl w dalszym ciągu stał tam, gdzie go zostawił strażnik. Z największą dokładnością lustrował każdy kąt pokoju. Wietrzył niebezpieczeństwo. Gdzie go przywieziono? Tutaj łat-

wo go było obserwować, w oknach wisały zasłony, a w obrazach zamontowano, być może, przezierniki. Świadomie przybrał swobodną postawę i rozluźnił mięśnie twarzy. Różdżkę i wahadełka położył na stoliku i niedbale wędrował po pokoju, gotów jednak w każdej chwili szukać ukrycia. Czyżby wpadł w jakąś pułapkę?

Dziwne, obrazy w zdobionych ornamentem ramach jaśniały także w przyciemnionych niszach. Podszedł bliżej, jego zdumienie jeszcze wzrosło. Obrazy były w wyrafinowany sposób oświetlone od wewnątrz, wszystkie bez wyjątku przedstawiały gady, zwierzęta fantastycznych kształtów i wyjątkowej brzydoty. Jedne stały na wpół wyprostowane na tylnych łapach, inne znowu biegały na czworakach. Ich szpony i zęby wyglądały niczym długie sztylety, żabie, uzbrojone w kolce łby wyrażały jedną wielką agonię. Wszystkie te jaszczury miały przerażająco archaiczny wygląd; w migotliwym świetle zdawały się pełzać i poruszać głowami. Obrazy (lub diapozytywy) były podpisane. „*Varanosaurus* permski z Teksasu” — widniało pod jednym, „Seymouria, górny karbon” — pod innym. Jaszczurowaty stwór z wyłupiastymi ślepiami i uzbrojonymi w ostre zęby szczękami nazywał się *Baphetes* i oznaczony był jako „*Stegokephales arnphibium*, Oldred, Kanada“. Było tam również zwierzę podobne do krokodyla, które z rozpostartymi błonami lotnymi zdawało się krążyć nad egzotycznymi zaroślami. Hollriegl przesuwiał się od obrazu do obrazu — malowidła oprawione były w delikatne ramki, jakby chodziło o rokokowe scenki miłosne — i z lekkim dreszczem zgrozy oglądał kolekcję. Czyżby był w gabinecie historii naturalnej? Czyżby pan domu, ktokolwiek to był, pasjonował się wymarłymi bestiami i badał pierwotny świat?

Niepokój Hollriegla rósł. Gdzie się znajdował? Jednym skokiem dopadł najbliższego okna i odsunął zasłonę. Natychmiast cofnął się przerażony, gdy w oczy zakłuło go oślepiające niebieskawe światło. Budynek był chyba ze wszystkich stron oświetlony reflektorami. Oszołomiony wrócił po omacku do stolika, na którym leżały przyrządy. Przez okno dostrzegł chyba zarysy wierzchołków drzew.

Na wpół oślepiony, nie zauważył, że ktoś wszedł do pokoju. Człowiek nie ruszał się. Dopiero kiedy Hóllriegl prawie się z nim zderzył, wykonał uroczysty ukłon, odsunął portierę w głębi pomieszczenia, otworzył ukryte za nią niewidzialne drzwi w ścianie i wpuścił Hollriegla, niosącego różdżkę i wahadełko, do środka.

Pustynny upał, który już wcześniej dawał mu się mocno we znaki, uderzył go natychmiast potężną falą. Powietrze było nadzwyczaj suche i miało zapach ozonu. Już w chwili, gdy przekraczał próg pomieszczenia, Hóllriegl poczuł bliskość choroby i śmierci. Nie ulegało wątpliwości, to był pokój umierającego.

Zbyt wiele nie dało się zobaczyć; to jednak, co było widać, sprawiało wrażenie czegoś niewieściego, a nawet zniewieściałego. Również tutaj wszystko było utrzymane w stłumionej, przybladłej żółtej tonacji. Okna zasłaniały udrapowane story. Na łukowatym, niskim łóżku, które wyglądało jak spłaszczona czarna muszla — nad postaniem baldachim — leżał z zamkniętymi oczami mężczyzna, a właściwie należałoby powiedzieć: pan. Srebrny świecznik rozłączał spokojne światło. Świece — Hóllriegl naliczył ich siedem — prawie się już wypaliły.

Głowa leżącego spoczywała wdzięcznie na poduszce, jego dłonie, wystające z koronkowych mankietów, ślizgały się dy-

gocąc po prześcieradle. Pomimo panującego ciepła dolną część tułowia chorego przykrywała pierzyna. Oddech mężczyzny był przyspieszony.

Hollriegla zdziwiła uroda umierającego. Białe oblicze o rzymskich rysach, wyrazistości gemmy, z ciemnozielonymi cieniami wokół oczu i ust. Dłonie były niemal nieziemskiej piękności. Gdyby nie coś orientalnego, co dominowało w rysach jego twarzy, można by pomyśleć, że to jakiś August, któremu wybiła ostatnia godzina. Wysokie wąskie czoło okalały czarne, gładkie włosy. A mimo to osoba, która przed nim leżała, była starcem.

Tutaj jego sztuka, tutaj żadna sztuka nie mogła już nic pomóc. Po co więc go fatygowano? Cóż to da, jeśli nawet stwierdzi oddziaływanie promieni ziemskich? (To, że łóżko stoi w szkodliwej strefie, było faktem wręcz namacalnym.) Pokój wypełniało ciągłe i mocne tchnienie śmierci, Hóllriegl zdziwił się, że płomienie świec nie migoczą.

Majestatyczny pan powoli otworzył oczy i patrzył długo na Hollriegla jakby z wielkiej oddali. W jego spojrzeniu malował się smutek. Następnie gestem przywołał go do siebie. Ledwo Hollriegl usiadł na taborecie, chory natychmiast zaczął mówić spieszonym szeptem, a ruchy ust w jednej chwili zburzyły harmonię szlachetnej twarzy, wykrzywiły ją grymasem, niezliczoną ilością grymasów. Hóllriegl zorientował się błyskawicznie, że to małpie rysy zawładnęły teraz tym obliczem. Nie umierał tutaj człowiek należący do rasy panów, ale małpolud, czandal.

Mężczyzna mówił tak cicho, że Hóllriegl musiał się przysunąć do niego zupełnie blisko. Artykulacja była ostra i sycząca, kojarzyła się z głosem gadającej papugi. Odwracając

Brunatna rapsodia

twarz nieco na bok, umierający chciał, jak się zdaje, powiedzieć: Mam nieświeży oddech.

— ... zwał się Hersch Glasel i był kopistą Tory — rozumiał Hóllriegl — do szkoły chodziłem w... (zabrzmiało jak Ruszczuk) i jeszcze dziś trzęsie mną obrzydzenie, gdy pomyślę o moich pobratymcach, co gnietli ze mną szkolną ławę. Wszyscy przeraźliwie śmierdzieli czosnkiem i potem, bo pocily im się nogi, i czosnkową, wypoconą uczonością. To śmierdzące wkuwanie porządku Seraim, porządku Naschim, porządku Nesikin! „Kto posiada dwieście zuz⁶, niech nie bierze z pokłosa ani żadnej zguby, ani z dziesięciny dla biednych... A kto posiada pięćdziesiąt zuz i handluje nimi, niech nie bierze...” I tak dalej. Uwaga, zaraz będę umierał! Także córki Izraela, którym sięgaliśmy pod spódnicę, śmierdziały czosnkiem... Czosnek według naszego Talmudu jest zdrowym jadem... Dopiero potem się dowiedziałem: ten smród to wcale nie był czosnek, to były wyziewy pośledniej rasy...

Hóllriegl zdrętwiał. Ten małpolud był — Żydem! Od jak dawna nie widział już Żyda! Nie było już ani białych, ani czarnych Żydów, dawno przestali istnieć. „Żyd“ stał się pojęciem ontogenetycznym, historycznym, abstrakcyjnym terminem, Żydów spotykało się jeszcze tylko w postaci wypchanych eksponatów w muzeach historii naturalnej, gdzie pokazywano ich jako odszczepioną od właściwego pnia ludzkości, zwyrodniałą gałąź hominidów, jako typ zwierzęco-demoniczny, który ludzkość odrzuciła na swej drodze do cielesno-duchowego samourzeczywistnienia, do apollińskich szczytów. (Wciąż jeszcze na wierzch wyływało „zwierzę“, aby urzeczywistnić nordyckie-

⁶ Żydowska jednostka pieniężna, około 1/4 szekla.

go człowieka światła i bohatera!) Pojedynczy Żydzi, którym jakimś cudem udało się uniknąć ostatecznego rozwiązania, tak zwanej operacji „Gunther“, być może dekowali się jeszcze gdzieś na czandalskich obszarach zamkniętych, w jakichś kryjówkach na najbardziej odległych krańcach cywilizacji — coraz rzadziej jednak słyszało się o pojedynczych akcjach SD, „wykurzeniach“ i temu podobnych. Nie było już nawet żydowskich mieszańców, gdyż po zwycięstwie panaryjskiej orientacji w partii selekcję do UmL-i przeprowadzano na podstawie zaostrzonych przepisów wykonawczych do Ustawy Rzeszy „O ochronie niemieckiego honoru oraz krwi niemieckiej i zbliżonej rasowo“, a więc mieszańcy żydowscy pierwszego i drugiego stopnia zostali przyporządkowani do V i VI grupy w kolejności usuwania i „dostąpili zaszczytu“ bezpośrednio po Cyganach, wolnomularzach, badaczach Biblii i osobach skazanych przez sądy za skażenie czystości rasy. Tym sposobem zużyto ich między innymi do sławnych eksperymentów mających na celu ustalenie zapachu każdej rasy, które po wieczne czasy związane będą z nazwiskiem Traugotta von Globke-Lynara.

A teraz ten Żyd... w samym centrum stolicy Rzeszy... prawdopodobnie na kluczowym stanowisku! „Bardzo wysok postawiona osobistość — tajemnica Rzeszy“. Czy mu się śniło? Czy była to jeszcze rzeczywistość? A może to wszystko było już szaleństwem?

Höllriegl ponownie zwrócił uwagę na słaby słodkawy zapach, który początkowo wziął za woń ozonu. Był to rasowy zapach Żydów, również tych z wyższych sfer, którego wzór chemiczny odkrył baron von Globke-Lynar.

— ... wstąpiłem, jako chłopiec na posyłki, do Marmarosch

Blank Banca. Kierownik lillii, niejaki Dowidl Aufwerber, stary kawaler, szczególnie się mną zajął. Było ze mnie, musi pan wiedzieć, piękne chłopię, a Dowidl był homo... raz przyłapano nas w klozecie... sekretarka Dowidla, Ilka miała na imię, zadurzona w nim po uszy, otwiera nagle drzwi, któreśmy zapomnieli zamknąć na zasuwkę... trzeba panu było słyszeć te wrzaski... wybuchł ogromny skandal, bo głupia gęś wszystko wypaplała... Aufwerbera przeniesiono do centrali w Bukareszcie, mnie wsadzili do Ploeszti, a potem do Hermannstadt, co po rumuńsku nazywało się Sibiu. Tam byłem kasjerem walutowym, później głównym kasjerem, pomimo młodego wieku! Wszyscy wtedy kupowali i sprzedawali, było niedługo po wojnie, na Węgrzech stanął właśnie u steru Bela Kun, waluty były tynfa warte, lej też poleciał na łeb, korona, czeska korona... Pierwsza gojta, którą żem sobie przygadał, to była córka jednego przemysłowca z Kronstadtu⁷, odlewy żeliwne i ciśnieniowe, ma się rozumieć Saksończyk siedmiogrodzki, dziewczątka o oczach jak niezapominajki, grube blond warkoczki, fryzura na Małgosię, długie nogi i primissima biustowność. Dziewiętnaście lat! Apetyczna!... Ona nie śmierdziała czosnkiem...

Przed oczyma duszy Hollriegla (jeśli w tym wypadku można te oczy przypisać duszy) spontanicznie ukazały się bujne kształty, które odwróciły jego uwagę od gadaniny małpoluda. Uczucie zranienia, jakie go przy tym ogarnęło, nie ustępowało. Nieruchomym, niewidzącym spojrzeniem patrzył w twarz chorego, który bez przerwy mówił ostrym, syczącym szeptem.

— ... drugi skandal był jeszcze gorszy, po kryjomu pożyczałem gojta pieniądze na spekulacje giełdowe — stary musiał mi je potem zwrócić co do leja, mimo że wyrzucił za drzwi żydowskiego absztyfikanta. Siedmiogrodzcy Saksończycy mogą

się obracać i żenić tylko w swoim gronie — biada, jeśli Saksończyk ma romans z jakąś Cyganką, Rumunką, a tym bardziej

7) Brasov (Braszów) w Rumunii.

z Żydówką, taki zostaje wykluczony z rodu, jeśli nie odejdzie od dziewczyny obcej rasowo. A więc dobrze, ta gojta — Christa miała na imię — chciała się na początku zabić z tego całego wstydu i z powodu pieniędzy, których tyle przegrała na giełdzie, potem jednak wyszła jeszcze za męża, Aryjczyk pierwsza klasa, naturalnie forsiasty, i zapomniała o śmierdzącym Żydku. Na złość tej hołocie i dlatego, że powiedziałem sobie: musisz się dostać do wpływowych kręgów w inny sposób, skumałem się z masonami... i udało mi się! Aufwerber, ten marny szalbierz, przełamał wewnętrzne opory, był wtenczas mistrzem loży „Humanitas“ w Bukareszcie, i napisał w mojej sprawie do swoich braci w Sibiu, wystarał się o dwóch poręczycieli i tym sposobem, po paru ukłonach i gładkich słówkach, zostałem przyjęty do loży „Pod Trzema Gwiazdami w Koronie”. Naprawdę byłem poszukującym... choć w innym sensie! Przyjęcie do loży nastąpiło w dniu moich urodzin, dwudziestych piątych — nigdy nie zapomnę tej uroczystości — płonące świece — mnóstwo kwiatów — i te przemowy!... Ani nagi, ani odziany, ani obuty, ani bosy, pozbawiony wszelkich metalowych przedmiotów i z zawiązanymi oczami zostałem odprowadzony pod drzwi loży... W ogóle kiedy wspominam okres mojego terminowania, to wszystko wydaje mi się jako sen złoty! Prace pierwszego stopnia, ślubowania, Święto Wniesienia Światła, Dawne Obowiązki... Wszystko, wszystko!... Która na zegarze? — Punkt dwunasta. — Nad czym pracują bracia ter-

minatorzy? — Nad surowym kamieniem. — Jak pukają terminatorzy? — Dwa razy krótko i raz długo. — Gzy masz klucz do tajemnic? — Tak. — Gdzie go trzymasz? — W kościanej puszcze, którą można otwierać i zamykać jedynie kluczem z kości słoniowej. — Gzy ten klucz leży, czy wisi? — Wisi. — Na czym wisi? — Na linie długiej na cal lub piędz. — Z jakiego materiału jest ta lina? — Nie jest z żadnego metalu, jest językiem dobrej opinii, wypowiedanej zarówno za plecami brata, jak przed obliczem jego... W piętnaście lat później byłem prawą ręką Heydricha przy urządzaniu muzeów masońskich...

Chory wydawał się fantazjować, jego dłonie błędziły niespokojnie i bezustannie po pościeli, jakby chciały coś wygładzić lub poprawić. Czyżby zażył jakiś narkotyk? Jego twarz jaśniała. Dlaczego wybrano właśnie jego, Hollriegla, żeby wysłuchał spowiedzi tego małpoluda? Bo ten się wszak spowiadał — w obliczu śmierci! On, Hóllriegl, będzie się wystrzegał, żeby nie powiedzieć od siebie nawet słowa. Prawdopodobnie przez cały czas pracował gdzieś ukryty magnetofon i zapisywał spowiedź na taśmie.

— ... dzięki moim stosunkom w loży. Dostałem od Blanka pełnomocnictwo i przenieśliem się do Wiednia, ludzie Blanka otworzyli tam właśnie ekspozycję, przy Josefsplatz, w bardzo wytwornym pałacu, a wszystko po to, żeby obłowić się podczas sanacji Seipla. — Po roku miałem już prokurę — to się nazywa błyskawiczna kariera, co? Nasz lekarz bankowy, niejaki Sturdza — z tego znanego rodu bojarów — zapoznał mnie na jednym bankiecie z autentyczną Vacarescu, która w czasie wojny maczała palce w interesach z ropą i znała paru Habsburgów — starsza, ale tym słodsza osoba, korpulentna, to zawsze lubiłem, i z krociową fortuną, to lubiłem jeszcze bardziej.

Marina była właściwie moją pierwszą wielką miłością, moją miłością i namiętnością — a ja pierwszą jej! Po skandalu w Hermannstadt prędko zmieniłem nazwisko — to znaczy pozwoliłem się adoptować, co naturalnie trochę kosztowało, niejakiemu panu Heliade de Abreu z Bukaresztu — to Dowidl postarał mi się o nowego papę. I opłaciło się. Z małego Naftali Sterna zrobił się ni stąd, ni zowąd pan Vasile de Abreu — a później, kiedy w Wiedniu grunt mi się zaczął palić pod nogami, baron Demeter de Souza Dantas. Ale najpierw to Vacarescu zrobiła ze mnie prawdziwego pana, przedstawiciela rasy panów — była moim demonem, moim dobrym duchem — zrobiła ze mnie żarliwego antysemitę, żydożercę... to była jej wielka zasługa! Chłonałem *Protokoły mędrców Syjonu* — one otworzyły mi oczy na to, że światem rządzi rasa czosnkowych śmierdzieli. *Protokoły* i Vacarescu! Zatarłem wszelkie ślady swojego pochodzenia, poddałem się nawet operacji, załatwiłem sobie fałszywe papiery, świadectwo chrztu *et cetera*. — Nawiasem mówiąc, Vacarescu lubiła mój zapach, perwersyjna natura!... Nawiązałem kontakty w Bukareszcie, z Codreanu z Żelaznej Gwardii, z profesorem Cuzą, założycielem Ligi Antysemitycznej w Rumunii, z księciem Sturdzą, kuzynem lekarza bankowego, który był pułkownikiem w królewskiej armii i marzył o tym, żeby razem ze Starosłowianami, Narodową Partią Chłopską i niezadowolonymi wojskowymi przywrócić księstwa naddunajskie i wypędzić z kraju Hohenzollernów. — W Budapeszcie bywałem u Budzących Się, w Wiedniu zaprzyjaźniłem się z Lanzem von Liebenfelsem, z Frodim Ingolsonem Wehrmannem, z niejakim panem Wolflem, miałem powiązania z neotemplariuszami, występowałem u nich jako fra Walthari, odwiedzałem Rohma i Rosenberga i wspierałem pieniędzmi,

które odbierałem Żydom, wydawnictwo Ehera... To ja skontaktowałem doktora Juchtengoiserera, redaktora naczelnego wiedeńskiej *Dotz*, z właściwymi kręgami narodowymi w Czechach, w Polsce, na Węgrzech i w Serbii w celu ujednoczenia antysemitycznej propagandy na Wschodzie i w państwach sukcesyjnych, a wkrótce już siedziałem na dobre u steru ruchu narodowego. Kupiłem sobie „Kikeriki“ i „Żelazną Miotłę“⁸, maczałem palce w zabójstwie Bettauera, w sądzie kapturowym nad Corneliuscm Zimmerem, w setkach afer... Mówiłem już panu, że byłem pięknym młodzieńcem — wszystkie swoje interesy załatwiałem przez kobiety, które latały za mną — stadami! Pierwszą moją ofiarą był Laszlo Brodfeld, handel hurtowy artykułami spożywczymi, i wysoki rangą mason, którego żona wprost za mną szalała — a więc ta osoba, głupia zresztą jak tabaka w rogu, dostarczała mi stenogramy jego poufnych konferencji ze współnikami, to był agro-joint, który przez sowieckie placówki organizował import płodów rolnych. Brodfeld, jak wiadomo, przyjechał do Wiednia z Kowna jako Żyd z tobołkiem na plecach, miał dwie lewe ręce do roboty i zaczynał u Bosla. A więc przez Brodfelda poznaję prezesa centralnej rady rosyjskiego towarzystwa ORT, niejakiego pana Golde, przez Goldego potężnego Jankiela Lewina z Mińska i Rachmiela Weinsteina, wtedy zastępcę dyrektora rosyjskiego banku państwowego, przez Weinsteina teoretyka planowania, którym był w istocie, Warngolza i jego przyjaciółkę Esther Frumkin *et cetera, et celem*. Będzie się pan śmiał — pieniądze, którymi wykańczałem Żydów, były głównie sowieckie. Rosyjskim państwem nie mogłem zachwiać, ale sowieckich Żydów wydałem Stalinowi na rzeź. Sprowadzałem bowiem do Rosji, poniekąd w formie rewanżu, najnowocześniejszy antysemityzm. — Ale

moją ambicją było opanowanie czarnych karteli, kartelu cenowego, kartelu produkcyjnego i kartelu kontyngentowego. Wkrótce kontrolowałem z Wiednia cały handel hurtowy artykułami spożywczymi — dla niepoznaki nadal byłem prokurentem u świętej pamięci Marmaroscha. Kiedy chciała mnie zwinąć policja gospodarcza pana Schobera, ulotniłem się za granicę — moje biura działały przejściowo w Zagrzebiu, Krakowie, Augsburgu, przez jakiś czas nawet w Lourdes, potem w Turynie — we Włoszech miałem wysoko postawionych protektorów w partii faszystowskiej. I połykając jedną po drugiej

⁸ Żartobliwe określenia odznaczeń: pruskiego Orderu Orła (tu dosłownie Kukuryku) oraz Żelaznego Krzyża.

książki Chamberlaina, Evoli, Federa, Eckarta i Rosenberga, wystawiałem do wiatru ich wszystkich, to jest moich drogich braci i siostry, robiłem interesy z Sammy Lewitasem i Chaimem Windholzem, z Leibem Bronsteinem i Naomi Diamond, z Oscherem Seydenstikkerem i Feitlem Horvatem, z Markusem Loewem i Elią Shapiro, z Anschelem Pollakiem i Judko Kamelharem, z Motje Spinkusem i Mossem Umschadenem, z Benno Tartakowerem i Woochele Naglstockiem, z Paolo Handlerem i Schejndl Feierstein, z Eisigiem Zwicklem i Riwke Tausent, z Maxlem Reichweinem i Nathanem Korkesem, z Banachem Weintraubem i Arpadem Koritschonerem, z Heimanem Ehrenfestem i Jackiem Krausem, z Mojsche Zylberlastem i Bernardem Wahrhaftigiem, z Aaronem Marguliesem i Simą Finkelrutem, z Itzigiem Liebgoldem i Marcelem Pinelesem, z Jitro Pasternakiem i Tibi Segalem, z Osiasem Zukorem i Szmulem Fischlem, z Sonją Lurje i Gersonem Rubinsteinem, z Brochą Leiser i Sandelem Oblatem, z Pinkusem Baargeldem i Salo Passwegiem, z Vasem Nunbergiem i Alice Printemps,

Brunatna rapsodia

z Jyttel Lekach i Jose Engelem, z Bertholdem Dunkelblumem i Geilchen Askenazi, z Lazarem Saxem i Lupu Kavką, z Dennyem Furbringerem i Pseelem Germanym, ze Sprinzem Feuchtwangiem i Nathanem Pickiem, z Alice Strangelove i Naumem Saloschinem, z Mendlem Sternhiebem i Guillermo Schonem, z Bobby Mediną i Rochelem Sigelbergiem, z Esti Cohen i Sigi Schwanzem, z Tobiasem Szanto i Chajinem Lorberem, z Eli Hegedusem i Milkele Lobl, z Ablem Kolischerem i Jehudo Lipschitzem, z Margo Popper i Jaffe Szamuely, z Lwem Fingerem i Ettą Perlmutter, z Akibą Rappaportem i Imre Guthrzem, z Dorą Lampl i Borisem Altarem, z Erno Zobelsohnem i żoną Szigfrida Eislera, ze Szlomo Axelraelem i Jakobem Rajcherem, z Osiasem Vorhandem i Manolim Katzem, z Urim Aschdodem i Maurice'em Ornsteinem, z Ethel Szafir i Menahe-mem Schattensegłem, z Maxem Perelmanem i Jacques'em Rubinem, z Ignacem Wachtlem i Jellą Strajsand, z Gebirolem Rinderbrustem i Belasco Sinaiem, z...

Nazwiska płynęły z ust spowiadającego się niczym strumień krwi. Chory wił się w gwałtownych kurczach z twarzą wykrzywioną wstrętem i nienawiścią. Hollriegl, odurzony pustynnym upałem i potokiem słów, wsłuchiwał się z napiętą uwagą.

— ... rujnowałem jednego po drugim — systematycznie! Najchętniej braci z łoży. Już wtedy trząłem międzynarodowym interesem. Moje pieniądze brały udział we wszystkich dużych transakcjach. Naturalnie od dawna już nie nazywałem się de Souza Dantas, tylko znów zupełnie inaczej, zawsze używałem wielu nazwisk, żydowskich też — żeby się upodobnić do otoczenia — a oprócz tego kryptonimów, ksyw i pseudonimów artystycznych. Na londyńskim i nowojorskim rynku

Brunatna rapsodia

papierów wartościowych znano mnie pod nazwiskiem Ferry Westphal, w handlu diamentami byłem znany jako mijnheer Jochen Schuller tot Peursum, w produkcji kebraczo i olejku ilangowego jako senhor Lafayette de Carvalho e Silva, w wewnątrzniemieckim handlu obrabiarkami byłem skromnym panem Philipem Guttentagiem, w międzynarodowej branży uciech miłosnych profesorem Raulem Araujo-Jorge, w interesach religijnych monsignorcm Gottliebem Verhune, w *haute couture* nazywałem się baron Louis de Guldenstubbe, na giełdach towarowych Lajos Biró lub Antal Danzer, w handlu przyborami do jogi i afrodyzjakami Horakali Mitra, a raz — przy fuzji dwóch gazet giełdowych w Rzymie — wystąpiłem nawet, co pan na to, jako dama, pod nazwiskiem contessy Monique Muszinski-Vetsera, i pewien krewny Duce, przez pomyłkę, rzecz jasna, bez przerwy chciał mi się oświadczać. Tylko dla Aliance Israelite w Paryżu pozostawałem zawsze małym, nieznanym Naftalim Sternem, którego nazywano Złotym. — Naturalnie wciąż też musiałem do tego dokładać, w szczególności wielki *market-crash* w Ameryce omal mnie nie puścił z torbami. Powoli zacząłem wycofywać swoje teamy z interesu dewizowego — w ogóle mój błąd polegał na tym, że za bardzo się rozdrobniłem, musiałem mieć teraz w ręku coś solidnego, co od biedy byłoby odporne na kryzysy. — Mniej więcej w tym samym czasie opuściła mnie też Marina — wcześniej już iks razy podstawiała mi nogę, chciałem powiedzieć: przyprawiała rogi — z najgłupszymi gojami pod słońcem, bo ja w głowie miałem tylko swoje interesy, *halewa**... Postawiłem, będzie się pan śmiał, na górnictwo i politykę. Górnictwo ciążyło ku arenie międzynarodowej, polityka ku narodowej. Wdepnąłem w interes miedziowy jak w błotnistą kałużę. Z początku było

całkiem skromnie — Cu z Rio Tinto, Cu z Ishiwaki, z Anacondy, z Braden *et cetera* — ale w trzy lata później miałem w swojej gestii cały handel częściami wymiennymi w niemieckiej branży elektrycznej. Wtedy znów nawiązałem bliższe stosunki z Ludendorffem, Hugenbergiem, Eherem, Seldtem, z VB¹⁰, to znaczy z Rosenbergiem. Dla wszystkich tych ludzi byłem Hannsgeorgiem Grunewaldem, miałem wygląd nordycki pierwszej kategorii, to dzięki osiągnięciom chirurgii plastycznej, moje drzewo genealogiczne przez Matthiasa, mego pradziada, sięgało korzeniami bardzo głęboko. Prawie do Armina z plemienia Gherusków. Może się pan śmiać! Moim pierwszym prezentem dla Goringa był na przykład autentyczny grunewald, akurat pamiątka rodzinna, którą sfabrykował mój dawny

⁹ *Halewaj(jid.) — wola boska.*

¹⁰ *„Volkischer Beobachter“.*

kumpel, były dyrektor Amstelbank, a później, po skandalu w wiedeńskim Greditanstalt, restaurator obrazów, geniusz w swoim fachu, powiadam panu! Naturalnie równie dobrze mogłem udowodnić, że dziadek Goringa był właściwie handele z Tarnopola i nazywał się Geringer. — Goebbelsa poznałem osobiście przez Fiedlera, na zebraniu bezirksfuhrerów w Berlin-Nord, gdzie przeszmyglował mnie Fiedler i gdzie Goebbels, ówczesny gauleiter Berlina, mówił o tym, jak ślamazarnie postępuje zbiórka funduszy. A wszędzie potrzeby są ogromne, powiedział. Wtedy ja wstałem, skromny niemiecki człowiek, i zapytałem, czego to pan gauleiter potrzebuje. No, potrzebował wiele, ale dostał! Jego słynną kampanię w Pałacu Sportu sfinansował nie kto inny, tylko Hannsgeorg Grunewald. Tego wielki Jupp nigdy mi nie zapomniał, przez jakiś czas był nawet

Brunatna rapsodia

moim bliskim przyjacielem. A w „Kaiserhofie“ byłem bliskim przyjacielem Fuhrera, niech Jahwe mu pozwoli spoczywać w pokoju. — Także w wolnomularskim rządzie w Pradze zasiadali moi przyjaciele, którzy dla pikanterii mówili na mnie Horst Wessely. Jeden z nich, niejaki doktor Vouk, przysyłał mi regularnie tajne raporty, które szły do czeskich placówek zagranicznych. Ode mnie szły bezpośrednio do „Kaiserhofu“, a od Fuhrera prosto do Konrada Henleina. — U Hugerla *vulgo* Hugenberga miałem znakomite *entree* przez Gelsenkircheńczyków, przez Gute Hoffnung, Braunkohle-Benzin, Joachimsthal, przez Union Miniere¹¹... moje pieniądze płynęły na konto Stahlhelmu, to ja doprowadziłem do powstania Frontu Harzburskiego, zorganizowałem spotkanie Fuhrera z Thyssenem i Kirdorfem, ja — ja sam! — założyłem kuratorium fundacji przemysłu ciężkiego popierającej Hitlera, która odegrała potem decydującą rolę w zwycięstwie wyborczym ruchu — ja finansowałem kampanię odwetową po śmierci Herberta Norku-

¹¹ *Wielkie zakłady przemysłu ciężkiego.*
sa i ja przez swoich przyjaciół od interesów doprowadziłem do tego, że Fuhrer — Hitlerleben! — jako brunszwicki radca rządowy otrzymał niemieckie obywatelstwo... w tej zasranej Republice Weimarskiej! To ja, Hannsgeorg Grunewald, maczałem palce w zabójstwie Rathenaua i w wielu innych sprawach, współfinansowałem pierwszą wielką podróż lotniczą Fuhrera po Niemczech, zostałem wprowadzony do Himmlerów, Heydricha poznałem tuż po stłumieniu rewolty Rohma, swego czasu ofiarowałem mu do jego kolekcji pierwsze wydanie *Katechizmu Wolnomularstwa Joannickiego Fischera* — takie miał hobby! W sektorze międzynarodowym przez nasz zuryski holding wywierałem wpływ na Broken Hill i Harmony, Alpine-Montan, Western Deep, Western Reefs, Geduld i Pyramid Group. Nie-

Brunatna rapsodia

jaki Schisgal, właściwie analityk portfolio w pewnej nowojorskiej firmie inwestycyjnej, taki mały, niepozorny autsajder, wprowadził nas — nieprawdopodobne *masł*²! — w północno-amerykański interes wydobywczy, a po jakimś czasie mieliśmy w garści całe Booz Pool, ślizgaliśmy się *so to speak* w górę... i wtedy po raz pierwszy zainteresowałem się uranem... Ja, a ściślej mówiąc: moi figuranci w Edsel Zhivago Keitei Goshi Kaisha, Tokio i Osaka, sięgnęli swoimi łapami aż po północny Saskatchewan, szurfowaliśmy uran nad Slave River i nad jeziorem Athabaska, odkryliśmy nowe złoża w Wapawekka i zbudowaliśmy Uranium City i Port Radium. Kopaliśmy szurfy wszędzie, w Afryce Południowej, w Australii, w Nowym Meksyku, Utah, Wyoming, Colorado, Arizonie, Tennessee. Powiadam panu, że byliśmy jak pijani — przez najlepsze lata swojego życia byłem pijany uranem, pracowałem na wielki boom uranowy, na trzeci i na czwarty boom! U3O8... he, he, he, he! Go wtedy wiedziano o U²³⁵, o U²³⁸ i o Pu²³⁹ — w ogóle o całym tym transuranowym szaleństwie? Nic! Ale kiedy tylko pojawi-

¹² *Masł (jid.) — szczęście.*

łem się gdzieś na „skraju“, chwiała się giełda w Johannesburgu i drżała Union Steel, drżała Union Miniere i cała pozostała hołota od Capetown po Schinkolobwe, i słychać było, jak nad Goppeer Belt srają w gacie. To ja pierwszy zacząłem szurfować w pobliżu Funfkirchen¹³, tam, gdzie później zbudowano Uran-Varos. Złoża w Joachimsthal¹⁴ dawno już były wyczerpane — więc szurfowaliśmy w Aue, w Johannegeorgenstadt, w Falkenstein, w Schneebergu i po drugiej stronie, w turyńskim Henneburgu. Jest pan, jak mi mówiono, różdżkarzem... niech pan popatrzy na te ręce, to są złote ręce, diamentowe ręce, radowe ręce, uranowe ręce, plutonowe ręce!...

Chory podniósł się nieco i wyciągnął w stronę Hollriegla swoje nerwowo drżące, blade, pokryte niebieskimi żyłkami i plamami wątrobowymi dłonie, wdzięcznie przy tym rozstawiając palce. Gest ten miał w sobie coś z dziecinnego zapewnienia.

— ... tymi rękami i swoim szóstym zmysłem kopałem wszędzie tam, gdzie ziemia obfitowała w rudę. Może się pan schować ze swoimi różdżkami i wahadłkami! Mój szósty zmysł! Wiedziałem, gdzie pukać! Kiedy Fuhrer doszedł do władzy, byłem już panem wszystkich ważniejszych rud metali — przynajmniej w Europie Środkowej. Władałem niepodzielnie na rynku surowców mineralnych. Zawsze marzyłem o tym, żeby dać mojemu Fuhrerowi do ręki młot, który ciska gromy! Przybrałem nowe nazwisko, już ostatnie, Thor, Egmond Thor, i przy nim pozostałem, przy nim i przy swym azowym honorowym imieniu Gullrond, co znaczy Złota Krawędź — ma pan zatem przed sobą Egmonda Gullronda Thora, to ja jestem tym człowiekiem, który wykuł narodowi niemieckiemu atomowy młot, by zmiażdżył nim w ostatniej chwili swoich wrogów. —

¹³ *Pécs (Pecz) na Węgrzech.*

¹⁴ *Jachymov w Czechosłowacji.*

Po dokonaniu wszystkich tych wielkich rzeczy mam teraz słabość do wszystkiego, co małe. Jestem już tylko szefem-seniorem maleńkiej firmy importującej rudy — Meguscher i Meschuger Limited — ale na moim biurku zbiegają się nici całego światowego handlu rudami. — I ja także jestem tym człowiekiem, który wykończył Żydów, raz na zawsze! — Kiedy Fuhrer był już u władzy, nie zadowalałem się niszczeniem pojedynczych Żydów czy firm żydowskich — nie, poszedłem na całość, mój drogi, na całość! Najpierw zadbałem o to — przez swoich agentów

w radzie niemieckich Żydów, ale także mrówczą, mozolną pracą przez gminy religijne — żeby nasi ludzie poczuli się bezpiecznie i pozostali w kraju — jak w pułapce na myszy! Z początku bowiem im się wydawało, że mogą też robić interesy z Fuhrerem. — Wkrótce nastąpił pierwszy cios — Noc Kryształowa! A potem ciosy sypały się już bez przerwy, jeden za drugim. — Żydków sobie kupowałem, Żydków, jak mówię, drobnych funkcjonariuszy, którzy za małe pieniądze albo półobietnice wydawali swoich pobratymców, aż miło było patrzeć!... Wiadomo, co znaczy śmiertelny strach! Te sceny! Te krzyki: aj-waj! Dla mnie to był balsam! — W tamtym okresie często spotykałem się z Heydrichem — naradzaliśmy się, jak najlepiej zamienić ocalałe synagogi i loże w muzea, muzea wychowawcze! Ku nauce i przestrodze narodu niemieckiego. Współorganizowałem wystawę „Żyd Wieczny Tułacz“. Byłem wszędzie i nigdzie. Naturalnie, miałem swoich dublerów, w Rzeszy i za granicą. Moim ulubionym dublerem był mój krajan, niejaki doktor Demeter Barbu z Cluj, swego czasu lekarz i psychosyfilityk, uczeń Freuda i tak dalej. Pocciwy Barbu przystał na służbę u mnie jeszcze przed 1933... trzymałem go głównie po to, by występował jako moje *alter ego* wszędzie tam, gdzie chodziło o wyprowadzenie w pole handlowych przeciwników psychologicznymi szmoncesami! Łebski facet! Barbu był pod tym względem niezrównany. Co za głowa! Z wyglądu był do mnie łudzaco podobny, do najdrobniejszych szczegółów naśladował mój sposób mówienia, moje gesty — po dwóch operacjach zewnętrzne podobieństwo stało się jeszcze bardziej zdumiewające. — Lubiałem go, mogę to szczerze powiedzieć. Lubiałem go na swój sposób. Grubo u mnie zarabiał. Niestety z czasem zaczął wiedzieć zbyt dużo. O wiele za dużo! I był ciekawski, a to zawsze jest zgubne.

Dzięki Bogu, był wielkim kobieciarzem, jak ja swego czasu. W Atenach podsunąłem mu taką *sweet seventeen...* uroda euro-azjatycka — od czego ma się powiązania z największymi światowymi rynkami rozkoszy miłosnych! — Kobiętka, mówię panu! Kładła już na łopatki prawdziwych byków. Dwa lata życia erotycznego z tą małą załatwiły pana doktora... fizycznie i duchowo tak był wykończony, że trzymał się jeszcze przy życiu tylko dzięki pobytom w klinikach psychiatrycznych. A potem nagle odebrałem mu panienkę, na zawsze! Tego już nic zniósł i dureń, zamiast się cieszyć, wpakował sobie kulkę w łeb!... Serdecznie było mi go żal, pocziwy, miły doktor Barbu. Wszystkiemu winne nerwy. Kiedyśmy stali nad jego grobem, miałem dosłownie uczucie, jakby to mnie spuszczano w dół. Był przecież moim drugim ja — nawet w historiach z babami mnie naśladował. Poza tym: był Aryjczykiem. A na Aryjczyków porywałem się tylko w ostateczności. Ale Barbu sam sobie wykopał grób...

Twarz małopoluda zrobiła się popielatoblada, prawdopodobnie siły go opuszczały. Chwyć Hollriegla za ręce i szarpnięciem przyciągnął opierającego się do siebie. Ochryplym szeptem mówił dalej:

— ... ale i to obróciło się na dobre, jak zwykł mawiać Nachum z Ginzo. — Podziemny świat jest wspaniałą szatą dla kogoś, komu zapasy się kończą, napisano w Piśmie. — Czego jeszcze chciałem? Zrobić z Renu Jordan. — Jakże mówi o tym w swojej mądrości Szlomo? Oby twoje szaty zawsze były białe, a twej głowie nigdy nie brakowało oleju. — Wykończyłem Żydów, to prawda. Ale to było *brit ben habtarium*¹⁵. Wielka ofiara!... Wielka ofiara, którą złożyłem, to było *lechem Elohim*¹⁶... krew i tłuszcz, jak się należy — żeby Jahwe był

gruby i fabrykanci mydła też trochę zarobili!... Jest ktoś, kto jest o wiele silniejszy od Boga czosnkowych Śmierdzieli... Odyn! — A Hitlerleben to prawdziwy *Meszicha*¹⁷... Ojciec Ren i Ojciec Jordan — jak pan widzi, mam dwóch ojców... ale jest tylko Ha-Elohim i nim jest Odyn — Odyn jest także *El-Olam*¹⁸, tylko on, tylko on! — Hitlerleben musi się starać, być posłańcem bogów, prawdziwych, silnych bogów — a ja, Egmond Thor, dałem mu do ręki Mjollnir¹⁹, który ciska gromy... bomba spadła na Londyn, stolicę masonów i Żydów, dziwkę babilońską siedzącą nad wodami... dałem też Fuhrerowi wielki atomowy młot, ażeby zmiażdżył tych szalbierzy, tych arcyłotrów, co sięgnąć chcieli po władzę nad światem, tych czosnkowych Śmierdzieli... Meszicha pobił nieprzyjaciół ludu wybranego, którym są Niemcy... a tą wielką bombą był Odyn, który zabił małego Jahwe — i Jahwe wypluł z siebie wszystkie dziesięć *sefirot* i zdechł... Jahwe zdechł, słyszy pan? — Umarł na zawsze!... Każda *sejira* jest martwa — Keter, Chochma, Bina, Gedula, Din, Tiferet, Necach, Hod, Jessod, Malchut²⁰ — wszystkie są martwe! Odyn rozbił naczynia — i nastąpił nowy

¹⁵ *Brit ben habtarim (hebr.) — dosłownie: przymierze między połowami; forma przymierza na starożytnym Wschodzie: zawierający je przechodzą kolejno między połowami rozciętych zwierząt, (por. Genesis 15, 17-18)*

¹⁶ *Lechem Elohim (hebr.) — chleb (ciasto) Boga.*

¹⁷ *Meszicha (hebr.) — Namaszczony, tu: Mesjasz.*

¹⁸ *El-Olam (hebr.) — Bóg Wieczny, dosłownie: Bóg Świata.*

¹⁹ *Cudowny młot boga Thora.*

Cimcum²¹... królestwo Azów w całej swej świetności — *keli-pot*²² zostały wypocone, a ja mogłem się do tego przyczynić — ja, mały Naftali Stern, zwany Żółtym... ziarenko soli w oceanie... mogłem się do tego przyczynić...

Umierający znów począł wic się w straszliwych kurczach.

Tym razem wydawało się, że bóle, które go chwyciły, już go nie puszcza. Ciałem wstrząsały drgawki, dłonie błędziły bez przerwy po pościeli — jak wycieraczki w samochodzie, pomyślał Hóllriegl. Twarz była złana potem. Wargi poruszały się mechanicznie, słowa jednak ugrzęzły w gardłowym charakterocie.

Cóż można było jeszcze tutaj zrobić? Hóllriegl podniósł się i niezdecydowany postać jeszcze przez chwilę. Koniec był pewnie bliski. Zawołać służącego, lekarza! Coś zrobić! I nagle uczucie niepokoju, które opanowało go podczas spowiedzi Żyda, zmieniło się w głębokie przeświadczenie o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Dlaczego właśnie jego wybrano, by wysłuchał spowiedzi umierającego? Czy to przypadek, czy też wszystko było ukartowane i obliczone? To, że sprowadzono go tutaj, by przeprowadził badanie radiestezyjne, mogło być jedynie skutkiem pomyłki jakichś władz, które otrzymały nieprawdziwe bądź przesadzone dane. Tego rodzaju rzeczy się zdarzały. A może to nic był błąd, tylko pretekst? Albo coś innego, wymyślonego na jego zgubę? Czy chciano go sprawdzić? Chciano! Kto? Czy miał wrogów, ukrytych przeciwników? Czyżby znalazł się w szponach sądu kapturowego swojego zrzeczenia?

²⁰ *Sefirot (hebr.) — liczby — kabalistyczne wyobrażenie dziesięciu twórczych przymiotów Boga. (kolejno): Korona, Mądrość, Rozum, Wielkość, Sąd, Piękno, Wytrwałość, Majestat, Fundament, Królestwo.*

²¹ *Akt samoograniczenia się Boga.*

²² *Kelipot (hebr.) — dosłownie: skorupy — najgorsze resztki powstające w trakcie stworzenia poprzez rozsadzenie granic materii.*

Ponownie zdjął go strach, że wpadł w jakąś pułapkę. Kto jednak, na miłość boską, miałby interes w tym, żeby jego, ma-

tego, nieznanego, lojalnego towarzysza, zwabiać w pułapkę? Kto za tym stał — Eyckowie? Czyżby z powodów, których nie znał i nigdy nie pozna, chciano go skompromitować? Ale przecież rozkaz wyjazdu do Berlina wydano mu, jeszcze zanim odbyło się fatalne spotkanie z panią von Eyck. A może eksperyment u Eycków też zaaranżowano tylko po to, żeby go wystawić na pokuszenie? Czyżby przewidziano niefortunny koniec tej przygody? Czyżby władze były wszechwiedzące? A Anselma? Co z Anselmą? Zdawała się wiedzieć znacznie więcej, niż sądził...

W czasie gdy te pytania w gorączkowym pośpiechu przelatowały mu przez głowę, rozejrzał się na wszystkie strony. Czy już go otoczono? O tym, że willa jest pilnie strzeżona, przekonał się już wcześniej. Jak się stąd wydostanie? Próba ucieczki nie miałaby sensu. Poza tym: dokąd uciec? Lepiej więc zaczekać — zadzwonić na służącego.

Chory jęczał głośno i rzucał się na pościeli. Zdawał się znowu przywoływać Hollriegla, by zbliżył się do niego, lecz len nie zwracał uwagi na jego gorączkowe gesty.

W pokoju pojawił się służący — ten sam, który wprowadził Hollriegla — stąpając w bezszelestny sposób wydawało się tutaj najwyższym przykazaniem. Pochylił się nad chorym, zniknął równie nagle, jak się zjawił, i po chwili wniósł na tacy przygotowaną do iniekcji strzykawkę. Morfina? Hollriegl nabrał przekonania, że nikt go nie obserwuje.

Gdzie są drzwi? Odnalazł je, pozbierał swoje przyrzędy, nacisnął klamkę, drzwi łatwo się otworzyły. Za nimi stał strażnik.

- Skończył pan? — zapytał.
- Tak jest. — Co zresztą miał powiedzieć?

Strażnik zawiązał mu oczy czarną szarfą i powoli ruszył przodem. Hóllriegl, z ręką na ramieniu przewodnika, postępował za nim małymi, niepewnymi krokami. Tym razem droga była o wiele dłuższa — a może tak mu się tylko wydawało? Sam na sam ze swymi dzikimi myślami, Hollriegl poruszał się niczym posłuszny mechanizm. Na dole strażnicy pomogli mu wsiąść do samochodu.

Dokąd go teraz zawiozą? Samochód pędził w błyskawicznym tempie, a mimo to Hollriegl miał wrażenie, że jazda ciągnie się w nieskończoność. Jego myśli bez przerwy kręciły się w kółko... Eyckowie... Hirnchristl... Anselma... małpolud... Ulla... Schwerdtfeger... Anselma... małpolud... Ulla...

Kiedy kazano mu wysiadać, stwierdził z ulgą, że samochód zatrzymał się przed pensjonatem Zweenemann.

Było wpół do dziewiątej, może zastanie jeszcze Hirnchristla w biurze. Cała ta sprawa nic dawała Hollrieglowi spokoju — chciał natychmiast złożyć meldunek, a zarazem zażądać wyjaśnień. (Hirnchristl na pewno będzie udawał głupiego). Szkoła Kontroli Powietrznej i Ochrony przed Promieniowaniem — tak nazywał się ów urząd. Znalazł numer telefonu, wybrał.

— Tu wartownik przy bramie Tiergartenstrasse cztery.

— Heil Hitler! Proszę mi dać ostufa Hirnchristla, jeśli jest jeszcze w budynku.

Żadnej odpowiedzi. Hollriegl usłyszał odległy gwar głosów, jakieś śmiechy.

— Mówi pan, że jak miałby się ten człowiek nazywać?

— Obersturmfuhrer Hirn-christl. Literuję...

— Fantastyczne nazwisko, nigdy o takim nie słyszałem.

W jakim urzędzie pan obersturmfuhrer miałby pracować?

Brunatna rapsodia

— Kontrola Powietrzna i Ochrona przed Promieniowaniem.

— Chwileczkę! — Odległy śmiech przerodził się w przybierającą na sile i słabnący ryk. W słuchawce rozległ się znowu głos. — Obersturmfuhrer Jchirn-kristell w tutejszym urzędzie zupełnie nic znany. Żaden pan o takim nazwisku nigdy tu nie pracował. Na pewno zaszła jakaś pomyłka. Heil!

Hollriegl — oniemiały ze zdumienia — odłożył słuchawkę na widelki. Był wściekły. Co to wszystko miało właściwie znaczyć, czy chciano sobie zakpić z niego? Nie pozostało nic innego, jak nazajutrz sprawdzić całą sprawę dokładniej, i to na miejscu. Czyżby ten Hirchristl był tylko wytworem jego wyobraźni?

Hollriegl usiadł przy biurku i swym czytelnym pismem zaczął sporządzać raport. Nic wyszedł jeszcze poza pierwsze linijki, gdy zaterkotał domowy telefon. W słuchawce odezwał się gruby, ochryply głos: pani Zweenemann.

— Proszę zejść do jadalni na zbiorowe oglądanie telewizji — specjalne orędzie do narodu z Rady Rzeszy... transmisja rozpocznie się za kilka minut.

Jadalnia okazała się pustym, z przesadnej oszczędności słabo oświetlonym pomieszczeniem z obitymi ceratą stolikami. Na każdym z nich stał identyczny tani wazon ze sztucznymi kwiatami. Paru gości pensjonatu siedziało już w milczeniu na ustawionych rzędami krzeselkach, pozostali nadciągali powoli, dygocąc z zimna. Panowie bez wyjątku wyglądali na wujaszków z prowincji (i pewnie nimi byli), panie przypominały z wyglądu urzędniczki z poradni świadomego macierzyństwa. Wszyscy mieli zatroskane, nieprzystępne miny, większość nosiła żalobę narodową. Hollriegl, który był w mundurze, stanowił jedyną

barwną plamę pośród czerni i szarości otoczenia — tych podobnych do siebie ludzi o przemęczonych twarzach.

Na niebieskawo migocącym ekranie — odbiornik stał na postumencie pod udrapowanym czarną krepą portretem Fuhrera — pojawiały się kadry z Rady Rzeszy, które komentował telewizyjny sprawozdawca gadający bez chwili przerwy przyciszonego głosem. Oko kamery obmacywało jak zwykle ogromną Salę Hołdowniczą, która miała kształt starogermańskiej sali biesiadnej i ozdobiona była tarczami, rogami, słomianymi kołami szczęścia i historycznymi sztandarami zrywu narodowego. Tutaj w ostatnich latach zapadały najdonioślejsze decyzje dla dziejów świata — sama Sala stanowiła wzorzec dla setek tysięcy sal wspólnotowych jak Wielkogermańska Rzesza długa i szeroka. Widok ten niezmiennie napełniał Hollriegla entuzjazmem. W tej sali ożywała przeszłość wielkiego narodu, to, co szlachetne, tradycja postawy i ducha, odwiecznych wzorów i dostojnych przodków.

Radcy Rzeszy zajmowali swoje miejsca zgodnie ze ściśle ustalonym porządkiem; według rangi i nazwiska kierowano ich od drzwi wejściowych ku podwyższeniu. W pobliżu wejścia siedziały rangi niższe, bliżej podwyższenia rangi wyższe i najwyższe. Umieszczona wysoko kamera śmiałymi zmianami kierunku i ujęciami z góry wyławiała co chwila kogoś z możliwych Rzeszy. Miejsce na podwyższeniu było jeszcze puste. Nad nim zasłonięty flagą państwową portret Fuhrera, a powyżej złoty orzeł Rzeszy. Przed podwyższeniem stali dwaj wartownicy, jakby odlani z czarnego spiżu, trzymając w rękach osieroczone sztandar Fuhrera. Niezwykły widok przedstawiali liczni SS-mani, z zawieszonymi na szyi pistoletami laserowymi, które wyglądały niczym instrumenty optyczne. Stali na posterunku

za ławami majordomów — niby nieruchome idole władzy, jakiej nigdy dotąd nie było na Ziemi.

Kiedy komentator robił przerwę, żeby wziąć oddech, słychać było tylko chrząknięcia i trzeszczenie ław. Nikt nie śmiał odezwać się choćby słowem, wszyscy czekali z zapartym tchem, co nastąpi. Zebrała się, zwana zazwyczaj „fylgd“ albo „hird“, arystokracja krwi Imperium Germańskiego; pewnego chorego wasala wniesiono nawet na noszach. Radcy Rzeszy — jak każdy mógł zauważyć, nie byli w komplecie — zajęli właśnie miejsca w ławkach otaczających półkolem podwyższenie dla Fuhrera, aby, jak oświadczył komentator drżącym z czolobitności głosem, wysłuchać orędzia, które będzie decydujące dla dalszych losów ludzkości. Posiedzenie transmitowały wszystkie wielkie sieci telewizyjne na świecie, anteny kierunkowe i stacje przekaźnikowe przesyłały dźwięk i obraz do najbardziej odległych miejsc na kuli ziemskiej. Chcąc pokazać, że sesja Rady Rzeszy posiada globowe znaczenie, na duży ekran w sali rzucano ujęcia z odbywających się jednocześnie wielkich wieców w Rzymie, Madrycie, Paryżu, Nowym Londynie, Corpus Christi, Buenos Aires i Pretorii i miksowano je w bezpośredniej transmisji. Widziało się pozujące przed kamerami historyczne wielkości: wodza Republiki Bretońskiej Deata i sędziwego Lavała, Vidkuna Quislinga, generała Własowa i Sir Oswalda Mosleya, kanclerza Burgundii, Leona Degrelle'a, Caudilla, następcę Mussoliniego Vinciguerrę i przewodniczącego Rady Trzech Ku-Klux-Klanu senatora Brada „Gusto“ Fazlollaha. Pokazywano również zdjęcia z apelu w sali ceremonii na zamku Wewelsburg w pobliżu Paderborn, gdzie zwołał swoich wasali namiestnik terenów zachodnich Opferkuch. Malowniczy widok przedstawiał Wschód; pojawiły się więc sceny z zebrania na-

Brunatna rapsodia

czelników okręgów lennych Rzeszy na Kremlu i z dokonywanego pod gołym niebem przeglądu wojska, które esauł Pszyszcze, naczelny ataman Autonomicznych Włości Kozackich na Kubaniu, zwołał do stolicy, Mazepy, przy czym całe sotnie przejeżdżały przed esaułem w świetle reflektorów.

Kiedy zabrzmiały lury — była to nie słyszana jeszcze do-
tąd intrada — oczy wszystkich zwróciły się w stronę głównego wejścia naprzeciwko podwyższenia. Zapłonęły jupitery. W tej samej chwili do sali wkroczył szczupły mężczyzna w nieokreślonym wieku, bez żadnej świty. Nie nosił żadnego zarostu, miał wpadnięte policzki oraz małe usta, tak jakby brakowało mu zębów. Cera była żółtawa, skórzasta, sztucznie opalona, włosy cienkie i rzadkie, bezbarwne, daleko cofnięte z czoła. Mężczyzna nosił oficerki i zwyczajny, czarny, nie najlepiej leżący na nim mundur SS bez żadnych dystynkcji. Ruchy miał wprawdzie wojskowe, lecz pozbawione typowej zamaszystości. Na jego powitanie wystrzelił w górę łas wyciągniętych ramion, głowy możliwych Rzeszy i majordomów obróciły się w jego stronę, gdy przeszedł szybkim krokiem z uniesioną prawą ręką przez szpaler wasali kierując się ku podwyższeniu. Pod pachą trzymał teczkę. Hollriegl spostrzegł ze zdziwieniem, a nawet z wahaniem i wstrętem, jakby dotykał czegoś niebezpiecznego i obrzydliwego zarazem, że czarni drągale przygotowali swoje lasery do strzału.

Nagle rozległ się młodzieńczy głos, jasny i fanatyczny był ów okrzyk, który wzbił się w górę i odbił wielokrotnym echem od sklepienia sali: — Heil Kopler! — Owacyjnymi, nie kończącymi się wiwatami zawtórowali mu wasale z Rady Rzeszy, sala zatrzęsała się w posadach, a z chaosu dzikich, ekstatycznych okrzyków wyłonił się masowy chór, który rytmicznie skandował: — Kopf-ler! Kopf-ler! Kopf-ler! Kopf-ler! — Szczupły

mężczyzna wydawał się nie zwracać uwagi na tę szaloną owację. Przez dłuższy czas stał przed przewiązanim krepą sztandarem Fuhrera w cichej żałobie. Następnie zajął miejsce na podwyższeniu i natychmiast naszpikowany kamerami żuraw podjechał do niego i w błyskawicznie zmieniających się ujęciach zaczął pokazywać jego postać, twarz i tanią z wyglądu (znoszona) plastikową teczkę. Postawa, jaką Kopfler przybrał na podwyższeniu, sprawiała wrażenie co najmniej dziwne; wyglądało to tak, jakby w każdej chwili gotów był zerwać się z miejsca.

Kim był ten człowiek? Wszyscy znali jego wysoką rangę, jego zasługi, jego kluczową pozycję w partii; wiadomo było także, iż należał do najwierniejszych paladynów Fuhrera. Skąd, z jakich mroków przybył, nikt dokładnie i z całkowitą pewnością nie potrafiłby powiedzieć. Mówiono, że pochodzi z Chorwacji, na co wskazywało również jego imię: Ivo, i jak bezrobotny buchalter przyłączył się do ruchu w „latach hańby“ (chodzi o okres po Wersalu). Już w randze standartenfuhrera SA wziął aktywny udział w rewolcie Rohma, ale nie został rozstrzelany na miejscu, lecz skazany — wraz z innymi spiskowcami — wyrokiem specjalnego trybunału Sądu SA na śmierć przez ścięcie — w więzieniu przybrał wtedy przydomek Kopller, jak nazywano kandydatów do ścięcia toporem. W ostatniej minucie, Kopfler miał już na sobie papierową koszulę, dostąpił cudownego wybawienia: z nieznanых i niedocieczonych powodów został zwolniony z więzienia przez ówczesnego szefa sztabu SA — był nim Lutze — i przekazany Fuhrerowi „do szczególnych poruczeń“. Dalszą drogę życiową Ivo Kopllera — tymczasem przeszedł do SS — osnuwała mgła tajemnicy. Dopiero na froncie, kiedy zainicjował słynną, skierowaną prze-

ciwko partyzantom jugosłowiańskim operację „Leśny Diabeł“, znowu zrobiło się o nim głośno. Ową wojnę podjazdową prowadził z takim fanatyzmem i z tak bezprzykładnym okrucieństwem, że od tamtej pory jego nazwisko było niemal otoczone legendą, zwłaszcza wśród kadr Werwolfu. Wkrótce potem Kopfler znów zniknął z horyzontu. Mówiono o nim, że jest jedną z szarych eminencji, a w najwyższych władzach partyjnych nazywano go „zacieraczem śladów“. W opinii ludu żył jednak dalej jako Leśny Diabeł, ceniono także jego azowe imię „Hełm Grozy“ („Oegishjalnr“ z pieśni *Eddy*). Ostatnio, jeszcze za Martina Bormanna, jako jego szef sztabu i najbliższy powiernik, pracował nad likwidacją urzędu zastępcy Fuhrera, a po śmierci Bormanna — jak już wspomniano — awansował na wszechmocnego reichsleitiera, szefa Kancelarii Rzeszy i ministra bez teki. Była to, jak dotychczas, najszybsza i najbardziej stroma kariera w Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej!

Wszystko to przemknęło Hollrieglowi przez głowę, gdy — podobnie jak inni goście pensjonatu — stał przed telewizorem na baczność z uniesioną do góry prawicą. Entuzjastyczna wrzawa w sali biesiadnej Rady Rzeszy z wolna się uciszyła, choć pojedyncze dziarskie okrzyki wciąż jeszcze odbijały się w pomieszczeniu przenikliwym echem. Widać było, jak Kopller wyciąga z teczki taśmę magnetofonową, podaje ją — siedząc — ministrowi oświecenia publicznego i propagandy, który własnoręcznie i z wszelkimi oznakami czci zakłada ją do przygotowanego w tym celu magnetofonu. Po tumultie, jaki panował jeszcze przed chwilą, cisza, która zaległa jak na komendę, wydawała się jeszcze bardziej uroczysta i niesamowita. I oto głos Fuhrera wypełnił teraz ogromną salę, docierając zarazem do wszystkich zakątków świata poza granicami Rzeszy. Brzmiał

mocno jak zawsze, a wasale słuchali go, zastygli w małych grupach, z otwartymi ustami.

„Narodzie Niemiecki! Czuję, że zbliża się moja ostatnia godzina. Wkrótce złożę w Walhalli meldunek o swoich czynach i o dokonaniach okrytego chwałą Narodu Niemieckiego. Od czasu gdy w 1914 roku jako ochotnik zaangażowałem swoje siły w pierwszej, narzuconej Rzeszy, wojnie światowej, upłynęło pół wieku. W ciągu tych pięciu dziesięcioleci kierowałem się we wszelkim swoim myśleniu, działaniu i całym swoim życiu jedynie miłością i przywiązaniem do mojego ludu. One dawały mi siłę do podejmowania najtrudniejszych decyzji i rozwiązywania najtrudniejszych zadań, jakie dotąd nie stały przed żadnym śmiertelnikiem. Owocem wszelkich moich wysiłków w celu wywalczenia dla Narodu Niemieckiego należnego mu miejsca pod słońcem było najświetniejsze w naszych dziejach zwycięstwo, zwycięstwo, jakiego nie zdołał nigdy jeszcze odnieść żaden naród. Zwycięstwo to na zawsze położyło kres panowaniu owych międzynarodowych polityków, którzy albo sami byli żydowskiego pochodzenia, albo działali w interesie Żydów. Dałem rozkaz wymazania międzynarodowego żydostwa z oblicza ziemi, wydałem także rozkaz, ażeby te nacje, które stały się pomocnikami Żydów w ich ogólnoświatowym spisku, wraz z wszelkimi elementami niższej rasy — kolorowymi, czandalami i małopoludami — zostały po wieczne czasy poddanyymi germańskiego narodu panów, powołanej do panowania nad światem niebieskookiej blond rasy, i wszystkich tych, co stanęli po naszej stronie i ponieśli w walce o zwycięstwo ogromne ofiary.

Umieram z radosnym sercem, pomny nadzwyczajnych czynów i osiągnięć naszych żołnierzy podczas ostatniej wojny,

Brunatna rapsodia

Świadom gigantycznej pracy organizacyjnej partii i wszelkich jej ogniów w czasach pokoju, wzruszających dokonań naszych kobiet i matek — umieram z radością, świadom osiągnięć naszych chłopów i pracowników umysłu i dłoni, a także niepowtarzalnego w całej historii zaangażowania młodzieży, która nosi moje imię. To, że wypowiadam pod adresem ich wszystkich płynące z głębi serca podziękowania, jest równie oczywiste jak moje życzenie, ażeby także w czasach pokoju w żadnym wypadku nic zaniechać walki, lecz prowadzić ją nadal przeciwko wrogowi, gdziekolwiek i kiedykolwiek podniesie głowę, choćby nawet w naszych własnych szeregach, z tym samym fanatycznym poświęceniem i zdecydowaniem, które stały się symbolami naszego ruchu. Dowódcom naszej armii w Rzeszy, na ziemiach okupowanych i w terytoriach zamorskich, Kriegsmarine, Luftwaffe oraz opromienionej już pierwszą sławą żegludze kosmicznej rozkazuję wzmacniać wszelkimi dostępnymi środkami morale wojska w duchu narodowosocjalistycznym. Partii oraz wszystkim podległym jej organizacjom, od ministra Rzeszy po najmłodszego pimpfa, rozkazuję świecić wojsku przykładem i dzień i noc trwać w gotowości bojowej, gdyby znowu miał nadejść czas próby. Bądźcie czujni, niemieccy mężczyźni i niemieckie kobiety! Widzę, jak na Dalekim Wschodzie zbierają się groźne chmury. Jak się wydaje, klika zdrajców próbuje tam oderwać od naszego boku bohaterски naród japoński, który ramię w ramię z nami wywalczył to zwycięstwo i rządzi teraz Chinami i Mongolią, Pacyfikiem oraz piątym kontynentem — Magna Iaponica. Odnieśliśmy największe zwycięstwo w historii niemieckiej oraz w dziejach świata, lecz ważne jest, by zachować owoce tego chwalebne go czynu i otworzyć tysiąclecie, które jeszcze późne pokolenia nazywać będą he-

roicznym.

Ażeby również wewnątrz umocnić i zabezpieczyć trwanie Narodu Niemieckiego i cywilizacji zachodniej, przed swoją śmiercią wykluczam z partii dotychczasowego marszałka Rzeszy Tycho Unselda, niegodnego następcę mego zmarłego towarzysza frontowego Hermanna Goringa, i pozbawiam go wszelkich praw, jakie mogą wynikać z dekretu z 29 czerwca 1951 roku, jak również z mojego oświadczenia w Radzie Rzeszy z 1 września 1953. Na jego miejsce powołuję reichsleitiera Ivo Kopflera, po mojej śmierci Fuhrera partii i państwa, który ze skutkiem natychmiastowym obejmie także naczelne dowództwo niemieckich sił zbrojnych na wodzie, lądzie, w powietrzu i w przestrzeni kosmicznej.

Przed swoją śmiercią wykluczam nadto z partii i pozbawiam wszelkich urzędów państwowych dotychczasowego reichsfuhrera SS i ministra spraw wewnętrznych Manfreda Diebolda. Na jego miejsce mianuję reichsfuhrerem SS i szefem Policji Niemieckiej gauleitera Gernota Firbasa, a ministrem spraw wewnętrznych gauleitera U we Heckrotha. Unseld i Diebold dopuścili się dowodnie zdrady narodowej próbując wielokrotnie podkopywać mój autorytet, rozkładać światopoglądową orientację partii i Wehrmachtu, siać niezgodę i wbrew prawu przechwycić władzę w państwie. W ten sposób wyrządzili nieobliczalne szkody całemu narodowi, a w szczególności nosicielce jego politycznej woli, Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej, nie wspominając o wiarołomstwie w stosunku do mojej osoby. Ogłaszam obydwu zdrajców za wyjętych spod prawa i nakładam na ich ród areszt i odpowiedzialność zbiorową. Gały majątek wyzuty z czci i honoru przepada na rzecz Skarbu Rzeszy.

Brunatna rapsodia

Ażeby dać Narodowi Niemieckiemu prężny rząd składający się z ludzi czynu, który wypełniłby obowiązek ochrony Imperium Germańskiego i pozostających pod jego opieką nacji przed każdym wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym, jako Fuhrer Rzeszy mianuję z dniem dzisiejszym następujące osoby członkami nowego gabinetu: mego następcę marszałka Ivo Kopllera szefem partii z uprawnieniami prezydenta Rzeszy, kanclerza i ministra wojny; sekretarza stanu Gandolfa Henkego ministrem spraw zagranicznych; gauleitera Uwe Heekrotha ministrem spraw wewnętrznych; prezesa Trybunału Narodowego doktora Dietera Loeffelholza ministrem sprawiedliwości; prezesa Fizyczno-Technicznego Instytutu Rzeszy Jorga Luykena ministrem nauki, wychowania i oświaty; obergruppen- fuhrera SS Karlmana Hassenteufela ministrem oświecenia publicznego i propagandy; prezesa Centralnego Banku Rzeszy Adelberta von Bergiusa ministrem finansów; gauleitera Gernota Firbasa reichsfuhrerem SS i szefem Policji Niemieckiej; komisarza Rzeszy do spraw pracy na niemieckich terenach wschodnich Gerda Landsittla ministrem świadczeń pańszczyźnianych; radcę gabinetu Rzeszy Heimo hrabiego Neckartailfingena ministrem gospodarki; właściciela zagrody dziedzicznej brigadefuhrera SS Ernstwaltera Sauselego ministrem wyżywienia i rolnictwa; generała-pułkownika wojskowej służby medycznej i szefa wszystkich projektów doświadczalno-badawczych w obozach dla podludzi doktora Wilfrieda Dodeshonera ministrem zdrowia narodu; generała-lejtnanta Wolfa von Rudeloffa ministrem zbrojeń; obergeneralarbeitsfuhrera Dietricha Herklotza ministrem pracy; generalnego inspektora niemieckiego drogownictwa Kurta Tucholkego ministrem komunikacji; brigadefuhrera SS Giselhera Weidanza ministrem stanu i szefem Kancelarii Rzeszy; gebietsjungvolk-

fuhlera doktora Hatto Lienharda ministrem gospodarki przestrzennej; prezesa Centralnego Urzędu Pocztowego Rainera Wirtha ministrem poczty; dyrektora departamentu Tankreda von Westerfrolkego ministrem stanu oraz szefem kancelarii prezydenckiej Fuhlera i kanclerza Rzeszy; reichsleitiera barona von Wittdorpa ministrem bez teki i prezesem Tajnej Rady Gabinetowej; a także hauptdienstleitiera Gottholda Auffahrta ministrem do spraw wyznań. Nominacje wchodzi w życie z dniem ich ogłoszenia przez towarzysza Kopflera. Dla nie wymienionych, ustępujących ministrów, którym składam niniejszym podziękowanie w imieniu własnym i narodu, znajdą się inne odpowiedzialne zadania.

Niech nowi ludzie będą twardzi, ale nigdy niesprawiedliwi. Niech ustanowią śmiałość i odwagę doradcami w swoim działaniu i stawiają honor narodu ponad wszystko. Niech zawsze będą świadomi tego, że nasza misja zabezpieczenia kultury zachodniej pod germańskim panowaniem po wsze czasy jest pracą na przyszłe stulecia, która zobowiązuje każdego do nieustannej służby dla wspólnego dobra i wobec tego stawiania własnych korzyści na dalszym miejscu. Od wszystkich towarzyszy narodowych, wszystkich narodowych socjalistów, mężczyzn i kobiet, od wszystkich żołnierzy Wehrmachtu domagam się wierności i posłuszeństwa nowemu Fuhrerowi, mojemu następcy, i jego rządowi na śmierć i życie. Przede wszystkim zobowiązuję kierownictwo narodu i całą wspólnotę narodową do ścisłego przestrzegania praw rasowych i dawania bezlitosnego oporu tym wszystkim, którzy są głusi na dobrodziejstwa Nowego Porządku, próbują go podkopać, a tym samym stawiają pod znakiem zapytania trwanie i rozwój kultury zachodniej. — W Berghofie koło Berchtesgaden, 3 listopada 196...“

Tłumacze w swych dźwiękoszczelnych kabinach przekazywali we wszystkich językach świata fragmenty mowy Fuhrera, przy czym słowa oryginału wciąż nakładały się na tekst przekładu. Ledwo przebrzmiało orędzie Hitlera, Kopfler zerwał się z miejsca i powiedział wysokim, ostrym głosem — duże zbliżenie pozwoliło dostrzec jego magnetyczny wzrok:

— Towarzysze narodowi i partyjni! Wykluczeni przez Adolfa Hitlera z partii i pozbawieni swych urzędów, byli członkowie Rady Rzeszy Unseld i Diebold zbiegli i przebywają obecnie w nie znanym jeszcze miejscu. Jako gwarant porządku i bezpieczeństwa, któremu powierzono kierowanie partią i Rzeszą, rozkazuję wszystkim podwładnym w partii i w Wehrmachcie, a ponadto każdemu towarzyszowi narodowemu z osobna, odnaleźć zbiegłych zdrajców ojczyzny i albo ich przekazać jurysdykcji Rzeszy, albo, jeśli wymagać tego będzie sytuacja, niezwłocznie wykonać wyrok na miejscu.

Prócz tego, by zagwarantować natychmiastowe wykonanie moich rozkazów, zwalniam gauleitera Gernota Firbasa, wyznaczonego zgodnie z ostatnią wolą Adolfa Hitlera na stanowisko reichsfuhrera SS i szefa Policji Niemieckiej, z jego obowiązków i sam przejmuję wymienione agendy aż do odwołania.

Poza tym biorę pod swoją osobistą komendę wszystkie jednostki Werwolfu.

Zmarły Fuhrer i założyciel imperium będzie miał grób w Kyffhauser. Dokładny termin pogrzebu nie został jeszcze ustalony, podany będzie do publicznej wiadomości w stosownym czasie. Do tego niezbyt odległego dnia obowiązuje nadal w pełnym zakresie zarządzona przeze mnie żałoba narodowa w granicach Wielkogermańskiej Rzeszy oraz we wszystkich jej protektoratach i na terytoriach granicznych.

Heil Deutschland!

Ponownie grzmiące, nie kończące się wiwaty. „Heil Kopfler!“, „Heil nowy Fuhrer! „Heil Germania! Podczas przemówienia Kopflera bezpośredni przekaz dla sieci świata pozaniemieckiego został wyłączony. Tam mówili teraz do swoich narodów lokalni przywódcy wyższego i niższego szczebla.

Z takim entuzjazmem pieśni narodowe śpiewane były jedynie we wczesnym okresie wielkich zwycięstw. Upojony dumą i szczęściem Hollriegl wrócił do swojego pokoju. Wielką biesiadę, jaka miała miejsce w Radzie Rzeszy po każdym posiedzeniu — na pamiątkę dawnych wieczorów w „Burgerbraukeller“ należała ona do rytuału Budzenia Narodu — podarował sobie. Także pozostali goście pensjonatowi się rozeszli, nikt nic odezwał się nawet słowem. Z podniecenia długo nie mógł zasnąć. Dopiero bardzo późno dotarło do jego świadomości, że niejedno z tej manifestacji nappełniło go ukrytym wstrętem, a nawet strachem i zgrozą.

Naftalina

Ever have I been, and shal, how-so I wende,

Outher to live or dye, your humble trewe;

Ve been to me my ginning and myn ende,

Sonne of the sterre bright and clere of hewe,

Alwey in oon to love yow freshly newe,

By god and by my trothe, is myn entente;

To live or dye, I wol it never repente!

Zawsze byłem i będę, gdziekolwiek się zwrócę,

Czy żyć będę, czy umrę, twym wiernym podnóżkiem;

Ty dla mnie jesteś bowiem początkiem i końcem,

Czystością barw i jasnym pośród planet słońcem,

W tym tylko cel swój widzę: kochać cię wciąż na nowo,

*Bogiem się klnę i przysiąc mogę na mą głowę,
Czy Żyw będę, czy martwy, nie będę tego żałował!*
przypisywane Chaucerowi

Stało się coś zagadkowego. Było to wczesnym rankiem, Hollriegl przepisywał właśnie swój raport na czysto, gdy zadzwoniła Anselma. Uprzedziła jego telefon, co w pierwszej chwili wprawiło go w nagłe upojenie. Jej głos brzmiał szorstko, ze zdenerwowania kilka razy nawet się przejęzyczyła. Zaproponowała, że mogą zjeść razem obiad, co do wieczoru nie jest jeszcze niczego pewna. A ponieważ ma mało czasu, będzie na niego czekać w kantine MSZ-etu.

— Jeśli obowiązki służbowe na to pozwolą, zobaczymy się też wieczorem: u mnie na chińskiej wieczerzy. Wówczas niech pan nie omieszka przynieść swojego wahadełka...

Hollriegl czuł się podekscytowany, cicho pogwizdywał przez zęby. Przygoda, niczym więcej to przecież nie było, toczyła się dalej.

Do swej „dorywczej“ sympatii, pracującej w Heydrich damskiej fryzjerki, napisał parę pogodnych słów, podobnie do Kumernussa. Ale w pogodnym nastroju właściwie nie był. Następnie wsiadł do samochodu i pojechał na Tiergartenstrasse 4. W dalszym ciągu było pochmurno, tyle że właściwie już nie padało. Wyglądało na to, że ruch jest teraz mniejszy. Podniósł się zimny wiatr, który dobrze mu robił. Berlińska pogoda, taka jaką lubił.

Strażnikowi w T4 powiedział tylko, że chce się widzieć z kimkolwiek ze Szkoły Ochrony przed Promieniowaniem. Jeszcze na schodach, kiedy mijał nieruchomych wartowników, był absolutnie pewien, że zastanie Hirnchristla. Kazał się zameldo-

wać i musiał chwilę poczekać. W końcu poproszono go do środka. Przy biurku z trzema telefonami urzędował młody, rezolutny z wyglądu człowiek w cywilu, który oświadczył surowym, opryskliwym tonem, że nic zna żadnego obersturmführera Hirnkristella (jak dziwnie ludzie tutaj wymawiali to nazwisko!).

— Pełnię tutaj służbę od wczoraj; mój poprzednik nazywał się Pribilla.

Przy tak rozmyślnym uporze jakiegokolwiek próby nacisku mijały się raczej z celem. Maszynistka była jeszcze chyba ta sama co wczoraj, a może inna? Wszystkie wyglądały jednakowo. Kobieta z tępym wyrazem twarzy omijała go wzrokiem, tak że stracił wszelką ochotę na zagadywanie jej. Raport zostawił w kieszeni, mruknął jakieś przeprosiny (co mógł sobie podarować, gdyż nikt już nie zwracał na niego uwagi) i podał przepustkę do podstemplowania. Wyszedł bez pożegnania, wydawał się sobie jakby zagubiony. I znów, tym razem z wyjątkową siłą, ogarnęło go uczucie nieokreślonego zagrożenia. Przyspieszył kroku. Karteczkę z adresem Gundlfingera miał jeszcze przy sobie. Przynajmniej ona była czymś namacalnie rzeczywistym.

W korytarzu pensjonatu spotkał panią Zweenemann; miała zaczerwienione oczy i na jego widok spuściła wzrok. Hóllriegl w łobuzerski sposób zagadnął ją i zachęcił do mówienia. Jej brat, opowiadała szeptem, zacinając się, wczoraj w południe zniknął bez śladu. Człowiek punktualny jak zegarek. I taki akuratny! (Po śmierci męża razem z nim właśnie prowadziła pensjonat). Brat zamierzał pójść do pobliskiej filii Reichsbanku, żeby podjąć pieniądze — od tamtej pory wszelki słuch o nim zaginął. W banku podobno go nie widziano.

— Ci ludzie w banku tacy byli zmieszani i udzielali tak sprzecznych informacji, że z miejsca poszłam na policję — pieniądze nie zostały podjęte. W komisariacie potraktowano moje zgłoszenie zaginięcia obojętnie, nawet mnie porządnie nie wypytano. Oni zabrali Alberta, oni zabrali Alberta!

Ze strachu i zdenerwowania wdowa była mokra na twarzy, ręce jej mocno drżały, Hollriegl zauważył też, że co chwila wbija paznokcie w poduszki dłoni.

— Od soboty każdej godziny znikają ludzie — wyszeptą — zabierani są z miejsca pracy, a potem po prostu już nie wracają. Przeważnie znikają skromni ludzie, robotnicy, drobni urzędnicy... To dzieło Werwolu... — Rozejrzała się na wszystkie strony, mimo że jej głos był ledwo słyszalny. — Biedny, biedny Albert! Już nigdy go nie zobaczę!

W końcu wybuchnęła łkaniem.

Ludzie znikali bez śladu! I jeszcze coś go zaniepokoiło, coś, co nic miało związku z ostatnimi wydarzeniami. Już w lecie na całym terytorium Rzeszy i wszędzie w Europie zaczęło brakować wody pitnej i do celów użytkowych. Jakby nagle cała woda wyschła. Od dawna nie było takiego skwarne lata, a jesienią rozeszły się nawet pogłoski o katastrofalnych żniwach. Władze zarządziły najsurowszą oszczędność wody, a rygorów tych nie złagodzano nawet, gdy w połowie października zaczęły się obfite opady. W pensjonacie Hollriegl napotykał napisy z partyjnym rozkazem: „Towarzysze narodowi! Oszczędzajcie niemiecką wodę!” A kiedy po spotkaniu z panią Zweemannem wszedł do swojego pokoju, ujrzał powieszoną nad umywalką tabliczkę, na której było napisane, że między godziną 10 a 16 oraz między 20 a 4 rano woda będzie wyłączana aż do odwołania. Miednica była do połowy napełniona wodą

odelikatnym gliniastym odcieniu, a na półeczce stały dwie butelki wody mineralnej.

Jeszcze raz dokładnie przeczytał swój raport. Dla kogo go napisał? Pytanie to, powracające co chwila, zachwiało jego ufnością. Gdzie był porządek, gdzie był zdrowy świat? Czyżby kierownictwo zawiodło? Wydawano rozkazy, które zawisały gdzieś w powietrzu, w pustej przestrzeni. Co się działo, na miłość boską? Hóllriegl pamiętał słowo po słowie swoją rozmowę z Schwerdtfegerem. Potem rozkaz wyjazdu, on także był rzeczywistością. I list Anselmy: „Mam nadzieję, że nic będzie Pan zawsze stawiał na złego konia“. Anselma mogła przecież usłyszeć od Schwerdtfegera w trakcie jakiejś rozmowy, że on, Hóllriegl, otrzyma rozkaz wyjazdu do Berlina. Literacik bywał wszędzie, z pewnością także w MSZ-ecie — a Anselma była uroczą kobietą. Hirnchristl od razu wiedział, w czym rzecz; ktokolwiek wydał to polecenie — musiało ono iść drogą służbową, to było jasne. Potem spowiedź Żyda! (Hóllriegl niezupełnie ją przemilczał w swoim raporcie, lecz w zawoalowanej formie przedstawił jako wytwór chorej wyobraźni). W każdym razie posłano go tam o wiele za późno, lepiej by już pasował jakiś duchowny. Najprościej byłoby wsadzić raport do koperty i wysłać pod adresem odnośnej instytucji przy T4 — na los szczęścia. Niechby zrobili z nim, co uznają za stosowne. Dla niego misja była zakończona. A może powinien wtajemniczyć Anselmę? Tę myśl Hóllriegl odrzucił równie szybko, jak się pojawiła w jego głowie.

Krytycznym spojrzeniem ocenił swój wygląd w lustrze toaletki — podbite oko prezentowało się okazale w swej nie zmniejszonej krasie. Ulla! Ulla! Ona była stracona na zawsze, zanim jeszcze odważył się ją zdobyć. Gała ta historia była szaleństwem.

Musił wyrwać Ullę ze swojego serca, mimo że w dalszym ciągu pękało mu z bólu. Za to Anselmę może mógłby...? Była szwagierką Ulli, prawdziwą von Eyck. Byłoby to słodką zemstą na Ulli, gdyby on — gdyby Anselma! Serce zaczęło mu bić szybciej, kiedy pomyślał o pani Geldens, o jej wiotkim ciele, jej egzotycznej urodzie...

Czas dzielący go od spotkania spędził właściwie na niczym. W pewnym sensie obawiał się wychodzić. Czuł się jakby bezpieczniej w czterech ścianach. A może wbrew skierowaniu powinien przenieść się do innego hotelu, kilkakrotnie zmienić miejsce zamieszkania? Były to, oczywiście, zupełnie bezużyteczne pomysły — jeśli o n i chcieli kogoś zabrać, to zabierali.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych po odbudowaniu z ruin zbombardowanego gmachu wróciło do swej dawnej siedziby: Wilhelmstrasse 74-76. Hóllriegl musiał przebrnąć przez potrójny pierścień wartowników, wszędzie roiło się od SS-manów w popielatych nieprzemakalnych płaszczach. Kazał sobie wystawić przepustkę, zapytał o kantynę, po czym przeszedł na ukos przez dziedziniec wypełniony wozami pogotowia policyjnego i opancerzonymi samochodami rozpoznawczymi. Żołnierze demonstracyjnie obnosili swoją broń. W jednej z bocznych salek zadymionego, hałaśliwego lokalu odkrył Anselmę, dziecięcą i tajemniczą. Siedziała tam z jakąś młodą osobą, może koleżanką z biura, która, gdy Hóllriegl podszedł bliżej, wstała od stolika.

Przywitał się dziarsko, wywołując przelotny uśmiech na usta Anselmy. Dzisiaj wydawała się zimna i odległa, a może taką postawę narzucało nieprzytulne, półślužbowe otoczenie? Bez przerwy wlewały się i wylewały potoki ludzi. Przy długich stołach siedziały gromady głośno szczebioczących dziewcząt,

wiele z nich miało na sobie mundury, obsługa była rutynowa, same kelnerki. Jeśli nie liczyć ciemnych ubrań, żałoby dostrzegano się niewiele. Również wczorajsze posiedzenie Rady Rzeszy nie wywarło, jak się zdaje, żadnego wrażenia. Życie jętek jednodniówek toczyło się własnym trybem.

Tysiącsoobowa załoga ministerstwa musiała być nakarmiona w czterech półgodzinnych turach. Anselma oznajmiła od razu, że może zostać niewiele dłużej. Hóllriegl wykupił bloczek na obiad, jedli szybko, z rzadka zamieniając parę słów.

Najnowsze wydarzenia wprawiły go w takie poruszenie, że zapomniał o wszelkiej ostrożności, a nawet postępował wbrew instynktowi krycia się, który stał się jego drugą naturą. Hałas jedzących i gadających dookoła ludzi odczuwał jako kulisy ochronne. A może jednak był obserwowany? Mniejsza o to. Nieprzystępność Anselmy podniecała go; kiedy nie patrzyła w jego stronę, pożerał ją pełnym podziwu spojrzeniem. Uważał, że jest dzisiaj szczególnie urocza, a jej uroda w jakiś nieokreślony sposób sprawiała ból. Miała podkrążone oczy — co zatem robiła wczoraj w nocy? Również tej kobiety nie zdobędzie! Choć z drugiej strony telefon od niej uszczęśliwił go, na chwilę udało mu się zapomnieć o Ulli...

Kiedy skończyli posiłek, dotknął jakby niechcący jej ręki. Ponieważ jej nie cofnęła, ukrył jej dłoń w swojej. Ciepło jej krwi podniecało go.

— Strasznie panią lubię, Anselmo, chciałbym panią...

Spojrzał jej namiętnie w oczy, które nagle, tak mu się wydało, przybrały wyraz oddania. Pomimo wypełniającego jego serce uczucia zubożenia przestraszył się własnej śmiałości — po raz pierwszy nazwał panią Geldens po imieniu. Odruchowo przysunęła się na moment do niego, także dla niej

otoczenie zdawało się odpływać w dal. Ich twarze znalazły się blisko siebie. Dłoń Anselmy w jego ręce zaczęła dygotać, lecz już w tej samej chwili cofnęła ją.

— Sądzę, że kocha pan Ullę.

To był otwarty, bezpośredni atak.

— Tak... uwielbiam panią von Eyck... naprawdę ją uwielbiam. Niczym jakieś bożyszczce — skłamał, a zarazem nie skłamał Hóllriegl. — Cenię ją bardzo wysoko.

Umknął wzrokiem przed nie pozbawionym ironii spojrzeniem Anselmy. Naprzeciwko na ścianie widniał świeżo pokryty tynkiem, lecz czytelny jeszcze napis wymalowany ozdobnymi literami, jakie spotyka się w starych niemieckich winiarniach: „MYSLEĆ NA SPOSÓB ZACHODNI, DZIAŁAĆ JAK NIEMIEC“.

— Czego pan chce ode mnie?

Pytanie tchnące połyskliwym chłodem.

— Chcę pani! Pani mi się podoba! — Znów sięgnął po jej dłoń, którą przed chwilą cofnęła. — Kocham panią, kocham panią! Kocham w pani wszystko, pani siłę, pani rasę, pani od — z panią mógłbym być szczęśliwy. Nigdy nie byłem szczęśliwy, odkąd pamiętam. Promieniuje z pani moc, zwycięska ufność! Dzięki pani czuję się silny i pełen wiary. Jest pani wspaniałą kobietą! Jest pani inna niż pozostałe kobiety... taka niezwykła... prawdziwa władczyni!

Czuł, jak oklepane są te słowa, lecz jego głos brzmiał na skutek podniecenia głęboko i boleśnie.

Anselma mierzyła go uważnym spojrzeniem, uśmiechała się słysząc tyle naiwnych komplementów, jej oczy spoczywały na nim bez przerwy.

— Obawiam się, że nie jestem właściwym obiektem dla pańskich pragnień. Jestem oschła, nie taka romantyczna. A pan

jest człowiekiem starej daty, lubi pan wyjeżdżać z uczuciami. Ale pan mi się też podoba, spodobał mi się pan już w Radebeul, wtedy, kiedy nie widział pan nikogo, tylko Ullę — a jednocześnie mi się pan nie podoba. Jest pan zbyt miękki, za dużo pozwala pan sobie narzucać — to wbrew naszej krwi i rasie, nie pasuje do naszych czasów. Może w dodatku jest pan „ludzki”? Pfuj, do diabła!... Nawiasem mówiąc, w pańską tak zwaną miłość nie wierzę. Słowo „miłość“ powinno być używane tylko wtedy, gdy chodzi o zachowanie gatunku, rasy. Co p a n o tym wie? Miłości, o której pan mówi — w pańskim staroświeckim, romantycznym rozumieniu — nic ma, nigdy jej nie było! To tak, jakby wietrzyć stare ciuchy. Czuć naftaliną. Wie pan, istnieje tylko samotność — tylko ona istnieje naprawdę! Człowiek szuka jedynie partnera do łóżka, nic więcej! Żeby nie musiał już być taki samotny — a poza tym to przyjemne. Szuka pan kobiety, bo chciałby pan uciec przed samym sobą, czyż nie? Albo dlatego, że pańskie gruczoły są jeszcze zbyt młode i zbyt rozhukane. Nie ma pan dziewczyny, biedaku? (Przerwa. Pożerał ją oczyma, kawałek po kawałku). Podobam się panu — tak?

Pytanie było rozbijające. (Mój ty Boże, potrafiła być kokietką!) Hóllriegl ujął opierającą się dłoń Anselmy i ucałował delikatne kostki. Miał ochotę otworzyć, rozewrzeć tę mocno zaciśniętą dłoń i pocałować jej wnętrze. Odgadła jego zamiar i szepnęła:

— Proszę uważać, nie jesteśmy sami.

Pomimo tego ostrzeżenia, które odnosiło się wszak również do niej, ich oczy zatopiły się w sobie nawzajem — tak głęboko, tak długo, tak zachłannie, że wszystko dookoła rozplynęło się jak we mgle. Zostało osiągnięte stadium insularne, krańcowa

Brunatna rapsodia

samotność we dwoje. Twarz Anselmy stała się poważna, przybrała wyraz oddania, jej oczy błagały.

— Sinfessel, kocham panią! Pragnę pani! — powiedział cicho.

— Mam na imię Knefrodh.

— O nie, to ja klęczę — przed panią! Ubóstwiam panią! Może pani zrobić ze mną wszystko, co pani zechce. Kocham panią!

— Miłość? Ma pan na myśli tę potrzebę fizjologiczną, która nazywa się miłością? Pan chciałby mnie mieć — i ja chciałabym pana — może. To wszystko.

Anselma nie kłamała, jej oczy nie kłamały.

Hóllriegl w swoim zmieszaniu zaczął szukać odpowiednich słów.

— Jest we mnie takie ogromne napięcie! Jestem szczęśliwy, to pani czyni mnie szczęśliwym, więc jestem szczęśliwy. Taki jestem ciekaw... pani, Anselmo! — Wiedział, że to, czego pragnie, to rozkosz zmysłowa, bezpieczeństwo, odurzenie, ucieczka. Wstydził się i nie próbował nawet tego ukryć. — Z panią mógłbym umrzeć!

— W łóżku? Żeby przenieść się do Walhalli? Tam jednak musielibyśmy się rozstać... pana miejsce jest na oddziale dla mężczyzn.

Oczy Anselmy zmieniły swoją barwę. Ironiczny, brązowo-zielony ogień. Wciągający blask. Przeczuwał, co go w niej tak podnieca. Jej nieobliczalność, jej dziecięcość. Jej inteligencja i okrucieństwo, jej rasa.

— Do Walhalli albo do Hel¹, do wiecznych bogów lub do krainy zmarłych! Wszędzie! Byleby z panią, z panią, Sinfessel!

— Naprawdę wierzy pan w te brednie? Goś takiego można

Brunatna rapsodia

opowiadać najwyżej pimpfom. Wraz ze śmiercią wszystko się kończy, pańscy Azowie i Wanowie z bajeczki dla grzecznych dzieci. Nic ma nic oprócz chwili, w której żyjemy! I nie ma nic oprócz narodu! Żeby móc żyć i panować, trzeba być twardym, twardym, jak skała — słyszy pan? Wszystko jest tylko kwestią władzy. Po nas choćby potop! Wyglądam niecierpliwie (oczy Anselmy błyszczą fanatycznie) nowych czasów! Trzecia Rzesza tak czy owak skończyła niebawem na uwięd

¹ Od imienia córki Lokiego — podziemna siedziba dusz ludzi zmarłych w łóżku (tylko polegli na polu chwały przebywają w Walhalli).

starczy. Proszę się tylko przyjrzeć temu sflaczałemu SS, temu łagodnemu gestapo, tej tłustej, nadętej, zgrzybiałej SD! Te rutynowe tortury! Te idylle w obozach dla podludzi! Wszędzie skażenie rasy! A w dodatku te wyrzuty sumienia na każdym kroku! Symbolem Rzeszy nie jest już orzeł, tylko zastrzyk usypiający. Powodzi nam się za dobrze, zrobiliśmy się otyli i leniwi. Germanie byli wielcy zawsze tylko w czasach upadku! Gdy byłam dziewczynką, modliłam się do Frauji. (Hollriegl zrozumiał: Anselma posłużyła się zastosowanym przez Wulfilę w jego tłumaczeniu Biblii gockim słowem określającym Jezusa, żeby nie wymawiać tego zniechęconego żydowskiego imienia). Ale potem ukrzyżowałam go — i robiłam to codziennie! Jako dzieci bawiliśmy się w ukrzyżowanie i ja wymyślałam najgorsze tortury dla wędrownego kaznodziei z Galilei. Dziś najchętniej ukrzyżowałabym Odyna i wysadziła w powietrze całe to idiotyczne niebo z bogami, gdzie tylko chłają miód i zbijają bąki. Jest pan skonsternowany. Nie spodziewał się pan po mnie czegoś takiego? A więc czego?... Nadchodzą nowe czasy, twarde, męskie czasy — znów będziemy musieli walczyć

na noże, zamiast polować na ciepłe posadki! Ci podstarzali durnie z partii ufają w naszą niezwykłość, w atomistykę, w lasery, rakiety i te śmieszne satelity. Śniła im się nowa wunderwaffe, kiedy obracali się w łóżku na drugi bok i puszczały wiatry. Ja natomiast powiadam panu: nadchodzą czasy dżungli i ludożerstwa, nadejdą prędko, a wtedy znów walczyć się będzie ze składanym nożem w rękę, mężczyzna przeciwko mężczyźnie, kobieta przeciwko kobiecie, a za nami ściana!

— Czy wie pan, że w niektórych rejonach Ameryki wybuchło piekło? — zapytała po chwili wyczekująco. — W co najmniej dwóch stanach nad Pacyfikiem milicja wraz z całym sprzętem przeszła na stronę powstańców. Wczoraj jeszcześmy o tym nie wiedzieli — teraz wiemy. Ale to nie wszystko. Dziś rano przeczytałam w ministerstwie meldunek — zupełnie przypadkowo, bo trafił pod niewłaściwy adres — że żółte mały wysyłają bez przerwy z Australii samoloty rozpoznawcze, które docierają w głąb UVSA aż do Newady! Kto ma im w tym przeszkodzić?... Dlaczego panu o tym mówię? Żeby pana zahartować, zahartować na to, co przyjdzie! L-b-t! Landgrafie, bądź twardy! To, co panu właśnie wyjawiam, to nie są tajemnice państwowe, w wieczornych wiadomościach usłyszysz pan jeszcze inne rzeczy. Czasy ciągłego tuszowania i ogłupiania narodu definitywnie się skończyły: Kopfler nakazał bezwzględną jawność. Wygląda na to, że Japsy przygotowują na szerokim froncie wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki wielką operację desantową z morza. Na północnym Pacyfiku i na Morzu Beringa przeskakują jak ropuchy z jednej wyspy na drugą, a wschodnie wybrzeże Australii najeżone jest, jak wiadomo, wyrzutniami raketowymi. *Banzai!* To dopiero będzie zabawa! Nie byłabym zdziwiona, gdyby Soka Gakkai wylądował już

jutro w Kalifornii, w Seattle, Vancouver, Nome, Dutch Harbour — nie padnie przy tym nawet jeden strzał, w Benighted States będą się najwyżej modlić do Frauji i cytować biblijne wersety. Największą głupotą starego kierownictwa Rzeszy było zmniejszenie liczebności naszych oddziałów w Ameryce i zdanie się na słynne Tłuste Karki i Ku-Klux-Klan. Teraz zobaczymy, jak minutemeni dadzą sobie radę z rewoltą w kraju i jednocześnie z Żółtymi małpami. Japsy na pewno niezwłocznie uwolnią więźniów obozów dla podludzi i AMR-ów. A Azja? Archipelag Malajski możemy już teraz spisać na straty, a w Tybecie wszystkie młynki modlitewne obracają się za zwycięstwo sprawy japońskiej.

Nachyliła się ku niemu całkiem blisko i szepnęła, patrząc nań nieruchomym wzrokiem (chłonał jej oddech):

— Czasy ospałości minęły! Czy panu wiadomo, że jedenastu nowych ministrów pochodzi z Werwolu? Wreszcie! Teraz zastosuje się bezwzględne środki, zrobi generalne porządki, uprzątnie rupiecie! Spodziewam się, że postawi pan na właściwego konia...

Anselma mówiła tonem nawiedzonego proroka, z powodu hałasu ledwo mógł zrozumieć jej słowa. Tak jawnie wydawała się w jego ręce — czy tego chciała? Jej oczy żarzyły się niczym mętne światła, wzrok miał w sobie coś ślepego, nieludzkiego. Ślepie wilka! Takie oczy już widywał, widywał je ciągle. To był wzrok młodych werwolfów. To był węzowy wzrok NAR-MAT-u. To był wzrok nowych kacerzy, gardzących śmiercią, żądnych jej.

— Anselmo... — powiedział speszony — prawdopodobnie we wszystkim, co pani mówi, ma pani rację. Ale to nie jest miejsce na takie rozmowy. Nie potrafię teraz myśleć o niczym

innym, tylko o pani! Jestem pani niewolnikiem! Pani jest moją boginią! Chciałbym przed panią klęczeć w prochu i na panią patrzeć, ubóstwiać panią!...

— Frazesy, frazesy, niechże się pan nie ośmiesza! Roman-tyk z pana. Kiedy już mnie pan posiadzie, szybko pan o mnie zapomni! Ja podobam się panu, a pan mnie. To swego rodzaju kontrakt albo interes. Już wczoraj czułam, że mnie pan pożąda — z początku był pan jedynie ciekawy. W jakimś sensie jesteście zdani na siebie. Ja sprzedaję panu swoją rzecz, a pan sprzedaje mi swoją. Wymiana towarów, nic ponadto. Spotykamy się, żeby to zrobić... taka wspólnota interesów. Po co panu jeszcze ta pańska śmieszna miłość?... Muszę iść, powinienam już być na górze.

— Anselmo, dlaczego mówi pani w ten sposób? Wie pani, że to nieprawda. Miłość — to coś rzeczywistego, szlachetnego! Tak wiele do pani czuję! Jest pani wspaniała, cudowna! Miłość nie jest na sprzedaż ani na wymianę. Jeśli ofiarowuje mi pani samą siebie, to przecież nie sprzedaje się pani. Może taki ma pani stosunek do innych mężczyzn. Zapewne przeżyła pani to i owo. Ale w moją miłość musi pani uwierzyć! Naturalnie, pragnę pani! Pożądaję pani całej, bez reszty! Ale nic pragnąłbym pani, gdybym nie potrafił pani kochać. Uwielbiam panią, podziwiam panią! Nie wiem, dlaczego nie widziałem tego już wtedy... lecz pani była taka chłodna, taka rzeczowa! I pani brat, tłum ludzi...

Anselma wstała. Uśmiechnęła się, mógł to być uszczęśliwiony lub pobłażliwy uśmiech.

— Zobaczmy się dziś wieczorem? Będę mogła się wyrwać z pracy. Nie wiem tylko, o której mi się uda. Proszę wziąć ze sobą swoją... różdżkę. Gdyby nie było mnie jeszcze w domu,

proszę się rozgościć. Ko Won, mój służący, woła się na niego po prostu Ko, będzie na pana czekał. O siódmej. Odpowiada panu? Neuenburger Strasse 38, piąte piętro, w pobliżu stacji metra Hallesches Tor.

W milczeniu przecięli dziedziniec, odprowadził ją do pater-nostra. Przez chwilę byli sami w bocznym korytarzyku. Anselma impulsywnie przyłgnęła do niego całym ciałem, pąki jej piersi zarysowały się nagle ostro pod czarną jedwabną bluzką. Chciał pocałować ją w usta, lecz mu nie pozwoliła, więc całował jej ręce, i już nadeszli ludzie. Wskoczyła do windy; patrząc, jak powoli unosi się do góry, zachłannym spojrzeniem obejmował jej postać.

Niedzielne i poniedziałkowe gazety przynosiły jeszcze wyłącznie fotoreportaże tematycznie związane ze śmiercią sędziwego Fuhrera — można było zobaczyć Adolfa Hitlera w szczytowych momentach jego triumfalnego życia i dla kontrastu zwłoki okryte Krwawą Chorągwią z listopada 23 roku na marach w gabinecie „Berghofu“, a później w Kancelarii Rzeszy — obecnie jednak wydarzenie to wobec historycznego posiedzenia Rady Rzeszy odsunęło się nieco na dalszy plan. Wprawdzie czasopisma w czarnych obwódkach nadal pełne były zdjęć i materiałów na temat Adolfa Wielkiego (jak historiografowie nazywali nieśmiertelnego już teraz) oraz jego wojen i aktów założycielskich Rzeszy, lecz zaznaczyła się tendencja, by wielkiemu starcowi nadawać stopniowo otoczkę legendy, a uwydatniać coraz bardziej postać jego następcy, na przykład w orszaku Fuhrera lub u jego boku podczas dokonywania doniosłych aktów państwowych w przeszłości albo ramię w ramię z nim na spacerach. Bardzo sugestywną pierwszą stroną miało kontynentalne (poranne) wydanie „Volkischer Beobachter“ z wtorku;

Höllriegl przeczytał ją ze wzruszeniem w jednej z gablot prasowych NSDAP. Ukazywała ona wydrukowany wielkimi czcionkami, naśladujący pytyjską pieśń pochwalną Pindara, wiersz zatytułowany „Do Adolfa Hitlera w gwiazdach”, który wyszedł spod pióra trzykrotnego laureata nagrody państwowej Edwina Erweina Zwingera i pod koniec zawierał bezpośrednią aluzję do Kopflera jako do „potężnego dziedzica imperium” („... uniósłszy głowę swą śmiałą, na którą czekają wawrzyny...“), a otoczony był deklaracjami wierności ze strony wszystkich członków Germańskiej Akademii Poezji i Prawdy w Weimarze.

Wobec takich dziejowych wydarzeń wydawało się niemal rzeczą bez znaczenia, że w sobotę rano, a więc jeszcze przed śmiercią Hitlera, podjęty został kolejny lot kosmiczny, trzydziesty szósty lot załogowy. Tym razem znów wybrano podludzi, co wskazywało na to, że kosmonautów czekał wyjątkowo ryzykowny eksperyment. „WvB Baldur XXXVI“, taką nazwę nosiła kapsuła rakiety wystrzelonej z wyrzutni w Peenemunde, z początku nawet dzielnie odpowiadał, a czteroosobowa załoga (znane były jedynie numery obozowe) natychmiast i bez zarzutu wykonywała wszelkie rozkazy, jakie przesyłano jej ze stacji naziemnej. W pewnej chwili jednak statek kosmiczny oderwał się od wyznaczonej orbity i zaczął oddalać ze wzrastającą prędkością od pola grawitacyjnego Ziemi. Według informacji poukrywanych we wtorkowych gazetach zaczął się kołysać, a następnie obracać coraz szybciej wokół własnej osi, wysyłane przezeń sygnały stawały się coraz słabsze. We wtorek rano przez godzinę, zamiast obowiązkowej gimnastyki porannej, radio nadawało rozkazy z Peenemünde oraz odpowiedzi kosmonautów w postaci straszliwego rzężenia. Pod karą śmierci zabronione było wyłączanie odbiorników podczas emisji takich

audycji hartujących.

Obecnie ze wszystkich murów i słupów ogłoszeniowych śledziły każdego towarzysza narodowego fanatyczne oczy Kopflera; ich zwielokrotniony obraz robił gigantyczne wrażenie. W ciągu nocy rozklejono także serie zdjęć z posiedzenia Rady Rzeszy i uczyty, która po nim nastąpiła, a także czerwone listy gończe Policji Państwowej dotyczące Unselda i Diebolda. Hollriegl nie miał ochoty wracać już teraz do pensjonatu, więc wałęsał się dalej po mieście, oddając się kuszącym rozmyślaniami. Z roztargnieniem przebiegł tylko wzrokiem wydrukowane grubymi czcionkami nagłówki artykułów wstępnych w gazetach, za bardzo był pochłonięty Anselmą. Spoza zimowych chmur ukazało się przelotnie blade słońce, niczym księżyc za dnia; było zimno, w powietrzu wisiął zapach śniegu. Na rogu Wilhelmstrasse i Leipziger Strasse, przed wejściem do podziemnego przeciwatomowego bunkra, sterczała jedna z owych wież głośnikowych, przypominających z wyglądu menhiry. Właśnie powtarzano wiadomości południowe. Zatrzymało się paru przechodniów. Przez chwilę bez celu spoglądali w górę, potem jednak popatrzyli na siebie.

„... samoloty szturmowe o nieznanej przynależności państwowej zaatakowały nasze kopalnie w Little America. W wyniku ostrzału z broni pokładowej zginęło dziewięciu ludzi z korpusu antarktycznego. Szkody materialne są niewielkie. — Nad Morzem Weddella samoloty rozpoznawcze przeleciały na dużej wysokości ponad konwojem drobnicowców. — Na wodach terytorialnych Ziemi Cesarza Wilhelma okręty patrolowe straży wybrzeża zlokalizowały i ostrzelały kilka japońskich małych łodzi podwodnych typu Nata. — Stacjonujący na Antarktydzie w Cieśninie Ribbentropa korpus kolonialny otrzymał drogą

powietrzną wzmocnienie z Ushuaia, Punta Arenas i Wysp Falklandzkich. — W niedzielę w rejonie Juan Fernandez płynący pod banderą Rzeszy meksykański frachtowiec motorowy «Tezcatlipoca» został ostrzelany przez myśliwce odrzutowe bez oznaczeń przynależności państwowej. Pociski zapalające i bomby napalmowe wywołały pożar na statku, który w ciągu godziny zatonął. Niewielka część załogi, w tym trzech obywatele Rzeszy, zdołała dopłynąć do Mas Afuera. — OKM² Południowy Pacyfik zarządziło ze skutkiem natychmiastowym konwojowanie na wodzie i w powietrzu wszystkich statków żeglugi przybrzeżnej pływających pod niemiecką banderą lub wycarterowanych przez Rzeszę. Armatorów poinformowano, że pomiędzy 5. stopniem szerokości północnej a 55. stopniem szerokości południowej obowiązują od tej pory zaostrzone przepisy konwojowe w odniesieniu do wszelkich transportów zapasów kategorii I i II. — Jednostki stacjonującej na północnym Atlantyku Czwartej Floty Okrętów Podwodnych uzbrojone w rakiety nuklearne wypłynęły ze swoich baz, aby operować na obszarze południowego Pacyfiku. — Na wyso-

**Oberkommando der Marine — Naczelne Dowództwo Marynarki Wojennej.*

kości wysp Galapagos zatrzymany został przez szybkie jednostki naszych sił zbrojnych chilijski frachtowiec «Esperanza». Załoga statku, bez wyjątku zamaskowani japońscy komandosi i grupy sabotażowe, po zacieklej obronie została wybita do nogi. — Siły kolonialne Rzeszy w wysuniętych bazach południowego i północnego Pacyfiku są obecnie rozbudowywane i uzupełniane przez liczne jednostki powietrzno-desantowe. — Duże zgrupowanie okrętów Marynarki Wojennej Rzeszy, w skład

którego wchodzą również lotniskowce, przeprowadza operacje wzdłuż wybrzeża Baja California. — W Chocolate Mountains, południowa Kalifornia, nasza SD nawiązała w kilku punktach kontakt ogniowy z oddziałami likwidacyjnymi powstańców zorientowanymi na wzór partyzancki. — Na przedmieściach Sacramento jednostkom osławionych korpusów ochotniczych «Abe Lincoln» i «George Washington», wspieranym przez Japończyków z powietrza, udało się dokonać wyłomów w pozycjach minutemenów. Wyłomów nie zdołano jeszcze zarygłować, lojalna milicja oraz minutemeni walczą z bezprzykładną pogardą śmierci. Siły powietrzne wroga nie zawahały się użyć gazów bojowych. W odwet za użycie takich środków generał MM Snedeker wydał rozkaz, by nic brać żadnych jeńców. Ciężkie walki trwają. — Próba zburzenia za pomocą konwencjonalnych rakiet dalekiego zasięgu Boulder Dam w Nevada nie powiodła się. W Boulder City rakiety wyrządziły wielkie szkody, straty wśród ludności cywilnej są znaczne. Obiekty wojskowe nie zostały trafione. Nasze oddziały raketowe natychmiast przystąpiły do kontruderzenia. Ubiegłej nocy za pomocą rakiet typu Thor i Austra w Sydney, Newcastle i Brisbane, a poza tym w Christchurch, Wellington i Auckland zrównano z ziemią całe dzielnice mieszkaniowe. Nasze rozpoznanie lotnicze stwierdziło dziś rano rozległe zniszczenia obiektów wojskowych, a konkretnie wyrzutni raketowych w Wollongong i Parramatta koło Sydney. — To koniec wiadomości zagranicznych z godziny 12 w południe. — A teraz kilka komunikatów: Możliwe, że obydwaj zbiegli zdrajcy stanu Unseld i Diebold ukrywają się w stolicy Rzeszy. Podajemy następujące dokładne rysopisy...”

Höllriegl zadrżał w głębi duszy. To była wojna, i to już

nie o zasięgu terytorialnym. Po usłyszanych przed chwilą wiadomościach i tym, co powiedziała mu Anselma, nie miał już wątpliwości: wojna zaczęła się przed wieloma dniami, a może nawet tygodniami. Dopiero teraz zrozumiał ostrzeżenie zawarte w testamencie Fuhrera — odnosiło się ono nie do przyszłości, lecz do teraźniejszości, do chwili obecnej.

Nagle poczuł się upojony dumą i szczęściem. Walka! Tak, o tym wszystkim nic miał wcześniej pojęcia, nikt nie miał pojęcia. Tylko wtajemniczeni, na przykład Schwerdtfeger, wiedzieli o wszystkim. Walka! Idyś, walkirie znów będą się unosić ponad głowami wojowników. Wreszcie walka... nawet gdyby w świącie roło się od diabłów! Może to wszystko było jednym z powodów tego, co niepojęte: że jakiś rozkaz — jak w wypadku jego wezwania do Berlina — mógł trafić pod niewłaściwy adres, że na górze chwilowo stracili głowę. W swym egoizmie, zajęty sprawami prywatnymi, nazbyt prywatnymi, znalazł się, choć nie na długo, poza wspólnotą narodową. O tak, Anselma miała rację! Nie było nic oprócz narodu! Nie było nic oprócz „chwili, w której żyjemy“! Nie było nic oprócz nakazu posłuszeństwa — czegokolwiek by od człowieka wymagano!

Jednostka, tak czy owak, nic może zrobić nic na własną rękę, mówił sobie jadąc z powrotem w gęstniejącym potoku pojazdów w kierunku Ku-Dammu. Każdy musiał być na swoim miejscu... należało zewrzeć szeregi. Nagle zapragnął znaleźć się czym prędzej w domu. Potyczki rakietowe na Oceanie Spokojnym to tylko początek. Już jutro mogły być trafione rdzenne ziemie Rzeszy, leżały, o czym wiedziało każde dziecko, w strefie rażenia japońskich rakiet dalekiego zasięgu, a także owych bombowców kamikadze z jednoosobową tylko załogą. Na razie ograniczano się jeszcze do broni konwencjonalnej, ale już ju-

Brunatna rapsodia

tro... jutro mogła wybuchnąć wojna atomowa! Go dziwne, myśl ta nie napełniła go strachem, przeciwnie, w głębi duszy wydał radosny okrzyk. Wielkie rozstrzygnięcie było bliskie! Teraz wszystko zależało od tego, kto będzie szybszy — kto pierwszy wyprowadzi druzgocący cios. Kopfler z całą pewnością będzie szybszy i zapewni Rzeszy panowanie także nad tymi górami, które obecnie kontrolują jeszcze Japsy. Wówczas będzie to totalne, niepodzielne panowanie nad światem. Heil nowy Fuhrer!

Jedno było pewne: musiał natychmiast wracać do Heydrich. Tylko ten jeden wieczór chciał mieć jeszcze dla siebie, dla siebie i dla Anselmy. Wspaniałej, silnej Anselmy! A Ulla? Ciekawe, gdzie jest Ulla, co robi! Że też ciągle ulegał jakimś babom! Bursztynowa Czarownica była kobietą nieosiągalną i taką dla niego pozostanie. Natomiast Anselma — ta była czymś uchwytnym, ziemskim, można jej było dotykać, trzymać ją w ramionach, całować, może nawet posiąść! Co za rozkosz! Na myśl o jej ciele ogarnęło go dzikie podniecenie.

Gdyby wojna zbliżała się do granic Rzeszy, a mogło to nastąpić błyskawicznie, dobrze byłoby być w Heydrich. Może czekało już tam na niego powołanie do wojska, także partia będzie go potrzebować. W godzinie próby każdy musi stanąć na wysokości zadania.

Jasne, że wybierze trasę przez Harz. Sauckelruh powyżej Rundstedt, willa „Walpurgia“. Wszystko miał zanotowane, także numer telefonu profesora. Nic szkodzi, jeśli trochę nadłoży drogi. Jednakże w rozkazie wyjazdu była dokładnie podana cała trasa, również droga powrotna. Hollriegl zawahał się — zatrzymał samochód. A potem zrobił coś, co w następnych dniach często jeszcze wspominał, za każdym razem z nieprzy-

jemnym uczuciem. Na podstawie mapy drogowej zmienił wpisane na maszynie dane i postawił obok jakiś nieczytelny podpis. Obszary zamknięte znał na pamięć, po prostu je ominie. Przez strefy B i D mógł natomiast przejechać, przez C prawdopodobnie też, mimo że ta strefa — być może omyłkowo — została opuszczona.

W pensjonacie najpierw przebiegł wzrokiem swój raport. Porządna robota. W trakcie czytania usłyszał pukanie. Z drzwi rozległ się głos pani Zweenemann, która umknęła wzrokiem przed jego pytającym spojrzeniem, kiedy pozdrowił ją przy wejściu:

— Dziś wieczór obowiązuje całkowite zaciemnienie. Latarki dla gości leżą w przedpokoju.

Hóllriegl odszukał karteczkę od Hirnchristla i wybrał numer. Był ciekawy, a zarazem trochę zdenerwowany. Gundlfinger, ta sława, jego klientem! Okazało się, że automatycznie może się dodzwonić tylko do Sauckelruh; panienska z centrali, mówiąca z jakimś obcym akcentem (pewnie Niemka pochodząca spoza granic Rzeszy), powiedziała coś o zakłóceniach, ale zapewniła, że natychmiast otrzyma połączenie z willą „Walpurgia“. Przerwa. Hollriegl czekał na charakterystyczny trzask, znak, że włączyła się NKT, Niemiecka Kontrola Telefoniczna. Wytężał słuch. Nic. (Wielu towarzyszy narodowych, także on, włączało przeważnie NKT dobrowolnie — w tym celu wybierało się dodatkowy numer, jednakowy w całej Rzeszy — pamiętając o sloganie partyjnym: „Przyjaciel słucha wraz z tobą“ i o ironicznym powiedzonku: „Partia ma długie uszy“). Żadnego trzasku. Szczęście, przypadek? A może usunięto podejrzany odgłos? Po chwili rozległ się zwyczajny długi sygnał, został połączony.

Jasny głos:

— Kto mówi?

Hóllriegl wymienił stopień służbowy i nazwisko. Krótko przedstawił powód, dla którego telefonuje.

— Tak, proszę zaczekać — proszę pozostać przy daluchu.

Oj, trzeba było diablo uważać, mówiono tam mutterdeutsch. Po kilku minutach znów jasny, czysty głos:

— Mądro lub powiada, że cała sprawa wydaje mu się diabomącąwą, nigdy nikomu nie zlecał żadnego udaczenia tutaj... proszę jeszcze zaczekać mijawkę lub dwie...

Hóllriegl z przyjemnością słuchał tego głosu, który mógł należeć do dziecka lub młodziutkiej kobiety. Niepokój nurtujący go wcześniej ustąpił.

Diabomąćwa — dobrze pamiętał to słowo. Spotykał je często w materiałach szkoleniowych w „Odynowej Żagwi“, gdzie był również kącik nauki mutterdeutsch, języka literackiego utworzonego według zawartości treściowej, zasad wymowy i symboliki z tematów wyrazów starogermańskich i zaczerpniętych z dialektów, którego zwolennicy, prawdziwi fanatycy, zwalczali coraz mniej plastyczny i coraz uboższy normatywny język urzędowy Trzeciej Rzeszy, tak zwany kummerdeutsch — z niewielkimi szansami powodzenia, gdyż w kręgach partyjnych wyśmiewano sekciarzy. „Diabomąćwa“ znaczyło tyle, co „enigmatyczny“, miało ironiczne zabarwienie i utworzone zostało z połączenia „diaboliczny“ i „mąćć komuś w głowie“.

— ... mądro lub mówi, że nie ma nic przeciwko pana odwiedzinom. Prowadzi pan warkojazd? Jeśli tak, proszę zatrzymać się w Sauckelruh i przybieżyć do nas na górę albo przyjechać na kręćkole — kręć kół może pan wypożyczyć u naprawca Schicketanza, powtarzam: Schicketanz, An der Pfordten 3.

W Sauckelruh znajdzie pan odpoczywisko, śpizby są tam wprawdzie małe, ale wygodne. Jest tam również radgość, ale staroświecki, dlatego lepiej wyśpi się pan w odpoczywisku, a i pański warkojazd będzie miał na miejscu bardzo dobry dogląd. Dauluchna powiedziała, że dzwoni pan z Berlina. Kiedy pan wyjedzie?

— Wyjadę jutro i przypuszczalnie po południu dotrę do Sauckelruh. Jeśli można, zjawiłbym się u pana profesora w czwartek rano...

— Mądrolub pracuje obecnie nad nowym myśłociągiem, żyje w zupełnym odosobnieniu, lecz pozostały mu dośmiech i światociek. Proszę więc przyjechać! Mądrolub będzie tymczasem wypytywał oziemki: Przysłońca, Zielogwię, Czergwię, Ogromca, Wieloksięża, Stargwię, Nieboszuka i Dziewiątka... Dobrze się składa, że przybędzie pan w czwartek, to dzień posłuchań, i mądrolub przemawia do pielgości z bliska i z daleka. Na posłuchanie przyjmuje jednak tylko wybractwo...

Hollriegl mógł w tym miejscu przerwać rozmowę, ale napawał się złotym głosikiem na drugim końcu przewodu.

— Z kim mówię?

— Jestem przybocznikiem mądroluba. Właściwie zakuję pięknodźwięk, biegle opanowałem struńbę, szarpieł, grajoklepki oraz (radosny śmiech i efektowna pauza) warganki. Na tych miłobrzękach gram całkiem udatnie. Czy pan też gra na jakimś miłobrzęku?

Musiało to być dziecko, prawdopodobnie chłopiec. Ta niewymuszoność! Przybocznik? Mogło to oznaczać chyba tylko asystenta — czyżby asystentem słynnego „mądroluba“ było dziecko?

— Owszem, gram na pianinie.

— Ach, cichoklaw! Od jak dawna? Jest pan grajmistrem? Lubi pan także wielopiszcz, cymbałki? Chodziłem do szkoły pięknodźwięku, ale jej nic skończyłem ku wielkiemu ubolewaniu moich nauczycieli. Chciałem zostać wielkim cichoklawistą — albo cymbalistą. Myślę, że miałbym po temu smykałę. Teraz całą duszą oddałem się mądrołubstwu — chwileczkę!... Dzisiaj jest zaciemnienie, na obszarze całej Rzeszy, wic pan już o tym? Proszę na siebie baczyć! Ale zatrzymuję pana. Dalmowy kosztują pieniądze. Jest pan bogaty? Jak bardzo jest pan bogaty?

— Jestem biedny — odpowiedział Hollriegl i musiał się uśmiechnąć.

Hollriegl pojechał metrem; z uwagi na zaciemnienie samochód wolał zostawić. Na stacji Uhland-Strasse było niewielu czekających, dygocząc z zimna stali w przeciągu. Ruch został mocno ograniczony. Hollriegl dowiedział się, że będzie to pierwsze po długiej przerwie całkowite zaciemnienie ćwiczebne. (Czy można było mówić w ogóle o jakimś „ćwiczeniu”?) Kto nie musiał koniecznie wychodzić, zostawał w domu.

Zatrzymał go patrol w cywilu. Pokazał dokumenty. Książeczkę wojskową, paszport rodowy, kartę identyfikacyjną z odciskami palców i poduszek dłoni, legitymację partyjną i dziennikarską, a także rozkaz wyjazdu — cała kolekcja. Kiedy trzech mężczyźni w rękawiczkach, opryskliwie wykonujący czynności urzędowe, z zawodową podejrzliwością przejrzawszy papiery — przy rozkazie wyjazdu serce mu na chwilę zamarło — zakończyli kontrolę, wjechał pociąg. Hollriegl czuł się jakby upokorzony, w jakimś sensie śmieszny ze swoimi chryzantemami. Romantyczny hołd, nie pasujący do Anselmy. Jak powiedziała?

Naftalina...

Zasępiiony usiadł w kącie prawic pustego wagonu i mechanicznie czytał reklamy lub obracał w palcach wahadełko na zawieszonym z włosa, które wsadził do kieszeni. Co dziwne, w miarę jak zbliżał się do miejsca, gdzie mieszkała Anselma, czuł coraz mniejszą radość na myśl o spotkaniu z nią. Co się z nim działo?

Wittenberg-Platz. — Nollendorf-Platz. — Gleisdreieck. — Hallesches Tor. Musiał wysiadać.

Ulice na powierzchni ziemi, których nocny mrok ożywiały tylko świetliki latarek kieszonkowych, nic różniły się prawie od tuneli metra. Powoli, jakby niepewnie, ruszył swoją drogą, głośnik przy Hallesches Tor wyrykiwał akurat w próżnię ostatnie takty suity „Peer Gynt“. Ludzie przepływali obok niego jak cienie, budynki o pustych oczodołach okien wznosiły się niczym mauzolea ku górze, zdając się nic mieć w ogóle końca.

Powoli, jakby niepewnie, poruszały się także nieliczne auta z wygaszonymi reflektorami. Gdy przeciął Lindenstrasse, by skręcić w Neuenburger Strasse, znów spostrzegł patrol złośliwie błyskający niebieskimi światłami latarek. Instynktownie zszedł mu z drogi, nie zdając sobie sprawy z własnej reakcji: patrol wzbudził w nim niechęć, a nawet obrzydzenie. Tym razem byli to żołnierze Wehrmachtu. Na tle nocnego nieba odcinały się wyraźnie, niczym ciągnąca się ślina, macki reflektorów. Na południu wręcz zakratowały całe niebo.

Ciepłe, matowe oświetlenie w sieni domu Anselmy powitał z westchnieniem ulgi. Noc na zewnątrz wydawała się groźna, tutaj człowiek czuł się bezpieczny. Nie skorzystał z windy, tylko ruszył (trening nóg!) po schodach na górę, starając się skoncentrować myśli na Anselmie. Elegancki, najwidoczniej cał-

kiem nowy dom; śluza zaciemniająca przy wejściu i ciężkie rolety psuły jednak nieco przytulne wrażenie. W dół schodzili dwaj młodzi ludzie, właściwie jeszcze chłopcy, z jakimiś opaskami na ramionach, i prowadzili starszego pana. Ten nie miał na sobie płaszcza ani kapelusza, krawata zresztą też. Hóllriegl rzucił pozdrowienie — żadnej odpowiedzi.

Przy drzwiach z wizytówką Anselmy zadzwonił, w środku dały się słyszeć człapiące kroki i ktoś wyjrzał przez judasza. Hóllriegl podał swoje nazwisko. Otworzył mu pośród wielu drobnych ukłonów siwowłosa Chińczyk z rzadką kozią bródką, w okularach w nikłowej oprawce. Drobnutki mężczyzna ubrany w coś przypominającego bluzę o półeuropejskim kroju uśmiechał się bez przerwy, ukazując przy tym ciemnożółte, szeroko rozstawione pieńki zębów. Dłonie trzymał ukryte w rękawach. Ko Won wyglądała prędeż na uczonego niż na służbę.

Ze świergoczącego potoku słów niemieckich, pidgin-english i przypuszczalnie chińskich Hóllriegl wywnioskował jedynie, że „missis” nie ma jeszcze w domu, ale wkrótce przyjdzie. Ko wprowadził gościa do sąsiadującego z przedpokojem apartamentu, który natychmiast rozjaśniło przyćmione światło licznych lamp o wymyślnych kształtach, wykonanych z łyka i cienkiego jasnoszarego jedwabiu. Hóllriegl widział wczoraj wszystkie pomieszczenia na zdjęciach. Urządzone w dalekowschodnim stylu, sprawiały wrażenie, jakby były chłodne i niemal gołe, drewniane ścianki wyglądały na przesuwalne. W pokoju oprócz szerokiego tapczanu i niskiego stolika z taboretami nie był żadnych mebli. Na ścianach poza jednym, wyraźnie starym drzeworytem naśladowującym sztukę kakemono wisało kilka masek wojennych, o okrutnym wyglądzie, z polakierowanego czerwono-brązowego drewna. W kącie stał wazon z dużymi

ostami piaskowej barwy. Żadnych obrazów — nawet portretu Fuhrera! — żadnych książek, nic.

Ko Won, pośród ujmujących ukłonów, dał Hollrieglowi do zrozumienia, aby tymczasem rozsiadł się wygodnie na tapczanie. Układaniu bladofioletowych chryzantem, które mu przekazał Hóllriegl, nadał rangę małej ceremonii. Następnie chichocząc i troskliwie jak ojciec poprawił poduszki, powiedział: „tu *missis*, tu *gentleman*“, oraz: „*kabu-wake, kabu-wake in Japanese flower language*“. W jego zachowaniu było coś zabawnie dwuznacznego, kilka razy wskazał na przykład określone miejsce na tapczanie i wygładzał je, powtarzając wciąż „*missis*“ i „*hon-kate*“, i „tam być kwiat, dobry pozyeja“, i „tam *gentleman*, u bok *missis*, oh, *good position, lovie-lovie, missis* to bardzo lubić“. I znowu: „Tam bok leżeć, a *missis* tak, kwiat tam, *much lovie-lovie*...“

Ko opuścił pokój, zaserwowawszy wcześniej na paterze słodycze. Jego słowa, a jeszcze bardziej jego gesty, podnieciły Hollriegla. Jakże oczekiwał teraz Anselmy! Puls miał przyspieszony, wiercił się na tapczanie, obwąchiwał narzutę i poduszki, które wydzierały staroświecki zapach Anselmy: słodkawy zapach gnijących kwiatów.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Trudno było opanować to nerwowe podniecenie. Dlaczego jej jeszcze nie ma? Gdzie się podziewa? Dziś w południe miała podkrążone oczy, wczorajszy wieczór spędziła poza domem! Synfjotli! Pętająca Zmysły! Z wysiłkiem stłumił uczucie zazdrości (jakże śmieszne!) i zatopił się w obrazie kakemono na wiszącej słomiance; obraz w wyblakłych barwach przedstawiał scenę z jakichś bagien, z wysokimi trawami, ważkami, ślimakami, żukami wodnymi i padalcem. Kiedy go nieco podwinął, ujrzał, że w niszy

za słomianką stoi ukryty telewizor. Maski, być może malajskiego pochodzenia, miały otwarte szczeliny oczu i szerokie, płaskie nosy; nie dawały się zdjąć ze ściany.

Skosztował słodyczy. Przypominały trochę pistacje, ale były dużo słodsze i pozostawiały w ustach ostry piekący smak, jak pieprz.

Wahadełko! Usiadł, zamknął oczy, żeby się odprężyć, i wziął związany w pętlę kobiecy włos — pochodzący z czupryny Ingrid, jego „dorywczej” sympatii w Heydrich — pomiędzy kciuk i palec wskazujący... Żeby choć na parę sekund, kiedy myślał o Synfjotli, wyłączyć głuche pożądanie, które wypełniało go niczym morze. Nic z tego. Przywołał jej obraz: ów stanął przed nim boleśnie wyraźny w swoich konturach — a mimo to osobliwie nierealny. Żywa była dlań jedynie cielesność Anselmy, nie potrafił myśleć o niczym innym, tylko o jej płci i wszelkich możliwych rodzajach sztuki miłosnej, jakie by z nią uprawiał. Wciąż próbował uwolnić się od myślenia o niej i skupić jedynie na obserwacji. Im dłużej o niej myślał, tym bardziej drżały mu ręce, lekkie wahadełko obręczkowe krążyło niespokojnie, a kiedy starał się trzymać rękę nieruchomo i chłonać w siebie od Anselmy, mantyczne wychylenia stawały się tylko jeszcze bardziej kurczowe i nieczytelne. Nie wyrażały żadnego uskrzydlenia, jedynie paraliż.

W wypadku Ulli czuł, że ma do czynienia z elementarną siłą. Było to oddanie — abstrakcyjne oddanie się potędze, wobec której sam był marnym cieniem. Tu natomiast, w trakcie tej próby z wahadełkiem, wychodziła na jaw jedynie naga żądza, chęć zgwałcenia samicy, której dorównywał, jeśli wręcz nie dominował nad nią, bo, jak czuł, podobał się jej. Hollriegl przeczuwał, że swą męskością, a nawet swym „romantycznym”

stylem bycia może zrobić na Anselmie wrażenie i to dodawało mu pewności siebie. Równocześnie jednak wiedział, że ta pewność siebie jest złudzeniem — ze swoim chłodem, swoją rasą, posłużywany się swą inteligencją i szyderstwem (zwłaszcza szyderstwem!), łatwo mogła zrobić sobie z niego zabawkę. W skrytości ducha lękał się jej, ale ów lęk czynił go podatniejszym na działanie jej czaru. W niejednym wykazywała pewne podobieństwo do Bursztynowej Czarownicy, z tym, że Anselma pochodziła ze starego rodu, ze szlacheckiej rasy, a prócz tego miała słabe nerwy. W głębi duszy był przekonany, że jeśli tylko zechce, potrafi uczynić ją sobie poddaną; jednakże dreszcz go przejmował na myśl, że mógłby ulec tej kobiecie, będącej aż tak okrutną przedstawicielką swojej płci. Wstał i schował wahadełko do kieszeni. Ostatecznie przyszedł tutaj po to, żeby wykorzystać słabość Anselmy. Tylko przez ten jeden wieczór. Już jutro musi wyjechać.

Wyjrzał na długi ciemny korytarz. Słyszał, jak na jego końcu Ko szczęka w kuchni garnkami; ta, jak widział, była maleńka, wyglądała raczej na przegrodę, prawdziwa wnęka kuchenna starej panny. Wreszcie! Kroki na piętrze, które zdawały się zbliżać do drzwi mieszkania; miał wrażenie, jakby na zewnątrz ktoś coś szeptał lub śmiał się stłumionym śmiechem, pewnie było to tylko złudzenie, gdyż nic się nie poruszyło. A więc to nic była Anselma.

Po cichu wycofał się do pokoju i odsunął ciężką zimową kotarę, która zakrywała całą ścianę czołową; wcześniej wyłączył światło. Ukazały się szerokie szklane drzwi wiodące na taras, który latem pełnił rolę ogródka. Było ciemno choć oko wykol, jedynie stożki światła reflektorów obrony przeciwlotniczej obmacywały niskie niebo. Nagle znów usłyszał kroki, lek-

kie kroki, tym razem w przedpokoju. Głos Anselmy! I odpowiedzi Ko Wona.

Krew uderzyła mu do serca, które zaczęło walić nieregularnym rytmem. Zasunął z powrotem kotarę, zapalił światło i wyjrzał przez szparę w drzwiach. Nic. Anselma przypuszczalnie poszła do łazienki. Hóllriegl wsłuchiwał się z uwagą w ciszę. Wstrzymał nawet oddech, ponieważ czuł w uszach głucho łomotanie. I wówczas w ciszy usłyszał, jak Anselma oddaje mocz, słychać było wyraźnie syk cieczy, jak odrywa papier i uruchamia spłuczkę. Wyostrzonymi ponad wszelką miarę zmysłami usłyszał, jak zdejmuje ubranie; ściany zdawały się przepuszczać każdy dźwięk. Potem do wanny popłynęła z szumem woda, ale bardzo niewielka ilość — korzystanie z prysznicu było wszak zabronione. Myła się.

Hollriegl stał jeszcze przy drzwiach, gdy Anselma weszła; miała na sobie ciemne kimono z pomarańczowym wzorem w kształcie płomieni. Drobniotka salamandra ognista wślizgnęła się z westchnieniem w jego ramiona. Czuł jej dziecinne, chłodne od wody, prężące się ku niemu ciało, przyjmował pieszczoty jej błędzących rąk, które brały go w posiadanie, całował szeroko otwarte usta z ruchliwym językiem. Pod kimonem Anselma z wyjątkiem pasa z podwiązkami i pończoch była naga. Jej szata ześlizgnęła się na podłogę, gdy rzucił ją na tapczan. Och! Jej ramiona i pachy, piersi o sterczących czarnych sutkach, brązowawa szpara jej sromu! Najchętniej w upojeniu osunąłby się na kolana, gdyby się nie obawiał, że w ten sposób narazi się na śmieszność. (Uległość Anselmy wymagała od niego strategii). Wciągał w nozdrza zapach jej płci, brał w posiadanie całe jej ciało, z owym zaborczym szalonym pożądaniem i naiwną radością odkrywcy, które tylko podsycaly

ich lubieżność. Nic odzywali się do siebie, pokój wypełniały mlaszczące odgłosy pocałunków i nieartykułowane dźwięki. Usta Hollriegla szukały wszelkich otworów jej ciała. Jego pocałunki zamieniły się wkrótce w kąsanie. Czuł między zębami jej jędrne, elastyczne ciało, napawał się jej cichymi okrzykami. W chwilach największej rozkoszy Anselma miała twarz osoby ciężko katowanej; gdy podzielił się z nią tą obserwacją, odpowiedziała z zamglonym spojrzeniem: „Katuj mnie... jeszcze, jeszcze!“ Wspólnie osiągnęli pierwsze szczytowanie — i natychmiast pogrążyli się znowu w napływających z szumem falach pożądania.

Anselma lubiła także „małe“ czułości, które, naśladując Ko Wona, nazywała *little lovie-lovie*. Jedna zwłaszcza pieszczota sprawiała jej szczególną przyjemność. Domagała się, by całował jej oczy, a kiedy to czynił, otwierała powoli powieki, i język Hollriegla ślizgał się po zimnych, gładkich, wilgotnych gałkach ocznych. Także wewnątrz jej nosa i leciutko drżące nozdrza miały ukryte znaczenie w grze miłosnej.

— *Little lovie-lovie*.

Kiedy mieli dosyć, narzucili na siebie jakieś odzienie. Anselma uderzyła w gong.

Uśmiechając się z zadowoleniem, zjawił się Ko Won i wniósł kolejno tace, na których ustawione były czarki i miseczki z kolacją. Anselma nic zawsze, jak wyjaśniła, jadła po wegetariańsku; jedynie z uwagi na Hollriegla poleciła nic podawać mięsa. (Był na tyle przezorny, że przewidując jej drwiny, przemilczał fakt, iż jako młody nielegalny bojownik został abstynentem, wegetarianinem i niepalącym, aby i pod tym względem naśladować Fuhrera; i wytrwał w tym postanowieniu do dzisiaj).

Ko podał najpierw nie słodzone świeże plasterki ananasa,

następnie sałatkę pekińską, jako kolejne danie makaron kantonński, przypominający *tagliatti*, z suszonymi, moczonymi w ciepłej wodzie pieczarkami i młodymi cebulkami. (Hollriegl życzył sobie, żeby mu wszystko wyjaśniano). Do każdego dania był sos sojowy. Na deser kucharz zaserwował zapiekany ryż i orzeszki liczi. Popijali małymi łykami ciepłe wino ryżowe, które Anselma przelewała także — *little lovie-lovie* — ze swoich ust do ust Hollriegla.

Jego kwiaty zauważyła dopiero, lub tak tylko udała, kiedy już byli przy deserze. Leciutki drwiący uśmiech zmarszczył niby przelotna fala gładką powierzchnię jej twarzy, fałdy wokół ust zarysowały się odrobinę ostrzej. Hóllriegl nie spodziewał się, że zechce mu dziękować za tę grzeczność. Ku jego satysfakcji podziękowała mu — w dodatku spojrzeniem, które wyrażało zarazem zadumę i zmysłowość.

— ... że też pomyślał pan o tym! Kocha mnie pan? — (Przeszli z powrotem na „pan“).

— Tak, Anselmo, całym sercem!

— Proszę, zrobmy jeszcze jeden numer. Albo dwa. Albo trzy. Dużo! Mam wielką ochotę! Chodź!

Nic czekając na jego odpowiedź wstała i zrzuciła kimono. Podeszła blisko do siedzącego Hollriegla. Objął ją z całej siły i całował wciąż od nowa ukryte skarbnice jej ciała. Ach, ten zapach i smak Anselmy, ta delikatna, staropanieńska woń wędnących wieńców! Ledwo wyczuwalny zapach jej wydzielin! Pociągnęła go ku sobie na łóżko.

Ich pieśszoty nie były już tak dzikie jak poprzednio. Wszystko robili teraz z rozmysłem i szeptem mówili sobie, jak to robią. Hóllriegl nie cofał się przed niczym — przed niczym, czego domagała się Anselma lub co on sam wymyślił. Z wolna

ich siły wyczerpały się. Byli syci i zmęczeni, ale również to zmęczenie sprawiało im przyjemność; Anselma z wdzięcznością przytuliła się do niego, lizała go niczym zadowolone zwierzę. (Nic zachowywała się zresztą inaczej niż większość kobiet). I tak zapadli w lekką drzemkę.

— To była potrzeba fizjologiczna — odezwała się po chwili Anselma.

— Nic, to miłość — zaprotestował.

Długa przerwa. Mogłoby się wydać, że zasnęła.

— To żądza, pożądanie, przyjemność zmysłowa — nic poza tym. Zaprosiłam kolegów, kilka osób, żeby się nam przyglądali...

Hóllriegl zerwał się jak oparzony. Wszystko się w nim skurczyło, każdy mięsień wibrował; przeszył go lodowaty dreszcz. Ona była szalona!

— Co powiedziałaś?

— Zaprosiłam parę osób z ministerstwa — żeby się przyglądały — powtórzyła spokojnie i bez śladu drwiny. — Tam, te maski na ścianie... przez wycięcia na oczy można się przyglądać, z sąsiedniego pokoju. Tym razem przyszła moja kolej. Wczoraj była inna koleżanka. Wybieramy sobie silnych facetów, którzy są w dodatku sympatyczni.

Nie poruszył się, przerażenie sparaliżowało go, uniemożliwiając jakąkolwiek reakcję. Jego mina rozśmieszyła ją.

— Nie bierz tego tak tragicznie! Na prowincji nic robicie takich rzeczy? — Teraz już nie skrywana drwina.

— Dziwka!

Kiedy go dotknęła, wzdrygnął się z obrzydzenia. Ohyda! Przed chwilą szczyt szczęścia, a teraz otchłań! Chciało mu się rzygać, łaskoczący dreszcz wspinał się od palców nóg w górę.

Nagle zrobiło mu się zimno, zadrżał z chłodu. Bez słowa wstał z łóżka i ubrał się. Starał się nie patrzeć na nią, to odwracanie głowy miało w sobie coś odruchowego, jakby kurczowego. Był śmieszny, wszystko było śmieszne. Przez jedno uderzenie serca pomyślał o Ingrid — to był odwrót, a może ratunek. Jedyne, co mu pozostało. Ingrid!

— Niech pan nie bierze tego tak tragicznie! Zostańmy przyjaciółmi. Przecież i tak przez cały czas myślał pan tylko o Ulli, czyż nic tak? Ulla odprawiła pana z kwitkiem — nie-trudno to odgadnąć. Może akurat nic była w humorze albo zabrał się pan w niewłaściwy sposób do rzeczy. Zwykle moja droga bratowa nie jest taka nieprzystępna.

Nie odpowiedział. Obrzydzenie, paraliż, wstręt. Nagle za oknem zawyły syreny. Alarm! Był to alarm pierwszego stopnia, sygnał, że należy zejść do podziemnego bunkra. Bez wstępnego ostrzeżenia — a więc poważna sprawa, nie ćwiczenia! Groźba ataku atomowego. Nalot.

Monotonne wysokie wycie rozdzierało powietrze. Hóllriegl spojrział wreszcie na Anselmę, która w swej koszarnej nagości wciąż jeszcze leżała na tapczanie. Wymienili przerażone spojrzenia. Anselma zerwała się z łóżka, w pośpiechu złapała kimono i zniknęła.

Stało się coś potwornego. Od soboty wszystko się zmieniło. Jedno upokorzenie po drugim. Cios, jaki zadała mu Anselma, bolał o wiele bardziej niż razy szpicruty Ulli. Teraz wszystko było mu już obojętne, niechby nawet jakaś bomba zniszczyła ich wszystkich. Był u kresu.

Siedział dalej w odrętwieniu — kilka sekund, minut, godzin? Czas zamieniał się w martwą pustynię. Wycie syren, opadając fałszywie brzmiącymi nutami, przeszło w okropne miauw-

czenie. I zamarło.

W niesamowitej ciszy, jaka nastąpiła potem, usłyszał dobiegający z głośnika w przedpokoju komunikat. W korytarzu stała Anselma w kombinezonie chroniącym przed promieniowaniem i w futrze, Ko niósł przepisowo zapakowany kuferek z rzeczami i hełm swojej pani.

— No, niechże się pan pospieszy!

Komunikat powtórzono: „Wszyscy towarzysze narodowi zamieszkali w budynku przy Neuenburger Strasse 38 schodzą do bunkra podziemnego. Fasować kombinezony ochronne. Nie wolnicy zbiorą się w pralni przed punktem dowodzenia. Dalejsze instrukcje o 22.05. Koniec komunikatu”. Wygłosił go przez domowy radiowęzeł blokowy NSDAP, a zarazem kapo obrony przeciwlotniczej.

Dopiero teraz Hóllriegl spostrzegł cztery osoby, a właściwie cienie osób, które czekały na niego i Anselmę. Stały już na zewnątrz, pan i trzy panie, w tym jedna karlica. W słabym niebieskim świetle alarmowym na klatce schodowej (oświetlenie jak na dnie morza) wszystko wydawało się nierzeczywiste, twarze były kredowobiałe, z głębokimi cieniami, ruchy ust wykrzywione i nieme. Ostry, rozkazujący ton ułatwił Anselmie objęcie dowództwa nad tą grupą.

— Kombinezony ochronne pobierzcie w bunkrze — powiedziała do nich; byli to prawdopodobnie owi koledzy z ministerstwa.

Wszyscy schodzili w milczeniu, panie dreptały elegancko, kręcąc biodrami, każdy unikał wzroku sąsiada. Kiedy znaleźli się na parterze, Anselma ponownie przerwała ciszę:

— Ko, ty pójść z panią do bunkier — nie piwnica!

Pani Geldens najwidoczniej mogła sobie pozwolić na igno-

rowanie rozkazów kierownictwa obrony przeciwlotniczej.

Po założeniu kombinezonów ochronnych i otrzymaniu maskohełmów, które nadawały im wygląd gryfa skrzyżowanego z trąbowcem, przeszli przez hermetycznie zamykane, przypominające grodziec, śluzy bezpieczeństwa. Jedynie Ko nic nie dostał. W sklepionym na podobieństwo hali bunkrze, który, jak na tego typu pomieszczenie urządzony był niemal komfortowo — Hóllriegl spostrzegł z radosnym wzruszeniem, że zapomniano usunąć duży portret Hitlera — znaleźli się w upiornym towarzystwie. Jedni przymierzali ptasiogłowe maski, gda-kając przy tym lub wciągając głośno powietrze przez trąbkę, inni znowu podziwiali się nawzajem w swych popielatych ubraniach, które u kobiet były wcięte w talii. Wszędzie biegali zaaferowani pomocnicy obrony przeciwlotniczej, uzbrojeni w broń palną i wyposażeni w liczniki Geigera. Również tutaj światło było mocno przyćmione, ale od biedy dało się czytać. Na ogół rozmawiano szeptem. Od czasu do czasu obrona przeciwlotnicza przekazywała jakieś rozkazy odnoszące się do personelu pomocniczego i niewolników.

Hóllriegl był jeszcze do tego stopnia pod wrażeniem przeżytego szoku, że, przejęty uczuciem totalnego zubożenia, zupełnie mechanicznie chłonał wszystko, co się działo wokół niego. Umyślnie nie patrzył na Anselmę, która usiadła tuż obok i zachowywała się tak, jakby nic nic zaszło; na myśl o jej ciele i jej oddaniu zrobiło mu się zimno. Przysłuchiwał się prowadzonym półgłosem rozmowom, które obracały się wokół niespodziewanego ataku na stolicę Rzeszy, ewidentnego fiaska radarowego systemu ostrzegania oraz politycznej i militarnej sytuacji międzynarodowej, jaka wytworzyła się po zgonie Fuhrera i przejściu władzy przez Kopflera. Z każdego słowa przebijał optymizm,

wola zwycięstwa i zaufanie do nowego kierownictwa, partii i Wehrmachtu. Wielkogermańska Rzesza była mocarstwem, którego nikt nic zdoła zniszczyć. Innych poglądów nie było; a gdyby były, nie wypowiedano by ich na głos.

Nic uszło uwagi Hollriegla, że trzy damy muskają go spojrzieniami, które bez ogródek wyrażały sympatię i pożądanie. Zwłaszcza karlica, garbuska w nieokreślonym wieku, o pięknej twarzy i płonących oczach werwolfa, pożerała go wzrokiem, kiedy nikt nie patrzył. Nie chcąc już komplikować i tak kłopotliwej sytuacji, przyłączył się do rozmowy, udając naturalność, choć ograniczył się dosłownie do monosylab. Postać zmarłego Fuhrera należało świadomie wyłączyć ze wszelkich spekulacji — tendencja ta była powszechna — i postawie ponad wszystkim nowe kierownictwo państwa, a więc Kopllera i jego drużynę werwolfów. Z rozmowy wywnioskował, że mężczyzna i jedna z kobiet (Hóllriegl nie został przedstawiony nikomu z całej czwórki) są małżeństwem, parą spikerów telewizyjnych, którzy poprzednio na plażach Syltu zajmowali się wielojęzyczną reklamą. Ona, miodowa blondynka i równie słodka, o owych matczyńskich, falujących kształtach i wymiarach ciała wyznaczonych z dokładnością do centymetra — norm tych skrupulatnie przestrzegano w Niemieckiej Fali Telewizyjnej i w pozostałych stacjach nadawczych kontrolowanych przez Rzeszę. On, barczysty dryblas, mówiący gardłową niemczyzną, o ciemnej cerze, energicznych rysach i szpakowatych skroniach, typ przystojniaka z ośrodka sportów zimowych, jacy zdobią zwykle okładki sportowych magazynów ilustrowanych. Mimo przyciemnionego oświetlenia nosił czarne okulary przeciwsłoneczne. Hollriegl poznał także jego nazwisko: Monnikendam; był Holendrem, ale od dawna już obywatelem Rzeszy, przyjacielem

nieżyjącego męża Anselmy. Monnikendamowie, jako że pracowali w telewizji na różne zmiany, zatrudnieni byli dodatkowo w wydziale pani Geldens. Poza tym okazało się, że garbuska zajmuje swego rodzaju kluczowe stanowisko w politycznej hierarchii urzędu, a czwarta osoba, młoda dziewczyna — Hollriegl przypomniał sobie teraz, iż widział ją przed obiadem przy stoliku Anselmy — szczupła ciemnowłosa Szwedka, która wdzięcznymi kształtami i zachowaniem przypominała modelkę, również pracowała w ministerstwie; nazywano ją Helle. Ko Won przykucnąwszy na betonowej posadzce z uśmiechem na twarzy grał sam ze sobą w madżonga (Hollriegl znał tę grę).

Wydawało się, że istnieje między nimi cicha umowa, iż nie będą robić żadnych aluzji do tego, czemu wszyscy czworo przyglądali się w mieszkaniu Anselmy. Ale ich spojrzenia były wystarczająco wymowne. Wyobraźnia Hollriegla podszeptowała mu, że zainspirowani oglądanymi scenami oddawali się w sąsiednim pokoju orgii głównie lesbijskiej (trzy kobiety kontra jeden mężczyzna!). Teoretycznie każda czynność erotyczna, która nie miała na celu prokreacji, była oficjalnie zabroniona, a odchylenia od normy płciowej, jeśli docierały do wiadomości partii lub NSWRO (NS Wspólnota Rasowo-Obyczajowa), karano bardzo surowo. Jednakże pomimo wszelkich środków ostrożności od czasu do czasu ujawniano jakąś orgię (tego rodzaju rozrywki nazywano „songami”, określenie spopularyzowane przez „Minne”), a wtedy nastroczała się dogodna okazja do procesu pokazowego, w trakcie którego z całą pożądaną dokładnością prano na oczach narodu najintymniejsze brudy. W praktyce — zwłaszcza gdy dotyczyło to wpływowych osobistości — najczęściej patrzono przez palce na takie wykroczenia, nawet wówczas, kiedy żeńskie obiekty seksualne były

gorszej rasy czy wręcz niewolnicami. Tych czworo miało więc swój „song”. Hollrieglowi było to już w zasadzie obojętne — w znacznej mierze pogodził się z ich „współuczestnictwem”.

Z zewnątrz przeciekały jedynie skąpe informacje. Komentant obrony przeciwlotniczej bloku starał się na pewno nie mówić za wiele, żeby nic dopuścić do wybuchu paniki wśród zamkniętych w bunkrze ludzi. Nerwowość wzmogła się jednak, gdy zaczęły krążyć plotki, że pewna liczba zdalnie sterowanych rakiet dalekiego zasięgu spadła nic tylko na obszar Wielkiego Berlina, lecz także na inne rejony Rzeszy, co spowodowało duże straty materialne; odnotowano również wiele ofiar śmiertelnych. W bunkrze nic czuć było żadnych detonacji, tylko raz ziemia lekko zadrżała. W przerwach między niewiele mówiącymi komunikatami kierownictwa bloku puszczano dziarskie marsze, a wśród nich zwłaszcza „My wilki wyjemy do nocy”, ulubiony marsz Kopflera. W końcu na stanowisku dowodzenia włączono program radiowy i wspólnota domowa wysłuchała następującego komunikatu:

„Na obszarze miejskim Wielkiego Berlina eksplodowały dwie rakiet dalekiego zasięgu typu Banzai z głowicami konwencjonalnymi, trzecia spadła do jeziora Wannsee. Straty materialne są znaczne. Linia szybkiej kolei miejskiej przez Spandau-West do Staaken została w kilku miejscach przerwana, uległy także częściowemu zniszczeniu tunele metra pomiędzy Alexanderplatz a Schonhauser Allee i między Spittelmarkt a dworcem Stadtmitte. Z innych rejonów Rzeszy doniesiono o eksplozjach na obszarze trójkąta Kassel, Paderborn, Bielefeld, jak również nad środkowym Renem i na terenie Pomorza Wschodniego. Na razie brak szczegółowych danych. W Zatoce Lubeckiej dwa pociski nieprzyjacielskie spadły do morza na

wysokości Haffkrug-Scharbeutz. Jak dotychczas, można oświadczyć z całkowitą pewnością, że w tym podstępny atak na Rzeszę użyto rakiet z głowicami konwencjonalnymi, a więc nie broni nuklearnej ani też nic bakteriologicznej. Na żadnym z zaatakowanych obszarów nie stwierdzono promieniowania radioaktywnego. Uderzenia odwetowe o zasięgu światowym są w toku“.

Kiedy spiker radiowy skończył, zgłosiło się stanowisko dowodzenia obrony przeciwlotniczej: „Wkrótce zostanie nadane odwołanie alarmu dla obszaru Wielkiego Berlina. Wspólnota domowa opuści bunkier w zdyscyplinowanym porządku i przykładowie dobrym nastroju. Kombinezony ochronne i maski każdy zabiera ze sobą. Koniec komunikatu“.

Przykładnie dobry nastrój — wśród mieszkańców domu zaczęła się rzeczywiście szerzyć mizerna wesołość, ponieważ w komunikatach mówiono tylko o głowicach „konwencjonalnych” — i małe zamieszanie w śluzach Hollriegl wykorzystał, aby w ciemności ulotnić się bez pożegnania. To była ucieczka. Anselma, może nieświadomie, nie przedstawiła go swoim przyjaciółom. Czy był lokajem, niewolnikiem? Jej ciało należało do niego, a jego do niej. Byli kwita. Nie chciał jej już widzieć, i Ulli także. Miał pecha do dumnych von Eycków — należał do niższej klasy. Kiedy się jednak nad tym wszystkim zastanawiał, czuł tępy ból pochodzący jakby z niewidzialnej rany.

Zaciemnione ulice pod niebem pokrytym przypalonymi plamami — kolor ten przypominał mu zrudziały portret Fuhrera w domu — stopniowo zapełniały się świetlikami. W powietrzu unosił się dziwnie słodkawy duszący zapach. Hollriegl usłyszał z oddali ryk, który szybko się zbliżał, a w końcu zmienił w ogłuszający huk. Samochody ciężarowe, jeden za drugim,

było ich coraz więcej, przejechały pędem obok niego z zapalonymi reflektorami, gdy przechodził właśnie przez jakiś większy plac, zapewne plac Bluchera. Wozy wypełnione były młodymi ludźmi, którzy w dziarskim rytmie skandowali bez przerwy tylko jedno słowo: „Aus-ra! Aus-ra! Aus-ra! Aus-ra! Aus-ra! “ Hollriegl zrozumiał: Ausra była jedną z najstraszliwszych broni masowego rażenia w arsenale Rzeszy, z grupy rakiet dalekiego zasięgu, nazwaną tak od imienia starobałtyckiej bogini świtu — zarazem jednak słowo to, skrócone na modłę wojskową, oznaczało „wymazać z powierzchni ziemi“ (podczas ostatniej wojny mówiono „obrócić w perzynę*).

Na stacji metra okazało się, że ruch został wstrzymany, musiał więc wracać pieszo. Powrót był uciążliwy; kilka razy zatrzymywały go patrole i posterunki kontrolne. Im usilniej starał się wymazać Anselmę z pamięci, tym mocniejsze, boleśniejsze i bardziej dojmujące stawało się pragnienie zobaczenia jej znowu, posiadania jej, pomszczenia doznanej zniewagi. Czy nie było to śmieszne? Brał całą tę sprawę o wiele zbyt poważnie. Takie zabawy należały do wyrafinowanych rozrywek w pewnych kręgach, którym dokuczwała nuda. Anselma obracała się w tych kręgach, musiała się więc dostosować, jeśli chciała pozostać na górze. Możliwe, że zmuszano ją do tego. Że też w ogóle szukał motywów jej postępowania! Czyż nie było to już w połowie przebaczenie i puszczenie w niepamięć? „Zostańmy przyjaciółmi”, powiedziała.

— Aus-ra! Aus-ra! Aus-ra!

W katakumbach

Cóż to za ziemski robak

tam leży i ogląda się od środka?

Bajka o ośle, który jadł kapustę

** W oryginale odpowiednio „ausradieren“ i „coventrisieren“.*

Wydarzyło się to za Schicklgrube, małą wioską przy drodze ze Schlewecke do Bad Harzburg. W ciągu nocy przesunięto „małe“ strefy zamknięte i Hollriegl, który miał pozwolenie na przekroczenie tej jednej, musiał pojechać okrężną drogą przez Helmstedt, Brunswik, Salzgitter i „Wolne Miasto Rzeszy“ Goslar. Na autostradzie ruch w obie strony był znikomy, na pasie do wyprzedzania można by biwakować. Przede wszystkim rzucał się w oczy brak ciężarówek dalekobieżnych, które zostały zarekwirowane. Samochodami osobowymi podejmowano tylko najpilniejsze podróże. A wysoko w górze słychać było nieustannie potężne głucho dudnienie.

Po pogodzie panującej w ostatnim tygodniu zaskakiwał dzień niezwykle ciepły jak na tę porę roku, słońce mrugało zza chmur, przedgórze górnego Harzu tonęło w wilgotnym brązowym blasku. Powietrze miało oślepiającą barwę masy perłowej. Kiedy Hollriegl zostawił za sobą położoną w obniżeniu terenu wioskę, ujrzął potężną budowlę wznoszącą się na szczycie wzgórza, które opadało tarasowato do niemal wyschniętego stawu. Z piskiem hamulców zatrzymał auto i przyglądał się budowli — niewątpliwie była to jedna z owych świątyń zmarłych, jakie Fuhrer kazał wystawić po wielkim zwycięstwie. Łańcuch takich pomników ku czci poległych bohaterów ciągnął się o Zatokę Biskajską przez Ytemest, dawniej Hammerfest, i Erzengelstadt¹, wzdłuż Uralu i Kaukazu aż po wybrzeże Grecji na

południu. Wszystkie świątynie zmarłych były jednakowe, ich urok polegał na archaicznych proporcjach i mrocznej majestatyczności. Mauzoleum towarzyszyły dodatkowe obiekty, małe dębowe gaje, omszałe kamienne schody, zbudowane z ciosów kolumny z przypominającymi patelnie misami z brązu na święty ogień, staw — wszystko znormalizowane. Monument miał kształt łuku, był szary i kłocowaty jak bunkier naziemny.

Hollriegl poczuł podniosłe wzruszenie. Zawsze kiedy śmierć stawała blisko niego, w rozmowach lub na cmentarzach, ogarniał go ten niemęski, sentymentalny nastrój; oczy mu wtedy wilgotniały, musiał kurczowo przetykać ślinę. Monument przypominał mu „Wyspę umarłych“ Bocklina, wiszącą w jego pokoju. Z rozrzewnieniem pomyślał o swych rodzicach, którzy od dawna spoczywali w grobie.

Potem jednak w jego myślach rozbłysło białe ciało Ulii i natychmiast musiał też pomyśleć o Anselmie. Który to już raz dzisiaj! Wczesnym rankiem, kiedy gotów do drogi siedział w samochodzie, telefonowała do niego jakaś kobieta. Pani Zweenemann próbowała go jeszcze przywołać, ale ruszył, nie zważając na jej gesty. Anselma powinna wiedzieć, że między nimi wszystko skończone. (Dziecinny upór!)

Podczas długiej jazdy z częstymi postojami, kontrolami, przeglądami — nadzór nad ruchem drogowym sprawowali wyłącznie ludzie WW, werwofy w cywilu, NSKK przypuszczalnie wycofano z tej działalności — wciąż mówił Anselmie, co o tym wszystkim myśli. Wymierzał słowa jak uderzenia biczem. Lecz Anselma — Anselma zbudowana z powietrza — nie odpowiadała! A mimo to od czasu do czasu owiewał go ciepły, przyjemny zapach jej skóry, słyszał jej cichy, twardy głos, czuł jej drobną dłoń, która się kładła na jego prawej ręce,

kiedy zbyt ostro wchodził w zakręt.

Była istotą z instynktem inteligentnego zwierzęcia, nietykalaną, bo niepojętą, żyjącą jedynie w terażniejszości. Wiodła egzystencję ograniczoną jakby do kilku punktów. Czy w ogóle miała pamięć, zdolność zapamiętywania tego, co się nazywa historią? Anselma zawsze reagowała prawidłowo, zawsze z absolutną pewnością, właśnie dlatego, że była zwierzęciem. Zwie-

¹ *Archangielsk.*

rzęciem obdarzonym przenikliwym rozumem... chirurga, lecz zarazem usposobieniem dziwki. Była — tak, to właściwe słowo — była nierządnicą! Dlaczego nie rzucił jej w twarz tego słowa? „Dziwka“ była tak pospolita! Anselma potrafiła otwierać rzeczy, odsłaniać je, ukazywać ich anatomię, aż człowiekowi robiło się niedobrze. Jak podczas operacji dokonywanej na żywo, na pacjencie dysponującym pełną świadomością. Na pewno była okrutna jak dziecko. I równie niebezpieczna. (Hollriegl nie lubił dzieci, nieraz dały mu się mocno we znaki). Prawdopodobnie, kiedy się nudziła” wrywała pająkom nóżki, a muchom skrzydła. Chętnie spróbowałaby tego także z nim!

Włączył radio, gdzieś znajdzie przecież muzykę poważną, która pasowała do mauzoleum. Poczuł przez moment złość na samego siebie: stoi obok pomnika bohaterów, którzy zginęli za Fuhrera i Rzeszę, a w głowie mu tylko baby.

Żadnej muzyki oprócz marszów — za to wszystkie stacje nadawały identyczne wiadomości i komunikaty, tak było przez cały czas, od samego rana; często komunikaty o zaszyfrowanej treści, którą rozumiały jedynie określone wyższe instancje partyjne. W służbie informacyjnej utrwalił się w ciągu nocy pewnego rodzaju prostacki ton: wojskowa rzeczowość ustąpiła miej-

sca ordynarnej propagandzie; spikerzy mieli widocznie za zadanie odczytywać teksty z możliwie największą nienawiścią w głosie.

„... System wczesnego ostrzegania w Thule zameldował dziś rano o zbliżaniu się kilku zdalnie sterowanych rakiet typu Wakaihito; udało się zepchnąć je z kursu balistycznego i spowodować ich eksplozję na pustyni arktycznej. — Pomiędzy byłymi miastami Omsk i Semipałatyńsk podstępny wróg zrzucił oddziały gerylasów i kamikadze, które, wzmocnione przez ostyjskich podludzi, zaatakowały nasze daleko wysunięte wieś warowne na wschód od Irtyszu. Toczą się bezlitosne walki, przeważnie jeden na jednego. Nieprzyjaciel przerzuca bez przerwy drogą powietrzną nowe siły. Warownia nadgraniczna Ragnar Lodbrok po chwalebnym oporze padła, nieludzki wróg użył gazu musztardowego. Wszędzie gdzie skośnookie szakale zdobywają przyczółki, wypuszczają więźniów z karnych obozów pracy. OKW*-Transural wydało zatem rozkaz likwidacji UmL-i i niebrania jeńców, lecz rozdeptywania czandalskiego robactwa, gdziekolwiek wypełźnie. — Uwaga! Uwaga! Stryj Theodor wzywa małą Annemarie... Szarotka dwa... Szarotka dwa... Do wszystkich jednostek... Orzeł lub reszka... reszka lub orzeł... orzeł lub reszka. — Minionej nocy siły powietrzne Rzeszy na Pacyfiku bombardowały bez przerwy Wyspy Japońskie, chińskie terytorium na lądzie stałym, Archipelag Malajski oraz okupowaną przez Żółte małpy Australię. Singapur zamienił się w morze płomieni, Kobe i Osaka przestały istnieć. Jednostki sino-japońskich spadochroniarzy zostały zrzucone na protektorat Rzeszy Hongkong. Nasze dzielne wojska nawiązały w wielu punktach kontakt ogniowy z przeważającymi siłami nieprzyjaciela, który zachowuje się jak banda morderców. Japsom

udało się umocnić pozycje na półwyspie Kaulung i w zatoce Siwan. Siwan po bohaterskiej obronie wpadł w ręce wroga. — Lotnictwo defensywne 2. i 8. Floty Powietrznej udaremniło liczne operacje desantowo-morskie wroga na zachodnim wybrzeżu Ameryki pomiędzy 40. a 60. stopniem szerokości północnej, jedynie w zatoce Estero, w San Diego oraz Agua Caliente nieprzyjacielowi udało się zdobyć przyczółki przy pomocy zdradzieckich oddziałów amerykańskich. — Mało przejrzysta sytuacja w środkowej Kalifornii i na froncie w Nowadzie. — Przebywający, jak wiadomo, od roku w pewnej kolońskiej klinice neurologicznej dalajlama doznał dzisiejszej nocy zatoru

² *Oberkommando der Wehrmacht — Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych.*

mózgu. Żywy bóg Tybetańczyków, którego schizofrenia uznana została za nieuleczalną, dożył czterdziestu lat. — W Republice Burskiej, w pojedynczych, odległych od siebie punktach, a mianowicie w rejonie Pietermaritzburga, w Wepener i Mafeteng, w kraju Basuto, a ponadto w Nieuwveld, wybuchły zażarte walki w buszu pomiędzy burskimi chłopami warownymi a czarnymi małpoludami, którym udało się zdobyć broń. Czarne bestie dopuszczały się aktów niesłychanego okrucieństwa wobec bezbronnych białych, przede wszystkim wobec kobiet i dzieci. Jednostki szybkiego reagowania naszego korpusu kolonialnego, jak również brygady VT* Afrikaner Broederbond i Buren-SS są w drodze na tereny objęte powstaniem. Generał Gert van Boutzelaar wydał rozkaz dzienny do korpusu ochotniczego «Stryj Kruger»... — Wczoraj w godzinach wieczornych nad kanałem Alenuihaha jedna z naszych operujących w tamtym rejonie łodzi podwodnych zestrzeliła nieprzyjacielski bombowiec, doprowadzając w ten sposób do wybuchu nuklearnego. Hawaje wraz z wyspą Maui ogłoszono zamkniętym obszarem

skażenia promieniotwórczego. Tym samym dostarczony został dowód na to, że klika zbrodniarzy wojennych z Soka Gakkai zamierza zaatakować bronią jądrową Imperium Germańskie i jego sojuszników, co stanowi historyczne wyzwanie, którego naród niemiecki nie może puścić płazem. Od dziś godzina zero zero czasu niemieckiego odpowiadamy tą samą bronią. Ivo Kopfler polecił stacjonującym na Grenlandii i na obszarze Kanady formacjom bombowców Strategicznych Sił Powietrznych Północ, by obrały kurs na nieprzyjaciela i w określonym czasie nad określonymi celami odbezpieczyły głowice jądrowe. W błyskawicznej akcji biorą głównie udział jednostki Totenkopfu ³ *Verfügungstruppe — oddział dyspozycyjny (szybkiego reagowania), utworzony z Leibstandarte „Adolf Hitler” i podlegający pierwotnie wyłącznie Führerowi, potem dowództwu Wehrmachtu.*

16. i 17. Floty Powietrznej. Pełna odpowiedzialność za użycie tych środków spada na wroga. — Hajdehopsasa, hajdehopsasa... Go robi ciotka Uta w za dużych butach w Czeskim Lesie...? Prezent urodzinowy dotarł szczęśliwie. Tort nadaje się jeszcze do spożycia. — 2. Dywizja Rakiet Międzykontynentalnych została dziś rano zaatakowana z powietrza. Straty pod względem strategicznym są nieznaczne. Dwanaście nieprzyjacielskich bombowców ponaddzwiękowych zniszczono dzięki użyciu taktycznej broni laserowej. — Z uwagi na przygotowania do uroczystości pogrzebowych Adolfa Hitlera w Kyffhauser ogłasza się niniejszym aż do odwołania czworobok Kelbra-Haekpfuffel-Rottleberode-Hcydrich w obwodzie Goldene Aue strefą zamkniętą 1-A. Do wstępu uprawnione są jedynie osoby mieszkające tam na stałe i posiadacze legitymacji WW-12 000 oraz RAD-III, jak również żołnierze Wehrmachtu i pracownicy aparatu partyjnego związani z tym obszarem lokalizacją gar-

nizonów lub urzędów. W rejonie tym zgodnie z wolą Ivo Kopflera mieścić się będzie w przyszłości narodowa świątynia ludu niemieckiego. — W najbliższym czasie należy oczekiwać aresztowania wyjętych spod prawa zbiegłych zdrajców kraju Unselda i Diebolda. Obydwaj zbrodniarze są już otoczeni, a ich unieszkodliwienie to tylko kwestia godzin. — Wszelkie mapy drogowe dotyczące obszaru Rzeszy i jej protektoratów w skali do 1:200 000 należy oddać w najbliższej placówce partyjnej. Wyjątki od tej zasady muszą być każdorazowo dokładnie zbadane i wyjaśnione. — Dla całego obszaru Rzeszy wstrzymuje się aż do odwołania komunikaty meteorologiczne. — A teraz podajemy ostateczne kwoty niedzielnej zbiórki pieniężnej na Akcję Pomocy Zimowej...”

Radio, nastawione ma małą głośność, bez przerwy brzęczało dalej. Najważniejszą wiadomością polityczną była bez wątpienia informacja, że wróg rozpętał jednak wojnę jądrową. Wiadomość ta niezbyt wstrząsnęła Hollrieglem — w skrytości ducha, podobnie jak wielu towarzyszy narodowych, spodziewał się tego. (Te żółte diabły!) W każdym razie, jeśli elektroniczne systemy przeciwrakietowe nie okażą się skuteczne, może być zagrożony obszar samej Rzeszy. A co to oznaczało, widać było na przykładzie Anglii, która, po atomowym zniszczeniu Londynu wiosną 1945 roku, pod względem gospodarczym ciągle jeszcze nic doszła do siebie.

W chwili obecnej i gdy myślał o najbliższej przyszłości, ważniejszy niemal wydał mu się fakt, iż jego miejsce zamieszkania znajduje się na terenie, który zaliczony został do obszarów chronionych, a tym samym leży odtąd w strefie zamkniętej. Co prawda nie miało to dla niego bezpośredniego znaczenia, gdyż pracował przecież w Heydrich w służbie sanitarnej na prawach

funkcjonariusza partyjnego. Ale później! Zdobyte z takim trudem grono stałych klientów będzie musiało się rozpaść. I czy jego samego, przeniesionego tam służbowo Wschodniomarchijczyka, nie zechcą się pozbyć przy pierwszej lepszej okazji?

Hollriegl wysiadł z samochodu i wdychał z przyjemnością aromatyczne wiejskie powietrze. Jak okiem sięgnąć żywej duszy — jakże spokojny był świat! Tylko wysoko w górze ciche dudnienie. Staął na poboczu drogi i rozpoczął serię głębokich oddechów zalecanych przez przyrodolecznictwo. Już po kilku minutach poczuł się odprężony i wzmocniony. Pochłonięty ćwiczeniami koncentracyjnymi nic zauważył, że dudnienie przybrało na sile i teraz formalnie spadało mu na głowę. Spojrzawszy w górę, dostrzegł nad sobą myśliwiec, który jak jeden z owych przedpotopowych stukasów pikował pionowo w dół, a więc prosto na niego, jednakże tuż nad ziemią poderwał się, a następnie prawie pionowo wzbił się w górę, wykonując wszystkie manewry błyskawicznie i precyzyjnie zarazem. Z racji swojej funkcji urzędowej obeznany z typami uzbrojenia, rozpoznał nowego Nih-156-D konstrukcji niemiecko-amerykańskiej, „najnowocześniejszy myśliwiec wielozadaniowy, niezawodny w każdych warunkach atmosferycznych” — Hóllriegl dokładnie pamiętał odnośne miejsce z *Podręcznika wiedzy wojskowej dla niemieckich urzędników* — który z równie znakomitym skutkiem mógł być używany do walk powietrznych, do wspierania z powietrza operacji naziemnych, ataku z lotu koszącego oraz do zadań rozpoznawczych. Kiedy maszyna, rycząc ze wszystkich dysz i porów i w jednej chwili malejąc do rozmiarów komara, rozplynęła się w powietrzu niczym dzika, śmierdząca zjawą, usta Hollriegla ułożyły się odruchowo, wypowiadając bezgłośnie wyuczone na pamięć zdanie: „Ten w naj-

wyższym stopniu niezawodny samolot, który w każdej chwili i niemal w każdym miejscu może wystartować, osiągnął, a nawet przewyższył wszystkie parametry, wyliczone dla niego na podstawie licznych prób w tunelu aerodynamicznym. Uzbrojony w laser Nih(il)-156-D(eath) jest najskuteczniejszą bronią zaczepną w ręku Nowego Porządku Światowego...“ Uśmiechnął się, uszczęśliwiony, do swoich myśli; drobny epizod wzmocnił go i nappełnił nową ufnością.

Jakby mu urosły skrzydła u ramion, wbiegł po szerokich kamiennych płytach, które wiodły na najniższy taras świątyni. Oglądany z bliska, cały obiekt sprawiał wrażenie mocno zaniedbanego. Staw był jedynie zarośniętym bajorem. Wszędzie pleniły się uschnięte osty, a brudnobrązowe łopiany wysokości mężczyzny zarastały popękane filary i mury. Tu i ówdzie wylaśniał się stalowy szkielet betonu. Niektóre spośród kamiennych ławek, zapraszających do refleksji i zadumy, pozawałały się i nie zostały już naprawione. Na frontowej ścianie najwyższego tarasu, pod zardzewiałym orłem, Hollriegl odkrył zwietrzały napis: **CHOĆ WIEKI PRZEMINĄ /NIGDY NIE BĘDZIE JUŻ MOŻNA MÓWIĆ ANI PISAĆ O BOHATERSTWIE/ NIE WSPOMINAJĄC O CZYNACH ŻOŁNIERZA NIEMIECKIEGO/ WÓWCZAS Z MGIEŁ PRZESZŁOŚCI WYŁONI SIĘ ŻELAZNY FRONT SZARYCH STALOWYCH HEŁMÓW/ NIE CHWIEJĄC SIĘ ANI NIE USTĘPUJĄC/ POMNIK NIEŚMIERTELNOŚCI/ DOPÓKI JEDNAK ŻYJĄ NIEMCY/ PAMIĘTAĆ BĘDĄ/ ŻE BYLI TO KIEDYŚ SYNOWIE ICH NARODU. ADOLF HITLER/ MEIN KAMPF.** Nazwisko Fuhrera zamazane było świeżą czarną farbą. Ktoś domalował, posługując się szablonem, **HEIL NIEMIECKI WW** — a pod spodem otwartą paszczę wilka.

Chuligański wybryk wzbudził w nim obrzydzenie. Duma

i radość ulotniły się w jednej chwili. Dręczony niejasnym przecuciem — także słońce schowało się za chmurami — obszedł w zamyśleniu monument. Jak zdążyć się zorientować, usypany pagórek przechodził po stronie odwróconej od szosy w naturalny, porośnięty lasem próg ziemny.

Usiadł, żeby trochę odsapnąć, położył się na plecach i zaczął sobie masować potylicę. Znów ten wstrętny nerwoból w karku, la sztywność kręgów szyjnych! Hollriegl zdawał sobie sprawę, że w narodzie niemieckim, głęboko, na samym dnie duszy, budzi się coś potężnego i nieobliczalnego, co prze do nowego przełomu. Jak kiedyś, przed rokiem 1933! Niezgoda — w takiej dziejowej chwili! To były dni straszliwych rozstrzygnięć, wewnętrznych i zewnętrznych. Rozstrzygnięć także dla niego i dla każdego towarzysza narodowego z osobna. Gdzie jest jego miejsce, gdzie chce być? W starej gwardii, która gromadziła się wokół nieżyjącego Fuhrera i jego dziedzictwa, czy wśród nowych? „Mam nadzieję, że nie będzie pan zawsze stawiał na złego konia“ — powiedziała Anselma. Gzy powinien więc, jak ona, wyć razem z werwolfami?

Podparwszy się na łokciu, stwierdził, że dolina ożywiła się. Jakaś szara masa posuwała się powoli w szarej zimowej trawie, zbliżając się ku miejscu, gdzie leżał. Ale co to było? Stado świń? Właściwie można było odnieść takie wrażenie. Wytężył słuch, by usłyszeć chrząkanie. Odgłos przypominał raczej szmeranie lub mruczenie. Nie, to byli ludzie! Ale ludzie idący na czworakach.

Hollriegl słyszał już i czytał, że biologowie i neurochirurdzy w UmL-ach rozpoczęli fantastyczne próby, których daleko-siężnym celem było cofnięcie człowieka, a ściślej mówiąc, pewnego gatunku ludzi, do stadium rozwojowego zwierzęcia. Ten

doniosły pomysł wiązał się z koncepcją, która zakładała, że nad całym światem panować miała wyselekcjonowana rasa panów, składająca się wyłącznie z ludzi szlachejnych i wolnych, nie skażona nordycka arystokracja krwi, wspierana w swym władaniu przez specjalnie udoskonalone ludy wasalskie, poniżej zaś tych ludów wasali i lenników było na ziemi miejsce wyłącznie dla różnych gatunków zwierząt, zwierząt dysponujących różnym stopniem inteligencji i znajdujących się na różnych szczeblach rozwoju. Wyhodowane dotychczas z zupełnie bezwartościowego lub przestępczego materiału czandalskiego człekobydlę, lub zwierzocztłowiek, zajmować miało szczególne, zupełnie wyjątkowe miejsce w hierarchii ssaków. Zwierzoludzie przeznaczeni byli do jednowymiarowej egzystencji żyjących stadnie robotów; z socjologicznego punktu widzenia staliby pomiędzy zwierzęciem domowym i maszyną. Zadaniem maszyny byłoby zarówno rozwiązywanie najtrudniejszych problemów myślowych, jak i podoływanie ciężkiej masowej pracy, zwierzocztłowiek natomiast miałby spełniać najniższe posługi, do których wykonywania potrzebne było jedynie coś takiego jak instynkt. (Złamać „ja“ człowieka, przekształcić jego zdolność myślenia w prymitywny instynkt, uczynić z niego istotę pozbawioną historii i pozwolić się plenić popędom, takie zadanie miała lobotomia). Cały koncept zrodził się po części pod wpływem dość powszechnych obaw, że coraz wyżej rozwinięte, coraz trudniejsze do opanowania maszyny pewnego dnia mogą się wymknąć spod kontroli oligarchii, poniekąd się usamodzielnic, zacząć samodzielnie myśleć i działać. W wypadku zmienionych genetycznie podludzi ryzyko to nie istniało — nigdy nie będą umieli samodzielnie myśleć ani działać, we wszystkich swych przejawach życiowych byli bliżsi automatom niż maszy-

ny i dlatego mniej groźni. Utrzymanie niewolników mniej także kosztowało, łatwiej ich było tępić masowo, a nawet zmuszać do tego, by się nawzajem tępili. W reformatorskich kręgach NARMAT-u marzono o dniu, kiedy cywilizacja składać się będzie z rezerwatów bydlęcych ludów z jednej i wysoko rozwiniętych parków maszynowych z drugiej strony — a wszystko to podporządkowane elitom, które już teraz powstawały w koloniach czystej rasy, w zamkach warownych SS oraz w walhallach ariozofów. Jak każdy wiedział, eksperymenty zmierzające do wyhodowania zwierozczłeka były jeszcze w powijakach, i powszechnie ubolewano, że tak szybko i tak totalnie wytępiono wszystkich Żydów; prawdopodobnie byłiby idealnym ludem doświadczalnym do takich przedsięwzięć.

Hóllriegl przypomniał sobie nagle zdanie, które swego czasu, gdy musiał wkuwać do jakiegoś egzaminu, utkwilo mu na zawsze w pamięci: „Podczłowiek — owo pod względem biologicznym z pozoru całkowicie jednorodne stworzenie naturalne posiadające ręce, nogi i swego rodzaju mózg, a także oczy i usta — jest jednak zupełnie inną, okropną kreaturą, jest jedynie marną namiastką człowieka, z człekopodobnymi rysami twarzy, pod względem umysłowym, duchowym natomiast stoi niżej od każdego zwierzęcia“. Słyszał również, że zanim przystąpiono do dokonywania pewnych operacji wewnątrz czaszki, grupy doświadczalne podludzi przez wiele lat trzymano zamknięte w niziutkich kojcach, jak świnie, gdzie, dusząc się we własnym kale, a nawet go żrąc, pozostawali stłoczeni tak długo, aż egzemplarze, które przeżyły, zamiast chodzić w pozycji pochylonej, zaczynały poruszać się na czworakach lub pełzać po ziemi. Ów sposób poruszania się wchodził im potem w nawyk. W okresie przebywania w kojcu następowało bowiem

usztynwienie — albo skrzywienie — kręgosłupa, dochodziło również do przestawienia muskulatury lub dostosowania jej do nowego sposobu lokomocji, wskutek czego istoty te z wielkim trudem potrafiły stawać znów na tylnych kończynach, a więc chodzić prosto. Jednocześnie owe wtórne czworonogi przyjmowały stopniowo wygląd zewnętrzny i zachowanie typowe dla zwierząt. Do uzyskania właściwego produktu końcowego tych doświadczeń, przeprowadzanych obecnie w całym Świącie zachodnim pod kryptonimami „Hipopotam”, „Tutmozis” i „Ka” („Ka” dla obiektów doświadczalnych kończyło się nieodmiennie śmiercią), było jeszcze niestety bardzo daleko, choć pojedyncze rezultaty, jak można było kiedyś przeczytać w „Kyffhauser-Bote”, „pozwalaty żywić piękne nadzieje

Hóllriegl nigdy jeszcze nie widział sztucznych bestii. W skrytości ducha wzdragał się nawet wierzyć w możliwość, a tym bardziej w urzeczywistnienie wiadomych eksperymentów, choć były publiczną tajemnicą i omawiano je z grubsza w eufemistyczny sposób w dostępnych urzędnikom i pomocniczym funkcjonariuszom lecznictwa materiałach szkoleniowych z zakresu teorii ras. Wciąż sobie powtarzał, że nie może ich odrzucić kierując się względami światopoglądowymi, gdyż w jego wyobrażeniach o hierarchii bohaterów i idealistycznym Świącie bogów było również miejsce na rządzenie i podporządkowywanie się, zabijanie i bycie zabijanym, wyższy rozwój rasy kosztem niższych gatunków, były eudemony i kakodemony. Gdy jednak teraz zwierzoludzie, wspinając się powoli na pagórek, na czworakach zbliżali się do niego, i najpierw koszmarny fetor przyniesiony powiewem wiatru, a następnie potworny widok ich zgarbionych, zniszczonych ciał wzbudziły w nim jedyne w swoim rodzaju uczucie obrzydzenia i zawroty

głowy, przekonał się niezbitcie, że marzenie biochirurgów przybrało realny kształt.

Leżał nadal niby odrętwiały i mimo woli poszukał ręką noża myśliwskiego, jedynej broni, jaką miał przy sobie. (Jako urzędnik zobowiązany był nosić w podróży pistolet, ale zostawił go w samochodzie). Różniące się między sobą tylko owłosieniem, lepkie od brudu, odziane w azbestowej barwy chałaty lub ich strzępy bestie wydawały się usposobione pokojowo. Nie miały już w sobie nic ludzkiego. Z pyskami przy ziemi — a może były to jeszcze nosy i usta? — szły swoją drogą, rytmicznie kiwając głowami w takt jakiejś ochryplej monotonnej śpiewaniny. Kiedy jedno ze zwierząt zaczęło go obwąchiwać, drżąc na całym ciele podniósł rękę do uderzenia. Stworzenie, które miało kiedyś może ludzką twarz, odskoczyło z piskiem (sądząc po głosie — kobieta) i pokazało spróchniałe zęby, ale był to swego rodzaju uśmiech. Reszta stada właściwie nie zwróciła na niego uwagi.

Wtem Hollriegl uświadomił sobie pewną okoliczność, która podziałała na jego nerwy niczym przeraźliwy sygnał alarmowy. Jednym skokiem zerwał się na równe nogi. Gdzie byli dozorczy, strażnicy? Żadnego mundurowego. Horda wydawała się puszczona samopas — gdyby była to brygada robocza w trakcie wykonywania jakiegoś zadania, miałyby eskortę. Zwierzoludzie podążali bez żadnych przeszkód za istotą, która wyglądem i zachowaniem niczym się od nich nie różniła, z tym tylko, że jakby pod ciężkim brzemieniem, szła chwiejnym krokiem w pozycji na wprost wyprostowanej. Przypuszczalnie był to ich kapo, a zarazem prowadzący modły. Owa istota, wręcz groteskowej brzydoty, odmawiała coś w rodzaju litanii, do której od czasu do czasu śpiewnym pomrukiwaniem włączała się koszmarna

drużyna.

Brzmieniowo jedno czy drugie słowo wydało się Hollrieglowi znajome; wsłuchał się baczniej — tak, to czeski. A więc czeski materiał doświadczalny! Wysiedlając Czechów z byłego protektoratu, a obecnie okręgu Czech i Moraw, pozostawiono jedynie wybrane grupy inteligencji, które w razie potrzeby przekazywano UmL-om, laboratoriom biologicznym i zakładom doświadczalnym na poligonach raketowych Peenemunde i Beydritten — do ważnych z wojskowego punktu widzenia eksperymentów. Resztę, czyli właściwie całą ludność czeską podobnie jak ludność byłej Generalnej Guberni, czyli Polski, deportowano — rozwieziono do czterech rosyjskich prowincji wareskich (w języku wewnętrznym partii nazywały się właściwie okręgami lennymi), gdzie musiała wykonywać posługi pańszczyźniane na rzecz niemieckiego chłopstwa warownego i podlegała bezpośrednio rozkazom reichsvogta SS do spraw pracy na terenach wschodnich.

Język czeski! Jako dziecko Hollriegl spędził niejedne wakacje w południowych Czechach, w majątku dzierżawnym niedaleko Budziejowic. Był wówczas wątłej budowy i często zapadał na zdrowiu, więc jego matka, z rodziny czeskich Niemców, w obawie, że syn rozchoruje się na płuca, posyłała go do krewnych na „poustkę” albo „jednotę”, żeby we wzmacniającym powietrzu lasów iglastych i pijąc mleko prosto od krowy nabierał sił i zdrowia. (I tak zresztą było). W okolicy zamieszkałej wyłącznie przez Czechów chłopiec bardzo szybko przyswoił sobie język potoczny, mało tego, pobożni krewni posyłała go co niedziela do pobliskiego wiejskiego kościoła, żeby służył do mszy, bo łatwo zapamiętywał po części łacińskie, a po części czeskie modlitwy. Również później zachował jeszcze

Brunatna rapsodia

pewną znajomość czeskiego.

— ... *duse md, Boha, Boha silneho zineho, a fika* — zrozumiał Hóllriegl. W trakcie psalmodii prowadzący modły wciąż wyrzucał ramiona w górę. — *Skoro-liz pujdu, a ukazu se pred oblicem Bozim?*

Ochryple, z trudem dobywając słowa, włączał się chór:

— *Slzy me jsou mi misto chleba dnem i noci, kdyz mi rikaji kazdeho dne — kdez jest Buh tvuj?*

I znów przewodnik chóru zawołał, pryskając w swojej gorliwości śliną z pyska:

— *Sud mne, Bože, a zasad se o mou pri — od narodu nemilostredneho, a od cloveka lstweho a nepraveho vytrhni mne.*

I ponownie biegnące truchtem zwierzęta kiwając łbami odpowiedziały:

— *Nebo ty jsi Buh me síly. Proc jsi mne zapudil? Proc po souzeni od nepritele ve smutku mam ustaniem choditi?*

Choć dźwięki były chrapliwe i rozdarte, Hóllriegl rozumiał każde słowo. Przypominało to nawoływanie, było jak promień światła z odległych czasów. Musiały to być psalmy lub coś w tym rodzaju. Bardziej był zdziwiony niż wstrząśnięty. A więc światło nie zgasło jeszcze całkiem w tych kreaturach, światło rozumu ludzkiego! Może nie potrafili już porozumiewać się między sobą — ale umieli się jeszcze wspólnie modlić.

— *Abych pristoupil k oltari Bozimu, k Bohu silnemu radostnemu...*

Monotonna litania ucichła, gdy stado znalazło się po drugiej stronie wzgórza. Hóllriegl zastygł w rozmarzeniu, z opadniętą szczęką. Widział siebie, jak stoi mały i wąty w kościele w Bukovsku, ubrany w strój ministranta — czerwoną szatę z białym kołnierzykiem. Jego włosy, uczesane z przedziałkiem, pachniały

olejkiem z korzeni łąpianu. Widział nawę kościelną pomalowaną blad różową farbą, świętych i aniołów z gipsu pokrytego błyszczącym lakierem, fuksje w donicach. Z sufitu patrzyło potwornie wytrzeszczone oko Ojca Wszchemogącego; miało kształt trójkąta. Widział chór i ławki z szarobrązowego, podziurawionego przez korniki drewna, widział cynowe piszczałki organów, których miechy pozwalano mu czasem naciskać. Wciąż jeszcze czuć było zapach zimnego kadzidła i nieświeżej deszczówki w beczkach pod Drogą Krzyżową. Słyszał brzęczenie os, chrzęst chłopskich butów na posypanych piaskiem kamiennych płytach. Wieczna lampka świeciła rubinowym światłem. Przed oczami stały mu małe, pękate konfesjonały, od których szedł powiew grzechów powszednich, grube, przypominające lekturę pudła z ciemnofioletowymi wytartymi zasłonkami, za którymi ukrywała się rozpalona twarz księdza. I po wszystkie czasy pamiętał będzie straszliwe zdania na karteczkach przybitych wewnątrz konfesjonatów nad zakratowanymi okienkami. *Casus Ordinario resewati. 1. Perjurium solemniter emissum. 2. Homicidium voluntarium, et procuratio abortus effectu secuto. 3. Copula incestuosa cum consanguineis vel affinibus pirni gradus. 4. Incendiarii crimen effectu secuto.* — Nic rozumiał tych zdań, ale musiały oznaczać coś obrzydliwego. Jak mógłby o tym zapomnieć! Wszystko to było przecież nic dalej jak wczoraj, również to, że widział Bożenę klęczącą w ławic po prawej stronie kościoła przeznaczonej dla kobiet, wśród innych wieśniaczek w odświętnych strojach. Bożenę, dziewczynę do dzieci — mogłaby być jego matką — która niekiedy pokazywała mu swoje nagie, grube, mlecznobiałe pośladki i z przodu ciemne trójkątne runo, jak owo postawione na wierzchołku oko Boga i nic mniej straszliwe. Teraz jednak siedziała w kościele wznosząc do góry

swoje oczy dewotki — ona, która ciągle czatowała na niego w ciemności, obmacywała go i wpychała jego rękę w nieprzyzwoite miejsce swego ciała...

Nagle coś wyrwało go z tego chwilowego rozmarzenia. Poczł, że ktoś uporczywie gapi się na niego. Rzeczywiście, na tarasie w dole stała jakaś ludzka postać i ów ktoś nic odrywał od niego wzroku. Niewiasta, młoda kobieta. W rękach trzymała mocno związany, na pierwszy rzut oka ciężki pakunek. Na plecach dźwigała tobołek, z którego wystawało wieczko jakiejś bańki. Dziewczyna, wieśniaczka, sądząc po ubiorze, nawet niebrzydka, tylko zaniedbana. Wreszcie znowu istota chodząca w pozycji pionowej! Z oddali dobiegały jeszcze przenikliwe zwierzęce okrzyki prowadzącego modły.

Wieśniaczka zdawała się go obserwować już od dłuższej chwili. Kiedy spojrział na nią, uśmiechnęła się, jakby czekała na niego, skinęła mu głową i ruszyła ze swoim bagażem po stopniach do góry. Wydała kilka nieartykułowanych dźwięków, jak czynią to ludzie niemi, i gestem dała mu do zrozumienia, żeby szedł za nią. I tak ruszyli w drogę, dziewczyna przodem, Hóllriegl, oszołomiony tym, co widział przed chwilą, za nią. Obeszli pomnik ku czci bohaterów i wyszli poza ogrodzenie.

Na skraju lasu niema zatrzymała się, żeby odsapnąć. Kiedy Hóllriegl zaofiarował się, że weźmie od niej jeden z tobołków, odepchnęła go z całej siły. Dzika i płochliwa, przeszła go spojrzeniem niebieskich oczu (były tym, co w niej najpiękniejsze). Potrząsnęła jasnymi warkoczami, a z jej ust znów wydobyły się niezrozumiałe dźwięki.

Wąska, zarośnięta ścieżka prowadziła w głąb lasu. Był to młody las mieszany, utrzymany w nie najlepszym stanie; poszycie miał miejscami tak gęste, że z trudem mogli posuwać

się do przodu. Mokre liście pokrywały wszędzie ziemię, ich słodkawy jesienny zapach przypominał Hollrieglowi woń ciała Anselmy.

Szli i szli, od czasu do czasu dziewczyna robiła postoje, nie oglądając się za siebie. W samym środku leśnej głuszy minęli walącą się chatę, wokół której rosły wyjątkowo gęste chaszczce. Na wpół połamany płot okalał mały plac, na którym Hollriegl dostrzegł wysokie kopczyki pokryte chwastami i listowiem. Gdy byli już całkiem blisko, z otwartego pyska odgrzebanej końskiej czaszki błysnęły ku niemu białe zęby. Rakarnia jakiegoś hycla... (A jak T4 nazywało się wcześniej? Rakarnia Rzeszy!) Ten skok myślowy pozwolił Hollrieglowi odzyskać całkowicie równowagę. Jego zmysły były maksymalnie napięte. Wietrzył zasadzkę. A wysoko ponad wierzchołkami drzew znów rozlegało się owo odległe dudnienie.

Po co, u diabła, idzie za tą niemową? Już dawno mógł być znowu w drodze. Tak czy owak, mimo że zmuszono go do nadłożenia drogi, miał jeszcze wiele czasu.

Las opadał łagodnie w zdziczałą dolinę, grunt stał się piaszczysty, podszycie przerzedziło, pojedyncze sosny kołysały się na wietrze. Przeszli przez zardzewiałe szyny, między którymi rosły chwasty, i w końcu ruszyli wzdłuż toru kolejki wąskotorowej ze zgniłymi podkładami ginącymi co chwila w piasku. Tutaj już widniały ślady stóp na mokrym gruncie, były to odciski męskich butów, dwóch par podkutych butów z cholewami, obok śladu damskiego obuwia. Dolina, w dalszym ciągu stanowiąc niedostępną gęstwinę, rozszerzała się w kotlinę przypominającą z wyglądu nieczynną żwirownię. Jej ściany były wysokie i strome, zwieńczone u góry gęstymi krzakami. Przewrócone wózki wydobywcze i resztki baraków robotniczych zagro-

dziły im drogę, a nim dotarli do stromego zbocza, musieli się wspiąć na wysokie rumowisko. Wszędzie znajdowały się małe wejścia do wnętrza góry, zabite dylami, zawałone zwalami żwiru. Przed jednym z takich wejść, do którego trzeba było torować sobie drogę przez kolczaste zarośla, przewodniczka Hollriegla zatrzymała się. Przepierzenie z desek okazało się drzwiami, wystarczyło wysunąć odpowiednie belki, i sztolnia się otworzyła. Dziewczyna włączyła światło. Musieli iść schylieni i oddychać głęboko, czuć było pleśnią i stęchłym powietrzem. Sztolnia miała obudowę z ciężkich kopalniaków, była solidnie oszalowana. Później, kiedy zrobiła się szersza i zaczęła prowadzić w dół, Hollriegl zauważył, że budulec drewniany zastąpiło ożebrowanie stalowe. Sztolnia przechodziła w przestronny wybetonowany tunel skąpo oświetlony żarówkami elektrycznymi, który, lekko opadając, wiódł dalej w głąb ziemi. Podmuch ostrego powietrza — powiew z Hadesu — uderzył w twarze wędrowców; było zimno. Wyglądało na to, że działa tutaj jakaś sztuczna wentylacja.

Hollriegl uświadomił sobie, że znajduje się w jednej z owych podziemnych fabryk, które pracowały dla potrzeb przemysłu zbrojeniowego przed wojną i podczas bitwy powietrznej nad Rzeszą. Gęsta sieć takich zakładów ukrytych pod powierzchnią ziemi pokrywała wtedy pół Europy — wszystkie były specjalnie oznaczone za pomocą zestawów cyfr lub liter. Każdy zakład prowadzący „produkcję sztolniową” miał za zadanie wytwarzać taśmowo szczególnie ważne i precyzyjne części — często zresztą nawet tylko jedną część — określonej broni, po czym przekazywał gotowy wyrób do następnej fabryki, gdzie dokonano dalszego montażu w ramach jednego cyklu produkcyjnego. Jedynie ścisłe kierownictwo zakładu i technicy, oraz na-

turalnie Abwehra, wiedzieli, o jaką broń w danym wypadku chodzi, gdzie i jak jest montowana i według jakich planów funkcjonuje konkretny cykl wytwórczy. Kiedy Fuhrer odniósł zwycięstwo, większość zakładów sztolniowych rozwiązano jako przestarzałe i wysadzono w powietrze, część zmieniono w szkoły zawodowe i muzea, a bardzo nieliczne służyły jeszcze przez jakiś czas jako Uml-e. O niektórych spośród nich prawdopodobnie po prostu zapomniano.

Tunel rozstępował się teraz, tworząc niskie, kopulasto sklepione pomieszczenie, z którego odchodziło kilka sztolni. Musieli znowu przekroczyć szyny kolejki wąskotorowej, minąć zwrotnice i tarcze obrotowe, stał tutaj nawet, nie używany pewnie od lat, pociąg składający się z paru wagoników, podstawiony dla ewentualnych gości Hadesu.

Z jednej z bocznych sztolni wyszedł mężczyzna, który najwidoczniej czekał na nich. Ubrany był w kombinezon mechanika, miał na sobie skórzaną kurtkę z podbiciem i futrzaną czapkę. Hóllriegl, pogrążony we własnych rozmyślaniach, dopiero teraz zauważył, że jest zimno i że solidnie zmarzł. Mężczyzna serdecznie pozdrowił niemowę i wziął od niej tobołki. Następnie wręczył jej jakąś kartkę i pieniądze.

— Dzięki, Paule — powiedział — jutro przyjdź znowu. — Jednocześnie pokazał jakiś znak z języka głuchoniemych i zrobił pocieszoną minę. Dziewczyna uśmiechnęła się, wydała parę wesołych okrzyków i swawolnie uniosła spódnicę. — Coś ci chyba wyszło! — zawołał mężczyzna w swoim gardłowym dialekcie, lecz niema zniknęła już w ciemnościach.

— Przychodzi pan pewnie od profesora Gundlfingera? — zapytał mechanik; pytanie to jakby nie wymagało odpowiedzi. Zarzucił sobie na plecy obydwa pakunki. — Oczekują tutaj

pana, wszyscy panowie już się zebrali. A rzecz jest gotowa do odebrania. — jak na robotnika mówił wyjątkowo czystą niemczyzną.

Teraz z kolei mechanik objął rolę przewodnika. Znów szli przez długą, nie obmurowaną sztolnię, przecięli pustą, nie licząc kilku maszyn, halę fabryczną, także i ona leżała pod ziemią, i zanurzyli się w tunelu, który tym razem prowadził ukośnie w górę. Istny labirynt! Niekiedy mężczyzna stawiał bagaże na ziemi i manipulował długo przy jakimś przewodzie, dotykając go czymś w rodzaju przykładnicy; owe dotknięcia trwały raz krócej, raz dłużej. Sygnały elektryczne? Ponieważ droga zrobiła się stroma, Hóllriegl pomagał w niesieniu.

Kiedy dotarli na górę, Hóllriegl stwierdził, że znajduje się w przyjemnie ogrzanej komnacie o sklepieniu ostrołukowym z regałami sięgającymi do wysokości drzwi. W półmroku, źródło światła było niewidoczne, przy długim stole całkowicie zasłanym książkami i papierami siedziało pięciu mężczyzn. W środku między nimi, na fotelu z poręczami stojącym na podwyższeniu, siedział niby na tronie, górując nad innymi o głowę, starszy mężczyzna o typowej czaszce naukowca, mając po obu swoich bokach po dwóch kolegów. Zgromadzeni zgodnie obrócili głowy w stronę Hollriegla błyskając szklami okularów.

— To poślaniec Gundlfingera, nowy — oznajmił mechanik i wykonał w tył zwrot wlokąc za sobą tobołki.

Przewodniczący, gdyż kimś takim właśnie się wydawał, pojrzał na Hollriegla z dobrotliwym uśmiechem. Jego błyszczącą łysinę otaczał wianuszek białych włosów układających się w loczki. Twarz i dłonie miały białawy kolor odmieńców jaskiniowych, także jego koledzy byli bladzi. Sprawiał wrażenie zmęczonego, zaspanego starca, z całej jego postaci

zdawała się emanować ojcowska pobłażliwość. Hóllriegl nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ma przed sobą szefa kliniki lub profesora wyższej uczelni, a on sam jest badanym pacjentem albo egzaminowanym studentem.

— No tak, jest pan jednym z ludzi Gundlfingera: to legitymuje pana wystarczająco — rzekł powoli mężczyzna. Był jakby z góry nastawiony życzliwie do Hollriegla. — Pański mundur to dobry kamuflaż. Profesor przysyłał do nas zwykle pewnego młodego człowieka, wyjątkowo u-ro-cze-go młodzieńca. Praca, jaką zlecił nam Gundlfinger, jest gotowa. Nie zawsze było łatwo postępować zgodnie z doktryną naszego przyjaciela i dobrodzieja. Staraliśmy się nadać komentarzowi charakter fakultatywnego orzeczenia. Czy wie pan, o co chodzi?

Hóllriegl, który nie miał pojęcia o niczym — czuł się jak na egzaminie, nie wiedział nawet, jak to się wszystko stało, wpakował się w tę kabałę niczym Piłat w credo — wziął się w garść.

— Nie... pan profesor nie wtajemniczył mnie jak dotąd. Jestem od niedawna na służbie. Może zrobi to później...

To było śmiałe pociągnięcie. Ale czy także rozsądne? Wszędzie tutaj zastawione były zapewne sidła. Czy nie powinien raczej się ujawnić, wyznać prawdę, przedstawić wszystko jako nieporozumienie? Teraz jednak było już na to za późno. Czyżby znalazł się wśród jakichś spiskowców? Na to wyglądało. Najlepiej robi, jeśli pozwoli przewodniczącemu mówić, a sam nic będzie się odzywał.

Czterej pozostali mężczyźni patrzyli na Hollriegla o wiele mniej życzliwie niż przewodniczący. Ich twarze były nadal nieprzeniknione, kamienne — ironicznie kamienne. Również oni mieli swoiste „kliniczne” spojrzenie, zimne, obiektywne, taksują-

ce i pogardliwe. Był dla nich jedynie rzeczą, numerem, przypadkiem. Hóllriegl nienawidził tego — w dodatku wydawali się wpatrywać uparcie w jego sine, a teraz brązowiejące oko oraz szramę. Miał wrażenie, że jest studentem egzaminowanym w auli instytutu anatomicznego.

„Aula” była wysoka i z wyglądu przypominała raczej kaplicę. Na środkowej ścianie ponad książkami wisiał w ramkach za szkłem — nie Fuhrer! Był to wizerunek jakiegoś siwobrodego pana z pochyloną głową, o zamyślanej twarzy, cała jego postawa wyrażała głęboką zadumę. Poniżej sufitu wzdłuż ścian biegł, przerywany wilgotnymi plamami, trudny do odczytania napis. Hóllriegl ze zdziwieniem przeliterował wyrazy: *Co ito ergo sum*. A pod spodem: *Flectere s equo su eros Acheronta movebo*.

Zawsze był całkiem dobry z łaciny, ale jednak wiele zapomniał. Przeczytał tekst kilka razy, nie domyślił się brakujących liter i już choćby z tego powodu sens słów pozostał przed nim ukryty.

— Widzę, przyjacielu, że czyta pan ten napis i dziwi się — powiedział przewodniczący we właściwy sobie protekcyjny, a zarazem analityczny sposób, zawijając przy tym kokieteryjnie na palec swoje loczki. — Hm... sytuacja jak na leżance... infantylna... hm. To środowisko jest dla pana nowe, musi być nowe. Ale może Gundlfinger jeszcze nieraz będzie używał pana w charakterze pośłańca do świata podziemi. Naturalnie wiadomo panu, że jesteśmy psychoanalitykami. Ostatnimi lub, jak pan woli, pierwszymi — znowu pierwszymi. Ostatni będą pierwszymi. Jako psychoanalitycy ukrywamy się z wiadomych powodów, a mimo to utrzymujemy ściśle i przeważnie zadowalające kontakty z nauką naziemną, z uczonymi ze wszystkich

krajów i dziedzin wiedzy. Fakt, że żyjemy — musimy żyć — pod ziemią, ma nawet symboliczne znaczenie: nasza nauka, o której dzisiejsza młodzież nic już nie wie, bo nie może wiedzieć, zajmuje się sprawami podziemnymi, choć zarazem — he, he — wcale nie podziemnymi, po prostu ukrytymi, niewidzialnymi, lecz zawsze sprawdzalnymi siłami w duszy człowieka...

Höllriegl poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach. Toż to była skończona ohyda! Błyskawicznie przypomniał sobie: kiedy Fuhrer wkroczył do Linzu, wtedy, w marcu 38 roku, aby Marchię Wschodnią przygarnąć na łono Rzeszy, na wielu ulicach i placach płonęły na znak radości ogniska, które wkrótce potem zamieniły się w stosy. Powtórzenie owego historycznego 10 maja 1933 przed berlińskim uniwersytetem. Członkowie nielegalnej Studenten-SA Górny Dunaj rzucali w ogień książki Żydów, wolnomularzy i liberałów z Republiki Weimarskiej; także on pomagał wtedy opróżniać księgarnie. Były tam również dzieła niejakiego Freuda! Jak brzmiało wówczas zawołanie SA przy paleniu książek? „Przeciwko świństwu Żyda Sigmunda Freuda! Za szlachectwo duszy niemieckiej!” Pamiętał je bardzo dobrze, podobnie jak wszystkie inne hasła. A „Czarny Korpus“ piętnował wtedy „psychosyfilityków“ i ośmieszał „psychiatrów”. Kiedy trafił później do SS, do służby sanitarnej, by przygotować się do swego obecnego zawodu, wciąż słyszał o bezprzykładnym bezwstydzie tej rozkładowej teorii żydowskiej. Jako giromanta musiał także — jak powiedziałyby Schwerdtfeger? - „mieć w małym palcu” oficjalne *Niemieckie duszoznawstwo*.

I miał je. Owo *Niemieckie duszoznawstwo*, dwutomowe, autor: Bruno Marbod Wammse, profesor zwyczajny w Instytucie Duchowego Badania Głębi i Moralności Zakładowej w hanower-

skiej Wyższej Szkole Technicznej, obscenom Freuda poświęcało jedynie dwa zdania (Hollriegl swego czasu nauczył się ich na pamięć); brzmiały one: „Niczym trujące grzyby rozpleniła się w okresie najgłębszej hańby narodu niemieckiego herezja wiedeńskiego Życia Sigi Freuda. Wraz z innym plugastwem i pas-kudztwem Fuhrer po przejęciu władzy uprzętnął również ten chlew, ku wielkiemu ubolewaniu Żydków na całym świecie, którzy z tego powodu podnieśli głośny lament“.

To tutaj było więc bez wątpienia, prawdziwie diabelskim spiskiem. A on znalazł się w pułapce! Jak wyjdzie z tego obronną ręką? Bez pomocy z zewnątrz wydawało się to niemożliwe. Przewodniczący wyglądał wprawdzie na mięczaka, ale czterej męzczyźni siedzący obok niego, choć w podeszłym wieku, wydawali się krzepcy i kościści, zwłaszcza ten z brzegu po lewej stronie sprawiał wrażenie seniora towarzystwa zapaśniczego. Poza tym był jeszcze mechanik! I cały ten labirynt! Kto wic, jakie niespodzianki krył jeszcze ten świat podziemi! Hollriegl pożałował dziś już po raz drugi, że zostawił pistolet w samochodzie.

— Gdyby pan przyszedł kiedyś i mnie akurat nie było — ciągnął ojcowskim tonem przewodniczący — zastępować mnie będzie jeden z moich współpracowników. Wszyscy mówią dobrze po niemiecku, choć nie są Niemcami. Ten pan tutaj (wskazał na siedzącego tuż obok po jego prawej stronie) to profesor Guy de Saint-Phalle — nazwisko jest oczywiście pseudonimem; pan siedzący obok niego to doktor Geza Fekete-Bino, poprzednio Burgholzli; ten pan (zwrócił się ku lewemu skrzydłu) nazywa się Breastwasher, Irving S. Breastwasher, wcześniej Oxford; czwartym członkiem naszej grupy jest seńor Jose Otón Aterga y Gaudemiche (pseudonim!), niegdyś wykładowca psy-

chologii eksperymentalnej na uniwersytecie madryckim. Ma pan do czynienia ze specjalistami najwyższej rangi.

Specjaliści nie poruszyli się, żaden się nie uśmiechnął, żaden nie skwitował prezentacji skinieniem głowy. Siedzieli niczym bladzi, skamieniali bogowie sądu inkwizycyjnego, w dalszym ciągu błyskali w jego stronę szkłami okularów — złowróżbnie i wrogo, jak mu się wydawało.

— Wszyscy obecni tu panowie są autorami słynnych prac — mówiąc słynne, mam na myśli świat fachowy podziemia, I ak więc dziełem profesora Breastwashera, żeby wymienić tylko kilka przykładów, jest studium analityczne „O teorii ludzkiej agresji”, które — ubawi to pana — wykorzystał w swoim podręczniku sam Schultze-Russing. Czujemy się już usatysfakcjonowani, gdy nasze teorie i wyniki badań znajdują „na górze” wyraz w takich czy innych publikacjach. Kolejny jego esej, „Wszechpotęga myśli a polityczne wodzostwo”, drogą okrężną dotarł do Kancelarii Rzeszy i tam został przerobiony we właściwej komórce. Możliwe, że zacznie mnie pan podejrzewać o manię wielkości, ale udało nam się odkryć nasze argumenty w niektórych mowach samego Fuhrera! Dalsze rozprawy profesora Breastwashera to: „Nerwica diabelska w obozie koncentracyjnym Natzweiler”, „Amphimixis popędów uretralnych ianalnych”, „Fantazje ejakulacyjne u wykastrowanego za zhańbienie rasy”, „About Animism in Modern Mass Society”, „O typowych formach kaprolalii u Dietricha Eckarta” *et cetera, et cetera*. — Doktor Fekete-Bino, przed wojną jedna z największych powag w dziedzinie analitycznego badania mitów, napisał w ciągu ostatniego roku: „O genialności i genitalności”, „Rzecz sama — w osobie” (przewodniczący uśmiechnął się subtelnie), „Erotyka oralna a wymowa”, „Fikcjonalizm w poezji staronor-

dyckiej”, „Ognisty pierścień a pas cnoty” i tak dalej. — Również naszego przyjaciela i współpracownika Guy de Saint-Phalle’a nazwać mogę wybitnym badaczem duszy. Jego zasadnicza rozprawa „Uwagi na temat tabuizacji żeńskich genitaliów”, po niedawnym opublikowaniu jej nowej wersji, znów jest zawzięcie dyskutowana w analitycznych kołach podziemnych, podobnie jak jego znaczące eseje: „Moczenie nocne a oschły humor”, „Analny charakter w świetle postfreudowskiej nauki o duszy”, „Próba analizy strukturalnej okrucieństwa”, który to artykuł prześlemy jeszcze profesorowi Schultze-Russingowi, jak również Harry’emu Stylesowi Lynnowi z University of the South, Sewanee, „O genezie i dynamice powołania do wodzostwa”, „Anticipation des principes de psychoanalyse dans l’oeuvre d’un poete nazistę”. Obecnie Saint-Phalle zajmuje się pewnym niezwykle ważnym problemem; chodzi o nader zaszczytne zlecenie profesorów Pitigrilliego, Kapaunera i Hodenbrucha z Muzeum Seksuologii w Lejdzie. Praca nosi tytuł: „Macica jako rytualna potrawa u Indian z plemienia Cora”. — Wreszcie ostatni nasz przyjaciel, kwiat hiszpańskiej arystokracji krwi i ducha, opracowuje szereg nadzwyczaj aktualnych tematów, a w tym: „Ejakulacja jako zwycięstwo czynnika uretralnego nad analnym”, „Odpowiedniki w germańskiej i żydowskiej historii plemiennej”, „Psychopatologia języka żołnierskiego” (zlecenie Germańskiej Akademii Poezji i Prawdy w Weimarze), „Problem ciąży urojonej w klasztorach rasowej matki”, „Oszczep Pinchasa jako symbol penisa”, „Schemat terapii etiologicznej akcydentalnych nerwic wojennych”, „O istocie ideału bohatersko-patrycjuszowskiego”, „Wspomnienia zakryte *in statu nascendi*”, „Pojęcie obcości rasowej w Pięcioksięgu (*hasar hakareb jurnat*⁴) i w staroniemieckiej historii plemiennej”, „Edy-

palne podłoże wizji Lohengrina u Adolfa Hitlera", „Gzy niedozwolone czynności seksualne (*gilluj arajot*) są formą zaklęcia?", „O powstawaniu specyficznego orgazmu BDM-owskiego podczas słuchania przemówień Fuhrera“... mógłbym panu wyliczyć jeszcze z tuzin takich tytułów. Możemy się nawet pochwalić, że mamy stałych tajnych współpracowników w kręgach najwyższych dostojników Kościoła rzymskiego, na przykład pewną stojącą bardzo wysoko w hierarchii osobę duchowną, którą nazywamy *pater* Preputius — ów płomienny augustiański umysł dostarczył nam ostatnio wyjątkowo błyskotliwe studium: „Uwagi na temat psychoanalizy czarnych mszy“. Ja sam pracuję obecnie nad oczekiwaną od dawna rozprawą, która nosi tytuł „Kilka sprzeczności w «Staromeksykańskich hieroglifach wojennych atl-tlachinolli» Alice de Tribade“. Naturalnie wszyscy jesteśmy bardzo przeciążeni pracą. Nic dość, że uniwersytety i akademie stawiają przed nami piękne zadania, to jeszcze wymieniamy swoje doświadczenia z innymi podziemnymi ośrodkami analitycznymi, czego rezultatem jest bardzo wiele owocnych dyskusji i polemik, nie też niestety sporo osobistych animozji. Nic chciałbym przed panem taić, iż toczymy obecnie spór z pewną potężną grupą, która ukrywa się w ruinach Starego Londynu, kierowaną przez niejaką panią profesor Nebenzahl. Będzie to dla pana może

⁴ „Gdyby się zbliżył (do Przybytku) ktoś niepowołany, ma być ukarany śmiercią“ — Lb. 1,51; 3,10; 3,38; 18,7.

bardziej zrozumiałe, jeśli powiem, że owo centrum ośmiela się reprezentować naukę Freuda *in nuce* i dziś poniekąd rozwijać ją *ab ovo*, a przy tym oskarża wszystkie pozostałe centra o poważne odchylenia od linii generalnej, piętnując je nawet mianem odszczepieńców, szarlatanów i uzurpatorów. Naturalnie

my, którzy zaliczamy się do starej gwardii, nic możemy się temu beczynnie przyglądać. Przede wszystkim właśnie my oraz dwa inne ośrodki, zamaskowane jako szkoły nowicjatu, jeden przy ławrze Megisti, drugi w Argesi, prowadzimy walkę przeciwko skostniałej ortodoksji, która już od dawna nie pasuje do naszego świata. Rzecz jasna, w takich wewnętrznych konfliktach marnuje się dużo czasu i energii — z drugiej jednak strony rywalizacja między poszczególnymi grupami przyczynia się do wzmocnienia naszej naukowej powagi, elastycznego kształtowania naszych metod, oczyszczenia nauki i doprowadzenia jej do finalnej, apollińskiej formy. — Gzy wie pan, nad czym pracuje obecnie Gundlfinger?

— Nie — odparł zmieszany Hollriegl. — Jestem tam nowy.

— Przepraszam, już pan to mówił. — Najwidoczniej gadatliwy na starość, chętnie słuchający samego siebie przewodniczący, który recytował jak z książki (Hollriegl nie lubił takich ludzi), nie zrażony ciągnął dalej: — Gundlfinger zamierza ni mniej, ni więcej, tylko dostarczyć nowy dowód na istnienie Boga, wynika to jasno i wyraźnie z zadania, jakie nam postawił. O ile znamy plan jego dzieła, to za podstawę swojej spekulacji przyjmuje zdanie Pascala: *Nous ne vivons jamais, nous esperons toujours seulement de vivre*⁵. — Cóż to, cóż to?

Ta wypowiedziana zirytowanym tonem uwaga odnosiła się do zachowania siedzących obok niego czterech mężczyzn, którzy błyskali szklami okularów już nie w stronę Hollriegla, lecz ku przewodniczącemu, szurając przy tym cicho butami.

— Panowie uważają, że za dużo gadam. Poza tym są głodni, wkrótce południe... Ta myśl Pascala, rozwinięta konsekwentnie dalej, ułatwi nam niechybnie zrozumienie quasi-schizofrenicznej sytuacji, jaką obecnie faktycznie przeżywają

masy.

A mianowicie tego, że w rezultacie różnica między chorobą umysłową a tak zwaną normalnością jest nieznaczną. Schizofrenik przeżywa straszliwe wyobcowanie ze świata postrzeganego jako swój los, gdy tymczasem dzisiejszy zdrowy człowiek, w sposób mniej lub bardziej świadomy, odrywa się stopniowo, musi się odrywać, od świata widzialnego pod naporem traumatycznych, rządzonych przez samowolę i przemoc, wyjątkowo niebezpiecznych czasów. A czyni to dzięki poznaniu i przez określone decyzje — w tym właśnie sedno! I tym sposobem dochodzi do sytuacji, które po prostu się zdarzają dzisiejszemu przeciętnemu człowiekowi — za pozwoleniem może również panu — a on nie jest w stanie się przed nimi bronić. Wpada zatem w sztuczną schizofrenię; jawa staje się snem i *vice versa*: sen staje się traumą...

— Jeść, jeść — zamruczeli chórem siedzący i zaczęli głośniej szurać butami.

— Cierpliwości, przyjaciele, już dzwonię. — Przewodniczący przycisnął guzik dzwonka. — Jest rzeczą całkowicie zrozumiałą, że nasz przeciętny obywatel, jako że bezbronny i narażony na agresję ze strony posiadających władzę, a poza tym pozbawiony swego prawa do samostanowienia, w ogóle wszelkich ludzkich praw, szuka nowego metafizycznego oparcia, nowego Boga, którego istnienie musi sobie jednak najpierw udowodnić. Człowiek ma halucynacje — ale co mu z tego? W halucynacyjnym wyobrażeniu Boga, w wymarzonej imago ojca, widzimy już jednak dążenie do rozsądzenia diabelskiego kręgu autyzmu, w którym siedzi, uwięziony jak w klatce, dzisiejszy tak zwany zdrowy człowiek, i wywalczenia dla swego wymarzonego świata charakteru rzeczywistości. Wyobrażenie Boga daje mu

pociechę w bezlitosnym już teraz i niegościnnym świecie, pocięcha zaś oznacza bezpieczeństwo lub jego iluzję, a więc uczucie przyjemności, uzyskanie przyjemności... halucynacja na temat Boga łączy pragnienie i rzeczywistość, rozpuszcza je nawzajem w sobie. Magia, jak dowiedli Freud, Rank, Ferenczi i inni, stanowi podobną próbę zdobycia waloru obiektywności dla wymarzonego świata. To są podstawowe siły i ostatnie instancje. Autentyczny schizofrenik pozbawia rzeczywistość wszelkiego realnego charakteru, czyniąc to naturalnie poza wyobrażeniem Boga — tak daleko sięga po prostu jego choroba. Natomiast tak zwany zdrowy człowiek może się wyzwolić za pomocą wyobrażenia Boga ze swojego autystycznego więzienia, do którego uciekł z o wiele straszniejszego świata. A ponieważ w obecnych warunkach nie może dojść do realnej rewolucji, uważamy metafizykę Gundlfingera za akt politycznie rewolucyjny... jeśli nasze najświeższe informacje są prawdziwe; niestety wiedzą również o tym zwolennicy NARMAT-u...

Z bocznych drzwi wyłonił się mechanik i przerwał perlisty potok słów przewodniczącego:

— Jest punkt dwunasta, jedzenie gotowe. Nakryłem dla dziewięciu osób.

— To znaczy — rzekł do Hollriegla przewodniczący — że jest także nakrycie dla pana. — Zanim Hóllriegl zdążył cokolwiek odpowiedzieć, panowie podnieśli się z miejsc i zaczęli pchać się do wyjścia. Przewodniczący wziął po przyjacielsku Hollriegla pod ramię. — Kto przychodzi od Gundlfingera, należy do rodziny... moje nazwisko Kofut, profesor Kofut-Eiscnach, pseudonim Cunnilingus — dodał cicho i dobrodusznie owym przejmującym ojcowskim tonem, właściwym wszystkim szefom klinik psychiatrycznych, i poprowadził go

do równic przyjemnie ogrzanego sąsiedniego pomieszczenia.

Przygotowano posiłek prosty, ale nader obfity. Na środku przystrojonego gałązkami jodły długiego stołu, w glinianej misie parował eintopf. Oprócz pięciu uczonych, Hollriegla i mechanika obecni byli jeszcze dwaj mężczyźni w średnim wieku, brudni, obdarci i nie ogoleni, których potwornie zapadnięte twarze wydały się Hollrieglowi od razu znajome; nie wiedział tylko, skąd je znał. Obydwaj nosili brązowe mundury i wysokie buty z cholewami.

Siedzący przy stole częstowali się po kolei, początek zrobił przewodniczący. Woda była świeża i miała przyjemny metaliczny posmak.

— Odkryliśmy w sztolni szczawę — wyjaśnił przewodniczący, który poprosił Hollriegla, by usiadł u jego boku.

Jedzono w milczeniu, czterej naukowcy okazali się wielkimi żartokami.

Mężczyźni w mundurach mieli niespokojne spojrzenie; wyraźnie rzucał się w oczy ich zaszczuty wygląd, sprawiali przy tym wrażenie skrajnie wyczerpanych. Kiedy wszyscy się nasycili i, niejako na deser, podjadano już tylko kromki miękkiego, ciemnego wiejskiego chleba, przewodniczący rzekł półgłosem do Hollriegla:

— To zbiegowie, którym udzielamy azylu politycznego. Staramy się postawić ich na nogi.

— Jesteśmy Unseld i Diebold — odezwał się nagle jeden z mężczyzn i spojrzał wpadniętymi oczyma na Hollriegla; drugi wpatrywał się nieruchomo w pusty talerz, nie podniósł jeszcze głowy. Słowa te podziały na Hollriegla jak smagnięcie batem, miał wrażenie, jakby w tym momencie zachwiał się nad nim sufit. — Policja deptała nam już po piętach, wtedy pomogli

nam ci ludzie.

— Ukrywamy ich, ponieważ są przeciwnikami Werwolu — ciągnął dalej cicho przewodniczący. — Naturalnie nie są to żadni przestępcy. Gdyby Werwolf doszedł do władzy, wszyscy bylibyśmy zgubieni: my i nasi przyjaciele na górze. Utrzymujemy kontakt z siłami antywerwolfowskimi w partii i w Wehrmachcie, na tyle ściśle, jak na to pozwala nasza izolacja. To, co się dzieje obecnie, to proces historyczny: jakobini kontra Żyronda. My — choćby na zasadzie instynktu samozachowawczego — jesteśmy Żyryndystami. Jedynie w swojej pracy naukowej przepełnieni jesteśmy, że się tak wyrażę, duchem jakobińskim.

Nawet w tej sytuacji profesor nie potrafił odrzucić swego mentorskiego tonu; nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi.

— Kimkolwiek pan jest — powiedział mężczyzna, który odezwał się przedtem, lustrując wzrokiem mundur Hollriegla (jego towarzysz uparcie trzymał głowę spuszczoną) — proszę posłuchać, co panu powiem, i przekazać dalej. Fuhrer został zamordowany przez Kopflera i jego kreatury; stopniowo, małymi dawkami, go podtruwano. Testament, który Kopfler kazał odtworzyć z taśmy w Radzie Rzeszy, to od A do Z wierutne kłamstwo — ordynarne fałszerstwo i polityczna manipulacja. Albo Fuhrer nagrywając testament był pod działaniem narkotyków, albo odczytał go pewien imitator głosów, zatrudniany wcześniej już nieraz w Kancelarii Rzeszy, mistrz blacharski nazwiskiem Moldagl z Ried w obwodzie Inn, okręg Górny Dunaj, potrafiący naśladować głos Fuhrera do najdrobniejszych szczegółów. To niezwykle, że zwłoki Hitlera pokazano dopiero dwa razy krótko w telewizji, w niedzielę i we wtorek, i to z wię-

kszej odległości — na marach w gabinecie, z wartą honorową, wszyscy bez wyjątku wypróbowani ludzie Werwolfu, wspólnicy Kopflera. Od tamtej pory Fuhrer leży w zamkniętej trumnie, która jest bacznie strzeżona dniem i nocą. Kopfler chce władzy tylko dla siebie i Werwolfu. Zostawił paru niegroźnych potakiwaczy z dawnego rządu Rzeszy — dla zamydlenia oczu. Niektórzy ludzie w kierownictwie partii wiedzą o tym, ale nie mają odwagi ani chęci ogłosić prawdy. Prawda bowiem oznaczałaby wojnę domową. Konflikt z tenno, rozpętany wbrew woli Fuhrera, zmusza partię do odsunięcia na dalszy plan wewnętrznych waśni — i tę właśnie słabość, to niezdecydowanie wykorzystuje Kopfler. Lecz rozprawa z nim jest tak samo nieunikniona jak Sąd Ostateczny...

Mówił powoli, z wyraźnym nadreńskim akcentem, mozolnie formułując zdania, jakby mu się plątał język. Nie ulegało wątpliwości, to był Manfred Diebold. Hóllriegl widział tu i ówdzie jego zdjęcia, mimo że właśnie Diebold uchodził za wroga reklamy wizualnej. Diebold, reichsfuhrer SS, następca zmarłego Heinricha Himmlera, wielkiego „Heiniego“, minister spraw wewnętrznych Rzeszy i szef Policji Niemieckiej, do chwili złożenia z urzędu jeden z najpotężniejszych ludzi w imperium, kto wie, czy nie najpotężniejszy po Fuhrerze — jak zaszczute zwierzę!

— Kończymy biesiadę — rzekł przewodniczący i podniósł się, dając innym jakby hasło do powstania od stołu. Hollriegl, po wszystkim, co usłyszał, miał taki zamęt w głowie, że zatonął jak pijany, profesor musiał go podtrzymać. Czterej pozostali naukowcy zniknęli bez pożegnania, jedynie Diebold podał Hollrieglowi rękę, ale nie patrząc na niego.

— Niech Bóg ma w opiece nasze Niemcy — mruknął.

Brunatna rapsodia

W bibliotece Hollriegl otrzymał z rąk przewodniczącego gruby skoroszyt z wpiętym maszynopisem.

— To nasze orzeczenie — wyjaśnił profesor podkreślając swoje loczki — praca kolektywna. Sądzę, że powinien pan przywiązać to sobie na plecach tymi sznurkami — tak, pod koszulą... *A propos*, pański guz pięknie brązowieje: kolor partyjny, he, he, he. — Z pobłażliwą miną wskazał piętno hańby na czole Hollriegla. — Od kogokolwiek pan to otrzymał, jako członek rasy panów nie powinien pan tolerować tej zniewagi. Tak czy owak... pokazuje pan swoją traumę otwarcie. — Proszę przekazać Gundlfingerowi pozdrowienia od jego oddanego przyjaciela Kofuta. I że go ostrzegam! Niech możliwie jak najprędzej zejdzie do podziemia — zniknie... Na niego także już najwyższy czas!

Hollriegl ukrył orzeczenie, jak mu polecono. Kiedy już poprawił na sobie ubranie, podszedł do niego mechanik.

— Wyprowadzę pana na zewnątrz — powiedział i ruszył przodem.

Znów szli centralnym tunelem, w którym dmuchał zimny wiatr. Hollriegl usłyszał odległy głuchy stukot jakiejś maszyny. Czyżby agregat, prądnica, urządzenie klimatyzacyjne? Wszystko to było niesłychane! Kopfler mordercą! Najbliższy powiernik Fuhrera jego mordercą! Czyż tym dwóm — Unseldowi i Dieboldowi — można było wierzyć choć przez chwilę? Przed całym narodem zostali wyzuci z czci i wyjęci spod prawa. Każdy miał prawo zabić ich na miejscu. — Jego obowiązkiem było ujawnić miejsce pobytu tych zdrajców. I to natychmiast, w najbliższej wiosce!

W najbliższej wiosce? Wątpliwe, czy będzie tam posterunek żandarmerii — ale posterunki były przecież prawie w każdej

wsi. A wieśniacy? Przynajmniej paru z nich musiało mieć kontakt z „Labiryntem”, zaopatrywać go w niezbędne rzeczy. Wieśniacy z całej okolicy na pewno znali kryjówkę tych niegodziwców — niemożliwe, żeby było inaczej. Ale że też nikt dotąd nic nic wygadał! To było koszarne, koszarne jak sama sprawa! A skoro nikt jeszcze nic interweniował, dowodziło to, że spiszek zataczał bardzo szerokie kręgi i że sprzysiężeni dysponowali już pewną siłą — nie mówiąc o sieci owych „podziemnych ośrodków”, która przypuszczalnie obejmowała cały świat (jeśli przewodniczący się nic przechwalał) i współpracowała z uznanymi, lojalnymi naukowcami „na powierzchni”. Nie, to nie byli nieszkodliwi głupcy, lecz groźni przestępcy, których działalność godziła w bezpieczeństwo i samo istnienie Rzeszy i aryjskiej rasy.

W żadnym wypadku nie należało zanadto się spieszyć z doniesieniem, jeśli nic chciał ryzykować, że zostanie po prostu sprzątnięty. Nic było żadnej pewności, czy także organy egzekutywy, a więc i policji terenowej, nie są wciągnięte w ten spiszek. Wystarczy cień podejrzenia, żeby go zgładzono! Z drugiej strony należało uderzyć szybko, żeby Diebold i Unseld nie wymknęły się znowu. Nie ulegało wątpliwości, że obydwaj zbrodniarze zostaną przerzuceni do innych grup podziemnych poza granicami Rzeszy.

Zadziwiające, jak pewnie czuło się to całe towarzystwo! Ani przez chwilę nikt nie pomyślał o tym, żeby zapytać go o tożsamość. Za jego legitymację wystarczył fakt, że przyszedł z niemową. A profesor Gundlfinger? To było wprost przerażające — nawet on, wybitny, w stu procentach uznany przez partię myśliciel, luminarz zachodniego ducha, jak napisano niedawno w „Kyffhauser-Bote”, nawet on sprzymierzony ze spis-

kowcami, tymi ateistami i zasranymi intelektualistami, ukrytymi zwolennikami rzekomo wytępionej żydowskiej herezji! Gundlfinger spiskowcem, może nawet jednym z przywódców spisku!

Chwileczkę, jak to właściwie było? On, Hollriegl, otrzymał urzędowe zlecenie przeprowadzenia badań u słynnego filozofa, Ten sam urząd, który — bezsensownie — wysłał go do umierającego Żyda, wysłał go także do Gundlfingera. Obersturmfuhrer Hirnchristl...? Dlaczego na Tiergartenstrasse utrzymywano, że nigdy nie widziano tam Hirnchristla ani nie słyszano jego nazwiska?

Hollriegl zaplątał się w swych dociekaniach. Niczym automat podążał za mechanikiem, który zatrzymywał się od czasu do czasu i przykładnicą dawał umówione znaki.

Czyżby Hirnchristl był w tym wszystkim postacią kluczową? A może ktoś inny? Schwerdtfeger? Przecież to on posłał go do Hirnchristla („miły facet, nasz krajan, entuzjastyczny narodowy socjalista”), poza tym istniał przepisowy rozkaz wyjazdu, nosił go w kieszeni, wystawiony przez Parlament w Heydrich.

Najgorsze, że obydwaj zdrajcy kraju... robili wrażenie ludzi z gruntu uczciwych. Czy to, co mówił ten człowiek, jest prawdą, straszliwą prawdą? Jeśli było się tak blisko śmierci — i to jakiej śmierci! — to się nie kłamie. Fuhrer zamordowany? Otruty jak szczur? A wszystko to spisek Werwofu i jego działających z ukrycia popleczników?

Szli teraz pod górę jedną ze sztolni doprowadzających, zamiast stalowego ożebrowania znów pojawiła się drewniana obudowa. Kiedy mechanik otworzył pchnięciem zatarasowane drzwi, znaleźli się na razie jeszcze nie na zewnątrz, lecz w jakiejś mrocznej jaskini z nisko opadającym sklepieniem. Hollriegl wziął

głęboki oddech, jego oczy musiały najpierw przywyknąć do zielonkawego dziennego światła. Dostrzegł na wprost popękane mury z przeziernikami, zbudowane z grubego betonu. Plątanina pnączy i zardzewiałych żelaznych prętów zakrywała przezierniki z obu stron muru, tak iż do środka pomieszczenia sączyło się niewiele światła. Był to, jak się okazało, mały bunkier przeciwlotniczy pośród lasu; najwyraźniej próbowano go wysadzić w powietrze. Ile jest jeszcze wyjść z tego miejsca?

Mechanik opisał mu drogę, prawdopodobnie niełatwo było wydostać się z lasu. Hóllriegl utrwalił sobie w pamięci znaki orientacyjne i powtórzył je na głos, po czym pożegnał się swoim leniwym „Heitla“.

— Z Bogiem! — pozdrowił go na pożegnanie mechanik i zniknął w głębi sztolni.

Choć Hollrieglowi wydawało się, że dobrze zapamiętał drogę, wkrótce zgubił ścieżkę w gęstym lesie. Kierując się głównie wyczuciem zostawił za sobą dolinę z wysokopiennymi sosnami i posuwał się, jak potrafił najszybciej w tym gąszczu, przez zaniedbany młodnik. Raczej przypadkiem trafił na polanę, gdzie widział wcześniej „rakarnię“ hycla. Pospiesznie minął osławione miejsce, nie oglądając się za siebie. Od tego miejsca ścieżka, którą szedł z niemową, znów była dobrze widoczna, drzewa przeredziły się. Niemal biegiem dotarł na skraj lasu. Na czole i policzkach miał krople potu. Wytężył słuch — ponad chmurami znów było słychać odległe dudnienie.

Szerokim łukiem okrążył mauzoleum. Na dole stał jego samochód. Usiadłszy za kierownicą, kilka razy chciwie wciągnął powietrze głęboko w płuca. Zdecydował się już, że najpierw odda orzeczenie Gundlfingerowi, pod pozorem badania radie-

stezyjnego rozejrzy się u filozofa, a dopiero potem zadenuncjuje spiskowców. A jeśli Unseld i Diebold raz jeszcze wymkną się policji — to też dobrze. To narodowi socjaliści dawnego pokroju. Jak on — pomimo wszystko! Pomimo Anselmy i wszystkich diabłów! Ale z kolei ci „badacze duszy“, ci diabelscy intelektualści! Te szczury, które podgryzały wszystko! W swojej zarozumiałości uważali go za idiotę, za oferwę. Jeszcze się zdziwią...

Przykra niespodzianka! Pistolet wyparował wraz z zapasową amunicją. Broń, ukrytą za gałgankiem do czyszczenia szyb, zostawił w schowku w desce rozdzielczej. Zniknęła również jego mapa drogowa, na której pozaznaczał ostatnie zmiany dotyczące rozmieszczenia stref zamkniętych. Teraz już musiał, chciał czy nie chciał, złożyć doniesienie. Natychmiast! Ale zaraz, nad tym także należało się zastanowić. Dopuścić się zaniedbania pozostawiając samochód nie zamknięty. Przedstawiciel władzy urzędowej miał obowiązek postępować z większą ostrożnością — czy w ten sposób zamierzał świecić przykładem towarzyszom narodowym!? Jego zapominalstwo było karygodne, szczególnie w takich czasach.

Wyskoczył szybko z samochodu i podniósł pokrywę bagażnika. Tutaj niczego nie brakowało, stwierdził to na pierwszy rzut oka. Otworzył walizkę, sprawdził pobieżnie. Nie tknięto nawet pieniędzy. Złodzieje przeszukali tylko schowek. Wściekły włączył silnik, żeby się rozgrzał. Nigdy jeszcze mu się to nie zdarzyło — odkąd miał ten samochód, odkąd był tutaj. (Raz we Włoszech, podczas urlopu, został okradziony). Muzyka! Musiał się uspokoić! Zaczął kręcić gałkami, lecz radio milczało. Ktoś wyrwał przewód zasilający.

Błysnęło mu na moment w głowie, że może to być jakiś

patrol. Nonsens! Patrol zostawiłby mandat albo coś w tym rodzaju. A więc kto? Przeklęta historia! Mimo woli skojarzył kradzież ze zwierzoludźmi — a także z niemową. Paule miała na imię. Czy nie powinien więc zawrócić do Schicklgrube i zabawić się w denuncjanta? I znów przeszył go lodowaty dreszcz: zwierzoludzie poruszali się bez żadnej eskorty.

Spokój i cisza, jak okiem sięgnąć żadnego auta. W ciągu nocy świat się wyludnił. W najbliższej wiosce, nazywała się Belzehude, doliczył się na drodze dwóch osób. I wszędzie ten sam obrazek: na murach domów jaskrawoczerwone listy gończe ze zdjęciami obydwu zdrajców stanu („... Kimkolwiek pan jest... proszę posłuchać, co panu powiem... i przekazać dalej...“), tu i ówdzie flagi żałobne, zszargane przez deszcz i wiatr transparenty przed tradycyjnym Dębem Fuhrera. Wszędzie też symbole Werwofu i oczy Kopllera.

Jechał powoli, z szybkością stosowną dla kogoś, kto prowadząc samochód pogrążony jest w rozmyślaniach. Przed Bad Harzburg objazd się kończył, znów był, jak sobie przypominał, na drodze numer 6, którą przyjechałby przez Wernigerode, gdyby przesunięcie stref zamkniętych nie zmusiło go do nadłożenia drogi i jazdy przez Helmstedt, Brunzswik, Salzgitter i Goslar. Wtedy jednak nic zawarłby znajomości ze szczurami. Co go to wszystko właściwie obchodziło? Był skromnym towarzyszem narodowym, a nie żadnym politykiem. Lecz jako członek partii obowiązany był do zdekonspirowania spisku.

W Bad Harzburg zatankował paliwo, i, śledząc jednocześnie wzrokiem licznik pompy, nawiązał rozmowę z pomocnicą właściciela stacji, okrągłutką dziewczyną z rejonu Mansfeld (poznać to było po zabarwieniu jej wymowy). Studentka na praktyce robotniczej, farmaceutka. Dziewczyna powiedziała coś

niewiarygodnego:

— Podobno Japsy wylądowały dziś rano — chwileczkę, tylko gdzie? — aha, w Irlandii, w Portugalii i na Krymie — z powietrza, masowo! — Skąd o tym wie? Mówiono o tym w domu partii, słyszała, kiedy oddawała kartki benzynowe. A poza tym: czy już mu wiadomo, że obniżone zostały ostatnio przydziały paliw i smarów, znacznie zmniejszono ilości uzależnione od pojemności silnika dla wszystkich trzech kategorii służbowego zaszeregowania? Ścisłe racjonowanie! Najpierw woda, teraz benzyna. Hollriegl zapłacił, a dziewczyna podstemplowała mu rozkaz wyjazdu i wpisała zatankowane litry. — Jeśli iak dalej pójdzie, będziemy musieli zamknąć interes — dodała przecierając szyby szmatą.

Za Bad Harzburg — kiedy przejeżdżał obok otwartego posterunku policji, poczuł nagłe ułucie — opadła raptem gęsta mgła, ledwo było widać małe lasy, które z obydwu stron przysunęły się do szosy. Teren przybrał nierzeczywisty wygląd. Przednia szyba połyskiwała w przygaszonym świetle reflektorów, mgła przypominała białawą elastyczną ścianę. Trasa, którą zaproponował Hirnchristl: Hasserode, Friedrichsthal i tak dalej, biegła po drugiej stronie masywu Brockenu. Aby dotrzeć do drogi wiodącej do Rundstedt i Sauckelruh, musiał dojechać do Wohlstand, gdzie tamta odchodziła od głównej szosy i prowadziła pod górę do Rundstedt w kierunku północno-zachodnim. Przeklęta mgła! Całą trasę miał w głowie — a kradzieży mapy wcale nic musiał zgłaszać, ponieważ zabrano mu tylko mapę przeglądową Starej Rzeszy w skali 1:1 000 000. (Obowiązująca granica wynosiła 1:200 000). Miał, oczywiście, w Heydrich dokładniejsze mapy; teraz takie były konfiskowane przez partię, a partia wiedziała już, dlaczego. Jemu jednak, haupt-

stellenleiterowi i uzdrowicielowi, nie zabiorą.

Także kradzież „ręcznej broni palnej“, tak brzmiało oficjalne określenie urzędowe, mógł przeboleć i zataić. Był to pistolet samopowtarzalny z przedwojennych zapasów Wehrmachtu, kaliber 6,35; i tak zamierzał wystąpić o przydział nowej, nowocześniejszej broni. Teraz trzeba to było załatwić raz-dwa. Szwa-gier Kummernussa miał w Parlamencie pod dostatkiem tego towaru — on na pewno go zrozumie, gdy poda do protokołu, że zgubił pistolet.

Pomiędzy Schierke i Wohlstand spotkał jeden tylko pojazd, zaciemniony autobus pocztowy; siedziało w nim zaledwie parę osób, wyglądały jak kukły. Za to w Wohlstand — dziura nazywała się wcześniej Elend⁶, dopiero po zwycięstwie nazwa została zmieniona — przy odgałęzieniu do Rundstedt czatował wóz z niebieskimi światłami. Hollriegl jechał powoli, „ostrożnie jak z jajem“, żeby zachęcić patrol do kontroli dokumentów. Nikt jednak się nim nie zainteresował.

Wolniutko wspinał się pod górę, droga licznymi zakrętami przeciskała się przez dolinę, która, jak pomimo mgły i ciemności mógł dostrzec, zwężała się wielokrotnie w malownicze wąwozy. Tam gdzie kiedyś szumiały pewnie wodospady, spływało teraz ze skał niewiele wody. Hollriegl opuścił szybę w bocznym okienku i wciągał w nozdrza powietrze pachnące deszczem i świeżo ściętym drzewem. Górska droga błyszczała przed nim niby czarna i pokryta łuskami skóra węża. Po chwili minął przepisowo zaciemniony tartak; maszyny sapały, zgrzytały piły, robotników jednak nic było widać.

Gała okolica żyła z Nocy Walpurgii i Hollriegla bawiły wersy z *Fausta* Goethego, które od czasu do czasu, wraz z dowcipną reklamą hotelową, można było przeczytać na tablicach

przydrożnych. Pochodziły one najwidoczniej z czasów, kiedy Harz uważano jeszcze za turystyczną atrakcję i inspirację słynnych pisarzy. *Faust* Goethego, poemat arcymasona, frankofila i sługusa plutokratów, popadł tymczasem w zapomnienie. Partia wprawdzie nie wymazała jeszcze Goethego całkowicie ze świadomości kulturowej narodu, lecz usilnie go deprecjonowano, na lekcjach piśmiennictwa wymieniano jedynie na marginesie, a w napolach⁷ figurował w ogóle na liście lektur do skreślenia. Nie ulegało wątpliwości, że bliski już był dzień, kiedy dzieła Goethego wrzucone zostaną w ogień nowych zbawiennych stosów.

Morze mgły pozostało w dolinie, deszcz ustał. Hollriegl miał teraz dobrą widoczność, więc przyspieszył tempo jazdy. Kiedy skręcił na drogę wiodącą do Sauckelruh, usłyszał znajome wycie syren alarmowych, także w okolicznych dolinach rozległy się stęknienia i jęki. To był alarm rakietowy, nie żadne wstępne ostrzeżenie. Na horyzoncie, od strony zachodniej, pojawiły się naraz jaskrawopomarańczowe błyski — Hollriegl zatrzymał samochód, serce w nim zamarło. Po chwili plamista

** Nigdy nie żyjemy, lecz mamy co najwyżej nadzieję, że żyjemy.*

czerwień powlekła chmury, które zdawały się żarzyć w tym miejscu, jakby akurat zaszło słońce. Dalej, dalej!

Jeżeli mógł się poprawnie zorientować w ciemności, Sauckelruh leżało na krańcu porośniętej lasem doliny, tutaj kończyła się także szosa. Na głównym placu panowały egipskie ciemności, auta stały ciasno jedno obok drugiego, z trudem udało mu się znaleźć miejsce do parkowania. Nigdzie żywego ducha. Jakby miasteczko nawiedziła jakaś zaraza.

Hollriegl pomyślał — nic pierwszy raz dzisiaj — o złocistym

głosie, który słyszał przez telefon, miał wrażenie, że było to całe wieki temu. W skrytości ducha cieszył się na to spotkanie, ale nie była to ciekawość. Czy ów głos należał do kobiety? Jeśli tak, to musiała być młoda i piękna — i czysta. Czystość! To za nią właśnie tęsknił.

Jeśli dobrze rozumiał wyrażenia w mutterdeutsch, w miasteczku powinno być parę dobrych hoteli. Jednak szukanie jakiegoś konkretnego miejsca przy takim zaciemnieniu i wobec pustki na ulicach nie miało raczej sensu. Wjeżdżając do miejscowości minął stację benzynową, prawdopodobnie tam właśnie mieścił się motel. Nie, nie miał chęci zawracać, pragnął pójść do pierwszej lepszej gospody, żeby coś zjeść, bo był głodny. Może znajdzie się też jakiś wolny pokój.

Rozejrzył się dokoła i zapalił latarkę. Domy, w większości wille w stylu ery wilhelmińskiej (przypominały pałac Springorum von Eycków), były starannie zaciemnione. Według wszelkiego prawdopodobieństwa oferowano tam kwatery dla letników, co sugerowały również nazwy: „Pod Upiorem z Brocknu“, pensjonat „Stara Wiedźma“, gospoda „Pod Diabelską Amboną“, „Pod Mirtem z Brockenu“, „Pod Ołtarzem Czarownic“, willa „Baubo“, „Noc pod Blocksbergiem“ i tak dalej. Dostrzegł też parę wiejskich domów o fasadach z muru pruskiego.

Uliczki schodzące się na placu przypominały czarne górnicze szyby. Kroki Hollriegla odbijały się echem po bruku. Stożek światła z jego latarki obmacywał mury, pozamykane okiennice, kratowe ogrodzenia. Przed jednym z domów noclegowych — miał nazwę wypisaną ozdobnymi literami („Pod Proktofantazmistą“, odcyfrował) i ze swoimi wypukłymi witrażami sprawiał wrażenie dekoracji teatralnej — przystanął i zastukał kołatką do drzwi, ponieważ były zamknięte. Po kilka-

krotnym pukaniu — uderzenia huczały pośród martwej ciszy — usłyszał, że do drzwi zbliżają się jakieś człapiące kroki. Otyła kobieta, niedbale ubrana, co widać było nawet w mrocznym niebieskim świetle, zmierzyła go nieufnym spojrzeniem.

— Chciałbym dostać pokój na noc — macie coś wolnego?

Kobieta zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na zasuwę. Po chwili — Hóllriegl, poirytowany, chciał już odejść — otworzono je znowu, tym razem był to mężczyzna, sądząc po stroju najemny posługacz. Ponowna lustracja od góry do dołu, przy czym spojrzenie mężczyzny zatrzymało się dłużej na oficerkach Hollriegla i bluzie jego munduru.

— Wolny mamy tylko pokój na poddaszu, z oknem od podwórza. Wszystkie pokoje zajęte — rzekł posługacz.

— W porządku, biorę go. Czy mogę też dostać coś do jedzenia?

Po chłodnym powitaniu sprawa wyglądała niezbyt obiecująco. W każdym razie Hóllriegl usiadł w rozjaśnionym bladym światłem barze, który, lepiej oświetlony, byłby pewnie całkiem miły.

— Kucharka może panu zrobić jajecznicę — odpowiedział mężczyzna wskazując na kobietę, galaretowatą bryłę mięsa, która opierając się o kontuar stała obrócona do Hollriegla plecami. — Dzisiaj kuchnia już nieczynna.

— Dobrze, proszę mi szybko zrobić tę jajecznicę i przynieść coś do picia, jakiś sok, cokolwiek.

Wrócił na plac po swój kuferek. Dobrze, że nie musi nocować w samochodzie.

Usiadłszy znowu w barze usłyszał, że kobieta krząta się w kuchni. Skwierczał tłuszcz. Sok owocowy, lemoniadowy napój, zwietrzały, o nijakim smaku, nie orzeźwił go. Poszedł do

Brunatna rapsodia

kuchni i poprosił o świeżą wodę. Ale wody pitnej już zabrakło, była tylko deszczówka do mycia.

— A gdzie wasi goście? — zapytał, żeby nawiązać z kobietą rozmowę. Miał nadzieję, że dowie się czegoś nowego.

— W piwnicy.

Kucharka ostentacyjnie szczękała garnkami; zrozumiał, że tutaj nic nie wskóra.

— Jest coś nowego? — krzyknął Hóllriegl próbując zagłuszyć szczęk naczyń.

Brak odpowiedzi.

Najemny posługacz, który sprawował zarazem obowiązki nocnego portiera, przyniósł mu formularz meldunkowy i Hollriegl zabrał się do wypełniania rubryk. Mężczyzna także wyraźnie nie zdradzał chęci do rozmowy. Tępogłowe, ograniczone towarzystwo. W odpowiedzi na pytanie Hollriegla wykonał jedynie gest, który miał oznaczać, że mówienie czegokolwiek mija się z celem. Westchnął przy tym i wzniósł oczy ku niebu.

Następnie poszli na poddasze. I tu niespodzianka — okazało się, że mansarda jest urządzone całkiem przytulnie. Pochyła ściana, skromne meble, na oknie jasna zasłona ze sztywnego płótna. Bez wody bieżącej, ale za to z wyglądającym niesłychanie zachęcająco łóżem — na takim pościu można się było wyspać za wszystkie czasy. Niespodzianką było także zachowanie się posługacza, który, po wyłączeniu światła, podniósł rolety i stał się nagle rozmowny:

— W pogodne dni ma pan piękny widok na Schnarcherklippen i Feuersteine — i nikogo naprzeciwko. Teraz jednak musi pan zejść do piwnicy. Zostanę ukarany, jeśli ktoś nas zobaczy tu na górze. Zdarzają się kontrole. — Znów wymowne spojrzenie na mundur Hollriegla. — Kiedy nastąpi odwołanie

alarmu, nie potrafię panu powiedzieć. Wczoraj siedzieliśmy w piwnicy cztery i pół godziny. — A gdy znaleźli się na schodach, dodał szeptem: — Nasi służący, węgierskie małżeństwo, dziś w południe zniknęli. Założę się, że dali nogę, wszczęto już pościg za nimi. Teraz my dwoje, ja i Katrin, mamy na głowie cały ten interes.

Także w piwnicy ktoś mocno ograniczył oświetlenie, które to ograniczenie jako środek ochrony przed bombardowaniem nic miało żadnego sensu. Trzeba było przechodzić przez śluzę zaciemniającą, paliło się niewiele żarówek, ale o ochronie przed promieniowaniem naturalnie nie mogło być mowy. Goście, prawie bez wyjątku pojedyncze osoby, siedzieli markotni na swoich walizkach lub na taboretach. Oprócz dziewczyny ze służby pomocniczej Wehrmachtu w mundurze wszyscy byli w starszym wieku. Z okłapłymi minami spoglądali tępo przed siebie albo, pomimo mętnego światła, czytali. Jakaś siwowłosa dama skrobała list, inni znowu szeptali między sobą — Hollriegl odniósł wrażenie, że humor i natężenie głosu we wszystkich schronach przeciwlotniczych Rzeszy utrzymane są na jednakowym, wyznaczonym poziomie. W powietrzu wisiła swoista nuda, a zarazem napięcie, jak w poczekalni u onkologa. W piwnicy nie było głośników, nie podawano zatem żadnych komunikatów, co z miejsca wprawiło Hollriegla w irytację. Nikt także nie miał radia tranzystorowego. A on spragniony był nowych wieści.

Posługacz wrócił na górę, włożywszy uprzednio na głowę przypominający nocnik hełm stalowy, pomalowany na biało i żółto, stanowiący niejako jego legitymację strażnika obrony przeciwlotniczej. Musiał objąć służbę nasłuchową przy radiu. Dziewczyna ze służby pomocniczej Wehrmachtu, niebrzydka,

zuchwała z wyglądu, czytała z pełną wyższości miną jakieś powieściłło; Hollriegla zaszczyliła jedynie przelotnym spojrzeniem. Ale nie to go w niej raziło. Dziewczyna przyciągała go — a jednocześnie odpychała. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego.

Siedzący najbliżej niego dwaj panowie prowadzili szeptem ożywiony dialog. Z początku próbował się przysłuchiwać, a w końcu włączył się do rozmowy. Jeden z panów, przedstawiciel handlowy fabryki pralek i środków piorących, pochodził z pobliskiego Aschersleben, nic wymienił swojego nazwiska; drugi był berlińczykiem, jak od razu Hóllriegl poznał po wymowie. Ten natychmiast wyciągnął wizytówkę, nazywał się Clemens Sudekum, z zawodu był kompozytorem — Hollrieglowi obito się już o uszy jego nazwisko. Istotnie: po wojnie osiągnął wielki sukces dzięki swej romantycznej operze żołnierskiej „Lilii Marleen“ i napisał muzykę ludową do wielu filmów, ostatnio do obrazu „Wedle łanu zboża stoi dziewczka hoża“ (wszystko to było podane na wizytówce). Przedstawił się jako wybitny dźwiękowiec, to znaczy, że działał na rynku płytowym. Obydwaj wybierali się również do Gundlfingera —jutro w wili „Walpurgia“ był przecież dzień audiencji ogólnej. Pan Sudekum wspomniał mimochodem, że zamierza uczynić Gundlfingera główną postacią swego „symfonicznego poematu filmowego“, który miał obrazować w sugestywnych epizodach dzieje Niemieckiego Myślenia.

Obaj panowie zdawali się mieć dobre znajomości w wysokich sferach partyjnych. Przedstawiciel fabryki pralek działał społecznie w administracji okręgowej DAF-u i, jak wspomniał nie bez dumy, zorganizował w bieżącym roku w swoim mieście rodzinnym współzawodnictwo niemieckich zakładów. Widać

było po nim, że jest gorliwym towarzyszem partyjnym, a zarazem sprawiał wrażenie — Hóllriegl wyczuwał szóstym zmysłem tego rodzaju rzeczy — sympatyzującego jeszcze ze starą kadrą. Muzyk natomiast — swoim gładkim obejściem, wiecznym uśmiechem i wymuskany wyglądem przypominał kierownika recepcji hotelu uzdrowiskowego — wstrzymywał się od wszelkich bezpośrednich uwag, jego polityczną barwą wydawała się bezbarwność (chorągiewka na dachu, karierowicz, pomyślał Hóllriegl). Poza tym obaj panowie byli jednak do siebie podobni jak dwie odznaki partyjne; spokojnie mogliby zamienić się miejscami. Dobrze odżywione, rumiane twarze, obaj w okularach, kuliste czaszki — tyle że kompozytor miał łysinę, okoloną wypielęgnowanym wianuszkciem włosów, a przedstawiciel handlowy nosił wojskową SFR (Standardowa Fryzura Rzeszy) na jeża z prawostronną „przecinką dla wszy“ — typowy orli wzrok, cała reszta także podobna: jednolitość, która przypominała zdjęcia tłumów z Norymbergi w czasopiśmie ilustrowanych i napętniała Hóllriegla pewnością siebie, a nawet satysfakcją. To był zdrowy świat, którego siła manifestowała się także w takiej jednorodności.

Kiedy mężczyźni, zgodnie z przyjętym zwyczajem, najpierw obmacali nowego pod względem ideologicznym, agent od pralek zdobył się na większą szczerłość wobec kolegi urzędnika, a w końcu zaczął mówić zupełnie otwarcie. Ostatnie doniesienia, które osobiście — był w posiadaniu tak zwanego najniższego kodu partyjnego i mógł rozszyfrować pewne meldunki radiowe — poznał jeszcze w Aschersleben, potwierdzały to, o czym Hóllriegl już słyszał, co jednak uważał za okrutną bajkę: Silne sino-japońskie oddziały powietrzno-desantowe operowały w środku Europy, bez przerwy i bez przeszkód były

zrzucał z ciężkich samolotów transportowych typu strato, których obrona przeciwlotnicza nie potrafiła wyśledzić. W dokładnie pięciu punktach kontynentu można było wręcz mówić o dobrze funkcjonujących mostach powietrznych: w Eupatorii na Krymie, w pobliżu Badajóz na granicy hiszpańsko-portugalskiej, w Armagh (Ulster), w pobliżu Oulu w Finlandii oraz pomiędzy Weroną a Mantuą. We wszystkich tych miejscach wróg otrzymał wsparcie i posiłki ze strony tamtejszej ludności, dzięki czemu mógł zdobyć przyczółki i utworzyć jeże, jak również rozwinąć operacje ofensywne. Wprawdzie kontrnatarcia, ryglowania i temu podobne akcje nastąpiły natychmiast, lecz nie wiadomo nic konkretnego o losie stacjonujących tam sił Wehrmachtu i SS, jest jednak właściwie rzeczą pewną, że na Krymie I sturmbann (Górna Bawaria) formacji SS-Totenkopf-Wschód, jak też niektóre jednostki Waregów zostały całkowicie rozbite; że w Dublinie, podburzone przez duchownych katolickich spóółstwo podpaliło tamtejszy RuSH, Rasse-und Siedlungshauptamt⁸ na całą Republikę Irlandzką, i w bestialski sposób wymordowało uciekających z budynku ludzi; że czołówki pancerne Japsów dotarły już na przedmieścia Mediolanu, na północnym zaś kierunku uderzenia do południowego brzegu jeziora Garda, a wcześniej w ręce wroga dostał się stacjonujący w Caserma Passalacqua główny sztab Grupy Armii Południe. Przy tej okazji przepadł także pierwszy oddział rakietowy WM, znany ze swoich potężnych uderzeń i ogromnej ruchliwości. W wielu miastach Wenecji, Friaulu i Lombardii podpalono brązowe domy, a ich mieszkańców podburzona tłuszcza zlinczowała, wszystkie kobiety krwi niemieckiej zostały publicznie zgwałcone i zabite. Również faszystowska milicja pomocnicza brała udział w plądrowaniu

i egzekucjach.

⁸ *Główny Urząd Rasowo-Osadniczy*

„Kraje konfederacji“, czyli Okręg Alemański, któremu Fuhrer przyglądał się zawsze z nieufnością, także znajdowały się w stanie rewolucyjnego wrzenia, lecz wiadomości dotyczące Szwajcarii zostały natychmiast zaszyfrowane w wyższym kodzie i dlatego były niezrozumiałe.

Hóllriegl przysłuchiwał się tym wiadomościom ze stoickim spokojem, a nawet z zupełną obojętnością, jak gdyby dotyczyły wydarzeń na Księżycu albo na Marsie. Dla niego nic ulegało najmniejszej wątpliwości: kierownictwo Rzeszy na pewno dokładnie wie, co należy zrobić, i w odpowiednim momencie zada miażdżący cios na skalę globową. Ostatecznie Rzesza dysponowała załogowymi i bezzałogowymi statkami kosmicznymi, które mogły skierować pociski jądrowe w dowolny punkt na kuli ziemskiej. Wówczas wrogowie aryjskiego panowania nad światem puszczą ostatnią parę. Potężny, jednoręki Tyr podniósł już miecz, jak czuł Hóllriegl, do śmiertelnego uderzenia...

Ale były i gorsze wieści. W dywizjonach Strategicznych Sił Powietrznych Północ we wczesnych godzinach rannych 13 listopada doszło do buntu. Jednostki 16. i 17. Floty Powietrznej po prostu odmówiły wykonania rozkazu Kopflera, gdy ten polecił im zaatakować za pomocą broni termonuklearnej bazy lotnicze, wyrzutnie rakiet międzykontynentalnych oraz główne ośrodki przemysłu zbrojeniowego na Karafuto, Hokkaido i Honsiu. Nic więcej nie było wiadomo.

Jak Hóllriegl dowiedział się później z pewnego źródła, dowódca eskadry bombowców „Fegelein“ — mówiono, że on

i ów kawaler Krzyża Rycerskiego, który jako zwykły feldfebel Luftwaffe wczesną wiosną 1945 roku zrzucił historyczną bombę na Londyn i od tamtej pory żył zachowując dobrowolną anonimowość, to jedna i ta sama osoba — w porozumieniu z większością kolegów wystąpił drogą radiową do OKL-NA⁹ w Smithers (dawna Kolumbia Brytyjska), aby zwolniło go i jego ludzi wykonania tego „samobójczego” rozkazu o „nieobliczalnych konsekwencjach”. W radiogramie zwracał uwagę na ogólnoświatowe następstwa, jakie może spowodować rozpętanie „nieograniczonej terytorialnie wojny jądrowej” — jakby mogła być ograniczona terytorialnie wojna jądrowa, tak jednak brzmiało oficjalne określenie — nie tylko dla Rzeszy, rasy panów i jej sprzymierzeńców, lecz także dla całej ludności Ziemi (która, rzecz jasna, mniej się liczyła). Tę decyzję Bezimiennego poparli bardzo szybko dowódcy sześciu dalszych eskadr; do buntu przyłączył się cały personel naziemny i nawet sztafety bojowe 23. Korpusu Lotniczego SS, elitarnego oddziału Totenkopfu, niewątpliwie dlatego, że skierowany był przeciwko Kopflerowi. Jego rozkazu nie wprowadzono nigdy w życie, zresztą również i z tego powodu, że te pułki, których nie objęła rewolta, zostały zmuszone przez obronę przeciwlotniczą wroga do odwrotu przez Kamczatkę, przy czym na skutek zmasowanych ataków myśliwców kamikadze Soka Gakkai poniesiono bardzo ciężkie straty własne. Nad Tigil eksplodowała podobno bomba wodorowa mniejszej mocy, wskutek zestrzelenia transportującego ją samolotu, i wymazała miasto z powierzchni ziemi, zamieniła duże połacie półwyspu w ognistą pustynię, a powietrze nad nim stało się niezdadne do oddychania. Dla całej Azji Północno-Wschodniej obowiązywał obecnie alarm I stopnia przed promieniowaniem.

Brunatna rapsodia

Poza tym Hóllriegl dowiedział się później w Heydrich, że bunt na północnym Pacyfiku stał się dla Kopflera bezpośrednim powodem do natychmiastowego odebrania broni jądrowej siłom powietrznym w całej Rzeszy. Wykluczył z Luftwaffe

** Oberkommando der Luftwaffe — Nordamerika — Naczelne Dowództwo Sił Powietrznych — Ameryka Północna.*

zbuntowane oddziały i rozpędził je na cztery wiatry — co po części miało wydźwięk tragikomiczny. (Bezimienny popełnił samobójstwo). I tak doszło do wydania owego brzemienego w skutki rozkazu, który wycofywał tego rodzaju strategię ze sfery działań dynamicznych i przekazywał ją wyłącznie dowództwom jednostek rakiet międzykontynentalnych, przede wszystkim tych znajdujących się na ziemi ojczystej, oraz brygadam logistycznym, które w Starej Rzeszy podlegały bezpośrednio K-3, a więc pozostawały w znacznym stopniu pod wpływem Werwolu. Tylko uzbrojonym w rakiety jednostkom floty podwodnej wolno było dalej prowadzić totalną wojnę termonuklearną, a z pewnych baz marynarki mogły być też wysyłane „głowice atomowe w dowolne miejsca dowolnego kontynentu”, jak brzmiało tajne rozporządzenie nowego kierownictwa. Tym samym Luftwaffe jako całość potraktowana została bardzo ostro i dotknięta do żywego...

O ile wiadomo było sprawozdawcy z Aschersleben, któremu teraz ponownie udzielamy głosu — jego relacja, przekazywana szeptem, wcale nie brzmiała rzecz jasna tak płynnie — sytuacja militarna na półkuli zachodniej zaostrzyła się znacznie; rozgorzały obecnie nadzwyczaj krwawe walki niemal we wszystkich rejonach Zjednoczonych Stanów Zależnych wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Były one szczególnie zaciekle na środkowym zachodzie, gdzie pozycja minutemenów była najsilniejsza, ale

prowadzono je także — i to z niebywałym fanatyzmem — na południu i na południowym wschodzie kraju, w Meksyku i na Karaibach. Niemal wszędzie powstańcom dzięki błyskawicznym akcjom udało się wyzwolić obozy dla podludzi, nim załogi zdążyły zlikwidować więźniów. Toczone w wielu miejscach walki o charakterze partyzanckim odznaczały się nic spotykanym dotąd okrucieństwem. Pokonani musieli umierać, obszernie relacjonowano wielogodzinne, a nawet wielodniowe tortury. Mimo że Ku-Klux-Klanowi ziemia najwyraźniej paliła się pod stopami (co brało się także z tego, że jego najbliżsi sprzymierzeńcy, minutemeni, zainstalowali w Duluth własny rząd faszystowski, który obiecał prowadzić łagodniejszą politykę i zaofiarował swoje pośrednictwo w załagodzeniu „konfliktu“ pomiędzy obydwojma blokami), delegacja rządowa z Corpus Christi, nowej siedziby władz państwowych, wyruszyła do Niemiec, by wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych zmarłego założyciela Imperium Germańskiego. Owa dziewięcioosobowa grupa przybyła już do Berlina.

Co się tyczy Australii, to w niektórych częściach wyspy, zwłaszcza w dużych miastach Wiktorii i Nowej Południowej Walii, jak również na Tasmanii i w Nowej Zelandii, biała ludność powstała przeciwko japońskim tyranom, zaopatrzona w broń laserową przez operujące na południowym Pacyfiku siły powietrzne i łodzie podwodne Rzeszy. Tutaj rozwój wypadków był korzystny dla Rzeszy i jej sprzymierzeńców, choć — jak mówił zaszyfrowany komunikat — australijscy powstańcy udaremniali także desantowe akcje z niemieckich łodzi podwodnych. Wyraźnych frontów nie sposób się było doszukać, wszystko się zmieniało i zależało od dalszego rozwoju sytuacji w Ameryce i w Europie.

Wzrok Hollriegla błędził w koło, przesuwał się badawczo od jednej twarzy do drugiej, a tymczasem on sam wsłuchiwał się pilnie w szept sąsiada. Można było osiwieć! Z takimi ludźmi miało się wygrać wojnę! Jego spojrzenie zatrzymało się znowu na dziewczynie w mundurze, która w dalszym ciągu z tą samą zuchwałą, zarozumiałą miną czytała swą groszową powieść. I nagle w jednej chwili uświadomił sobie, dlaczego ta twarz wzbudziła w nim tak niemiłe uczucie.

Zezette! Dziewczyna ze służby pomocniczej Wehrmachtu, telegrafistka, mimo że zrobiona, jak nakazywał obyczaj, na typ urody niemiecko-nordycko-aryjski, przypominała Zezette. Zezette z Martyniki — ciemny, nie, najciemniejszy epizod w jego życiu, haniebnie ciemnoskóry epizod, który gruntownie i świadomie wymazał z pamięci i o którym nikt nic miał prawa nic wiedzieć, a nawet niczego się domyślać. Za coś takiego groziła utrata honoru i kara śmierci! Zezette z Martyniki! Było to przed sześciu laty w Paryżu, dokąd został na krótko odkomenderowany w ramach służby sanitarnej SS. Ze swojego hotelu, nędznego hoteliku przy rue Saint-Denis, gdzie zajmował dwuosobową mansardę, musiał codziennie jeździć metrem do koszar poza miastem, w kierunku Pont de Sèvres—Porte Rosenberg, i z powrotem. Och, to mdłe ciepło w tunelach metra, oleiste zapachy, syczące odgłosy, odległy stukot kół. Jeszcze teraz widział, jak przed oknem wagonu wyskakują ze swych kryjówek poruszane sprężonym powietrzem drażki ryglujące drzwi, by potem, kiedy pociąg się zatrzyma, wrócić do poprzedniej pozycji, i że ta czynność — jak podczas spółkowania — ciągle się powtarza. Wężowy syk sprężonego powietrza, odległy stukot kół, rozklejające ciepło! Jako członek rasy panów jechał oczywiście w pierwszej klasie, do której Francuzi

nie mieli wstępu. Czekoladowobrązowa Zezette stała w przepelnionym zielonym wagonie, przyciśnięta do okna, i patrzyła na niego. Czarodziejka, magiczka woo-doo! Nie potrafił się uchronić przed palącym blaskiem tych spojrzeń, jeszcze dzisiaj czuł je głęboko w swoim rdzeniu kręgowym. Pamiętał wszystko, jakby to było wczoraj, i nawet teraz przechodziły go ciarki, gdy myślał o tej kobiecie. Między stacjami — jak mógłby kiedykolwiek zapomnieć ich nazw! — Barbe Bleue, Lune Perdue, La-Chien-Qui-Pisse, Brouhaha, Schlageter i Pere Pervers zakochał się w Zezette — to była miłość od pierwszego wejrzenia, to znaczy wzrok ciemnoskórej urzekł go, omotał, inaczej byłoby rzeczą nie do pomyślenia, żeby zapomniał o swej rasie. Zgubny, jadowity urok! On, członek narodu panów, i ta kolorowa! We Frederic-le-Grand wysiadła, a on pobiegł za nią jak piesek przez rozległe korytarze *correspondance*; wciśnięta w jakiś kąt, oczekiwała go z uśmiechem na peronie pociągów odjeżdżających w kierunku Carthage i Napoleon-le-Petit — zwycięzczyni! Potem spotykali się potajemnie, bardzo często i we wszystkich możliwych miejscach, mimo że ledwo mogli się porozumieć. Co poza tym wiedział o Paryżu? Naprawdę pamiętał tylko papierową torebkę, wiszącą w pokoju hotelowym pod umywalką, z napisem „Hygiene feminine“. I pamiętał też dokładnie zdanie: *Glissez votre garniture periodique dans ce sachet. Me jetez rien dans les W.C. — Merci.*

Nagle z tego stanu nieobecności duchowej wyrwało go jedno lowo. Wyteżył słuch. „Bundschuh^{alo}... Bundschuh był pierwotnie ugrupowaniem światopoglądowym lub, jak się też mówiło, formacją czynną Stanu Żywicieli Rzeszy, powołaną do życia w celu regularnego nasycania niemieckiego chłopstwa nowo wypracowanym dobrem ideowym narodowego socjalizmu. Póź-

niej związek, do którego mogli należeć tylko pracujący chłopci, uniezależnił się w mniejszym lub większym stopniu od administracji Ministerstwa Wyżywienia i Rolnictwa i rozwijał się w obrębie partii jako samodzielny ruch, z własną prasą, własnymi biurami RAD-u na szczeblu okręgu i własną hierarchią służbową. Bundschuh, zorganizowany według zasady wodzostwa, miał strukturę ziemkostw, rozkazy otrzymywał bezpośrednio od reichsbauernfuhrera, wcześniej natomiast podlegał wydziałowi VIII (przebudowa niemieckiego chłopstwa) we wspomnianym ministerstwie. Korzystał z licznych przywilejów, miał stałego przedstawiciela w Najwyższym Trybunale Zagród Dziedzicznych i prawo do współdecydowania we wszelkich kwestiach dotyczących prawodawstwa chłopskiego i gruntowego.

Jak Hollriegl właśnie usłyszał, Bundschuh mocno się burzył, zarysował się wyraźny rozłam w jego szeregach; część chłopstwa, mniejsza część, stała po stronie Werwolu, druga, której opinię wyrażało i formowało wydawane od niedawna masowe pismo „Biedny Konrad”, potępiała w kąśliwych słowach politykę Kopflera i domagała się radykalnej odnowy na górze i na dole. Ta część musiała dysponować niesamowitym wręcz poparciem — nawet w rządzie Rzeszy — w przeciwnym razie nie ośmieliłyby się stawiać takich żądań. Zanosilo się na próbę sił, czuło się to wyraźnie w powietrzu, próbę sił, która może wstrząsnąć imperium w posiadach. W ostatnim numerze, mającym formę ulotki, „Biedny Konrad” — jegomość z Aschersleben pokazał ukradkiem kawałek — zwoływał wszystkich chłopów na masową demonstrację do Stollbergu u podnóża Harzu, miasta urodzin Thomasa Munzera, niedaleko stąd, co stało w jawnej sprzeczności z wydanym przez partię surowym zakazem zgromadzeń,

obowiązującym w okresie wojny. W ulotce bez ogródek żądano dopuszczenia chłopów do rządów w Rzeszy i ogłoszono hasło „Najwyższa potrzeba narodu niemieckiego”. W innym miejscu ulotki — to była już otwarta rebelia — napisano: „Zamiast nacji — populacja!” i „Chwast trzeba wyrwać zawczasu, zanim w ziarnach pojawi się mleczko”. Domagano się także surowego, bezstronnego śledztwa w celu wyjaśnienia okoliczności, które doprowadziły do śmierci Adolfa Hitlera. O tym, że Bundschuh idzie na całego, świadczyły słowa, którymi kończyła się odezwa, był to cytat z okresu wojen chłopskich: „Dźgaj, bij, duś, kto może!”

Opór zdawał się zwracać głównie przeciwko mianowanemu w tak zwanym testamencie Fuhrera ministrem wyżywienia

¹⁰ *Dosłownie: but z tyka — podobnie jak Biedny Konrad (patrz niżej) nazwa powstania chłopskiego na przełomie XV i XVI w.*

i rolnictwa brigadefuhrerowi SS Sauselemu, osławionemu werwolfowi. To właśnie dał do zrozumienia z wielką ostrożnością sprzedawca pralek, a Sudekum uzupełnił, iż wie z pewnego źródła, że pozbawiony władzy wbrew woli zmarłego Fuhrera gauleiter Gernot Firbas, wyznaczony pierwotnie na stanowisko reichsfuhrera SS, utrzymuje bardzo ścisły kontakt z „anonimowym” kierownictwem „Biednego Konrada”. Firbas oświadczył podobno, że potrafi zapewnić spotkaniu chłopskich ziomkostw w Stollbergu ochronę przed wszelkimi zamachami ze strony Werwofu. W tym wypadku gauleiter opierał się bez wątpienia na pewnych jednostkach policji, zwłaszcza na żandarmerii terenowej, ale także na oddziałach szybkiego reagowania SS oraz na ukaranej przez Kopflera Luftwaffe. Niejasna była na razie postawa chłopów warownych w okręgach lennych na Wscho-

dzie. Skupiono ich wszystkich w tak zwanym Pierścieniu Asgardu, zbliżonym światopoglądowo do NARMAT-u i Werwolfu.

Ludzie Asgardu byli więc w zasadzie werwolfami. Opierając się na obecnej ocenie sytuacji — desanty nieprzyjaciela daleko na tyłach Wału Wschodniego i Środkoworosyjskiego pasa osadnictwa — nie można było raczej liczyć na interwencję chłopstwa warownego. W walce, do której rychło dojdzie w Starej Rzeszy, staną naprzeciw sobie tylko radykalne skrzydło Bundschuh oraz grupy Werwolfu — co do tego obaj panowie byli zgodni.

To chyba było najgorsze, najgroźniejsze. Hollrieglowi robiło się na przemian zimno i gorąco. A więc jego własny naród się burzył. Chłopi, którzy zawsze byli najwierniejszą drużyną Fuhrera. Niepojęte! Jego sąsiedzi zachowywali się tak, jakby działo się to już od dawna.

— Tyleśmy panu naopowiadali — rzekł Sudekum do Hollriegla — że zaczyna mnie ssać w żołądku. Lekarz, co prawda, zalecił mi dietę z powodu mojego serduszka, ale gdyby tak wciąć teraz golonkę, a do niej kufelek jasnego — to by dopiero była rozkosz. Albo chudy gulasz lub śledzika z cebulką. I chłodne piwko z pianką. Ech! Nie rozumiem, dlaczego mając chore serce nie można jeść golonki...

W tym momencie drzwi schronu otwały się gwałtownie i oczy wszystkich zwróciły się natychmiast w stronę portiera, posługacza najemnego i strażnika obrony przeciwlotniczej w jednej osobie, który w przekrzywionym hełmie na głowie wyglądał na człowieka w najwyższym stopniu zdenerwowanego. Ochryplym głosem wyjąkał pośród ciszy, która zaległa na jego widok:

— Pierwsza bomba atomowa spadła na Rzeszę... w rejonie

Lemgo-Bad Salzullen... Alarm przed promieniowaniem!

Moment paraliżu, serca zamarły. Zaraz jednak wszyscy zerwali się z miejsc, zaczęli biegać i krzyczeć jeden przez drugiego. Kobiety piszczały ze strachu, tylko pisząca list dama siedziała nadal i spoglądała cielęcym, dobrodusznym wzrokiem na panujące zamieszanie. Wydawała się, pewnie dlatego, że była głucha lub źle słyszała, nic z tego nie rozumieć. Najbardziej histerycznie zachowywała się dziewczyna w mundurze, przyciskała dłonie do uszu i krzyczała piskliwie. W spadającym jak kamień samolocie z pewnością nic mogły się dziać gorsze sceny.

Hóllriegl zachował spokój, który jemu samemu wydawał się podejrzany. W ciągu ostatnich dni w jakimś sensie stał się nieczuły, wszystko było mu dokładnie obojętne. To, co przeżywał, było snem, który, chcąc nic chcąc, trzeba wyśnić do końca. W zamieszaniu instynktownie przysunął się do telegrafistki ze służby pomocniczej Wehrmachtu, która wrzeszczała co sił i jak opętana tupiała nogami. Zarozumiała mina zmieniła się w grymas przerażenia.

Dziewczyna była jednak cholernie ładna, już wcześniej zwrócił uwagę na jej szczupłe, mocno owłosione nogi. Pod pozorem, że chce ją uspokoić, przycisnął dziewczynę do siebie, czego nikt nie zauważył; poczuł jej drżące ciało, chude ramiona, ukradkiem dotknął jędrnych, elastycznych piersi. Ze szlochaniem rzuciła się w jego ramiona, ramiona zupełnie obcego mężczyzny, na którego wcześniej ledwie rzuciła okiem.

W panującej wrzawie nikt nie mógł dojść do głosu. Strażnik obrony przeciwlotniczej próbował to uczynić parę razy, lecz w końcu zrezygnował. Hóllriegl przyciskał do siebie trzęsącą się telegrafistkę i bąkał jakieś uspokajające słowa; w całej tej

potwornej i żałosnej sytuacji jedynie osłanianie tej młodej istoty miało jakikolwiek sens. Widział, jak Sudekum i mężczyzna z Aschersleben perswadują coś strażnikowi. Wszyscy trzej — w popłochu, jak się wydawało — opuścili schron. Ktoś, któraś ze starszych kobiet, zawołał nagle:

— Partia myśli za ciebie!

Zaraz znaleźli się ludzie, którzy podchwycili to hasło i zaczęli skandować:

— Partia myśli za nas! Partia myśli za nas! Partia myśli za nas! Partia myśli za nas!

Na co inni odpowiadali:

— Dlatego dziękujemy partii! Dlatego dziękujemy partii!

Dlatego dziękujemy partii! Dlatego dziękujemy partii!

Po czym ktoś nagle zawołał:

— Heil Kopfler! Heil nasz Fuhrer!

Ale nikt nie podchwycił tego okrzyku.

Znów zjawił się strażnik obrony przeciwlotniczej w towarzystwie rozmówców Hollriegla. Strażnik potrząsał dużym dzwonkiem, takim, jaki noszą krowy, o głośnym metalicznym dźwięku, i rozgorączkowane umysły z wolna się uspokoiły.

— Proszę tu obecnych, żeby zachowywali się, jak Niemcom przystoi — zawołał przedstawiciel fabryki pralek swoim potężnym, stentorowym głosem, pośrednim w tonie między perswazją a rozkazem: miał rzeczywiście głos wytrawnego sprzedawcy.

Zrobiło się natychmiast cicho, tylko jakiś głosik zakwilił jakby echem:

— Partia myśli za nas!

— Oczywiście, że partia myśli za nas, jakżeby inaczej! Ale każdy Niemiec musi też umieć się zachować, i to roztropnie!...

Niezwłocznie należy się podporządkować zarządzeniom strażnika obrony przeciwlotniczej. Każdy z państwa zbyt długo, aż do obrzydzenia przerabiał alarmy przed promieniowaniem, żeby nie wiedzieć, że pierwsze i jednocześnie najważniejsze przykazanie brzmi: spokój. A więc przede wszystkim spokój, towarzysze! Zimna krew i ciepła bielizna. Drugie przykazanie brzmi: fasować kombinezony ochronne! Niebezpieczeństwa promieniowania bezpośredniego w chwili obecnej nic ma — mimo to będziemy się musieli rozejrzeć za tymi kombinezonami.

— Kombinezonów jest w schronie dwanaście — oświadczył strażnik. — Nas jest natomiast (szybko policzył obecnych) dziewiętnaście osób, razem z kucharką. Kto więc chce dostać kombinezon, niech podniesie rękę. Damy mają pierwszeństwo.

W pensjonacie było, wliczając kucharkę, jedenaście kobiet. Dwunasty kombinezon miał otrzymać jakiś starszy mężczyzna.

— Przyniosę pani mundurek — powiedział Hóllriegl do dziewczyny, nadając swoim słowom pogodne, szarmanckie brzmienie.

Dziewczyna usiadła na taborecie i objęła rękami kolana. Nie zmieniając tej pozycji, najwidoczniej śmiertelnie zmęczona atakiem hysterii, patrzyła nieruchomo przed siebie.

Kiedy szedł z mężczyznami po stroje, przypomniał sobie owe niesamowite jaskrawe błyski, które na jego oczach pojawiły się na niebie od zachodu. A więc to była ta bomba, promieniowanie już dawno musiało dotrzeć do Harzu. Jeśli miała małą moc, to na taką odległość dawka nie była śmiertelna — nie bezpośrednio śmiertelna. Zresztą jemu i tak było wszystko jedno, dokładnie wszystko jedno. Ulla, Anselma i „dorywca“

sympatia — jakże odległe było to wszystko! Teraz liczyła się tylko chwila bieżąca. A w tej właśnie chwili Rzesza odpowie kontruderzeniem. Teraz! Może nie było już żadnych wrogów.

— Dlaczego jednak eksplozję bomby tak długo ukrywano? Hollriegl sięgnął pamięcią wstecz. Błyski zobaczył, gdy skręcił na drogę do Sauckelruh. A teraz była... to niepojęte! — Partia myśli za ciebie! Partia myśli za ciebie! Partia myśli za ciebie!...

Usłyszał, jak strażnik obrony przeciwlotniczej mówi do jednego z mężczyzn:

— Dziś w południe papież został zabrany z Watykanu przez SS. Jest w Niemczech... pod kluczem. (Wiadomość ta, jak Hollriegl przekonał się później, była przesadzona. Rzeczywiście aresztowano papieża i pod eskortą SS drogą powietrzną przewieziono do Rzeszy. Ale w więzieniu nie był i włos mu z głowy nie spadł. Przeciwnie: umieszczono go w luksusowej klinice dla psychicznie chorych — tej samej, w której leczono również dalajlamę — gdzie Ojciec Święty pod nadzorem swego osobistego lekarza i paru wybitnych niemieckich specjalistów miał być poddany terapii wstrząsowej insuliną. Przy tej okazji Hollriegl dowiedział się także, iż arcypatriarcha kościołów wschodnich chciał zostać członkiem partii, lecz niedawno jego kandydatura została odrzucona).

Kiedy Hollriegl przyniósł dziewczynie kombinezon ochronny, spojrzała na niego jak na obcego człowieka. Nadal dygotała, ręce trzęsły się jej bez przerwy.

— Odprowadzę panią do pokoju, nie ma sensu zostawać tu na dole. Piwnica chroni tylko przed bombami burzącymi.

Pomógł jej wstać i wziął ją pod rękę.

— Nie było jeszcze odwołania alarmu — powiedział specjalista od pralek, który samorzutnie objął dowództwo; jego jarmarczny głos przybrał ton kaprański. Ale strażnik obrony przeciwlotniczej przepuścił ich przez drzwi schronu. Sam ruszył za nimi mrużąc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa, musiał wszak wrócić do radia i kontynuować nasłuch. Latarka Holriegla — bateria była prawie wyczerpana — oświetlała stopnie słabym czerwonym światłem.

Wchodzili w milczeniu na piętro, ich cienie przesuwają się to w górę, to w dół. Dziewczyna nie powiedziała jeszcze nawet słowa. Na schodach Hollriegl mocniej przycisnął ją do siebie. Kiedy chciał pognieść trochę jej pierś, powiedziała piskliwym głosem:

— Niechże pan da spokój!

Ale przed drzwiami pokoju odnalazły się niespodziewanie jej wargi. Wciągnęła go do zupełnie ciemnej izby.

— Zostań ze mną — szepnęła, i znów poczuł jej zęby, wilgotne ciepło jej ust. Po chwili wyślizgnęła się z jego objęć. Usłyszał, jak zdejmuje mundur. Miał charakterystyczny zapach Wehrmachtu, czyli potu, lizoformu, koszarowych szafek i żołnierskich sal. — Rozbierz się — powiedziała — i zostań ze mną przez noc... boję się. Może to ostatni raz.

Hollriegl widział ją jako błądzący cień przemykający tu i tam po pokoju, zapaliła papierosa i zdjęła bieliznę. On także rozbierał się powoli. Cisza. Kiedy pochyliła się nad umywalką, przyciągnął ją do siebie. Jej ciało było chłodne w dotyku, skóra chropowata. Miała może dwadzieścia lat.

— Jak ci na imię? — zapytał jedynie po to, żeby coś powiedzieć.

Miała szczupłe, żylaste ciało i jędrne, silne piersi. (Zezette

była tam inna!) W dalszym ciągu drżała. Puścił ją, a ona zaczęła nacierać określone miejsca wodą kolońską.

— Nazywam się Elke Franken, Elke Angurboda Franken. Angurboda znaczy Przynosząca Strach. — Zachichotała. — Przynosząca Strach, która sama się boi... pochodzę z Dolnego Śląska — dodała. Co chwila nadstawiała mu swoje wargi, a potem wypuszczała dym w jego usta (co pobudzało go do kaszlu) i bez żadnego skrępowania zaczęła dotykać jego ciała. — Na pewno się ode mnie nic zarazisz — jeżeli o to chodzi. Niedawno byłam na rewirze, a od tamtej pory z nikim nie spałam.

Teraz była już dla niego osobą, a nie jedynie istotą składającą się ze skóry, włosów, miękkich części ciała i ciepła. Poczynała sobie coraz śmielej, jej ręce były mało delikatne.

— Szybciutko do łóżka, zimno mi — powiedziała swoim łamiącym się, dziecinnym głosem.

Brunatna rapsodia

Gundlfinger pracuje nad dowodem na istnienie Boga

„Masz pachotka? Jak go zwiesz?” | „Wsadźmikolek“/ „Mój pachotek Wsadźmikolek, twój pachotek Wsadźmikolek; ma kołyska lululyska, twa kołyska lululyska; moje dziecię mądrze plecie, twoje dziecię mądrze plecie; mój mąż — wąż, twój mąż — wąż, ja do Walpy, ty do Walpy; raz dwa trzy — ja i ty.
wyliczanka dziecięca

Opuścił Elke jeszcze w nocy. Zasnęła w jego ramionach, wyszedł nie budząc jej. Kiedy wspinał się po schodach do swojej mansardy, usłyszał odległy ryk, a także przenikający do szpiku kości wrzask jakiejś kobiety. Nie przejął się tym zbyt, poza tym dosłownie padał z nóg. Znow owładnęło nim totalne zubożenie, czuł się niczym, zerem. Partia myśli za ciebie! Świadomość własnego zubożenia i poczucie nieistotności wszystkiego, co się działo, nasiliły się jeszcze, gdy mechanicznie stawiał nogi na schodkach, i przeszły w zatrważające wrażenie samowyobcowania. Przypominało to nagły wstrząs — zatrzymał się. Ni stąd, ni zowąd wszystko się zmieniło, on też nagle się zmienił. Miał wrażenie, jakby ktoś nasadził mu na kark obcą głowę. Widział, myślał głową kogoś innego — jednocześnie wzmógł się bolesny ucisk w karku i potylicy. Wszystko stało się męcząco nierzeczywiste. Wzdrygnął się i kilkoma szybkimi ruchami pomasaował czaszkę. Najważniejszą rzeczą teraz

było przetrwać — jakoś przetrwać.

Na zewnątrz była ciemna noc. Otworzył okno i nasłuchiwał. W oddali nadal słyszał kobietę wrzeszczącą przeraźliwie piskliwym głosem, bez przerwy, udręka dla uszu i mózgu; od czasu do czasu krzyki mężczyzny i głuchy pomruk tłumu. Wydawało mu się również, że ktoś przemawia. Czyżby gdzieś tam odbywało się jakieś zgromadzenie? W środku nocy, podczas alarmu przeciwlotniczego? Zamknął okno, nic chcąc dłużej słuchać tego kobiecego głosu, i spuścił rolety, po czym zapalił światło. Jakże przytulny był ten pokój mimo bladoniebieskiego oświetlenia.

Dopiero teraz spostrzegł, że obok drzwi leży duża kartka papieru, której po ciemku nic zauważył. Prawdopodobnie została wsunięta do środka przez szczelinę pod drzwiami, kiedy był jeszcze u Elke. Rozłożył papier, swego rodzaju plakat, w czarnych obwódkach jak klepsydra. Hektografowany tekst ułożony był w formie haseł. Ze zdumieniem przeczytał:

NIECH WSPÓLNOTA MYŚLI WYŁĄCZNIE W KATEGORIACH ZIEMSKIEGO BYTU/ NIECH POZNAJE, CO TO OGRANICZENIE/ NIECH DĄŻY DO JASNOŚCI I UPRAWIA NAUKĘ/ NIECH ZBURZY BOGA.

PO TOTALNYM ZNISZCZENIU NASTANIE KRÓLESTWO WŁAŚCIWYCH ZNORMALIZOWAŃ/ TYLKO TO, CO PLANUJE WSPÓLNOTA, JEST SŁUSZNE.

Z WIELKIEGO UPADKU RATUJ PRZEDE WSZYSTKIM PRZEKONANIE/ ŻE NIE WOLNO CZŁOWIEKOWI STAWIAĆ ŻADNYCH BARIER W ROZWOJU DUCHOWYM/ POZWALAJĄC MU ZARAZEM NA SAMOWOLĘ W DZIEDZINIE GOSPODARCZEJ. NIECH NIKT NIE BĘDZIE WODZEM/ TY JESTEŚ TREŚCIĄ WSZYSTKICH.

NAWROTU DO PROSTOTY MIESZKALNEJ/ ŚCISŁEJ PROSTOTY. NAWROTU DO OBYCZAJNEGO MYŚLENIA/ ŚCISŁE OBYCZAJNEGO. NAWROTU DO LUDZKICH ZASAD POSTĘPOWANIA/ WSZECHLUDZKICH. TEGO OCZEKUJEMY OD PRZYSZŁEJ SPOŁECZNOŚCI/ I ŻEBY NIE BYŁO POŚRÓD LUDZI TYCH NA GÓRZE I TYCH NA DOLE.

Tekst zawierał błędy ortograficzne. Ulotka, gdyż coś w tym rodzaju miał chyba przed sobą, podpisana była: BIEDNY KONRAD. Podpis umieszczono między dwiema skrzyżowanymi czarnymi flagami.

Hollriegl przeczytał tekst kilka razy. Stał jak osłupiały. Nie ulegało wątpliwości: każde słowo ulotki uchylało najwyższym ideałom rasy panów, wymierzone było przeciwko fundamentom cywilizacji zachodniej, przeciwko Nowemu Porządkowi, zasadzie wodzostwa, państwu rządzonemu przez wodza i selekcji rasowej, przeciwko wszystkim pozostałym dogmatom partii. To była otwarta rebelia! Podobne rzeczy czytał zresztą w pewnych okólnikach NARMAT-u — ekstrema stykały się w przerażający sposób. Niech nikt nie będzie wodzem! Żeby nie było już pośród ludzi tych na górze i tych na dole! Obłąd, czysty obłąd! To było po prostu dno — bezdenne otchłań! Kto podrzucił mu tę ulotkę? I dlaczego akurat jemu? Czy inni goście pensjonatu też ją dostali? A może to pułapka...

Co powinien zrobić? Oddać ulotkę na żandarmerii lub kierownikowi politycznemu pierwszej lepszej placówki partyjnej. To było jedyne słuszne wyjście. Należało złożyć formalne doniesienie.

I wtedy przypomniał sobie, że coś jeszcze ciąży mu na sumieniu: przecież już raz zrezygnował z doniesienia — a przynajmniej nie złożył go do tej pory. Przebywał w towarzystwie

niebezpiecznych spiskowców, siedział przy jednym stole z ludźmi wyjętymi spod prawa. Kto uwierzy, że to był przypadek? Należało jednak o wszystkim zameldować, w dodatku bezwzględnie! Ale nie, zamierzał to wszak uczynić po wizycie u Gundlfingera. Jeżeli wtedy będzie jeszcze na to czas. Bomba! Wybuchła wojna atomowa, nie było już żadnych wątpliwości. Nie czuł się tym jednak przerażony.

Z trudem, dręczony ciężkimi, płytkimi snami, zdołał jakoś przespać trzy albo cztery godziny. Budzik nastawił na siódmą. Obudził się przed ósmą ze świdrującym bólem głowy, dzwonienia budzika nie słyszał. Szybko się umył, zimna woda, choć było jej niewiele, dobrze mu zrobiła. Kilka głębokich przysiadów, parę wymachów ramion, jak zwykle. Partia myśli za ciebie! Partia myśli za ciebie! Partia myśli za ciebie! Ubrał się.

Na korytarzach ogromny ruch. Większość gości była już na nogach, przypuszczalnie niektórzy wybierali się na audiencję do Gundlfingera. Elke nigdzie nie widział. Nabazgrał swoje nazwisko, adres i pozdrowienia („I dzięki za piękną noc“) na kawałku papieru, wsunął kartkę przez szparę pod drzwiami, po czym zbiegł na dół do jadalni.

Wszyscy siedzieli już przy śniadaniu, również Sudekum i przedstawiciel fabryki pralek. Większość jadła własny prowiant wydobyty z kuferków, na których siedziano w schronie przeciwlotniczym — szczęśliwy, kto był teraz samowystarczalny. Wszyscy byli niewyspani, mrukliwi, w kiepskim humorze. Nawet jegomość z Aschersleben zapomniał, jak się zdaje, że ma tak potężny organ głosu. Nastrój jak na próbnym śniadaniu przed płukaniem żołądka. Posługacz najemny nie pokazał się, jedynie kucharka ciężkim, kołyszającym się krokiem przeszła przez pomieszczenie; przyniosła posiłek również Hollrieglowi.

Zapłacił za nocleg i śniadanie, zbierając w rewanżu niechętnie spojrzenia. Go za porządki! Ta zapadła dziura nie zobaczy go już nigdy.

Przed wyjściem sprawdził, czy ma wszystko w swojej walizeczce. Różdżka i wahadełko leżały na swoim miejscu, było także orzeczenie „podziemnych“. To zapewni mu dobre *entree* u Gundlfingera — teraz równie dobrze mógł się powołać na „podziemnych“, jak i na Schwerdtfegera oraz Hirnchristla. Jedną z tych rekomendacji uwierzył w go z pewnością jako osobę godną zaufania.

Na zewnątrz od razu otuliła go mgła. Powietrze było jak z ołowiu. Żywej duszy. Doprawdy, świat wydawał się zupełnie wyludniony. Na głównym placu cuchnęło jak w sklepie rzeźniczym. Tu i ówdzie rdzawobrzęde kałuże. Obwąchiwał je jakiś kundel, za stary, żeby szczeleć. Na drewnianym rusztowaniu wisiły dwa potwornie zmasakrowane trupy — zwłoki człekopodobnych istot. Nawet nie przerażony, raczej z ciekawości, Hollriegl podszedł bliżej, pilnie bacząc, żeby nie wdepnąć w którąś kałużę. Na szubienicy wisieli rzeczywiście mężczyzna i kobieta; mimo że nadzy, płęć ledwo dawało się rozróżnić. (Ach, to te krzyki w środku nocy!) Tam gdzie są piersi, jeden z trupów miał otwarte rany wielkości talerza, z jamy brzusznej zwisały niebieskawe jelita. Drugiej ofierze przypalono genitalia i przy okazji przysmażono nogi. Oba ciała pozbawiono oczu. Hollriegl przypomniał sobie pewną scenę, jaką widział w dzieciństwie. Było to na targu rybnym. Handlarze tłukli ryby młotkiem w głowę i przepoławiali je. Rozkrojone ciała podskakiwały jednak, nawet jeszcze w torbach kupujących kobiet, i podrygiwały żałośnie... (Ta rzeźnia tutaj byłaby ucztą dla Anselmy!)

Na sztych powieszoni mieli umocowane przesiąknięte krwią kawałki tektury z ledwo czytelnymi napisami. Hollriegl odcyfrował, tak mu się przynajmniej wydawało, imię Istvan. Przypomniatł sobie, co opowiadał najemny posługacz. Węgierskie małżeństwo! A więc zostali schwytani. Prawdopodobnie inni niewolnicy musieli się przyglądać egzekucji. Prawdziwy dreszczowiec!

Poza tym, że poczuł obrzydzenie, które trochę przybrało na sile — z uwagi na odór krwi — widok ten nie zrobił na nim większego wrażenia. Wsiadł do samochodu i zaczął się zastanawiać, czy nie zostawić go tu w jakimś garażu. Jak mówiła owa istota o dźwięcznym głosie? Że lepiej zostawić auto w Sauckelruh — jeżeli dobrze rozumiał. Chcąc dotrzeć do „Walpurgii”, lepiej pójść pieszo lub wypożyczyć rower. Dźwięczny głosik polecił mu „naprawca“, czyli mechanika — mechanika samochodowego albo właściciela wypożyczalni aut. Nazwisko wyleciało mu z głowy, ale adres pamiętał: An der Pfordten. Postanowił tam teraz wstąpić, zostawić u niego samochód i zlecić naprawę radia. Brak informacji oznaczałby dla niego koniec. Byłby zgubiony.

Domy wokół placu obwieszane były żałobnymi flagami, które wyglądały jak czarne stryczki. I wszędzie czerwone listy gończe z głowami Unselda i Diebolda. Przed budynkiem, gdzie mieścił się lokalny komitet partyjny — w takiej dziurze nie było osobnego domu partii — przystanął, żeby oddać ulotkę. Również tutaj ziejąca pustka, większość pokoi była zamknięta. Na tablicy ogłoszeń przeczytał obwieszczenie następującej treści: „Wbrew spotykanym tu i ówdzie zwyczajom wydawania kombinezonów ochronnych w pierwszej kolejności osobom starszym i chorym, zarządza się ze skutkiem natychmiastowym,

że odzież ochronną w przypadku niedoboru należy udostępniać wyłącznie tym towarzyszom narodowym, którzy są w pełni sił. Pierwszeństwo mają mężczyźni oraz kobiety i matki do 35. roku życia. Potem następują, w kolejności zależnej od znaczenia dla Fuhrera i Rzeszy, starsze roczniki. Na ostatnim miejscu znajdują się mężczyźni i kobiety powyżej 60. roku życia, jak również chorzy i kaleki. Zarządzenie powyższe nie dotyczy... “ I tu wymieniono kawalerów Orderu Krwi, inwalidów wojennych z wysokimi odznaczeniami frontowymi, kobiety odznaczone Krzyżem Matki, nosicielei Złotej Odznaki Partyjnej i tak dalej.

Wreszcie natrafił na jakiegoś siwego policjanta w kombinezonie ochronnym, drzemiącego przy biurku. Hollriegl wyjaśnił mu, w jakich okolicznościach znalazł ulotkę.

— Tak, znamy już to — mruknął niewyraźnie funkcjonariusz; nic miał zębów. — Niech pan pokaże. Codziennie przychodzą towarzysze narodowi i znoszą tego rodzaju rzeczy. Nie jesteśmy już nawet w stanic opracowywać tylu doniesień — zresztą to nie takie ważne. Ważniejsze, żebyśmy wyłapali wszystkich uciekających niewolników. Moi koledzy z urzędu, młodszy wiekiem, właśnie ich ścigają — żeby odciążyć żandarmerię. Roboty teraz nic brakuje. Siedziałem sobie od dawna spokojnie na emeryturze, a tu ściągnęli mnie znowu do pracy. Właściwie mieszkam w Hasselfelde, wyjątkowo mam tutaj dyżur w pogotowiu. Wszyscy pozostali w terenie... Widział pan to dziś w nocy? Fantastyczna sprawa! Nic? To dużo pan stracił. Ten cyrk przypominał mi najpiękniejszej czasy w Generalnej Guberni w czterdziestym roku, kiedy byłem jeszcze w SD...

Policjant dopiero teraz rozkręcił się na dobre, a Hóllriegl pozwolił mu się wygadać. Zakład naprawczy znajdzie tak czy

owak.

W wąskich, mglistych uliczkach od czasu do czasu jakiś mieszkaniec miasteczka przeciskał się ostrożnie obok samochodu. Przy głównym placu wszystko było pozamykane, tu zaś widział sklepy, w których handlowano przy roletach spuszczo-nych do połowy. Kobiety stały w długich kolejkach, a miejsco-wa policja w strojach przypominających kombinezony ochron-ne, z empi przewieszonymi przez pierś (broń laserową widy-wało się na prowincji bardzo rzadko), patrolowała ulice w trzy-osobowych grupkach. Wszelkie DKN-la, czyli najpotrzebniejsze do życia dobra konsumpcyjne narodu, zostały natychmiast, zgodnie z przepisami wojennymi, poddane racjonowaniu. Funkcjonowało to znakomicie, gdyż w ostatnich latach w ra-mach ogólnonarodowego „przydziału” wciąż ogłaszane były w celach ćwiczebnych i hartujących zarządzenia stanu wyjąt-kowego, to znaczy błyskawicznie wprowadzano racjonowanie żywności, które często obowiązywało tygodniami. Każde z tych zarządzeń posiadało własną nazwę; ostatnie nazywało się „Landgrafie, bądź twardy!”

Na wypadek wybuchu wojny Hóllriegl nosił zawsze przy sobie kartkę żywnościową IIb — Kummernussowi udało się go przeszmuglować z grupy IIIa o kategorię wyżej. Taki właśnie szczególny wypadek miał miejsce teraz. Zadawał sobie tylko pytanie, czy na tę kartkę można jeszcze gdziekolwiek coś do-stać, *vide* reakcja w pensjonacie. Pan Sudekum wyjaśnił mu zresztą, że rozdział żywności w całej Rzeszy odbywa się drogą powietrzną i dzięki maszynom myślącym zaplanowany jest tak szczegółowo, że gdyby nawet skutek totalnego zniszczenia zniknęły z powierzchni ziemi nie tylko znaczne połacie kraju, lecz także duże miasta, zaopatrzenie niemal 90 milionów towarzyszy

narodowych musiało nadal funkcjonować jak w zegarku. Owo ciągłe dudnienie w powietrzu nie pochodzi zatem bynajmniej od eskadr bojowych biorących kurs na wroga, ale od samolotów transportowych typu strato używanych bez przerwy w akcji DKN. Już w poniedziałek całe lotnictwo cywilne Rzeszy zostało włączone do tej akcji.

Hóllriegl przejeżdżał wolniutko obok domów z malowniczym murem pruskim. Wszędzie były porozwieszane znane aż do znużenia odezwy w sprawie oszczędzania żywności, ale dostrzegał też napisy w rodzaju „nie skażone warzywa” lub „pieczywo zabezpieczone przed skażeniem” — automatycznie weszły w życie wszelkie przepisy stanu wyjątkowego dotyczące opakowań. Rzesza wydobywała swój chleb powszedni z podziemnych bunkrów i magazynów, które były podobno wielkości całych wiosek. Tak głęboko nie przenikało żadne promieniowanie, a żywność leżała tam od lat, dawno temu zapakowana „atomowo”, gromadzona i przechowywana na wypadek wojny. Budujące było to wszystko! Heil!

Właściciel warsztatu naprawy samochodów, który mu polecono, niejaki Schicketanz, mieszkał na końcu miejscowości, a An der Pfordten była jedną z ulic wylotowych wiodących z Sauckelruh w kierunku północno-wschodnim. Hóllriegl wyciągnął mechanika spod ciężarówki, przy której ten pracował z jakimś robotnikiem przymusowym, zresztą podejrzanym ostyjskim typem; tak jakby nie wybuchła wojna atomowa, jakby bomba nie spadła na Rzeszę zeszłej nocy. Hóllriegl przedstawił uszkodzenie radia jako zupełnie niewinne wydarzenie — nigdy przecież nic nic wiadomo. Naprawa będzie na pewno drobnostką. A samochód odbierze dziś wieczorem, najpóźniej jutro rano.

Brunatna rapsodia

— Są jakieś nowe wieści?

— Tylko złe — odparł towarzysz narodowy Schicketanz ocierając pot z sinoczcrwonego czoła. — Wprawdzie unieszkodliwiono kilka zbliżających się rakiet z głowicami atomowymi, ale co przyniesie następna godzina? Przestaliśmy schodzić do piwnicy, nie ma sensu, i tak już jesteśmy napromieniowani. Ale Kopfler sobie poradzi, tak samo jak poradził sobie Adolf. Japsy dostaną takie lanie, że się nie pozbierają — to jasne jak słońce. Teraz jednak musi mi pan wybaczyć, jestem właśnie w trakcie roboty. Do profesora może pan pójść na skróty, tędy. Przechodziło już mnóstwo ludzi. Oprócz tego jest też droga bita.

Hóllriegl ruszył spieszny marszem, w tej zimnej mgle naprawdę marzył. Czuł w kościach niewyspanie, także dziewczyna kosztowała go sporo energii. (Angurboda — dziwne imię). Ściskając aktówkę pod pachą, mocno wyciągał nogi i zwolnił dopiero wówczas, gdy droga zaczęła wznosić się stromo. Przez wysokopienny las świerkowy przetaczały się kłęby mgły, a jej strzępy czepiały się gałęzi. Hóllriegl szedł zamyślony — jak to mówił jego nauczyciel w szkole powszechnej? „Tak zwany duch Brockenu to ściana mgły, na którą w specyficznym oświetleniu padają cienie...”

Droga wiała się pośród granitowych rumowisk, i Hollriegla naszła nagle ochota, aby spojrzeć na okolicę z góry. Prędko wspiął się na jeden z głazów narzutowych. Widoczność była mocno ograniczona, ledwie do paru kroków, lecz dostrzegł wznoszące się w górę z mglistej otchłani wysmukłe, a mimo to potężne pnie i jego serce wypełniła ufność i duma. (To był niemiecki, nordycki, aryjski las!) Poczuł w środku przyjemne ciepło. Wszystko dookoła tchnęło spokojem. Go to takiego było —

wojna? Lecz odległe, ciche dudnienie, które pośród ciszy znów dobiegało jego uszu, przemawiało innym językiem.

Po chwili — tabliczki wskazywały drogę i wszędzie ustawione były ławeczki do odpoczynku, dla tych, co się zmęczyli — wyszedł na jakiś płaskowyż, nad którym kracząc przelatywały wrony. Z mgły wyłoniły się zarysy przypominającego willę budynku, który z bliska okazał się koszmarnym tworem architektonicznym. Swego rodzaju zamek rycerski ze świątymi wieżyczkami obronnymi. Ostrołuki, wykusze, ozdobne kraty, strome ścianki szczytowe — wielki sen z przełomu wieków. Hollriegl z miejsca poczuł wstręt do tego fałszywego zamku, za piękne uważał bowiem tylko monumentalne budowle Fuhrera lub osady SS o wysokich ścianach szczytowych, z potężnymi czworokątnymi traktami i przestronnymi placami apelowymi. Gotyk był dziwacznym wymysłem chrześcijańskim, a wschodniomarchijskiego baroku wręcz nienawidził.

Z mgły zaczęły się teraz wyłaniać ludzkie postacie, było ich coraz więcej, ci dotarli na górę wygodniejszym bitym gościńcem. Widziało się rowery i mopedy, a jakiś sparaliżowany mężczyzna zamaszystymi pociągnięciami ramion poruszał swój wózek inwalidzki. Wszyscy zdążali grupkami do otwartej furty, przy którejś jakaś kobieta witała gości w przeciągłym dialekcie dolnosaksońskim. Prosiła, żeby nie hałasować, gdyż profesor rozpoczął już kazanie. Przez bramę wjazdową wchodziło się do hallu, skąd prowadziły schody do ozdobionej tralkami empony. Cały wystrój wnętrza obudził w Hollrieglu mieszane wspomnienia; czegoś arystokratycznego i czegoś amazońskiego zarazem, w każdym razie wstydlive — szrama znów zapłonęła jaśniejszą barwą. Tyle że u Gundlfingera nie było marnotrawstwa przestrzeni; we wszystkim zachowano miesz-

czański umiar.

Hall był nabitý ludźmi. Hollrieglowi udało się jeszcze wcisnąć do środka, ci, co przybyli później, musieli już pozostać w bramie wjazdowej. Słuchacze stali ciasno stłoczeni, zastygli w pozach nabożnego skupienia. Tylko nieliczni znaleźli miejsca na paru kamiennych ławkach, ale ci przyszedli pewnie bardzo wcześnie. (W Sauckelruh mówiono, że niektórzy ludzie, pielgrzymujący do Gundflingera regularnie, często czekali na wstęp przez całą noc, i to nawet w niepogodę). Inni z kolei przynieśli sobie krzeselka turystyczne i wyściełane siedzenia foteli lub po prostu siadali na posadzce. Hóllriegl, będąc człowiekiem wygimnastykowanym, zdobył miejsce, choć bardzo mu przeszkadzała aktówka, na występie podstawy kolumny, skąd mógł ogarnąć wzrokiem cały tłum. Z przodu, w pierwszym rzędzie, klęczały kobiety ze zwisającymi bezsilnie ramionami i głowami spuszczone jakby w największej ekstazie. Wejście na emporę zagrodzone było liną z czerwonego aksamitu.

Pomimo wszelkich starań, by zachowywać się jak najciszej, nowo przybywający powodowali zamieszanie i hałas, lecz zasłuchane audytorium w ogóle nie zwracało na to uwagi. Ludzie byli za bardzo skupieni — podobne skupienie Hóllriegl widział przyglądając się ćwiczeniom koncentracyjnym ariozofów.

Jednakże wszystko to i obrazy poszczególnych osób z zasłuchanego tłumu, ogarniał dopiero stopniowo. Jego uwaga skupiła się głównie na mówcy lub kaznodziei, który stał na górze przy balustradzie, wspierając się o nią rękami, wizerunek profesorskiego spokoju. Był to krępy, przysadzisty mężczyzna, pewnie pod siedemdziesiątkę, o wysokim czole, mięsistej twarzy i rzadkich posiwiałych włosach. Wydatny nos, gęste, przycięte z angielska wąsy, różowe policzki (jak pomalowane!), podstęp-

nie błyszczące oczka pod grubymi powiekami i chłodne, abstrakcyjne spojrzenie wędrujące ponad głowami słuchaczy. Usta blade, gąbczaste jak u starego mima. Gundlfinger nosił oryginalnie wygięte okulary, być może z wmontowanym aparatem słuchowym. Owego słynnego myśliciela równie dobrze można by wziąć za prowincjonalnego urzędnika kasy oszczędności na dosyć wysokim stanowisku, kierownika filii lub kogoś w tym rodzaju, jego powierzchowność była przeciętna, a nawet niepozorna. Za to promieniował wręcz cierpliwością, łagodnością, dobrocią, czymś takim jak wewnętrzne ciepło — chyba że było to tylko złudzenie? Jego słowa (wypowiadane z lekkim szwabskim akcentem) kapały niezbyt głośno pośród cizy niczym krople wody; te okrągłe, wypolerowane, poręczne słowa wydawały się aż nazbyt okrągłe, wypolerowane i poręczne, jak pieniądze, jak drobne monety.

Höllriegl przysłuchiwał się już przez kwadrans tokowi wykładu, z którego zrozumiał może trzy zdania, i naraz zaczął podejrzewać, iż ma przed sobą elokwentnego sprzedawcę z działu tekstylnego w domu towarowym, odmierzającego zgrabnie i usłużnie materiały i namawiającego klientelę do kupna w uprzejmych, kwiecistych słowach. Mimo że, jak wspomniano, nic uchwycił z dotychczasowej przemowy nic konkretnego, z minuty na minutę utwierdzał się w przekonaniu, że wszystko tutaj, każde słowo, każde zdanie, zostało wcześniej przygotowane, ułożone, starannie przemyślane i wystudiowane (wystudiowane tak samo jak przeciętność Gundlfingera), a teraz spływało z jego ust z precyzją odpowiednio zaprogramowanej maszyny myślącej.

Szokujący, bo nie spotykany w tych okolicach, był ubiór Gundlfingera. Przypominał strój Alpejczyków, był lekko styli-

zowany na ludowy, czarny z zielonymi wyłogami w kolorze mchu i lamówkami; lodenowy kaftan miał guziki z rogu jelenia. Na balustradzie leżała ciemna, haftowana aksamitna czapeczka, w rodzaju tych, jakie kiedyś w Wiedniu były symbolem właścicieli domów. Przypuszczalnie — tego jednak można się było tylko domyślać — Gundlfinger nosił grube wełniane pocerowane skarpety, a na nogach miał kapcie zamiast butów.

Niespodziewany wtręt przyciągnął uwagę Hollriegla z powrotem ku wykładowi. Jedną z krótkich przerw, jakie filozof wbudowywał w swoje efektowne, wielokrotnie złożone zdania, nie dlatego, że brakowało mu tchu, ale żeby umożliwić słuchaczom ocenienie z dystansu piękna określonych ornamentów myślowych, wykorzystata pewna kobieta, klęcząca w pierwszym rzędzie, by zadać pytanie — pytanie, które wszystkim kazało nadstawić uszu. Otóż kobieta ta, nie podnosząc głowy, zapytała:

— Czy Bóg jest chorobą?

— ... Z pewnością, droga towarzysko, z pewnością. — Mina Gundlfingera nic zdradzała najmniejszego zakłopotania. — Bóg jest chorobą. Ale chorobą tak skomplikowaną i tak wieloznaczną, tudzież tak złożoną i tak głęboko zakorzenioną, że jako pojęcia najwyższego, a więc w całej jej pełni, jako całości w ogóle, nic potrafimy jej uchwycić. A jeżeli Bóg jest chorobą, to wówczas każdy rodzaj religii jest odpowiednią, jakkolwiek niedoskonałą terapią — leczeniem, ale nic przyczyn, tylko objawów, gdyż przyczyny, pra-czynu, źródła choroby, tego, co w niej najważniejsze, nie znamy, tkwi ono w każdym jednostkowym przypadku gdzie indziej, i stąd pewnie nigdy go nie odnajdziemy. Jeśli więc rozumieć w ten sposób Boga jako nieuleczalną chorobę, jako zło samo w sobie, jako raka

toczącego ludzkie myślenie, to słowo „Bóg“ stanowi wówczas określenie nadrzędne dla wszystkich tych cierpień, które promieniują od NIEGO i rozgałęziają się drobniutko w naszej ciało-duszy. Bóg może nas nawiedzić w każdej formie, zarówno jako stwardnienie rozsiane, jak i biegunka na tle nerwowym. Dla porównania proszę pomyśleć o dystonii wegetatywnej — przecież to nic innego, tylko nazwa zbiorowa, słowo-gąbka, na określenie wielu różnych niedomagania w funkcjonowaniu układu wegetatywnego. Takie niedomagania obejmują wszystko, poczynając od zwykłego niepokoju, zniechęcenia, po najcięższe depresje i poważne schorzenia organiczne, które niekiedy mogą nawet popchnąć do śmierci z wyboru — proszę mi wybaczyć to brzydkie, słusznie wzgardzone i potępione wyrażenie. Bóg jest naszym cielesnym, a ściślej mówiąc, cielesno-duchowym losem. Bóg jest dla każdego czymś innym, dla każdego innym rodzajem choroby. To zaś, co wiąże się z losem, oznacza bezpośrednią stygmatyzację. Bóg jest więc od prapoczątku tym czymś, co zsyła na nas cierpienie, i dlatego może być przeżywane jedynie z niecierpliwością. Bóg jest niepokojem w mechanizmie stworzenia, chorobą lub, jeśli ktoś woli, wegetatywnym syndromem, który z dawien dawna wytworzył się w duszy człowieka, tak samo jak wciąż na nowo tworzy się w duszach naszych dzieci. Otóż na pani pytanie, droga towarzyszko, można też odpowiedzieć w ten sposób, że ta choroba jest równocześnie szczytem zdrowia. Cóż bowiem zwie się tutaj chorobą, cóż zwie się zdrowiem? Wszak są to tylko zjawiska graniczne tego samego stanu istnienia. Nasz naród, nasz wielki, wybrany naród, wydaje się w chwili obecnej ciężko chory, cierpi na chorobę, która nazywa się Bóg. Pytam więc: jak właściwie rozgrywa się nasze życie, życie naszego narodu?

Również w formie napięcia pomiędzy zdrowiem i chorobą... Bóg powstaje w nas niczym choroba, lecz także jako jej korektyw, czyli zdrowie. Raz więc oznacza ON nagromadzenie choroby, a innym razem nagromadzenie zdrowia. Równocześnie jednak owo napięcie, oscylujące pomiędzy tymi dwoma cielesno-duchowymi stanami jak między różnoimiennymi biegunami, nazywamy Bogiem — tak, gdyż nie jest ono niczym innym, tylko NIM samym. Znam ludzi, którzy odczuwają Boga jako chorobę, ciężką chorobę, ale też takich, którzy doświadczają GO jako zdrowie. Jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie: bliżsi Boga są ci, którzy odczuwają GO jako chorobę, im objawia się ON w całej swej straszliwej potędze cierpienia. Dlaczego? Dlatego, że człowiek chorujący na Boga — a tym chorym jest każdy! — przeżywa GO o wiele intensywniej. W uproszczeniu możemy zatem powiedzieć, że Bóg objawia SAMEGO SIEBIE najmocniej, najbardziej bezpośrednio w chorobie, a więc w wypływającym z NIEGO cielesno-duchowym wstrząsie. Co, mówiąc innymi słowami, znaczy: nasze choroby są drzwiami, przez które wchodzi w nas choroba zwana Bogiem. Odczuwamy GO jako chorobę właśnie dlatego, że ON daje się w niej poznać, objawia się w płonącym krzewie ciernistym naszych bólów... Bóg identyfikuje się poniekąd z chorobami wyodrębnionych z NIEGO i od NIEGO zależnych stworzeń. Ten, kto ma bóle, czuje zatem Boga — Boga, który w nim pracuje, żyje i... przeżywa się! Bóg bowiem może się przeżyć! ON jest śmiertelny! ON umiera wraz z nami! Kiedy nic będzie już ludzi, nie będzie także Boga. Na tym polega nasz triumf! Czy to dla pani teraz jasne, droga towarzyszko? Dla nas, ludzi, Bóg jest śmiertelną chorobą, nieszczęściem i złem, pechową gwiazdą, która z konieczności rozjaśniła naszą duszę, ponieważ od pra-

początku zapalona jest w nas. Powtarzam: to nieuleczalna choroba! Bóg nie jest niczym innym, jak drogą do rozkładu życia, a bomba atomowa będzie zarazem końcem choroby zwanej Bogiem. Może całą historię, wszystko, co nawarstwiło się we Wszechświecie, należałoby zinterpretować jako parabolę potwornego obumierania, w trakcie którego pojawiła się kiedyś, wybuchła choroba zwana Bogiem i na którego końcu człowiek, a razem z nim Bóg, skona na uwiad starczy. — Wracam jednak do głównego wątku mojej mowy, czyli do pytania: Czy możliwe jest wirowne zwrócenie się ku jedni świata? Czy wyobrażalne byłoby ewentualne otwarcie ludzkiego życia we wszystkich dziedzinach na wypływający z ich natury konieczny i koniecznościowy cel w postaci jedni świata, otwarcie jedni świata, jednolitości i całościowości pozornie nie dających się pogodzić sił i rzeczy na kwestie poznania? Wskutek czego dla poznania musiałby istnieć wyraźny jednolity wszechświat, a dla kwestii rozwoju jednolity świat planetarności, jedności ludzkiej... Mówiłem już państwu, drodzy towarzysze, że zdanie główne naszej nauki o energii, jak i odpowiadające mu zdanie porządkowe dotyczą bezwyjątkowej zasadności jedni świata w dynamice i porządku, do czego winny się stosować wszelkie odnośne doktryny, hipotezy, twierdzenia pomocnicze i tak dalej. Porządek wypływa z dynamiki poprzedniościowo, ogólnie będąc przez nią określanym, w szczególności wszakże samemu przez nią również określając. Jest sprawcą napiętego wewnątrz sił dziania się. Jest całością wielości. Jeśli to, co dynamiczne, a ściślej, to co możliwe i zarazem posiadające siłę, było pra-pierwszym, to on jest tym, co pra-wtóre, wprawdzie podporządkowane, zależne, lecz jako takie jednak również względnie wyższe, a mianowicie tak, jak późniejsze formy rozwoju są czymś „wyż-

szym“ w stosunku do wcześniejszych. On jest elementem wynikającym z dynamiki i jest dla analizy kwintesencją syntezy...

Zdolność myślenia Hollriegla znów ześlizgnęła się z utartych pojęć przemawiającego z profesorską swadą mężczyzny na emporze. Zdania wypowiedane przez Gundlfingera budziły w nim fizyczny niesmak, trudności w przetykaniu i lekkie zawroty głowy; przejściowo powracała nawet owa ohydna „obca głowa“ — jakby to wszystko tutaj nic było z tego świata, nie było dotyczącą go rzeczywistością. Nagle przestał rozumieć swą własną sytuację, wydawało mu się, że nie może pojąć, gdzie się znajduje i co się wokół niego dzieje. Czyżby śnił? Czyżby myślał mózgiem kogoś innego? Albo zmienił się całkowicie w jakąś obcą istotę? Żeby jakoś dojść do siebie, zaczął przyglądać się baczniej słuchaczom, lecz kontury ich twarzy jeszcze boleśniej tylko wrzynały się w jego świadomość, nie nabierając jednak przez to wcale więcej sensu. Uczucie to pojawiało się i odchodziło, pojawiało się i odchodziło...

Znów, jak w piwnicy pensjonatu, rzuciła mu się w oczy nieobecność młodych ludzi. Publiczność Gundlfingera przypominała tę, którą spotyka się w zakładach wodoleczniczych na biczach szkockich, mokrych okładach i naprzemiennych kąpielach stóp, była to publiczność przyzwyczajona drylem do kawy figowej i głębokich oddechów, szukająca pociechy i spokoju oraz szczególnego rodzaju umartwień. Gundlfinger wydawał się oddziaływać w pewnym sensie uspokajająco na tych uciekinierów, gdyż tak należało określić ich wszystkich, wszak był — podobnie jak on, Hollriegl — uzdrowicielem, w dodatku mistrzem „znieczulania“, magnetyzerem, hipnotyzerem, magikiem, kuglarzem, jasnowidzem, jednym słowem: doktorem Eisenbartem¹ we własnej osobie. To, co mówił na temat Boga,

sprawiło takie wrażenie, jakby ktoś drapał się lewą ręką za prawym uchem. W dodatku filozof, być może chcąc się z jakichś powodów wyraźniej zadeklarować, wzbudził jego polityczne oburzenie. Hollriegl zapamiętał przede wszystkim zdanie, że naród niemiecki jest dotknięty chorobą — która została przedstawiona opisowo jako „Bóg”, ale mogła także nazywać się „Führer”. Czy Gundlfinger nie bał się gestapo, które na pewno podsłuchiwało jego wykłady? Jeśli w publicznym wystąpieniu oświadczał, że naród panów, którego duchowe i fizyczne zdrowie w sposób oczywisty uchodziło za niepodważalne, jest chory, a nawet ciężko chory, czyli ośmielał się czynić aluzje, za które można było zapłacić głową, to musiał mieć po temu uzasadnione powody. Hollriegl sponiewniał jeszcze bardziej, pot występował mu ze wszystkich porów. Gdzie jest zdrowy świat, jego świat, gdzie są porządek i bezpieczeństwo? Oczywiście wiedział, że naród niemiecki jest chory, że przeżywa ciężki kryzys, czuł to wyraźniej niż inni. Ale nigdy by się nie odważył ani nie pozwolił sobie głosić takich rzeczy publicznie.

— ... w nawrocie do poprzedniości, pra-poprzedniości, do uwypowienia całości. Da to w efekcie, ze względu na przekształcenia światowe, arcypotężnie zasadniczą, jedyną w swoim charakterze i przy odrobinie wyobraźni z natury piękną grę ruchową w postaci zmagania światów poruszanych przez ich stwórców, powiedzmy, że atomy, lecz z uwagi na błędnie odczytane przekształcenia życiowe, drogi tychże, coś zachowy-

¹ Johann Andreas Eisenbart (1661-1727) — słynny, wybitny lekarz, szokujący ekscentrycznym wyglądem, uchodzący za cudotwórcę.

wanego tylko przy dotknięciu i rozwoju rasy, natomiast przy

uwypowieniu rasy lub przy dążeniu uwypowiającym coś niszczącego, niszczącego w końcu nawet samo uwypowienie...

Audytorium słuchało jak urzeczone z pobożnymi, zwiędłymi minami i półotwartymi gębami. Hollriegl dostrzegł w pewnej odległości wciśniętego w tłum Sudekuma, który, poczuwszy na sobie wzrok Hollriegla, mrugnął do niego i grymasem — uniesione brwi i bigoteryjne przewracanie oczami — dawał do zrozumienia, jak bardzo rozsmakowuje się w mowie Gundl-fingera i że tego samego spodziewa się po Hollrieglu. Agentka od środków piorących nie udało się odnaleźć w tłumie, lecz większość obecnych na audyencji panów wyglądała na agentów od środków piorących.

— ... kiedy jednostka jako całość u kresu swoich dni stanie się światem zaniedbanym w swych torach strukturalnych — jednakże znów tylko po to, ażeby od nowa, a więc u początku, być włączoną w zasadę stopniowego konstruktywnego tworzenia świata i porządku światowego, w nawarstwione energie swojej ginącej konstrukcji. Tej zwróconej w stronę uniwersalnego świata zagładzie jednostki, temu wymagającemu wielkiego nakładu pradramatycznych sił wydarzeniu, które z uwagi na wszechzachowującą jednię świata pozbawione jest jednak jakichkolwiek tragicznych momentów lub motywów i już przypewnej znajomości rzeczy i przy zachowaniu ufego spokoju ukazuje wspomniane zmagania światów poruszanych przez ich stwórców, chcę powiedzieć: zmagania atomów, jako ponadatomowe ześlizgiwanie się, a ściślej, jako niezniszczalne zasadnicze schodzenie z tego świata jednostki — owej zagładzie jednostki stoi zatem przez całe życie na przeszkodzie również zwrócony ku uniwersalności świata rozwój jednostki, zagwarantowany przez rozwój rasy...

Gundlfinger zdjął ręce z balustrady i wyciągnawszy je do tyłu dał znak palcami, na co wystąpił naprzód stojący do tej pory w ukryciu chłopiec i podał mu jakąś otwartą księgę. Dziecko, gdyż chłopiec miał najwyżej piętnaście lat, było niezwykłej urody. Anielskie oblicze, blade, o wdzięcznie surowym wyrazie, okolone dosyć długimi ciemnoblond lokami, obciętymi na pazia. Nic więcej Hóllriegl nie zdążył dostrzec, gdyż postać znowu zniknęła, jeszcze tylko blask szarych (lub stalowoniebieskich) oczu rozjaśnił w nagłym błysku zamroczony umysł Hollriegla; wydawało mu się, jakby chłopiec przez moment popatrzył akurat na niego.

Filozof coś czytał albo cytował z książki. Piękno chłopięcej twarzy poraziło Hollriegla jak piorun. Postaniec z nordycko jasnego, zdrowego świata! Tak promienny i wspaniały wygląd mógł mieć jako dziecko Zygfyrd — gdyby jednocześnie był Grekiem. W tym dziecku Olimp i Walhalla zlały się w jedno. Wszystko, mówca, publiczność, terażniejszość — rozplynęło się. To nieprawdopodobne! A więc istniało piękno idące w parze z czystością! Żyła na ziemi istota anielska!

W zestawieniu z tym zjawiskiem — Hóllriegl przypomniał sobie natychmiast dźwięczny głosik — tłum dookoła sprawiał jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. I groźne! Co za przerażające mordy, dopiero teraz to zauważył. Kobiety w pierwszym rzędzie — czy nic widywał ich już w koszmarach sennych? Przypomniał sobie stare kobieciny w kaplicy Rezydencji. Jak wyciągały ku niemu miękkie jak ciasto, pokrzywione dłonie — ach! Obrzydzenie ścisnęło mu gardło. Wyjść stąd! Spojrzał w dół na kobietę, która stała przed nim, oparta o kolumnę, przyjrzał jej się z boku. Co za pospolite, sprośne, tłuste babsko — i te wylupiaсте oczy patrzące z uwielbieniem w górę na

Gundlfingera. Ze swoją miedzianą skórą i obwisłym biustem wyglądała jak zardzewiały okręt wojenny miłości, jak weteranka spod latarni. I te wyziewy!

Hollriegl zsunął się na dół ze swojego stanowiska i zaczął dziko przepychać się do wyjścia. Musiał używać siły, formalnie torować sobie drogę łokciami, gdyż nikt nie ruszył się z miejsca: Gundlfinger, ten mag, ten mędrek, ten odurzacz, rzucił na nich jakiś urok. Wściekłość, zmieszana z uczuciem mdłości, wezbrała w Hollrieglu, nie szczędził odrętwiałym słuchaczom szturchańców i brutalnie deptał im po palcach. Ależ tu było powietrze! Na zewnątrz hallu ciżba przeredzała się, teraz szybciej mógł posuwać się naprzód. I wreszcie wyjście! Mgliste powietrze uderzyło w jego nozdrza niczym strumień ozonu. Oddychał głęboko, jego ciepły oddech zawisał w powietrzu w postaci pary.

Z doliny, z Sauckelruh, dobiegało słabe wycie syren alarmowych. Ciągłe alarmy — jeden po drugim. Hóllriegl zanurzył się w zimne, mokre tumany mgły i okrążył wolnym krokiem polanę, na której stała willa Gundlfingera, owa banalnie fantastyczna budowla, słusznie nosząca nazwę „Walpurgia“. Jej zamglone kontury sprawiały wrażenie dekoracji kolejki jaskiniowej w lunaparku. Hóllriegl wypłoszył stada tłustych ptaków, które krążyły przedtem nad jego głową, a teraz znowu poderwały się ciężko do lotu.

Ten Gundlfinger był podejrzanym knowaczem, Nibelungiem, nie ulegało wątpliwości. Może nawet kimś więcej — Fafnirem. Przemówienie w hallu było sceną z królestwa zmarłych. Fafnir głosi kazanie czarnym alfom². Czego jednak pilnował ten robak? Przybytku mądrości? A może skarbem, którego strzegł, jest ten chłopiec — ów posłaniec z Walhalli

obdarzony dźwięcznym głosem? Czyżby więc widział młodego Zygfyda, Sygurda z *Pieśni Eddy*? Przypominało to rozbłysk zorzy polarnej i na chwilę poraził go blask świata bogów — w samo serce!

Co na to wszystko powiedziałyby Anselma? Hóllriegl ujrzał jej dumną twarz wykrzywioną grymasem. Czuć tutaj naftaliną! Roman tyczna wiara w bogów wyciągnięta z lamusa, życie jak w operze Wagnera! („Naprawdę wierzy pan w te bzdury? Takie bajki można opowiadać najwyżej pimpfom...”) A jednak — musiało być coś pięknego, jasnego! Anselma była twarda i cięta, była werwolfem. Nic przypadkiem nadał jej imię miłosne, jakie nosił mężczyzna: Synfjotli, Pętająca Zmysły. Zaprawdę, pasowało do niej. Werwołfy, NARMAT, Hełm Grozy — wszystko to była najczarniejsza mroczna noc, to były wyrodne płody z głębin ziemi, jak Nibelungowie. Ale również Bundschuh i „Biedny Konrad“... Gdzie był środek, złoty środek? Czy tym środkiem była partia — łono, z którego zrodziła się nowa arystokracja, kołyska narodu panów? Gdziekolwiek sięgnął ręką: wszędzie bagno. Czego miał się trzymać? Co mu jeszcze zostało? Przypomniał sobie fragment *Fafnismal*, zdanie, które nagle zrozumiał głębiej: „... pokonanemu zagraża wszystko”. Bardziej niż kiedykolwiek odnosiły się te słowa do niego. A Ulla? Czy to o niej orły szeptały: „Tam cierniem kiedyś przebijał przez szatę/ Odyn dziewczkę, co mężów pożądała...“ Ulla, ten cud piękności, Obsypana Złotem! Wzgardziła nim, okrutna, okropna! Nigdy więcej! Nigdy więcej! Szrama na jego czole płonęła niczym ognisty pierścień Odyna.

Ujrzał, jak ludzie w pośpiechu opuszczają willę i znikają w lesie. Albo więc audyencja się skończyła, albo została przerwana. Widział też, że goście Gundlfingera jakby za-

Brunatna rapsodia

padają się pod ziemię. Przepisnął się szybko przez krzaki — tak, w głębi lasu, pod głazami narzutowymi, znajdowały się wejścia: wyloty podziemnych bunkrów, jaskinie, rowy osłania-

¹ *Johann Andreas Eisenbart (1661-1727) — słynny, wybitny lekarz, szokujący ekscentrycznym wyglądem, uchodzący za cudotwórcę.*

jące przed odłamkami pocisków. Wszystko to było dobre dla małych chłopców bawiących się w polowanie na Żydów. Przed czym jednak mogło chronić przy śmiertelnym promieniowaniu?

Teraz szybko z powrotem i załatwić wszystko, co trzeba. Złożyć raport. Zgodnie z przepisami. Ale na kogo? Czy mu uwierzą? Cała ta historia nawet jemu wydawała się zwariowanym snem. Z tego snu pochodziło jednak coś, co miał w ręku, coś bardzo realnego: orzeczenie podziemnych ludzi.

Willa była pusta. W bramie wjazdowej, gdzie tłoczyli się wcześniej sympatycy Gundflingera, mały kotek gonił teraz strzęp papieru unoszony powiewami wiatru. Hollriegl widział wszędzie głośniki — przemówień Gundflingera można było także słuchać w sąsiednich pomieszczeniach. Portiernia nie była zamknięta; kobieta, ta sama, która wpuszczała gości, piła kawę, sądząc po zapachu, bardzo cieniutką. Kotek, kobieta, parujący napój — idylla. Świat wojny rozpląnął się wraz z wyciem syren.

Na liście gości, pod *czwartek 10.30* znajdowała się adnotacja (sporządzona dziecinnym ciągłym pismem): *Pan waha-dlarz przystany z Berlina*. Na marginesie ktoś postawił obok znak zapytania. Poniżej wpisane było nazwisko Sudekum wraz z określeniem zawodu: muzyk. Dochodziło właśnie wpół do jedenastej.

— Profesor oczekuje pana... w domku z pierników. Uprzedzę go telefonicznie, że pan jest.

Jako nowy, Hóllriegl pozwolił pokazać sobie drogę, która prowadziła najpierw przez szary zdziczały park. Za parkiem otwierała się wąska, również zaniedbana leśna aleja, na której końcu stał jednopiętrowy drewniany domek, otoczony mizernym trawnikiem. Z bliska budynek okazał się zabawnym dziełem sztuki snycerskiej. „Domkiem z pierników“, poczerniałym i zmurszałym.

Go za kuriozum! Kolumnienki po obydwu stronach wejścia mogłyby być indiańskimi totemami, a z gzymsów groziły, wyciągając szyje, koszarne zwierzęta rodem z gotyckich katedr. W kolumnach i kolumnienkach snycerz wydrążył kunsztownie tyle otworów że wyglądały jak lufy broni szybkostrzelnej z otworami chłodniczymi.

Także w zatęchłych, tonących w półmroku izbach całe ściany pokryte były snycerką, wszędzie stały rzeźbione rupiecie i zniszczone graty. Bombastyczno-frywolnego charakteru ozdób sufitowych w mrocznym świetle można się było jedynie domyślać, sprawiały wrażenie nowotworów. Wszelkie style z muzeum etnologicznego wydawały się tutaj zrosnięte w jedno wielkie szkaradziejstwo. Dominowała swoista ornamentyka indiańska, ale były też figurki przypominające rzeźby murzyńskie, sztukę Bizancjum, idole Wysp Wielkanocnych, starożywiańskie ikony i kamieniarską sztukę Azteków.

Hóllriegl, którego nikt nie witał ani nie zatrzymywał, przyglądał się ekscentrycznym rzeźbom nic bez pewnego niepokoju. Z drzeworytów biła namiętność, która w jego odczuciu miała w sobie coś ze zwykłej rui. Ten brak umiaru, ta gorączka i zuchwałość ducha! Przerażający bezsens nie znającej

hamulców ekshibicji! W Hollrieglu obudził się psycholog.

— To pan jest Alfredem z Berlina?

Hollriegl odwrócił się przestraszony. Przed nim stał profesor w kombinezonie ochronnym i z szerokim uśmiechem wyciągał do niego prawicę. Przelotny rzut oka na mundur Hollriegla, baczniejszy na patki kołnierzyka.

— Jest pan truppenführerem RAD-u?

— Jak, rangą tak. Jestem w służbie sanitarnej — różdżkarzem.

— Rzeczywiście, zgadza się. Drzewo życia. Nasz najpiękniejszy znak runiczny. — Widzę, że kontempluje pan... ee... nasze osobliwości. W każdym razie witam w pracowni Fausta! Salamandra niech płonic, ondyna się zwija, sylfy znikną i tak dalej. Proszę za mną!

Wspięli się po skrzypiącej drabince (przypominała drabinę dla kur) na górę, gdzie Gundlfinger rzekł tonem wyjaśnienia:

— Jest pan u nas nowy. Wszystko to wyrzeźbił dozorca — sam nazywał siebie kasztelanem — poprzedniego właściciela. Fantasta, a prócz tego kastrat. Cały wolny czas przeznaczął na rzeźbienie. Najpiękniejszą rzeczą, jaką zrobił, jest kołyska — dla jego dziecka, którego nigdy nic dane mu było spłodzić. Niedawno temu zmarł w sędziwym wieku, otoczony do końca opieką osób prywatnych, uchronienie go od eutanazji kosztowało mnóstwo zachodu. To jego portret.

Na ścianie wisiała oprawiona w ramki pożółkła fotografia. Przedstawiała tak zwanego człowieka z charakterem, z typową dla artystów bujną grzywą i delikatnymi rękami skrzyżowanymi na piersiach. Miał lekko wylupiate oczy i szklisty wzrok.

— A teraz proszę do mojego pokoju.

W gabinecie Gundlfingera — gdyż nim chyba było owo pomieszczenie — również roіło się od rzeźbionych okropieństw. Najwięcej miejsca zajmował zbity z surowych desek stół w rodzaju tych, jakie spotyka się w chłopskich izbach. Książek nie było widać, za to wszędzie, nawet na podłodze, piętrzyły się rękopisy i skoroszyty. Z boku pod ścianą stał pod szkłem wyłączony dalekopis. Radio w kącie pokoju ryczało radośnie jak pijany.

Profesor ściszył muzykę marszową, tak że brzęczała teraz cichutko, i wyrazistym gestem poprosił gościa, by usiadł naprzeciwko niego. Hollriegl postanowił, że sam będzie mówić jak najmniej, raczej słuchać — decyzja, która wkrótce okazała się zbyt uczona, gdyż Gundlfinger najwyraźniej przywykł do przemawiania.

— Wie pan już o katastrofie? Jak to, pan nic wic? No więc dziś nad ranem dwa dalsze pociski rakietowe typu Banzai spadły na terytorium Rzeszy. Jeden eksplodował w Allgau, drugi — niestety bomba neutronowa — spadł w okręgu ostrawskim. Komunikat dalekopisowy ułożony był według klucza 2-1-J, niestety jednak został tak okaleczony, że nie udało mi się dowiedzieć nic bliższego. Od tej pory mój teleks milczy. Albo więc przewód został przerwany, albo — hm! W drugich wiadomościach porannych przyznali się już do obydwu trafień. Obowiązuje ciągły alarm przed promieniowaniem... — (O tym Schicketanz nie wiedział).

Gundlfinger zaczął manipulować przy dalekopisie.

— Nadal nic — mruknął. — Eksplozja w Allgau miała wielką mechaniczną siłę rażenia, tak twierdzono w tajnym raporcie. Natomiast bomba neutronowa... ten strój nadaje się na bal kostiumowy, nieprawdaż? Przez Sauckelruh przeciągali

podobno dziś rano uciekinierzy z rejonu Lippe. Powiadają, że Niemcy wyglądają po tej pierwszej atomowej nocy jak pod koniec wojny trzydziestoletniej, ale to pewnie przesada... Nawiasem mówiąc, myśmy też mocno skontrolowali. Jakaś pociecha, czyż nie tak? Teraz — w ciągu najbliższych godzin — wszystko zależy od tego, czy następny ruch znów należeć będzie do nas. W pierwszych porannych wiadomościach, a więc jeszcze przed podaniem informacji o nieprzyjacielskich trafieniach, mówiono, że drugi zmasowany atak na sino-japońskie terytorium się powiódł. Pociski Ausra, musiała to być cała salwa, i wielka akcja termonuklearna z powietrza zniszczyły wszelkie życie na wyspach japońskich powyżej 40. stopnia szerokości północnej, podobnie w Mandżukuo i w Dzoson³. Tam nie ma już nawet roślinności. Memento dla żółtków...

Przerwa. Gundfinger siedział pochylony do przodu z napiętym wyrazem twarzy, właściwym ludziom niedosłyszającym. Otwarcie lustrował gościa od góry do dołu; egzamin ten wypadł, jak się zdaje, zadowolająco.

— Mam nadzieję, że przynosi pan dobre wiadomości. Po pierwsze, od przyjaciół w Berlinie, a po drugie, od profesora Kofuta. Ma pan orzeczenie?

Höllriegl wyciągnął z aktówki skoroszyt.

— Z Tiergartenstrasse nie mam żadnych wiadomości. Zlecono mi tam jedynie przeprowadzenie u pana badania radiestezyjnego. Moim zleceniodawcą, a właściwie pośrednikiem mego zleceniodawcy, jest obersturmfuhrer Hirnchristl.

— Naturalnie, Hirnchristl! — (Do zadania Hollriegla filozof, co dziwne, nie nawiązał nawet słowem). — Co u niego? Ciągle bardzo zajęty. Nawiasem mówiąc, po pańskiej niemieckźnie poznaję, że jest pan Wschodniomarchijczyk — a więc

krajanem Hirnchristla...

Höllriegl opisał krótko i rzeczowo dziwne spotkanie z obersturmführerem. Kiedy wspomniał, że w biurze Hirnchristla wyparto się w żywe oczy, że taki kiedykolwiek istniał, filozof pobladał na twarzy. Pomimo konsternacji powiedział jednak od razu z właściwym sobie szerokim uśmiechem:

— Wie pan, Alfredzie, takie rzeczy się zdarzają: w tak wielkim budynku. Tam często jedna ręka nie wie, co robi druga, a następcza nic nic wie o swoim poprzedniku. Nie ma to żadnego znaczenia. — (Wyjaśnienie to było co najmniej naiwne).

Wymowa Gundlfingera przybrała naraz wschodniomarchijskie zabarwienie. Zaczął mówić przez nos, co uważał pewnie

³ *Mandżuria; Korca.*

za cechę charakterystyczną potocznej wymowy wiedeńskiej. Możliwe, że filozof zupełnie nieświadomie upodabniał się zawsze do barwy otoczenia — mógł to być jednak także zupełnie świadomy proces. Cechy wymowy wschodniomarchijskiej w jego wykonaniu były tylko z lekka zaznaczone: przypominało to dyletanckie usiłowania imitatora głosów.

— Co też mogło się stać z Karlem? Karl — być może zna go pan pod innym nazwiskiem — pracował wcześniej, bezpośrednio przed panem, jako łącznik z Psi... Otóż czekam obecnie na inne, o wiele ważniejsze orzeczenie, tym razem od Kappy. A Karl miał za zadanie dostarczyć mi je przed dziesiątym. Ale to właśnie on nic dotarł. Mało tego, nic dał żadnego znaku życia, nic przekazał ani słówka. Mam nadzieję, że nic spotkało go nic potwornego... Jak wolno mi przypusz-

czać, wiadomo panu, iż pracuję obecnie nad dowodem na istnienie Boga, korzystając z najnowszych osiągnięć naszych przemądrzalców. Od Kappy bardzo pilnie potrzebuję bliższych wyjaśnień na temat cząsteczkowego obrazu promieniowania — jak dalece stoi on w sprzeczności z teorią cząstek elementarnych — a także informacji o obecnym stanie teorii kwantowej pól falowych. Wywodzę bowiem swoje pojęcie Boga bezpośrednio ze struktury materii — mam wprawdzie ogólną wizję, ale w pewnych skomplikowanych kwestiach natury fizycznej byle fachowiec może mnie wodzić za nos... Moja praca jest pomyślana jako współczesny odpowiednik *Teologicznych uzupełnień* Nicolausa Chryppfa, zwanego Kuzańczykiem, tyle że ja dowodzę istnienia Boga wychodząc z jednej tylko formuły, z jednego matematycznego centralnego słońca, że tak powiem, a mianowicie z równania materii Heisenberga, przy czym porzucam hipotetyczny model „świata“ jako nieogłądowej przestrzeni sferycznej i błyskawicznie, to znaczy na podstawie kosmogonicznego wyprowadzenia, przechodzę na mistyczne oglądanie Boga — i dokonam tego, może pan być pewien, każde zdanie będzie tam na swoim miejscu. Już dziś mogę zdradzić, że owo tajemnicze „dziesięć do czterdziestej“, czyli tak zwana liczba łącząca atom z kosmosem, odegra w moim dowodzeniu decydującą rolę, a mianowicie rolę klucza umożliwiającego właściwe przejście do astralnego królestwa oglądu Boga... Nadąża pan za tokiem mojego wywodu?

— Nie — przyznał Hollriegl. Całym sercem tęsknił do chwili, kiedy wolno mu już będzie odejść, kiedy zakończy wreszcie tę podejrzaną misję.

— Nic szkodzi — skwitował nie zrażony tym Gundlfinger.
— Szkoda, że nie wie pan o znanych każdemu adeptowi

kosmogonii pięciu twierdzeniach, w których ta wielka liczba, jedynka z czterdziestoma zerami, jest za każdym razem ostatecznym kresem wiedzy. A więc po pierwsze: jeśli podzielić promień krzywizny świata — świata pomyślanego tutaj jako model, jako sferyczna przestrzeń o promieniu krzywizny r — przez promień elektronu, to otrzyma się liczbę 10 do potęgi 40... Po drugie: jeśli podzielimy masę świata przez masę mezonu — przeciętnie jedna dziesiąta masy protonu — i z tego ułamka wyciągniemy pierwiastek kwadratowy, to otrzymamy 10 do 40... I po trzecie: podzieliwszy wiek świata przez czas, jakiego światło potrzebuje na pokonanie promienia elektronu, otrzymujemy znowu 10 do 40... Po czwarte: jeśli podzieli pan tak zwaną jednostkę elementarną dla relatywistycznej stałej grawitacyjnej przez tak zwaną relatywistyczną stałą grawitacyjną, to otrzyma pan co? Oczywiście 10 do 40... Po piąte i ostatecznie: jeśli zwiążemy w atomie elektron z protonem, to stosunek siły elektrycznej do grawitacyjnej wyniesie 10 do potęgi 40! Scholastycy wierzyli jeszcze, że Chrystus żył tylko 34 lata, do tego odnoszą się na przykład również 34 kręgi na modelu kuli ziemskiej wspomnianego Nicolausa z Kues. Co jednak udowodnili niezbiecie, i to raz na zawsze, moi przyjaciele z Delta-Ipsylon, Galilejczyk poniósł śmierć na krzyżu mając dokładnie 40 lat. To coś więcej niż żonglerka liczbami, tutaj wyraża się kosmiczna prawidłowość... Co pan na to?

Pytanie było retoryczne. Hollriegl nic umiałby zresztą na nie odpowiedzieć.

— Słyszał pan moje dzisiejsze przemówienie? — (Hollriegl skinął głową). — Proszę się nic dziwić, że korzystam z pięknego przywileju niemieckich filozofów, a mianowicie wyrażania się w taki sposób, żeby nikt prócz mnie nie rozumiał tekstu.

Notabene moja osoba, moje nazwisko związane są z określonym stylem. Nie zamierzam przed panem ukrywać, że partia coraz częściej spogląda na mą pracę krzywym okiem. Mój bezpośredni przełożony, oficer filozofii na Uniwersytecie Friedricha Schillera w Jenie, już dwa razy doniósł na mnie do swoich zwierzchników, o czym dowiedziałem się przez organizatora naszej tamtejszej komórki. Zdaniem innych oficerów z uniwersytetu, którzy bywają w budynku przy Unter den Linden 69 i mają chody u ministra — czy także u nowo mianowanego pana Luykena, nic mi jeszcze nie wiadomo — czuć ode mnie na milę siarką. Zdaję sobie sprawę, że moi najbardziej wpływowi przeciwnicy siedzą w Minpropie i — zabrzmiało to jak farsa — w Instytucie Badań nad Trzęsieniami Ziemi; ten ostatni mieści się w Jenie — pojmuje pan teraz związek? Musiałbym mieć bielmo na oczach, żeby nie widzieć, iż Werwolf nienawidzi mnie jak najgorszej zarazy. Zwłaszcza ludzie NARMAT-u najchętniej by mnie zatłukli lub wsadzili do UmL-u, gdyby władza była wyłącznie w ich rękach. Co jeszcze winienem panu powiedzieć? Bundschuh? Burzy się aż za bardzo, nie wiadomo, co z tego wyniknie. W takiej sytuacji zazdroszczę panu pańskiej anonimowości! Naturalnie utrzymuję się na powierzchni — ale jak długo jeszcze? Główny Urząd Kontroli Ariofofli jest czujny i nie brak mu ślepych narzędzi. Nic potrafię wprost wyrazić, jak bardzo ta wojna jest mi na rękę.

— Profesor Kofut uważa, że już najwyższy czas, żeby pan zniknął pod ziemią. — Ostrzeżenie to wyrwało się Hollrieglowi mimo woli.

— Poczciwy Cunnilingus! Wie pan, jak brzmi moje imię azowe? Thjodwitnir, co znaczy Wilkoryb Świata. Dobre imię.

Poczekam jeszcze, poczekam na znak. Mój dowód na istnienie Boga, jeśli kiedykolwiek będzie gotowy, nigdy się nie ukáže za rządów Kopllera. A przynajmniej nic na powierzchni ziemi i nie w Europie, Eurazji ani w żadnej z obydwu Ameryk. Mam nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas zostawią mnie w spokoju, jeżeli wojna da nam ten czas. Na to się jednak nie zanosz — kto wie, czy jutro będziemy jeszcze żyli! W każdym razie partia daje mi oficjalne zlecenia, a ja je wypełniam... Mimo wszystko! — Mój dowód na istnienie Boga tworzę, z czysto formalnego punktu widzenia, utartymi, aprobowanymi przez Minpropę środkami, stosuję nienagane ariozoficzne metody, a mianowicie tradycyjny schemat ontologiczny, kosmologiczny i teleologiczny, opieram się oficjalnie na dziełach niemieckich mistyków, a także na zalegalizowanej przez partię Fizyce Niemieckiej. Nikomu jednak nie wolno się na razie domyślić, że przejmuję także wątki dalekie od czystości rasowej — idee, które pojawiają się u Mose ben Maimona, u Jehudy Halevy'ego, Nachmanidesa, Leviego ben Gersona oraz u innych perypatetyków i egzegetów, że nie wspomnę o tym, iż podzielam w zupełności poglądy Freuda, Einsteina i Nielsa Bohra. Czy widział pan w hallu mojego młodego pomocnika, Axela? Czyż nie jest on archetypem germańskiego młodzieńca zgodnym z opisem w podręczniku ras Gunthera? No więc Axel nic ma w żyłach nawet kropli krwi aryjskiej, przy obrzezaniu otrzymał imię Henoch, jego ojciec nazywał się Isidor Angelson i był rabinem, nauczycielem uniwersyteckim w Uppsali, nawiasem mówiąc, słynnym numizmatykiem. Uratowałem jego jedyne dziecko — co z panem?

— Proszę mówić dalej — wykrztusił Hollriegl ochryplym głosem. Zaczął gwałtownie drżeć, znów pojawiła się „obca

głowa“.

— ... uratowałem Axela dosłownie ze szponów SD. Angelsonowie, dwoje nadzwyczaj pięknych ludzi, żyli jako u-booty w Aberdeen, dokąd uciekli z Haparandy po asymilacji Szwecji. Byłem akurat na bardzo wtedy głośnym kongresie „Ariozofia i metapolityka“ i poznałem ich przez pewnego pośrednika, który nas ze sobą skontaktował. Obydwoje złapano prawie w tym samym czasie i umieszczono w obozie dla podludzi: potrzebowano wtedy dużo materiału doświadczalnego do pierwszego etapu lotów kosmicznych. Zająłem się chłopcem, pewien szkocki bernardyn ochrzcił go. O ojcu Axela już więcej nie słyszałem. Za to o matce — czy mam panu powiedzieć, co zrobiono z matką?

Hollriegl gwałtownie potrząsnął głową. (Znów zaczęły podskakiwać rozkrojone ciała karpia).

— Proszę mi nic brać za złe tej dygresji. Chciałem jedynie powiedzieć: Czyż Axel alias Henoch nie jest najlepszym zaprzeczeniem całej tej przeklętej teorii rasowej!? Widzi pan — to samo obowiązuje także w dziedzinie filozofii. Krew nic nie znaczy, duch jest wszystkim... A więc korzystam dość otwarcie ze Spinozy, Eliphasa Levy’ego, Weiningera, Bergsona, Oskara Goldberga, kardynała Newmana. Osobny rozdział będzie poświęcony kwestii, dlaczego Bóg stopniowo zniknął z pamięci ludzkiej, musiał zniknąć, zwłaszcza u tych ludzi, którzy żyją w globalnym systemie supertyranii — z czym łączy się badanie pamięci metodami fizyki kwantowej. Wszak żyjemy prawie wyłącznie w otoczeniu cierpiących na chorobę Korsakowa! W tej fenomenologii zapominania i jego biofizycznej interpretacji skupiam się zwłaszcza na problemie funkcji ponadmechanicznych, a także, ma się rozumieć, na różnych spo-

sobach zachowania się owych nadzwyczaj skomplikowanych kompleksów cząsteczek nazywanych przez nas memami...

Profesor, przedstawiając szczegółowo swoje teorie, nic zauważył, że z jego gościem stało się coś dziwnego. Hollriegl pochylił się mocno do przodu i podparł głowę rękoma, rysy jego twarzy (której Gundlfinger nic mógł widzieć) wykrzywiły się.

Profesor mógł więc sądzić, że „Alfred“ słucha go w wyjątkowym skupieniu. Lecz głos Gundlfingera docierał do Hollriegla jakby z bardzo daleka, ze słów nie wynikał żaden sens, wszystko zmieniało się w dźwiękową breję.

— ... i w końcu doszedłem do wniosku, że Bóg chciał być zapomniany...

— Tak? — Hollriegl w jednej chwili odzyskał przytomność umysłu. Tak, Bóg chciał być zapomniany! Tak jest! Czystość? Uosabiał ją żydowski chłopiec, uosabiał ją w takiej mierze, jakiej nigdy nie uważałby za możliwą! Jedynie w muzyce znalazł czystość — lub sądził, że ją znalazł. W rzeczywistości nie doświadczył jej nigdy. Henoch Angelson — syn szwedzkiego rabina! Wyśłaniec Boga, boski posłaniec — niczym Hermodur, jeden z dumnych mieszkańców Asgardu — z Olimpu, z żydowskiego lub chrześcijańskiego nieba. Mniejsza o to! I nagle Hollriegl przypomniał sobie owego małpoluda — było to w niepamiętnych czasach. Jak powiedział małpolud? Odyn jest... Elohim — lub jakoś podobnie. A Ojciec Ren i Ojciec Jordan to jedno i to samo. Czyżby tak było? Hollriegl wytężył pamięć, ale im usilniej się zastanawiał, tym bardziej jego wspomnienia się rozpląwały.

Ba, nie mógł już sobie nawet przypomnieć twarzy umierającego ani pokoju. Wiedział tylko jedno: ten małpolud był

szatanem, Belzebubem, jednym z tych Żydów, których w okresie walki partii o władzę „Szturmowiec“ i „Czarny Korpus“ stawiały pod pręgierzem. Lecz przecież Axel-Henoch był jego przeciwieństwem: posłaniec Boga, bez względu na to, jak ów Bóg się nazywał. I rzecz w tym wszystkim najbardziej wstrząsająca! Ten żydowski diabeł pomógł partii i Fuhrerowi odnieść zwycięstwo, przyczynił się do wytepienia swojej rasy. Axel natomiast, ów anioł z Półmocy, był przez tę samą partię prześladowany. Gdyby nie Gundlfinger, Henoch skończyłby w obozie zagłady.

Nagle ujrzał Gundlfingera w innym świetle. Był on co prawda z pewnością szarlatanem, oportunistą, wazeliniarzem, to nie ulegało wątpliwości — stał się kimś takim za sprawą panujących warunków, ciągłego przymusu maskowania i upodabniania się do stoczenia. Cokolwiek jednak filozof miał na sumieniu, odpokutował wszystko ratując Henocha.

Hollriegl był do tego stopnia zmieszany i pogrążony we własnych myślach, że nic potrafił, i nic miał zresztą ochoty, skupić się na ględzeniu swojego *vis-a-vis*. Lecz nagle wyteżył słuch. Co powiedział Gundlfinger?

— ... gdybym nie wiedział z całą pewnością, że „Victoria regia“ jest już w pełnym toku. To tajemnica poliszynela, wróble o tym na dachu ćwierkają. Także Hirnchristl, o ile mi wiadomo, zajmował się ważnymi pracami organizacyjnymi, Szkoła Ochrony przed Promieniowaniem miała specjalne zadania. Kiedy po śmierci Fuhrera zaczęło się robić niebezpiecznie, przysłał mi — innym pewnie też — dalekopis. Chwileczkę, zaraz poszukam...

Gundlfinger pogrzebał w swoich szpargałach i wyciągnął długi zwój papieru, z którego odczytał, co następuje:

— „Dostarczam klientom mojej amsterdamskiej filii diamenty. Największym popytem cieszą się obecnie kamienie ćwierćkaratowe, średnica 4 milimetry, bez najmniejszych zanieczyszczeń, które mogę Państwu dostarczyć w każdej żądanej ilości w cenie 258 marek za sztukę. Dalsze informacje są zbędne, gdyż dostarczam towar bezpośrednio do odbiorcy po najniższej cenie, zakładając minimalny zysk. Z tej przyczyny transakcja jest naprawdę korzystna. Mogą Państwo otrzymać diamenty do obejrzenia i mają prawo w terminie dziesięciu dni towar sprawdzić i zapłacić lub odesłać z powrotem. Dostawy diamentów zmniejszają się z dnia na dzień, gdyż jest to produkt, jaki natura tworzy przez miliony lat. Stąd także z dnia na dzień rośnie ich cena. Moja oferta jest dla Państwa wiążąca przez 14 dni. Heil Hitler! — Erdmuthe Budrasch z firmy Harry Urban, Import Kamieni Szlachetnych, Berlin SW 61, Hasenheide 32“. Dalekopis jest datowany 11 listopada — dodał. — To był poniedziałek.

— Znaczy to, mówiąc krótko — podjął po chwili Gundlfinger — że nici z wielkiej tajnej broni, o której wiadomo tylko tyle, ile rząd uważa za stosowne puszczać w obieg, by utrzymać przy sobie tych najgłupszych. Podczas ostatniej wojny wygraliśmy, jak wiadomo, wielki wyścig o cud z nieba jedynie o pół końskiej chrapy. Operacja „Mjollnir“. Lecz dziś bomby atomowe nadają się już do muzeum wojskowości, bo co to za cudowna broń, którą druga strona też ma w kołczanie! A Wschód ma w kołczanie dużo więcej, niż się domyślamy, zapewniam pana... No, ale antyczątki. Taaak, właśnie antyczątki...

Naturalnie Hollriegl również słyszał o cudownej broni, nad którą podobno nieustannie pracowano. Przypomniał sobie, że już parę miesięcy temu czytał na ten temat długi artykuł

wstępny w materiałach szkoleniowych dla instruktorów Pomocy Zimowej (mimo iż artykuł napisano w popularnonaukowym stylu, zrozumiał bardzo niewiele). Była tam mowa o kontrolowanym zderzeniu materii z tak zwaną antymaterią, o antyjądrach atomowych, antycząstkach i innych antyrzeczach. O ile cały artykuł był dość niejasny, o tyle wyjątkowo jasno brzmiał wniosek końcowy: Rzesza przewodzi w dziedzinie bzyki atomowej, a kto potrafił podporządkować sobie antymaterię, której siła wybuchu przewyższa o wartości mega moc bomby atomowej zrzuconej na Londyn, ten jest absolutnym panem świata i musi bezwzględnie wygrać każdą następną wojnę. Prawdopodobnie także Anselma wiedziała o tej sprawie więcej, niż pozwoliła sobie powiedzieć. Ten supermateriał wybuchowy był bronią Werwolfu!

— Idąc dalej, znaczy to — rzekł Gundlfinger, przepuszczając raz jeszcze przez palce dalekopis Hirnchristla — że cały rząd Rzeszy siedzi na walizkach, że rozpoczął się już *via* most powietrzny wywóz najważniejszych tajnych archiwów i że przygotowany jest również odwrót pewnych wysoko postawionych panów i ich rodzin. Złote bażanty⁴ muszą być zawsze pierwsze! Dokąd odbywa się ten przerzut, nikt nie wie — z wyjątkiem pierwszych pilotów. Niektórzy sądzą, że do jakiejś tajnej strefy gdzieś nad Amazonką, co sugerowałby także kryptonim operacji, inni z kolei twierdzą, że „Victoria regia“ to określenie przewrotne i wskazuje na daleką Północ lub na Antarktydę, a więc na lodówki Rzeszy, gdzie od dłuższego czasu buduje się podziemne bunkry, a nawet całe podziemne miasta z elektrociepłowniami i wszelkim innym komfortem. Oczywiście słyżać pan o tym, Alfredzie?

Doktor Senkpiehl, Kummernuss i inni rzeczywiście mówili

czasami o tej bajecznej twierdzy północnej — pomyślanej jako swego rodzaju odpowiednik twierdzy alpejskiej z ostatniej wojny. Opowiadała o tym także jego Ingrid, która w Heydrich chodziła czesać żony miejscowych funkcjonariuszy. Kto jednak wiedział naprawdę coś konkretnego? Jeden z jego klientów z Heydrich, dyrektor warzelni soli, oświadczył mu kiedyś w cztery oczy, że słynna twierdza północna jest taką samą bujną jak zamek Graala.

Gundlfinger z upiorną swobodą rozparł się wygodnie w swoim obrotowym fotelu i ciągnął dalej:

— Moment wydaje się o tyle dość korzystny, że elicie rasy panów wystarczy poczekać trochę w rejonie, gdzie nie dotrze promieniowanie radioaktywne, aż rodzaj ludzki ulegnie śmiertelnemu skażeniu — ładunek neutronowy, który spadł na Ostrawę, jest tylko skromnym zadatkiem. Po wyludnieniu się planety rasa panów, bądź jej elita, która przeżyje, wypełnie ze swych podziemnych bunkrów polarnych i ponownie zbuduje totalną dyktaturę. Nad kim? Oczywiście nad częścią samej siebie. Natychmiast bowiem — przytaczam tutaj prognozę szczególnie przeze mnie cenionej grupy Tau-Omikron — podzieli się na dwa gatunki, dwie klasy: na wodzów i podwładnych, na wolnych i zależnych, na panów i niewolników, na nadludzi i podludzi... Widać już bardzo wyraźnie, że w tej rozprawie między białą i żółtą rasą, między swastyką a shakubuku, która nie jest rozprawą li tylko rasową czy geopolityczną, zapanował wprost apokaliptyczny galimatias. Od wczoraj nie ma już wyraźnych frontów. Tak więc Australijczycy walczą obecnie, w największym upale, zębami i pazurami przeciwko japońskim tyranom, wspierani w tej walce przez nas. Ci sami biali na Archipelagu Malajskim walczą jednak prze-

Brunatna rapsodia

¹ *Ironiczne określenie wyższych funkcjonariuszy partyjnych z uwagi na wyszywane złotem odznaki dystynkcyjne.*

ciwko nam, ponieważ tam właśnie my jesteśmy, lub raczej byliśmy, tyranami — gdyż Archipelag Malajski to stracona placówka. Ale już jutro ci sami biali będą musieli bronić archipelagu przed Japsami... Naturalnie nie ma sensu roztrząsanie tych kwestii szczegółowych w cieniu nuklearnej wojny światowej, przestało być bowiem istotne to, kto gdzie akurat rządzi. Wojna atomowa po prostu już wybuchła, usamodzielniała się niejako, i terytorialne zyski lub straty, nawet gdy chodzi o kontynenty, są śmieszne w perspektywie śmierci całej planety. Także tam, gdzie nie operuje się jeszcze bombami atomowymi, wojna totalna stwarza polityczne próżnie, których nikt wcześniej nic uważałby za możliwe. Wydaje się, jakby rewolta wyrzuciła na powierzchnię to, co najstarsze, jakby po czasach absolutnej tyranii nie było żadnej przyszłości. Jak słyszałem w radiu dziś rano, nic była to stacja niemiecka, w Brazylii upadła Rada Wodzów i z braku lepszej koncepcji proklamowano cesarstwo. Don Pedro *redivivus!* Cały świat zrywałby boki ze śmiechu, gdyby nie miał akurat innych zmartwień. Od 24 godzin Brazylia ma cesarzową, wnuczkę hrabiny d'Eu i prawnuczkę Don Pedra Drugiego. I co pan na to? Może analogicznie Hohenzollernowie lub Habsburgowie, zakładając, że tacy jeszcze żyją, powinni wstąpić na opuszczone trony, zakładając, że takowe jeszcze są — a tymczasem Fenris, wilki-potwory, w nor-dyckich lodowych pieczarach ostrzą już swoje kły. — W Afryce czarni, tam, gdzie wytrzebili białych, wracają ochoczo bezpośrednio do epoki kamiennej, do swoich dzieciennych amuletów, zaklinaczy deszczu i ofiar z ludzi. W ogóle wydaje mi się, że

będzie to jedyny pożądany stopień rozwoju cywilizacyjnego — dla tych, co przeżyją noc atomową, zakładając, że takowi jeszcze będą. — Hirnchristl pisze mi, żebym w ciągu czternastu dni przygotował się do podróży. To odległy termin, zważywszy, jak szybko następują po sobie apokaliptyczne plagi — dalekopis wysyłany był jednak w czasie, gdy nikt jeszcze nic mógł wiedzieć, czy wojna atomowa rozpocznie się od razu. Pisze, że da mi znać przez łącznika, kiedy i gdzie mam czekać, gotów do odlotu. Jego oferta odnosi się do diamentów, chodzi więc o lód, a diamenty bez najmniejszych zanieczyszczeń oznaczają arktyczną pustynię lodową. Operacja „Bifrost“, największy most powietrzny od początku istnienia RLM-u⁵, została zatem rozpoczęta — słyszałem o niej już przed rokiem. Hirnchristla zawsze trudno było przejrzeć. Czy jest oficjalnym pełnomocnikiem partii w tej ucieczce donikąd, czy autsajderem upoważnionym do włączania się tu i ówdzie? Tego, że jest antywerwol-fem, dowiedział już iks razy. Możemy na niego liczyć w stu procentach — jeśli jeszcze żyje. Mówiąc szczerze, spodziewałem się, że to pan będzie wspomnianym łącznikiem...

Hollriegl podniósł w końcu pochyloną głowę i wyprostował się. Pora była wyłożyć karty na stół. Wybawca Axela zasługiwał na uczciwe postawienie sprawy.

— Profesorze Gundlfinger — artykułował słowa wyraźnie, żeby oszczędzić wysiłku niedosłyszącemu filozofowi, któremu po raz pierwszy spojrzał w oczy z sympatią — obersturmführera Hirnchristla znam z jednej tylko rozmowy. O nim samym i o jego wiarygodności nic mi nie wiadomo. Zostałem do niego wysłany na podstawie rozkazu wyjazdu wystawionego mi w Heydrich, moim miejscu zamieszkania. Nazywam się Hollriegl, Albin Totila Hollriegl. Jak już mówiłem, jestem różdżkarzem,

Brunatna rapsodia

wahadlarzem, giromantą. Wschodniomarchijski pisarz von Schwerdtfeger...

— Oho, Schwerdtfeger! — wpadł mu w słowo Gundlfinger.

** Reichsluftfahrtministerium — Ministerstwo Lotnictwa Rzeszy.*

— Henricus Arbogast jaśnie oświecony von Schwerdtfeger. To coraz bardziej zdumiewające! Wic pan, że znam go od pierwszej wojny światowej? Obaj leżeliśmy w okopach na Wołyniu, austriackie i niemieckie pułki stacjonowały wtedy obok siebie. Tego samego dnia trafiliśmy do niewoli rosyjskiej, przypadkiem byliśmy też w tym samym obozie. Tak naprawdę poznałem go w ziemiankach Nowonikołajewska — tyfus zbrał nas wszystkich. W Brześciu Litewskim rozdzielono nas znowu. W ramach wymiany jeńców wróciliśmy przez różne obozy do ojczyzny, on do Wiednia, ja do Nordlingen, a później straciłem z oczu ck. chorążego Schwerdtfegera. Dopiero po założeniu Rzeszy Wielkoniemieckiej znów zacząłem go spotykać przy różnych okazjach, na konferencjach, na debatach w zamkach zakonnych, podczas politycznych manifestacji, raz nawet na przyjęciu w Kancelarii Rzeszy. Schwerdtfeger, o ile mi wiadomo, brał udział w drugiej wojnie światowej jako oficer — gdzieś na tyłach, w jakimś sztabie we Francji. Ja zostałem czasowo zwolniony ze służby wojskowej jako „niezbędny dla gospodarki”, Wodanowi niech będą dzięki! Czy Schwerdtfeger jest jednym z naszych? Należy, jak wiadomo, do laureatów parti...

— To jemu zawdzięczam znajomość z panem, panie profesorze. Hirnchristl był w moim wypadku tylko pośrednikiem — na polecenie Schwerdtfegera poruczył mi przeprowadzenie badań radiestezyjnych u pana. Także w Berlinie miałem po-

dobną misję. Obecnie jestem w drodze powrotnej do Heydrich, muszę szybko wrócić do domu — może mnie tam pilnie potrzebują.

— Tak, teraz sobie dokładnie przypominam, Schwerdtfeger opowiadał kiedyś o pańskich... sztukach magicznych. Oddziaływanie promieni ziemskich wydaje mi się całkiem prawdopodobne. Znam prace Benedikta, Heermanna i Lakhovsky'ego. Jeśli alarm panu nic przeszkadza, może pan zaczynać swoją pracę — po drugiej stronie parku, w willi. Od miesiący cierpię na bezsenność i... ee... stany irytacji. Może wahadłem odkryje pan przyczynę — jeśli w ogóle ma jeszcze sens zajmowanie się takimi błahostkami jak promienie ziemskie.

Gundlfinger podniósł się, więc także Hóllriegl wstał.

— Proszę zaczekać, zawołam Axela. Pokaże panu moje pokoje. — Rzucił okiem na zegarek i listę gości. — Jeszcze pięć osób!

Profesor zawołał przez otwarte drzwi: — Axel, Axel, przyjdź tutaj! — i ten zjawił się szybko, jakby miał skrzydła anielskie, jego kroków na drabince prawie nie było słychać. Patrzył na Hóllriegla promiennym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu. Hermodur, posłaniec bogów!

— Axel mówi dobrze po niemiecku, choć czasem myli wyrażenia. Jego wielką pasją jest mutterdeutsch, którego jednak wiele osób nie rozumie.

— Ja go zrozumieję — rzekł Hóllriegl, nic odrywając oczu od uśmiechającego się posłańca bogów. — Axel, to ja jestem tym panem z Berlina, z którym rozmawiał pan przedwczoraj przez telefon. Nazywam się...

— Ten pan ma na imię Alfred — przerwał mu Gundlfinger. — Przeprowadzi u nas badanie na obecność promie-

ni. Pamiętasz, wczoraj rozmawialiśmy chwilę o tych dziwnych promieniach ziemskich...

— Tak, panie profesorze — tak, panie Alfredzie.

W tym momencie Hóllriegl usłyszał szybko następujące po sobie głuchoe odgłosy wystrzałów, trzy, cztery, dziesięć, szyba w oknie rozprysła się w migotliwy szklany deszcz, a na przeciwległej ścianie podniósł się obłok kurzu i odłupanych drzazg. Gundlfinger zachwiał się i złapał obiema rękami za głowę. Hóllriegl i Axel wydali głośny okrzyk.

— Wynośmy się stąd, szybko! — szepnął profesor i schylił się szukając ukrycia. Twarz miał zalaną krwią. Przycisnął chusteczkę do prawego policzka i ucha, materiał natychmiast przesiąkł na wylot. — To nic wielkiego — nie trafili mnie.

Również Hóllriegl ukrył się instynktownie i pociągnął Axcla w dół na podłogę. Chłopiec był blady jak ściana, lecz owa bladość dodawała jeszcze uroku jego twarzy. Nie pisnął ani słowa. Natomiast przytomność umysłu Gundlfingera robiła imponujące wrażenie. Profesor przeczołgał się bowiem z powrotem do stołu, wyłączył światło, otworzył szufladę i wyjął z niej zgrabny oksydowany przedmiot — Hóllriegl rozpoznał broń laserową. Jakże to było na czasie, filozofia uzbrojona!

— Proszę mi dać swoją chusteczkę, moja jest...

Zatamował prowizorycznie krew, po czym Podczołgał się do drzwi. Przez wybite okno wdzierало się lodowate powietrze.

— Mierzyli we mnie... dostawałem już ostrzeżenia. Powinni uwierzyć, że mnie trafili. Zejdę na dół do piwnicy, gdzie mam też bandaże, a po drugiej stronie lasu jest wyjście.

Nasłuchiwał przez chwilę, po czym rzekł:

— Nic chcę narażać Axela. Proszę go wziąć pod swoje

skrzydła... na jakiś czas. Proszę! Nosi pan mundur, przy panu będzie bezpieczny... proszę go zabrać dokądkolwiek, gdzie byłby zupełnie bezpieczny. Ja spróbuję przebić się do ludzi Psi, mam na myśli Kofuta — tam mnie znajdziecie — a jeśli nie, Lam będą wiedzieć, gdzie można mnie znaleźć. A teraz szybko!

Profesor był już na drabince, kiedy cicho zawołał do góry:

— Axel, trzymaj się naszego przyjaciela Alfreda, możesz mu zaufać — słyszysz: możesz mu ślepo zaufać! To dobry człowiek, nie zostawi cię na lodzie. My obaj też zobaczymy się jeszcze znowu. Na pewno! Tylko zachowaj spokój... zupełny spokój. Bóg z wami!

Po zniknięciu Gundlfingera Hóllriegl położył palec na ustach. Axel zresztą i tak nie odezwałby się nawet słowem, raz tylko krótko zaszlochał. Podłoga była poplamiona krwią, pokój wypełniał się zimnym mlecznobiałym światłem.

Należało się zastanowić nad sytuacją. Nie byłoby prostą sprawą dotrzeć na skraj lasu, pokonać otwartą przestrzeń między domkiem a pierwszymi drzewami, gdzie stanowiliby łatwy cel. Ale w dwóch, trzech skokach powinni tam dotrzeć. Poza tym — „oni“ się już pewnie ulotnili.

Kim byli „oni“, czyli zamachowcy? Kiedy Hóllriegl i Axel schodzili po drabince — Hóllriegl przodem, pilnie bacząc, by osłaniać ciałem swego podopiecznego — w jego mózgu kłębiły się wszelkie możliwe pytania. Czy byli to zbiegli więźniowie UmL-i? (W rozgorączkowanej wyobraźni ujrzał pochód zwierzuludzi). Śmieszne — dlaczego więźniowie kacetów mieliby chcieć zabić filozofa? Poza tym ci, którzy strzelali, byli wprawnyimi strzelcami, snajperami. O mały włos nie trafili Gundlfingera — dwa albo trzy strzały mierzone w głowę. Mgła

utrudniała widoczność. Czyżby partyjny sąd kapturowy? Równie nieprawdopodobne... tamci użyliby lasera. Werwolf? Bundschuh? NARMAM? Zabójstwo z pobudek światopoglądowych? Niewykluczone. Zamach z powodu odchyleń ideologicznych. A może spisek oficerów uniwersyteckich, o których wspominał Gundlfinger? Ale oni też mieliby broń laserową, laser nic powoduje hałasu, zabija z cichym sykiem. Natomiast te trzaski przypominały serię wystrzałów z pistoletu maszynowego.

Byli już przy drzwiach. Hollriegl uchylił je odrobinę i wyjrzał na zewnątrz. Dookoła cisza. Wrony znów siedziały ciężko na gałęziach. Mgła zgęstniała, bladożółte niebo miało zimowy wygląd. Wszystko zamarło w bezruchu. Pokój! Pokój! Gdzie była wojna?

Sauckelruh w ciągu tych paru godzin zmieniło swoje oblicze. Pierwsza fala uchodźców dotarła do Harzu rano, a za nią, siedząc we wszelkich możliwych pojazdach lub czepiając się ich, parły tysiące następnych. Generalnie biorąc uciekinierzy sunęli trzema kolumnami, które przybywały z północno-zachodniej części Rzeszy i rozlewały się po równinach środkowych Niemiec. Także okręg Halle-Merseburg (w którym mieszkał Hollriegl) został zalany. Wszędzie działy się dantejskie sceny i mimo że w niektórych miejscach doszło do krwawych starć, policja, SS i SD okazały się bezsilne wobec tego nieludzkiego przyływu i potopu, mało tego, wyglądało na to, że spalono nawet zbawczą arkę. Przed zdjętymi paniką kolumnami uchodźców wędrowała niewidzialna ognista chmura pierwszej atomowej nocy. Szerzyło się przerażenie, w jakimś sensie nowego rodzaju, zarazem jednak prastare, jakby uciekinierów ścigały, sadząc ogromne susy, prehistoryczne jaszczury. Czuło się na sobie ten paraliż niczym ołowiany koc, nawet jeśli ktoś nie miał

bezpośredniej styczności ze strumieniem uciekinierów. Lecz wcale nic to było najgorsze. Najstraszniejsze było to, że natychmiast uświadamiano sobie bezsens owej ucieczki.

Wkrótce wszystkie szosy i gościńce były zakorkowane pojazdami. Ciężarówki, karawaningi, niezliczone samochody osobowe wypełnione w straszliwym pośpiechu zebranymi naprędce przedmiotami: sprzętami domowymi, walizkami, tobołkami z odzieżą, często jednak także zupełnie absurdalnymi, upiornymi rzeczami, tłoczyły się na wszelkich, choćby częściowo przejezdnych drogach. W Sauckelruh ścisk był wyjątkowy. Jak Hollriegl słusznie przypuszczał, miejscowość leżała na końcu doliny i „droga połączeniowa” (tak była oznaczona na mapach) tu się kończyła. Nic dało się jechać dalej ani zawrócić, z samochodów wysiadali wściekli, zrozpaczeni ludzie. Nikt nic miał już paliwa, zbiorniki na stacjach benzynowych były puste. Ci, którzy przybywali z daleka i, jeszcze zanim zaczęli uciekać, mieli w bakach niewiele paliwa, szybko odpadali na trasie. Po obydwu stronach drogi, ale także na jezdni, gromadziły się wraki.

Jedyną ulgę w całym tym chaosie stanowił fakt, że było teraz nagle więcej wody, mimo że, jak wciąż powtarzano w oficjalnych komunikatach, tym, co zmusiło władze do racjonalowania wody, miała być ponoć katastrofalna susza późnym latem i jesienią. Ta korzystna zmiana, którą odczuwano jako dobrodziejstwo, dodała skrzydeł plotce, iż brak wody jest następstwem jednego z owych narzucanych nie wiadomo po co ćwiczeń hartujących w ramach znanego aż za dobrze programu „Landgrafie, bądź twardy”. Lub, jak wyraził to jeden z uciekinierów, z którym Hollriegl wdał się w rozmowę: „Teraz robią w portki”. (Nic sposób było nie zauważyć tego,

że mężczyzna namalował sobie na chłodnicy czarną farbą znak Bundschuh obok atomowego grzyba; tu i ówdzie spotykało się teraz ów znak, coraz śmielej wychodził na światło dzienne). Pocięcha okazała się zwodnicza, poprawiło się tylko na jeden dzień.

Hollriegl, może dlatego, że nosił mundur urzędowy lub wydał się Schicketanzowi sympatyczny, dostał od niego „jako prowiant na drogę“ trochę bezkartkowego paliwa do kanistra, choć uważał, że wcale mu ono nie będzie potrzebne. Wkrótce jednak miało się okazać, iż benzyna ta jest bezcennym skarbem. Radio w samochodzie znowu działało. Na dodatek mechanik opisał mu polną drogę, prowadzącą w głębi lasu w górę i w dół, którą jadąc Hollriegl mógł ominąć — „bez względu na straty”, jak się wyraził Schicketanz — nieprzejezdne odcinki szosy. Wszystkie te informacje przekazał mu na zapleczu, gdyż warsztat oblegany był przez uchodźców atomowych, którzy sprawiali wrażenie zdecydowanych na wszystko, byle zdobyć trochę paliwa. Jedynie fakt, że Schicketanz i jego pomocnik mieli emipi zawieszane na szyi, powstrzymywał ich od szturmowania stacji.

Hollriegl zamierzał dotrzeć do Kyffhauser jadąc na skróty przez Braunlage, Illfeld, Nordhausen, które nazywało się teraz Kesselring, i Kelbrę. Z dziwnym („mulistym“) uczuciem w brzuchu przez chwilę pomyślał o odgałęzieniu w kierunku Rottleberode i o położonej w pobliżu drogi siedzibie von Eycków. Ulla! Nagle poczuł dziką tęsknotę, zapragnął ujrzeć ją znowu — choćby z daleka...

Zjeżdżanie w dolinę, wąską, porytą drogą, niekiedy niebezpiecznie stromą, wymagało szczególnych umiejętności. Poza tym od incydentu w domu obok willi bez przerwy łzały

mu oczy, w gardle i w nosie czuł drapanie, jakby w powietrzu było pełno piasku. Także niższe drogi oddechowe miał chyba zajęte, oskrzela bolały go przy oddychaniu, a w ustach czuł obrzydliwy słodkawy smak. Czyżby miał złapać grypę lub coś w tym rodzaju? Nie, jego samopoczucie nie wskazywało na to, zresztą te objawy pojawiły się zupełnie nagle. Już schodząc z Axelem w dolinę, miał uczucie, jakby jego oczy straciły zdolność akomodacji, ze średniej odległości wszystko dookoła widział nieostro, wszystko miało ciemnofioletowe kontury. Kiedy próbował przypatrzeć się dokładnie poszczególnym osobom lub przedmiotom poruszającym się w obrębie tego ograniczonego pola widzenia, przychodziło mu to z trudnością i wzmagało tylko łzawienie. Teraz, gdy prowadził pojazd w zmuszającym do ciągłej baczności terenie, przeszkadzało to szczególnie.

Axel siedział obok niego, nawet ciężki, groteskowo brzydki kombinezon ochronny przylegał w specyficznym wdzięcznym sposób do ciała chłopca. Podczas ucieczki do Sauckelruh Axel był niezwykle lakoniczny. Wspomniał tylko coś o jakimś „wywiadowcy“, a także o „sprzątnikach”; „mądrołub“ powinien był w porę zawiadomić „straż ładu“. On, Axel, pamięta dokładnie, że pewni „naukodzicłcy“, a nawet całe „wszechnice“ zwarcie występowali przeciwko „mądrołubowi“. Okazywał wielkie zainteresowanie (mówił: „udzielstwo“) „naprawstwem“ — chodziło o reperację — „głosłychu“, jak i w ogóle wszystkim, co miało związek z „róbsposobem“. Dobrze znał „naprawca“ Schicketanza, który pożartował z nim trochę. Jakże uspokajająco brzmiał głos tego chłopca, który nie przeszedł jeszcze mutacji. I te piękne, niezwykle słowa!

W lesie Hollriegl prowadził Axela za rękę jak dziecko,

i ten ojcowski gest zdawał się uszczęśliwiać chłopca. Niemal fizycznie odczuwalny prąd sympatii łączył tę parę, przypadkowo skojarzoną przez los: mężczyznę, który dorastał w nielegalnej HJ, i syna szwedzkiego rabina, którego ród wytępiono doszczętnie. Hollriegl co pewien czas przyglądał się ukradkiem, z boku, Axelowi. Nordycka uroda jego twarzy ułatwiała się przy baczniejszej lustracji, to, co nordyckie, było cieniutką łudzącą powłoką, było fasadą — jak u Ulli. Miękkosć rysów twarzy, wydatny łuk ust, związana z wykrojem ust głęboka zmarszczka nad górną wargą, grecki profil nosa z małymi ruchliwymi nozdrzami, dobrze wymodelowane, niskie czoło, gęste rzęsy (rzęsy jak las!) — wszystko to sprawiało niegermańskie wrażenie. Po kryjomu, miał w tym sporą wprawę, Hóllriegl przeprowadził próbę nosa i uszu; nauczył się tego na zajęciach z rasoznawstwa. Próba nic dała jednoznacznego wyniku, ponieważ cechy charakterystyczne nie były jeszcze u Axela w pełni wykształcone. Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że cechy sefardyjskie krzyżowały się tutaj z askenazyjskimi, przy czym silna domieszka cech nordycko jasnych, być może bałtyckich, zamazywała pierwotnie żydowski obraz twarzy. Axel nie miał także typowego „żydowskiego spojrzenia”, opisanego dokładnie w podręczniku Gunthera. Kto wie, ile narodów i ras skrzyżowało się w rodowodzie Axela, żeby wydać tę istotę. (Coraz mocniej Hóllriegl bronił się przed myślą, iż ma do czynienia z Żydem pełnej krwi).

Od czasu do czasu chłopiec posyłał swemu opiekunowi pełne wdzięczności spojrzenie. Jego oczy miały barwę najczystszej lazuru, a do tego te płowe włosy! W ludzkiej urodzie, jak się wydawało Hollrieglowi — i czuł to z bolesną wyrazistością, jak w przypadku Ulli — kryła się głęboka tajemnica,

tutaj Stwórca bezpośrednio ingerował w tory genów: był to po prostu akt łaski, inaczej rzecz byłaby nie do pojęcia. U nordyckich świetlistych postaci, które, jak go uczono, winien naśladować, podziwiał przede wszystkim hart, siłę i odwagę, zręczność i spryt (był to przysłowiowy już „nordycki spryt” intryganckiego Lokiego); dzięki tym cechom miały one władzę nad życiem. Owi nadludzie zawsze byli idolami Hollriegla i nawet drwiny Anselmy nie mogły zachwiać jego przekonaniami. Od dawna pociągało go wszystko, co nordyckie i bohaterkie, utożsamiał to z męskim pierwiastkiem tworzenia, z zasadą płodzenia, ze zdobywczą męskością. Wszak również Bursztynowa Czarownica była istotą rodzaju męskiego, pomimo swych brutalnie kobiecych wdzięków. Istoty „aryjskie” były piękne z natury, tyle że ich piękno było cierpkie, twarde i zwycięskie, były piękne, jak piękna jest walka. Uroda Axela miała natomiast formę przywodzącą na myśl raj, spokój i niewinność. Czy piękno to było diabelskie, dlatego że było żydowskie...?

Z łzawiącymi oczyma, czując ból we wszystkich członkach i świdrowanie w stawach, Hóllriegl prowadził auto, zjeżdżając powoli w dół po licznych zakrętach. Radio było włączone; skrzecząc nadawało muzykę marszową lub komunikaty o zwycięstwach. Wyglądało na to, że wszędzie na kontynencie udało się dokonać okrążenia powietrzno-desantowych oddziałów wroga. W północnych Włoszech, w Finlandii i w Portugalii agresorów, po początkowych sukcesach walczących teraz zaciekle w okrążeniu, czekała tylko zagłada, gdyż wszelkie próby przetrzucenia posiłków kończyły się niepowodzeniem, a kontrataki otoczonych wojsk zostały powstrzymane; także na Krymie i w środkowej Rosji mosty powietrzne wroga załamały się.

Jedynie nad Eire, które głównie jednostki amerykańskich ochotników próbowały przekształcić w swoisty „lotniskowiec”, szalała jeszcze do tej pory wielka bitwa powietrzna. Na wszystkich odbitych terenach SS i SD przystąpiły do masowych akcji odwetowych wobec tych kręgów ludności, które, popierając wroga, dopuściły się zdrady Nowego Porządku.

Z jedną ręką na kierownicy, drugą kręcąc gałką radia, dręczony zaburzeniami wzrokowymi, Hóllriegl nie mógł się za bardzo troszczyć o Axela. Kiedy z powodu jakiejś przeszkody zatrzymał się na chwilę i rzucił okiem na swojego towarzysza spostrzegł ze strachem, że rysy Axela zastygły w wyrazie konsternacji. W jego zmęczonych oczach błyszczały łzy, Hollriegl zauważył też, że chłopiec zasłania oczy dłonią, choć światło w lesie nie było wcale jaskrawe. W milczeniu pojechali dalej, lecz od czasu do czasu Hollriegl głąskał lewą dłoń Axela.

I znów wezbrało w Hollrieglu owo dziwne ciepłe uczucie: móc ochraniać drugiego człowieka, być za kogoś odpowiedzialnym. Nigdy dotąd nic musiał tego robić. Przyjaciół nie miał, tylko kolegów, to też było coś, ale nic mogło zastąpić prawdziwej przyjaźni. A z kobietami łączyło go („nie mam co do tego żadnych złudzeń“) tylko łóżko. To, co czasami uważał za miłość, było w zasadzie nagą żądzą, lubieżnością, słomianym ogniem — czuł to boleśnie, lecz chętnie oszukiwał samego siebie, bo nie miał innego wyjścia. Anselma napluła mu w twarz, i postąpiła bardzo słusznie. Był mięczakiem, niezdolnym do miłości słabeuszem — w najlepszym wypadku zakamuflowanym romantykiem!

Wiadomości wirowały w powietrzu jak płatki śniegu (które teraz rzeczywiście zaczęły się sypać z pociemniałego nieba), jedna dosłownie goniła drugą:

„... Kuria Rzymska rozpędzona na cztery wiatry przez Kopflera... zwłoki dalajlamy zniknęły w niewyjaśniony sposób z kolońskiej kliniki... wszelka działalność kongregacji Santo Officio, kontrolowanych dotąd przez Rzeszę i Najwyższą Radę Faszystowską jedynie bardzo pobieżnie, zostaje zawieszona... plotki, jakoby w pewnej *la-ce*, (oznacza to miejsce ofiarne na wyżynach) pojawił się Pan-czen Rinpo-cze ze zwłokami zmarłego w Kolonii dalajlamy... wszelkie udziały Watykanu w bankach, przede wszystkim w Banco di Roma i w Banca di Santo Spirito, w kopalniach, przemyśle tekstylnym, towarzystwach naftowych, stalowniach, przedsiębiorstwach żeglugowych i lotniczych, w produkcji dewocjonaliów i w tak zwanych miejscach słynących cudami, zostały przejęte przez Deutsche Bank i Credito Italiano w stosunku trzy do jednego. Stwierdza się, że udział Kościoła w pakietach akcji wszystkich tych przedsiębiorstw wynosił przeciętnie 65 od sta. Cała własność ziemską Kościoła rzymskiego we wszystkich krajach znajdujących się pod opieką Rzeszy podlega konfiskacie na rzecz skarbu państwa. Watykanowi pozostaje jedynie tak zwane *Patrimonium Petri* według stanu na 9 października 1870 roku... Mała Erna od wczoraj choruje niestety na świnkę. Opiekun proszony jest o odłożenie planowanej wizyty do Święta Świec i połączenie się tymczasem z drogą,, chorą jedynie w myślach... namiestnik Tybetu zabronił odmawiania *ngag* pod karą śmierci. Modlitwy te, jak podaje rozgłośnia Wehrmachtu w Szigace, winne są epidemicznej gorączki na tle nerwowym, na którą zapadają obecnie w szczególności żołnierze korpusu kolonialnego... narodowy synod w Wormacji zgodnie z wolą kierownictwa Rzeszy wybierze ze swojego grona nowego Ojca katolików. Jak się dowiadujemy, przyszły papież ma do wyboru następujące imiona:

Suidger Pierwszy (Suidger nazywał się niemiecki papież Klemens Drugi) oraz Soter Drugi. Pierwszym politycznym aktem nowego papieża będzie poddanie kościelnej monarchii uniwersalnej nadzorowi Rzeszy i ściślejsze niż dotąd dostosowanie nauki katolickiej zarówno do tez Bormanna, jak i do mitologii krwi Rosenberga... Reichsfuhrer Ivo Kopfler wypowiedział zawarty 21 sierpnia 1953 roku pomiędzy Rzeszą a kościołem lamaistycznym tak zwany konkordat galdeński, który miał obowiązywać przez dwadzieścia pięć lat, z powodu zerwania układu przez stronę tybetańską. We wczesnych godzinach rannych 14 listopada jednostki szybkiego reagowania Wehrmachtu zajęły także Obszar Zakazany. Formacje przednie przeprowadzają właśnie wypad na Sangna Gzodzong, główną siedzibę spiskującej z Soka Gakkai klikki przestępców taszi lamy. Słaby opór tybetańskiej soldateski został bezwzględnie złamany. Ukrywającego się w pewnej *czorten* taszi lamę z wyroku sądu polowego rozstrzelano na miejscu. Tym samym przypieczętowany został los plutokratycznego państwa klasztornego, które w ramach Nowego Porządku zawsze było w Eurazji ciałem obcym i ogniskiem zapalnym. Od dziś od godziny czwartej czasu miejscowego nad zamkiem Potala w Lhasie powiewa flaga z hakenkreuzem... zgodnie z rozporządzeniem Rzeszy i decyzją Sądu Najwyższego zabronione jest nadawanie ziarnu siewnemu nie umieszczonemu w Niemieckim Rejestrze Hodowlanym jakichkolwiek nazw, z których wynikają wskazówki dotyczące uprawy i jakości... dzięki zastosowanym środkom ma zostać obalony raz na zawsze prymat Piotrowy, odsunięta od władzy rzymska gmina, która uzurpowała sobie wyłączne prawo do apostołskiego rodowodu, oraz ma być zagwarantowana hegemonia Rzeszy, jako wiodącego mocarstwa ariogermańskiej rodziny narodów,

nad Kościołem rzymskim. Wszyscy katolicy oczekują w napięciu na wieści z Wormacji... Żołnierze chwalebnych kampanii 1939-45 widzieli, że ich oficerowie, młody podporucznik i porucznik, zawsze byli pierwsi przy wrogu i że przed każdym rzędem poległych leżał ze spokojnym bladym obliczem oficer, który rozumiał, co znaczy dać przykład umierania, i który świadomie poświęcając siebie samego, dawał oddziałowi niezapomniany przykład męskiej odwagi i wierności... archiwum i muzeum Dolnoniemieckiego Kościoła Reformowanego (Hervormde) informuje o sporej liczbie nowych nabytków, a w tym... zrzeczenie branżowe niemieckich instytutów pogrzebowych obniżyło ceny bielizny pośmiertnej najlepszego gatunku o pięć od sta. Pełnomocnikowi zrzeszenia, Heinzwernerowi Knochenowi, udało się uzyskać w odnośnych ministerstwach, to jest w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych oraz w Ministerstwie do Spraw Wyznań, jak również w Głównym Urzędzie Ofiar Wojny, zgodę na używanie od tej pory oznak i symboli zastrzeżonych dla bohaterów także w sektorze cywilnym, jednakże z wyjątkiem trumien dębowych. Związkowi Palaczy Zwłok zezwolono natomiast na używanie dewizy: «Czyste życie — czysta śmierć»... narodowym synodom frankońskiemu i hiszpańskiemu pozostawiono wybór wicepapieży w Awinionie i Toledo i wydelegowanie ich do Wormacji... Instytutowi Indogermańskiej Historii Duchowej w Monachium po długoletnich badaniach udało się uzyskać niewątpliwy dowód, że Frauja-Chrystus był blondynem i miał niebieskie oczy. Wywodził się z trackich książąt, którzy w okresie wojen między diadochami zostali uprowadzeni na Wschód w charakterze zakładników. Zgodnie z tym za okręg przodków Frauji należy przyjąć zachodnie wybrzeże Propontu. Obejmująca wiele tomów dokumentacja

Brunatna rapsodia

będzie wkrótce przesłana do Instytutu Badań Rodowych, Niemieckiej Wspólnoty Badawczej oraz do Urzędu Kontroli Rasowej... pod choinkę mama życzy sobie futro z nutrii z kołnierzem i mankietami z syberyjskich soboli. Tato będzie więc musiał głęboko sięgnąć do portfela... Urząd Zdrowia Rzeszy w porozumieniu ze Stanem Żywicieli Rzeszy ustalił na grudzień następujące normy dla zdrowego dorosłego towarzysza narodowego płci męskiej: ilość snu — 6 3/4 godziny na dobę; dzienne zapotrzebowanie na kalorie przy pracy siedzącej w charakterze pracownika umysłowego — 2300, przy siedzącej pracy fizycznej — 2700, przy umiarkowanej intensywnej pracy fizycznej — 3000, przy wyczerpującej pracy fizycznej — 3500, przy ciężkiej pracy fizycznej — 4000 i więcej, przy bardzo ciężkiej pracy fizycznej — 5000 i więcej. Dzienną ilość kału przy mieszanym pożywieniu ustala się w wysokości 131 gramów, przy pożywieniu wegetariańskim — 370 gramów... w bitwie o

Eire nawet na chwilę nie wypuściliśmy z rąk panowania w powietrzu. Odbijanie lotnisk w rejonie Baile Atha Gliath i

Dun Laoghaire natrafiło częściowo na zaciekły opór zamaskowanych amerykańskich insurgentów oraz tajnej Irlandzkiej Akcji Katolickiej, który udało się przełamać różnymi sposobami. Skoczkowie spadochronowi... zrzucone oddziały powietrzno-desantowe wszystkich rodzajów broni sprawdziły się tak samo jak formacje latające, które zwalczały przeciwnika z powietrza za pomocą broni pokładowej lub, po wylądowaniu w nieprzyjacielskim ogniu, ruszały do walki na śmierć i życie. Przerzucone jednostki obsługi naziemnej zdusiły w walce wręcz gniazda nieprzyjacielskiego oporu... kadra urzędnicza powołanego do życia rozkazem Fulirera z 12 listopada Ministerstwa Spraw Ogólnogermańskich została włączona do grupy uposażeń

2b zgodnie z ustawą o 38. poprawce do ustawy uposażeniowej z 27 marca 1946 roku. W odniesieniu do wszystkich wynagrodzeń znajdują zastosowanie przepisy trzech obowiązujących obecnie zarządzeń o potrąceniach z wynagrodzeń na rzecz Akcji Pomocy Zimowej... do tego wyraźne zmieszanie z elementami mongolskimi, jak niewątpliwe zmniejszenie pojemności czaszki, wielkości mózgu, a tym samym... mianował standardenfuhrera SS Wolfdietricha Sawadego, dotychczasowego kierownika grupy cztery rzymskie A pięć, zadania specjalne, w RSHA⁶, ministrem spraw uchodźców atomowych. W wypadku gdyby nowy minister okazał się niezbędny, hauptsturmfuhrer SS Gerd Zopff... czy nic powinienem raczej wystawić całej tej hołoty za okno, żeby ją muchy pogryzły? Albo całkiem zwyczajnie przyfasolić, żeby im zęby rządkiem wyszły przez zadek? Albo po prostu obrócić i wbić w ziemię tępym końcem, co za cholerna banda... wskazują coraz wyraźniej, że wszędzie, gdzie indoaryjskie myślenie odeszło od symboliczno-transcendentnego ideału religii i od arystokratycznej organizacji społecznej porzodków, było to następstwem skrzyżowania rasy z ludami niearyjskimi... podstawy prawne ochrony przed promieniowaniem wynikające z ustawy atomowej — dozymetria ze szczególnym uwzględnieniem dozymetrii indywidualnej — maksymalne dopuszczalne ilości radionuklidów w ludzkim ciele i maksymalne dopuszczalne stężenie w wodzie i w powietrzu — białaczka jako następstwo napromieniowania — schorzenia toronowe jako następstwo uszkodzenia w rozumieniu ustawy o zaopatrzeniu chorobowym — człowiek w sytuacji paniki — napromieniowanie i uraz — zmiany chromosomowe w świetle...”

⁶ *Rcichssicherheitshauptamt — Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.*

Przerywnik: „Partia myśli za ciebie — partia myśli za ciebie — partia myśli za ciebie — partia myśli za ciebie — partia myśli za ciebie...“

Dość tego! Żadna z tych cholernych stacji nie wspomniała słowem — nawet jednym słówkiem! — o eksplozjach jądrowych. Jakby nie stało się to, co najpotworniejsze, najpotworniejsze od niepamiętnych czasów! Na obszar Rzeszy, serce imperium, spadły ładunki atomowe takiego rzędu wielkości, że w porównaniu z nimi owa historyczna bomba, która zniszczyła Londyn — bomba z podręczników historii — musiała być jedynie nędznym fajerwerkiem. Wszystkie drogi zapchane były uciekinierami, panował chaos. A rozgłośnie radiowe nie miały do zakomunikowania nic ważniejszego oprócz informacji o regulacji uposażeń, wkroczeniu do Tybetu, który nie obchodził teraz psa z kulawą nogą, albo o indoaryjskim myśleniu. Ofensywy! Wojna błyskawiczna! Czysty obłąd! Przedpotopowa strategia pod gradem bomb atomowych!

Höllriegl zazgrzytał zębami. Wściekły przełączył biegi tak gwałtownie, że samochód odmówił posłuszeństwa. I nagle walnął pięściami w kierownicę. Axel spojrzął na niego z boku zalęknionym wzrokiem. Niebieskie błyskawice z oczu „anioła“ przywiodły Hollriegla do opamiętania...

Z drugiej bowiem strony kierownictwo Rzeszy, a to znać było: partia, wiedziało, co robi. Partia myśli za ciebie! Ona myślała, planowała i kierowała losem i historią Zachodu. Robiła to za wszystkich, za każdego towarzysza narodowego. Kopfler troszczył się także o niego, Albina Totilę Hollriegla. Tak jak kiedyś Fuhrer i założyciel Rzeszy troszczył się o niego i o wszystkich. I nagle Hollriegl przypomniał sobie strofy (jego

wargi ułożyły się przy tym jak do modlitwy), które jemu, anonimowemu wschodniomarchijskiemu hitlerjunge, jakże często trafiały do serca i umysłu w owych odległych czasach konspiracji

Mein Fuhrer, wiedz, że te godziny znamy, gdy ciężkie brzemie kark przygniata twój — kiedy na nasze tak głębokie rany swe dłonie kładziesz chłodne niczym zdroj i jeszcze nie wiesz, jak ozdrowieć mamy!

Bo tak jest może wszak w niejedną noc: my śpimy, a ty czuwasz Z troską miłą, i takich nocy, kiedy musisz moc mądrości swojej użyć, wiele było, lecz rano zawsze miał promienny wzrok. Mein Fuhrer, wiedz, że znamy wyrzeczenia, które ofiarą twoją są dla nas, i znosić musisz ból osamotnienia, ażeby w smutnych i radosnych dniach narodu los na lepsze móc odmieniać. Dlatego miłość nasza wielka tak, dlatego jesteś końcem i początkiem, ufamy ci, czekamy na twój znak, a naszych rąk i myśli wspólnym wątkiem jest, jak wyrazić chwały twojej blask.

Teraz też było tak jak wtedy. Fuhrer stworzył tę świętą niemiecką Rzeszę — i Fuhrer żył dalej w partii i wszystkich jej organizacjach. Był początkiem i końcem. Był nieśmiertelny, tak jak partia była nieśmiertelna. Jak mówiła Anselma? Ze Fuhrer stał się mistycznym ciałem narodu niemieckiego. Wielka dusza Adolfa Hitlera żyła nadal w każdym towarzyszu narodowym z osobna. Także w nim! W swojej piersi nosił wieczne dziedzictwo Fuhrera. Jak mógł stracić wiarę w partię! Partia myśli za ciebie, partia myśli za ciebie — nigdy dość powtarzania tych słów! Jeśli ona — ONA! — pomijała milczeniem, i to z premedytacją, bomby, które spadły na Rzeszę, to wiedziała dokładnie i świadoma wszelkich konsekwencji, dlaczego to robi. „Ufamy ci, czekamy na twój znak!“ O to

właśnie chodziło! Człowiek mały, małoduszny, który nie widział, nie mógł i nie miał prawa widzieć rzeczy wielkich i kontekstów historycznych, mógł wątpić i zwątpić w swej słabości. Lecz taka postawa była naturalnie głupia, była zbrodnicza — po prostu bezsensowna! Dobry Boże, jakiś sens to życie musiało przecież mieć, przynajmniej jeden! A ów sens nazywał się: Niemcy!

Wyjechali z lasu i mieli teraz przed sobą szosę, po której we mgle i w bladych stożkach światła posuwała się wolno kolumna samochodów. Bądź co bądź auta nie jechały tutaj tak blisko jedno za drugim, zdarzały się luki, i bez trudu można się było włączyć w sznur pojazdów. Schicketanz miał rację: leśna droga była nie tylko krótsza, lecz prawdopodobnie pozwoliła także ominąć najgorsze odcinki szosy.

Oczy nie łzawiły mu już tak bardzo, pozostało tylko gryzące pieczenie i pustynna suchość w gardle. Ustąpiły również zaburzenia wzrokowe — ciemność działała kojąco na oczy. Ale to paraliżujące uczucie rozbicia, lekkie łupanie w stawach!

Dokąd, na miłość boską, wybierali się ci uchodźcy? Gzy przed bombami można się było jeszcze gdziekolwiek schronić? Hollriegl poczekał chwilę na następny samochód i jadąc wolniutko, zapytał o cel podróży. Odpowiedź była zawsze ta sama: dokądkolwiek na Wschód, na rozległe, słabo zaludnione tereny, Pomerellen, Kulmerland⁷, Warthegau, Mazury, Kurlandia. Każdy zdawał się mieć tam krewnych lub przyjaciół, którzy wyjechali wcześniej i przygotowali kwatery; planowano spotkać się w Stolp, Cranz, Tilsit, Gotenhafen, Bromberg, Thorn, Marienwerder, Heydekrug⁸, by zaszyć się w jakiejś wiosce. (Hóllriegl przypomniał sobie, że również Ulla pochodzi z tamtych stron; może razem z dziećmi była już w drodze?) Im

dalej, tym lepiej. Byle uciec od wielkiego przemysłu, wy dostać się z mamucich miast!

Czy ludzie ci nic wiedzieli, że wszędzie na Wschodzie są podziemne fabryki, które równie dobrze mogą być celem ataków? Właśnie na Wschodzie były też rozbudowane podziemne zakłady zbrojeniowe, w najbardziej odległych zakątkach, tam gdzie najmniej można się było ich spodziewać. Na przykład w Puszczy Rominckiej — tam, w miejscowości, która nazywała się Pemsel i pod którą zbudowano całe podziemne miasto, pracował jako laborant chemiczny brat jego „stałej” sympatii.

Wciąż spotykał się z pewną plotką, wypuszczaną, jak się zdaje, z wiadomego źródła. Sensai, a więc wódz Soka Gakkai, zalecił wyludnienie Starej Rzeszy za pomocą pocisków rakietowych lub poprzez zrzucanie tak zwanych czystych bomb, ażeby w powstałej próżni osiedlić później mandżurskich chłopów, którzy okazali się najbardziej odporni na niewielkie w sumie promieniowanie „czystych” bomb. Podobno osadnicy, jak opowiadano, byli od razu zrzucani na spadochronach...

Żeby rozerwać Axela i trochę go rozpogodzić, Hollriegl włączył znowu radio. Przy akompaniamencie szemrzących głucho organów Christiego, podkreślonym dźwiękami dzwonek, jakiś mężczyzna śpiewał stary sentymentalny kawałek „Dwie czerwone wargi, jeden słodki całus”. Przez chwilę słuchali ożywionej paplaniny brygady dziewcząt, które pomagały przy ładowaniu kartofli. Mechanicznie kręcił gałką, prowadząc auto w gęstniejącym, mlecznobiałym wirze płatków śniegu, tuż za jakimś mercedesem — z Remagen — w którym siedziała rodzina uchodźców.

„... są kompetentni w kwestiach prawa przesiedleńczego referenci w miarodajnym w tej materii Ministerstwie Spraw Wewnętrznych... odniosą się przy tym szczegółowo do praktyki administracyjnej i przytoczą liczne przykłady, aby wyjaś-

⁷ *Pomorze Gdańskie, Ziemia Chełmińska.*

⁸ *Słupsk, (dziś) Zelenogradsk, Tyłża, Gdynia, Bydgoszcz, Toruń, Kwidzyn, Silute (na Litwie).*

nić zastosowanie przepisów wyjątkowych... imię Adolf, od dawna już używane przez wielu towarzyszy narodowych jako drugie imię, zgodnie z Dziennikiem Ustaw Rzeszy rzymskie jeden, numer 132, a także na podstawie okólnika z 12 listopada 196... roku, Monitor Rzeszy do użytku wewnętrznego, wydanie A, rocznik 28, 196..., 35, zostaje włączone do rejestru azowych imion bohaterów. Pierwszy przybrał imię Adolf na cześć zmarłego Fuhrera i założyciela imperium reichsfuhrer Ivo Kopfler. Pełne nazwisko reichsfuhrera brzmi odtąd... poczuł się zmuszony zwrócić się do Urzędu Polityki Rolnej... nadleciały eskadry myśliwców bombardujących, przy czym w rejonie Mannerheim-Turku po raz pierwszy zastosowano z powodzeniem ultrazimne media, triumf niemieckiej cyrogeniki, w zwalczaniu akcji powietrzno-desantowych wroga... w Kyffhauser kaplicę i grobowiec popielnicowy według planów, które założyciel Imperium Germańskiego i największy budowniczy wszystkich czasów sam stworzył i polecił wykonać... gdyż nigdy nic zajmą pozycji przewidzianych w planie mobilizacji, co pozwala wnosić, że... w ramach wojennych posunięć oszczędnościowych połączono Urząd Leśny Rzeszy z Urzędem Łowieckim i podporządkowano Radzie Łowieckiej Rzeszy. Podobnie reichsorganisationsleiter NSDAP podaje

Brunatna rapsodia

do wiadomości, iż referat materiałów szkoleniowych zostaje włączony do Głównego Urzędu Szkoleń... należy odczekać. Z tą myślą Instytut Badawczy Językoznawstwa Aryjskiego zalecił partyjno-rządowej komisji kontrolnej do spraw ochrony piśmiennictwa NS zastąpienie słowa „Krieg“ starszym i bardziej uświęconym słowem „Orleg“... natomiast jej koleżanka w Starej Rzeszy czeka przeważnie, czy jej towarzysz przy stole podejmie rozmowę, czy nic... jako specjalny pełnomocnik do spraw urzędzeń cybernetycznych w Głównym Urzędzie Nauki i Techniki, zrzeszenie branżowe Przyrządy Elektroniczne, zarządzam... z zadaniem... zgodnie z powyższym aż do odwołania obowiązuje... w ramach... został unieruchomiony... znajdując zastosowanie przepisy porządkowe... w Merxleben, obwód Langensalza, zmarła we wtorek w wieku trzydziestu lat na chorobę nerek najcięższa Niemka, pani Edelheide Pschichholz, 369 kilogramów żywej wagi, ciężar mózgu 1020 gramów... minister oświecenia publicznego i propagandy wydał zarządzenie, iż codzienna poranna audycja we wszystkich programach „Wiara niemiecka“, nadawana o godzinie 6.30 czasu środkowoeuropejskiego, nie będzie się już rozpoczynać od tamtamtamtam, lecz tylko od tamtam... w trakcie apelu dla rodziców na zamku szkoleniowym im. Adolfa Bartla landesoldermann «Dithmarskiego Związku Rodowego» w Wesselburen, towarzysz Karl-Dankwart Gokeis podkreślił, że... na korzyść i pożytek narodu... narodowy wzór... nasz krajan i obywatel honorowy... co ów rdzenny Niemiec uczynił dla swojej ojczyzny... a teraz, drodzy towarzysze i towarzyszki, największa bomba naszego dzisiejszego koncertu dla jednostek marynarki wojennej: Sex Soguthatt, który ma to wiadome nordyckie coś, szczególnie ulubieniec naszych wojsk raketowych (huczne oklaski), zaśpie-

Brunatna rapsodia

wa swój wielki szlagier «Jestem homo z Como!» (huczne oklaski)... co może sobie pozwolić — w górę siup — w tył i w przód — w górę kieckę — dziecko dziewce — mamce dwoje — to już troje — w górę siup — w tył i w przód — czapki z głów —zdejm i włóż — hop na kloc — w dzień i w noc — w górę siup — w tył i w przód — hop na rynnę... nie ma strachu, kto mówi Prikriz i myśli, że to zwykły środek do wywabiania plam, ten naturalnie się myli... przed dwoma laty otrzymał wielką nagrodę państwową i tytuł skalda narodu...“

Nadal żadnych wiadomości o bombach, które spadły na Rzeszę. (Było mu zresztą wszystko jedno). Większość stacji zdawała się funkcjonować normalnie, ich programy nie różniły się niczym od poprzednich. A przecież można było skończyć, widząc ciągle przed sobą nie kończącą się szarą kolumnę uciekinierów!

Z przodu jednak coś się zakorkowało, samochody musiały znacznie zwolnić. W mlecznym świetle przygaszonych reflektorów — tymczasem bowiem zrobiło się ciemno i z wietrznego nieba spadały wirujące płatki śniegu — widać było, że dookoła budowli, która z bliska okazała się podłużnym parterowym zajazdem w normatywnym stylu chłopskiej zagrody z wysoką ścianą szczytową, parkuje wiele samochodów. Paru ludzi z NSKK — tutaj w każdym razie nie wprowadzono jeszcze Werwolfu — biegało wymachując rękami, starając się rozładować korek i odblokować jezdnię. Wszyscy mieli broń: lasery. Mimo że grozili, iż użyją siły, głośno im wymyślano. „Banda zasranych gówniarzy! “ — usłyszał Hóllriegl. A także: „Bundschuh, zbudź się, niech Kopfler zdycha!“ To był już szczyt bezczelności! Jeśli nawet w tym wypadku nikt nie zainterweniował, to... Większość uciekinierów w milczeniu powoli

jechała dalej.

— Posilnia — rzekł Axel.

— Jesteś głodny?

Hollriegl sam był głodny jak wilk, od wczesnego ranka nic nie jadł. Tyle że wydawało się bardziej niż wątpliwe, czy można tam dostać cokolwiek do jedzenia. Z gospody buchały salwy śmiechu i pomimo szczelnych zasłon przeciwlotniczych widać było, że wszystkie pomieszczenia są oświetlone.

— Pak, ale strażwoje!

Axel wskazał na umundurowanych ludzi, którzy wymachiwali niebieskimi latarkami.

— Nic ma obawy. Spróbuję zaparkować.

Za garażem znalazła się luka między bezładnie stojącymi autami. W ich ślady poszedł krążownik szos, z którego wygramoliło się pięć szczelnie opatulonych postaci, zdaje się, że dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Razem z nimi weszli do lokalu.

W środku, we wszystkich izbach przestronnej gospody, odbywała się orgia obżarstwa i pijaństwa. Przy stołach siedzieli ciasno stłoczeni mężczyźni i kobiety, tu i ówdzie jakiś mężczyzna trzymał nawet kobietę na kolanach. Wszędzie biegały rozkrzyczane dzieci. Pito z cebrzyków i dzbanów, które krążyły wśród biesiadników, w powietrzu unosił się zapach wina i wódki. Ani śladu właściciela gospody czy obsługi. Przypuszczalnie uchodźcy splądrowali piwnicę opuszczonego zajazdu, a także na własną rękę zatroszczyli się o aprowizację.

Hałas był ogłuszający, w gęstym od dymu powietrzu można by powiesić siekierę. Większość „gości” miała już w czubie, bez przerwy wznoszono toasty, wydzierano się i kołysano na ławach, wzięwszy się nawzajem pod ręce. Kiedy Hollriegl

i Axel torowali sobie drogę przez tłum zgromadzony w dużej sali, załamało się akurat jakieś siedzenie. Rozkołysane towarzystwo zaczęło tarzać się wśród śmiechów i pisków po podłodze, przy czym niektóre osoby przybierały dosyć jednoznaczne pozy. Hollriegl odciągnął Axela na bok, żałując, że zatrzymał się tutaj.

Ale nie zdążył się nad tym zastanowić, było za późno. Już ich otoczono, obejmowano, obcałowywano, znaleźli się jakby w kleszczach, siłą posadzono ich na ławie — żeby im zrobić miejsce, dwie damy wywindowały się na stół i teraz wymachiwały nogami. Przewróciły się kieliszki, wino rozlało po blacie. Hollriegla przytrzymał jakiś osobnik o apoplektycznej gębie, a *vis-a-vis* tego typu, zniszczona już wiekiem, lecz elegancka matrona przystawiła mu dzbanek do ust, i pomimo protestów — nikt w tym huku nie mógł słyszeć jego zapewnień, że podobnie jak Fuhrer jest abstynentem — musiał ciągle pić. Wino ściekało mu na płaszcz od munduru. Nie lepiej wiodło się Axclowi, na którego rzuciło się kilka bab obwieszonych biżuterią.

— Jesteśmy głodni! — krzyknął Hollriegl do swojego sąsiada. Natychmiast podano im kielbasę, twaróg, drób na zimno i pieczywo. Axcl, który zapadł się w głąb siebie i siedział blady i oszołomiony, karmiony był przez swoje sąsiadki, dwie korpulentne, niebrzydkie blondyny, jak dziecko — cherubin pośród demonów. On także musiał wciąż popijać; zmuszano go do tego wśród śmiechu, ponieważ łagodnie perswazje nie przynosiły rezultatu. Obronnym gestem unosił ręce i zapewniał, że zawsze był nietrunkowy, nie cierpi pędźby i pije tylko jogsok i mleko, co skłoniło damę siedzącą naprzeciwko do wydobycia ze stanika jednej ze swych bujnych piersi i pod-

sunięcia mu jej pod nos.

— Jedz, jedz! — zawołał do niego przez stół Hollriegl. Widział, że megiery pożerają „jego“ chłopca wzrokiem, a ich ręce zajęte są pod stołem. Może Axel będzie dostatecznie sprytny — choć wydawało się to mało prawdopodobne — żeby tylko pozorować picie. Nawet jemu samemu się to nie udało, gdyż kompani zauważyli jego opory i bacznie go pilnowali. Chociaż usta miał pełne jedzenia, wlewano w niego wrzeszcząc, mlaskając i obcałowując go — przesycony alkoholem oddech sąsiadów wywoływał odruch wymiotny — kwaśne wińsko, które go odrzucało.

Mimo zwierzęcego ciepła panującego w gospodzie ludzie mieli futra zarzucone na plecy lub siedzieli na nich. Hollriegl przypomniał sobie, że futra miały chronić przed promieniowaniem. Za ostatni krzyk mody uchodziły futra szlachetne, które posiadały dodatkową podpinkę z elastycznych materiałów ochronnych, (pierwiastek bor i określone włókna sztuczne). Tego rodzaju okrycia, jak podkreślano w reklamie, chroniły nawet przed promieniowaniem bomby neutronowej (co było, rzecz jasna, bzdurą); przyszło mu także do głowy znane w całej Rzeszy hasło reklamowe firmy Buddecke: „Kiedy rozkosznie ciało otulasz /dziewczyno, w skóry Fenrisa/ odpędzasz promienie — ale przed ogniem miłości/ Buddecke nigdy cię nie ochroni“ (reklama w stylu staronordyckiej poezji gnomicznej była bardzo modna).

W każdym razie tu, w lokalu, zdawała się odbywać istna rewia mody futrzanej — gdziekolwiek spojrzeć, same futra. Niektóre tak kosztowne, że u ich właścicieli i właścicielek można się było domyślać grubych kont bankowych. Norki, sobole, nutrie, szynszyle, tygrysy, śnieżne pantery, oceloty, foki,

srebrne lisy, skóry antylop, rysi, tchórz i źrebiąt.

Wspólnymi siłami wywindowano na stół czarownicę o ufarbowanych na niebiesko loczkach, twarzy po operacji plastycznej, sztucznych rzęsach, lśniących sztucznych zębach i imponującym obwisłym biuście: kiedy ją dźwigano, zsunęło się jej z ramion i spadło na podłogę gronostajowe futro. Wygłosiła przemówienie, którego w panującym hałasie nie można było zrozumieć, po czym zadarła spódnicę, żeby pokazać zadziwiająco szczupłe, ozdobione żyłakami nogi aż po trykotowe majtki. Przepijano do starej, polewano jej tyłek winem, a w końcu ściągnięto ją z powrotem na dół. Ale już po chwili wszedł na krzesło jakiś mężczyzna i zaczął stroić nieprzyzwoite pijackie miny. Wszystko to, takie wrażenie odniósł Hollriegl, nic miało w sobie nic z wesołości, przypominało raczej fałszywe, sztuczne odurzenie.

Mężczyzna o sinej twarzy, siedzący po prawej ręce Hollriegla, nazywany przez swoją paplającą bez sensu połowicę „Friedrich-rex“ (jak się okazało, fabrykant ciastek), nagle wstał i zawołał bełkotliwie:

— Idę opróżnić pęcherz za zdrowie dam!

To rzekłszy, zataczając się zniknął w tłumie. Jego partnerka przysunęła się do Hollriegla i objęła go ramieniem.

— Friedrich-rex — powiedziała — jest moim ślubnym małżonkiem: polędwica wołowa, ale to ostatecznie mój chłop!

Jeden z biesiadników, wystawiwszy przez rozporek serdelka, pochylił się nad nią — i żona fabrykanta ciastek pośród ryków gości ściągnęła skórkę i zaczęła gorliwie chrupać kiebaskę.

Wino szło do głowy. Wszystko wokół Hollriegla nabrało nagle ostrych konturów, lecz jednocześnie stało się nierzeczy-

wiste, jakby działa się zupełnie gdzie indziej, a on był tylko biernym obserwatorem. Znów pojawiła się „obca głowa“. Błyskawicznie rozgrywające się sceny przeplatały się nieregularnie z szalenie wolnymi, ale nawet tych ostatnich nie potrafił w pełni ogarnąć i pojąć, nie mógł nadążyć, ponieważ konteksty wciąż się zacierały. Wyraźnie i jakby w zwolnionym tempie widział, co wyprawiają z jego Axelem obie karmicielki, obejmujące chłopca swymi polipowymi ramionami. Chciał zaprotestować, wstać, ale nie mógł, a zresztą nie, wcale już nie chciał, było mu dokładnie wszystko jedno. Axel znajdował się jakby w stanie gorączkowego podniecenia i bezwolnie pozwalał kobietom robić ze sobą wszystko — nie ulegało wątpliwości, że bezwstydnice go obmacują. Jedna z dam, z zastygłym na twarzy dzikim, zachwyconym uśmiechem, próbowała przeciągnąć ofiarę na swoją stronę, bez przerwy szepcząc coś chłopcu na ucho. Hollriegl zauważył ze wstrętem, że kobieta liże małżowinę uszną Axela.

Od czasu do czasu miejsce akcji zmieniało się bez jego udziału; szczegółów i wzajemnych relacji nie potrafił już ogarnąć, było tego za wiele. Nagle wszystko wydało mu się pogodne, a nawet cudowne, tylko żołądek był odmiennego zdania. Zagadywano go ze wszystkich stron, ciągnięto to tu, to tam, siedział przy innych stołach albo na nich — ależ cholernie miły z niego Wschodniomarchijczyk! Wszyscy Wschodniomarchijczycy są mili i sympatyczni. Ryczał razem z innymi i kołysał się, dobrze, że było tyle kobiet, wszędzie, gdziekolwiek usiadł, znajdowało się w zasięgu ręki babskie ciało. Bajdurzył coś o Ulli i o tej drugiej — jakże ona miała na imię? — przechodził na „ty“ z ludźmi widzianymi pierwszy raz w życiu, na przykład z pewnym bohaterem spod Narviku, który

bez przerwy opowiadał o bitwie morskiej pod Jan Mayen, pytał pewnego duchownego katolickiego z Bisanz, znanego pod romańską nazwą Besançon (na wizytówce: monsignore Aloys Barmherzigkeit, prałat), czy Bóg jest chorobą, a jeśli nie, to czym, u diabła, jest właściwie Bóg? — a przy tym pobrzękiwał orderami, które prałat nosił na sutannie, była wśród nich nawet stara jak świat odznaka przyznawana za przełamanie blokady. Potem reporter radiowy z Bad Tolz opowiadał mu jeden po drugim świńskie kawały, błyskawicznie zawarł też znajomość z pewnym starym bojownikiem spod Pirmasens⁹, którego z czystego entuzjazmu całował po rękach, wszak był przecież pod Pirmasens, czyż to nie wzniosłe, tyle że niestety zarazem obrzydliwe, gdyż rzeczywiście zaczęło mu się zbierać na wymioty. Stary bojownik powiedział, że nadal jest romantykiem, ale błękitnego kwiatu szuka teraz raczej w karcie win, co naturalnie było niesamowicie dowcipne. Natomiast profesor antropologii ze strasburskiego uniwersytetu „Wierny Heinrich” wyjaśnił mu trudny problem związany z szyzmyką, która była właściwie okiem ciemieniowym służącym

⁹ *Miasto w Nadrenii, które pierwsze powstało przeciwko rządowi separatystów w latach 1923-24.*

do magicznego widzenia, a całkiem jeszcze ponętą frauenschaftsfuhrerin z Horde o wręcz wyzywających poślądkach, która ni stąd, ni zowąd usiadła mu na kolanach, opowiadała chichocząc, że jest uciekinierką i miała wypadek na trasie szybkiego ruchu w Zagłębiu Ruhry, gdzie wpakowała się w okropny karambol, jej volkswagen został przy tym mocno uszkodzony, ale ten słodki facio — blady, kościsty młodzie-

Brunatna rapsodia

niec o zniszczonej twarzy („Moje nazwisko Treffz, Detlev von Treffz”) — przygarnął ją do swojego wozu, miał porsche'a, a potem do piersi („Musi pan wiedzieć, że dzięki mnie Ingold wic, co nosi w portkach”), teraz zaś para kochanków wybierała się do kuzynki słodkiego facia, która wyszła za mąż w Heiligenbeil nad Frisches Haff¹⁰, tereny w pobliżu Morza Bałtyckiego to chyba dobry kierunek dalszej ucieczki. Czemu nic. Z kolei szef działu reklamy nadreńskich piwnic szampana, w dodatku hodowca dzikich koni, siwe włosy, zakola czołowe, zdecydowana, silna twarz, głębokie orle spojrzenie, który, kiedy serdecznie przepili do siebie, zaprosił go do toalety („... jesteśmy chyba samowystarczalni, czyli w normie...”), w czterdziestym drugim roku był strażnikiem w Auschwitz — oczy mu błyszczały wesoło od wypitego alkoholu — i wówczas po każdym okrążeniu, jakie musieli robić „plamiści¹⁴ i inne cięższe przypadki, był dodatkowy przydział papierosów i rumu jamajskiego, nigdy już papierosy i rum nie będą mu tak smakować. I ta delikatna jasna szatynka o lubieżnych ustach kijanki i ze sztucznym biustem pod sweterkiem! Była stenotypistką („czystotypistką“, powiedziała, a jej czystość, to znaczy błona dziewczyna, dodała, jest jeszcze nietknięta) w Euratomie w Spirze, na lekkim rauszu gadała jak najęta o elektrowniach jądrowych,

¹⁰ *Obecnie: Mamonowo nad Zalewem Wiślanym.*

wych, o paliwach kopalnych, konwencjonalnym wytwarzaniu energii cieplnej, znała wszystkie ceny węgla opałowego w j.o., czyli jednostkach obliczeniowych kontrolowanej przez Bank Rzeszy Europejskiej Unii Walutowej, za tonę („za to“, mówiła), odbiór w kopalni, a także ceny skał bitumicznych z United

Brunatna rapsodia

Vassal States of America i porty europejskie, wszystko znała na pamięć, całkiem przyjemna osóbką, w głowie miała nawet dolną cenę oleju opałowego, odbiór w rafinerii, w j.o./t oraz jego ekwiwalent w węglu kamiennym. („Przy czym“, słowa tryskały z jej ust jak z gej zera, „ekwiwalent ciepła oblicza się w wysokości 10500 kcal/kg dla oleju i 7000 kcal/kg dla węgla“). Wprawdzie wszystko to było mu dokładnie obojętne, żeby nie powiedzieć, że mu wisało, lecz było mu przy niej dobrze, mógł się o nią oprzeć, pobawić trochę jej pip-pip, poza tym pachniała tak przyjemnie i świeżo, a plecy miała chude i dziecinne i całowała nieśmiało zniszczonymi wargami, które były wąskie i twarde i nic chciały się otworzyć. Hollriegl całował ją często i długo, żeby przerwać to biurowe gđkanie. Był także dziwnie zbudowany człowiek, o długim tułowiu i krótkich nogach, bez wątpienia jakaś wybitna osobistość, w horrendalnie drogim futrze z norek — co podkreślił od razu — który przypominał mu... tylko właśnie, kogo? (Ależ tak, jego wychowawcę, starego Tartaglię!) Ów tajemniczy osobnik, siwowłosy, opalony, wracał akurat, jak mówił, prosto z podróży przez Engadynę, Diavolezzę, Corvatsch, Val Saluver i tak dalej. Miał lekko obłąkany wzrok i uśmiechał się opuszczając nisko kąciki ust. Jak wspomniano, wybitna osobistość. Był, jak opowiadał, dyrektorem owej hiszpańsko-marokańskiej spółki akcyjnej „Hisma“, która w 1936 roku przetransportowała drogą powietrzną oddziały Franco z Maroka na fronty wojny domowej. („Mojego nazwiska wolałbym panu nie wymieniać“). — Dobry Boże, Tartaglia! Jakie to wszystko było odległe! Dawno zapomniane! Tartaglia, zatwardziały stary kawaler, niemiecki, historia i geografia. Urodzony w Trieście, honorowy przewodniczący Związku Hodowców Sznaucerów

i Pinczerów w Urfahr. A koledzy ze szkolnej ławy — co stało się z nimi? Rozsypani po świecie, ten i ów już nie żył, zaginął, padł. Pamiętał wszystkie nazwiska w alfabetycznej kolejności, jak w dzienniku klasowym: Brill, Gale, Christlieb, Dragono, Feichtinger, Frumm, Gaugela, Guldenschuh (Żyd), Halbritter, on — Hollriegl, Hraby, Hullndonner, Innocenti, Kernmayr, Krćal, Kutschera, von Lebzelttern, Magenschab, Naderer, Nemećek, Nosingerweis (Żyd), Paar, Pervesler, Pindur, Populorum, Riedl, Schilhab, Schmerzl, Smolka, Spazierer, Spingarn (Żyd), Staudenherz, Vaik, Walch, Wranek, Zwerenz — i jedyna dziewczyna w klasie: Gritti Ledwinka.

Psiakrew, ależ bolała go głowa! Na kilka minut zamknął oczy, w których czuł piasek, w skroniach zaczęło mu walić jak młotem. Panienska z biura odsunęła się, rozmawiała teraz z innymi, mógł więc złożyć na blacie obolałą głowę. Spać, spać, nie wiedzieć o niczym! Czuł się wyjątkowo podle pod każdym względem; hałas, wyziewy alkoholu, dym — od tego wszystkiego chciało mu się rzygać!

Gdzie jest Axel? Z wielkim trudem Hollriegl usiłował zebrać myśli, widzieć i rozumieć jasno. Chłopiec zniknął! Gdzie, przy którym stole go zostawił? Rozejrzał się dokoła. Koszmar! Same obce, zwierzęce gęby. Nie było nikogo spośród ludzi, którzy ugościli ich na początku. Zrozpaczony ryknął — Axel! — I jeszcze raz: — Axel! — Panienska z Euratomu znów przysunęła się do niego i objęła go, ale odepchnął ją od siebie.

Axel zniknął!

Mdłości i zawroty głowy. Sztywny kark. Skurcz powieki. Rozpacz. Kiedy chciał się podnieść, nogi odmówiły mu posłuszeństwa, czuł, że są zimne i sztywne. Wstrząsnął nim dreszcz

przerażenia, pot ściekał mu po czole. Jęknął tylko: — Axel — i opadł z powrotem na ławkę. Gwar wiciu zmieszanych głosów huczał nad jego głową.

— ... zapewnić dodatkowe dostawy w tym asortymencie... to przecież szaleństwo... chce pan wdychać cyklon B?... pro-stata, moje panie!... wyraźny brak ducha bojowego... oto i on, mój ślubny małżonek... jasne, stary... panienko, a gdzie pani ma swoją HKL¹¹?... Ech, staro wyglądasz, ojczulku, co?... nadal uważam, że trzeba dać im łupnia, to się wycofają... nie chcę za nic w świecie... zawsze walczyłem o atmosferę mobilizacji w zakładzie... no, dziadku, wychył swoją szklaneczkę!... musimy to tymczasem wyłączyć... a jeśli nawet... miałeś szczęście... ja oszaleję!... co to ma znaczyć?... och, ale z pana lubieżnik... urządzą pogrzeb z wielką pompą... popatrz, grubasku... zakładając,, że... nie udawaj, laleczko... pasuje jak ulał... może koniaczku?... wtedy użyjemy po prostu broni klimatycznej albo gazów paraliżujących i po krzyku... nie ma o czym mówić... zabierz tę łapę!... szkoda sztucców... stary pokurcz z pana, hańba germańskiej rasy... pewnie miał sobowtóra... mam ci od razu... a teraz siusiu i do łóżka... pośpiesz się... coś przeciwno?... naprawdę nie mogę, mam właśnie okres... smakosz z pana... pomyśl tylko!... za piętnaście fenigów... że niby co jeszcze powinienem wiedzieć?... ten chłopak to śpiący królewicz... czyście pogłupieli?... jestem wypompowany... u ciebie o miłości nie może być mowy... on już od dawna nie ma ikry w sobie... co, ten głupi malarz?... to dopiero była bomba!... Niebo błękitne, biały jest koń, czarna jest dziura, wejść musi w nią... prosto w pysk... Emmi to przecież bruzda dla nasienia

¹¹ *Hauptkampflinie — główna linia bojowa.*

pana betriebsfuhrera... zobaczymy... chyba zwariowałaś!... aua, kochasiu, to nie peruka!... były amant pierwszej szczeliny lodowcowej w Rzeszy¹²... ej, powiedz no, czy ty aby nie zmyślasz, co?... ceny używanych samochodów ostro idą w górę... ależ oczywiście!... Irmgard miewa humory, nic jest już zresztą pierwszej młodości... trzeba wyłożyć lekką rączką sześćdziesiąt tysięcy marek... żona Fritza puszczała się wtedy na prawo i lewo... i nikogo to nie rusza... dwa melony, dwa melony!... chętnie udzielam jej wsparcia finansowego... bo gdyby od razu udało mi się trafić do Minpropy... ach, Waldemarze, masz taki sprężysty zwis!... u bab z reguły chodzi o to, żeby i na górze, i na dole było mokro... pewnie fantastyczna sztuka... rozdzielono tysiąc masek gazowych, bo najpiękniejsza maska nic jest nic warta, jeśli... flądra z niej, jakby żywcem wyjęta z książki... dziewczyno, ach, dziewczyno, jakże kocham cię!... wszystko brednie!... są gusty i guściki... święty Boże nie pomoże...

Głupi malarz! Rzeczywiście ktoś tak powiedział, miał celność powiedzieć coś takiego! Który to łajdak? Hóllriegl ujrzał oczyma duszy, jak, rozbłyskując niczym piorun, wystrzela w niebo ogromny grzyb atomowy, lecz potem przypominało to raczej erupcję błota i szlamu — wulkan ziejący błotem — wyzwiska, najstarsze, najbardziej wymyślne, najpodlejsze, wytrysnęły z głębi i rozpryskując się spadały dookoła. Gównno! Czy i Gundlfinger nie mówił czegoś podobnego? Ze to, co najstarsze, najbardziej zapomniane, wypływa znowu na wierzch. I oto nagle — to było cudowne, wspaniałe! — całe zjawisko rozrosło się, rozkrzewiło, rozgałęziło w drzewo życia. Wspaniałe, po trzykroć wspaniałe! Ale to nie było drzewo życia, tylko drzewo genealogiczne Fuhrera, które wisało u niego na i które

Brunatna rapsodia

¹² *Reichsgletscherspalte* — przezwisko reżyserki Leni Riefenstahl, która kręciła m.in. filmy o tematyce górskiej i na zlecenie partii.

znał na pamięć. Hitler Alois, urzędnik celny, później rolnik, i Polzl Klara, obydwójce zmarli w Leonding. Hiedler Johann Georg i Schicklgruber Maria Anna, obydwójce zmarli w Strones. Polzl Johann i Hutler Johanna, obydwójce zmarli w Spital. Huttler Martin i Goschl Anna Maria, również zmarli w Spital. Hutler Johann i Decker Eva Maria, także obydwójce zmarli w Spital. Schicklgruber Johann, chłop ze Strones, i Pfeisinger Theresia z Dietreichs... Rdzennie zdrowa, niemiecka, wschódniomarchijska chłopska krew z Waldviertel! A ci zbrodniarze tutaj znieważają największego z wszystkich Niemców! — Głupi malarz! Który to powiedział? Musi go wyrznąć w gębę, aż tamtemu zagrzechocze w mózgowicy! Ale gdzie jest Axel? Axel! Axel!

Hollriegl podniósł się powoli na chwiejnych nogach, obiema rękami trzymał się za głowę. Gdzie był? Sporo wysiłku kosztowało go otwarcie powiek i niezamykanie oczu. Znów wszystko było nieostre i miało fioletowe kontury. W skroniach czuł kłujący ból, musiał też pokręcić dłońmi w nadgarstkach, bo stawy miał sztywne i pozbawione czucia. Było mu zimno.

Nikt nic zwracał uwagi na jego poczynania. Tak jak wcześniej przyglądał się innym z uczuciem nieprawdopodobnego oddalenia. To wszystko było karykaturą, snem, urojeniem. W drugiej izbie wystawiono na licytację jakąś kobietę, na to przynajmniej wyglądała. Była młoda i ładna, i bardzo pijana. Opszenicznych blond włosach jak jego Bursztynowa Czarownica, tyle że dużo młodsza. Chwiejąc się stała na stole na swych szczupłych nogach, podpierana przez wiele rąk, bo inaczej przewróciłaby się i spadła. Jakiś mężczyzna o sinoczerwonej

twarży i skórzastym karku — znał go przecież — bez przerwy coś wykrzykiwał, widać było tylko, że otwiera gębę i zamyka. Nie sposób było zrozumieć pana licytatora, lecz każde jego słowo kwitowano ryczącymi wybuchami śmiechu.

Głupi malarz! Musi dać komuś w pysk, i to zaraz. Zawrzała w nim wściekłość. A może to był tylko sok żołądkowy? Ukarać dla przykładu, nauczyć moresu! Przecież Fuhrer dopiero co — no właśnie; od ilu dni Fuhrer nie żył? Którego jest dzisiaj? Ech, wszystko jedno. Ale teraz musiał szybko coś zrobić, obojętne co, coś drastycznego, odprawić sąd, ta hołota zapomniała już, kim był Fuhrer. Wystarczyło, że na obszar Rzeszy spadły dwie śmieszne bombki atomowe, a te sprzedawczyki zapomniały, kim był Adolf Hitler. Odprawi nad nimi sąd!

Rozegrało się to błyskawicznie. Z zaciśniętymi pięściami Hollriegl zatoczył się w kierunku prowadzącego aukcję. Pannienka z Euratomu krzyknęła piskliwie, strząsną ją z siebie jak pchłę. Złapał osobnika o skórzastym karku, od tyłu za ramię, a kiedy ten się odwrócił, uderzył go z całej siły w twarz. Twarz była miękka i wiotka, przez sekundę poczuł źle wygolone policzki. Uderzył ponownie, i jeszcze raz. (Drań może po raz ostatni w życiu sprzedawał ciasteczka!)

Wszyscy rozpierzchli się i zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Hóllriegla schwycono za kołnierz, odciągnięto do tyłu, po czym rzucono nim jak piłką na wszystkie strony, a w końcu ktoś przycisnął go do ziemi i uklęknął mu na brzuchu. Założył chwyt i zaczął go dusić. Hóllriegl słyszał własny ciężki oddech, zimna wściekłość i wysiłek otrzeźwiły go w jednej chwili. Błyskawicznym ruchem przetoczył się na brzuch. Najpierw spróbował się oswobodzić za pomocą znanego z SA chwytu „chodź

ze mną“, a następnie zastosował „chwała ci wodzu“. Trzeszczały stawy, a może były to kości łamanych palców? Cios napiętkiem w podbródek przeciwnika, uderzenie kantem dłoni w łokieć, kopnięcie w twarz. Spojrzał w nabiegłe krwią oczy jakiegoś obcego. Cios kantem dłoni w nerki — przypominało to niemiecką musztrę. Stęknienia, jęki, odgłosy bólu.

Nad nimi wybuchnął straszliwy tumult, deptano po ich ciastach, Hóllriegl miał wrażenie, jakby rzucił się na niego cały świat, a mimo to nic nic czuł. Axel! Axel!

Próbował wczołgać się pod stół. Schronić się, uciec! Axel! Axel!

W ustach czuł obrzydliwy metaliczny, słodkawy smak. Ujrzał jeszcze, jak ludzie rzucają się na siebie i że przewrócono stół. Ktoś kopnął go w kark, płomień bólu z sykiem przeszył jego mózg. I nagle światło zgasło. Nastąpiła noc — i nie było już nic.

*Pogrzeb w A Śmierć i Otchłań wrzucono do jeziora ognia.
To jest śmierć druga...*

Apokalipsa św. Jana, 20, 14

17 listopada: zimowo chłodny niedzielny poranek. Przez całą noc szalała burza; wychodzące na zachód okna w mieszkaniu Hóllriegla trzęsły się porządnie. Ale już wczesnym rankiem nie było żadnych chmur; nad Heydrich sklepiało się blade, wymiecione do czysta niebo, wzeszło promienne słońce. Hitlerowa pogoda, pomyślał z rozrzewnieniem Hóllriegl, spojrzawszy w górę. Wysoko w błękitnie wisały smugi kondensacyjne.

Przez całą noc nic zmrużył oka. Niezależnie od hałasu powodowanego przez burzę, głośno było także na ulicach. Od godziny trzeciej nad ranem ciągnęły nieprzerwanie przez miasto nie kończące się kolumny marszowe, które wyruszyły ze swoich stałych kwater, koszar i biwaków SS (te ostatnie nosiły honorową nazwę „taborów“), ażeby w dokładnie wyznaczonych punktach zająć pozycje dookoła Kyffhauser. Drogi dojazdowe były zakorkowane, a w samym Heydrich tłoczyły się tłumy

ludzi; wychodzenie z domu nie było raczej wskazane. Nic zważając na terrorystyczne ataki, ze wszystkich okręgów masowo pielgrzymowano do Kyffhauser, pieszo, samochodami, koleją, często w bardzo uciążliwych i niebezpiecznych warunkach. Reichsbahn dokonywała cudów. Odprawiono setki pociągów specjalnych, pomimo zniszczenia ważnych odcinków sieci kolejowej dowóz wszelkich formacji przebiegał wzorowo.

Także młodzież licznie przybyła na uroczystości pogrzebowe: z sześciu klasycznych obergebiete¹ wyruszył marsz gwiazdzisty, tradycyjny marsz imienia Adolfa Hitlera towarzyszący zwykle zjazdom partii; mówiono nawet, że niektóre hufce HJ i chorągwie Jungvolku natychmiast po ogłoszeniu żałobnej wieści wyruszyły do Goldene Aue, mimo że Kópfler dopiero 11 listopada na forum Rady Rzeszy podał do wiadomości, iż Fuhrer zostanie pogrzebany w Kylfhauser.

Poza tym stało się coś dziwnego — albo wisiąło w powietrzu. Od sobotniego południa umilkł szcęk oręża; a może tak tylko się wydawało? Czyżby wróg uszanował zmarłego Fuhrera, wielkiego sprzymierzeńca z drugiej wojny światowej? Nie chciał zakłócać pogrzebu? A może Japsy nagle zrezygnowały? Zgodnie z tym, co wiedział Hollriegl (co wiedzieli wszyscy), wyspy japońskie, Chiny, Mandżukuo i inne części zajętego przez Japończyków kontynentu znajdowały się pod najcięższym ogniem odwetowym. Nie było tajemnicą, że co najmniej cztery bomby wodorowe dosięgły celu. Tym samym Wschód musiał być praktycznie wyłączony. Faktom tym nie dało się zaprzeczyć — prócz tego krążyło naturalnie wiele plotek, gdyż każdy opowiadał co innego. (Tak więc Hollriegl usłyszał z wszelkimi ozdobnikami, co prawda z pewnego źródła, a mianowicie w Parlamencie, relację o buncie Luftwaffe, o którym

wspomniat już agent od środków piorących w schronie przeciwlotniczym w Sauckelruh). Skąpe informacje przekazywane przez radio nie były dostatecznie spójne ani jasne; dotychczas nie nadano jeszcze żadnego podsumowującego komunikatu Wehrmachtu o sytuacji, tylko pojedyncze meldunki specjalne. To było zastanawiające, a właściwie uspokajające. Choć z drugiej strony w tym milczeniu oręża czuło się coś niesamowitego. Jakby z każdą chwilą zbliżał się jakiś koszmar.

¹ *Obergebiet — najwyższa jednostka organizacyjna Hitlerjugend.*

Mam zszarpane nerwy, pomyślał Hollriegl, a poza tym jestem po nie przespanej nocy. Było mu zimno. W mieszkaniu ciągnęło lodowatym chłodem, gdyż Burjak zniszczył ogrzewanie elektryczne. Burjak! Pod nieobecność Hollriegla dał drapak. Zwędził przy okazji jego brunatną koszulę oraz starą bluzę od munduru SA razem z czapką (sturm 46/standarte 107, czerwono-brązowe patki kołnierzyka). Wyglądało na to, że z dawnego ubioru zostawił sobie tylko drelichowe spodnie, wyróżnik robotnika przymusowego — trudno wprost uwierzyć! Oprócz tego brakowało podbitej futrem wiatrówki, wojskowych butów i starego tornistra, również z czasów studenckiej SA. Spiżarnia była wymieciona do czysta, zniknęły także kartki żywnościowe — odcinki przeznaczone na podróże służbowe. Hollriegl złożył przepisowe doniesienie w komendzie policji i w domu partii i podał dokładnie do protokołu wszystko, co wiedział. Dobry Boże, czyżby tak mu się tylko wydawało? Dyżurujący urzędnicy słuchali go z roztargnieniem, zanotowali dane i potraktowali całą sprawę — takie odniósł wrażenie — w czysto mechaniczny sposób. Żeby mógł pobierać żywność, otrzymał legitymację zastępczą.

Nie pozostało mu nic innego, jak zainstalować rozklekotany

żelazny piecyk, tak zwaną kozę, z rurą wyprowadzoną przez okno. Piec ledwo grzał, a w dodatku ogień gasł co chwila. Hollriegl miał jednak również inne powody do rozgoryczenia. Wrócił do domu pewny, że będzie na niego czekał przydział mobilizacyjny. A tu nic! W skrzynce znalazł tylko plik listów od pacjentów. Co się stało? Czyżby zapomniano o nim lub może chciano go odsunąć na bok? Czyżby mu nie ufano? Wszak był przyjezdnym, panem Heiminsreichem. Psiakrew! W dodatku Burjak roztrzaskał kineskop telewizora, co Hóllriegel odczuł najdotkliwiej. Telefon i radio były nie uszkodzone, działały normalnie, wyglądało na to, że ktoś przeszkodził podczłowiekowi w dziele zniszczenia. Działo także oświetlenie i maszynka elektryczna — maszynka dawała nawet ciepło.

Hollriegl włączył radio. „Fehrbelliner Reitermarsch“, a zaraz po nim „My wilki wyjemy do nocy“.

Nigdy by się otwarcie nie przyznał, nigdy nie mógł się przyznać, nawet przed dobrymi znajomymi, do tego, że traktował Burjaka „przyzwoicie“. Teraz gryzło go to. Tutaj także zawiódł. Postępował wobec Burjaka tak, jakby mu przysługiwał status hiwi, a nie niewolnika. Hollriegl bardzo często czynił sobie z tego powodu wyrzuty. W sposobie, w jaki traktował Burjaka, ten łotr musiał dostrzec oznakę słabości. On, Albin Totila Hollriegl, nigdy nie będzie prawdziwym członkiem rasy panów, nigdy nie będzie zdolny panować nad innymi. Ani nad Ullą, ani nad Anselmą — ani nawet nad swoją Ingrid. Ta ostatnia była mu co prawda uległa jak pies, ale tylko dlatego, że raz w tygodniu brał ją do łóżka.

Jakie to wszystko było obrzydliwe! Swojego volkswagena stracił tuż przed Bergą. Uszkodzony wóz leżał teraz pewnie w rowie, obok innych wraków, na głównym szlaku ucieczki

w kierunku północno-wschodnim. Karambol — rozbity silnik. Jakiś osioł jadący za nim uderzył w niego całym pędem. Do tej pory huczało mu w głowie, ale głowa rwała go już przedtem. Same straty! I Axel! Myśl o chłopcu sprawiała mu ból. Prawie taki sam jak myśl o Ulli... Landgrafie, bądź twar-
dy!

Od razu poszedł do Kummernussa, już choćby z powodu skradzionej broni. Kummernuss, samotny, bo rozwiedziony (orzeczenie rozvodu z uwagi na bezpłodność), leżał w łóżku z twarzą wykrzywioną bólem, dopadły go właśnie jego słynne kurcze mięśni łydek. Jeszcze nie doszedł do siebie. („Komplikacja: grypowe zapalenie opłucnej”). Jego niewolnik, pół-idiota z Bukowiny, był jeszcze na miejscu. Obok łóżka wisiał harap.

Omówili sytuację. Kummernuss, który służył w Sturmie Łączności, przyznał bez owijania w bawełnę, że nie ma pod ręką zapasowego auta. Znał jednak pewnego rottenfuhrera SS, który pracuje jako mechanik samochodowy w Sturmie szkoleniowym motorstandarte 86 w Sonderhausen, on prawie na pewno będzie mógł zorganizować volkswagena, co prawda rocznik 58, a może nawet zdatnego jeszcze od biedy do użytku opła-kadeta. Prawdopodobnie uda się też załatwić coś zamiast cennej mapy drogowej. A w najgorszym razie Hollriegl mógłby wziąć jeden z wozów służbowych „Kyffhauser-Bote“ — to zresztą byłoby chyba najrozsądniejsze z uwagi na coraz mniejsze przydziały paliwa.

Nagle Kummernuss, który przez cały czas masował sobie łydkę, przybrał skupioną minę. Może nie tyle jakiegoś myśliciela, ile kogoś, kto wytęża umysł przy rozwiązywaniu krzyżówek.

Brunatna rapsodia

— Przypominasz sobie, stary, że U 209 trafił nad Pacyfikiem japoński bombowiec i przy tym doszło ponoć do eksplozji atomowej. Znaczy to zatem, że Japs miał na pokładzie bombę atomową, jedną z tych najmniejszych, i przypadkiem ją zrzucił. Dla nas to był pretekst, żeby zaatakować tą samą bronią. Pretekst, rozumiesz.

Niespodziewanie popadł w zadumę i przez chwilę intensywnie nad czymś rozmyślał.

— Nie, zasranym pistoletem nie ma się co przejmować. Załatwię to przez mojego szwagra albo przez szefa stapo² w Parlamencie, Vitzdumma, znasz go przecież. Tymczasem weź sobie któryś z moich gnatów...

Włączył radio.

² *Staatspolizei — Policja Państwowa.*

„... na podstawie dodatkowego zarządzenia do rozporządzenia o ochronie środowiska naturalnego z 18 marca 1936 roku zabrania się od tej pory uszkodzania lub usuwania ze stałego miejsca następujących rosnących dziko gatunków roślin...”

Ta właśnie uwaga Kummernussa nie dawała mu teraz spokoju. (Niewiele brakowało, żeby kolega powiedział: „Trzeba być bardzo naiwnym, żeby w to uwierzyć“). Już po raz trzeci rozpalał dzisiaj ogień w piecyku. Dużo dymu, mało ciepła. Potem zaparzył sobie rumianku i ugotował owsiankę z suszonymi owocami. O każde głupstwo musiał się troszczyć — Ingrid, gdy miała wolne, zobowiązana była do służby w NS Frauenschaft*. Najgorsze, że od czasu tej idiotycznej pijatyki w zajeździć cierpiał na biegunkę i bał się wyjść na miasto. Go chwila musiał gonić do ubikacji.

Pocztę od pacjentów — skargi na prostatę, węzły rakowe, impotencję, kurcze naczyń, zaburzenia snu — przejrzał tylko pobieżnie z uczuciem pogardy. Największa świętość, Rzesza, była w niebezpieczeństwie, a ludzie martwili się tylko swoimi bólami i dolegliwościami. Od jego powrotu korespondencja leżała nie załatwiona na kanapie. A na dole w gabinecie piętrzyły się stosy druków, instrukcji i czasopism, których nawet nie przejrzał. Na nic nic miał ochoty, ciągłe rżnięcie w brzuchu popsuło mu nawet przyjemność słuchania radia.

Od Hindenburg-Chaussee dobiegały rytmiczne okrzyki. Mimo że władze zarządziły, by marsze odbywały się w milczeniu, i w radiu odczytany został apel Kópflera o uczczenie tego wielkiego dnia w godnej formie, czyli w ciszy, wszędzie dochodziło do spontanicznych politycznych manifestacji, zwłaszcza wśród grup zagranicznych. Także szpalery zachowywały

³ *Przybudówka NSDAP zrzeszająca kobiety.*

się mało powściągliwie. Tym razem Hollriegl usłyszał skandowany miarowo slogan narodowy Amerykanów, będący zarazem zawołaniem bojowym minutemenów: „Commercial! Commercial! Commercial! Commercial!” Odpowiedzią były, równie rytmiczne, okrzyki „Sieg heil“.

Węgiel znacznie chyba wreszcie skutkować — jako adept przyrodolecznictwa nie tolerował, rzecz jasna, żadnych „chemicznych świństw“ — doktor Senkpiehl między czwartą a piątą miał przyjechać po niego samochodem. Właściwie specjalnością Senkpiehla było badanie niemieckiej duszy, lecz na dzień pogrzebu dostał przydział mobilizacyjny jako lekarz ogólny. W tym charakterze miał dołączyć do miejscowej kolumny sa-

Brunatna rapsodia

nitarniej, tak więc może uda się Hóllrieglowi zobaczyć choćby wycinek uroczystości pogrzebowych. W ten wielki dzień leżenie w łóżku z termoforem na brzuchu było karą od Boga!

Hóllriegl miał radio stale włączone, gdyż czytać nie był w stanie, ale słuchał tylko jednym uchem. Już wczesnym rankiem podano, że do Radia Rzeszy przyłączyły się wszystkie światowe sieci, wyjąwszy naturalnie stacje obozu wroga oraz własne, znajdujące się w bezpośrednim zasięgu działań wojennych. W każdym razie wydawało się rzeczą pewną, że transmisja będzie odbierana za pośrednictwem radia i telewizji na całym świecie. Nie brakowało przy tym swoistej pikanterii. Sprawozdanie w języku angielskim przekazywać miał Sir William Joyce, legendarny spiker i komentator, znany podczas ostatniej wojny pod przezwiskiem „lord Hau-hau“. Po zwycięstwie niemieckiego oręża Joyce wrócił do Anglii, gdzie został podniesiony do stanu szlacheckiego; potem słuch o nim zaginął.

Przedstawiono także dokładny opis ostatniego stroju Adolfa Hitlera. Zgodnie ze staronordyckim obrzędem, zmarłego obleczone w „walhjamr“, pośmiertną koszulę; na nią założono mu zwyczajny mundur, brunatną bluzę, długie czarne spodnie, opaskę ze swastyką na ramię — takim świat znał Fuhrera. Na piersi zmarły miał jedynie dwa odznaczenia wojenne cesarskiej armii: EK II klasy z grudnia 1914 oraz nadany gefrajtrowi w sierpniu 1918 roku EK I klasy. Hitler w teslamencie sprzeciwił się balsamowaniu jego zwłok; podobnie nakazał, aby nie robiono odlewu jego twarzy. (Dostarczona niezwłocznie do wyższych placówek partyjnych maska pośmiertna, która zresztą natychmiast trafiła także do handlu, została zdjęta z popiersia sporządzonego za życia i odpowiednio zaadaptowana). Go dziwne: na zdjęciach w gazetach Hitler był siwy jak gołąbek.

Brunatna rapsodia

Grobowiec, wzniesiony w pobliżu pomnika cesarza Wilhelma na szczątkach zamku Kyffhausen, wykonany został według przechowywanych w tajemnicy własnoręcznych planów zmarłego. Przypominał mauzoleum Teodoryka w Rawennie, tyle że miał wręcz gigantyczne rozmiary; pod tym względem Fuhrer wydawał się wzorować na budowlach z ekranizacji *Nibelungów*. Na razie w błyskawicznym tempie wzniesiono atrakcję kolosa; przewidywano, że budowa właściwego grobowca trwać będzie całe pokolenie. Tutaj, w wyciosanej na głębokość sążnia wewnątrz góry komorze, stanie skromna trumna dębowa ozdobiona jednym tylko wieńcem laurowym — wawrzynem z rostry na Forum Romanum, na której spalono zwłoki Cezara. W bocznym pomieszczeniu natomiast miały odtąd spoczywać insygnia Rzeszy, strzeżone przez wieczną wartę przed drzwiami. Klejnoty Rzeszy, a wśród nich scytyjska złota korona z Kerczu, przewiezione do Kyffhauser z kościoła meistersingerów w Norymberdze, będą niesione przed trumną Fuhrera.

Relacje o nastrojach, meldunki o sytuacji i przemówienia. W przerwach komentatorzy radiowi wyliczali w formie nie kończących się list jednostki bojowe i organizacje, które przekroczyły granice okręgu Goldene Aue i ze wszystkich stron zbliżały się teraz do Kyffhauser. Nigdy jeszcze ten rejon, który, jak wiadomo, od kilku dni stanowił strefę zamkniętą I-A, nie gościł tylu ludzi. Tutaj nie było uciekinierów, nie było paniki, i wojny zresztą też. Przy marach największego z Niemców zebrały się pogrążone w żałobie niezliczone tłumy.

Godziny wlokły się leniwie. Humor Hóllriegla trochę się poprawił, gdy usłyszał, że przybyło wiele delegacji HJ, aby pożegnać się z Fuhrerem. HJ z Marchii Północnej, HJ z Brunszwiku, miasta Henryka Lwa, HJ z okręgów Marchii Wschod-

niej, znad Środkowego Renu, z Hesji, z Saary-Palatynatu. I masowo hufce DJO⁴, organizacji młodego niemieckiego chłopstwa warownego na Wschodzie. Wielki wymarsz pocztów sztandarowych HJ — jakże wzniósł moment! (Höllrieglowi oczy zwilgotniały, dumna pieśń z dawnych czasów wciąż wyciskała mu łzy z oczu: „Dalej, podnieście sztandary na świeży poranny wiatr!“) Wszystko to obalało plotki głoszące, iż spora część młodzieży Rzeszy — niektórzy mówili, że większa część — przeszła na stronę Werwolfu. I za każdym razem, kiedy wymieniano jego rodaków, jak właśnie teraz, przesywał go radosny dreszcz.

„... oberabschnitt SS Dunaj, na czele oberabschnittsführer Schmóllerl. Standarte Marchia Wschodnia z Verfügungstruppe SS oraz standarte Marchia Wschodnia z SS-Totenkopfverbande. Strażnicy kultury krajowej wszystkich okręgów Marchii Wschodniej. Maszerują członkowie historycznej grupy SA Dunaj, którzy w Pochlarn, czyli w Bechelaren z «Pieśni o Nibelungach», podczas wspólnej musztry i ćwiczeń otrzymali ostatni szlif przed wyprawą do Kyffhauser. Delegacje Reichssportgemeinschaft SS z garnizonów w Salzburgu, Innsbrucku i Laibach. Strażnicy sportu masowego KdF z Wiednia. Deputacja

³ *Przybudówka NSDAP zrzeszająca kobiety.*

Miasta Zrywu Narodowego, Grazu, z burmistrzem, brigadeführerem SS Seppem Schoisseggerem. Przywódcy okręgów...”

I tak to szło, istny groch z kapustą, całymi godzinami.

„Wspólnoty koleżeńskie Narodowosocjalistycznego Zrzeszenia Studentów Niemieckich i Związku Absolwentów: młodzi burszowie, burszowie i burszowie-weterani w pełnej gali. A te-

raz kierownicy polityczni, nosiciele woli partii. I oto standarte SS «Der Fuhrer» oraz standarte SS «Deutschland». Obergruppenfuhrer SS Killinger na czele swoich ludzi. Rozlegają się huczne wiwaty (wmięksowane) na cześć jednostek odwodowych Totenkopfu, którym powierza się zadania specjalne w UmL-ach. Reichsvogt terenów wschodnich, generał Waffen-SS von Bessemer. Dalsze oddziały Totenkopfu. Grupa laureatów Wielkiej Nagrody Państwowej noszących tytuł Skalda Narodu — na jej czele rozpoznajemy naszego wielkiego ojczyźnianego poetę, wspaniałego srebrnowłosego mocarza pióra, Hansa-Henninga Weinholda (wiwaty) oraz tegorocznego laureata nagrody imienia Josepha Goebbelsa, Utza Samunda Gripera. Brunatne Siostry z NS-Volkswohlfahrt Wonnegau. Nadburmistrz Wornacji, Horst Bagge. Długie Chłopy z berlińskiego pułku gwardii «Stary Fryc» — dzwonki niesie potężnego wzrostu gefrajter w dawnym pruskim mundurze. Deputacja Gwarectwa Rzeszy. Mężczyźni i kobiety z Reichsluftschutzbundu⁵ w kombinizonach ochronnych i maskach przeciwgazowych z przywódcą RLB Ingomarem Wunderlichem na czele. Izba Niemieckiego Prawa z Monachium, reprezentowana przez delegację pod przewodnictwem prezesa Sądu Najwyższego, doktora Manfreda Sittego. Prezes Krajowego Trybunału Zagród Dziedzicznych w Celle, doktor Jurgen Schoiswohl. Załoga statku kosmicznego «Managarmr», co znaczy Połykacz Księżyca. (Znów wzmagają-

⁵ *Związek Obrony Przeciwlotniczej Rzeszy.*

ce się wiwaty). Rektor Wyższej Szkoły Ćwiczeń Fizycznych w Lipsku, doktor Giso von Jahn-Hagel. Niemiecki Front Gimnastyczny, reprezentowany przez...“

Musiął pożyczyć trochę owsianki od sąsiadki, przedwcześnie emerytowanej nauczycielki prac ręcznych, nazwiskiem Eberlein,

Luitgard Perchta Eberlein, towarzyszką partyjną od 1931 roku i żarliwej militarystki. Jego owsianka się skończyła — „wyszła”, jak mówiono tutaj na prowincji. A od wczorajszego południa wszystkie sklepy były zamknięte. Panna Eberlein pozostała mu wiernie oddana w swoim staropanieństwie — pocziwa dusza. (Z pocałowaniem ręki poszłaby ze mną do łóżka, myślał często. Ale „w tym względzie” nic chciał mieć z nią nic wspólnego. Dlatego dystans, dystans!) Kiedy pewnego razu cierpiał przez dłuższy czas na obstrukcję — biegunkę miewał na przemian z zatwardzeniem, po prostu byłznaczony piętnem wegetatywnym, jak zwykł mawiać Senkpiehl — robiła mu nawet zakupy. Przy okazji omal do czegoś nie doszło. Dlatego dystans!

„... flagi i sztandary, chorągwie bojowe ruchu, wszystkie przewiązane czarną krepą. Bądźcie twardzi, koledzy, bądźcie twardzi, nie dajcie nic poznać po sobie — wszak macie w oczach łzy, wy, mężczyźni! Tak z wami źle, zaprawieni w bojach wojacy? Nad nimi chorągwie, powiewające w porannym wietrze — nasz Fuhrer nic może ich już zobaczyć! — I każdy z was przysięga: Rozporządzaj nami, Hitlerze pośród gwiazd! Również za te gorzkie chwile dziękujemy ci! Należymy do ciebie, jak do tej pory, tak i po wszystkie wieki! Naszym jedynym celem: Wieczne Niemcy...”

„... ale kiedy zapytać tych wszystkich hitlerjungen, co się najbardziej liczy w tym marszu do Kyflhauser, co jest jego najgłębszą treścią, to odpowiedź brzmi zawsze: Nasz sztandar, który niesiemy do Fuhrera! Dumni jesteśmy, niezmiernie dumni, że możemy ponieść te święte sztandary kawałek w wieczność, do ciebie, Adolfie Hitlerze! A czasami, kiedy wiatr nimi łopocze, wtedy wydaje się, jakby chwyciła je twoja ręka...”

tam, gdzie żarzą się wielkie piece i dymią kominy, na wybrzeżach, gdzie fale rozbiegają się po piasku, na wrzosowiskach i w lasach, w wielkich miastach i w najmniejszej wiosce równali krok wyruszając do Heydrich. Ten marsz, którego nie potrafiły powstrzymać żadne szlabany, żadne bomby ani żółte diabły, żadna choroba ani śmierć, jest równocześnie wyrazem zwartości i siły bojowej naszego... nordycki człowiek budzi się na nowo jakby z tysiącletniego snu. Nowymi oczyma ogląda świat, który za sprawą śmierci Fuhrera i założyciela Rzeszy zaczyna się zmieniać. Nordycki olbrzym uświadamia sobie, że żył utłudą... pośród rozbrzmiewającej wokół wrzawy wojennej, pośród huczących fal groźnych przepowiedni i ciemnych zamiarów, w świecie pełnym żądzы krwi i chciwości ta góra Kyffliauser, góra Fryderyka Rudobrodego, jest oazą pokoju i naszej zadumy nad sobą, zarazem jednak zamkiem warownym, skałą, na której...”

Hollriegl zapukał do nauczycielki — nadal był jakby nieprzytomny. Stara panna otworzyła mu z wahaniem, drżała jak osika. Gzy on także już wie? Co takiego miałby wiedzieć?

— Fuhrer... to jakaś nieczysta sprawa.

— Fuhrer... i co dalej?

— Fuhrer... — Jej głos zniżył się do ledwo słyszalnego, ochrypłego szeptu: — ... nie umarł śmiercią naturalną. — (Hollrieglowi z miejsca stanęła przed oczyma scena u „podziemnych”. „Proszę posłuchać, co panu powiem, i przekazać to dalej...”) Eberlein była bliska omdlenia, Hollriegl musiał ją podtrzymać i odprowadzić do pokoju, gdzie było tak przytulnie i czysto i pachniało maścią rozmarynową. Nie brakowało rzecz jasna Brunatnego Kącika, miejsca kultu ozdobiennego godłem państwowym, portretami, hasłami („Partia myśli

za siebie“) oraz gipsowym popiersiem Hitlera w kolorze brązu, przewiązany czarną krepą; takie ołtarzyki spotykało się w wielu rodzinach — także Kummernuss, który mógł służyć za wzór, urządził sobie Brunatny Kącik, podobnie i Damaschke w swojej portierni.

— Kópller — wyszeptła nauczycielka — Werwolf... — Skąd o tym wie? — Ludzie opowiadają jeden drugiemu, wie o tym całe miasto. — Pośpiesznie dała mu owsianki i dołożyła kawałek karlsbadzkiego cwibaka, po czym wypchnęła go na korytarz. — Najchętniej ukryłabym się w mysiej dziurze, umieram ze strachu.

Usłyszał, jak zamyka drzwi u góry i na dole i zasuwają rygiel. Usłyszał także, jak wybuchnęła głośnym szlochem. Co za nonsens! Taką hołotę należałoby właściwie zadenuncjować! Należałoby! A czy o n zadenuncjował Unselda i Diebolda? A wraz z nimi „podziemnych“? I Gundlfingera? I Axela?

Nic potrafił skojarzyć żadnej jasnej myśli, w głowie mu się kręciło, jakby był pijany. I to paraliżujące uczucie sztywności karku! Właśnie zapowiadano coś wielkiego: zagraniczne delegacje. Nic sposób się skoncentrować. „Obca głowa ” pojawiała się — i znikwała. Znów słuchał tylko jednym uchem, przygotowując sobie owsiankę z owocami. „Proszę posłuchać, co panu powiem, i przekazać to dalej“. Ten udręczony, niezapomniany głos!

(Narastające okrzyki «Siegheil!») „... na ich czele przywódca Włoskiej Republiki Socjalnej, Italo Vinciguerra! (Nic kończące się okrzyki «Siegheil!» i «Eviva!». Za nim deputacja Wielkiej Rady Faszystowskiej pod przewodnictwem bohatera wojennego Ercole Farinacciego. (Okrzyki «Eviva!» i dźwięki «Giovinezzy»). Sekretarz generalny Partii Faszystowskiej, Mar-

cello Prati, z siedmioma *secretari federali*. Delegacja Milicji Faszystowskiej prowadzona przez głównodowodzącego *conte* Giorgia della Rovere — w skład delegacji wchodzi generałowie Legii Włoskiej: Nicola Lorusso, Achille Sanvitale, Ascanio Sforza, *marchese* d'Estc, Gosimo Valori, Ottavio Buzardo, Carlo Strozzi oraz dowódcy kohort: Attilo Sani, Francesco Pepoli, Basilio Dionisi, *marchese* Sergio della Santa Salsa, Giancarlo Neri, Lionello Pandone. («Siegheil! Siegheil!») Przywódca Balilli «Carlino» Granvella ze swym adiutantem Ugo Sangiorgiem. Przewodniczący Faszystowskiej Rady Prasowej, *commendatore* Lorenzo Malfoto. Honorowy prezes Fascio Berlin, doktor Jurgen von Asenwimmer...”

Wciąż próbował na różne sposoby odpędzić przerażającą myśl. Bez rezultatu. Inni, wielu ludzi, myśleli to samo. Fuhrer został... (Narastające falami wiwaty).

„... za sędziwym *caudillo*, który ma na sobie historyczny mundur generalski z 1936 roku, delegacja Wielkiej Rady Falange Espanola Tradicionalista pod przewodnictwem sekretarza generalnego partii, Ramona Cristobala Nuneza de Larra y Ortiz. Delegacja kastylijskiej arystokracji krwi pod przewodnictwem *marguesa* de las Casas i kardynała-arcybiskupa Burgos, Gaspara de Jabiru. Delegacja Zakonu Rycerskiego z Santiago pod przewodnictwem generała zakonu Jose Marii Torresa y Yazabala; w skład delegacji wchodzi rycerze: generał brygady Antonio Jose de Pcha, zwany «El Tigre», generał dywizji Francisco Bonafoux, zwany «El Huracan», *mariscal de campo* Carlos Sarmiento de Acuna, oraz generałowie: Felipe Perez de Guzman, Faustino Collaso y Gil, Julio Ruiz de Aida, Juan Manuel Duran Gonzales, Diego Saenz de Aguirre, Ruben Gasanas y Garreta oraz Domingo Martinez de Campos. (Wiwaty). Delegacja Wielkohiszpańskiej Młodzieży Państwowej

pod przewodnictwem *conde* Alonsa de Segovia. Delegacje Opus Dei i Banco Popular pod przewodnictwem... A teraz wkraczają kohorty peronistów o spiżowych nieulękłych twarzach osmaganych wiatrem i deszczem, uniesioną prawicą pozdrawiają zmarłego Fuhrera narodu niemieckiego — na ich czele generał (Grzmiące okrzyki «Heil Peron! Heil Peron! Heil Peron!»)... a za nimi gwardia dowódcy historycznej organizacji «Tacuara» oraz przedstawiciele Służby Pomocniczej Totenkopfu Odessa, Organisation der ehemaligen SS-Angehörigen, ortsruppen Buenos Aires, Santa Fe i Tucuman, a wśród nich bohaterowie narodowi: Rudel, Galland i Mengele. Zamykają kolumnę sztafety szturmowe wzbudzających strach «Pirayas» z Gujany...”

Okrzyki: „Siegheil!“ potężniejące w ogłuszający ryk, tak iż komentator musiał przerwać relację. Od czasu do czasu pojawiało się skandowane rytmicznie przez ochryple gardła z Dzikiego Zachodu zawołanie bojowe Amerykanów: „Commercial! Commercial! Commercial!“ Byli to delegaci ze Zjednoczonych Stanów Zależnych Ameryki. Jak mówił sprawozdawca, którego głos powoli znów zaczął się przebijać przez niesamowitą wrzawę, jechali wolniutko wzdłuż szpaleru w swych kuloodpornych limuzynach, wymachując kapeluszami o szerokich rondach.

„... rozpoznajemy pełnomocnika Rady Trzech Ku-Klux-Klanu, senatora Williama Washingtona Wagonnera, zwanego Dablju-Dablju-Dablju, który przybył na uroczystości pogrzebowe przez wielką wodę w zastępstwie chorego przywódcy generała Fazlollaha. Pozdrawiamy dziewięcioosobowe przedstawicielstwo związku «The Invisible Empire» w białych, przypominających burnusy ornatach i białych kapturach, sekretarzy stanu: Roya «Tarzana» Stuvengena, Barta M. Prefabbera,

Georgie Hanka Squire'a, Harveya A. Pedersena, Raila Tycoona Jaya Goulda, Glaude'a La Crosse'a, Edwarda R. Konchegula, Mackie Macbetha Hueffera i Harry'ego S. Gnome'a. Pozdrawiamy przywódcę okrytych sławą minutenemów... (Burza okrzyków «Siegheil!» i wiwatów nasiliła się w tym momencie do tego stopnia, że odbiornik omal się nie rozleciał)... Teda Akimbo; przywódcę All-American NS Organization, Johna Adolfa MacKinleya; przywódcę Aryan Crusade Movement, producenta TV Lewisa «Hi-Fi» Colorado; przywódcę ruchu «We the People», doktora Sheldoka Pryce'a; przywódcę All-American League for Racial Enterprise, Franklina «Bayarda» Skindivera; prezesa Union of Gentile American Businessmen of the South, Virgila O'Peewe'a; udziałowca i kierownika konsorcjum bankowego Hash, Dash & Cash, Gene'a «Fatso» Donohue'ego; przywódcę National Indignation Convntion (NIC"), Lloyd'a F. Kindelbergera; przywódcę YMAA (Young Men's Aryan Association) oraz All-American Hitler Youth, Irwina Jimmy'ego Guiffre'a; przywódcę okrytego chwałą American Legion, Clarence'a A. Bugaboo; przywódcę All-American Commercial Church, ojca Rhyne'a; bohatera narodowego i przywódcę weteranów... («Siegheil! Heil! Heil! Siegheil!») ... generała-majora Harolda A. Walkera; prezesa Federal Reserve Bank, Delaware'a M. Flaglera; przywódcę Teuto-American Freedom Corps, Archiego «Pepa» Guggenheima; ministra Labor Planning, Dela Pumpera; rzecznika All-American Holy Trade Association, księdza Hiram'a C. Susskinda, zwanego «Loudspeaker of the Almighty»; przywódcę «Knights of the New Order», Hughie'ego Popcorn'a Stelle'a; przywódcę związku zbrojnego «The Texas Hats», Billy'ego MacGehee — oraz prezesa All-American Chamber of Commerce, Harold'a P. Up-

degraffa. Pozdrawiamy również delegacje «Egzorcystów z Minnesoty» oraz bractwo «The Holy Killers», któremu przewodzi generał William Salem Schwob; nieustraszonych kosmonautów: S. Rangera Nitribita, Dwighta Hala Shustera i S.A. Yevdokimova; prezesa National Blood & Soil Corporation, Duncana Hee Highfalutina; nadburmistrza Nowego Jorku, Gyrysa W. Cookc'a; burmistrza Corpus Christi, Anthony'ego Mayflowera Duffielda; członka rady nadzorczej Bethlchem Steel Works, Herodesa M. Langmuira; prezesa National Broadcasting Company, Howarda A. Nettlefoldsa — oraz popularnego generała do spraw sportu Busa Hama. Poza tym pozdrawiamy deputację dzielnych «Rycerzy Kolumba», którzy zjawili się w swych malowniczych strojach: peleryna, szpada i kapelusz z piórami, a na ich czele gubernator Wisconsin, E. Neville Stronghold; wiceprzewodniczącego «MacCarthy Freedom Forum», Johna Forda O'Maille'a; ponadto... Jima «Bucka» Clewsa (potężniejące okrzyki: «Siegheil!» i wiwaty) na czele wzbudzających strach «Tłustych Karków»; przewodniczącego National Service, biskupa Cecila W. Gutheissena; profesora rasoznawstwa w Yale University, doktora Carl tona Bazooka; prezesa National Broadcasting System «The Voice of America», Gusa Boastera Andrewsa; przewodniczącego Committee for the Investigation Un-American Activities, sędziego T. Himmlera Parnella; prezesa New York Stock Exchange, Luthera S. Curba...“

Hóllriegl ściszył radio i spróbował zmusić się do czytania Schultze-Russinga, *Dlaczego wierzyć w Boga?* Schuberta lub *Przewodnika po tezach Bormanna Schneidmadla*. Nic z tego. Nie potrafił się skupić, stać go było co najwyżej na przerzucanie kartek i powierzchowną lekturę; próby poważnego samokształcenia okazały się daremne. Przykład: ledwo zaczął czytać u Russinga dokładny opis wbijania na pal, natychmiast po-

myślał o Ulli...

„... delegacja Nordiska Radet pod przewodnictwem sędziwego Vidkuna Qvislinga. («Siegheil! Siegheil! Siegheil!») Grupa młodzieży z Nordlandu, na jej czele oberhordenfuhrer Haukur Aadahl i oberjungstammfuhrer Magnus Ruud. Reprezentacja okręgu HJ Thule z Rejkiaviku z obergaufuhrerem Axelem Herjolfssonem i jego adiutantem Thorkelem Leirą. Chłopcy niosą tablicę z napisami w języku niemieckim i islandzkim: „Pochwalone niech będzie, co czyni nas twardymi”. (Wiwaty). Delegacja z Protektoratu Anglosaskiego pod przewodnictwem swego protektora, barona von Borlitz, oraz przywódcy partii i obergruppenfuhrera SS Sir Oswalda Adolfa Mosleya, obaj w otoczeniu swojej świty, zwanej «dryht». Namiestnik Rzeszy na terenach zachodnich, obergruppenfuhrer SS Karlhermann Opferkuch ze swoim adiutantem brigadefuhrerem SS Verbelem. Delegacja z Republiki Bretońskiej pod przewodnictwem Marcela Deata. Członkowie Wielkiej Rady Burgundii, na ich czele kanclerz Leon Degrelle. Pełnomocnik Rzeszy przy Głównej Radzie Koordynacji Zachodniej w Paryżu (GRKZ), generał-pułkownik Teja Hergesell. Malownicze grupy ziomkostw bałtyckich, komisarz Rzeszy generał Własow wraz z deputacjami skonfederowanych prowincji Kaukazu, Zakaukazia i Rusi. Deputacja związku zbrojnego «Ruryk» pod przewodnictwem generała brygady księcia Wasilija Łukicza Dołgorukiego. Deputacje czterech prowincji Waregów: Askoldu, Truworu, Sineus i Dir, na ich czele szef policji porządkowej na Środkowy Wschód, brigadefuhrer SS i generał-major Waffen-SS Gerhard Holste. Były generalny gubernator doktor Hans Frank. (Nie kończące się wiwaty). Przywódca DJO Wilfried Andergassen wraz ze swoim sztabem. Dowódca formacji samoobrony terytorialnej Ostlandu i przywódca chłopstwa warownego, generał-lejtnant Traugott

Brunatna rapsodia

Hreidar von Svemmel. Delegacje Frankońskiej, Burgundzkiej, Szwajcarskiej, Anglosaskiej, Fryzyjskiej i Bułgarskiej Młodzieży Państwowej ze swymi przewiązаныmi krepą flagami obozowymi i sztandarami. Delegacja Związku Młodzieży Zbrojnej «Kemal Atatürk» z Protektoratu Osmańskiego. Przedstawiciele Żelaznej

⁶ *Towarzystwo Ratowania Życia.*

Gwardii i Rumuńskiej Młodzieży Państwowej «Straja Tarii». Delegacje strzałokrzyżowców z Atlinik (jak teraz czasem nazywano Budapeszt) i Horthy-Varos. Poglawnik Chorwacji i Słowenii, doktor Ante Pavelić, ze swymi adiutantami: Stanko Bogdanem i Damjanem Skopiciem. (Potężniejszą wiwaty i okrzyki «Sława!»). Generał czetników Platon Grgić oraz grupa wysokich dowódców czetników i ustaszowców. (Wiwaty i okrzyki «Sława!»). Gwardziści Hlinki ze Słowacji w swych historycznych mundurach. («Sława! Sława!»)... A teraz szeregi Burów! («Siegheil! Siegheil! Siegheil!») Na przedzie delegacja Rady Starszych Afrikaander-Republik, czyli związku niezależnych prowincji: Kapland, Oranje i Transvaal. Następnie reprezentacje Boeren-SA z poszczególnych prowincji oraz historycznego «Reddingsdaadbond»⁶, a za nimi maszerują członkowie zasłużonej «Ossewa Brandwag», czyli straży pożarnej, z wozami zaprzężonymi w woły, w dawnych uniformach i z przewiązanym krepą sztandarem «Vierkleur van Transvaal»⁷ oraz zjednoczona trójca «Afrikaner Broederbond» — zawołanie bitewne Burów: «Baaskap!» słyszymy nawet w naszych dźwiękoszczelnych kabinach (wmiksowane ryki «Baaskap!» i okrzyki «Siegheil!»). Następnie delegacja Dolnoniemieckiego Kościoła Reformowanego z Johannesburga ze swymi synodalnymi fla-

gami, na których czytamy hasło: «Een liggaam en een gees», jedno ciało i jeden duch... A teraz zbliża się hrabia Jerolimy, postawny starzec, w swym malowniczym ornacie, w towarzystwie rycerzy z Ziemi Zakonu Niemieckiego (dawniej Palestyna). Przechodzą członkowie Concilium Legionis Mariae — odmawiając Gatena Legionis — delegacja przybyła z Baile Atha Gliath, stolicy Eire, szpalery... (burzliwe okrzyki «Siegheil!»)...

⁷ Cztery Barwy Transwalu.

pozdrawiają ją owacyjnie, ponieważ większość Rady Legionu w Eire, podobnie jak Senat Legionu w Kolonii i Wiedniu, Komicjum we Fryburgu i wszystkie niemieckie kurie, zgodnie i spontanicznie stanęła po stronie Nowego Porządku i odcięła się od klikki irlandzkich zdrajców, którzy próbowali potajemnie paktować z insurgentami...”

Tuż przed czwartą — Hóllriegl, przeklinając własną bezczynność i nie tracąc nadziei, że Senkpiehl jednak po niego przyjedzie, spędził godziny oczekiwania w dręczącym napięciu — z głośnika popłynęły majestatyczne, przeszywające sygnały lurów. To był znak, że rozpoczyna się wielkie „opuszczenie w głąb góry“, czyli główna część uroczystości żałobnych.

„... wkroczyły brunatne kolumny i czarne oddziały kadrowe. Nie kończące się szeregi przeszły przez miasto i ciągną ku Kylfhauser. Żałoba wycisza ich kroki. Kolumny marszowe pokrywają z wolna łąki i zbocza góry“.

Przepętniony bólem głos sprawozdawcy nabrał głębokiego brzmienia, podniosły ton relacji chwycił za serce. (Hollriegl zauważył, że SA zostało wymienione w pierwszej kolejności — to nie mógł być przypadek. Czyżby ukłon w stronę Bundschuh? Było rzeczą wiadomą, że szerokie kręgi SS sympatyzują z We-

rwolfem...)

„Zmrok opuszcza się na nieprzebrane tłumy, z oddali ślą pozdrowienia lasy, czarne, pogrążone w żałobie, uroczyste. Reflektory oświetlają przewiązane krepą chorągwie i rozległy czworobok, do środka którego wjedzie czołg typu «Tygrys» ze śmiertelnymi szczątkami Fuhrera i założyciela Rzeszy. Gigantyczny front dwóch trybun dla gości honorowych z całego świata zalewają potoki magicznego światła. Po bokach obydwu trybun płoną ognie pylonów.

Tuż przed przybyciem Ivo Kópflera, męża, któremu zmarły założyciel imperium przekazał chylącą się pochodnię, ażeby poniósł ją w swej silnej dłoni ku nowym dniom zwycięstwa i chwały, gasną wszystkie światła, jedynie chorągwie i sztandary oświetla słaby blask. Oczekiwanie setek tysięcy ludzi osiąga punkt kulminacyjny.

A teraz krótka komenda. Raz jeszcze bataliony wyrównują szyki, są przednią strażą owej ogromnej niemieckiej narodowej armii, która duchem stanęła dziś w zwartym szeregu z niewypowiedzianym bólem, ale także z dumną ufnością w nowe kierownictwo. (Znów dźwięki lurów). Na trybunie zachodniej zajęli miejsca Ivo Adolf Kópfler, zwany Hełmem Grozy, i cały korpus dowódczy imperium. Czekają na zmarłego — na to, co było śmiertelne w Adolfie Hitlerze. Natomiast jego nieśmiertelny duch napętnia i hartuje ich wszystkich, powołanych do obrony i zabezpieczenia po wszystkie czasy jego świętego dziedzictwa.

I oto wtacza się pokryty bliznami, potężny tygrys, który odbył zwycięską kampanię armii niemieckiej na Wschodzie i na tę swą ostatnią drogę został pomalowany na czarno — na nim spoczywa zwykła trumna dębowa ze zwłokami Fuhrera wszyst-

kich Niemców. Czołg podąża samotnie, z tyłu pozostały pojazdy eskorty honorowej, którą utworzyli żołnierze wszystkich rodzajów broni. Nad rozległym placem zapada głęboka, pełna czci cisza. Rozpoczyna się wielkie opuszczenie w głąb góry.

Ivo Adolf Kópfler występuje naprzód — z odkrytą głową. I oto zaczyna się, przy akompaniamencie dobiegającego z od dali chorału, ów nie dający się opisać marsz nowego Fuhrera przez pusty plac, uroczysty marsz wdzięczności, jaki winien jest zmarłemu założycielowi Rzeszy naród niemiecki. Jedynie adiutanci, minister Uwe Heckroth oraz reichsorganisationsleiter doktor Markward, towarzyszą, zachowując należytą odległość, mężowi, który jest wielki w swej pokorze wobec śmierci i ofiar, jakie złożyli mu już niemieccy żołnierze na całym świecie, i w swej niewzruszonej ufności w zwycięstwo sprawiedliwej sprawy.

Wśród dźwięków lurów i żałobnych fanfar, które zagłuszają chorał, Ivo Kopfler podchodzi do czarnego ołtarza ze stali, na którym, niby na monumencie zwycięstwa i zwycięskiej woli narodu, spoczywają zwłoki Adolfa Hitlera. Otacza go milczenie setek tysięcy ludzi.

Kopfler staje przed katafalkiem. Uniesioną prawicą oddaje honory największemu zmarłemu w niemieckiej historii — a poprzez niego wszystkim bohaterom, którzy w swojej wierności i wierze oddali życie za Adolfa Hitlera i naród niemiecki. W ciemności rozlega się głos Kópflera: «Mein Fuhrer, melduję cały niemiecki naród do ostatniego apelu!» Słowa te w tej samej chwili słyszane są we wszystkich najodleglejszych zakątkach kuli ziemskiej.

Rozbrzmiewa komenda: «Hełmy zdjąć! Do modlitwy!» Ob-

Brunatna rapsodia

nażają się głowy setek tysięcy żołnierzy — owej wielkiej wspa-
niałej niemieckiej armii narodowej — historyczne chorągwie
i sztandary ruchu politycznego, które widziały już niejednen
krwawy bój, pochylają się w hołdzie pośmiertnym. W ciszy,
jaka wypełnia te sekundy i minuty, wydaje się, jakby słycać
było spiżowy krok historii światowej, przemożna potęga tego
wydarzenia napina nerwy do ostatnich granic.

Zaczynają śpiewać kadeci z zamków zakonnych Dankwar-
derode i Crossingen. Ustawili się przed trybunami w dwóch
chórach frontem do katafalku. Śpiewają «Heiliges Deu-
tschland». Śpiewają za wszystkich, którzy się tu zebrali. W
przerwach głuchy odgłos werbli. Nieruchomo, niczym posąg
skupionej siły, Ivo Kópfler stoi przed trumną Adolfa Hitlera.
Wtem jakiś młody głos, młody i promienny, wznosi się w górę
niczym ptak, wołając (wmiksowane): W twojej osobie nieśmier-
telny wodzu, oddajemy hołd nieżyjącym członkom naszego ru-
chu!» Pośród nagłej ciszy, jaka po tych słowach zapadła, orkie-
stra Wehrmachtu gra «Las Argoński» i «Pieśń o dobrym kole-
dze», jej ciche dźwięki brzmią podniosłe... (wmiksowany frag-
ment pieśni).

A teraz Ivo Kópfler razem ze swymi adiutantami wraca
tą samą drogą. «Poczty sztandarowe równym krokiem marsz!»
Lśnią i połyskując pojawiają się na wałach po obydwu stro-
nach złote szpice chorągwi. Krwawą Chorągiew niesie stary
Grimminger, świadek tylu epokowych zjazdów partii. I oto
potężny czworobok sztandarów posuwa się do przodu przy
dziarskich dźwiękach «Marsza Badenweilerskiego», i wypełnia
pulsującym życiem pustą przestrzeń. Chorągwie szturmowe
przyłączają się do nich i zwycięskim pochodem, minawszy
trybuny, rozlewają się na wałach, na których stoją jak mur

czarne i brunatne kohorty. (Tym razem najpierw wymieniono SS...) Powiewające czerwone flagi opadają niczym fale powodzi w przejściach pozostawionych przez kolumny marszowe. Ale większość chorągwi została z tyłu i one właśnie ustawiają się teraz promieniście w ośmiu wąskich wstęgach wokół czworoboku z katafalkiem Adolfa Hitlera. Cóż za wspaniałe symbol skupionej siły, obraz unaoczniający potęgę jednomyślniej politycznej deklaracji tych ludzi.

Naraz na wieczornym niebie znów zapalają się promienie reflektorów, wiązki światła wędrują w górę, zbliżają się do siebie, łączą i ponad milczącymi masami budują katedrę z płynnego niebieskiego światła.

Majestatycznie wznosi się katedra świetlna — ta niemiecka katedra świetlna — ponad nami wszystkimi. Cóż za wspaniałe widowisko! Niemal zbyt piękne i zbyt potężne, ażeby mogły je ogarnąć ludzkie zmysły! To tysiące reflektorów, ustawionych przez Wehrmacht wokół Schlachtbergu, posyłają teraz snopy światła pionowo w nocny eter. Owe wiązki promieni tworzą jakby wał świetlny wokół ciemnego owalu wzniesień Kyffliauser. A kopułę tej niemieckiej katedry stanowią pęki światła, które spotykając się nieskończenie wysoko, układają się w inicjały A i H..“

Höllriegl słuchał relacji z coraz bardziej nabożną miną. W tym wielkim zasłuchaniu szczęka mu opadła, usta miał na wpół otwarte. Jego twarz przybrała dziecinny wyraz, stała się miękka i rozpływała się, topniała jakby pod naporem przejmującej muzyki. Wsłuchiwał się z uwagą, żeby nie uronić słowa, nic rozumiał jednak wszystkiego, co mówił komentator. Miał dreszcze, jego myśli, niespokojne i gorączkowe, wędrowały to w tę, to w tamtą stronę. Przeklęty los, który zmuszał go

do bezczynności w takim dniu. (W dodatku ta niemęska, haniebna dolegliwość!) Czekać, czekać! To nużące czekanie! Podszedł do okna i patrzył długo na przepych rozpłomienionego nieba. Był to obraz niewypowiedzianej piękności i siły! Inicjałów Fuhrera nie mógł dostrzec, zbyt mocno oślepiąło go światło. Kłujący ból w gałkach ocznych zmusił go do opuszczenia powiek. Rzeczywiście nie czuł się dobrze, był chory. Ale gdzie się podziewał Senkpiehl? Czemu, u diabła, nie dzwonił? Była już prawie piąta — najwyższy czas! Po raz kolejny tego dnia wybrał numer, ręce mu drżały. Nikt się nie zgłaszał. Senkpiehl naturalnie wyjechał, może nawet był już w drodze do niego. Pewnie z najwyższym trudem udawało mu się posuwać do przodu, jeśli jazda w ogóle była możliwa. Lekarza na służbie musieli jednak przepuścić...

Z głośnika grzmiał jakiś mocny głos, zaczęły się przemówienia.

„... w tych godzinach refleksji, gdy trzeba się nam żegnać z Adolfem Wielkim, gdy rzecz idzie o trwanie Rzeszy i cywilizacji zachodniej, gdy z głębi Azji ruszyły nikczemne hordy podludzi pałających niespotykaną w historii żądzą krwi, by wydrzeć narodowi niemieckiemu owoce największego zwycięstwa wszystkich czasów, ażeby go ujarzmić i wytępić, niech ku świetlnej katedrze ponad nami popłyną słowa tej uroczystej przysięgi na wierność nowemu Fuhrerowi... (Potężniejące wiwaty i nie kończące się chóralne okrzyki: «Japonio, zdychaj!») Jeden naród, jedna Rzesza, jeden Fuhrer! Tysiącletnie tęsknoty, nadzieje i obawy, krew i ofiary najlepszych synów naszego narodu znalazły ukoronowanie w Adolfie Hitlerze i jego Trzeciej Rzeszy. Dziś znajdują ukoronowanie w Ivo Kopflerze. Tysiąc lat niemieckiej historii...” Głos mówcy zagłuszył tu-

mult, z którego stopniowo wyodrębniły się skandowane chóralne okrzyki: „Heil Kopf-ler! Heil Kopf-ler! Heil Kopf-ler! Heil Kopf-ler! Heil Kopf-ler! Heil Kopf-ler!...“

A Ulla? Gdzie jest Ulla? Szrama na jego czole wciąż piekła. Zbiła go jak psa — ona, ta wspaniała kobieta! Szpicrutą! Ale gotów był znowu przed nią klęczeć i skamleć, a nawet przynieść jej szpicrutę...

„... aby doprowadzić do przetłomu. Odwieczny wróg białej rasy podjął próbę... (Wciąż okrzyki: «Europo, zbudź się, Japonio, zdychaj!»)... Żółte diabły podjęły próbę zalania naszego kontynentu, poważyły się nawet rozpętać potworną wojnę atomową. Odpowiedzieliśmy na ich atak, odpowiedzieliśmy straszliwym uderzeniem (głośne okrzyki «Siegheil!» i dźwięki werbli), zmusiliśmy je do milczenia. Odpowiedzialność przed historią nie spada na nas, którzyśmy przyglądali się z niezrównaną cierpliwością zbrodniczym poczynaniom Soka Gakkai... (skandowane okrzyki: «Gakkai, zdychaj!»)... i jej imperialistycznym inspiratorom, cała odpowiedzialność spada wyłącznie na...“

Gdy Ulla jest jeszcze w Niemczech? Musi ją odszukać. Natychmiast. Ale jak? Przez te tłumy nie uda mu się przebić samochodem. Pieszko? A może jednak? Pokonać wszelkie przeszkody, tak jak naród niemiecki musiał je pokonywać.

„... nasienie... nasze miejsce pod słońcem... podludzie, kreatury, bunt apokaliptycznej bestii... klika przestępców, jakiej nie było jeszcze w długich i krwawych dziejach ludzkości... z piekła rodem... spisek światowy... z drugiej zaś strony arystokracja krwi... świętość... Źródło mądrości... posłannictwo arioheroicznej rasy... jasnowłosi, promienni, niebiańscy... to im, temu wspaniałemu rodowi, dane będzie... piękni rasowo ludzie... na naszych zamkach, w naszych klasztorach rasowej matki...“

Brunatna rapsodia

nasza religia panów... z Frauji zrobili potomka żydowskiego plemienia... nowym wcieleniem Zbawiciela był Adolf Hitler... i znów nam się odrodził Zbawiciel: w osobie Ivo Adolfa Kopllera, zwanego Hełmem Grozy..." (Burza okrzyków „Siegheil!“ i werble).

To wstyd i hańba, że w tej wielkiej uroczystej chwili nie potrafi się skoncentrować! Ulla! Ciało Ulli! To ciało było niemieckie, było niemiecką rzeczywistością, tryskające energią, jędrne, silne...

„... za cel maksymalne wzmocnienie tak pod względem duchowym, jak i materialnym bitności naszego narodu i jego sił zbrojnych. Równie wielki musi być nasz fanatyzm w zwalczaniu tych, którzy ośmielają się temu sprzeciwić. Ślubujemy ci to, Adolfie Hitlerze! Jest wśród nas kilku gderaczy, krytykantów, ludzi małej wiary, a także złośliwców, którzy nie pojęli jeszcze, lub nie chcieli pojąć, że twarde, niebezpieczne czasy wymagają ludzi twardych, ludzi ze stali i z żelaza, ludzi uzbrojonych w ostre kły, ludzi z energią atomu i pistoletem laserowym w dłoni. Człowieka nowych, twardych, pełnych niebezpieczeństw czasów symbolizuje na naszym kontynencie nowy Fuhrer... (wielominutowa wrzawa «Siegheil!»)... nowy Fuhrer Ivo Adolf Kopfler, i nikt inny — Ivo Kopfler, mąż, który z rąk umierającego założyciela imperium przyjął testament i fundament... jeśli wielki naród, taki jak naród niemiecki, z liczącą bez mała dwa tysiące lat historią nie pozwoli sobie nigdy odebrać wiary w sukces, tylko fanatycznie wypełniał będzie swój obowiązek i z owym żołnierskim posłuszeństwem, które... wówczas w końcu, bez względu na to, czy nastaną dobre, czy złe czasy...”

Ulla! Jej piersi, jej uda, jej łono, jej zapach! Delikatny jasny meszek na ramionach! Być przez nią bitym! Raz jeszcze!

Móc objąć ją, jak wtedy...

Wreszcie, około wspól do siódmej, rozległ się dzwonek. Przed drzwiami stał Senkpiehl, zmordowany, wyraźnie wytrącony z równowagi; on, człowiek zazwyczaj tak spokojny i opanowany, wydawał się teraz niesamowicie wzburzony.

— Dzwoniłem iks razy — wykrzyknął, ledwo wbiegł do pokoju. — Człowieku, pośpiesz się pan, jeśli chce pan jechać ze mną, ale nic radzę, nic ciekawego. Muszę jechać do Bergi. Dostałem przez radio rozkaz: kilometr pięćdziesiąty drugi. Tam stoi moja kolumna. Wie pan już o wszystkim?

Kiedy Hóllriegl szykował się do drogi, Senkpiehl zaczął wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. Zrazu opowiadał nerwowo, zacinając się, później już głosem opanowanym i z właściwą sobie ironią.

Zaczęło się od tego, że pewne wydarzenie wprawiło ludzi w swego rodzaju amok. („Masowa histeria, mówię panu!“) Na nowej szosie wiodącej serpentynami obok Schlachtbergu na grzbiet wzniesienia dwie dziewczyny przerwały nagle podwójny kordon — „jak to się stało, pozostanie zagadką” — i rzuciły się pod nadjeżdżający czołg z trumną Fuhrera. Ich ciała zostały dosłownie rozgniecione na miazgę i drużyna gaśnicza musiała potem czyścić z resztek zwłok gaśnicę, miskę olejową i mechanizm napędowy czołgu. Ta śmierć ofiarna młodych robotnic wywarła na widzach nieopisane, wyzwalające, niemal odurzające wrażenie, wprawiła ich w nagłą euforię. Stało się to głównie za sprawą owego dziwnego wybuchu radości. Dziewczyny bowiem rzuciły się pod czołg z radosnym okrzykiem na ustach. A potem trzask łamanych kości, charakterystyczny miękki odgłos, który mogli naturalnie usłyszeć tylko ludzie stojący najbliżej. Na zapewniającej dobrą widoczność górskiej dro-

Brunatna rapsodia

dze kordon rozstawiono rzadziej i dzięki temu tłum z łatwością przerwał szpaler. Ludzie otoczyli czołg i niektórzy wdrapali się na pojazd. Byli nawet tacy, którzy tańczyli i krzyczeli, mazali się krwią dziewczyn i nawzajem zrywali z siebie ubrania. Ten rozpustny nastrój, niesmaczny entuzjazm, nie zawierał zrazu żadnych akcentów wrogości. Dopiero kiedy eskorta NSKK i SS-mani ze szpaleru stali się brutalni, zaczęli bić pałkami, a w końcu strzelać, wywiązała się ordynarna „rąbanina”. Wzburzony tłum ściągnął ludzi NSKK z motocykli, zatrzymał wozy jadące za czołgiem i wyrzucił z nich pasażerów. Doszło przy tym, niestety, do kilku wypadków śmiertelnych. Opróżniony również został jeden z wozów głośnikowych i przez megafon zaczął przemawiać jakiś człowiek w mundurze SA. To, co wykrzykiwał w ciemności, budziło wprawdzie grozę, ale, rzecz dziwna, nie brzmiało wcale zaskakująco, przeciwnie, pozostawało do tego stopnia w zgodzie z tym, czego się domyślano, że tłum spokojnie kontynuował swoje dzieło. Mężczyzna wrzeszczał, że Fuhrer został w bestialski sposób zamordowany przez Kopflera. Że teraz już wiadomo, iż osobisty lekarz Hitlera, fanatyczny werwolf, prowadząc „kurację zastrzykową” wywołał u Fuhrera stężenie pośmiertne. Gdy Hitler obudził się z tego letargu, leżał już w starannie zamkniętej masywnej trumnie. Ponieważ trumna zaopatrzona jest w wentyl, możliwe, że Fuhrer żył jeszcze przez jakiś czas. („Może jeszcze teraz żyje i umiera w męczarniach”, powiedział Senkpiehl). Podobno współpracownicy Kopllera, którzy trzymali straż przy trumnie, słyszeli ze środka drapanie, szuranie i rżenie i mieli z tego wielką uciechę. Również tak zwany testament Fuhrera jest sfalszowany od A do Z, i to w bardzo prosty sposób: został nagrany na taśmę przez imitatora głosów. (Prawie w tych sa-

mych słowach opisał morderstwo Diebold; Hollrieglowi stanęła znowu przed oczyma, ze wszystkimi szczegółami, scena w podziemiach).

— Kopfler — ciągnął Senkpiehl, jakby zapomniawszy o tym, że czasu nie ma wiele — załatwił w ten sposób dwie sprawy. Po pierwsze, zemścił się osobiście na Fuhrerze, zwłaszcza za tę drżączkę, której swego czasu musiał doświadczać w celi śmierci monachijskiego więzienia. Głównymi właściwościami Leśnego Diabła są bowiem tchórzostwo i mściwość. Po drugie, dokonując bezkrwawego puczu chciał zdobyć władzę dla siebie i dla swoich pachotków, co mu się zresztą udało prawie w stu procentach. Gdyby pominąć paru ministrów zajmujących w gabinecie mało ważne stanowiska, to nowy rząd Rzeszy składa się wyłącznie z ludzi Werwolfu, a więc popleczników Kopllera — na przykład taki Hassenteufel jest jednym z czołowych teoretyków NARMAT-u. Mimo to nie obyło się naturalnie bez wpadek. Przede wszystkim z Firbasem. Kópfler myślał zawsze, że ten jest mu ślepo i bezgranicznie oddany, ale po ujawnieniu zdrady w szeregach spiskowców, tuż przed zadaniem ostatecznego ciosu ciężko choremu Fuhrerowi — Hitler cierpiał, może pan nie wie, na zaawansowaną arteriosklerozę... potocznie nazywa się to otępieniem starczym — no więc wtedy okazało się, że Firbas utrzymuje bardzo bliskie stosunki z Bundschuh. Najściślejszy kontakt — i to jaki! Od czasu publicznego pozbawienia go urzędu Firbas jest nieuchwytny. Jakby się zapadł pod ziemię — może go już zlikwidowano. W ogóle co się tyczy stanowiska reichsfuhrera SS, Kopfler ma pecha: najpierw Diebold, potem Firbas. A Landsittel? Landsittel to człowiek, który wyszedł z kręgów samoobrony terytorialnej Ostlandu, fanatyczny SS-man i propagandzis-

ta Asgardu. I czy pan uwierzy? Tenże Landsittel jeszcze przed załamaniem się Wału Wschodniego przechodzi po kryjomu na stronę Bundschuh. Dzisiaj to wszystko wiemy. Ten arcspryciarz Kopfler nie wiedział natomiast, a nawet się nic domyślał, że natychmiast po zgonie Hitlera, *recte* po jego powolnej śmierci przez uduszenie, przeciwko Nowemu Porządkowi zbuntuje się pół świata. Japsy miały bardziej wyczulony słuch — myślę, że czekały tylko na sygnał. I nie zdziwiłbym się, gdyby o morderczych zamiarach Kopflera wiedziały już wtedy, kiedy on sam jeszcze ich sobie nie uświadamiał. Oni potrafią czytać myśli na odległość tysięcy kilometrów. A potem ten fatalny incydent z samolotem! Gałą sprawę wymyślono przecież, nie ma co do tego wątpliwości, w RLM-ie, a RLM podlega bezpośrednio ministrowi wojny, który również nazywa się Kopfler. No cóż! W dodatku wszystko było zaaranżowane tak po dyletancku, że nawet małe żółtki się z tego śmieją. No bo czy słyszał pan kiedyś, żeby bomba atomowa wybuchła po trafieniu przewożącego ją samolotu? Goś takiego można zresztą wmówić tylko Niemcom! W końcu nie żyjemy już w starych dobrych czasach, że tak powiem, w gliwickich czasach. Kopfler wyobrażał sobie pewnie przejęcie władzy trochę inaczej. Wykończenie Fuhrera to było „morderstwo doskonałe”, tyle że odrobinę zbyt doskonałe. Potem bunt Luftwaffe — cios za ciosem. Tak, czegoż jeszcze chcemy? Ta wojna jest przegrana, choćbyśmy poświęcili dziesięć armii. I nie można zrobić nic mądrzejszego, tylko ratować własną skórę. Jeśli o mnie chodzi, tak zrobię lub spróbuję zrobić. A teraz chodźmy!

Hollriegl nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Zazwyczaj taki ostrożny i zrównoważony „Strzyka wczyk” (przezwisek Senkpichla) zupełnie nie panował nad sobą! Nigdy jeszcze

nie widział go w takim stanic. Jeśli Senkpiehl rozmawiał tak otwarcie z urzędnikiem i zaangażowanym członkiem partii, to musiało się stać coś, czego nie da się już naprawić. Coś straszliwego, nieodwracalnego! Termin „otępienie starcze“ dotknął Hollriegla do żywego. Owszem, Fuhrer się zestarzał, to prawda. Ale starość czyni mądrym. Fuhrer był dla niego zawsze symbolem aryjskiej mądrości... (W dodatku Senkpiehl nosił odznakę partyjną — a więc taka była kondycja partii!)

Całkiem zdezorientowany podążał za zbiegającym po schodach lekarzem. Nagłe olśnienie: A może Senkpiehl miał konspiracyjny kontakt z „podziemnymi”? Kiedy już byli na ulicy, przypomniał sobie, że zapomniał pistoletu Kummernussa. Kilkomina susami wbiegł z powrotem na górę. Przed wyjściem nie wyłączył radia, tylko je ściszył. Skoro nie mógł od razu znaleźć broni (Senkpiehl na dole trąbił już niecierpliwie), nastawił je głośniej. Natychmiast otoczyły go falujące dźwięki dzwonów. Dźwięki gęstniały, kolejno włączały się różne dzwony o tonach głębokich i ciemnych, wysokich i jasnych, a ich głosy coraz potężniejszym falowaniem wypełniały cały pokój.

„... dzwon berlińskiego kościoła Pamięci rozpoczął wielkie wypominki, inne dzwony stolicy Rzeszy poszły w jego ślady, szczególnie łatwo można rozpoznać głosy z poczdamskiego kościoła garnizonowego i z kościoła w Dorotheenstadt, słyszymy też dzwony katedralne z Kolonii, Ulm i Spiry, «Pummerin» z Wiednia, dzwony Świętego Piotra, dzwony Notre Dame, dzwony z Rouen i z Chartres, dzwony z Pragi, Sankt Petersburga i Kijowa, dzwony soboru Uspienskiego na Kremlu i katedry Świętego Bazylego, a teraz rozbrzmiewają także spiżowe serca i serduszka kościołów wiejskich w okręgu rodzinnym i ojczyźnie przodków Fuhrera, dzwony z Braunau i Leonding,

dzwony z Gross-Wolfgers i Dollersheim. Wszystkie one włączają się kolejno, tak iż wydaje się, jakby od wieży do wieży, zataczając coraz jaśniejsze koła, ten uroczysty zew, ich wszechpotężny głos, rozprzestrzenił się ponad miastami, nad całą niemiecką ziemią i nad szerokim, szerokim światem, ażeby wszyscy ludzie dobrej woli mogli usłyszeć orędzie, jakie nam właśnie ogłosił nowy Fuhrer Imperium Germańskiego i opiekun wszystkich sprzymierzonych z nim ludów i narodów... (Gdzie, u diabła, wsadził ten pistolet?)... uprzytomnić dobitnie i zwycięsko... wspólnota losu wszystkich aryjskich ludzi, bez względu na to, jakim posługują się językiem... ażeby teraz z tysiącletniej tęsknoty i tysiącletniej walki... aż po wielki niemiecki Ural... przyjmij nasze najdumniejsze, najgorętsze podziękowanie za spełnienie tgo..."

Wreszcie znalazł pistolet (cisnął go w najdalszy kąt szafy na ubrania). Była też amunicja. Zanim opuścił pokój, kopnął radio, które grzechocząc stoczyło się ze stolika. Raz jeszcze jęknęło żałościwie, po czym dzwony i patetyczny głos się urwały.

Senkpiehl uśmiechnął się ironicznie, kiedy Hollriegl pokazał mu broń, i wskazał ręką za siebie. Na tylnym siedzeniu leżały karabin i pistolet maszynowy. Jak Hollriegl stwierdził wyćwiczonym okiem, były to karabin kalibru 7,62 z magazynkiem wielostrzałowym oraz empi starszego typu, przypuszczalnie dziewiątka. Z tyłu leżał też karton amunicji do broni ręcznej.

Przygnębiona była ta jazda przez niemal zupełnie puste ulice. Jeszcze przed godziną lub dwiema tłoczyły się tu tysiące ludzi, teraz ulice wyglądały jak wymiecione. Mimo to jechali powoli; w Heydrich obowiązywało całkowite zaciemnienie, które stało w groteskowej sprzeczności z iluminacją na niebie

Brunatna rapsodia

uświetniającą „opuszczenie w głąb góry“. Z wież trzech miejscowych kościołów huczały głucho i jęczały dzwony, a ich dźwięki mieszały się z dźwiękami dzwonów grzmiącymi z umocowanych na masztach głośników. Pośród coraz cichszego dzwonienia słyszeli od czasu do czasu podejrzany odgłos — suchy terkot. Wszystko wydawało się nierzeczywiste. Hóllriegl miał wrażenie, jakby zjeżdżał błyskawicznie w dół toboganem.

Senkpiehl, wpatrując się bacznie w drogę przed sobą, opowiadał dalej:

— SS, ściągawszy posiłki, zaczęło jak szalone strzelać w środek tłumy, który z początku zbił się wokół czołgu ze zwłokami Fuhrera. Wywiązała się regularna bitwa, gdyż zaatakowani, w większości twardzi, zaprawieni w bojach SA-mani, ale także HJ, również wyciągnęli pistolety i zza aut i motocykli zaczęli strzelać do napastników, którzy oprócz ciemności nie mieli żadnej osłony. Musi pan wiedzieć, Hóllriegl, że odezwała się tam nagromadzona przez dziesiątki lat nienawiść — zazdrość SA o przywileje SS. Plebejusze kontra elita. Zdarzały się podobno bardzo nieprzyjemne sceny. Opowiedano mi, że rannym SS-manom podrzynano gardła lub rozbijano czaszki ciężkimi buciarami — braterstwo broni! Szczęśliwie się złożyło, że nikt nie miał lasera, bo wtedy — po obydwu stronach — straty byłyby dużo większe. W końcu dwie drużyny gaśnicze Wehrmachtu, wojsko przez długi czas przyglądało się biernie wszystkiemu ograniczając się do obserwacji wydarzeń z helikopterów, położyły kres całemu temu koszmarowi. Wehrmacht rozpędził przeciwników wprowadzając do akcji armatki wodne i puszczając trochę gazów paraliżujących,

a zarazem wymył jezdnię, żeby Fuhrer mógł wjechać do swojej

Walhalli, nie zostawiając za sobą krwawych śladów. Otwórzcie drogę brunatnym batalionom, ha, ha, ha! Wie pan, że Niemcy, najpóźniej od dzisiejszego popołudnia, mają dwa nowe hasła?...

„Bundschuh, zbudź się, niech Werwolf zdycha!“ oraz „Werwolfie, zbudź się, niech Bundschuh zdycha! Ależ się z tego żółte diabły cieszą!

I Senkpichl znów roześmiał się przeraźliwie, mocniej naciskając pedał gazu; dotarli właśnie do drogi wylotowej w kierunku północno-zachodnim. Dziwne, tablice drogowe ustawione były na odwrót, drogowskaz z napisem Kessring-Hildesheim-Hanower kierował w stronę Eisleben. Terkot broni było teraz słyhać wyraźniej, w oddali umilkł głuchy huk dzwonów. Nagle Senkpichl odpiął odznakę partyjną przymocowaną do dziurki w kłapie i wyrzucił ją przez okno.

W samochodzie zamontowany był policyjny odbiornik radiowy, który bez przerwy popiskiwał i charczał, ale nie dało się wyłowić żadnego zrozumiałego słowa. Na skrzyżowaniu Ritter-von-Epp-Strasse i Guderian-Allee gruchnęły nagle ze wszystkich stron strzały, jednocześnie Hóllriegl usłyszał takie dźwięki, jakby ktoś rzucił garść grochu na dach wozu. Obaj instynktownie zsunęli się z siedzeń, Senkpichl gwałtownie zahamował i wykonał raptowny skręt. W tej samej chwili Hóllriegl poczuł na lewej skroni ostry zimny podmuch. Przednia szyba rozprysnęła się w drobny mak, tylna także. Samochód potoczył się jeszcze parę metrów, po czym uderzył niezbyt mocno z głuchym stuknięciem w wysoki mur z surowej cegły. Okrążyły ich odgłosy strzałów, kule zdawały się padać z góry i ze wszystkich stron, terkot zamienił się we wściekłe krótkie serie... ogień ciął. Ze ściany syptały się odpryski, niewidzialna ręka rysowała na murze linie zniszczenia.

Brunatna rapsodia

Powoli wyczołgali się z samochodu. Hóllriegl zabrał karabin, Senkpichl pistolet maszynowy; nie odzywali się do siebie. Było dosyć ciemno, tylko nad rejonem Kyffhauser niebo pozostawało jasne. Od czasu do czasu rozbłyskiwała, sunąc w górę, rakietą oświetlająca i rozlewała na firmamencie grono niebieskiego światła.

Hollriegl przczołgał się po omacku wzdłuż muru, przylepiony doń jak pluskwa. Jego wzrok szybko przyzwyczaił się do ciemności, nic na darmo miał kocic oczy. Zbliżył się do jakiegoś budyneczku, był to, spotykany jeszcze czasami na prowincji, prymitywny blaszany pisuar dla mężczyzn. Podczołgał się do niego — będzie dobrą osłoną. W ubikacji, nie przykrytej żadnym dachem, cuchnęło olejem i moczem, pomimo to czuł się tu dobrze, ponieważ był jako tako bezpieczny. Senkpiehl — cicho zawołał go po nazwisku — nie poszedł w jego ślady; przypuszczalnie znalazł osłonę gdzie indziej.

W świetle latarki sprawdził broń. Karabin był automatyczny, miał pełny magazynek. Więcej amunicji znajdowało się w samochodzie Senkpiehla, lecz teraz nie mógł tam wrócić. Poza tym miał jeszcze pukawkę Kummernussa. Załadował pistolet. Bądź co bądź sześć dodatkowych strzałów. Ogarnęło go nedorzeczne uczucie — znowu czuł w sobie męską siłę i moc.

Ale tylko przez chwilę, gdyż u góry o blachę i mur zabębniły już pociski. Pewnie snajperzy na jakimś dachu. W tych krótkich seriach była pewna metoda — ale kto tu do kogo strzelał? Między posadzką a ścianą pisuaru otwierała się szeroka szpara, przez którą gwizdał wiatr. Również w to miejsce posypały się teraz kule. Jeżeli dalej będzie się tutaj tak czołgał jak gdyby nigdy nic, oberwie jeszcze po jajach.

Podniósł się z ziemi i pochylony omiótł ściany światłem lartarki. Typowa bazgranina. „Poszukuję lubieżnej pary małżeńskiej”, głosił napis, „mam 25 lat mój jest...” Obok rysunek i podane wymiary, z pewnością przesadzone. Musiał się jak najprędzej wydostać z tego miejsca, tutaj był na widoku. „Cipka E...”, dalej nieczytelne. Czołgając się utłuścił sobie ręce olejem, sam cuchnął teraz jak pisuar.

Do domu miał stąd naprawdę daleko. Znowu zaczęło mu jeździć po brzuchu, tyle że już nic tak ostro jak w ciągu dnia. Spuścił spodnie i ulżył sobie. Następnie wyczołgał się na zewnątrz, wlokąc za sobą karabin. Dobrze byłoby odszukać Senkpiehla. Tam stał ich pojazd, w odległości mniej więcej trzydziestu kroków. Wbił się chłodnicą w mur, ale da się go chyba uruchomić.

— Senkpiehl! — zawołał cicho.

Metodyczna pukalina urwała się nagle, z rzadka tylko w ciemności trzaskały strzały, przypominało to strzelanie z biczka, jakim w czasach jego dzieciństwa popisywali się na odpustach wiejscy chłopcy. W powietrzu pełno było ceglanego pyłu, podniósł się lodowaty wiatr. Nagle w pobliżu przeleciał z wyciem jakiś ciężki granat, nie wiadomo skąd, ale, dzięki Bogu, spadł dalej. Odgłos uderzenia, ogłuszający huk, ziemia od niego zadrżała, a płaszcz i nogawki spodni Hollriegla załopotwały od podmuchu.

Podczołga się jeszcze parę metrów i będzie na miejscu. Pod murem natrafił jednak na przeszkodę, leżało tam coś ciemnego. To był człowiek, który zgiął się jak łuk. Hollriegl nie musiał mu się długo przyglądać — Senkpiehl. Na ścianę znowu posypały się strzały, snajperzy uparcie polowali na niego. Dalej, dalej. Ale empi Senkpiehl powinien jednak oddać. Za-

czął szarpać pistolet, próbował go wyciągnąć spod ciała, nic z tego.

W samochodzie śmierdziało benzyną, możliwe, że bak przeciekał. Hóllriegl — kucnąwszy — włączył rozrusznik. Samochód na wstecznym biegu wykonał kilka podskoków, po czym stanął jak trzeba. Kiedy Hóllriegl usiadł za kierownicą, zauważył, że cała jest lepka. Senkpiehl oberwał pewnie jeszcze w samochodzie. To za „starcze otępienie”. A teraz gazu!

Miał więcej szczęścia niż rozumu („jak zawsze”). Przebił się! Posypały się za nim strzały i kule znów zadudniły po blaszanej powłoce wozu. Nie przejmował się nimi. Skręcił w jakąś aleję — niemal mechanicznie. Gdyby miał zamiar wrócić do domu, musiałby pojechać w kierunku starówki. Czuł, że w jakimś sensie jest wolny i że kule się go nie imają. Uczucie to było czymś zupełnie nowym! Jak dotąd, w najlepszym wypadku, czuł się bezpieczny — ale żeby wolny? Partia myśli za ciebie! Z pewnością było to cudowne. Kto jednak jest tą partią? I gdzie ona jest? I czy istnieje zdrowy świat? Czyż dziś nie skończył z tym wszystkim rozbijając radio? Tak samo jak Senkpiehl, który wyrzucił swoją odznakę? Nic, z Senkpiehlem nic chciał mieć nic wspólnego. Jak dobrze być zdanym tylko na siebie! Jak dobrze też troszczyć się o kogoś. Axel! Axel! Raz tylko, i nigdy więcej. Zrobiło mu się głupio, gdy pomyślał o chłopcu. Axel, drogi Axel, to nie powinno tak być... Kiedy dojeżdżał do ostatnich domów Heydrich, rozległo się falujące wycie syren. Czyżby alarm przed promieniowaniem? Mniejsza o to.

I nagle uświadomił sobie, dokąd chce jechać. Do Eycków. Do Ulli!

Miserere

Niektórzy ludzie mówią,

że skowronek

Zamienił oczy z ohydną ropuchą...

Shakespeare, *Romeo i Julia*

Noc tętniła życiem. Widział, jak drogą Heydrich-Kelbra w kierunku północno-wschodnim przetacza się wielki, całkowicie zaciemniony transport. (Również tutaj tablice drogowe wskazywały fałszywy kierunek). Jedna za drugą w niewielkich odstępach sunęły ciężarówki, z łoskotem przejeżdżały superciężkie pojazdy gaśnicowe, szare, okryte siatkami maskującymi hełmy połyskiwały matowo w poświacie czerwieniejącego coraz bardziej nocnego nieba. Potem nadjechały czołgi, ciężkie i lekkie, Hollriegl rozróżnił haubice samobieżne i miotacze ognia, a po nich pojawiły się samobieżne działa przeciwpancerne i oddziały piechoty zmotoryzowanej. Tutaj nic było słyhać

strzałów albo może łoskot gąsienic tłumił wszelkie dźwięki.

Obok niego i za nim, skrajem szosy i na przełaj przez pola, poruszały się ciemne bezkształtne masy. Hollriegl dostrzegał większe i mniejsze grupy, pełno ich było w całej okolicy. Najwidoczniej oddziały wracające z uroczystości pogrzebowych i zmierzające teraz do swoich stałych kwater. Ponury obraz — obraz przygnębienia, bezhołowia, rozprężenia.

Do Rottleberode prowadziła szosa o dobrej nawierzchni, mógłby nią pojechać, jeśli i ona nie będzie zablokowana. Droga ta przez jakiś czas biegła obok nasypu linii kolei lokalnej Stolberg-Kelbra i przed Rottleberode przecinała tory. Wiedział, że aby dotrzeć do posiadłości Eycków, tam musi zawrócić i przejechać kilometr lub dwa. Nadkładał niewiele drogi, ale wszelka zwłoka doprowadzała go dzisiaj do szału.

Tęsknił za Ullą — pożądał jej bardziej niż kiedykolwiek! Był ślepy na racje rozumu, taktyki i temu podobne, w tej chwili wszystko to się nic liczyło. Dziś czuł się nawet równy tej kobiecie. Czy chciała go, czy nie, czy też w ogóle nic przyjmowała jego istnienia do wiadomości, nie miało to żadnego znaczenia. Ze wstydem myślał o swojej przygodzie u Eycków. Wówczas — było to ledwie przed tygodniem — formalnie bał się jej. Przypomniawszy sobie, że wtedy najchętniej by zawrócił. Jakież to było godne pogardy! Również wahadlarstwo zasługiwało na pogardę, zachowywał się jak lokaj, a uczyniło go nim właśnie wahadlarstwo. Poniżające rzemiosło, przynajmniej w oczach Ulli. Haniebne! Tej kobiecie należało imponować pańskością, siłą, rasą, wolą zwycięstwa. (Możliwe, że również pieniędzmi). Poczł się nieswojo, gdy pomyślał, że jeszcze przed kilkoma godzinami pragnął być bity przez Ullę szpicrutą. Także Anselma była osobą podobnego pokroju,

tyle że bardziej wyrafinowaną i perwersyjną — on zaś wydawał się w zupełności typem mężczyzny, którego takie kobiety poszukiwały, żeby go upokorzyć, wykorzystać, użyć do swoich celów. Hańba, hańba! Skończył z tym raz na zawsze! Przed Ullą nie wolno było klęczeć, nie wolno było przynosić jej szpicruty, tę amazonkę należało brutalnie rzucić na kolana. I dziś tak uczyni, jeśli będzie mu się opierać...

Niczym cienie zmarłych, w milczeniu, bez słowa pozdrowienia, mijali go żołnierze; bardzo się śpieszyli, posuwali się tak szybko, jak tylko pozwalała na to słaba widoczność i rozmiękła ziemia. Czasami, kiedy drogę zagrażdzała mu jakaś grupa ze smętnie zwisającymi sztandarami lub ze zwiniętymi w rulon i zapakowanymi do futerałów chorągwiemi, musiał robić sobie kilkuminutowe postoje. Parę razy oświetlano go latarkami, lecz sanitarze Senkpiehla wszędzie pozwalano przejechać. W końcu, nie mogąc wytrzymać dłużej niepewności, Hóllriegl przystanął i pod pretekstem, że pomylił drogę, zapytał, czy tędy jedzie się do Kelbry. Tak, tędy. Przy okazji wdał się w krótką, ale owocną rozmowę. Żołnierze mieli na sobie panterki, był to jakiś patrol Wehrmachtu albo Waffen-SS.

— Co się dzieje? — zapytał wreszcie prosto z mostu Hóllriegl. I po krótkiej wymianie uwag i wzajemnym badaniu dowiedział się, co następuje:

Tak zwane milczenie oręża okazało się złudne. Od paru godzin trwał atak na Rzeszę, atak o niewyobrażalnej sile. Zagrożone były zwłaszcza Harz i Kyffhauser, z uwagi na olbrzymie nagromadzenie ludzi w tym rejonie. Należało spodziewać się, że wróg dokona również uderzeń na strumień uciekinierów, aby wywołać panikę.

— Na całym obszarze Rzeszy zarządzono alarm pierwszego stopnia, lecz alarm przed promieniowaniem ogłoszono dopiero kwadrans temu. — Mężczyzna, truppenführer lub ktoś w tym rodzaju, wskazał na swoje radio tranzystorowe. — Do tej pory ukrywano prawdę — i słusznie. Były tylko zaszyfrowane meldunki. Ale teraz wezwano do najofiarniejszej obrony cały naród, mężczyzn, kobiety i dzieci.

Duży aerodynamiczny pocisk nieokreślonego typu — relacjonował dalej truppenführer z surową rzeczowością — trafił tuż przed godziną 18 eskadrę rakiet taktycznych w Bitburgu/Eifel i tym samym wyłączył z walki raketowe stanowisko dowodzenia na całe zachodnie Niemcy. Inne pociski zniszczyły podziemne bazy raketowe na terytorium Rzeszy i w zachodnich protektoratach.

— Trafienia te dowodzą, że atak zbliża się koncentrycznie do środkowych Niemiec. Na razie nieprzyjacielskie pociski sterowane, które nadlatują całymi stadami, uzbrojone są jeszcze w głowice konwencjonalne. Problem w tym, że nasz nowy system radarowy wczesnego ostrzegania, działający z 30-minutowym wyprzedzeniem, totalnie zawiódł, czy sam przez się, czy za sprawą wroga, tego nie wiem. W każdym razie cała obrona okazała się do luftu. Nowe pociski raketowe Żółtków są, zdaje się, wyposażone w niezakłócalny system naprowadzania, a może i w system nawigacji bezwładnościowej. — Żołnierz zapalił papierosa. — Poza tym zlokalizowano satelitę, który może mieć na pokładzie broń nuklearną. — Powiedział to z całkowitym spokojem. — Wciąż próbują go przechwycić. Według najnowszych informacji wystaliśmy za tym podejrzanym obiektem latającym „szpiega” — możliwe, że już go zniszczył. Satelita jest z pewnością bezzałogowy. Poza tym

ataki naszych rakiet typu Ausra na rejon Azji Wschodniej nadal przebiegają planowo. Niedługo Japsy zaczną pluć krwią.

— A nasza wunderwalfe? — Hóllriegl przypomniał sobie nagle słowa Gundlfingera.

Truppfuhrer obrzucił go badawczym spojrzeniem, lustrując rozmówcę od stóp do głów.

— Na nią nie ma co liczyć. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie gotowa. W najlepszym wypadku można będzie jej użyć dopiero za rok — w tym cały szkopuł.

Wypowiedział te słowa z takim spokojem, jakby mówił o sprawach codziennych. Dopóki Rzesza miała takich ludzi, jej kres jeszcze nie nadszedł. Przeciwnie: każdemu przeciwnikowi, nawet najsilniejszemu, zdolna będzie zadać miazdzący cios. Choćby na świecie roіło się od diabłów...

— Eksplozje jądrowe mogą się powtórzyć — przerwa na złapanie oddechu minęła. — Hóllriegl podarował dzielnemu wojakowi paczkę papierosów; ten podziękował skinieniem głowy i schował je do kieszeni. — Jeśli uda nam się tędy przejść, w Hldrungen fasujemy kombinezony ochronne i schodzimy do podziemnego bunkra. Przecież to, co mamy na sobie, to kpina.

— W Heydrich ostro strzelają. Jestem stamtąd.

— A gdzie teraz ostro nie strzelają? — Truppfuhrer nic wydawał się wcale wstrząśnięty. — Bundschuh się rusza. Ale z tą zasraną bandą prędko się uwiniemy. Jest pan Wschodniomarchijczykiem — prawda? Więc niech się pan ma na baczności, ludzi z Marchii Wschodniej ci kolesie wyjątkowo nie lubią. — Wskazał na dziurę w przedniej szybie i wyszczerzył zęby. — Miałeś pan szczęście, panie Heiminsreich — (Jawna drwina). — A ponieważ wybiera się pan do Kelbry, uprzedzam: tam jest naprawdę gorąco. Heil Kopller!

Höllriegl powstrzymał się od zwyczajowego „Heitla” i powlókł dalej. Przez przypadek wkrótce dowiedział się więcej. Dogonił pojedynczego piechura, który ślepą latarką dawał mu znaki. Kuśtykając zbliżył się do wozu i poprosił, żeby go podwieźć. Höllriegl chętnie go zabrał, chciał mieć towarzystwo. Wprawdzie był to tylko zwykły rottenfuhrer SA, lecz ten towarzysz partyjny nosił bądź co bądź przy mundurze Order Coburski. Mężczyzna, pewnie pod siedemdziesiątkę, typ bojownika z okresu wielkich bitew knajpowych i w jakiś sposób przypominający Damaschkego, mieszkał niedaleko Kelbry, gdzie „w dalszym ciągu”, jak mówił, pracował w browarze jako nadzorca robotników cudzoziemskich i więźniów UmL-i. Höllriegl próbował coś z niego wycisnąć. Opuszczając, przedwcześnie zresztą, Kyffhauser coburczyk wpakował się po ciemku na drut rozpięty tuż nad ziemią, upadł i skręcił nogę lub naderwał ścięgno; teraz był bardzo rad, że w tak wygodny sposób dostanie się do domu. Słyszał o bijatyce z SS.

— Paskudna sprawa. SS i Werwolf to dzisiaj jedno.

Milczeli przez jakiś czas, bo tamten nie chciał mówić dalej.

Chmury nad Kelbrą zabarwiły się na ciemnoczerwony kolor, pomimo hałasu silnika słyhać było teraz także stamtąd jazgot broni, a w przerwach głuchy huk. I odgłosy ciężkich pocisków. Dum-dum-dum. Nagle znów ujrzeli reflektory obmacujące niebo. Wysoko nad ich głowami huczały odrzutowce.

— Opuszczają Fuhrera w głąb góry — odezwał się mężczyzna; w jego głosie zabrzmiała wyraźnie złość. Trudno było dociec, po czyjej jest stronie, powiedział to tak sobie. W każdym razie wydawał się raczej człowiekiem „starej daty” (naftalina!), poza tym pochodził z tych stron. Takich ludzi Höllriegl

darzył sympatią i także oni go lubili. Przychodzili do jego gabinetu, rozumiał ich w pół słowa.

— Zna pan von Eycków? — zapytał niewinnie Hóllriegl, żeby podtrzymać rozmowę, lecz jego nerwy drgały jak struny.

Goburczyk nie był uosobieniem gadatliwości. Znał obydwójce z widzenia, ale wiele słyszał o Ulli. Często widywał także panią von Eyck na ekranie. Dzięki swoim umiejętnościom jeździeckim wszędzie była sławna.

— ... Kobieta warta grzechu!

Hollrieglowi zrobiło się gorąco, serce mu waliło jak młotem. Było to dla niego czymś nowym, że Ulla regularnie, jak się zdaje, występowała w serialu telewizyjnym zatytułowanym „Niemiecki dom“. Musiał się przyznać (ze wstydem) przed samym sobą, że nigdy nie oglądał tego popularnego programu. Wiedział natomiast, że reporterzy telewizyjni przeprowadzali czasem wywiady z Bursztynową Czarownicą. Znowu zaczęły go dręczyć zazdrość i uczucie beznadziejności. Cała Rzesza oglądała Ullę, wszyscy mężczyźni jej pożądali!

Samochód posuwał się do przodu w ślimaczym tempie. Przez drogę ciągle przewalały się oddziały powracające do Heydrich do swoich autobusów albo jeszcze dalej, do Heldrungen, gdzie mieściły się kwatery wielu z nich. A potem jak najszybciej do domu. „Słyszeliście już?“ Ze strzępów rozmów, jakie Hóllriegl pochwyił podczas przymusowych postojów, a także ze skąpych uwag jego przypadkowego towarzysza podróży (który wiedział z pewnością dużo więcej, niż mówił), wyłaniał się stopniowo obraz narodowej katastrofy niebywałych rozmiarów.

Niemcy rozdarte były bratobójczą wojną o niespotykanej dotąd, wręcz zwierzęcej brutalności i precyzji samozniszcze-

nia. Od kilku dni, o czym wiedziało bardzo niewiele, od owego historycznego posiedzenia Rady Rzeszy, które Hóllriegl oglądał w Berlinie, w niektórych okręgach walka szła na noże. Błyskawicznie przypomniał sobie słowa Anselmy, które wtedy zrobiły na nim wielkie wrażenie: że nadeszły czasy dżungli i składanych noży — „a za nami ściana“. Mężczyzna przeciwko mężczyźnie, kobieta przeciwko kobiecie. Jak wielka musiała być nienawiść i wewnętrzna niezgoda, świadczył fakt, że nawet pomimo szybko wkraczającego w decydującą fazę konfliktu ze wschodnim mocarstwem nie udało się pohamować tych samobójczych zapędów i zmobilizować narodu do wspólnej obrony. Wielkie poróżnienie, dzielące partię, naród, a nawet, jak twierdzili niektórzy, rodziny, miało wszelkie cechy apokaliptycznej katastrofy. Nikt nie był w stanie zrozumieć tego zjawiska w całej jego doniosłości, opisać go właściwymi słowami, a tym bardziej zbadać jego rozmiarów czy go powstrzymać. Nikt również w tej dziejowej chwili nie był zdolny połączyć narodu niemieckiego w zwartą bitną całość. Jedno tylko uprzytomniło sobie nagle z przerażającą jasnością wielu ludzi, również Hóllriegl: że tragedia, jaka rozgrywała się obecnie, narastała od dawna, a pewne jej symptomy pojawiły się zresztą tu i ówdzie już wcześniej. Nikt jednak nie zwracał uwagi na te oznaki ani też nikt ich nie wyjaśniał. A teraz nie pozostawało nic innego, niż dać się unieść fali.

Do tego wszystkiego dochodziło bowiem paraliżujące przekonanie, że, mimo zapewnień, nowemu rządowi nie udało się zniszczyć błyskawicznym atakiem zewnętrznego wroga lub przynajmniej tak go osłabić i zastraszyć, żeby nie mógł użyć broni jądrowej. Stało się coś przeciwnego. Zdarzyło się to, czego nikt nic uważał za możliwe: w samym sercu Starej Rzeszy, na

niemieckiej ziemi, miały miejsce eksplozje jądrowe, które pociągnęły za sobą straszliwe skutki, a bez wątpienia należało spodziewać się i dalszych. Proklamowany został chaos, walka wszystkich przeciwko wszystkim, i ów piekielny niemiecki chaos rozprzestrzenił się po kuli ziemskiej jak pożar: w obu Amerykach, w Afryce, w pewnych częściach Azji, w strefach podbiegunowych, nawet w japońskiej Australii — wszędzie, gdzie Nowy Porządek wznosił swoje bastiony, walka o władzę pomiędzy dwoma gigantami przerodziła się w mnóstwo pojedynczych akcji, których następstw, niezwykle powikłanych, nikt zresztą nic potrafił już ogarnąć. Hollriegl miał wrażenie, jakby podczłowiek zerwał, wszędzie gdzie tylko się dało, swoje łańcuchy, podobnie jak w mitologii bóg Loki, wilk Fenris i wąż Midgardu. Była to po prostu walka między światłem a ciemnością. Imperium Adolfa Hitlera drżało w posadach — a wraz z nim imperium Soka Gakkai.

Osoba zamordowanego Fuhrera — nie ulegało bowiem wątpliwości, że Hitler zmarł śmiercią gwałtowną, jedynie co do jej rodzaju zdania były podzielone — stała się najwyraźniej przedmiotem gorących sporów. Nawet wśród fanatycznych wasali Hitlera nic brakowało takich, którzy ostro krytykowali politykę zagraniczną ostatnich lat. Fuhrer, jak twierdzono, powinien był podporządkować sobie, albo przynajmniej nastawić do siebie przychylnie, ruch Soka Gakkai, dążący w mniejszym lub większym stopniu do tych samych celów; zamiast tego pertraktowano z reakcyjnymi klikami skupionymi wokół tenno, a więc z niewłaściwymi ludźmi, wiele gadano o *sinto*, czyli boskości cesarza, o honorowym kodeksie samurajskim *busido* i podobnych feudalnych bzdurach, natomiast zabiegi dyplomatyczne zmierzające do ideologicznego zbliżenia obydwu blo-

ków i ujednoczenia ich celów były prowadzone w sposób mało skuteczny, żeby nic powiedzieć: dyletancki. W związku z tym atakowano gwałtownie także Rosenberga i Ribbentropa (mówiono o „polityce wędrownych sprzedawców wina wobec kamikadze”), ponieważ takie i podobne grzechy przez zaniebdanie miały swe korzenie w polityce pierwszych lat powojennych. Krótko mówiąc, największe zwycięstwo w dziejach Niemiec było jedynie połowiczne — przypuszczalnie zapomniano zdyskontować pokój. Również o (niewątpliwie gigantycznym) potencjale zbrojeniowym przeciwnika i poziomie jego techniki wojennej posiadano dość niejasne wyobrażenie. Abwehra dała się po prostu nabrać żółtkom.

Pomimo to proces deifikacyjny Fuhrera szybko postępował naprzód. Tak więc związek wyznaniowy „Niemieccy Chrześcijanie” zupełnie oficjalnie pozbawił Frauę lub Kristosa, Syna Człowieczego, jego przyrodzonej roli pośrednika między „Bogiem Ojcem” lub „istotą, do której zanoszą się prośby”, a ludźmi, i umieścił na jego miejscu Adolfa Hitlera. Łącznik z pierwszej wojny światowej stał się w jednej chwili boskim pośrednikiem tronu nad chmurami, a z kościołów i świętych gajów tego potężnego popularnego ruchu religijnego, popieranego ze wszystkich sił przez partię i państwo, usuwano cichaczem posągi Frauji i zastępowano je popiersiami Hitlera. Wszystko to było dziełem niewielu godzin. Natomiast przewodniczący Rady Braci Rzeszy, innej szeroko rozpowszechnionej sekty o charakterze narodowym, noszącej nazwę „Nordyccy Chrześcijanie”, starszy apostoł dr Nimmshin (Dahlem), obwieścił w cyklicznej audycji radiowej — Höllriegl słuchał jej jeszcze przed kilkoma dniami — iż Fuhrer, odpowiednio do swej nadprzyrodzonej rangi, zrównany będzie odtąd z dwie-

ma osobami Trójcy, a mianowicie z Synem i z Duchem. „W ramach iluminacji”, jak dosłownie wywodził dr Nimmshin, udało mu się ustalić, iż Adolf Hitler objął w wieczności wszelkie wojskowe obowiązki; od tej pory najwyższą powinnością Fuhrera będzie utrzymywanie stałego „kontaktu z hufcami niebieskimi”.

Spotkanie zwolenników Bundschuh w Stolbergu nic było czczą pogroźką, odbyło się, choć nie miało, jak pierwotnie planowano, charakteru masowej demonstracji. Pojawienie się fali uciekinierów z zachodu i wędrówka tak ogromnej rzeszy ludzi z wszystkich okręgów do Kyffhauser udaremniły ten zamiar. W każdym razie stawiły się oddziały wyborowe zorganizowanego na wzór- wojskowy chłopstwa. Bez żadnych przeszkód! Okazało się bowiem, że Firbas zapewnił natychmiast demonstracji ochronę policji państwowej i żandarmerii.

Pierwotnie, jak mówiono, kierownictwo „Biednego Konrada” zamierzało okrążyć teren uroczystości pogrzebowych w Kyffhauser, wprowadzić potajemnie swoje oddziały szturmowe i schwytać Kopflera wraz z jego zgrają. Z zamiaru tego zrezygnowano w ostatniej chwili — Kopfler ściągnął bowiem tak wielkie siły SS, Werwolfu i gestapo, że Bundschuh pewnie by się wykrwawił w trakcie tego zamachu. Poza tym wciąż pod wielkim znakiem zapytania pozostawało stanowisko Wehrmachtu. Niektóre jednostki Luftwaffe zbuntowały się wprawdzie jawnie przeciwko Kopflerowi, lecz wojska raketowe i pancerne zajmowały w dalszym ciągu pozycję wyczekującą. SA, być może nawet w całości, było przeciwko Leśnemu Diabłowi.

Höllriegl dowiedział się (i serce mu przy tym omal nie zamarło w piersi), że przed pomnikiem Thomasa Munzera w Stolbergu przemawiali Unseld i Diebold, którzy wyszli z pod-

ziemia. Kilkutysiężne grono słuchaczy zgotowało im frenetyczny aplauz, gdy zażądali głowy uzurpatora. Wśród chóralnych okrzyków publicznie powieszono kukły przedstawiające Kopflera i najbardziej po nim znienawidzonego człowieka, brigadeführera SS Sauselego. W tej symbolicznej egzekucji oprócz „anonimowego kierownictwa” Bundschuh oraz — tylko słuchać i dziwić się — uzbrojonych po zęby oddziałów zmotoryzowanych Pierścienia Asgardu wzięli także udział wysocy funkcjonariusze i delegaci Stanu Żywicieli Rzeszy, DAF-u, NSV i innych „dywersyjnych” przybudówek partii, które jednak ze swej strony określiły się jako lojalne lub wierne Hitlerowi, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, iż pragną się trzymać tylko starej, umiarkowanej linii partyjnej. Z powszechnym uznaniem spotkał się udział utworzonego w ciągu ostatniej nocy tymczasowego Komitetu Uchodźców Atomowych.

Firbas działał bardzo energicznie i rzeczywiście udało mu się doprowadzić do tego, że znaczna część egzekutywy, głównie policji i żandarmerii polowej, przeszła na stronę Bundschuh lub przynajmniej zabezpieczała mu tyły. W całym kraju ostrzeliwano koszary SS, zamki zakonne, instytuty wychowania rasowego, napole i podobne wylęgarnie Werwolfu. Ogólnie rzecz biorąc, Werwolf i SS właściwie zniknęły z terenów nizinnych i wycofały się do swoich kryjówek w górach lub do wielkich miast. Typowo rolnicze rejony Rzeszy, zwłaszcza na wschodzie, kontrolował Bundschuh. Były to zresztą te okolice, gdzie napływała większość uchodźców z zachodu, ludzi, którzy uciekali przed śmiertcionośnymi promieniami z Lemgo. Uciekinierzy z Ostrawskiego Zagłębia Węglowego — tam, jak wiadomo, eksplodowała druga wielka bomba, o której śmiertcionośnym promieniowaniu neutronowym opowiadał Gundl-

finger — kierowali się instynktownie na północ, na Dolny Śląsk, albo w kierunku zachodnim, do Kraju Sudeckiego, gdyż iść dalej na wschód nie mieli odwagi: wszak podobno rojło się tam od gerylasów i partyzantów-byłych więźniów UmL-i. Bomba (rzekomo) atomowa, która spadła na Allgau, okazała się później „nieszkodliwa”, gdyż była tylko bombą wysokotermiczną — choć o potwornej sile rażenia. Gzy dalsze pociski z głowicami jądrowymi wybuchły na obszarze Rzeszy, nie było wiadomo. Goś o tym przebąkiwano, ale nikt nie miał odwagi twierdzić tego z całkowitą pewnością. Szalony chaos panujący w eterze nic pozwalał wyrobić sobie jasnego obrazu sytuacji.

Działo się tak dlatego, że siedzące w miastach SS kontrolowało wszystkie ważniejsze stacje radiowe, były one zatem w dalszym ciągu instrumentami propagandy Kopflera, nadawały sprawiające upiorne wrażenie normalne programy i zwykajne prorządowe wiadomości. Z niespotykaną bezczelnością wynoszono pod niebiosa Hitlera, wciąż jednak przy tym wychwalano Kopfiera jako jego zaufanego, najbliższego współpracownika, jako zawsze wiernego paladyna i wykonawcę woli założyciela imperium, którego nazywano już tylko Adolfem Wielkim — nic nic wskazywało na pęknięcie, które niczym rów strzelecki biegło przez całą Rzeszę, podobnie też wystrzegano się starannie jakichkolwiek wzmianek o tym, że trwa coś takiego jak wojna domowa. (Mnożyły się jedynie zaszyfrowane komunikaty). Propagandowa akcja dezorientacyjna skierowana była jednak w pierwszym rzędzie przeciwko wrogowi zewnętrznemu; choć mocno eksponowano, co może było uzasadnione, sukcesy rakiet Thor i Ausra, to jednak pod straszliwym naporem wydarzeń — a nie, jak zauważył Hóllriegl, w konsekwencji wprowadzania w życie programu „Landgra-

fie, bądź twardy“ — zaczęto mówić narodowi całą prawdę; po pierwsze, że nie udało się w ciągu kilku godzin zniszczyć wroga w jego własnym kraju (należałoby wówczas błyskawicznie zniszczyć pół świata); po drugie, że przeciwnie, w najbliższej przyszłości oczekiwano wielkiego atomowego ataku wcale, jak się zdaje, nie osłabionego i bardziej niż kiedykolwiek bezlitosnego przeciwnika (alarmy ostrzegawcze i właściwe alarmy przed promieniowaniem następowały jeden po drugim); po trzecie, że wróg zdobył przyczółki „w kilku miejscach na terenie europejskich protektoratów Rzeszy“, a transport posiłków drogą powietrzną, choć dokonywany pod gwałtownym ogniem nękającym, bynajmniej się nic załamał.

Oficjalnie określono obecną fazę działań wojennych jako „wojnę atomową o ograniczonym zasięgu“; wyrażenie „totalna wojna atomowa“ w doniesieniach („komunikatów Wehrmachtu o sytuacji“ w tradycyjnym sensie nic było) nie pojawiło się ani razu, mimo że — jak potwierdzał to przebieg wydarzeń — po obydwu stronach używano strategicznej broni atomowej o wysokich i najwyższych parametrach rażenia w jednym wyłączeniu, jasnym celu: wyłączenia przeciwnika i zniszczenia podstaw jego egzystencji. Zastosowanie w szerokim zakresie taktycznej broni atomowej, nie wspominając, rzecz jasna, o laserach, środkach trujących, gazach i bakteriologicznych środkach rażenia, także było kwestią najbliższej przyszłości.

„Biednemu Konradowi“ udało się tu i ówdzie zająć szturmami elektrownie oraz lokalne stacje radiowe i telewizyjne; również niektóre stacje zbuntowanej Luftwaffe nic ustawały w atakach na Kopitem i Werwolf, oskarżając ich, że wiedzą Rzeszę ku przepaści. (Gdyby Kopfler zdołał osiągnąć jakiś znaczący sukces w wojnie z Japsami, ataki te zapewne by

ustały, a tak...)

Żeby dopełnić chaosu, wróg, który wylądował w Europie, nadawał nieprzerwanie przez zdobyte sieci radiowe komunikaty o katastrofach, dezorientując w ten sposób prostych ludzi jeszcze bardziej. Japońskim komandosom klasy kamikadze oraz amerykańskim ochotnikom udało się nie tylko utrzymać swoje przyczółki, lecz nawet je poszerzyć i wzmocnić technicznie, przy — wspomnianym już — poparciu antyniemiecko nastawionej ludności. Wszędzie tam wkraczały natychmiast do akcji jednostki SS i Wehrmachtu. Z informacji, jakie przeciekały do tej pory, wynikało, że wróg utworzył już liczne przyczółki na obszarze południowej Rosji, w Finlandii, w Eire, w północnych Włoszech i na Półwyspie Pirenejskim. Wszystkie te tereny były ważnymi przedpolami ziem rdzennic niemieckich. Czy wróg wylądował już na obszarze Starej Rzeszy — na ten temat krążyły tylko dzikie plotki. Szerzyły się także różne nie sprawdzone wieści o posiłkach nieprzyjacielskich. Fama niósła, że Japsom udało się zbudować dwa gigantyczne mosty powietrzne, które rozgałęziały się w Europie: jeden z Hon-do przez biegun do Rosji i Finlandii, drugi, o wiele dłuższy, z bazami w Australii i w Meksyku — a więc omijając UVSA — do Madeiry i Eire.

Na całym terytorium Zjednoczonych Stanów Zależnych Ameryki toczyły się bowiem niesłychanie zacięte walki. Również tam w partii państwowej pojawiły się ponure objawy rozkładu; tak więc bardzo bojowe, utworzone na wzór Werwolfu formacje minutemenów niemal wszędzie umocniły swą hegemonię wypierając Ku-Klux-Klan (którego historyczne zasługi naturalnie uznawano) jako „romantyczny przeżytek” z ery „zarsranej demokracji”, a więc żydowsko-masońsko-plutokratycznej

Republiki Waszyngtońskiej najgorszej pamięci. Sporadycznie dochodziło już do zdecydowanych działań bojowych pomiędzy wrogimi ugrupowaniami, do których przyłączyły się oddziały gwardii narodowej i całe związki taktyczne. Rozgorzały także zaciekle walki na tle religijnym — od wybrzeża do wybrzeża — towarzyszyły im akty krzyżowania, palenia na stosie, tortury i inne wybuchy fanatyzmu ze strony ludności. Na scenę polityczną wkroczyły nagle dwie sekty, które uniknęły powszechnej unifikacji po 1945 roku: „The Brethren of the Holy Order” (słowo „order” odnosiło się tutaj raczej do interesów, nic do metafizyki) oraz „The Witch-Chasers of Salem”. „Brethern”, mający silne oparcie w ruchu minutemenów, głosili radykalną ascezę, poddając się „boskim kuracjom odtłuszczającym” w postaci publicznych biczowań i tańców z podskokami. Ich największymi wrogami, „łowcy czarownic” (którzy ostatnio nazwali się również „The Blessed Gross Profiteers”), podczas masowych mityngów głosili, że nadszedł koniec świata i dlatego należy używać życia możliwie bez żadnych ograniczeń; było rzeczą jasną, że tutaj — na płaszczyźnie religijnej — znów wyszły na jaw instynkty playboyów i miłośników strip-tease’u z przewyżnionej już przecież epoki dekadencji.

Stacjonujące na terenie UVSA niemieckie wojska kolonialne, składające się głównie z Waffen-SS, SD, jednostek Totenkopfu i uzupełnionego Amerykanami krwi niemieckiej Amerikakorps (DAK), stanęły przed trudnym wyborem: poprzeć MM, czy K-K-K. Ponoć owe jednostki zamorskiego SS były jedynymi oddziałami, na których można było polegać; walczyły z żelazną konsekwencją przeciwko wrogowi zewnętrznemu i same też już poniosły duże straty.

Z drugiej zaś strony, jak mówiono, niektóre z byłych sta-

nów federalnych na południu miały się już znajdować pod kontrolą powstańczych korpusów ochotników (nazywanych po prostu „czarnuchami”). Podobno wszędzie na terenach opanowanych przez czarnuchów przywracano starą federalną konstytucję, parlamenty lub podobne targowiska, a w mieście, któremu nadali teraz nazwę Lincoln Center, utworzono rząd składający się z kolorowych podludzi i innych małpoludów. Hollriegl nie chciał wierzyć. Wydawało mu się to zbyt absurdalne! Opowiadano bowiem także, iż właśnie na południu udało się zniweczyć owo wskrzeszenie ochlokracji i zapobiec w ten sposób gigantycznej katastrofie grożącej Master Race. Minutemeni sprawowali tam ponoć niczym nic ograniczoną władzę. Było rzeczą oczywistą, że w takich okolicznościach powrót delegacji Ku-Klux-Klanu z uroczystości pogrzebowych w ogóle nie wchodził w rachubę.

Podobna była sytuacja w Ameryce Środkowej i Południowej, zupełnie wyjątkowa natomiast w Australii, zwanej „Magna Iaponica“, w chwili obecnej tak nieprzejrzysta, że nie miało sensu się nią zajmować. Na temat sytuacji w Ameryce Południowej istniały jedynie przypuszczenia, które opierały się na wzajemnie przeczących sobie meldunkach radiowych nadawanych przez operujące na tamtejszych wodach przybrzeżnych jednostki floty Nowego Porządku; jednoznacznie wynikało z nich tylko tyle, że na tym kontynencie panuje niesamowity chaos polityczny (proklamowanie monarchii w Brazylii nic było kaczką dziennikarską!) i że podobnie jak w UVSA rozpoczęła się tam walka wszystkich przeciw wszystkim.

Hollriegl słuchał tych rewelacji bez jakiegoś szczególnego przerażenia. Było to przecież jedynie potwierdzeniem tego, co już wiedział, choć w to nie wierzył — i, do diabła, w dal-

szym ciągu nie chciał wierzyć! Facet od pralek w Sauckelruh, a następnego dnia profesor wspominali przecież o podobnych sprawach. Po prostu byli ludzie, którzy słyszeli, jak trawa rośnie. Jedno w każdym razie nie ulegało kwestii: jeszcze dwa tygodnie temu tego rodzaju rozmowy pomiędzy obcymi ludźmi, a nawet między przyjaciółmi, byłyby absolutnie nie do pomyślenia — wtedy, w zdrowym świecie Adolfa Hitlera! Ale tego świata już nic było i nigdy już nie będzie.

Coburczyk rozkręcił się na dobre, nagle zaczął opowiadać. Ale żadne tam sentymentalne kawałki. Jedynie kiedy wspominał bojowy okres ruchu, oczy mu zwilgotniały. Znał, widział wielkich mężów, kiedy znajdowali się dopiero na początku drogi, rozmawiał z nimi — na przykład z Karlem Ludecke; także z Bernhardem Rustem i Hansem Kerrlem. Później, przez jakiś czas, był dorywczo szoferem u Kerrla.

— Zawsze stawałem jak mężczyzna — nigdy nic właściwie nikomu do tyłka.

I widać to było po nim, po tym prostym, zacnym pracowniku browaru. Zasada, że szary człowiek może zajść wysoko w partii i w służbie państwowej, obowiązywała tylko na papierze. Dawniej, owszem, od czasu do czasu było to jeszcze możliwe. (Na przykład Kopller). Hollriegl znał jungmannów, najlepszych z najlepszych, znakomitych żołnierzy, urodzonych dowódców, którzy pomimo ukończenia napoli i ofiarnej pracy w HJ za nie w świecie nic mogli się wybić — po prostu dlatego, że wywodzili się z drobnomieszczaństwa. Jedni nadstawiali grzbietu, a inni, złote bażanty, kupowali sobie najpiękniejsze pałace i kobiety. Także von Eyck, ten obrzydliwy zarozumialec. Skąd on miał pieniądze? Jak Hollrieglowi udało się ustalić — wytropił to swoim piekielnym węchem — Erik Meinolf von Eyek

pochodził z dobrej, lecz ubogiej stajni. Pewien hanowerski von Eyek służył kiedyś w Legii Niemieckiej i po Belle-Alliance w randze pułkownika dostał w nagrodę całkiem intratny mająteczek. Potem nadeszły dla rodziny ciężkie czasy. Papa von Eycka spekulował na boku parcelami, to znaczy tak długo oszukiwał swych wormaekich towarzyszy broni i kolegów z kasyna, aż któryś z nich w końcu stracił cierpliwość i wybuchła afera. Zrobił się tak wielki huk wokół tej sprawy, że von Eyek junior wyleciał na zbity pysk z elitarniej korporacji i musiał przerwać studia prawnicze. Rodzina postawiła wtedy na budzące się Niemcy. Z powodzeniem. Erik Meinolf wstąpił do SS i został przydzielony do wydziału zagadnień prawnych w PO II¹. Była to dobra odskocznia dla młodego prawnika bez tytułu. Obecny inspektor generalny w OA Fulda-Werra zrobił błyskawiczną karierę partyjną — a przy okazji pewnie nieźle się obłowił. A Ulla? Skąd przybyła Bursztynowa Czarnownica, nikt tego dokładnie nic wiedział. Z któregoś z dawnych krajów bałtyckich, tyle było wiadomo. Pozacierała wszelkie ślady. Jej nazwisko panieńskie brzmiało Mlakar, Ulrike Mlakar, pochodzenie jej było niejasne, wywodziła się na pewno z nizin społecznych. W kręgach partyjnych kursowały na jej temat najbardziej niesamowite dowcipy i plotki, ale czyż można było wierzyć w tak ordynarne opowieści? Mówiono więc, że już mając dziesięć lat była tak piękna i rozwinięta, iż baron Wrangell, nieźle nadziany facet, wziął ją do siebie i żył z nią w Estonii gdzieś w jakimś majątku, żeby ją poślubić, kiedy dziewczyna skończy czternaście lat. Tylko że pewnej nocy, podobno po sporej liczbie numerów, dostał udaru serca i trzynastoletnia Ulrike znalazła się nagle na ulicy. Jako „wdowa“ w żałobie. Według innej, złośliwszej wersji zdeflorował dzie-

sięcioletnią dziewczynkę pewien hochsztapler z tak zwanej „wirbaleńskiej szlachty“, a więc mieszczanin. Albo też ona go uwiodła. Bez względu na to, jak naprawdę było — także Ulla Frigg von Eyck nic miała pieniędzy. (Anselma, o kilka lat młodsza od brata, nic liczyła się tutaj. Wcześniej wyszła za męża, przez wiele lat mieszkała za granicą i również teraz była samodzielna. Outsajderka!) Możliwe, że Ulla w okresie,

1) Politische Organisation — Organizacja Polityczna (NSDAP).

gdy robiła karierę obozową, zajeżdżała łóżka — wiele łóżek, jak twierdzono — w końskim siodle nic czuła się jeszcze wtedy zbyt pewnie. Dziś von Eyckowie posiadali pałace, stadniny koni, wielkopańskie mieszkania w Fuldzie i Hanowerze, park samochodowy niczym plutokraci. Pan von Eyck sprawił sobie stajnię wyścigową, uchodził za asa lotnictwa sportowego i latał naturalnie własną awionetką. Ulla należała do elity amazonek i była ulubienicą telewizorów. Strażniczką rasy, idolem narodu. I tego właśnie idola, który teraz wydawał mu się bardziej niedostępny niż kiedykolwiek, on, Albin Totila Hollriegl, nieznaną wasal Fuhrera, kochał wszystkimi włóknami swego serca.

W czasie gdy jednym uchem słuchał coburczyka, przez głowę przelatywały mu wszelkie możliwe myśli, zmierzając za każdym razem ku jednemu bolesnemu punktowi. Ulla! Zrobiło się niesamowicie jasno. Przed nimi leżała Kelbra — płonąca Kelbra. Przez dziurę w szybie wdzierał się gryzący dym, wiatr pędził przed sobą całe snopy iskier. Terkot kaemów umilkł nagle, duży transport wojskowy blokujący im od dłuższego czasu drogę skręcił gdzieś w bok. A oddziały wracających z pogrzebu jakby zapadły się pod ziemię.

Hollriegl zatrzymał samochód. Powietrze było nabrzmiąte od elektryzującego napięcia. W białych ścianach domów Kelbry, pod niskim rozżarzoną niebem, czaiło się jakieś niebezpieczeństwo — co się za tym kryło? W ciszy rozbrzmiewał donośnie przeciągły skowyt psa.

Jechać przez miejscowość byłoby szaleństwem, coburczyk znał objazd, całkiem znośną polną drogę. Jasne, że Hollriegl podrzuci go pod dom. W taką noc kontakt z drugim człowiekiem był wart więcej niż wszystko inne. Zamienili się miejscami.

Płomienną czerwienią ciągnęły się w dal szyny kolejowe. W miejscu, gdzie przejeżdżali na drugą stronę, w poprzek toru leżało coś ciemnego. Przewrócona drezyna. Obok niej, dziwnie płaskie, ludzkie ciało. Wysiedli, żeby zobaczyć, co z człowiekiem, sądząc po mundurze, był kolejarzem. Nie dało się nic zrobić — już drugi trup widziany przez Hollriegla tej nocy. Kiedy się podnosili, z tyłu gruchnęły szybkie strzały rozpryskując kamienie u ich stóp. Rzucili się na ziemię i przeczołgali z powrotem do samochodu. Nad ich głowami gwizdały kule. Również ta sytuacja wydała się Hollrieglowi dziwnie znajoma.

Po drugiej stronie nasypu kolejowego zanurzyli się w ciemności pól, nasyp zasłaniał światło. Coburczyk jechał w ślimaczym tempie, grunt był rozmiękły, a droga prowadziła to w górę, to w dół. Hollriegl trzymał karabin gotowy do strzału, ale nic się nie ruszało. Na horyzoncie w chmurach ukazywały się tu i ówdzie przypalone plamy — może odbłask płonących wsi.

Za browarem się rozstali. Coburczyk opisał mu drogę i utykając zniknął w mrokach nocy. Mieszkał w osadzie domków szeregowych, które ze swymi wysokimi ścianami szczytowymi

przypominały dziecinne klocki. Nigdzie żywego ducha. Koszmar. Ale ucieczka stąd nie miałaby sensu, dokąd zresztą ci ludzie mieli uciekać? Goburczyk z pewnością zastanie rodzinę w domu.

Na tylnym siedzeniu leżała flaga Czerwonego Krzyża. Hollriegl, korzystając z krótkiego postoju, wywiesił ją na przodzie samochodu. Auto Senkpiehla było wprawdzie oznakowane kolorem lakieru i drzewem życia jako wóz pomocniczy „służby felczerskiej“, ale w ciemności łatwo można to było przeoczyć. (Wojskowa służba sanitarna używała także specjalnego klaksonu).

Znowu jechał bardzo powoli; obcy, w dodatku rozjaśniony tylko bardzo niepewnym, padającym z nieba światłem teren krył nieprzyjemne niespodzianki. Poza tym znowu zaczęły mu dokuczać — jak zawsze po zapadnięciu ciemności — przekłete zaburzenia wzrokowe, które dopadły go niespodziewanie w Sauckelruh i od tamtej pory nic ustępowały, a nawet przeciwnie: nasilały się. Jechał naturalnie bez świateł.

Jego przypadkowy towarzysz podróży poradził mu, żeby jechał dalej pod osłoną nasypu, zostawiając za sobą Kelbrę z prawej strony. Po ominięciu miejscowości powinien potem przeciąć gdzieś tory i spróbować przebić się w kierunku Bergi główną arterią komunikacyjną. W Kelbrze toczyły się walki, to było pewne. Hollriegl rozróżnił uchem terkot kaemów, pojedynczy ogień strzelców wyborowych i ciężkie detonacje pocisków przeciwpancernych. Tu i ówdzie wiatr przynosił na drugą stronę nasypu piskliwy zgrzyt gąsienic: wozy rozpoznawcze. Słychać było także trzask granatów ręcznych. Pewnie toczyła się tam zażarta walka o każdy dom; poczuł się dziwnie na myśl o tym, gdzie byłby teraz, gdyby próbowali przejechać

Brunatna rapsodia

przez Kelbrę. Na nasypie kolejowym tu i ówdzie okopali się snajperzy, dostrzegł także gniazda kaemów. To było SS. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Droga nagle zaczęła stromo opadać. Na dnie doliny ustawił się wóz głośnikowy służby łączności, z którego, przez umieszczone na wysokości nasypu megafony, płynęły bez przerwy w rejon walki — niekiedy zagłuszając zgiełk bitewny — wrzaskliwe hasła propagandowe (potocznie nazywane żartobliwie „propagami“). Chcąc ominąć jakąś przeszkodę na stromej drodze, Hollriegl musiał zwolnić, a nawet zatrzymać się na chwilę; dzięki temu mógł pochwytać kilka zasadniczych informacji.

„... zmuszeni do prowadzenia na wszystkich frontach walki z krwiożerczym nieprzyjacielem, który zmierza do totalnego zniszczenia cywilizacji Zachodu i ariogermańskiej... Śmieszna garstka byłych towarzyszy narodowych popełniła najohydniejszy zamach wszystkich czasów na wyznaczony w testamencie przez założyciela imperium rząd Rzeszy... zasiać w naszych szeregach polityczny chaos, rozłożyć siłę obronną narodu niemieckiego i przeszkodzić mu w wypełnianiu historycznej misji... nic dość na tym, szubrawcy ci nic zawahali się oskarżyć o szaloną zbrodnię najwierniejszego paladyna i prawowitego następcę Adolfa Hitlera, naszego Fuhrera i najwyższego wodza, Ivo Adolfa Kopllera... skazuje sam siebie. Zdrada, nie mająca precedensu w dziejach naszego narodu... Towarzysze! Jest rzeczą dowiedzioną, że ta hołota, której dzięki operowaniu nieprawdziwymi faktami udało się omotać tak dumny i czcigodny ruch, jak organizacja niemieckiego stanu chłopskiego, a nawet podporządkować sobie jego pewną część, działa w porozumieniu z odwiecznym wrogiem cywilizacji zachodniej, Żółtymi

diabłami. Poza tym dowiedziono... każdy Niemiec, który współpracuje z tymi mętami, popiera knowania tej klikki przestępców lub je toleruje przez własną bierność, dopuszcza się zdrady wobec wolności naszego narodu, zdrady wobec cywilizacji zachodniej i podważa dalsze istnienie wolnego świata pod przewodnictwem Wielkoniemieckiej Rzeszy..."

Po chwili miejscowość została za plecami Hollriegla, lecz odgłosy walki nie ucichły. Zdarzały się jedynie krótkie przerwy — a cisza wydawała się wówczas jeszcze bardziej upiorna. Berga, następna miejscowość, znajdowała się chyba nawet pod artyleryjskim ostrzałem, a może były to organy Goebbelsa? Wielogłosowe wycie pocisków i donośne huki detonacji na to by wskazywały. Nie ulegało wątpliwości, że działania wojenne objęły cały rejon Kyflhauser. Powietrze wibrowało od głuchego pomruku nocnych myśliwców i samolotów rozpoznawczych, reflektory niczym palce gigantycznej dłoni obmacywały szary nieboskłon. Hollriegl zauważył, że artyleria przeciwlotnicza, która przypuszczalnie zajęła stanowiska wokół Goldene Aue, wstrzeliwuje się amunicją smugową. Rakiety przeciwlotnicze przeszywały niebo z przenikającym do szpiku kości wyciem, a w końcu rozpoczęła się regularny ogień zaporowy. Dwie, trzy maszyny płonąc runęły w dół przez straszliwie rozjaśnione chmury, olbrzymie pochodnie smolne, których migotliwe światło rzucało na jezdnię blade, chwiejące się cienie, tak iż można się było nabawić choroby morskiej. Hollriegl pomyślał o zbuntowanej Luftwaffe — możliwe, że dokonywała właśnie pierwszych zmasowanych ataków na wprowadzone do akcji w Stolbergu oddziały Wehrmachtu i SS. Mimo wszystko czuł się tak, jakby był tylko niezaangażowanym obserwatorem i uczestniczył w jakichś manewrach.

Odkrył przejazd kolejowy, ale ledwo minął tory — dostrzegł, że szyny są zerwane — z naprzeciwka w jego kierunku posypały się strzały. Dodał gazu. Po drugiej stronie nasypu biegła biała i, jak się wydawało, puściutka droga do Bergi i Rottleberode — jego droga. Kierował auto prosto ku niej, wielokrotnie naciskając klakson sanitarki. I dotarł do celu pod prawdziwym gradem kul. Znowu miał szczęście — żaden pocisk nie trafił. Z zapalonymi reflektorami, teraz już tak czy owak nie miało to znaczenia, pędził przed siebie. Liczył się każdy zyskany kilometr!

Posiadłość von Eycków znajdowała się pomiędzy Bergą a Rottleberode. Ciekawe, jak tam wygląda sytuacja! Apetyt na Ullę się ulotnił — to niedorzeczność, nawet gdyby Ulla była jeszcze w domu. Obłąd! Jak w ogóle coś takiego mogło mu przyjść do głowy! Jego mózg nie był już zdolny do normalnego myślenia. A poza tym — Ulla siedziała pewnie od dawna za dziesiątą granicą. Razem z dziećmi. Nigdy już jej nic zobaczy i tak właśnie jest dobrze. Tak jest dobrze.

Szosa niknęła w błyszczącej dali. Prosta jak strzełiła. Nigdzie żywego ducha, wszystko okrywała noc. Zbliżające się do niego drzewa tańczyły w stożku światła jak blade szkielety. Od czasu do czasu dostrzegał porzucone przy jezdni wraki samochodów. Czyżby uchodźcy atomowi? Rejon Kyffhauser był strefą zamkniętą. A więc pewnie uchodźcy z tujszej okolicy. Ponownie uświadomił sobie, jak bezsensowna jest ucieczka.

Pamięć podsunęła mu nagle obrazy z tamtej soboty, przed ośmioma dniami — niewyobrażalnie dawno temu! Ta sama szosa. Dzień udający późne lato. Białowłose lokaj. Bałagan w pokoju Ulli. Cieliste majtki. Buty do konnej jazdy. Od

Ulli. Bidet. Portret Fuhrera. Krzyż świętego Andrzeja. Niebezpieczne promieniowanie jej ciała. Potem ona sama, Ulrike Mlakar. Wilgotne plamy pod pachami. Zapach bryczesów. Chłosta. Piętno hańby.

— Nonsens, nonsens — powtórzył na głos, mając przy tym na myśli swoją obecną wyprawę do Eycków. Była po prostu niebezpieczna i ze wszech miar głupia. Powinien natychmiast zawrócić i spróbować przedrzeć się do Heydrich — wydawało się to jedyną rozsądną decyzją w obecnej sytuacji.

Samochód z dużą prędkością zbliżał się do jakiejś przeszkody. Hollriegl zahamował tak ostro, że impet wcisnął go wręcz w kierownicę, a na tylnym siedzeniu wszystko się powyracało. Instynktownie zgasił światła. W bladej łunie pożaru piętrzyły się przed nim resztki rozbitych pojazdów, góra pogiętego, poszarpanego metalu. Dookoła walały się jakieś szczątki.

Wyskoczył z samochodu i rowem podkradł się do przeszkody. Roztrzaskane drzewa, a zamiast jezdni ziejąca dziura. Zabici, z szeroko rozrzuconymi rękami, leżeli na skraju leja lub zsunęli się w jego głąb, na gałęzi wisiał strzęp ludzkiej nogi. Żołnierze Wehrmachtu, młodzi chłopcy. Dziecinne twarze pod zbyt dużymi stalowymi hełmami. Wąły promień latarki przeskakiwał z jednego ciała na drugie, przypominały pędraki w czarnej glebie. Zupełne szaleństwo! Towarzysze przeciwko towarzyszom!

Hollriegl wspiął się na kupę zniszczonego żelastwa, pokaleczył sobie ręce o popękany metal, po omacku natrafiały one czasami na coś miękkiego, ślizgały się po stężałych częściach ciała. Wytężył wzrok wypatrując dalej szosy w kierunku Bergi.

Przeklęte ławienie! A także niesamowite zawroty głowy

i dreszcze — cierpiął na to od kilku dni. Naturalnie, dziś prawie nic nie jadł, był po nie przespanej nocy, do tego sraczka. Nagle zrobiło mu się naprawdę niedobrze, najchętniej by wymiotował. Wypluł trochę soku żołądkowego i zaczął głęboko oddychać. Ale powietrze śmierdziało towotem, benzyną oraz spalonym ludzkim ciałem i sukniem.

Droga w zasięgu wzroku pokryta była zniszczonym sprzętem pancernym. Wyglądało na to, że rozbity został transport wojskowy, może była to część owej dużej jednostki zmotoryzowanej, którą widział przedtem w pobliżu Heydrich na szosie w kierunku Kelbry. Tutaj był kres jazdy, dalej mógł tylko iść pieszo.

A więc z powrotem do Heydrich! Ale po co? Czego tam jeszcze miał szukać? Swojego domu, swojego zdrowego świata, Ingrid, swojego pianina? Roześmiał się na głos, zdziwiony, że potrafi się śmiać. Przed nim płonęła Berga, za nim Kelbra. Kto wie, jak wyglądało Heydrich!

Zniknąć, rozpląnąć się pośród nocy — to było to. W jakiejś dziurze w ziemi doczekać rana. Sanitariusz wszędzie się przyda. W razie czego powie, że nazywa się Senkpichl, miał rozkaz mobilizacyjny, któryś tam kilometr. Jeśli napotka ludzi, SS, Werwolf, SA czy Bundschuh — obojętne, na pewno przyjmą sanitariusza, który zgubił swój oddział. Natychmiast jednak nasunęły mu się wątpliwości. Czy jego auto nie zostało już kilkakrotnie ostrzelane? Czerwony Krzyż przestał być tabu.

Wrócił do wozu środkiem szosy, wyprostowany, pogrążony w rozmyśleniach. Bez broni nawet jako sanitariusz nic miał szans. Pistolet Kummernussa stale nosił przy sobie. Zabrał jeszcze karabin i trochę amunicji. Nic zapomniał także o cwibaku. (Poczciwa Eberlein!) I o papierach Senkpiehla, doku-

mentach wozu, rozkazie mobilizacyjnym — na wszelki wypadek. W samochodzie czuć było gryzący zapach benzyny, z pojazdu wyciekł również olej. Po prostu wrak, nic więcej. „Nigdy bym nic dojechał do Heydrich“, powiedział do siebie i gwizdnął cicho przez zęby. Sprawa rozstrzygnęła się zatem sarna.

Dał nura w krzaki — dosłownie, gdyż musiał pokonać stromą, gęsto porośniętą skarpe, rów bez wody i zarośla łoży. Pola rozjaśniała blada poświata, ziemia była mazista, a miedze oznakowane wysokimi krzakami. Wędrował powoli, w miarę możliwości korzystając z naturalnej osłony, w kierunku nasypu kolejowego, z karabinem gotowym do strzału. W nocy mogło się roić od różnych potworów.

Nie było plotką, lecz oficjalnie potwierdzonym faktem, że Bundschuh wszędzie tam, gdzie przejął władzę, znosił niewolnictwo. Równie zbyteczny, co lekkomyślny krok, pomijając już jego zuchwalstwo, to znaczy zdradę wobec idei rasy panów. Zbyteczny, gdyż było publiczną tajemnicą, że wielu niewolników, jeżeli pracowali w zakładach lub gospodarstwach domowych, dało już drapaka z własnej inicjatywy (patrz Burjak); lekkomyślny zaś dlatego, że uzbrojeni niewolnicy — częściowo uzbrojeni podobno przez sam Bundschuh — wyróżną w pień wszystko, co kiedyś nosiło nazwę pana, i nic będzie miało dla nich najmniejszego znaczenia, czy ów pan był chłopem krwi niemieckiej i zwolennikiem Bundschuh, czy złotym bażantem, czy diabli wiedzą kim. Największe jednak zgorzelenie budził fakt, że Bundschuh w ramach znoszenia Powszechnego Obowiązku Pracy dla Podludzi (POPdP, dekret Fuhrera z 11 września 1945 bądź trzecie zarządzenie do Ustawy o niewolnikach z 8 maja 1946 roku — Hóllriegl znał rzecz jasna odnośne paragrafy na pamięć, tego rodzaju wiedza wchodziła w zakres

ogólnego wykształcenia urzędników) otworzył wszystkie Uml-e na kontrolowanych przez siebie terenach, a więc zarówno stralagi, jak strafalagi², jakby nie dostrzegając zasadniczej różnicy pomiędzy nimi. W stralagach, jak wiadomo, wychowywano przez pracę przymusową także złoczyńców i próżniaków krwi niemieckiej lub będących przedstawicielami narodów zbliżonych rasowo, gdy tymczasem strafalagi były właściwymi Uml-ami. Przerażające wręcz postawienie znaku równości między człowiekiem krwi niemieckiej a podczłowiekiem opinia publiczna uznała za kardynalne przestępstwo Bundschuh, i stąd mogło być prawdą, że kierownictwo Bundschuh początkowo wzdragало się przed tym krokiem, lecz „Biedny Konrad“ natychmiastowymi akcjami zniweczył ewentualne zastrzeżenia.

Hóllriegl musiał się więc liczyć z tym, że byli więźniowie Uml-i mogą go w każdej chwili napaść lub sprzątnąć z ukrycia, a co to oznaczało, o tym też już krążyły przerażające pogłoski. Coburczyk wspominał mimochodem, iż główną rozrywką zwolnionych więźniów było krzyżowanie jeńców, czyli przybijanie ciężko zmaltretowanych ludzi do hakenkreuzów, oraz wbijanie ich na pal. Od kilku dni grasował w Dolnej Frankonii pewien kapo z Uml-u, Polak, którego własna drużyna nazywała „palownikiem“. Ów podczłowiek kazał już wbić na pal setki, a może nawet tysiące ofiar. Ich ciała były ćwiartowane, po czym sadzono z nich tak zwane „trupie lasy“,

² *Stralag – Straflager – obóz karny; Strafalag – Strafarbeitslager – obóz pracy karnej.*

które nawet największych twardzieli z SD z odpowiednią praktyką w julagach* okresu wojny napępniały grozą, gdy podczas przeczesywania terenu natykali się na takie cmentarzyska.

Coburczyk opowiadał również, że schwytyanych SS-manów tak długo szczypano rozżarzonymi cęgami, aż zaczynali na rozkaz wyżerać mięso z ciał swych umierających kolegów. Hóllriegl, któremu wszystko to przelatywało przez głowę w postaci pogmatwanych obrazów, kiedy szerokim łukiem omijał Bergę, wciąż powracał myślą do swego spotkania ze zwierzoludźmi. Niech Bóg się zlituje nad tymi, którzy wpadli w szpony takich potworów!

I nagle przypomniał sobie plotkę, o której dotychczas nie chciał w ogóle myśleć, uważając ją za wytwór chorego umysłu. Otóż mówiono, że odkąd podano wszystkie te okropieństwa do publicznej wiadomości, właściwie nie było już jeńców. W sytuacji bez wyjścia każdy zdolny do noszenia broni towarzysz narodowy obowiązany był bowiem do zgładzenia w mężny sposób swego rodu i zastrzelenia siebie ostatnią kulą; w tym celu wydawano także specjalnie spreparowane granaty ręczne, które bez trudu można było ukryć w kieszeni spodni (coburczyk pokazał mu taki granat, nie większy od jajka), wróciła również do łask klasyczna kapsułka z cyjankali pod językiem. To, że Hollriegl ze szczególną niechęcią myślał o tego rodzaju rzeczach, miało swoją przyczynę. Otóż zapewniano go — słyszał to z ust wiarygodnych osób — że nic pozostawia się ciężko ani lekko rannych, strzela się im w tył głowy, aby zaoszczędzić straszliwego losu. Tam jednak, gdzie nic było rannych, nic potrzebowano też sanitariuszy...

** Julag — Judenlager — obóz dla Żydów.*

Hollriegl uchwycił mocniej karabin. On w każdym razie sprzeda swe życie możliwie jak najdrożej.

Świtało, kiedy dotarł do posiadłości Eycków. Tym razem przybył od wschodu, przez leżące odłogiem zimowe pola, płonąca Berga oświetlała mu drogę. Z okolicznych wzgórz widział, że płoną także Rossla i Rottleberode, a nad Nordhausen, czyli dawnym Kesselringiem, oraz czarnym pagórkowatym obszarem Goldene Aue łuny nocnych pożarów mieszają się z kietkującą zorzą poranną. Mimo to nic zrobiło się dużo jaśniej.

Raz tylko został ostrzelany — kiedy po wąskim kamiennym mostku przechodził nad Zorge. Tu i ówdzie bardziej wyczuwał, niż naprawdę dostrzegał w nocnym mroku, obecność pojedynczych osób lub małych grup; przechodził być może obok ludzi powracających z Kyffhauser lub oddziałów rozpoznawczych. Gdzieś w oddali i ponad chmurami słychać było bez przerwy ciężkie dudnienie, według jego obliczeń „to coś“ działo się w rejonie Stolbergu. Wielokrotnie krył się w gąszczu, zmarznięty, zmordowany i głodny — ze względu na powtarzające się wciąż ataki rżnięcia w brzuchu wołał nie nic jeść — a często musiał padać plackiem na ziemię, gdy nadlatywały ze świstem ciężkie pociski. Raz siła wybuchu wyrzuciła go w powietrze jak kukłę, i wówczas stracił karabin. Odnalazł go tylko przez przypadek. W pewnym sensie miał już tego wszystkiego po dziurki w nosie. Przed nim ciągnął się blady pas muru otaczającego posiadłość Eycków. Za murem wznosił się wysoki, stary, czarny las; wierzchołki drzew zamarły w bezruchu. Hollriegl przycupnął na skraju sporego zagajnika, który dla ostrożności ominął, przechodzenie prosto przez środek byłoby ryzykowne. Odgłosy walki ucichły, tylko nad niską pokrywą chmur nadal grzmiało.

Nagle — wydało mu się, że od strony parku — usłyszał strzały i odległy krzyk. Rezydencji nie było stąd widać, musiały go

od niej dzielić co najmniej dwa kilometry, dojazd znajdował się po stronie szosy i mniej więcej w tej samej odległości od drogi w kierunku Rottleberode. Dopiero teraz zauważył, że w powietrzu unosi się jakiś gryzący zapach, a kiedy zmusił do wysiłku zmęczone, jakby zasypane piaskiem oczy, ujrzął, że to, co uznał wcześniej za mgłę, jest białawym dymem, który ciągliwymi pasmami osiadł na gałęziach drzew i krzewów.

Przeraźliwe przeciągłe krzyki, przypominające agonię! Zamarł w bezruchu. To był kobiecy głos, bez wątpienia; zaczął gwałtownie dygotać. Dzikimi susami podbiegł do muru, czuł walenie krwi w skroniach. Ale jak dostać się do parku? Mur zbudowano z nie ociosanych kamieni, był wysoki, miejscami pokruszony, a u góry zabezpieczony podwójnym drutem kolczastym. Pokonać go nie sposób! Pozostało mu więc tylko jedno: należało obieć dookoła posiadłość i dotrzeć do kratowej bramy. Wzdłuż muru nie było żadnej ścieżki, napotykał jedynie kępy krzewów, rumowiska skalne, potoki, same przeszkody. Znow krzyki w oddali — zgiełk, ujadanie psów i strzały. Hollriegl zaczął biec szybciej, tak szybko, jak było to możliwe w tym ciężkim terenie, biegł wyprostowany, mimo że w porannej poświacie stanowił łatwy cel. Mniejsza o to! W górę, w dół, skarpy, zarośla, błotniste muldy. Przeklinał przez zęby, oddychał z trudem. W płucach go kłuło, a pot ściekał mu po twarzy. Czasy, kiedy regularnie uprawiał sporty terenowe, dawno minęły. Poza tym był wypompowany. W każdym razie w SA zawsze należał do czołówki w biegach na wytrzymałość — śmieszne, w tej sytuacji przyszła mu na myśl odznaka sportowa, którą sturm zdobył przy jego wydatnym udziale.

W kilku miejscach mur był poważnie uszkodzony — czyżby przez pociski artyleryjskie? Ale dopiero po chwili znalazł frag-

ment zniszczony do tego stopnia, że mógł się wspiąć na szczątki muru. Zrobił to w największym pośpiechu, kalecząc się w plątaniu drutu kolczastego. Musiał trochę odsapnąć. Wstyd i hańba — był wykończony.

Park wydawał się równie zdziczały jak teren poza murem. Zauważył, że drugi drut przebiega przez izolatory — dobrze zamaskowana, diabelska pułapka. Cholernie ostrożni towarzysze z tych Eycków! Tyle że nie było już prądu.

W obrębie posiadłości wiódł przynajmniej wzdłuż muru zarośnięty chodnik, po którym mógł już szybciej posuwać się do przodu. Las po jego lewej ręce wydawał się nie do przebycia; tu i ówdzie odchodziły wprawdzie w głąb jakieś ścieżki, lecz mogły prowadzić donikąd. Musiał się trzymać muru, do rezydencji z pewnością nie było już daleko. Znow zaczął biec.

Psy odezwały się teraz całkiem blisko, Hóllriegl słyszał również pojedyncze głosy i ochryple śmiechy, a od czasu do czasu przeraźliwe krzyki, które nagle jakby zamierały komuś w gardle. Woń spalenizny przyprawiała go o mdłości.

Zatrzymał się zadyszany, w uszach czuł pulsowanie krwi. Raz jeszcze sprawdził karabin. Znał tę broń, strzelał z niej na ćwiczeniach w czerwcu i musiał ją też rozkładać. System automatycznego ryglowania z magazynkiem wielostrzałowym — można powiedzieć, że najnowocześniejszy typ karabinu konwencjonalnego. Wszystko w porządku. Tylko ręce śmiesznie mu drżały. Mechanicznie pogrzebał w kieszeni płaszcz, chcąc się upewnić, czy ma zapasową amunicję.

Właśnie kiedy to robił, w zaroślach z boku rozległ się szelest. W tej samej chwili poczuł, jak ktoś chwyta go z tyłu żelaznym uściskiem, a jednocześnie jakaś postać zadziwiająco niskiego

wzrostu, karzeł albo dziecko, która błyskawicznie wyrosła przed nim jak spod ziemi, wyciągnęła rękę po karabin. Na sekundę serce przestało mu bić. Potem jednak — od wielu godzin był przygotowany na coś takiego — wróciły mu zimna krew i siła. Podświadomie — zawdzięczał to częstym ćwiczeniom — Hollriegl zastosował technikę karate, czyli walki „gołymi rękami“. Broń upuścił na ziemię.

Wymierzywszy potężny cios łokciem, rozluźnił chwyt stojącego z tyłu napastnika. Usłyszał głośny jęk i ujrzał, jak tamten osuwa się na ziemię. (Później przyszło mu na myśl, że to uderzenie, które przypadkiem trafiło w splot słoneczny przeciwnika, być może uratowało mu życie). Nagle błysnęło mu coś przed oczami. Nóż. Odskoczył w bok i pchnięcie, mierzone w jego szyję, rozpruło bluzę w okolicy barku. Plasowanymi ciosami kantem dłoni trzymał na dystans karła, który wydawał się posiadać niespożyte siły i z małpią zwinnością atakował go, na szczęście nie trafiając — miał już dwa noże, po jednym w każdej ręce. Hollriegl częstował go kopnięciami i uderzeniami pięści, a kiedy liliput zatoczył się do tyłu i na moment odstłonił twarz, zadał mu ciężki cios podbródkowy. Karzeł runął w krzaki, a w następnej chwili pochłonęła go ciemność.

Ciężko dysząc Hollriegl oparł się o mur, karabin był znowu w jego rękach. Popęłnił olbrzymią nieostrożność odwracając się do lasu plecami. Obserwowano go — możliwe, że już od chwili, gdy sforsował mur. Kim były te typy? Obrócił nieprzytomnego napastnika na plecy — ciemna brodata twarz, szeroki, spłaszczony nos, skośne oczy. Z pewnością zbiegli więźniowie UmL-i. Atak miał na celu zdobycie broni palnej, brakowało im karabinów i amunicji — w pewnej mierze uspokai-

jająca okoliczność. Chociaż z drugiej strony niepokojąca, ponieważ nóż zabija bezszelestnie. Kordelas pozostał w domu w Heydrich, teraz akurat bardzo by mu się przydał do walki wręcz. Naraz dostrzegł w trawie jakiś błyszczący przedmiot. Był to nóż do chleba, kozik, jak nazywano go w Marchii Wschodniej. Podniósł go i wsunął za pas.

Jego wyobraźnia zaludniała las fantastycznymi postaciami. Z karabinem gotowym do strzału, skierowanym w gęszcz, pośpieszył dalej. Całe szczęście, że nie padł żaden strzał, pewnie nikt nie słyszał odgłosów bójki, a tych dwóch po prostu załatwił. Rana od ułtucia piekła. Sztylet prawdopodobnie ześlizgnął się po obojczyku, koszula lepiała się do skóry. Zauważył, że ma jeszcze inne obrażenia, rany cięte dłoni, czuł również ból w prawym przedramieniu. Płaszcz, podarty sztychami, był cały w strzępach.

Dalej jednak, dalej!

Las rzedniał i przechodził w zdziczały park, spomiędzy mocno już ogołconych z liści gałęzi przezierał żółtawy mur. Musiała to być willa portiera. (Hóllriegl przypomniał sobie, jak niesamowite wrażenie sprawiał ów domek w swoim opuszczeniu). Również teraz drewniane okiennice były zamknięte — czy przez szpary spoglądały oczy morderców? Pod osłoną krzaków przeczołgał się na czworakach obok tego podejrzanego miejsca. Dotarłszy na skraj lasu, odetchnął głęboko. Z palcem na spuście karabinu omiół wzrokiem teren.

Przed nim otwierała się aleja. Nikogo w zasięgu wzroku, mógł więc bezpiecznie wkroczyć na nią, potężne pnie zapewniały osłonę. Zrobiło się już dosyć jasno, lecz pod gęsto posadzonymi drzewami, które nie zrzuciły jeszcze wszystkich liści, panował mrok. Z przodu, na placu przed budynkiem, trwała,

zdaje się, dzika zabawa. Prawdopodobnie fetowano jakąś radosną uroczystość, huczały strzały, a pijani, wymachując nad głową butelkami wina oraz zrabowanymi przedmiotami, traktowanymi jak trofea, i rycząc na całe gardło, tańczyli wokół ognia, swego rodzaju stosu — ułożonego z pałacowych mebli.

Także rezydencja płonęła, snopy iskier tryskały w niebo. W powietrzu pełno było dymu.

Przemykał od drzewa do drzewa i wkrótce dotarł do pnia wysuniętego najdalej. Stąd, w chwilach, gdy dym nie psuł widoczności, łatwo mógł ogarnąć spojrzeniem cały placyk. Kilkanaście osób — większość stanowili mężczyźni — ucztowało na trawniku i żwirowanych alejkach, a na stopniach wiodących na taras leżało kilka nieruchomych ciał, półnagich i w nie-naturalnych pozycjach. Kiedy dym rozwiął się trochę, ujrzał coś, co ścięło mu krew w żyłach. Wykorzystując końskie ścierwo jako przedpiersie i podpórkę, dwóch mężczyzn strzelało na przemian do celu, a po każdym strzale widzowie wybuchali hałaśliwym śmiechem, jakby natrzęsając się ze strzelców.

Cel stanowiła kobieta w wysokich butach i bryczesach. Przywiązana do krzesła, siedziała w głębi remizy w oślepiającym świetle reflektorów samochodowych. Piękny cel! Głowa jej opadła do tyłu, koszula wisiała w strzępach, nie zakrywając obnażonych piersi. Na kolanach kobiety, która nie dawała znaku życia, leżało w poprzek szczupłe białe ciało, ciało chłopca. Na jego szyi ziała szeroka rana, a głowa, jakby odcięta, zwisała w dół.

Strzelający dla większego efektu zrobili krótką przerwę i zaczęli się szamotać. Jeden z widzów pobiegł do garażu, wyniósł stamtąd kanister, potem drugi, i postawił obok kobiety.

W następnej chwili z automatycznej broni Hollriegla trysnął

ognisty strumień. Nigdy w życiu nie był tak spokojny jak w tej sekundzie, którą wspominał później niczym brudną wieczność. Zabijał dokładnie i planowo, ręce przestały mu drżeć, jego zmysły nagle niesamowicie się wyostrzyły. Mężczyzna w garażu teatralnym gestem wyrzucił ręce w górę i runął na ziemię. Walczący ze sobą na żarty strzelcy zmienili się w kłęb dygoczących ciał, które zresztą szybko znieruchomiały. Potem przyszła kolej na ucztujących i tańczących widzów festynu strzeleckiego. Hollriegl patrzył z dziką satysfakcją, jak zrywają się na nogi lub zatrzymują w ruchu, jak zamierają z rozdziawionymi gębami i pustym wzrokiem wpatrują się gdzieś w przestrzeń. Widział ciała wijące się w śmiertelnych drgawkach. Ale poza tym wszystko było tak jak na placu ćwiczeń. Wyskoczył z ukrycia z pistoletem w dłoni. Tu i ówdzie coś się jeszcze ruszało. Naboje były jednak cenne. Jeden z rannych, który dygocząc na całym ciele krzychał tak żałośnie, że Hóllriegl musiał odwrócić wzrok, omal nie wyżebrał dobijającego strzału.

Popędził do remizy. Czy Ulla nie żyje, czy tylko zemdlła? Dzięki Bogu, oddycha! Ostrożnie zdjął chłopca z jej kolan i położył go — był to zapewne Manfred — na ziemi, która lepiała się do butów. Przystąpił niezwłocznie do uwalniania Ulli z pęt. Zajęło mu to niespodziewanie dużo czasu, bestie spętały swą ofiarę i przywiązały do krzesła z sadystyczną dokładnością — od czasu do czasu badał ją. Wyglądało na to, że Ulla nie została trafiona, strzelcy byli zbyt pijani. Ciężko ją jednak pobito lub torturowano, widać to było wyraźnie, na całym ciele widniały ciemne plamy, możliwe też, że miała połamane kości.

Kiedy przeciął ostatni rzemień — chwala kozikowi! —

Ulla upadła głową naprzód. Leżała przed nim twarzą do ziemi, grzywa blond włosów, promienny krzyż w świetle reflektorów, zakrywała ramiona i pół pleców. Jej spodnie były z tyłu rozprute na wysokości pośladków, prawdopodobnie Świnie używały sobie na niej. Jednym spojrzeniem ogarnął to wszystko i na jedno uderzenie serca stanął jak urzeczony. Ulla była piękna.

Na zewnątrz gruchnęły strzały. Hóllriegl usłyszał uderzenia pocisków, jęknął metal, a w pomieszczeniu zaświstały odbite kule. Prędko zaciągnął Ullę, trzymając ją za nogi, za pierwszy z brzegu samochód i ułożył na jakimś kocu. Tam też oszańcował się z grubsza, poukładał na ziemi zapasową amunicję i załadował karabin. I znów się zaczęło: odgłos rzućanego grochu, ale także mocne klaśnięcie, tynk odpadł ze ścian. Posypało się szkło — to jeden z reflektorów rozprysnął się w drobny mak. Drugi rozbił strzałem Hóllriegl.

Garaż pogrążony był teraz w ciemności, na zewnątrz wstawał dzień. Doskonale! Ktokolwiek pojawi się przed jego celownikiem, będzie stracony. Przekłęty dym! To mogło być niebezpieczne, pod jego osłoną napastnicy — ilu ich zostało? — mogli wdrzeć się do garażu i obezwładnić go. W dodatku powietrze stawało się coraz bardziej gryzące, trudno było odychać.

Rozejrzawszy się dookoła, zaczął się zastanawiać nad sytuacją, jego mózg pracował gorączkowo. Podłoga przestronnej remizy była pochyła, w głębi nieco opadała, sufit i mury wyglądały na zrobione z grubego betonu, a śluzopodobne wejścia prowadziły gdzieś dalej. Pewnie do jakiegoś bunkra, może podziemnego, należałoby to zbadać. (Z wylotami w lesie?) Obszukał ściany, czy zgodnie z przepisami nie wisi gdzieś schemat

pomieszczeń. Ani śladu. Jeżeli zagłębi się w taki tunel i nie znajdzie drugiego wyjścia, te bestie wykurzą go i złapią. Wówczas pozostawał tylko ostatni nabój — nie, musiał zachować do ostatka dwa naboje. Ulla nie wpadnie już po raz drugi w ich ręce.

W remizie znajdowały się trzy samochody osobowe i mała ciężarówka, opel-kapitan Ulli stał w poprzek pomieszczenia, ktoś po dyletancku próbował go wyprowadzić z garażu. Ulla miała na sobie strój do jazdy konnej, a więc nie pojechała na pogrzeb — Eyckowie prawdopodobnie zwąchali, co się święci. A gdzie był pan von Eyck? On pewnie musiał brać udział w uroczystościach żałobnych. A może został w porę ostrzeżony i dał drapaka? Ale wtedy zabrałby przecież ze sobą Ullę i dzieci.

Strój Ulli świadczył o tym, że i ona chciała wyjechać. Z Manfredem. A co z Erdą? Erda, scharfuhrerin, miała może akurat służbę w HJ i gdzieś tam wypełniała swoje zadania. (Ktoś opowiadał Hollrieglowi, że Erda jest fanatyczną jungmadel i w oddaniu dla Fuhrera i Rzeszy zamierza prześcignąć nawet rodziców). Ulla i Manfred byli w pałacu sami, kiedy zjawily się te potwory, na to w każdym razie wyglądało.

Poruszyła się słabo. W zasięgu ręki stał kubek z wodą. Hóllriegl przyciągnął go bliżej za pomocą karabinu. Odrobina wody — brudnej, ale zimnej. Oderwał kawałek jej koszuli i tą mokrą szmatą chłodził czoło Ulli, nacierał jej szyję i piersi. Kiedy masował jej biust, zakręciło mu się w głowie. Osobliwe uczucie. Pożądanie? Szczęście? Czyż nie był teraz jej panem?

Podniosła powieki i natychmiast zamknęła je z powrotem. Potem jęknęła głośno, jej ciałem wstrząsnął dreszcz, a koń-

czyny zaczęły dygotać gwałtownie. Nagle mocno przywarła do niego, poczuł jej pełne, sprężyste ciało i dawna żądza znów zapłonęła w nim potężnym ogniem. Ale tylko na chwilę. Zawstydził się i pogłaskał ją delikatnie, głaskał ją jak dziecko, a w tym samym czasie nad ich kryjówką gwizdały kule. Beznadziejna sytuacja.

— Ulla!

Znów otworzyła powieki, jej gęste rzęsy wyglądały jak pokryte rosą. Ukośne szparki oczu. Popatrzyła na niego, ujrzała jego twarz z bliska i zeszywniała z przerażenia. Z okrzykiem grozy cofnęła się gwałtownie.

— Ulla!... Ulrike!... Pani von Eyck! Jestem pani przyjacielem. Proszę posłuchać: przyjacielem! Proszę się nie bać! Uratuję panią, tylko proszę zachować spokój...

Próbował ją głaskać znowu, ujął za ręce. Ale wyrwała mu się i cofnęła jeszcze dalej.

— Jugurta — szepnęła z twarzą wykrzywioną lękiem.

A to co znowu, co miała na myśli? Czyżby była szalona? Od tych strasznych przeżyć mogło się jej pomieszać w głowie.

— Jugurta! — krzyknęła.

— Ulla, jestem pani przyjacielem, proszę się opamiętać. Została pani napadnięta... przez...

Zobaczył, jak spoza zastony dymu wynurzają się jakieś postacie. Natychmiast znalazł się przy karabinie, krótka seria zadudniła ostro i zaryglowała wejście. Uciekać! Pozycja była nie do utrzymania. Ponownie obszukał ściany. Wycofać się do którejś ze śluz — tam łatwiej można by się bronić. Jak długo? Załzawionymi oczyma zlustrował pole ostrzału. Tędy żaden się nie prześlizgnie.

Hollriegl usłyszał, jak Ulla po omacku podpełzła do niego,

znów go objęła.

— Sprawisz mi ból, czarny Jugurto? — szepnęła mu do ucha. — Czarny Jugurta, czarny Jugurta.

Głos jej drżał, ale nie rozluźniła uścisku. Oparł swą głowę o jej głowę i zaczął głaskać Ullę po włosach i policzkach, z prawą ręką na karabinie, wymierzonym w stronę ewentualnego celu. Ani na chwilę nie spuszczał z oka wejścia do remizy.

A gdyby tak ją tutaj posiadał? Oboje musieli umrzeć, to jasne, nie było wyjścia. Miał tylko jeszcze jeden magazynek i parę naboji w pistolecie, przeklęty los! (Dwa z nich należało odliczyć). Dlaczego miałby jej nie przelecieć, zanim zdechną oboje? Jest niespełna rozumu, więc nie broniłaby się.

Znów poczuł, że żądza zaćmiewa jego zmysły i nie wypuszcza go ze swych szponów. Poza tym... zemści się! Zemści się za te razy szpicrutą! Zemsta jest słodka, a ta byłaby szczególnie słodka. Gwizdnął przez zęby. Wolną ręką obmacywał jej plecy, biodra, jego dłoń ześlizgnęła się niżej, tam gdzie miała rozerwane bryczesy; jej pośladki były półnagie, skóra szorstka, stwardniała, pod palcami poczuł zgrubienia, a więc ją bito.

Przytuliła się mocniej do niego — to był strach, no bo cóż innego? Pewnie z wolna dochodziła do siebie i zaczynała się domyślać tego, co się dzieje. O Boże — byle tylko sobie nie przypomniwała!

Nagle zalała go ciepła fala współczucia. Ale nie splukata żądz, jedynie ją spotęgowała. Przyciągnął Ullę do siebie. Jej włosy, jej twarz! Usta miała spuchnięte, jakby pogryzione. Wszędzie zakrzepła krew. Co to była za sprawa z tym — Jugurta? Jakieś hasło, słowo-klucz? Może tu był pies pogrzebany? Wziął w dłonie jej piersi, duże i jędrne, elastyczne, prawdziwe

piersi walkirii! Wcale nie inne niż u innych kobiet. (Przelotne wspomnienie: kuszetkowa znajomość, mieszkała w Grazu, urzędniczka w Stanie Żywicieli Rzeszy, dobrze odżywiona, prawie tłusta, i nie pierwszej młodości, miała takie same kształty). Jego Bursztynowa Czarownica, jego walkiria! Teraz ją miał jak na talerzu, mógł odkrywać jej najpiękniejsze tajemnice, niczym we śnie, przede wszystkim tę najcenniejszą szkatułkę. Ulrike Mlakar *alias* Ulla Frigg von Eyck, strażniczka rasy, telewizyjny idol narodu — kupką nieszczęścia. A on drżał przed tą kobietą! Nie różniła się od tysiąca innych. Pocałował pąki jej piersi, duże brązowe miękkie brodawki z piękną obwódką — o których marzył wcześniej jak onaniujący się chłopiec. Pozwalała robić ze sobą wszystko, oczy miała zamknięte, wzdychała głęboko rozchylając wargi i odsłaniając przy tym zęby.

— Jugurta, Jugurta!

Znowu to słowo. W jakimś sensie wydawało mu się znajome, możliwe, że słyszał je już w zamierzchłej przeszłości, ale kiedy i gdzie, wyleciało mu z głowy. Jugurta... I nagle przypomniał sobie starego Tartaglię, swojego nauczyciela, triesteńczyka o oczach jak wilcze jagody i z czarnymi sumiastymi wąsami. Wtedy to właśnie było — wojny — wojny jugurtyńskie! Coś w związku z Rzymianami... Ale co to miało znaczyć?

Jeśli chciał przelecieć Ullę, to był po temu najwyższy czas. Ale nie tutaj — w służbie! Zdążył się w połowie wyprostować, gdy bardziej poczuł, niż spostrzegł, że coś, jakiś cień, doskakuje do niego. Niemal w tej samej chwili nacisnął spust i usłyszał, jak głowa napastnika uderzyła o pokrywę chłodnicy.

Śluz!

W szybie samochodu ujrzał na chwilę swoją twarz, po-

czerniałą od dymu, pomazaną, z białą błyskającymi gałkami oczu... przerażająca morda! Jak na kochanka nie był raczej wzorem urody.

Do otworu śluzy było mniej więcej dziesięć metrów. Otwarty teren. Albo więc będą ścigać się ze śmiercią, albo... Jasne, Ulla w tym stanie nie mogła biec, poza tym jej umysł był teraz tak rozstrojony, że nie zdołałaby pojąć jego planu ucieczki. Nie mieli jednak chwili do stracenia. Nagle przyszedł mu do głowy świetny pomysł.

— Ulla — powiedział cicho — tam naprzeciw nas jest wróg... Rzymianie. Chcą nas złapać i zabić. Chcesz uciekać ze mną?

Objęła go mocno. W jej uścisku było coś z głębokiego przywiązania — tak mu się przynajmniej wydawało. Oczy miała w dalszym ciągu zamknięte.

— Więc chodź! Trzymaj się mnie mocno!

Wyczołgał się z samochodu i pełznął płasko po ziemi, powoli wlokąc za sobą Ullę i karabin, amunicję schował z powrotem do kieszeni. W jego głowie panował dziki zamęt, wszystko się kręciło, każdy haust powietrza powodował pieczenie w płucach. Zatrucie dymem, skonstatował chłodno.

Metr po metrze pokonał w ten sposób cały dystans, chwytając z wysiłkiem powietrze. Czasem robiło mu się ciemno przed oczami, a w uszach zaczynało dzwonić — dzielnie jednak zwalczył własną niemoc. Nareszcie! Dotarli do wejścia do piwnicy, masywnych drzwi bunkra z żaroodpornej stali, otwieranych za pomocą dwóch dźwigni poprzecznych, Hollriegl znał ten mechanizm bardzo dobrze. Uruchomił zapadki, lecz drzwi się nie otworzyły.

Po chwili wahania wstał, żeby powtórzyć próbę, mocniej

naciskając dźwignie, zamek się pewnie zaciął albo był popsuty — a może był tam jakiś ukryty mechanizm? Do diabła! W tej samej chwili tak oślepiający blask rozjaśnił garaż, że Hollriegl jak uderzony obuchem w głowę zatoczył się na ścianę. Nieznośne światło zdawało się bić z wszelkich szczelin i porów muru i mimo że instynktownie zamknął oczy i zakrył je rękoma, wokół niego zrobiło się jaśniej niż w pełnym słońcu na pustyni. Było to potworne, straszliwe światło i gdyby Hollriegl podczas tych ośmiu czy dziesięciu uderzeń serca panował nad swoimi zmysłami, pomyślałby może o wiecznym ogniu Muspellheimu.

Po eksplozji światła wszystko zatoneło w nocnych ciemnościach. Hollriegl kucnął skulony pod ścianą jak ociemniały i obmacywał swoje ciało. Pocierał oczy — gdzie jest? Oślepl! Czy jeszcze żyje? Przed oczami wirowały mu i tańczyły zielone i żółte kręgi, coraz prędeziej i prędeziej. Próbował wstać, lecz jego ręce trafiły w próżnię. Ciemność zaczęła się zaludniać zielonymi fantomami.

I wówczas usłyszał zbliżające się ciężkie dudnienie, odbijające się dalekim echem nieustanne pęknięcie i grzmot, a potem głuchy szum i gwizd. Ziemia zachwiała mu się pod stopami, jakby stał na rozkołysanym pokładzie, niewidzialna pięść wgniotła go w ścianę, a bębrenki omal mu nie pękły od ciśnienia powietrza. Jednocześnie pomieszczenie wypełnił przeraźliwy żar, jakby piekło rozwarło swoją paszczę. Ujrzał — mógł bowiem znowu widzieć, choć słabo — że samochody gwałtownie się zakołysały i przetoczyły jeden przez drugi. Przed bramą garażu wśród ogłuszającego trzasku rósł stos gruzów, a do środka wdarły się chmury pyłu. W jednej chwili wróciła mu zdolność myślenia.

Albo wybuchła mina powietrzna, albo jakiś solidny pocisk artyleryjski trafił bezpośrednio w garaż. Wynosić się stąd! Hollriegl dusił się od pyłu, lecz zauważył, że ze szczeliny w murze sączy się woda — pękła pewnie jakaś rura — więc zwilżył kawałek płótna i przyłożył go do nosa i ust. W półmroku musiał sforsować przewrócone auta i inne przeszkody. W końcu, zsuwając się co chwila, wspiął się na stertę gruzu przy wejściu. Wydostał się na zewnątrz; widok, jaki ujrzał, nappełnił go przerażeniem.

Rezydencja Eycków przestała istnieć. To, co być może z niej pozostało, kryły dymiące góry gruzów, z których biły w górę płomienie. Ale nie było również parku — krajobraz zmienił się całkowicie. Przed nim rozpościerała się płonąca, rozżarzona pustynia. Potężne drzewa albo leżały połamane, wyrwane z korzeniami, albo tkwiły w dymiącej ziemi w postaci roztrzaskanych, przypominających szkielety pniaków. Część lasu płonęła jasnym płomieniem — z miejsca gdzie stał, Hollriegl nie mógł dostrzec, jak daleko sięga pożar. Ale najstraszliwsze ze wszystkiego było niebo. Na zachodzie, naprzeciwko porannego słońca i jakby je przyćmiewając, jaśniała na firmamencie pomarańczowa ściana ognia o niezwykle intensywnym blasku, wyraźnie już zresztą blednąca, gdyż można było patrzeć na nią, nie ślepnąc od jej światła. Wydawało się, że stopiona została jakaś materia pozaziemskiego pochodzenia. Również reszta nieba wyglądała dziwnie, jakby była zburzona, przypominała rozgrzebane łóżko i promieniowała bladą chemiczną zielenią.

Hollriegl ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem, formalnie wpadło to w niego, a gorączkowo pracujący mózg błyskawicznie przetworzył dane. Zrozumiał. Nie była to bomba lotnicza

ani też zwyczajny pocisk artyleryjski czy raketowy. To była t a bomba!

W tej samej chwili poraziła go, jak uderzenie gromu, świadomość niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Zaczął dygotać, trząść się na całym ciele. Lecz trząść się właściwie nie ze strachu, była to raczej reakcja jego biednych, starganych nerwów. Siedział na kupie gruzów i płakał jak zrozpaczone dziecko, bezwolnie i bez śladu wstydu. Nie zdawał sobie z tego sprawy. Potem — raptownie — przestał płakać, otarł łzy z policzków i równie nagle włączyła się zdolność myślenia; jego mózg funkcjonował bez zarzutu jak dobrze naoliwiona maszyna.

Znajdował się niedaleko miejsca detonacji, to jasne, bomba wymierzona była może w Kyflhauser. Wiatr — po przejściu fali termicznej przed kilkunastoma sekundami obecne promieniowanie ciepłe dało się wytrzymać — dmuchał ostro z północnego zachodu, był to gorący wiatr stepowy, burza piaskowa, która miała zapach spalenizny. Hollriegl wiedział dokładnie, gdyż dostatecznie często przerabiał tak zwane gry planszowe, iż w I strefie promieniowania osoby przebywające w miejscu odsłoniętym w ciągu czterech godzin od pojawienia się opadu radioaktywnego przyjmują dawkę w wysokości przeszło 100 R. (Och, jego pamięć wciąż jeszcze pracowała znakomicie!) Poza tym — któż mógł wiedzieć, co to była za bomba. Jeżeli posiadała dodatkowy płaszcz z ciężkiego materiału (U^{238} , przypomniał sobie), to wskutek zwiokrotnienia ilości produktów rozpadu jądrowego skażenie było znacznie intensywniejsze. (Do obrzydzenia musiał odpowiadać na tego rodzaju pytania kontrolne na kursach szkoleniowych, jego pamięć powtarzała wyuczony materiał jak automat reagujący na wrzucenie mo-

nety). W takim wypadku nie będzie to trwało czterech godzin, lecz zaledwie jedną, do stu piorunów! Z tego, co pamiętał, wynikało chyba także, że Japsy używały wyłącznie właśnie takich „brudnych” bomb.

Na dalsze zastanawianie się nie było czasu. Uciekać, zmykać, ratować życie! Zsunął się z kupy gruzów, odrzucił płaszcz i zaczął biec — po „grach planszowych” przyszła kolej na strach. Nie ubiegł daleko, gdyż płonący las stanowił barierę nie do przebycia. Aleja! Przyszło mu do głowy (uświadomił sobie zresztą natychmiast niedorzeczność tego pomysłu), że dobrze by było dotrzeć możliwie jak najprędzej do szosy prowadzącej z Rottleberode do Bergi i Kelbry, może była jeszcze przejezdna, i uciekać w kierunku wschodnim. Wiedział, że ściga się ze śmiercią — ze śmiercią, która już tak czy owak chwyciła go za kołnierz i wciskała się przez wszystkie pory jego ciała.

Kiedy w dzikim pośpiechu szukał jakiejś drogi przez morze ognia, jego rozklekotany mózg wypluwał bez przerwy zdania, które magazynował od lat:... Podstawowa ochrona, to znaczy trwała ochrona przed skutkami... przed skutkami użycia konwencjonalnych ładunków wybuchowych... przed skutkami fali uderzeniowej o ciśnieniu 0,3 at... przed zawałami i zagruzowaniem budynków... przed skutkami użycia środków bojowych B i C... przed skutkami użycia materiałów palnych... i wreszcie... wreszcie przed samym promieniowaniem radioaktywnym, przy czym za wartość bezpieczną... jakże to było? cholera jasna... za wartość bezpieczną — czyli wielkość dawki zewnętrznej podzielona przez wielkość dawki wewnętrznej — należy przyjąć dwieście pięćdziesiąt... no właśnie... próg ostrzegania ustawiony był obecnie na poziomie 10 mR/h... trzeba więc najpierw... naj-

pierw otrzymać przybliżony obraz skażenia jako podstawę do podjęcia czynności ochronnych... w odniesieniu do sytuacji ograniczonych przestrzennie regułę będzie zatem stanowić druga ewentualność... jaka ewentualność?... druga ewentualność, a mianowicie udanie się do schronów podziemnych... taki schron podziemny z pewnością był także tutaj, urządzone z całym komfortem właściwym von Eyckom... z zapasami żywności na kilka tygodni... z suchym klozetem, odzieżą ochronną, maskami i...

Śluz! Ulla! Zapomniał o niej — kompletnie zapomniał! Zostawił Bursztynową Czarownicę na lodzie! Był bydlakiem, podłą, najpodlejszą świnią, mięczakiem, kanalią, ostatnią szmatą! Myślał tylko o ratowaniu własnego nędznego życia, cała reszta była mu obojętna. Był żalonym tchórzem, niczym więcej!

Natychmiast zawrócił. Nadal dygotał i znów łzy ciekły mu po policzkach. Ze wstydu!... A ratunek był tak blisko! Gdyby udało mu się otworzyć drzwi śluzy, byłiby teraz bezpieczni — ale do bunkra mógł się chyba dostać tylko ktoś, kto znał ukryty zamek — trezor otwierający się na określone hasło — zarezerwowany dla pana von Eycka i jego potomstwa, to wydawało się do niego podobne...

Uczucie skrajnego przygnębienia pogłębiło się, kiedy forsował teraz stertę gruzów w przeciwnym kierunku — w gruncie rzeczy wszystko przecież było obojętne, co ma być, to będzie, nie można lać pod wiatr. Najgorsze, że człowiek bez żadnej osłony... poniekąd nagi... wystawiony był teraz na nieznaną los.

Ulla przykucnęła w kącie obejmując rękami kolana; zatoniona w jakichś rozmyślaniach zdawała się usilnie nad czymś zastanawiać. Pogłaskał ją po włosach, a kiedy spojrzała ku

niemu w górę, odniósł wrażenie, jakby z jej oczu zniknął strach. W ogóle wydawała się świeższa i przytomniejsza.

— Ulla, musimy stąd odejść! Szybko!

Pociągnął ją do góry, pomógł wstać. Kiedy ją podnosił, zauważył, że na ziemię upadł zmięty w kulkę papier. Ulla schyliła się zaskoczona prędko i zabrała papier. Przez kilka sekund stała niezdecydowana, obracając zwitek w dłoni. Potem spojrzała na niego i wcisnęła mu do ręki papierową kulę.

— Ratunek, czarny Jugurto — powiedziała. Jej głos brzmiał normalnie, mocno i dźwięcznie. Była więc szalona czy nie była?

— Chodź, Ulla, chodź! No chodźże już! Musimy stąd szybko odejść. Rzymianie... — Hollriegl urwał. Czy kontynuowanie tej dziecinnej zabawy miało jakikolwiek sens? Żeby ułatwić jej chodzenie, objął ją w pól. Przy każdym kroku czuł kołysanie jej piersi i ten dotyk, co dziwne, dawał mu ufność i siłę. Był jej obrońcą. Dobrze było mieć znów przy sobie drugiego człowieka. Czuć go blisko!

Musiał ją ciągnąć, nie bardzo chciała iść. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, z zaciekawieniem rozejrzała się dokoła. Bez strachu! Nie odezwała się słowem, pozostała nieporuszona. Zrozumiała? Czy nie rozumiała? Zmykać stąd jak najprędzej!

Łagodnie, ale stanowczo pociągnął ją dalej. Ta karteczka — może była ważna. Usiedli na gorącej ziemi, otoczeni pęłgającymi płomieniami. Przeniknął go słodki dreszcz, gdy Ulla — z ufnością — oparła głowę o jego ramię, ciepły wiatr przetrzącał kosmyki jej włosów na jego twarz. Koszmarna teraźniejszość przestała istnieć. Byli pierwszymi albo ostatnimi ludźmi.

Pośpiesznie przebiegł oczyma kartkę, była brudna i poplamiona krwią. Widniał na niej długi rząd cyfr, najwyraźniej nabazgrany dziecięcą ręką. Ale to ręka dorosłego wpisała nad

każdą cyfrą znak runiczny i odpowiednią niemiecką literę. Czyżby jakaś zabawa? Zaskoczony przeczytał: „Jugurtha“. Słowo to napisane było pod rządkiem cyfr dwa razy w całości, a za trzecim razem powtórzono jedynie pierwszych pięć liter, potem rząddek się urywał. Zszyfrowana wiadomość — wystarczyło znać słowo-klucz i kod cyfrowy. (W okresie nielegalnej działalności wymyślali podobne zabawy, żeby ośmieszać kruckenkreuzlerów⁴). A może było to objaśnienie umieszczonego pod spodem szkicowego planu? Rozwiązanie brzmiało: Junkers Gurnemanz Thale. Pierwsze litery wszystkich trzech wyrazów dawały w rezultacie znowu „Jugurtha“.

Hóllriegl przeczytał tekst na głos i spojrzał pytająco na Ullę. Skinęła tylko głową i przytuliła się do niego. Jej rozchylone wargi były blisko jego ust. Zaczął całować jej twarz, najpierw oczy, potem usta. Czuł jej spuchnięte wargi, gładkie zęby, chłodne wilgotne dziąsła. Miała nieświeży oddech.

„Thale “ — to była miejscowość w Harzu, może Ulla miała się tam z kimś spotkać. „Gurnemanz“⁵ — czyżby to imię odnosiło się do pana von Eycka? Jeśli tak, to gruba przesada. Rozszyfrowanie wyrazu „Junkers “ nasuwało się samo. Von Eyck był pilotem sportowym i możliwe, że latał Ju. Albo wskazówka ta odnosiła się do określonej maszyny, rodzaju bagażu i wyposażenia, które należało wziąć ze sobą. (Hóllriegl przypomniał sobie, co mu wyjawiał Gundlfinger). Na planie — jasne, że to był plan ucieczki — zaznaczono krzyżykiem miejsce na

⁴ *Kruckenkreuz — przypominające hakenkreuz godło państwowe Austrii w latach 1934-38.*

⁵ *Nauczyciel Parsifala.*

północny zachód od Thale, w kierunku Quedlinburga. Punkt zborny.

— Lilia, co znaczy Gurnemanz?

Przyjrząwszy się badawczo jej twarzy, stwierdził z konsternacją, że wzrok znowu ma tępy i zmętniały.

— Czarny Jugurto — szepnęła, a po jej ciele przebiegło drżenie. — Sprawisz mi ból?

Jakaś *idee fixe*. Poglaskał ją, powiedział kilka uspokajających słów. A więc jednak była niespełna rozumu. Beznadziejny przypadek. Gdzie był jego płaszcz? Odnalazł go i narzucił na jej nagie ramiona, a następnie starannie ją nim otulił. Thale. To niezbyt daleko stąd. Znał drogę, czasem nią jeździł. Przez Rottleberode, Stolberg, Guntersberge — samochodem to fraszka. Ale pieszo, w tym chaosie? Z ciężko chorą? Tak czy owak to był cel, określony cel.

A więc ruszajmy do Thale! Naprzeciw promieniowaniu, prosto w jego ramiona — czyste szaleństwo, śmierć. Mniejsza o to. Nawet gdyby mieli zejść do piekła!

Niebo przybrało barwę przypalonej czerwieni, blade słońce niczym sztuczna gwiazda wisiało pośród przesuwających się nisko chmur koloru lawy. Pomarańczowa ściana ognia już zgasła — tam, gdzie niedawno płonęła, na zachodnim horyzoncie, rozlał się plamisty róż. Przypominał różowawy odcień portretu Fuhrera w mieszkaniu Hollriegla.

Nie mógł zasnąć, łzawiącymi oczyma wpatrywał się w ciemność. I chociaż był tak zmęczony, jakby potłuczono mu wszystkie kości, każdą z osobna, nerwy miał rozdygotane. Czuć było tutaj stęchły, kwaskowaty zapach — jego wyostrzone zmysły rejestrowały menstruację, opiekę nad niemowlęciem, ściąganie mleka matki. Obrzydliwość! Obok niego na łóżku polowym leżała Ulla, skulona jak embrion. Jego dłoń błędziła po jej twarzy. Ulla pochrapywała cicho, usta miała otwarte.

Posiadł ją dzisiaj dwa razy. Pierwszy raz w zagłębieniu w ziemi za Rottleberode. Podczas krótkiego odpoczynku dosłownie go zgwałciła, narzucając mu się bez cienia wstydu, a w trakcie stosunku jadła ciasto. Załatwiała także potrzeby fizjologiczne w jego obecności. A po raz drugi tutaj, w „klaramie“, czyli klasztorze rasowej matki. Gdy chciał ją wziąć, zaczęła się nagle bronić jak dzikuska, omal jej przy tym nie udusił. Pierwszy raz się nie liczył — stosunek z półdiotką, która odrzuca wszelkie hamulce nie znaczył właściwie nic, nawet jeśli nosiła nazwisko von Eyck. A drugi raz... Podniecające to też nie było, najwyżej męczące. Raju, którego oczekiwał z taką nadzieją, nie zaznał. Ten raz też nie powinien się liczyć. A mimo to powoli, stopniowo, krok po kroku (były to kurze kroki) Ulla stawiała się na powrót sobą. Od czasu do czasu dostrzegał u niej nawet przebłyski dawnych stajennych manier — i uszczęśliwiał go to. Były to zresztą jedyne jego chwile szczęścia.

Zauważył to w trakcie ich długiej wędrówki. Nagle, ni stąd, ni zowąd zrobiła się rozmowna; mówiła przeważnie bez związku, ale jednak zaczęła mówić. Z pogmatwanych obrazów, które zaćmiewały i pętały jej umysł, można było wywnioskować to i owo. Prawdopodobnie Manfred przyniósł jej zaszyfrowaną wiadomość, którą napisał pewnie pan von Eyck. Gurnemanz? Hollriegl domyślił się z po części niedorzecznych, a po części rozumnych zdań, że „Gurnemanz” było używanym w kręgu rodzinnym przydomkiem kasztelana, który przekazał mu kiedyś zlecenie przeprowadzenia badań radiestezyjnych. Ów „Gurnemanz” prawdopodobnie miał za zadanie przygotować ucieczkę całej rodziny i zadbać o to, żeby wszyscy — łącznie z bliźniętami — spotkali się w określonym miejscu, właśnie w po-

bliżu Thale. Hollriegl niejasno przypomniał sobie, że obito mu się o uszy, iż SS w tamtejszej okolicy, w porastających równinę lasach nad rzeką Bode, posiada świetnie zamaskowane i mocno ufortyfikowane lądowisko. Czyżby, pomimo walk w rejonie Stolbergu, funkcjonowało nadal? Plan ucieczki Eycków prawdopodobnie by się powiódł, gdyby jedynymi przeciwnikami były Japsy.

Znów przypomniał mu się Gundlfinger. Zastanawiające, że pan von Eyck lub ktoś inny ułożył kryptogram ze znaków, które, jak każdy fachowiec poznałby na pierwszy rzut oka, należały do tak zwanego młodszego nordyckiego alfabetu runicznego, a więc nie do ogólnogermańskiego „futharku“, który potrafił czytać byle pimpf. (Tylko „z“ w „Gurnemanz“ zostało wzięte z futharku, był to znak identyczny z późnonordyckim „m“). Czy oznaczało to lot — „Junkers“ — w kierunku północnym? Czy też miało wprowadzić w błąd, a nordyckie runy oznaczały kierunek przeciwny, czyli równik? Z drugiej strony Thale i Thule; obie nazwy brzmiały podobnie, a Thule, wyspowa kraina starożytnych, leżało na dalekiej północy, tak samo jak Thule na Grenlandii... Czcze spekulacje.

Jaki koniec spotkał Manfreda — Hollriegl widział na własne oczy, chłopiec został złapany przez byłych więźniów i zarżnięty jak cielak, przypuszczalnie na oczach własnej matki. O tym, że Ullę maltretowano i wielokrotnie zgwałcono (również prawdopodobnie w obecności żyjącego jeszcze syna), świadczyły jednoznacznie ślady obrażeń i podarta odzież. Miłosierny los spuścił na te sceny nieprzeniknioną zasłonę zapomnienia w świadomości Ulli, a Hollriegl wystrzegał się starannie uchylecia przed nią choćby rąbka tej tajemnicy. Mimo że to, jak się domyślał, obudziłoby na nowo do życia wcześniejszą Ullę,

panią Frigg von Eyck, obernazistkę karnego obozu kobiecego „Dora“... przywróciłoby jej dawną wspaniałość i okrucieństwo!

Gdzie była Erda? Czy otrzymała podobną wiadomość i teraz także była w drodze do Thale? Ulla wydawała się nieświadoma faktu, że miała dzieci. Jej stan psychiczny zmuszał ją do życia tylko chwilą bieżącą, instynktownego, bez wspomnień — w pewnym sensie punktowego. (Czy nic stwierdził tego samego w odniesieniu do Anselmy?) Zapominała nawet o rzeczach, które wydarzyły się przed paroma minutami.

Hóllriegl i Ulla wędrowali przez martwy, wyludniony księżycowy krajobraz; zdziczałe psy były tu jedynymi żywymi istotami. Tylko raz spotkali ludzi, zabłąkany oddział rozpoznania skażeń Wehrmachtu; żołnierze otrzymali dosyć nieprawdopodobny rozkaz i teraz sami nie wiedzieli, co robić. Byli na motocyklach i podwieźli ich kawałek w bocznych przyczepkach.

W Rottleberode mogliby fasować odzież ochronną, gdyby Rottleberode jeszcze istniało. Ale pozostało z niego równie niewiele co ze Stolbergu; wymarłe miasto duchów, którego resztki wyglądały z daleka jak zwęglone kości — Hóllriegl wołał ominąć bokiem podejrzane miejsce, nigdy nie wiadomo, co czai się w takich ruinach. Nie było zatem żadnych magazynów i żadnych kombinezonów ochronnych. (Dla nas, pomyślał Hollriegl, i tak jest za późno). Podobnie jak nie było już obrony powietrznej ani służby ochronnej przed skażeniami ABC. Nie było niczego. Ludzie z oddziału rozpoznania skażeń mówili, że w wielu bunkrach muszą żyć ludzie, bo poprzedniego wieczoru nadano alarm przed skażeniem i do tej pory go nie odwołano. Nie wszędzie wyloty bunkrów wyglądały na zasypane, a mimo to nikt nie miał odwagi wyjść na powierzchnię. Wszystkie lokalne centrale ostrzegania zawiodły,

organizacja tak wspaniale wyćwiczonej na wypadek wojny służby kontroli atomowej przestała istnieć (czego twórcy programu „Landgrafie, bądź twardy“ nie wyobrażali sobie nawet w najczarniejszych snach); w radiu panował, jak mówiono, niewyobrażalny chaos. Liczniki Geigera żołnierzy wskazywały, że Harz i Goldene Aue to rejony największego skażenia.

Pchali się śmierci w ramiona, a ta już ich obejmowała potężnym uściskiem. Mniejsza o to. Hollriegl chciał odstawić Ullę do Thale, a potem gdzieś umrzeć — miał jeszcze dość amunicji, żelazny zapas. Parę dni oboje mogli jeszcze od biedy utrzymać się przy życiu, litościwy truppfuhrer dał im trochę (zabezpieczonej przed skażeniem) żywności, a także watowany płaszcz i bluzę połową dla Ulli.

Wędrowali przez nie kończącą się pustynię — lasy i zagajniki wznosiły w górę poczerńnięte kikuty, wszędzie dopalały się jeszcze wioski i zagrody. Zwisające z gałęzi czarne strzępy przypominały Hollrieglowi flagi żałobne na cześć Fuhrera. W powietrzu wciąż unosił się popiół — drobnutki szary deszcz, który wiatr pędził przed sobą. Najgorsze jednak były chyba wielkie zasy piaskowe, które sprawiały, że wszystkie drogi na północ od Rottleberode stały się nieprzejezdne i zmuszały do czasochłonnych objazdów. Także w lesie trudno się było poruszać, wiatrołom poczynił wielkie spustoszenia.

Pod wieczór znaleźli przypadkiem schronienie — zupełnie niemal nie zniszczony budynek. Był to ów klasztor rasowej matki o nazwie „Luginsland“, całkowicie opustoszały; mieszkał w nim jedynie mały kotek. Jeden z rasowych ośrodków wychowawczych, jakie po wojnie celowo i planowo tworzone w pobliżu zamków szkoleniowych, obozów RAD-u i temu podobnych. Powstało ich całe mnóstwo, wszystkie prawie iden-

tyczne, wznoszone według jednego wzorca. Właściwie były to koszary BDM-u, parterowe zabudowania, zamaskowane odpowiednio (nadawano im wygląd przytulnych obejść chłopskich), składające się z pomieszczeń dziennego pobytu oraz zbiorowych sypialni umeblowanych standardowo i z separatek, w których odbywało się płodzenie — wszystkie wyposażone były w prysznice i małe wanny do kąpieli na siedząco, urządzone higienicznie, jednakowo w całej Rzeszy. (W niektórych klasztorach zaczęto zresztą wprowadzać spermę sztucznie do macic przyszłych matek, z pominięciem ogierów rasowych — a więc wyselekcjonowanych SS-manów, żartobliwie nazywanych również „stadnikami” — żeby wyłączyć przy zapłodnieniu wszelkie czynniki zmysłowe, tak iż wspomniane separatki coraz bardziej wychodziły z mody). Były tam także: sala porodowa używana w nagłych wypadkach oraz barak, w którym znajdowały się pomieszczenia dla personelu pedagogicznego, lekarza i pielęgniarek do niemowląt oraz poradnia dla matek i wreszcie oddział doświadczalny. Całość tworzyła czworobok, którego boki pokrywał stromy dach z imitacji gontów. Nad bramą wjazdową ze szlabanem widniała wykuta z żelaza (gotyckie litery, typowe dla Wehrmachtu) sentencja Fuhrera: **NAJWYŻSZYM CELEM PAŃSTWA NARODOWEGO JEST TROSKA O ZACHOWANIE TYCH RASOWYCH PRAELEMENTÓW/ KTÓRE STANOWIĄ O PIĘKNIE I GODNOŚCI WYŻSZEGO SPOŁECZEŃSTWA.**

Starając się odnaleźć kogoś spośród mieszkańców klasztoru Hóllriegl znalazł kota, który kręcił się po sali gimnastycznej, a teraz spał zadowolony u jego stóp. W budynku nie było nikogo. Zszedł do świetnie urządzonego bunkra ciśnieniowego, tam również nic napotkał żywego ducha; hełmów, masek ochronnych, kombinezonów i zapasów żywności nic było. Albo

więc pensjonariuszki wyruszyły w pełnym rynsztunku do Kyffhauser, albo zostały w porę ewakuowane. Harz był wszak rejonem działań wojennych.

Opustoszały klasztor sprawiał niesamowite wrażenie. Leżał — od strony południowo-wschodniej — u stóp szerokiego, skąpo zalesionego górskiego grzbietu, i dzięki temu położeniu budynek nic odczuł skutków fali termicznej. Również fala uderzeniowa i trąba powietrzna przeszły górą, nie czyniąc żadnych szkód, tylko od strony zachodniej wszystkie szyby w oknach były wybite, a drzwi pootwierane na oścież. W tak zwanej sali wypoczynkowej wiatr porozrzucał po całym pomieszczeniu książki i czasopisma — na podłodze walały się: „Ród“, „Macierzyństwo“ i „Minne“ (serce mu na chwilę zamarło, gdy rozpoznał wśród nich wiadomy numer), a także nuty: „Go grywa Eryka na pianinie szypra?“ oraz ulubiony marsz Kopflera „My wilki wyjemy do nocy“. Nic nie wskazywało na to, że nadszedł sądny dzień — wszędzie wiązańki nieśmiertelników i gałązki świerkowe, koła fortuny, wyszywane przysłowia i sentencje, masywne drzeworyty w ramkach za szkłem, godzinowy rozkład zajęć (apele, stanie łóżek, śpiew, badania, higiena ciała). Wszędzie też zwyczajowy Brunatny Kącik. A na ścianach kalendarze do zaznaczania dni niedyspozycji i okresów płodnych dla każdej wspólnoty izbowej. W stojących na stolikach i na podłodze łuskach od naboji blade astry. Sama martwa natura — a podłogi tak czyste, że można by z nich jeść. Wszystko było schludne i skromne i świadczyło o zamiłowaniu niemieckiej kobiety do porządku.

Idylla ta działała Hollrieglowi na nerwy bardziej, niż potrafił to wyrazić. Czuł się, jakby z księżycowego krajobrazu trafił prosto do zacisznego ziemskiego świata z cudowną grą

wieczornych cieni przed zbliżającą się nocą. Kontrast był w pierwszej chwili wstrząsający. Obraz zniszczenia, jaki widział, wydawał mu się teraz czymś normalnym, zwyczajnym, a nawet miarodajnym. Pokój i bezpieczeństwo natomiast sprawiały wrażenie czegoś nienaturalnego, złudnego, były dziełem przypadku. Obok niego leżał gotowy do strzału pistolet — to była rzeczywistość.

Nocne godziny wlokły się leniwie, a on wciąż rozmyślał. Pomiędzy ruiną na zewnątrz i domowym zaciszem tutaj istniała swoista więź; przy rozmazanych granicach jedno i drugie wydawało mu się mniej więcej takie samo. Czy przeciwieństwa rzeczywiście były takie ostre? Niemcy mieli cholerny talent do wsadzania takich rzeczy do jednego worka lub wyczarowywania ich z niego. Wynaleźli coś, czego świat dotąd nie znał: uporządkowany chaos.

Miniony dzień, który nazwał sądnym, otworzył mu oczy. Ostatecznie. Anselma miała rację — nie było niczego. Nie było niczego, co przedstawiałoby jakąś wartość. Fuhrer nie żył i tym samym jego, Hollriegla, świat stracił wszelki sens. Życie nie miało sensu, a tym bardziej śmierć. Wszystko było pozbawione sensu, wszystko należało przewartościować — aż do zera, absolutnego. Jego zawód, ową kuglarską profesję, istnienie promieni ziemskich, w które musiało się „wierzyć“, partię, która — dopiero teraz widział to jasno i wyraźnie — była jedynie wielkim niesamowitym gnojowiskiem, wszystko to należało przewartościować. Również tę wojnę, rozpętaną lekkomyślnie i zbrodniczo (o, Senkpiehl miał w stu procentach rację!), należało przewartościować — od pierwszej chwili była czystym szaleństwem. Pozostawała tylko zupełnie bezsensowna, zwierzęca, beznadziejna walka wszystkich przeciwko wszystkim, to było

niezaprzeczalnym faktem. Wojna, którą życie toczyło ze samym sobą! Na noże, nie, na dwa noże, po jednym w każdej ręce, jak ów podczłowiek, który go zaatakował. A bohaterska śmierć? Można było najwyżej zostać zarżniętym jak Manfred. Albo jak owe karpie, które, choć rozkrojone, podskakiwały jeszcze do góry... Walczyć opierając się plecami o ścianę! I zdechnąć! To chyba miała na myśli Anselma.

A wyższy świat, jego wiara w boską świętość, która na ziemi wcieliła się w osobę Fuhrera? Wszystko to szwindel! Palce same zacisnęły mu się kurczowo ze wstydu, kiedy pomyślał o tych idiotyzmach, które plótł wówczas — wtedy, a było to przecież zaledwie kilka dni temu! Jak wielkie politowanie musiał budzić w Anselmie!

A Axel? A Ulla? Axel był, niestety, po prostu pięknym idiotą i tylko dlatego właśnie, że był idiotą, był czysty i dobry. Ulla natomiast była małą, brudną samiczką jak jego Ingrid, która chodziła czesać damy z towarzystwa. Może kiedyś, w zamierzczłej przeszłości, to, że posiadał Ullę, uczyniłoby go najszczęśliwszym ze śmiertelników — wtedy, gdy wierzył jeszcze w bohaterstwo, walkirie i podobne banialuki. Wcale nie zachowywała się inaczej — w trakcie — niż dziewczyny, które miał wcześniej. Pozostał tylko słaby dreszcz, wspomnienie z dawnych czasów. Och, gdybyż znowu mógł być przez nią chłostany!

Dotknął kobiety śpiącej kamiennym snem, zaczął obmacywać jej ciało. Żądza i wstręt, wstręt i żądza. To życie było jednym wielkim bagnem.

Zasnął z głową złożoną na jej ciele. W jego snach tykały liczniki Geigera.

Operacja „Bifrost“

Never a law of God or man Runs north of Fifty-three.

Nigdy prawo boskie ni ludzkie

nie przekracza pięćdziesiątego trzeciego stopnia.

Rudyard Kipling

Było południe, słońce stało nieco poniżej horyzontu. Mężczyzna, który nazywał się teraz Jugurta, wyszedł z kantyny.

Okropnie marzł, marzł bez przerwy. Nawet w przegrzanej jadalni, gdzie wszystkim oczy błyszczały szkłście jak w gorączce, miewał dreszcze. Nie ulegało wątpliwości, że to nerwy.

Po prostu czuł się podle, a nawet wyjątkowo podle, i teraz chciał się trochę przejść po świeżym powietrzu, by pozbyć się bólu głowy; chciał też przez chwilę побыć sam. Wymknął się ukradkiem, choć nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Mimo to podejrzewał, że jest obserwowany, aczkolwiek nie wyczuwał, by wiązało się to z wrogim nastawieniem — obserwowano go chłodno, obojętnie, jak jakąś rzecz.

Ale to chyba tylko stargane nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Idąc, mocno tupał butami, żeby wywoływać jakiś odgłos, na tej wyspie było tak cicho... Kaszowaty lód tryskał spod jego stóp, a z ust buchały kłęby pary. Tolerowano go tutaj, nic więcej. Jak długo jeszcze? Wlokąc się noga za nogą kopnął pustą beczkę, aż zabrzęczała blaszanym echem. Głucha, śmiertelna cisza, jedynie nad zatoką ochryple krzyki mew. Morze było szare i gładkie jak lustro, posępna otchłań.

Tutaj można się było rozchorować, jeśli ktoś nie miał jeszcze okazji. Nic dzień i nie noc, woda połyskiwała smętnie — w ogóle wydawało się, że to nie woda, tylko towot albo jakaś mazista pozostałość. Wszystko odsuwało się gdzieś w dal, nawet gdy przechodziło się tuż obok rzeczy lub ludzi: trzy zbiorniki, stos pustych beczek po paliwie, generatorownia, okutani w futra strażnicy, rosłe chłopiska, którzy nagle wynurzali się z mgły, a w końcu zasieki z drutu kolczastego i metalowa siatka pod wysokim napięciem. Niczego więcej nie było. Na południu horyzont połyskiwał słabo niczym białe złoto, a niski pagórek, za którym położone było lotnisko wojskowe, błyszczał jak rybia łuska. Szkielet wieży z urządzeniami radiolokacyjnymi ledwo można było rozpoznać.

W obrębie terenu otoczonego ogrodzeniem każdy mieszkaniec obozu zbiorczego (AL¹ Ju 33) mógł się poruszać swobod-

nie. Ale też bardzo rzadko widywało się kogoś na zewnątrz, w większości ludzie leżeli w barakach na pryczach i czytali albo drzemali. Czekali. Czekali na indagacje, badania i szczepienia. Ci, co zostali dopuszczeni do dalszego lotu, zmieniali barak. Kto przeszedł do obozu obok lotniska, ten dopiął celu.

Jak długo był już tutaj? Nic wiedział — nic było żadnej miary czasu. Na początku orientował się według posiłków, ale jeden lub dwa z nich wypadły, i wtedy wszystko mu się pomieszało. Ujrzał teraz, jak po drugiej stronic płaskiego wzniesienia zapalają się reflektory — oświetlenie pasa startowego. Radość, jaką sprawiał mu za każdym razem ten widok, zawsze, także i teraz, trwała krótko, gdyż generalnie na wyspie obowiązywało ścisłe zaciemnienie. Wkrótce potem zaryczały dysze, kolejny transport odleciał. Z miejsca, w którym stał, nie sposób było obserwować odlotu, lecz Jugurta zatrzymał się wycze-

¹ *Auffanglager.*

kująco, postukując obcasami jeden o drugi. Zobaczył tylko, jak kilka razy rozbłyły światła pokładowe superciężkiej maszyny. Reflektory zgasyły, ucichł także hałas. Noc, noc i mgła.

Po raz już nie wiadomo który brodził w śniegu wzdłuż wewnętrznego ogrodzenia. Strażnicy przypominali czarne posągi. Po co tylu strażników i drut kolczasty? Po co pałki, miotacze płomieni, armatki do pocisków dymnych, broń laserowa i psy posokowce? Obawiał się, że wie, tak mu się wydawało. Ta ostateczna selekcja nie zawsze przebiegała gładko, wszyscy chcieli się dostać do łodzi ratunkowej, ale ostatnie słowo należało do lekarzy i pełnomocników Głównego Urzędu Rasowego — jedynie politycznie sprawdzeni, nie obciążeni żadnymi chorobami dziedzicznymi, najsilniejsi rasowo to-

warzystwie narodowi mieli otrzymać szansę przeżycia, przy czym o wynikach selekcji decydowały także: wiek, potencja, bojowy duch, stopień służbowy i odpowiednie doświadczenie na froncie ideologicznym. (Takie kryteria wyboru uważał za dobre i słuszne; od czasu do czasu musiał już przechodzić podobne badania, tyle że może w nie tak bezwzględnej formie). Wyspa przypominała twierdzę. Strażnicy, jak można było odczytać z patek na kołnierzach, rekrutowali się z Totenkopfu, stuba* „Wiking“ i „Vidkun Quisling“. A zatem najlepszy materiał z Nordlandu. Byli tutaj nawet profosi — co za staroświecka funkcja! Wszyscy oni mówili łamaną niemczyzną, lecz za pomocą drylu nauczono ich głównie milczeć. Hollriegl słyszał gdzieś mimochodem, że tylko kierownictwo obozu, wliczając w to lekarzy, składa się z niemieckiego SS.

Kolejne pytanie: Po co te idiotyczne kryptonimy? Każdy, kto przybył do AL-u, musiał w pewnym sensie wyrzucić poza

² *Sturmbann — jednostka SS i SA, odpowiednik batalionu.*

nawias swoje wcześniejsze życie, musiał zaczynać od nowa. W porządku. Ale zmieniając nazwisko nie zrywało się przecież z dotychczasowym życiem, ono biegło dalej — w tysiącu różnych płaszczyzn, przede wszystkim w pamięci. Czy te pseudonimy posiadały jakieś praktyczne znaczenie, czy też zmiana nazwiska miała charakter czysto symboliczny? Czy była to jedna z wielu szykan, złośliwe utrudnienie? Eyckowie, natychmiast po przybyciu do obozu, kazali jego, Hollriegla, zarejestrować po prostu jako „Jugurtę“, z zawodu uzdrowiciela i redaktora (to przezornie podał sam). Wszelkie jego dokumenty, książeczka wojskowa, legitymacja partyjna, paszport

rasowy, karta identyfikacyjna i tak dalej, opiewały na nazwisko Hollriegl; tutejszym władzom musiało więc być znane jego nazwisko cywilne, gdyż papiery leżały w komendzie. Czy, jeśli zostanie „dopuszczony”, otrzyma nowe dokumenty? (Opiewające na nazwisko Jugurta? Brzmiało ono co najmniej idiotycznie). W pewnym sensie ta zabawa w kryptonimy przypominała pismo runiczne, za pomocą którego autor owej brzemiennej w skutki wiadomości jeszcze bardziej zaszyfrował znaczenie wyrazów. Życie w Tysiącletniej Rzeszy Narodu Niemieckiego obfitowało w takie ornamenty.

W obozie każdy zamykał się w sobie. Każdy czekał na swoją kolej, co, rzecz jasna, nic mogło być tematem długich rozmów, ale również ostrożność wydawała się wskazana. Na przykład dwaj faceci, którzy dzielili z nim sypialnię — cóż za mrukliwe typy! Jeden był koniuszym w stadninie w Trakehnen, o czym informowała lista mieszkańców pokoju (pseudonim „Turbot”), drugi typowym złotym bażantem (pseudonim „Wilcza Gardziel”), generalarbeitsfuhrerem, naturalnie w cywilu, a jednocześnie grubą rybą w administracji centralnej DAF-u, w wydziale propagandowo-szkoleniowym. Z nim, Jugurtą, omawiali jedynie najniezbędniejsze sprawy, między nimi dwoma natomiast panowały bardziej poufale stosunki, grywali ze sobą w szachy i w młynka. Za plecami Wschodniomarchijczyka — widział to w lusterku przy goleniu — wymieniali także wymowne spojrzenia. W tak dostojnym towarzystwie zwykły urzędnik był ostatnim śmieciem.

Rozmowy w kantine były równie lakoniczne, sztywne. a przede wszystkim anonimowe, lecz mimo to szybko wykształciły się pewne hierarchie. (Tak więc przy jego stole pojawił się najpierw różowy jegomość o tłustym karku, ostrzyżony

na jeża, który przedstawił się skromnie jako „niemieckie włókno syntetyczne”, wymawiał: syntetyczne. Wkrótce potem błyskający odznaczeniami przemysłowiec siedział już przy innym — przypuszczalnie lepszym — stoliku). Ciszę w jadalni przerywało tylko czasami wejście jakiegoś SS-mana, który stawał frontem do sali, strzelał obcasami i wyrzucał w górę prawe ramię. Porcję eintopfu trzeba było odbierać w okienku, każdy musiał to czynić osobiście, nie było uprzywilejowanych, a dziś przypadkiem niedaleko od niego stali w kolejce Eyckowie, obersturmbannfuhrer, jak zawsze zarozumiały i nieprzystępny, patrzył nieruchomo gdzieś przed siebie — ostubał zwykłą traktować go jak powietrze. Jaki pseudonim przybrał Eyck, nie udało mu się dowiedzieć, Ulla w każdym razie nazywała się obecnie Sigga. Dwa razy spotkał się z nią po kryjomu i wyniósł z tych krótkich spotkań, które były właściwie bardziej zetknięciami, uczucie zagrożenia. Sigga wyglądała na bardzo osłabioną, lecz choroba zdawała się dodawać jej uroku; patrząc na nią można by sądzić, że podniosła się właśnie z łoża po trwającej niezwykle długo uczcie miłosnej. Tak wyglądająca Sigga zdawała się nie budzić przy stole niczyjego zainteresowania, ale spojrzenia mężczyzn, którzy zazwyczaj w miarę możliwości starali się patrzeć prosto przed siebie, wędrowały za nią ukradkiem. Za każdym razem Jugurta czuł z obrzydzeniem, że wokół tej kobiety gęstnieje atmosfera lubieżności. Że w powietrzu wisi jakieś niebezpieczeństwo. Oprócz Eycków na dalszą podróż czekało jeszcze kilka małżeństw, cztery albo pięć, wszystko młodzi ludzie. Dzieci się nie widywało, dla nich zorganizowano pewnie osobny obóz zbiorczy. Nie było też żadnych niewolników, obsługiwali ich junacy RAD-u i młode kobiety z Norwegii.

Jugurta dotarł do szlabanu, który zagrażał drogę do lotniska wojskowego. Dwaj uzbrojeni w lasery wartownicy przechadzali się przed barierką w tę i z powrotem, zgrabne, z wyglądu jakby optyczne instrumenty połyskiwały czarno. Wartownicy, uznał, to jednak przesada; i tak wszędzie napisy ostrzegały przed dotykaniem siatki. Za kilka dni zostanie tędy przerzucony — albo i nic. A jeśli nic, to też dobrze.

Z czasem zagnieździła się w jego mózgu myśl, że Eyck dybie na jego życie. Z wielkimi oporami goguś zabrał go swoim dwusilnikowym samolotem i to z jego powodu, wiedział o tym, wciąż dochodziło do ostrych spięć między małżonkami. Ostubał parę razy próbował się go pozbyć, wszak był nieproszonym gościem, choć z drugiej strony uratował Ulli życie. I ten uciążliwy gość znalazł się teraz tutaj — upór pani von Eyck zwyciężył na całej linii, kochała go, jeżeli znajdowanie przyjemności w tym, że jej dotykał i brał ją, można nazwać miłością! Nic należało mieć złudzeń. Był po prostu młodszy, silniejszy, był lepszym samcem. A ten Eyck ze swoją ptasią głową? Rzygać się chciało.

Będzie musiał walczyć o swoje życie i o Ullę *alias* Siggę. Właściwie nie sprawiało mu to żadnej satysfakcji. Gzy zdechnie tutaj, w Niemczech, czy diabli wiedzą gdzie, było mu to zupełnie obojętne. A zdechnąć musi niebawem — i Sigga też. Oboje byli mocno napromieniowani, pojawiły się już pewne objawy choroby, a uszkodzenia popromienne organów wewnętrznych sięgały coraz głębiej. Przez jakiś czas od biedy dałoby się to jeszcze ukryć, jeśli będą mieli szczęście na badaniach. Choć z drugiej strony: zaburzenia wzrokowe, łzawienie, biegunka, „obca głowa“... Czyż to nie była drwina? On, doświadczony radiolog i uzdrowiciel, musiał umrzeć z powodu promieni, które

wyzwolił człowiek, ten prawdziwy diabeł stworzenia. Możliwe też, że Eyck napuścił na niego lekarzy obozowych. Gdyby tak się stało, musiałby niestety wszystko wysypać. Wówczas także cierpiąca na chorobę popromienną Sigga nie mogłaby polecieć „na tamtą stronę“, do Niflheimu³, jak się tutaj mówiło. (Poza tym Sigga była obciążona dziedzicznie, jak wiadomo, poroniła czterokrotnie.) Von Eyck, Jugurta nie wątpił o tym, za żadną cenę nie chciałby się z nią rozstać, był i pozostał niewolniczo oddany tej kobiecie, pomimo wszystko. Dzieci należało uznać za stracone, tym bardziej więc trzeba się było troszczyć o uratowanie własnej skóry, skóry pana von Eycka i Siggii. A zatem cennych skór!

Stan psychiczny Siggii poprawił się gwałtownie, pomijając luki w pamięci. W tej samej mierze, jak fizycznie podupadała coraz bardziej (tylko on to dostrzegał), jej duch rozbłysnął na nowo, pod niejednym względem znów była tą władczą i bezwzględną Ullą z dawnych czasów. Gdy po raz drugi odwiedziła go w jego baraku, po przelotnej, nie dającej pełnej satysfakcji grze miłosnej szepnęła mu, żeby się miał na baczności, bo jej mąż zdolny jest do wszystkiego. Tutaj ludzie przechodzili w niebyt — i takich niebytów nikt potem nie szukał, nie było na to czasu, bez żalu skreślano zaginione osoby. Zbyt wielu uchodźców atomowych czekało w obozach.

- Uważasz, że powinienem twojego męża..

³ *Niflheim albo Niflhel — kraina umarłych, ciemności i mgieł, w której władała bogini Hel.*

- Jugurta niczego nie może. Sigga to robi.
- Czym? Masz broń?
- Mam laser... meduso sześć.

— Go? Skąd go masz?

Roześmiała się obleśnie.

— Od... Knuda... scharfuhrera Knuda. Dostałam jako fant, jako zabawkę. Za to mógł wsadzić rękę tutaj. — Ujęła go za rękę i pokazała.

Szalona kobieta. Meduso sześć — laser rubinowy! Musiał spróbować jakoś wyciągnąć od niej tę broń.

— Nic. Nie mieszaj się do takich spraw. My, mężczyźni, musimy to załatwić między sobą.

— Głuptas z ciebie. Mam z Erikiem ściśle prywatne porachunki. Zarzucił mi ujmę herbową. On mnie! Drogo za to zapłaci! To ty nie mieszaj się do naszych spraw.

Ujma herbową. Von Eyck zarzucił żonie jej przeszłość, jej poślednie pochodzenie — prawdopodobnie miało to związek z nim, Hollrieglem, który też przecież był niskiego pochodzenia. Oboje byli bastardami i pasowali do siebie. Ale według szlacheckich pojęć honoru taką obrazę można było zmyć tylko krwią. Bardzo nieostrożnie postąpił Eyck raniąc Siggę tak dotkliwie. Znów była dawną Ullą... i zachowa się teraz zgodnie ze swą wcześniejszą naturą.

Nie, i jeszcze raz nie! Musiał ją ubiec, pozostawianie kobiecie takiej sprawy było czymś niegodnym mężczyzny. Od chwili gdy opuścił kantinę, zastanawiał się, jak tego dokonać. Pojedykować się? Dwukrotna wymiana strzałów — jak kiedyś za młodych lat? Ten Eyck to niebezpieczny facet i z pewnością dużo lepszy strzelec. Na dodatek w tych ciemnościach! Tu kula łatwo mogła człowieka trafić z niespodziewanej strony. Albo losować, pojedynek amerykański? On jednak nie chciał ustępować, on nic, to tamten powinien ustąpić. Choć z drugiej strony... może lepiej było umrzeć od jednej kuli, niż zdy-

chać od napromieniowania, śmierć w łóżku była czymś upokarzającym.

Poza tym istniała jeszcze pewna słaba, fantastyczna nadzieja. Srebrny pasek na horyzoncie, jak słońce, które nigdy zza niego nic wychodziło. Senkpiehl i Kummernuss mówili o tym już parę miesięcy temu. Swego rodzaju tajemna, cudowna kuracja, rzekomo sprawdzona pod względem metodycznym, która usuwała skutki promieniotwórczego opadu lub przynajmniej hamowała proces choroby. W laboratoriach UmL-i po wielu niepowodzeniach osiągnięto już pierwsze sukcesy, tak mówili ludzie. Podobno byli nawet prawdziwi ozdrowieńcy. Triumf niemieckiej myśli badawczej.

Gzy to aby nie było zmyśłone? W każdym razie także von Eyck kiedyś o tym napomknął. Zaraz po pierwszym lądowaniu — w Alborgu? — Hollriegl powiedział otwarcie słuchającemu go z lodowatą, a przy tym zmieszaną miną rywalowi o śmiertelnym niebezpieczeństwie, jakie grozi Ulli. Przez wiele godzin wystawiona była na bardzo silne promieniowanie — co z nią teraz będzie? (O tym, że sam jest również napromieniowany, nic wspomniał). Wówczas pan Eyck otworzył nagle usta i uczynił znamiennej uwagę: „Po tamtej stronie uratujemy ją... kiedy Bifrost będzie już za nami...” Zdanie to, sądząc po wściekłym grymasie, prawdopodobnie wymknęło mu się niechcący. No i dobrze. Również Sigga opowiadała, że „w Niflheimic“ zostaną wyleczeni, słyszała o tym od pewnego lekarza sztabu generalnego, który jada z nimi w kantynie. Wyglądało na to, że Sigga wic o swoim stanie więcej, niż można by przypuszczać.

Jugurta znów przemaszerował noga za nogą obok pustych beczek. On albo ja — ta myśl zawładnęła nim całkowicie.

Nie dlatego, żeby śmiertelnie nienawidził pana von Eycka, nie było po temu naprawdę żadnych powodów, po prostu go nie znosił. Tamten zresztą zastrzeliłby go jak zająca bez najmniejszych skrupułów. — Gdzie i jak miało się to stać? Kiedy Eyck będzie wracał z kantyny do siebie. Eyckowie mieszkali na drugim końcu obozu, w barakach dla małżeństw. Dosyć długa droga, którą pan obersturmbannfuhrer zakończy, być może, wcześniej, niż miałyby na to ochotę. Te beczki stanowiły dobrą zasłonę. Ale strzał, jeśli nie dwa, byłoby słychać w całym obozie. A zatem laser. Laser syczał cichutko jak palnik acetylenowy. Niestety — pan Eyck będzie się potem nieciekawie prezentował, ludzie zabici laserem nie wyglądali ładnie. Jego ziemskie szczątki można by uroczyście wsypać do morza. — Musi koniecznie wydobyć broń od Siggii, i to natychmiast...

Wszedłszy do skąpo oświetlonej izby, ujrzał na łóżku kołpertę. Żółty bażant chrapał na swojej pryczy. Poobiednia drzemka. Trakeński ogier siedział przed małą szachownicą i rozgrywał partię z samym sobą.

Tekst powielony na hektogralie, wezwanie do komendy. Jutro o ósmej stawić się u lekarza obozowego. Na czczo. Przynieść poranny mocz.

Tu nie był już nawet Jugurtą, istotą żyjącą w fantazji Siggii, lecz jedynie numerem. Ustalili jego rasową grupę krwi, odwirowali i poddali analizie mocz, zdjęli odciski palców, podszew i pięt, zrobili mu EKG, odciągnęli trochę soku żółdkowego, przeprowadzili oględziny dupy i członka, osłuchali i opukali go — Albina Totilę Hollriegla *alias* Jugurtę — zważyli, zmierzylili, zbadali serologicznie, sprawdzili jego odruchy, oświetlili dno oka... Co jeszcze, co jeszcze? Miał numer 18.

A teraz, już od dłuższego czasu, jakiś gołowąs w okularach,

w lekarskim kitlu, bryczesach i wysokich butach z cholewami mierzył i obmacywał mu czaszkę. Jak podczas przesłuchania na policji trzy jaskrawe lampy wycelowane były w jego twarz. W pokoju było okropnie gorąco i rozchodziły się przenikliwe zapachy. Marzył — niskie ciśnienie krwi, obniżona ciepłota ciała. Z boku, w cieniu, przy stołach ustawionych w podkowie, siedziało trzech mundurowych (oczywiście SS), bluzy, pasy i czapki wisiały na wieszaku. Nieobecny wzrokiem gapili się przed siebie, a tymczasem gołowus lekko beczącym głosem — który przypominał instrument ludowy z Tyrolu, drewnianą śmiechotkę — dyktował piszącej na maszynie sile biurowej, zapewne poci żeńskiej, gdyż oddzielał ją od sali parawan, wyniki swoich badań. Wszystko przebiegało niezwykle urzędowo. W głębi pomieszczenia czekali na swoją kolej inni nadzy mężczyźni.

— ... dynarski lub przeważnie dynarski... pod względem rasowym: ciemna domieszka ostyjska... wskaźnik czaszkowy 84 koma 21... wskaźnik twarzy 100 koma 81... wyraźna stromizna potyliczna... Widok z boku — dwukropek — tak zwana głowa typu czako... nos i podbródek nadmiernie rozwinięte — koma — podejrzenie akromegalii... guzowatość potyliczna dobrze wyczuwalna... Przekrój twarzy — dwukropek — czoło płaskie cofnięte — koma — sprawiające wrażenie wysokiego... łuki nadoczne graniaste... siodełko nosa płytke — koma — nos silnie wysunięty do przodu... z profilu widoczna przegroda... usta grubo wykrojone — koma — typowe dla artykulacji wschodniomarchijskiej... kął żuchwy rozwarto... tylna linia gałęzi żuchwy niezbyt stroma... Widok z przodu — dwukropek — wałki czołowe dobrze widoczne... zgrubienie szwu czołowego słabo metopiczne... Kolor włosów ciemnobrązowy — koma — splot

kędzierzawy... tęczęwka szaroniebieska... szeroka i wysoka szpara powiekowa — koma — powieki górne bez zmarszczek... kości i łuki jarzmowe nie uwydatnione...

Szczęk instrumentów i stukot maszyny do pisania działały usypiająco, członkowie komisji patrzyli znudzonym wzrokiem przed siebie i przeciągali się z trzaskaniem w stawach. Gołowąs zaczął właśnie obmacywać jego zęby. Stan uzębienia. Po co to wszystko? Idiotyczne. I ta tępą powaga! Pomijając już fakt, że zbierane tutaj dane miał wszystkie bez wyjątku wpisane w paszporcie. A może nie zwracano papierów? W jego wypadku nie miało to najmniejszego znaczenia.

Od wczorajszego wieczora posiadał bowiem, podpisane jak trzeba przez kierownictwo obozu, dokumenty pana inspektora do spraw gospodarczych w OA Fulda-Werra, Erika Meinolfa von Eycka (niech spoczywa w pokoju), tyle że opiewały na inne nazwisko. Eyck wyglądał koszmarnie, naprawdę jak kupka nieszczęścia. Śmiertelnych szczątków obersturmbannfuhrera (możliwe, że jego dusza obejmowała teraz władcę Walhalli) nie wyspali — on, Sigga i Knud — do morza, tylko wrzucili do wiadra, pojemnika na kuchenne odpadki.

Jeżeli można było wierzyć relacji Siggii, po południu znów doszło do kłótni. Eyck stanął przed nią jak zwykle, z rękami w kieszeniach, na rozkraczonych nogach, i kołyszając się na piętach zaczął jej urągać. Zawsze to samo. Skalanie jego honoru, jego nazwiska, herbu von Eycków. Ze idzie do łóżka z każdym, nawet ze służącymi, a teraz w dodatku z jakimś wschodniomarchijskim znachorem. Ze jest telewizyjną dziwką narodu, i tak dalej. Sigga również nic darowała mu niczego. („Wet za wet“). Przede wszystkim jedna rzecz doprowadzała ją do szewskiej pasji: to, co robił z rękami, zawsze robił, po-

tocznie nazywane „bilardem kieszonkowymi No cóż, grywał bardzo często w bilard kieszonkowy, ale tym razem wyglądało to szczególnie obrzydliwie. Zabiła go nic tyle z powodu tych obelg — ostatecznie zdecydowała właśnie owa dziecinna, nieświadomie onanistyczna gierka, która zresztą w wydaniu Eycka sprawiała w dodatku wrażenie czegoś nadzwyczaj aroganckiego. Można więc chyba zrozumieć...

Knud, jasny blondyn, równic małowówny co prostoduszny drągal z Nordlandu, który miał służbę w kartotece, otrzymał polecenie wyciągnięcia papierów państwa Eycków i opatrzenia ich przepisową wizą. Niektóre wysoko postawione osoby mogły bowiem zatrzymać stare dokumenty, nie przypinano im „przezwiśka“, chyba że same tego chciały. Eyck dobrowolnie wybrał sobie nazwisko, wyjątkowo stare i dobrze brzmiące, ale wyraźnie tylko na czas pobytu w Niflheimie: Hadmar Gotz von der Leyen. Przemianowanie już nastąpiło. Dawna Ulla Frigg von Eyck nazywała się teraz „Sigga von der Leyen“, jej azowe imię honorowe brzmiało „Gutrune“. Pan Eyck wcale jej wcześniej nie pytał o zgodę, założył z góry, że Ulla zaakceptuje jego wybór. Była to jedna, choć akurat najdrobniejsza, z wielu przykrości, które jej sprawił w ostatnim okresie. Konflikt sięgał korzeniami głębiej i trwał już od dawna. Wiązał się z telewizyjną karierą Ulii.

Gołowąs skończył swe pobekiwanie, numer 18 mógł się ubrać i został przekazany dalej. Cała procedura była naturalnie niewyobrażalnie głupia, ale czy miałoby jakikolwiek sens wzbudzanie podejrzeń? Bez względu na to, jak wypadnie badanie — on pojedzie dalej z uwierzytelnionymi papierami niejakiego pana von der Leyena. Knud obiecał jeszcze dziś przetrzucić jego i Siggę „na tamtą stronę“, co oznaczało lot-

nisko. Nasuwało się pytanie, jak Sigga wynagrodzi usługi Knuda. Trudno, musiał się z tym pogodzić.

Gdy zostawali z Ullą sam na sam, był Jugurtą, jego dawne, porządne nazwisko traciło stopniowo wszelką ważność. To było przecież w zamierzczłej przeszłości. Kiedy wahadłem stwierdzał obecność promieni ziemskich i emitowanych przez ciała. Tamten Hollriegl został wymazany, zgasł — jak oddech Odyna. Jak cała reszta. Wszystko to miało miejsce dawno temu i już nie wróci.

Naprzeciw niego siedział teraz chudy człowiek o zniszczonej twarzy starego rębajły i okrągłych plecach. Cywil. W dziurce kłapy odznaka NS Związku Strażników Prawa oraz związku Niemiecki Wschód. Świdrujące spojrzenie inkwizytora. Przepuszczalnie jaskrawe światło stanowiło tutaj wszędzie element obowiązkowy, przewidziany w regulaminie. Na stole włączony magnetofon.

— ... Jakie kary honorowe czynią niegodnym służby wojskowej?... Go oznacza termin „unarodowienie”?... Kto zwoływał pospolite ruszenie u dawnych Niemców?... Czy zna pan w przybliżeniu łączny nakład prasy DAF-u?... Z tego na „Robociarstwo“ przypada ile?... Jak pan ukarze niewolnicę, którą przyłapał pan na kradzieży?... Po ukończeniu ilu lat młody Niemiec może być uznany za osobę pełnoletnią przez sąd opiekuńczy?... Go pańskim zdaniem jest największą zbrodnią?... Jak nazywał się autor *Zwierciadła Saskiego*?... Istnieje jeszcze sześć innych zwierciadeł — jak się nazywają?...

Wszystko bardzo niewinne, wiedza na poziomie wykształcenia ogólnego. (Chyba że właśnie pozorna łatwość pytań była pułapką?) Może wkrótce zjawi się Knud — miał wstęp do każdego pokoju — i da mu umówiony znak, jeśli wcześniej

nadarzy się korzystna sposobność do ucieczki. Gdzie jest Knud? U Siggii? Ukradkiem spojrzął na zegarek.

— ... Go to znaczy, że partia jest powierniczką wspólnoty narodowej?... Nazwisko gauleitera Sud-Hannover-Braunschweig brzmi...?... A Memel-Mitte⁴?... A Weser-Ems?... Zna pan hasło: „Pomagaj, a sam też otrzymasz pomoc“ — co w związku

⁴ *Memel — niemiecka nazwa Kłajpedy.*

z tym przychodzi panu do głowy?... Kiedy został podpisany pokój westfalski?... Proszę coś powiedzieć o swojej dziedzinie zawodowej, ródźkarstwie... Kto był w zeszłym roku mistrzem Niemiec w piłce wodnej?... Kto zeszłorocznym zwycięzcą w Pucharze Tschammera?... W rzucie piłeczką palantową na odległość (w ramach dwunastoboju)?... Co oznacza „odmasowienie narodu“?... Go oznacza termin „współistność ziemską“?...

Pytający przeskakiwał z tematu na temat. Sprawdzian inteligencji. Niektóre pytania były podchwytliwe, ponieważ wydawały się takie proste — ale o ćwiczeniach gimnastycznych i różnych mistrzostwach nic miał zielonego pojęcia.

Kiedy Knud przekaże mu znak, będzie musiał stąd przysnąć tak czy owak. Najlepiej, jeśli uda, że męczy go biegunka, i zamiast pójść do ubikacji, po prostu da nogę. A jeżeli będą go pilnowali, to co wtedy? Na pewno wszystkie ściany tutaj mają uszy, a drzwi — oczy. (Przypomniał sobie potworne szczeliny do patrzenia w mieszkaniu Anselmy). Taśma przesuwająca się bezszelestnie, odruchowo obserwował pracowicie kręcące się szpule.

— ... Jak przewycięży pan wewnętrzną słabość woli?... Od kiedy obowiązuje egzamin sprawności dla wszystkich do-

wódców SS?... Kto rozwiązał problem żydowski w Lublinie?... Jakie urzędy należą do zakresu działania Ministerstwa Finansów Rzeszy?... Nadzorowi MFR podlega kto?... Go rozumiemy przez „niemieckie dziecięctwo bożc“?... Proszę zaśpiewać pierwszą zwrotkę „Szlewiz-Holsztyn morzem opasany“!... Kto pierwszy ukuł hasło „duch i krew“?... Jaką pozycję w sztukach plastycznych zajmuje idea rasowa?... Jak brzmią pierwsze dwie tezy Bormanna?... Proszę wymienić karły z *Wieszczby Wolwy!*... Go by pan zrobił, gdyby po wylądowaniu na Marsie lub Wenus spotkał pan istoty myślące?... Jak ocenia pan przyszłość ruchu Werwolf?... Jaką nazwę nosił szósty zjazd partii?... Kiedy się odbył?... Jak się nazywa pierwiastek chemiczny o liczbie porządkowej 94?... Czemu jest to ważne dla dalszego istnienia Nowego Porządku?... Kto w Reichsgruppe Industrie jest obecnie odpowiedzialny za hutnictwo żelaza?... Czy zna pan nazwisko komisarza Rzeszy do spraw służb publicznych?... Proszę rozwinąć motto: „Myśleć na sposób zachodni, działać jak Niemiec“... Co to są Azowie, co to są Wanowie?... W którym roku wystrzelony został w kosmos pierwszy niemiecki satelita bezzałogowy?... Kiedy pierwszy załogowy?...

Sypał się na niego grad pytań. Coraz rzadziej udawało mu się odpowiadać od razu, ale oprócz zdecydowanie trudnych pytań były też śmiesznie łatwe. Pewnie chciano go wytrącić z równowagi. Niektóre pytania były bez wątplenia pułapką — wówczas należało za wszelką cenę coś dukać lub mówić trochę nie na temat (miał w tym pewną wprawę). Pusta gadanina stawała się coraz wyraźniej przesłuchaniem, tempo zadawania pytań stale wzrastało. Gdy nie znajdował od razu odpowiedzi, padało już następne pytanie. Chociaż miał

dreszcze, zaczął się gwałtownie pocić. Kręciło mu się w głowie. Przekłęte nerwy! A Knud nie przychodził.

— ... Z czym wiąże się znak NM — Noc i Mgła?... Proszę opisać kilka tortur stosowanych swego czasu w tak zwanych obozach karnych bolszewików... Jak może pan jako redaktor zdefiniować pod względem duchowym narodowych towarzyszy i określić ich miejsce w wielkiej wspólnoty narodowej?... Proszę podzielić spółdzielczość na bazie a) terytorialnej b) rasowo-plemiennej... Czy zna pan cele operacji „Bifrost“?...

Bifrost — tęczyowy most starożytnych łączący Himinbjorg⁵

5) W mitologii germańskiej siedziba Heimdalla, boga jasności.

z ziemskim światem! (Lecz synowie Muspellheimu tylko czekali okazji, żeby go zniszczyć). Bifrost — tak też nazywał się wielki most powietrzny, jeden z największych, przez które rasa panów wycofywała się na ukryte, niedostępne obszary, jak opowiadał mu ktoś kiedyś w najgłębszej tajemnicy. (Czy to nic była Sigga?) O żadnych jakichś tam „celach“ nic nie wiedział, jednakże główny cel — przeżyć — był mu naturalnie znany. Rasa panów bez względu na wszystko musi przetrwać, powiedział, ażeby jej dzieło, panowanie nad światem, mogło trwać dalej. (Jakże zmroziło go to wyjaśnienie!) Czy wiadomo mu coś o innych mostach powietrznych, zapytał szczerzy człowiek, a na jego twarzy pojawił się nerwowy tik. Rzecz jasna słyszało się to i owo: o operacji „Victoria regia“ (Gundllinger); o gigantycznych mostach powietrznych do Ziemi Ognistej, kryptonim „Peszero“ lub jakoś podobnie, i na kontynent antarktyczny, ten z kolei nosił kryptonim (a zarazem sygnaturę honorową) OT, Organizacja Todta; o przerzucaniu fanatycznych werwolfów — zesłakiwali w nocy i we mgle na spadochronach, czy to właśnie była akcja „NM“? — na

obszar Wielkiej Japonii, a nawet na sam Nippon, gdzie miały powstawać podziemne ośrodki i tajne nordyckie enklawy. W większości, jak sądził, były to plotki i fantazje i należało uważać, żeby nie wiedzieć przypadkiem o tych sprawach zbyt wiele.

Naprzeciwno niego siedział, o dziwo, już ktoś inny, Chudzielec rozpląnął się jak cień. Hollriegl nie zauważył nawet, kiedy nastąpiła zmiana, lampy tak oślepiały. Nowym egzaminatorem był blady, kościsty jegomość, bez zarostu, którego łysa głowa z wianuszkami szorstkowskich włosów wystawała, na ile Hollriegl mógł dostrzec, z gipsowego gorsetu. Miał na sobie mundur Wehrmachtu, ale patki na kołnierzu i pagony nie zdradzały rodzaju broni ani stopnia służbowego. Jego głos brzmiał ochryple, pytania wyrzucane były tonem niemal opryskliwym.

— ... Proszę wyjaśnić termin „obowiązek zgłoszenia się do poboru“... Jak lokalizuje się aparaty latające tuż nad ziemią?... W jaki sposób komendanci okręgów wojskowych przeprowadzają zaciąg rezerwistów?... Ile dywizji pancernych liczyła Grupa Armii A na początku kampanii francuskiej?... Grupa Armii B?... Jakie zna pan rodzaje broni stromo torowej?... Gdzie najlepiej przerzucać ziemię podczas kopania dołu strzeleckiego?... Czy zna pan alfabet Morsc'a?... Jaki znak w alfabecie Morse'a odpowiada literze „u“?... A średnikowi?... Jaką barwę broni mają lądowe służby łączności?... A wojska chemiczne?... Kontrola powietrzna?... Barwą broni intendentury jest...? Jak brzmi sygnał wzywający do capstrzyku? (Zanucić!)... Jaki pułap osiąga me-fafnir?... Jaki ma czas wznoszenia na wysokość 6000 metrów?... A czas wznoszenia na wysokość 9000 metrów?... Proszę mi wymienić jakiś bojowy środek paraliżujący... Psychotropowy... Parzący... Duszący... Środek wywołujący rozpad

krwi... Go pan wie o użyciu śmigłowców podczas walk w dżungli?... W jakiej sytuacji bojowej zastosowały pan gaz obezwładniający?... W jakiej tabun?... Co dla nas Niemców oznacza wyrażenie „przykładna śmierć“?... Kiedy zbuduje pan igloo, a kiedy jaskinię śnieżną?... Proszę opisać tablicę genealogiczną czołgu typu Leopard... Czy na myślenie strategiczne imperium bardziej wpływa planowanie krótko-, czy długoterminowe?... Które z naszych systemów bojowych latają z prędkością hipersoniczną? (Co najmniej pięciokrotna prędkość dźwięku)... Czy duch bojowy jest wyłączną własnością elit?... Kiedy dokładnie została oswobodzona Grupa Narvik?... I w jaki sposób?... Jaki wpływ pańskim zdaniem miał okres euforii politycznej i rasowej po roku czterdziestym piątym na liczebność młodej kadry w korpusie oficerskim?... Kto posiada największą siłę ognia w pancernej grupie bojowej?... Proszę wymienić typy broni o dalekim zasięgu montowanej na ziemi... Której z następujących cech żołnierskich przyznałby pan bezwzględne pierwszeństwo: karność, posłuszeństwo, junactwo, obowiązkowość, koleżeńskość, zrozumienie zadań państwowych, nastawienie narodowe, gotowość do ponoszenia ofiar łącznie z oddaniem własnego życia, wiedza taktyczna, zdecydowanie, wierność partii, wewnętrzna czystość właściwa rasie panów?...

W chwili gdy odpowiadał na to ostatnie pytanie, otworzyły się drzwi i wszedł Knud — szeroko uśmiechnięty Knud, piękny niczym Baldur — dziarsko oddając honory. Wreszcie! Podał egzaminatorowi z Wehrmachtu jakieś urzędowe pisemko. Magnetofon został wyłączony.

— Pójdzie pan z tym człowiekiem do komendy, egzamin zostaje przerwany. Pańskim nowym numerem będzie... (sprawdził na liście, po czym wpisał nazwisko i liczbę)... trzydzieści

dwa. Proszę czekać na wezwanie.

Numer 18, a obecnie 32, ruszył śpiesznym krokiem, to znaczy deptał Knudowi po piętach. Na korytarzach tu i ówdzie czekali następni kandydaci, podpierali ściany lub w zastygłych pozach siedzieli na ławkach — nie było ich wielu, personel zresztą również był nieliczny. Wkrótce znaleźli się w skrzydle lekarskim, gdzie wszystko lśniło bielą i czystością, a bladoniebieskie światło odbijało się od lakierowanych powierzchni.

Przed drzwiami z napisem „gabinet rentgenowski Knud zatrzymał się i zaskutkował życzliwie. Kiedy Jugurta otworzył drzwi, ujrzał w zaciemnionym pomieszczeniu Siggę. Podeszła do niego; była już najwyraźniej gotowa do drogi, obok stał jej kuferek.

— Tu są twoje rzeczy — szepnęła — to zasługa Knuda.

To mówiąc rzuciła mu grubo watowany, podbity futrem płaszcz z wysokim kołnierzem grenlandzkim oraz futrzaną czapkę z nausznikami. W milczeniu nałożył je na siebie.

— A Knud? — zapytał odwracając twarz.

— Knud dołączy później — powiedziała cicho — musi jeszcze zostać, aż do wysadzenia obozu w powietrze.

A więc to oddział straceńców.

Zalała go nagle fala dziecinnej upajającej radości. Wyglądali teraz jak para podróżników polarnych. Uszczęśliwiony uśmiechnął się promiennie do Siggie i objął ją mocno, lecz ona szybko wyzwoliła się z jego ramion.

— Pośpiesz się — Knud czeka.

Kieszenie płaszcza miał wypełnione papierami. Po wyjściu na korytarz przejrzał je pobieżnie. Okazało się, że nic tylko odzyskał wszystkie stare dokumenty, pomięte, wybrudzone i poplamione krwią (nie zabrakło nawet papierów wozu Senkpie-

hłą), ale ma również nowiuteńkie. Knud był geniuszem.

— Nazywam się rycerz Gotz von der Leyen o żelaznej pięści — zawołał śmiejąc się wesoło, mimo że fizycznie czuł się bardzo marnie (na chwilę zapomniał o tym). — A ty jesteś moją niewiastą!

Objął ją ponownie; tym razem „Gutrune“ nie protestowała. Dawno już — od dnia, w którym spotkał Axela, nie był w tak dobrym humorze. A „po tamtej stronie, w Niflheimie“ na pewno zostaną wyleczeni — uparcie trzymał się teraz tej myśli. Kiedy zbliżali się do wyjścia z obozu, dziarsko pogwizdywał, przez zęby. Knud niósł kuferek, a oni dwoje, spleceni w uścisku, podążali za nim.

Poszło jak po maśle. Wartownicy ledwo rzucili okiem na papiery, jakby obecność Knuda była wystarczającą gwarancją, że wszystko jest w porządku. Jakie to dziwne! Z jednej strony wyłącznie szykany i pułapki, z drugiej lekkomyślność, która mimo woli budziła podejrzenia. (Istotnie, ta lekkomyślność miała w sobie coś złowróżbnego!) A mimo to poczuł się nagle tak, jakby spadła mu z piersi niesamowita zmora wszystkich urzędów, do których wymagań musiał się stosować w swoim dotychczasowym życiu. Wciągnął głęboko w płuca ostre lodowate powietrze. Za bramą zaczynało się coś innego, zupełnie obcego, a on pragnął tego każdym włókniem swego serca. To była wolność — wolność, jaką się cieszą zwierzęta!

Przed wejściem do szopy stanowiącej poczekalnię Knud, jak zwykle uśmiechając się promiennie, zawrócił. Jego dziarskie pozdrowienie było bezosobowe, równic dobrze mogło się odnosić do przeprowadzającego inspekcję brigadeführera. Pożegnalny uśmiech Siggi również mówił niewiele. (Dobrze! Dobrze! Dobrze!) Tym sprężysciej wypadło w odpowiedzi poz-

drowienie pana Heiminsreicha *alias* Hadmara Gotza von der Leyena; rozpierało go szczęście, omal nie wyrwał się ze swoim „Heitla“ — które dawno już stało się reliktem minionych czasów.

Uczucie euforii nie opuściło go nawet wtedy, gdy musiał przejść wraz z Siggą przez szpaler SS-manów; każdy z nich wyglądał niczym pomnik Nowego Porządku. Denerwujące jak bieg przez różgi. Dostrzeżona na niektórych patkach kołnierzy rozwarła wilcza paszcza wzbudziła w nim gwałtowną niechęć. W niebieskim świetle połyskiwała broń laserowa.

Słabo oświetlona lampami przeciwlotniczymi poczekalnia była już całkowicie wypełniona. Czekający, którzy przypominali z wyglądu czarne bryły, siedzieli albo leżeli bez ruchu na ławkach i na podłodze obok swoich bagaży. Panowało milczenie, wszyscy wydawali się pogrążeni we własnych myślach lub drzemali. Kto wic, jak długo już czekali! (Znów pochwalił w duchu cudotwórcę Knuda, który załatwił niespodziewanie szybki transport). W powietrzu wisało nerwowe napięcie. Ów fluid można było niemal wyczuć dotykiem, udzielał się każdemu, kto czekał na wielki skok w nieznanne. Tak przynajmniej wydawało się Jugurcie, ponieważ swymi zmysłami radiestety chłonał wszystko znacznie intensywniej niż inni. W dodatku ta całkowita blokada informacyjna od wielu dni — i wytrzymaj tu, człowieku! Sigga wiedziała od Knuda, że do niedawna w regularnych komunikatach wyjaśniano sytuację militarną, potem w eterze zapanowała nagle cisza. Na każdym kroku widziało się paszcze głośników, które nie przekazywały nawet rozkazów wewnątrzobozowych. (Nie ma rzeczy bardziej zabójczej niż głuchy głośnik!) W obrębie obozu personel komunikował się teraz między sobą na piśmie.

Znaleźli lukę, Jugurta oparł się o ścianę, a u jego stóp, na złożonych płaszcach, usiadła Sigga. W poczekalni panowało zwierzęce ciepło. Poczut jej głowę na swych udach i mimo woli napiął mięśnie, żeby wiedziała, jakie twarde są jego uda. Czule czochrał jej grzywę, Sigga podniosła ręce i przez jakiś czas darzyli się pieśczołą splecionych palców. Przekazywali sobie nawzajem własne podniecenie splatając dłonie coraz mocniej, ale nie było to stosowne miejsce, by dać upust żądzy. Kiedy znów posiadzie Siggę? Nikt już nic stał mu na drodze, dumna amazonka należała wyłącznie do niego. I nagle zażęsknił tak silnie za jej ciałem, że poczuł wręcz fizyczny ból.

Po nich nikt już nie doszedł, byli prawdopodobnie ostatnimi dwiema osobami, które znalazły się w grupie tych, co mieli dzisiaj odlecieć. Ich zmysły nic zdążyły jeszcze rozgorzeć na dobre, gdy z trzaskiem otworzyły się drzwi prowadzące na lotnisko i wyjście zablokowało kilka osób z obsługi naziemnej. Przez ciała czekających przebiegł jakby lekki prąd, nagle się budzono, przerywano drzemkę, ludzkie bryły zaczęły się poruszać. Szybko zbierano się do podróży. Dziewczyna ze służby pomocniczej Luftwaffe (szędząc po wymowie, pochodziła z Nordlandu) wyczytywała z listy nazwiska, jej ślepa latarka oświetlała całą scenę. Wszyscy rzucili się do wyjścia, jugurtę i Siggę porwał także pręcy ślepo tłum. Powstał bezsensowny, niepotrzebny ścisk, narosłe od wielu dni nerwowe napięcie rozładowywało się w szturchańcach i przekleństwach. Głos dziewczyny utonął w hałasie.

Lecz w sali natychmiast pojawili się SS-mani z bronią laserową w ręku. Oddział wbijał się klinem w kierunku wyjścia, odpychając brutalnie czekających. W ciągu paru minut tumult się uciszył. Nastęła cisza, ludzie byli zaskoczeni i za-

wstydzeni. Próba charakteru. Elita narodu panów sromotnie zawiodła, ludzie popadli na powrót w dawne otępienie. Ktoś — czy nic było to „niemieckie włókno syntetyczne“? — zakrzeczał:

— Powinno się was wszystkich rozstrzelać!

Ale ten okrzyk oburzenia nic wywołał żadnego echa.

Widok broni laserowej podzielał jednak uspokajająco — wyloty luf przypominały urocze usteczka — można było kontynuować wyczytywanie nazwisk. Szło to powoli — okropnie się dłużyło. Wywoływani, taszcząc swe bagaże, przeciskali się z trudem do wyjścia. Potem kontrola dokumentów. Kiedy wreszcie padło: „Götz i Sigga von der Leyen“, pomieszczenie było już w połowie puste. Po raz drugi dzisiaj sprawdzono im dokumenty, tym razem dokładnie, po czym znaleźli się na dworze pośród zimowej nocy.

Prószył drobny śnieg. Na zaciemnionym lotnisku, rozjaśnionym jedynie pojedynczymi światłami sygnałowymi, którymi posługiwano się na pasie startowym, dostrzec można było kontury dwóch potężnych maszyn. Jedna wydawała się gotowa do startu, silniki huczały. Jugurtę i Siggę — splecionych znowu w mocnym uścisku — skierowano do drugiego samolotu, który majaczył w ciemności z nie włączonymi jeszcze silnikami. Ruszyli przez rozległy plac, ostry wiatr zacinał w twarze płatkami śniegu i ziarenkami lodu. Na pasie startowym, zbudowanym ze stalowych żeber z małymi otworkami, stał na potężnych kołach szary gigant. Na płatach nośnych i na ogonie widniały czerwone krzyże na białym tle. Schodki były spuszczone, w głębi otwartych włazów w matowym świetle pokładowym połyskiwały metalowe ściany.

Znów zarządzono zbiórkę, zgromadziła się już grupka pa-

sażerów. Lody nieufności zaczęły wreszcie pękać, z wahaniem lustrowano współtowarzyszy podróży, widać było po ludziach, że teraz chętnie by porozmawiali. Zamiast tego szczękano tylko zębami i przestępowano dla rozgrzewki z nogi na nogę. Nic dawać się! Personel naziemny w dalszym ciągu zagrażał wejście do samolotu.

Jakby na jakieś hasło, na drugim końcu lotniska zapłonęły światła pasa startowego tworząc długą, błyszczącą aleję. Wśród wycia silników pierwszy olbrzym obrócił się z gracją wokół własnej osi i zaczął toczyć lekko po pasie startowym w noc — lśniący matowym blaskiem drapieżny ptak. Słysząc było, jak zatrzymuje się i jakby zbiera siły. W tym momencie pozwolono im wchodzić, Jugurta i Sigga zaczęli się wspinać na swój statek powietrzny. W Jugurcie odezwała się teraz — co mu się często zdarzało — jego romantyczna natura: czuł się wikingiem, a Sigga była narzeczoną wikinga.

Statek wikingów okazał się jednak samolotem transportowym starszego typu. Wzdłuż obu ścian wewnętrznych kadłuba biegły wąskie, niewygodne siedzenia. Zawieszane na metalowych pasach, lekko się huśtały, siedziało się plecami do burty. Było diabelnie zimno, iluminatory błyszczały srebrzyście. Jugurta zauważył, że niektórzy z uchodźców wyciągnęli się wygodnie na podłodze pod siedzeniami, uczynił więc podobnie, Sigga poszła za jego przykładem. Znalazł gruby koc do przykrycia, kuferek Siggii i futrzane czapki posłużyły za podgłówek. Leżeli przytuleni do siebie tak ciasno, jak na to pozwalały watowane futra, i mimo paraliżującego zmęczenia uznali, że urządzili się nie najgorzej. Pośrodku musiało pozostać szerokie przejście.

Długa mroczna kiszka kabiny wypełniła się ludźmi, którzy

Brunatna rapsodia

biegali zaafelowani tam i z powrotem, rozdzielano kamizelki ratunkowe, wydawano również apteczki podróżne i witaminy w tabletkach, roznoszono gorącą kawę; radio pokładowe grało skoczne melodie. We wnętrzościach maszyny zaczęło huczeć. Obsługa naziemna raz jeszcze przeliczyła wszystkich i porównała dokumenty z listą pasażerów — przy tym omal nic doszło do wpadki.

Jugurta i Sigga mieli jako małżeństwo wspólny paszport, ale bez wpisu dokonanych szczepień. Mieszkańców obozu zaszczepiono przeciwko wszelkim możliwym chorobom, przeprowadzono również seryjne badania na szkorbut i inne awitaminozy. (Szczepień nic sposób było uniknąć, lecz ich one ominęły dzięki „skróconej procedurze” Knuda). W każdym razie brakowało poświadczenia. Minuty pełne obaw. Gdyby ich odesłano z powrotem i wyznaczono jakiś późniejszy termin lotu, prawdopodobnie wydałby się cały szwindel i — myśl dosyć przerażająca — wyszłaby także na jaw sprawa von Eycka.

Znowu mieli szczęście, uratował ich sygnał do startu. Kontrolujący papiery urzędnik polecił im tylko, żeby zgłosili się po dotarciu do miejsca przeznaczenia do opieki medycznej. (Zrobiliby to i bez tego zalecenia, z własnej inicjatywy, naturalnie z zachowaniem należytej ostrożności — kto wie, czy pewne zastrzyki nie usypiały, jeśli dawka napromieniowania była zbyt wysoka). A co się tyczy brakujących również wyników badań na szkorbut... Urzędnik wręczył im po dodatkowej porcji cukierków z witaminą C i życzył udanej podróży. Sympatyczny jegomość. Jugurta otarł pot z czoła.

Silniki odrzutowe śpiewały wysokim, przenikliwym głosem. Ogromny ptak zadrżał lekko i zaczął się toczyć przed siebie.

Przez zamarznięte okienka błyskały reflektory lotniska, ich promienie przelatowały szybko, coraz szybciej, po ciemnej ścianie kabiny. Większość pasażerów zignorowała rozkaz zapięcia pasów. Jugurta i Siggą przytulili się do siebie, ona ułożyła głowę na jego prawym ramieniu i pozwalała się pieścić. Unosząc głowę nadstawiała usta do pocałunków, nikt tego nic widział, a gdyby nawet widział, nic troszczyłby się o to. Kiedy przenikliwy monotony śpiew silników przeszedł w głębokie, nasycone buczenie, ich usta odnalazły się. Obydwoje łaknęli namiętych uścisków.

Samolot poderwał się niezauważalnie z pasa startowego, poczuli tylko, jak podłoga kabiny wywiera nacisk na ich ciała, maszyna szybkim stromym lotem wznosiła się do góry. Ciągłe wznoszenie się i opadanie odbierali jako dodatkową podniecie.

Jugurta miał przecucie, że wydarzy się coś cudownego, nic natychmiast, ale wkrótce. Skoro zdobył tę wspaniałą, pożądaną przez tylu kobietę, nie było rzeczy niemożliwych. Bliżość jej bujnego, podniecającego ciała — a może wrażenie że zbliża się coś niezwykłego — przejmowała go drżeniem, puls mu natychmiast podskoczył, gdy pod kocem rozchylił płaszcz Siggę i zaczął szukać jej skóry. Sama rozpięta bluzkę, także jej ręce stały się pożądlive. Co za rozkosz, przyprawiająca o zawrót głowy!

Przez jakiś czas bawił się myślą, czy jej nie upokorzyć, poniżyć, a potem ją odtrącić. Chciał osiąść Siggę w najnikczemniejszy sposób, żeby pokazać jej, iż uważa ją za dziwkę. Miał to być rewanż za szpicrutę. (Piętno hańby ciągle jeszcze było widoczne).

Ale nie miałyby to teraz sensu. Siggą nie pamiętała tamtej żalösnej, obrzydliwej sceny, nic domyślała się też, kim

jest ani kim był, czego wówczas chciał, i że dręczy go to wspomnienie. Niekiedy myślała o dzieciach — przypominało to zabawę w chowanego lub w berka, przemykanie fantomów — lecz nie odczuwając przy tym, nawet w najmniejszym stopniu, tęsknoty czy cierpienia. Manfred i Erda byli dla niej teraz obcymi istotami. (Przykładna matka, stawiana za wzór, istniała jedynie w wyobraźni redaktorów czasopism dla gospodyń domowych — Sigga była najwyżej niesamowitą kochanką, wycieńczającą towarzyszką łoża). Wszystko, co miało jakikolwiek związek z jej małżeństwem, przestało istnieć, jak się wydawało, wraz ze śmiercią Eycka.

Była, stała się innym człowiekiem, prawdopodobnie choroba czyniła postępy i zmieniała ją. I ta inna Ulla — och, jakże martwo brzmiało już jej dawne imię! — należała do niego duszą i ciałem, przede wszystkim swoim pięknym ciałem. (Właśnie przebierał delikatnie palcami w jej włosach łonowych). Kochał ją głęboko, kochał ją całą, kochał nawet jej wydzieliny.

Go tak związało ich ze sobą? — zapytywał sam siebie. Czy ów koszmarny marsz przez atomową pustynię, czy chemiczne zmiany, jakie od tamtej pory dokonywały się w żyłach ich obojga? Po raz pierwszy zaświtało mu w głowie, że „krew” nie jest hasłem partyjnym, nie jest w ogóle niczym symbolicznym — jest czymś niepodważalnie rzeczywistym, czymś, co decyduje o życiu i śmierci. Nawet jako pomocnik w lazaretach w Grecji i na Krecie, które często sprawiały wrażenie rzeźni, nie odczuwał tak mocno owej realności krwi. Krew, piękna, ciepła, krążąca krew — tak, to ona połączyła ze sobą życie jego i jej!

W przygaszonym niebieskim świetle kiszkowej kabiny pod różni o kredowobiałych, pożółkłych twarzach — twarzach jak

opłatki — przypominali zmarłych. Jedni zdawali się spać, inni, tępo patrząc przed siebie, ssali cukierki. Nikt nie wiedział, kiedy lot dobiegnie końca ani dokąd zmierza potężna maszyna. Silniki jęczały i huczały.

Jugurta i Sigga nie odzywali się do siebie, słowa zmąciłyby grę ich zmysłów. A ta gra była ciemnością, zapomnieniem, delirium. Świętością! Było tak ciemno, że nic mogli sobie patrzeć w oczy. Dotyk zastępował wzrok. Dla Jugurty świat przestał istnieć, nie myślał o tym, że on i Sigga są chorzy, o ich niepewnym losie, o niczym więcej. Był pijany radością ze swego pięknego łupu. Kiedy przypomniał sobie, jak rozczarowały go pierwsze razy z nią, że traktował ją najwyżej jak wychodek do zaspokajania potrzeb płciowych, ogarniał go głęboki wstyd — i obejmował ją namiętnie. Nic więcej z tego nie rozumiał, należało to po prostu naprawić. Posiadanie jej było rozkoszą równie rozkoszną jak to, co właśnie robiła rękoma.

Już nigdy się z nią nie rozstanie. (Nagle powiedział jej to na ucho: „Na dobre i na złe, Sigga!“) Gdziekolwiek los ich rzuci, zawsze będą mieszkać razem, byłby ostatnim niegodziwcem, gdyby nie chciał pracować na nią. Ale co to? Usłyszał stłumiony jęk i poczuł gwałtowne drżenie jej ciała, ciągle jeszcze nie miała dosyć, sama wynajdywała wciąż nowe zaskakujące pieszczoty. Jakie by to było piękne, gdyby mieli dziecko — dziecko! Wspólny dom, choćby pośród lodowej pustyni gdzieś na krańcu świata. Wszystko bez sensu! Sigga była za stara — dobrze po czterdziestce, może pod pięćdziesiątkę — wielokrotnie roniła, była także obciążona dziedzicznie chorobą nerwową. A wreszcie skażenie promieniotwórcze! Skażenie promieniotwórcze było początkiem i końcem. Muszą wyzdrowieć, za wszelką cenę! Cała reszta jakoś się ułoży.

Wkrótce ich energia osłabła. Gdy nasycili już zmysły, powróciło bolesne zmęczenie, narastające w obojgu od wielu dni. Uczucie wewnętrznego rozbicia, jakie poprzedza wybuch ciężkiej grypy. Sigga odwróciła się od niego, twarz Jugurty utonęła w grzywie jej włosów. Ciało przy ciele, zasnęli.

Jak długo tak leżeli — w beczcasowości, która pochłaniała tutaj wszystko, nie miało to znaczenia. Obudzili się prawie jednocześnie, w kabinie panował półmrok. Podniósłszy się raptownie, usiedli i spojrzeli dookoła rozespianym wzrokiem. Słońce! Był dzień! Odrzucili koc i przycisnęli twarze do okienek. Otaczała ich wodnista, równomiernie mleczna jasność, żadnych szczegółów nic dało się rozpoznać. Uradowany pocałował ją w oba policzki. Maszyna leciała bez wątpienia po kursie południowym, noc polarna pozostała za nimi.

Nic był to jednak wcale powód do radości, o czym mieli się niebawem przekonać. Nad morzem samolot został zlokalizowany, przez jakiś czas towarzyszyły mu myśliwce bez znaków rozpoznawczych. Kapitan zażądał eskorty, a nic otrzymawszy jej zmuszony był zejść bardzo nisko, i mniej więcej od godziny lecieli ze zmniejszoną prędkością pod osłoną nie kończącej się powłoki chmur. Lot na ślepo. Samoloty rozpoznawcze wciąż próbowały namierzyć transportowiec i zbliżyć się do niego.

Człowiek, który opowiadał im o tym wszystkim, uderzająco przystojny mężczyzna w wieku najwyżej trzydziestu pięciu lat (Hóllriegl wietrzył w nim ewentualnego rywala), wiedział dużo więcej. Jego szczerość była zadziwiająca i niemal podejrzana. Być może, poczynając od pewnego punktu, władza partii słabła albo się kończyła i wówczas nie trzeba już było obawiać się jej uszu. Poza tym mężczyzna, jak się okazało, zajmował

bardzo eksponowane stanowisko, mógł zatem pozwolić sobie na większą śmiałość. Kiedy wdali się w bliższą rozmowę — pożerał przy tym Siggę swymi płonącymi wilczymi ślepiami (oczami werwofa!), a jej spojrzenie zawisło również w najbardziej niestosowny sposób na jego wargach — dowiedzieli się między innymi, że w jego wypadku nie jest to właściwie ucieczka, lecz podróż służbowa na Daleką Północ. Nosił tytuł starszego radcy rządowego do spraw budownictwa, był inżynierem (lub inżem, jak brzmiał utarty skrót w oficjalnym języku urzędowym), specjalistą od ogrzewania; w tym właśnie charakterze przeprowadzał obecnie inspekcję ciepłowni na terenach podbiegunowych. Na razie przez jakiś czas — wzruszył ramionami z ubolewaniem — będzie musiał omijać Europę. Takemu łatwo było mówić otwarcie. Chcąc, jak podejrzewał Jugurta, wywrzeć większe wrażenie na swej rozmówczyni, używał wyjątkowo mocnych, męskich wyrażań. Sigga jednak wyglądała naprawdę jak zakazany owoc, piętno upadku miała wręcz wypisane na twarzy.

Rzesza była okrążona ze wszystkich stron lub, mówiąc inaczej, ścieśniona w obrębie stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Atomowe uderzenia niszczące, kierowane na gęsto zaludnione obszary Rzeszy, o ile mu wiadomo, ustały, z łatwo zrozumiałych powodów. Japsy stosowały bowiem doprowadzoną do najwyższej perfekcji taktykę i technikę rozmiękczenia i podkopywania, tak iż nie było żadnych stałych ani ruchomych frontów, tylko, można by rzec, brejowate, błotniste pobojuwisko; mówiąc z pewną przesadą, frontem był każdy metr kwadratowy niemieckiej ziemi. W obliczu tej rozpaczliwej sytuacji Rzeszy wewnętrzny spór zdawał się słabnąć, wszyscy szykowali się do ostatecznej walki z wdzierającymi się ze wszystkich stron, mocno naciskającymi siłami wroga, który wprowadził do boju

elitę swoich najbrutalniejszych rzeźników — spadochroniarzy kamikadze i geryłasów. Rzesza przypominała obecnie szczelnie otoczony, szturmowany ze wszystkich stron średniowieczny tabbor, wewnątrz którego również toczyły się ciężkie boje. Także co się tyczy uzbrojenia, wrócono do średniowiecza, walczone — przeważnie nocą — głównie na kije z ołowianą kulą i naskładane noże, coraz szerzej stosowano również starą sprawdzoną metodę: przegryzanie gardeł. Kto może, ratuje się uciekając którymś z nie zniszczonych jeszcze mostów powietrznych albo schodzi do podziemia i zaczyna wieść szczurzą egzystencję. (Jugurta pomyślał o Gundlfingerze i „podziemnych”, a także o Axelu). Planowa obrona w prawdziwym sensie tego słowa przestała istnieć. W Stuttgarcie, jak słyszał pan radca budowlany tuż przed swoim odjazdem, rezyduje już japoński gubernator wojskowy — choć jest to, być może, tylko bzdurna plotka, którą zrodził strach. Najbardziej przerażający był jednak fakt, że Żółtki wszędzie na tereny ewakuowanych niemieckich protektoratów, zwłaszcza na Wschodzie, zrzucaли masowo z powietrza osadników narodowości środkowoazjatyckich, które wydawały się znacznie odporniejsze na skutki opadu radioaktywnego niż rasa biała. A przy tym, co dziwne, Rzesza nadal była w natarciu; jak gdyby nigdy nic wystrzeliwała jedną po drugiej superinterkontynentalne rakiety w kierunku Dalekiego Wschodu, gdzie istotnie większość cywilizowanych terytoriów zamieniła się w pustynię. Stąd też zarysowuje się zjawisko przypominające współczesną wędrówkę ludów, ci, którzy przeżyli, przemieszczają się masowo na Zachód. Za cud należało uznać fakt, że mimo wszystko na terenie Rzeszy (lub gdzieś w Europie) istniały jeszcze podziemne albo ruchome wyrzutnie rakiet i wyposażone w broń atomową okręty pod-

wodne. Ducha bojowego rasy panów nic można było złamać, i fakt ten dodatkowo zagrzewał obrońców do walki. Panowała niezłomna wola rozpętania Ragnaroku, jakiego świat jeszcze nie widział. Zamierzano bić się do ostatniego tchu, także kobiety i dzieci nie mogły wpaść w ręce azjatyckich bestii.

Oczy opowiadającego błyszcząły fanatycznie, nie ulegało wątpliwości: to był kuty na cztery łapy werwolf, Jugurta widywał już takie oczy, werwoly będą także — z bezpiecznej odległości — walczyć zaciekle do samego końca... słowami. Doprawdy, przystojny mężczyzna, jedynie poobgryzane paznokcie, na które Jugurta chętnie zwróciłby uwagę pani von der Leyen, psuły ogólne wrażenie.

Do rozmowy włączyli się inni pasażerowie, Sigga była magnesem, padały pytania i odpowiedzi, każdy chciał się czegoś dowiedzieć o tym lub owym albo twierdził, że o czymś ważnym słyszał. Lody pękły, ludzie stali się rozmowni.

Narodowi niemieckiemu groził wyraźnie powrót do wiary w najciemniejsze zabobony z dawnych czasów. Krążyły najbardziej niedorzeczne pogłoski i ludzie w nie wierzyli, jak choćby w to, że zwłoki dalajlamy, które w nie wyjaśniony sposób zniknęły z kolońskiej kliniki, leżą teraz w grobowcu w Kyffhauser, a ściślej: że w trumnie bez wątpienia leży wprawdzie Fuhrer, lecz jego twarz równie niewątpliwie przybrała rysy dalajlamy — i temu podobne brednie. Inny przykład: podobno Kopller ukazał się wielu towarzyszom narodowym jednocześnie w zupełnie różnych miejscach, i to w biały dzień, a zjawa trzymała pod pachą własną głowę. Tego rodzaju bajki opowiadali z całą powagą dorośli ludzie, aż w końcu radca budowlany, który przysłuchiwał się im z ironicznym uśmiechem, przerwał tę gadaninę i zaskoczył wszystkich py-

taniem:

— A gdzie, zdaniem panów, znajduje się obecnie Kopfler?

Nikt nie miał pojęcia, zmieszane, zakłamanie spojrzenia.

W końcu jakiś sympatyczny i całkiem jeszcze do rzeczy, tysi komiwojażer — „Pozwolą państwo, że się przedstawię: wi-gru Kamienie i Minerale, fachgruppe Hydroksydy, fachuntergruppe Duraluminium” — zdobył się na odwagę i, tocząc po zebranych jasnym, odpowiadającym wymogom normy obowiązującej w całej Rzeszy, stalowym spojrzeniem, powiedział:

— Oczywiście przy swoich ludziach.

Na co fachowiec od ciepłownictwa wyszczerzył zęby i odparł:

— Owszem, ale przy swoich ludziach nad Rio das Mortes.

— Przepraszam, gdzie?

— Nad Rzeką Zmarłych w Matto Grosso.

— Och!

Pełne zrozumienia, a zarazem rozgorczone uśmieški ze wszystkich stron.

Sądząc po tym, co się widziało i słyszało, transport składał się wyłącznie z fachowców od spraw gospodarczych (do tego parę sekretarek, pięć podrasowanych na typ nordycki, aroganckich kociaków). Najwyraźniej sami kawalerowie i słomiani wdowcy — małżonki pewnie już od dawna były bezpiecznie ulokowane na arktycznej Riwierze. W ogóle obóz zbiorczy Ju 33 wydawał się odskocznią do drugiego życia dla asów gospodarki Rzeszy; dlatego właśnie inspektor do spraw gospodarczych von Eyck postarał się tam trafić. (Ciekawe, co się stało z jego samolotem sportowym).

Wszyscy byli tutaj reprezentowani: huty Thyssena, Reichsbank, Zrzeszenie Benzenu, Opel, Hoesch, Planowanie Kosmiczne, Telefunken, Volkswagen, Węgiel Ruhry, IG-Farben, Degussa,

Taunus, Henkell, Bruninghaus, NMM (Niemieckie Maszyny Myślące), i tak dalej. Teraz, kiedy wreszcie przerwane zostało wielkie milczenie, szybko zawierano znajomości. Panowie tryskali humorem, sypali żartami jak z rękawa, panie chichotały z obowiązku, częstowano się wzajemnie koniakiem, prawie każdy z panów wyciągnął swoją manierkę. Sigga, jak zawsze, miała ogromne powodzenie. Jugurta (który sam czuł się nędznie) zauważył z niepokojem, że z wolna blednie coraz bardziej, jej twarz przybrała ziemistą barwę; uwydatniły się ciemnoholetowe kręgi pod oczami, skóra poniżej kości jarzmowych zapadła się w głąb. Widział, że z trudem trzyma się prosto, więc nie odstępował jej na krok. Było to wręcz konieczne już choćby z tego powodu, że niektórzy panowie, w miarę jak nastrój się ożywił, stawali się coraz bardziej zuchwali, i że Sigga, jak na jego gust, także pozwalała im na zbyt wiele. Ciężko chora, wyglądała jak cień, rzucało się to w oczy, jej osłabiony organizm był bliski kapitulacji. A ponieważ tak właśnie wyglądała, nikt nie rozpoznawał w niej dawnego idola telewizyjnego podziwianego przez każdą niemiecką rodzinę.

Po początkowych oporach towarzyszkii Siggii przyjęły ją do swego grona. Bez żadnych zastrzeżeń. Wymieniano szeptem uwagi, poufale gesty, chodzono parami do toalety, a kiedy jeden z pilotów — byli to promienni chłopcy, Islandczycy, pracownicy Loftleidir — wyszedł z wieżyczki, przystąpiono za ogólną aprobatą do powszechnej prezentacji. Wszyscy byli zgodni co do tego, że Sigga jest nic koronowaną królową tego lotu, a najsympatyczniejsza spośród sekretarek — nazywała się Doris, Doris Vollenkle („To moje prawdziwe nazwisko, poza tym mam na imię Heidrun i jestem z Deutsche Wurlitzer”) — z własnej inicjatywy podjęła się sprawowania funkcji pokojówki. To właś-

nie Doris wzięła pana von der Leyena na stronę i szepnęła mu, że nie chce wywoływać sensacji, ale jego małżonka przed chwilą zemdląta w toalecie.

Kiedy Jugurta biegł przez kiszkowatą kabinę ku przodowi kadłuba, włączono akurat radio pokładowe i puszczone muzykę marszową. Natychmiast umilkły rozmowy, Jugurta zdążył jeszcze zauważyć zdziwione miny niektórych panów, po czym znalazł się wreszcie w przegrzanym ustępie, gdzie czuć było zapach środków dezynfekcyjnych i plwocin. Niskie pomieszczenie wibrowało od huku silników. Sigga, woskowożółta na twarzy, spoczywała w pozycji półleżącej na podłodze z głową opartą o muszlę klozetową. Najwidoczniej zwymiotowała, i to żółcią. Jugurta poklepał ją mocno po policzkach i umył jej twarz, po czym ją szukać w apteczce pierwszej pomocy jakichś soli trzeźwiących, znalazł amoniak i podsunął jej pod nos. Po chwili zaczęła się ruszać, jak we śnie. Rozległo się pukanie do drzwi.

— To ja, Doris. Jak się czuje pańska żona?

— Już lepiej.

— Schodzimy do przymusowego lądowania.

Sigga otworzyła oczy, rozglądnęła się dokoła, spojrzała na niego.

— Czarny Jugurta — wymamrotała. Potem przetknęła kurczowo i zwymiotowała; podtrzymał jej głowę. Jej twarz miała bojaźliwy, osowiały wyraz, a zarazem malowało się na niej osobliwe zaciekawienie, jakby Sigga usilnie nad czymś rozmyślała. — Co się dzieje, gdzie jestem? — zapytała. — Gdzie Manfred? — Wszystko się jej mieszało. — Ach tak, Manfreda nic ma — dodała i znów zwymiotowała. Próbowała się podnieść, ale zaraz osunęła się bezwładnie na podłogę. Wyjaśnił jej

sytuację, lecz nic zdradzała szczególnego zainteresowania tym, co mówił. Doris zapukała, weszła do środka i wspólnie przenieśli Siggę na dawne miejsce. Ułożył ją ostrożnie, umieścił jej głowę wysoko i otulił ją kocem. Kiedy badał jej puls, poczuł, że Sigga drży na całym ciele. Dreszcze. Kryzys nerwowy?

Drobny incydent nie zwrócił prawie niczyjej uwagi, ludzie zbyt byli zajęci sobą. Tylko radca budowlany pochylił się ku niemu i zapytał uprzejmie:

— Małżonka źle się czuje? Choroba morska?

Jugurta odpowiedział pytaniem, co się właściwie dzieje, i otrzymał alarmującą informację. Kapitan podał komunikat, że z powodu niezwykle gęstej, nawet jak na tę porę roku, mgły nic można wylądować w miejscu przeznaczenia i szuka jakiegoś wyjścia. Radca dołączył do tego własny komentarz:

— Kontakt radiowego z ziemią z uwagi na bliskość wroga, niestety, nie można nawiązać. Dlatego też niemożliwe jest lądowanie według przyrządów.

Co miała tutaj oznaczać bliskość wroga? No cóż, lokalna przestrzeń powietrzna jest ostatnio uważnie strzeżona, wróg — bez względu na to, kto nim jest — stara się wykrywać i niszczyć transporty. Kilka samolotów, jak udało się dowiedzieć od kuchni, zostało już zlokalizowanych przez wroga; przebiły się z wielkim trudem. Tym razem wszystko utrudnia jeszcze ta idiotyczna mgła.

— Przed chwilą naszą maszynę zaatakował i ostrzelał jakiś myśliwiec bez znaków rozpoznawczych — pomimo czerwonego krzyża. Nikt nic nie zauważył, myśliwiec nagle zmienił kurs i zniknął we mgle.

Od kogo o tym wie?

Brunatna rapsodia

Wymijająca odpowiedź:

— Mówiono mi.

W każdym razie kapitan nie odważył się nawiązać kontaktu z ziemią.

— Dlaczego puszcza się transporty bez osłony?

Ironiczny uśmiech.

— Rzesza potrzebuje teraz samolotów bojowych gdzie indziej. — (Jugurta przypomniał sobie o buncie Luftwaffe).

— Gdzie będziemy lądować?

— Bóg raczy wiedzieć. Trochę dalej na południe mgła jest podobno mniejsza.

Muzyka marszowa urwała się w połowie taktu i z głośników rozległ się gardłowy głos:

— Za kilka minut spróbujemy wylądować. Proszę przestrzegać przepisów o lądowaniu awaryjnym. Koniec komunikatu.

Tych kilka minut koszmarnie się dłużyło. Jugurta usunął ze swojej odzieży wszystkie ostre przedmioty i przeszukał ubranie Siggii. W jej płaszczu znalazł laser typu Medusa, dołożył filigranowe cacko do tamtych rzeczy. Następnie zajął miejsce w zawieszonym nad podłogą krześle i zapiął pasy. Siggia leżała u jego stóp, oczy miała zamknięte, lecz oddychała miarowo, nie była też już taka blada na twarzy.

Przez iluminator zdołał dostrzec nisko na horyzoncie jasną plamę — słońce. Mgła przeredziła się, rozprasała się stopniowo w strzępiaste kłęby. Samolot zataczał duże koła, zyskując przy tym na wysokości, pozycja słońca ciągle się zmieniała, płaty nośne unosiły się i opadały. Teraz morze mgły było daleko w dole, miało zwodniczą gęstość falującej białej równiny, po której przemykał cień ogromnego ptaka. Z ciemnego

nieba padały ukośnie promienie słońca.

Nagle hałas dobiegający z dysz zmienił barwę. Schodzili szybko w dół, morze mgły dosłownie rzuciło się im na spotkanie. W kabinie znów zapanował szary półmrok, maszyna leciała szarpiąc się i hałasując, jakby podskakiwała na nierównej szosie popękanej od mrozu. Ale nie, unosili się jeszcze wysoko w powietrzu, przebili pokrywę chmur i zbliżali się bardzo szybko do jakiegoś punktu, odległej czarnej główki od szpilki pośród lodowo-śnieżnego, pozbawionego słońca kontynentu, który rozciągał się monotennie i bezkreśnie we wszystkie strony. Jediną plamą koloru, drobnym okrzykiem radości w tej białej pustyni, był czerwony krzyż na maszcie flagowym, wokół którego stało parę rozproszonych baraków. Pasa do lądowania nic sposób było wypatrzeć (czy w ogóle był tu taki?), mimo to samolot usiadł lekko, łagodnie i pewnie. Kiedy maszyna przestała się toczyć, ktoś zawołał:

— Wiwat nasza załoga!

Wybuchły okrzyki radości. Wszyscy odpinali pasy, ściskali sobie nawzajem dłonie, obejmowano i obcałowywano pilotów. W ogólnym zamieszaniu jakiś sznaps baryton próbował zaintonować „Horst-Wessel-Lied“, ale nikt nie zawtórował. Sigga leżała na podłodze bezgłośnie poruszając wargami.

*Na łąkach
asfodelowych*

*nu sehet, wie unser
lachen mit weinen erlischet.*

*Patrzcie teraz,
jak śmiech nasz ganie
stłumion łzami.*

Hartmann von Aue

Wszystko okazało się jedną wielką katastrofą. Znajdowali się w odległości około czterdziestu mil niemieckich (300 kilometrów) na południowy wschód od miejscowości, w której mieli wylądować. Ta miejscowość również nie była ostatecznym celem ich podróży, znajdował się w niej tylko kolejny obóz zbiorczy — w pewnym sensie tutejszy odpowiednik Ju 33. (Most powietrzny Bifrost spoczywał na wielu takich filarach). Z owego obozu do podziemnych schronów i baz zbudowanych już za kołem podbiegunowym, gdzieś w górach na granicy Alaski, mieli jeszcze spory kawałek drogą powietrzną. Ale w każdym regularnym obozie znajdowały się przyzwoite pomieszczenia mieszkalne, byli lekarze i służba sanitarna, dysponowano saniami motorowymi, helikopterami, a przede wszystkim solidną obroną; szeroki łańcuch ufortyfikowanych obozów zbiorczych tworzył przedpole właściwej twierdzy arktycznej. Tu natomiast, na tej placówce pośród pustkowia, nie było nic.

Skończono z otaczaniem wszystkiego atmosferą tajemniczości, spadły także inne maski. Obóz paliwowy o znaku wywoławczym Y 771 położony był na bogatym w wodę obszarze tundry północno-zachodnich kanadyjskich Barren Grounds, na 64. stopniu 23 minuty szerokości północnej oraz 96. stopniu 25 minut długości zachodniej. Wokół drewnianego budynku stacji, w którym mieściły się także urządzenia radiowe, i od dawna zamkniętego domu modlitwy Society of Friends stało parę baraków z blachy falistej oraz igloo. Za obozem biegi w głąb pustkowia pas startowy.

Na maszcie radiowym powiewała maskująca flaga Czerwo-

nego Krzyża. Radiotelegrafu nie używano już od wielu dni, aby nie zwabić nieprzyjacielskich oddziałów zwiadowczych. W stacji mieszkały trzy osoby: niemieckie małżeństwo i Duńczyk, mężczyźni byli geologami, Niemiec, który podczas wojny służył w kompanii łączności jako radiotelegrafista, zajmował się także służbą meteorologiczną. W igloo mieszkali Eskimosi.

Piloci czekali niecierpliwie, aż gęsta mgła wreszcie się podniesie. Tymczasem zaczął padać śnieg i geologowie orzekli, że dopiero za kilka tygodni pierwsze zimowe burze mogą przynieść zmianę pogody. A więc ugrzęźli na dobre. Załoga samolotu otrzymała wyraźny rozkaz, aby bezzwłocznie odprzewadzić maszynę z powrotem, termin przekroczony został już o jeden dzień. O dalszym locie nie było co myśleć, mgła pokrywała cały kraj, postanowiono więc wystartować rankiem trzeciego dnia i ściągnąć skądś pomoc. Choć dzięki ochronnej warstwie mgły temperatura nie spadła zbyt nisko, Islandczycy odstąpili z wiezionych zapasów stosowną ilość podgrzewanych kombinezonów polarnych. Połowa pasażerów odleciała z powrotem.

O tym, kto poleci, rozstrzygnęło losowanie. Państwo von der Leyen znaleźli się w grupie tych, którym los nakazał czekać w stacji, aż nadejdzie pomoc. Sigga była najwyraźniej chora, po ostatnim ataku nie mogła dojść do siebie, a i pan von der Leyen cierpiał na wszystko, co tylko mogło mu dokuczać, toteż dwaj młodszy wiekiem mężczyźni zaofiarowali się, że zostaną zamiast nich. Na to jednak Sigga nie chciała się absolutnie zgodzić, także Jugurtę ogarniało przerażenie na samą myśl, że miałby wrócić w polarną noc Ju 33. Tutaj przynajmniej w pewnym stopniu dzień różnił się od nocy, poza tym byli bliżej ostatecznego celu. Nie, nie wracać! Siggę umiesz-

czono w najładniejszym i najcieplejszym pokoju dawnego domu modlitwy, dzieliła go jedynie z Doris i jeszcze jedną sekretarką; Doris została dobrowolnie, wierna dusza. Wszyscy pozostali pasażerowie musieli się pomieścić w ciasnych barakach oraz igloo, tylko pan starszy radca budowlany, którego nazwiska nikt nie znał, zajął kwaterę, jakby to było zrozumiałe samo przez się, w budynku stacji.

Geologowie wysunęli propozycję, żeby nie czekać na pomoc, tylko wcześniej opuścić Y 771 i przebić się czym prędzej do najbliższego obozu zbiorczego, właśnie do owego AL Ju 12, w saniach ciągniętych przez psy i na nartach. W ten sposób może najskuteczniej udałoby się zmylić wroga, gdyby operował gdzieś w tutejszym dystrykcie. Obozu paliwowego na dłuższą metę nie można było utrzymać, zwiad przeciwnika węszył wokół coraz natrętniej, należało pod osłoną mgły wysadzić stację w powietrze, zniszczyć pas startowy, a następnie uciec. W pobliżu istniał przez wiele lat „Apemen Camp“ (AMC), który opróżniono po przerwaniu budowy lotnisk, baz policyjnych i strategicznych połączeń drogowych w tej części Terytorium Północno-Zachodniego. Teraz żyły tam rodziny indiańskie i eskimoskie ze swymi reniferami, psami i totemami, dom przy domu, w zgodnej, jak się wydawało, wspólności. W nocy dobiegało stamtąd czasami wycie psów pociągowych. Z tego byłego obozu dla podludzi geologowie zamierzali wziąć sanie, wyposażenie i obsługę.

Jugurta dowiedział się w stacji, że między Eskimosami i Indianami istniał zadawniony krwawy spór, który ciągnął się do przelomu stuleci, potem ostygł w mniejszym lub większym stopniu, a teraz w zakamuflowanej formie może rozgorzeć na nowo. Przyczyna była osobliwa. Wszędzie, gdzie na

tym kontynencie rządili Niemcy, przede wszystkim w protektoratach Rzeszy, rasa indiańska była jawnie faworyzowana w porównaniu z innymi pierwotnymi mieszkańcami. Naturalnie nie stawiano jej na równi z białą rasą, a tym bardziej z heliogermańskim narodem panów, jednakże traktowano ją zgodnie z tak zwanym statutem (regulaminem) hiwi. Podobno istniał nawet poświęcony tej kwestii tajny dekret Adolfa Hitlera, który jako wielbiciel Karola Maya i Winnetou uważał czerwonoskórych za ludzi bohaterskich i godnych szacunku. Gdzieś na południu Kanady utworzono specjalny Główny Urząd Rasowo-Osadniczy dla indiańskich hiwi z tutejszych protektoratów. Przywileje te, obejmujące zarówno kwestie prawne, jak i poziom życia oraz uzbrojenie, narobiły dużej złej krwi, zwłaszcza wśród plemion eskimoskich. Eskimosi uchodzili bowiem za potomków napływowych ludów mongolskich i zajmowali w hierarchii miejsce zwyczajnych kolorowych.

I czegoś jeszcze dowiedział się Jugurta, tyle że nie od niemieckiego geologa ze stacji, lecz od jednego z towarzyszy podróży, siwowłosego pana o wojskowej postawie, udekorowanego Złotą Odznaką Honorową NSDAP. Człowiek ten, pochodzący z Neckarsulm, swego czasu studiował w Grazu i w Loeben montanistykę, był inżynierem górnictwa, metalurgiem i dyrektorem technicznym w styryjskich zakładach im. Hermanna Goringa, a oprócz tego entuzjastą Marchii Wschodniej.

Od pierwszego wejrzenia poczuli do siebie wzajemną sympatię. Kiedy rozmawiali o słynnym Lodowym Sfinksie SS, owej twierdzy warownej i zamku Graala w Arktyce, i Jugurta zwrócił uwagę na elektrociepłownię i inne wielkie osiągnięcia techniczne, wspominając przy tym mimochodem o radcy budowlanym, który w gromadzie rozbitków zaczynał odgrywać

rolę swego rodzaju przywódcy, dyrektor nagle nabrał wody w usta. Jugurta przygadał mu trochę, po czym zapytał swego rozmówcę prosto z mostu, co ma przeciwko tamtemu człowiekowi. Och, nic, odparł dyrektor, jeśli on pozwala sobie grać rolę przywódcy, to wszystko jest w najlepszym porządku (ku ubolewaniu Jugurty Sigga była tego samego zdania), ale radca budowlany trochę ich buja, gdyż wcale nie jest tym, za kogo się podaje. A więc w takim razie kim? Po chwili wahania dyrektor wreszcie wydusił z siebie: pan starszy radca rządowy do spraw budowlanych — także teraz nie wymienił jego nazwiska — nie jest bynajmniej fachowcem od technik cieplnych czy jakimś inspektorem, tylko fizykiem jądrowym, i to, pomimo młodego wieku, jednym z najzdolniejszych. Należał do zespołu specjalistów, którzy pierwsi podjęli prace nad stworzeniem tajnej wunderwaffe Kopflera, bomby antycząsteczkowej, i wniósł znaczący wkład w dzieło budowy tej broni, a teraz, w ramach tak zwanego programu „Frauja“, wraz z międzynarodową grupą badaczy antimaterii, ma za zadanie kontynuować prace nad tą superbombą gdzieś pośród lodów na samotnej wyspie, na której Werwolf i SS zbudowały ogromne warsztaty. Twierdzono, że jej siły wybuchu nie będzie się już mierzyć w dotychczasowej skali mega, jak w wypadku broni atomowej, lecz wyłącznie w skali giga (10^9). Krążyły słuchy, że ów zespół fizyków ma rozkaz odpalenia superbomby nawet wówczas, gdyby na jej celowe strategiczne użycie było już za późno — wunderwaffe bowiem wcale nie jest jeszcze gotowa.

— Jak może pan tak otwarcie mówić o tak wielkiej tajemnicy państwowej z kimś nieznanym? — przeraził się Jugurta.

— Rzeczywiście, to sprawa ściśle poufna, ma pan rację,

lecz zarazem i publiczna tajemnica. Wie o tym wielu towarzyszy, nawiasem mówiąc, również z naszej grupy. Kopfler i jego ludzie postąpili bardzo zręcznie, pozwalając, jakby nieumyślnie, rozpowszechnić publicznie tę supertajemnicę przynajmniej wśród elit, nie odbierając jej jednak uroku misterium. Podobno był to pomysł nowego szefa propagandy Hassenteufla. Nadzieja na tę ostatnią strzałę w kołczanie rzeczywiście podtrzymuje na duchu wielu ludzi, którzy, pozbawieni jej, dawno by wystąpili z partii lub odebrali sobie życie.

Jugurta zdziwił się słysząc imię Frauja. Frauja to był przecież znenawidzony zbawiciel chrześcijan! Cóż on mógł mieć wspólnego z superbombą?

Rzeczywiście, imię to wybrano zupełnie świadomie, chodziło o prowokację. Na zasadzie paradoksu. Jezus chciał zbawić świat, ale w zdecydowanie perfidny sposób, to jest za pomocą ustnej propagandy, a stał się tylko sprawcą milionów nieszczęść. Tymczasem bomba „Frauja“ będzie prawdziwym aktem zbawczym, dziełem zniszczenia, a więc zbawieniem, które zawiera się w śmierci, w niebycie, w nicości. Odpalenie bomby antycząsteczkowej oznaczać będzie zapewne koniec wszelkiego życia — człowiek, zwierzę, roślina ulegną wówczas ostatecznej zagładzie, pozostanie tylko martwa planeta. Opowiadano, że wyspa, której położenia nikt nie zna, nazywa się Suicide Island, lub przynajmniej poprzednio tak się nazywała (osobliwy przypadek!), i istnieją powody, aby przypuszczać, że leży ona wcale nie w Arktyce, lecz w pobliżu kontynentu otaczającego biegun południowy, gdzieś pomiędzy Wyspami Kerguelena a lądem stałym, poza strefą pływających gór lodowych. Podróż radcy budowlanego na północ może mieć równie dobrze zupełnie inny cel.

— Możliwe — powiedział dyrektor ścisząc głos do szeptu — że na obszarze kanadyjskim przeprowadzane są pierwsze próby z antymaterią. Zapewne wiadomo panu, że kierownictwo Rzeszy zamierza utrzymać za wszelką cenę północno-zachodnią Kanadę i Alaskę. Przyjrzałem się temu na mapie. Linia Uranium City-Yellowknife-Port Radium-Aklavik ma być broniona do upadłego, dystrykt Mackenzie, można by rzec, jest dla Rzeszy święty. Ale szeroki pierścień umocnień atomowych, który osłania te ważne dla zbrojeń punkty i terytoria, może się okazać za słaby, tak jak zbyt słaby okazał się Wał Uralski. Moim zdaniem, należałoby w ogóle zrezygnować z obrony pozycyjnej na rzecz obrony agresywnej, elastycznej, ruchomej. Właśnie praktycznie bezkresne pustynie lodowe Kanady północnej wydają się idealnym poligonem doświadczalnym dla silnych i supersilnych broni.

— A my? — wtrącił Jugurta, który czuł w karku i potylicy tak mocny ucisk, że z najwyższym trudem nadążał za wywodem dyrektora.

— My, przyjacielu, znajdujemy się w zupełnie nieciekawej ze strategicznego punktu widzenia strefie, którą w dodatku, jak słyszałem, zalewają gerylasi. Jestem pewien, że cały ten obszar aż po Ocean Lodowaty Północny zostanie wkrótce opróżniony, i to bez walki. Również za obóz zbiorczy, do którego się wybieramy, nie dałbym feniga. Musimy się szybko stąd wycofać, bo inaczej nie zdążymy na przeprawę. Pora roku i mgła nam sprzyjają. Trzeba zatrzeć wszelkie ślady, niczego po sobie nie zostawiać. Już jutro powinniśmy ruszyć w drogę!

A więc tak wygląda sytuacja. Jugurta spostrzegł krepę na odznace partyjnej starszego pana. Na jego pytające spojrzenie dyrektor odpowiedział spokojnie:

— To na cześć naszego Fuhrera.

Nie ulegało wątpliwości: ten człowiek, będąc uciekinierem, musiał wprawdzie wyć z werwolfami, ale miał zdrowy kręgosłup i jawnie nosił żalobę po Adolfie Hitlerze. Żaloba państwowa nie została jeszcze odwołana, w każdym razie nie oficjalnie. W praktyce jednak wyglądało to tak, że „krepę na cześć Fuhrera“ oceniano jako opowiedzenie się po stronie przeszłości, a nawet jako polityczne wyzwanie. A może już nie? Jugurta miał jeszcze w uszach lekceważące słowa, jakimi radca budowlany skwitował rzekomą ucieczkę Kopflera. Także w pomieszczeniu radiowym stacji geologicznej nadal — może zresztą znowu — wisiał na ścianie portret Fuhrera.

Gzy Rzesza naprawdę była pozbawiona Fuhrera? Po tym wszystkim, co słyszał, pytanie to nasuwało się automatycznie. Jugurta zrobił kolejną rundkę wokół małej stacji zagubionej pośród bezkresnych, pokrytych śniegiem przestrzeni. Musiał być w ciągłym ruchu, trawił go wciąż niepokój, także w drażniące jego nerwy jasne noce krążył czasem dookoła budynków, brodząc w śniegu, psy na niego warczały, wartownicy krzyczeli — po prostu nie mógł wytrzymać chrapania bonzów gospodarczych. (Każda grupa gospodarcza chrapała inaczej — inne było natężenie i inna wysokość dźwięku). Eskimosi wydawali się pracowitymi ludźmi, śnieg wokół igloo był zawsze odgarnięty, również czyściutko odmieciony pas do lądowania świadczył o ich pilności. Jugurta lubił na nich patrzeć i gdziekolwiek pojawiały się ich okolone futrem płaskie, śniade twarze, błyszczące jak wilgotna miedź, ukradkiem pozdrowiał ich oczami. A czarne skośne oczy rozbłyskiwały przyjaźnie w odpowiedzi. Tylko zapach tranu działał nań jak środek wymiotny, jego nerwy żołądkowe buntowały się od niedawna „z byle po-

wodu“.

Czy Rzesza nie miała Fuhrera? Twórca imperium nie żył, jego morderca i następca zniknął bez śladu. Kto rozkazywał? Ktoś musiał rozkazywać, choćby i morderca. Nic nie działo się bez rozkazu. Pomimo zagmatwanej sytuacji w Niemczech uformowały się wyraźne fronty. Przyszłość wypowiedziała wojnę przeszłości, przyszłość, jaka ośmieliła się już wszędzie zaznaczyć po śmierci Fuhrera. Przeszłość przestała się liczyć — raz na zawsze. Los Rzeszy spoczywał wyłącznie w rękach potęg, które — tak czy owak — zadecydują o jej przyszłości. Owa przyszłość nie nazywała się już NSDAP, SA i SS. Nazywała się Werwolf albo „Biedny Konrad“.

Jeśli przy ogromnym naporze Azjatów istniało w ogóle jeszcze coś takiego jak germańska przyszłość! Od uderzeń tej burzy święty jesion przenikało drżenie, liście sypały się ze spróchniałych gałęzi. W ów pochmurny jesienny dzień, kiedy ogłoszono śmierć Adolfa Hitlera, wiatr zmiotł z drzew w Heydrich ostatnie liście. Jugurta pamiętał to dokładnie.

Próbował porozmawiać o tym z Siggą, która, jeśli nie leżała w łóżku i nie spała, to siedziała przy oknie otulona w koce i nieruchomym wzrokiem patrzyła w dal. Bez rezultatu. Sigga okazała się apatyczna, pomimo wzmacniających i ożywiających zastrzyków, jakie dawała jej żona geologa, była studentka medycyny bez dyplomu. Sigga zaczęła również znowu wypowiadać jakieś chaotyczne myśli, często sprawiało to takie wrażenie, jakby mówiła przez sen. W jej fantazjach pojawiali się niekiedy Rzymianie, „czarny Jugurta “ i wojna — a osoba, z którą rozmawiała, była zawsze „moim drogim chłopcem“; tak opowiadała Doris. Jedynie wtedy gdy do pokoju wchodził radca budowlany (a zaglądał często) i zagadywał ją we właś-

ciwy sobie zwięzy, konkretny, na poły łobuzerski, na poły iro-
niczny sposób, budziła się z odrętwienia, ożywiła, a nawet
zaczynała zachowywać się kokieteryjnie. To była dla niego
udręka, kiedy musiał się temu przyglądać. Zazdrość i rozczar-
owanie. Najpierw Knud, a teraz ten. Znów mu się wymykała.

Radca budowlany objął samorzutnie przywództwo i zaczął
kierować życiem obozu na wszystkich płaszczyznach, przeciwko
czemu nikt zresztą nie protestował. Wszędzie był centralną
postacią, wszędzie wydawał dyspozycje. Jego rozkazy, trzeba
mu to przyznać, były znakomicie przemyślane. Były też „kom-
pleksowe“, uwzględniały wszystkie okoliczności związane z daną
sprawą, realistyczne, można by rzec: naukowe. Starszy radca
budowlany okazał się urodzonym planistą, organizatorem i
przywódcą. Wspólnie z obydwojoma geologami, którzy dobrze
znali teren, opracował dokładny plan ucieczki: ustalono wszelkie
szczegóły ekspedycji, rozważono wszystkie ewentualne zagroże-
nia i natychmiast rozpoczęto przygotowania i trening ludzi.
Tyle a tyle sań i psów, tyle a tyle narzędzi, podgrzewanych
parek, broni, tyle a tyle paliwa. Tylu a tylu przewodników. Zde-
cydowano się na indiańskich hiwi, a nie Eskimosów. Kwe-
stia honoru. Indianie stali w hierarchii bliżej rasy panów. Mi-
mo że nie było potrzeby utrzymywania wyprawy w tajemnicy,
a więc posługiwanie się jakąś nazwą maskującą miało się z ce-
lem, radca budowlany (prawdopodobnie z dawnego nawyku)
nadał planowi ucieczki kryptonim — operacja „Winnetou“.
Resztką naftaliny zalatywało więc także tutaj. Wybrano męż-
czyzn do osłony konwoju, pan von der Leyen naturalnie zna-
lazł się wśród nich.

Był wtorek. Zamierzano wyruszyć wczesnym rankiem
w czwartek lub w piątek, w zależności od pogody; pas do

lądowania i stacja radiowa miały być zniszczone w pierwszej kolejności, cała reszta później. Igloo zawała się same pod wpływem fali uderzeniowej. Mniejsza o to. Wcześniej czy później Eskimosi i tak trafiliby do Uml-u.

Dla chorych — oprócz Siggiego zachorował również młody przemysłowiec, który po nadreńskiej nocy bombowej załamał się nerwowo — przygotowano duże, wygodne sanie motorowe. Drugie miały jechać na czele karawany. Bardzo krucho było z prowiantem. Geologowie obiecali, że jeśli to będzie możliwe, postarają się o dodatkową żywność w obozie pracy. Opracowano plan zapotrzebowania na kalorie i zarządzono ścisłe racjonowanie.

Bardzo smętnie to wyglądało, równie smętnie jak pogoda. Jugurta popadł w zadumę. Jak skończy się ta eskapada i jakie życie ich czeka w lodowych jaskiniach Niflheimu? Jego optymizm topniał w oczach — wszystkiego miał po dziurki w nosie. (Który to już raz?) Rzesza była praktycznie pozbawiona Fuhrera, stracona, rozpadała się, rzęziła w dławiącym uścisku azjatyckich hord. A los świata, nie tylko Rzeszy, spoczywał w rękach kilku awanturników i naukowców, których styl myślenia politycznego ukształtował Werwolf. Badacze, organizatorzy, kierownicy, genialni przywódcy, ale także urodzeni zabójcy i samobójcy. Jeśli osiągną swój cel, panowanie nad światem, planeta zdechnie. Jeśli swego celu nie osiągną, planeta też zdechnie. Czy przy takich perspektywach przeżycie miało jakikolwiek sens? Czy dla niego miało jakikolwiek sens? Gdyby nawet Siggiego wyzdrowiała (co było mało prawdopodobne) i tak byłaby dla niego stracona. Poszłaby wtedy natychmiast za kimś silniejszym, brutalniejszym, niczym grzejąca się suka. Oczywiście łączyła ich pewna więź, lecz wyda-

wąta się ograniczona czasowo, była to miłość do odwołania, która potrwa zapewne tak długo jak choroba ich obojga. Było to powinowactwo krwi poprzez specyficzny rodzaj jej rozkładu. Nie koleżeństwo, nie wzajemna przynależność — ale galopujący rak krwi! A owa towarzyszka życia, małżonka z jego snów, była zwykłym urojeniem. Kochał nie amazonkę czy walkirię, lecz dziwkę, śmiertelnie chorą, obłąkaną dziwkę.

A jeśli pomimo całej tej zgnilizny życie potoczy się dalej, to jak będzie wyglądało? Nowe społeczeństwo będzie się pewnie składać nie z ludzi, jednostek, lecz z automatów, z bezsensownie rozkazujących i bezrozumnych wykonawców rozkazów. Ta ewolucja niestety już się zaznaczyła. Wzniosłe ideały, o których urzeczywistnienie walczył kiedyś jako prosty żołnierz brunatnej armii, dzień w dzień fałszowano, zdradzano, deptano. Wyśmiewano się z nich. Romantyzm. Stare kłamoty. Zalutuje tu naftaliną. Do głosu dochodził teraz inny gatunek ludzi (ludzi?), i ten gatunek miał panować. Zamiast niemieckiego mózgu przyszli władcy będą mieć zdalnie sterowaną komputerową pamięć. Ogromne mrówki obdarzone rozumem nadludzi!

Mimo zmęczenia, które czuł w kościach coraz mocniej, wykonywał uparcie kolejne rundy. Gdzieś daleko, poza zasięgiem wzroku, ponad pokrywą chmur, huczały samoloty. Przypominało to ów ciągły pomruk silników w niemieckiej przestrzeni powietrznej. I nagle pomyślał o Heydrich, o radiestezji, o swoim domu, o Ingrid, o grze na pianinie. Po raz pierwszy czuł się zupełnie opuszczony pod obcym niebem.

Omówienie sytuacji w budynku stacyjnym — portret Fuhrera, na którym ktoś powiesił kawałek czarnego materiału, spoglądał z góry na nieliczne grono zebranych. Głos zabrał radca budow-

lany. Przemawiał do uzbrojonych uczestników ekspedycji.

Geolodzy rozmontowali urządzenia radiowe i niektóre zapakowali, gdyż najcenniejsze części należało zabrać ze sobą. Przed paroma godzinami nadeszły zaszyfrowane radiotelegramy, z których wynikało, że Al Ju 12 wie o sytuacji w Y 771 (przypuszczalnie Islandczycy w drodze powrotnej przekazali przez radio najważniejsze informacje); postarają się im pomóc, wyślą im na spotkanie grupę ludzi, geolodzy usilnie o to prosili. Potem połączenie zostało przerwane.

Z informacji, które udało się jakoś poskładać, wynikało, że sytuacja w Zjednoczonych Stanach Zależnych wygląda katastrofalnie. Amerykański faszyzm, który pod ciosami Żółtych agresorów i wobec buntu we własnym kraju rozpadł się na dwa konkurencyjne przedsiębiorstwa, dogorywał. Szyderczy komentarz radcy budowlanego:

— ... jedna firma, w Duluth, splajtowała, druga, w Corpus Christi, ogłosiła upadłość — oto cała różnica...

Niemiecki korpus kolonialny oraz kadry krwi niemieckiej z masy upadłościowej ruchu minuterów musiały przypuszczalnie dźwigać cały ciężar walki zarówno przeciwko najeźdźcom, jak i przeciwko powstańcom. Ci ostatni sami prowadzili wojnę na dwa fronty: z jednej strony przeciwko faszystom i wojskom kolonialnym Rzeszy, z drugiej zaś przeciwko Japsom, które — według nic potwierdzonych pogłosek — miały już podobno bazy na Środkowym Zachodzie. UVSA zostały „zmiękczone“ przed inwazją przez kilka rakiet typu Banzai (wystrzelonych z Hawajów i innych japońskich wysp na Pacyfiku), jednakże odpowiedź udzielona z niemieckich baz rakietowych w Ameryce była straszliwa. W tej amerykańskiej tragedii był też element ponurej groteski: tak zwane korpusy ochotnicze

Lincolna często musiały walczyć przeciwko żółtkom ramię w ramię z minutemenami i formacjami Ku-Klux-Klanu. A gdy tylko agresorzy się ulatniali — posiadali tajemniczą umiejętność błyskawicznego zapadania się pod ziemię — przymusowi sojusznicy natychmiast uderzali na siebie.

— To, co się dzieje na południu, przypomina takie bagno, że wolałbym się dłużej nad tym nie rozwodzić. Nas, tu na północy, interesuje coś innego — skomentował radca budowlany.

Przypominając w każdym calu wodza naczelnego, pochylił się nad dużą *Physical Map of Canada* (mapy politycznej o podobnym stopniu dokładności nie było pod ręką), na którą nanosił jakieś punkty i linie. Wszyscy słuchali w napięciu jego wywodu.

— Problem polega na tym, jak nasze wojska mają się wycofać bez strat na północ. Co zrobi Schimming? (Generał-pułkownik von Schimming, były dowódca oddziałów pancernych, obecnie szef OKW-Nordamerika). Nie ulega kwestii, że spróbuje wyciągnąć nasze oddziały z tego bagna na dole i przeprowadzić do twierdzy arktycznej. Naturalnie nie wiem, czy OKL-NA w Smithers (radca budowlany wskazał punkt w kanadyjskich Rocky Mountains, przy czym znów nieprzyjemnie rzuciły się w oczy jego obgryzione paznokcie) jeszcze istnieje, to znaczy czy zdolne jest do działania. Jeżeli jednak funkcjonuje i jest tam wystarczająca liczba samolotów, to nie ma się co martwić. O ile mi wiadomo, od kilku dni trwa wielki odwrót. Proszę o tym pamiętać, moi panowie — to dla nas bardzo ważne. Jeśli Schimming zostawi amerykańskich kramarzy, każąc im samym babrać się w tym bagnie, i wyprowadzi z UVSA całe wojsko kolonialne, to wycofa się bez wąt-

pienia na wybrzeże Pacyfiku, a więc w Rockies — w dodatku razem ze swymi wyborowymi jednostkami strzelców alpejskich z Marchii Wschodniej — w każdym razie na pewno nie na otwarty płaskowyż w środkowej Kanadzie, co byłoby czystym szaleństwem. Szeroki pas lasów, który zapewniałby jaką taką osłonę, jest przecież zimą nie do przejścia, a potem się nagle urywa, jego granica biegnie mniej więcej koło 59. stopnia. *Bon!* Schimming wycofa się więc przez Rockies możliwie jak najszybciej na północ — i wróg rzuci wszystkie siły, jakie może zebrać tu, w Kanadzie, żeby mu odciąć drogę. Co oznacza, że u nas powstanie próżnia...

Bonzowie gospodarczy odetchnęli z ulgą. Operacja „Winnetou“ zapowiadała się jako przyjemna krótka wycieczka! Później można będzie opowiadać o bojach na śmierć i życie.

— ... Japsy próbowały podobno z kilku punktów na wybrzeżu (spojrzenie w stronę niemieckiego geologa, który pokazał na mapie odpowiednie miejsca), a więc tutaj w Kolumbii i tutaj, w pobliżu Wrangell, to już Alaska, odciąć przejście przez góry. Nie chce mi się w to wierzyć, gdyż nasza straż przybrzeżna akurat tam jest niesamowicie czujna. W każdym razie nieprzyjaciel, z którym mamy do czynienia tutaj, w rejonie jezior, na pewno przegrupuje swoje siły i rzuci je w kierunku zachodnim.

— A kto tutaj jest nieprzyjacielem? — zapytał któryś ze słuchaczy.

— Dokładnie nie umiemy panu tego powiedzieć — odpowiedział zamiast radcy budowlanego meteorolog — ale z pewnością nie są to Żółtki. Przechwyciliśmy wiele radiotelegramów angielskich i francuskich, znacznie więcej francuskich niż angielskich. W związku z tym nasuwa się przypuszczenie, że

są to francuskojęzyczni Kanadyjczycy, korpusy ochotnicze, które powoli zmierzają tu, na północ. Powoli dlatego, że czekają na posiłki i wsparcie z powietrza. Naturalnie domyślają się, że krąg polarny jest jednym wielkim pierścieniem min atomowych. Z ostatnich namiarów radiowych, przeprowadzonych przez nas i AL Ju 12, wynika, że przeciwnik operuje jeszcze dosyć daleko na południowym wschodzie, pomiędzy jeziorem Dubawnt — tutaj — a jeziorem Baker. Tak to wyglądało przed tygodniem. Jak szybko nieprzyjaciel posuwa się do przodu i jak jest liczny, to znaczy, jakie siły przyłączą się do niego po drodze, nie potrafimy ocenić...

— Panowie — wpadł mu w słowo radca budowlany — sądzę, że operacja „Winnetou“ zaczyna się pod dobrą gwiazdą. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle nie zetkniemy się z wrogiem — może z wyjątkiem patroli zwiadowczych i małych oddziałów straży przedniej. Ale naturalnie nie możemy mieć pewności. To jasne. Będziemy musieli posuwać się bardzo szybkim marszem. Te trzysta kilometrów, jakie dzielą nas od bezpiecznego portu, jakoś chyba przejdziemy, panowie Kircheiss i Lale (miał na myśli niemieckiego geologa i jego milczącego duńskiego kolegę) będą niezawodnymi pilotami przez pierścień minowy. A jeśli natkniemy się na wroga i miałyby się nam nie powieść — *bon*, wówczas wiecie, panowie, co należy robić...

Wszyscy oczywiście wiedzieli. Oblać sanie benzyną i podpalić. Walka do ostatniego naboju. To znaczy: ostatnia kula... Najpierw kobiety, potem siebie. Niepisane prawo tej wojny.

Radca budowlany potrafił działać energicznie! W każdym zakresie. To był facet! Dopóki Rzesza miała takich ludzi... Powiedzenie to, uświadomił sobie Jugurta, wymykało mu się

ostatnimi czasy zbyt często. Stare jak świat. Może powinno się je zmienić: Dopóki Rzesza miała takie kreatury... Śmieszne, a przy tym żałosne! Był jedynie zazdrosny, zawistny, podły, był słabeuszem.

Przede wszystkim słabeuszem. W porządku, był bardzo chory. (*Bon*, powiedziałyby pan radca budowlany). Tym bardziej musiał zachowywać się tak, jakby był w pełni sił. Pewne rzeczy bowiem dawało się znosić tylko z zaciśniętymi zębami. Na przykład skurcz powieki, ucisk w mózgu, halucynacje, uczucie ołowianej ciężkości, wieczne marznięcie, wypadanie włosów. Od wielu dni dokuczał mu brak stolca (jego dawna dolegliwość). A potem nagle pojawiała się biegunka. Od — jakże się nazywała ta idiotyczna dziura w Harzu?... mniejsza o nazwę — no więc od tamtego czasu cierpiał na poważne zaburzenia wzrokowe, od tego się zaczęło. Z każdym dniem było coraz gorzej. Mało tego, że pomimo okularów ochronnych (które nosił teraz nawet w zaciemnionym pomieszczeniu) wszystkie postrzegane rzeczy wrzynały się boleśnie ostrymi konturami w jego źrenice, to w dodatku stroiły sobie z niego głupie żarty. Kiedy, na przykład, podczas przechadzek odpoczywał i przez kilka minut patrzył przed siebie w dal — przestrzeń wokół niego zdawała się nagle wypełniać czarnym powietrzem, a co robił biały obrus śnieżnej równiny? Zaczynał się ożywiać, dziwnie falował, i te drobne biało-szare fale zbliżały się do niego. Tak jakby ziemia poruszała się pod lekkim powiewem powietrza, łagodnym podmuchem bryzy. Idiotyczne złudzenie zmysłowe. Winien był z pewnością podgrzewany kombinezon, który chronił wprawdzie dobrze przed zimnem, lecz ciepłe powietrze usypiało zmysły. A kiedy tylko wyłączał baterię, natychmiast marzył jak pies.

Ten podgrzewany kombinezon, uszyty na wzór noszonych tutaj parek, był osobistą zniewagą. Owe parki (nawet kaptury były podgrzewane) i podobne futrzane buty, mukluk, przydzielono, z uwagi na ograniczoną liczbę, jedynie ludziom w starszym wieku i kobietom. Oraz jemu. Ponieważ, „jak wiadomo”, był chory — albo dlatego, że był mężem pożądaney przez wszystkich pani Siggii von der Leyen, a w dodatku słabeuszem — wciśnięto mu, to znaczy wetknął mu radca budowlany, tę odzież. Na zasadzie wyjątku. A on ją przyjął. Wstyd i hańba!

Jugurta sprawdzał swoją broń, a tymczasem jego współmieszkańcy z baraku leżeli na pryczach gadając o sprawach czysto zawodowych lub śpiąc. Uzbrojeni byli wszyscy z wyjątkiem chorych, tyle że członkowie osłony otrzymali dodatkowo karabiny. Ukradkiem oglądał swoją prywatną tajną broń — laser rubinowy kaliber 6 — „fant“ Knuda, niech diabli porwą jego i ten upominek Siggii dla niego, Jugurty. Osobliwe cacko, nic więcej. Niestety, potrafił tylko raz wystrzelić z tej broni, wiedział, jak działa wyzwalacz, cała reszta była teorią. Chodziło tutaj bowiem o tak zwany laser chemiczny lub gazowy, który wysyłał błysk podczerwieni (czas trwania 50 miliardowych części sekundy) o wręcz gigantycznej intensywności. Wadą było to, że meduso łączył efekt laserowy z bardzo skomplikowanym przetworzeniem chemicznym bądź atomowo-fizycznym. Za każdym razem można było wywołać tylko jeden supersilny błysk o jednolitej długości fali, przed następnym użyciem ładunek gazowy należało odtworzyć. Meduso ładował się wprawdzie samoczynnie na dziesięć błysków, ale jak? Jugurta, który podczas kursów wojskowych musiał uczyć się na specjalne wykłady o broni laserowej, kompletnie zapomniał,

jakie manipulacje są w tym wypadku konieczne, a nie śmiał zapytać, ponieważ noszenie lasera przez osoby nie będące członkami SS było surowo zabronione. (Przekazywanie laserów młodym adeptom przez zbrojmistrzów na zamkach zakonnych było rokrocznie wyjątkowo uroczystą ceremonią, a w starych rodzinach SS-manów przyjął się ostatnio piękny zwyczaj, że umierający ojciec, SS-man, przekazywał pierworodnemu na łożu śmierci swoją broń laserową), jugurta posiadał więc wprawdzie młot Thora, ale mógł się nim posłużyć tylko raz. Poza tym była jeszcze wzruszająca pukawka poczciwego Kummernussa; ciekawe, co się z nim teraz dzieje? W magazynku miał dwa naboje, a oprócz tego drugi pełny magazynek. A ów muzealny okaz uzupełnił następnym, 98 K, wypróbowanym w bojach od Murmańska do Tobruku, dzielną „narzeczoną żołnierza“ z wojny światowej numer dwa. Ten najpopularniejszy karabin Wehrmachtu przypuszczalnie wędrował po wojnie coraz dalej na północ, nie chciano po prostu niszczyć tak szacownego zabytku, opiewanego przez skaldów narodu jako skromny symbol zwycięstwa, i tym sposobem wyposażono w ten typ uzbrojenia jakieś mniej ważne bazy w Arktyce i w posiadłościach zamorskich. (Naprawdę dowcipny dyrektor styryjskiej huty porównał go bardzo trafnie do staregoaustriackiego karabinu Werndla). W Y 771 było tej broni, dobrze naoliwionej i w arktycznym opakowaniu ochronnym, łącznic z amunicją w stanie idealnym, pod dostatkiem. Załadowano ją na specjalne sanie.

Jedynie dowodzący operacją, czyli radca budowlany i geologowie, dysponowali nowoczesną ręczną bronią palną o największej sile rażenia. Były to automatyczne karabiny szturmowe różnych typów, ochrzczone w nawiązaniu do nazwy ekspedycji „rusznicą na niedźwiedzie“ i „sztucerem Henry’ego“.

Radca budowlany po raz kolejny okazał się osobą godną podziwu. Jego elegancja i zimna krew, z jaką posługiwał się laserem i innymi nowymi typami uzbrojenia, jego wielka dyscyplina strzelecka (nie było mowy o niedbałym strzelaniu, pomimo dużej szybkości ognia) mogły służyć za wzór; wszystko to pozwalało niemal zapomnieć o tym, że nazbyt poufale głaskał Siggę po włosach i nazywał ją „Blondi“ — to pieśczętliwe imię Jugurta usłyszał przypadkiem. Niech to diabli!

Karawana sań sunęła przez tundrę. Jugurta, jako strażnik sań z prowiantem, a zarazem intendent, siedział za indiańskim woźnicą, wzrostem przypominającym karła, mając przed sobą kiwające się łby czterech psów pociągowych i przewodnika zaprzęgu. Za nimi jechały koleiną sanie motorowe z dwójgim chorych, flaga Czerwonego Krzyża trzepotała na wietrze. Potem sunęła rozbudowana straż tylna. Jugurta obserwował sennym wzrokiem przez szczeliny powiek przesuwający się powoli krajobraz. Mimo podgrzewanej parki i niedźwiedziej skóry, w którą się owinął, marzył do szpiku kości.

Teren był bezkresną białą płaszczyzną, prawie zupełnie pozbawioną punktów orientacyjnych. Jechali rzekomo jakąś drogą lub trzymali się w jej pobliżu — różnice w konfiguracji terenu były jednak niedostrzegalne, brakowało także poczciwych słupów telegraficznych. Dziwacznie ukształtowane nawisy śnieżne i na wpół zasypane resztki obozów i wież wiertniczych — odwierty, odległe od siebie o milę, okazały się niewydajne, wyjaśnił Kircheiss, geolog — wciąż nieodparcie przyciągały wzrok, oczy nic mogły się od nich oderwać. Kiedy natknęli się nagle na pomalowaną jaskrawymi kolorami tablicę z napisem „North American Trading and Transportation Company“, Jugurta jak oparzony zeskoczył z sań i zbadał

ją z bliska. Deska pochodziła prawdopodobnie z jakiejś ciężarówki i była usiana dziurami — świeżymi dziurami po pociskach. Pozostali w ogóle nie zwrócili uwagi na to znalezisko. Wobec tego i on zapomniał o nim i drzemał dalej.

Od wczoraj zaczęło się wypogadzać. Być może po wysadzeniu Y 771 utworzyła się dziura w pokrywie chmur, być może powód był inny — w każdym razie szare, nisko wiszące morze mgły ruszyło się i zaczęło jakby przerzedzać. Rozchodził się mętny blask, wątłe światło; było to coś pośredniego między nocą i dniem, poprawiła się także widoczność, kontury otoczenia stały się wyrazistsze. Kircheiss, Laale i radca budowlany pochylili głowy ku sobie, po czym ponaglił hiwi do większego pośpiechu.

Poprzedniego wieczora zerwał się wiatr północno-zachodni, temperatura błyskawicznie spadła do około minus piętnastu stopni. Jugurta i czterej inni mężczyźni musieli pełnić wartę, wåtpliwa przyjemność, a tymczasem reszta wraz z czerwono-skórnymi rozbijała nocny biwak w szerokiej muldzie. Skóra paliła od powiewu lodowatego ognia, kończyny drętwiały. Jeśli ten wiatr będzie wiał dalej i przepędzi ocieplającą mgłę, temperatura spadnie jeszcze niżej. Do tej pory mieli szczęście.

Biwak stanowił pomysłową kombinację płacht namiotowych, skór reniferów i małych jam wygrzebanych w świeżym śniegu. Wejście do każdej jamy zasłaniały maty z wyposażenia namiotów, przytrzymywane wbitymi w śnieg nartami. Przypominało to lisią norę. Indianie, zręczni chłopcy o szerokich barach i masywnej budowie ciała, o twarzach koloru gliny pobrużdżonych zmarszczkami i wygarbowanych przez wiatr, okazali się prawdziwymi mistrzami w szybkim budowaniu takich biwaków, które ponoć miały być wygodniejsze niż igloo.

Brunatna rapsodia

Należeli do plemienia Tlinkit—tak powiedział Kircheiss — które przywędrowało z Alaski. Z początku szukali pracy nad górnym Jukonem, potem wielkim magnezem stały się dla nich kopalnie niklu w Rankin Inlet; kiedy jednak kopalnie przeszły pod administrację niemiecką i robotników najemnych zastąpili robotnicy przymusowi, Rosjanie z Alaski i Sybiracy, Indianie Tlinkit zamieszkali razem w małych osadach. Rozproszeni obecnie na ogromnych równinach polowali na zwierzęta futerkowe, wykonywali dorywcze prace i handlowali skórami. (Nawiasem mówiąc, w Chesterfield, które również nosiło nazwę Heydrich — Jugurta połknął ukradkiem łzę na myśl o rodzinnych stronach — działało do niedawna centrum handlowe reichsgruppe Handel, wi-gru Hurt, Eksport, Import, fachgruppe Wyroby Tytoniowe, untergruppe Ameryka Północna, filia Hudson Bai). Zwerbowani przez Kircheissa czerwonoskórzy byli potomkami szeroko rozgałęzionego plemienia Wilków, a ściślej — pochodzili ze szczepu Morskiej Świnki, która była także ich zwierzęciem totemicznym. Plemię znane kiedyś w całym Terytorium Północno-Zachodnim z okrucieństwa — Schultze-Russing wymieniał je w swoim podręczniku — współżyło teraz pokojowo z Eskimosami, to znaczy oszukiwało ich, gdzie się tylko dało. Indianie ze szczepu Morskiej Świnki darzyli wielkim szacunkiem Big Chieftaina Adolfa Hitlera (nazywali go po prostu „Big Hit“) i byli, jak zapewniał swych słuchaczy Kircheiss, najlepszymi odbiorcami odznaki Akcji Zimowej.

Wieczór upłynął w ponurym nastroju, nikt nic nie mówił. Na kolację mieli konserwy rybne, marmoladę, suchary i trochę mleka skondensowanego — maleńkie porcje. Ludzie w śpiworach poprzysuwali się blisko do siebie, żeby zaznać zwierzęcego ciepła; przez dziury w plandece wpadał ze świstem mroźny

wiatr. Sigga leżała między Jugurtą a radcą budowlanym, spiczasty żółty nos i ciemne sińce pod oczami sprawiały, że wyglądała jak martwa demonica. Ale ciągle była piękna. Jugurta, który nie zmrużył oka, tylko udawał, że śpi, bardziej czuł, niż widział, jak pozwala się obmacywać mężczyźnie z poobgryzanymi paznokciami. Przejmował go wstręt. W końcu tranowa lampka, która zgodnie z rozkazem miała się palić w każdej jamie sypialnej, zgasała, zapanowała czarna noc, i pomimo ogólnego donośnego chrapania po pewnym czasie zapadł w sen.

Znów byli w drodze. Fakt, że Sigga po śniadaniu wymiotowała, pozwalał się domyślać, jak daleko posunęła się jednostronna nocna gra. Po igraszkach miłosnych w samolocie także miała torsje, nie wytrzymała już tego rodzaju stanów podniecenia. Była u kresu sił.

Tuż po obiedzie — wszyscy dostali po łyku gorącej herbaty i po kromce chleba z margaryną, tak samo jak rano, oraz witaminę C — Jugurta zauważył to po raz pierwszy. Łagodne drobne fale, które widywał czasami (przeklęte złudzenie optyczne!) pod pociemniałym niebem, jak rozkołysane zbliżały się do niego, nie były falami ze śniegu ani się nie kołysały, lecz były milionami kwiatów o dużych bladych gwiazdzistych kwiatostanach przypominających szarotkę. Poruszały się, podnosiły i pochylały swoje głowy. Owe kwieciste łąki sięgały aż po horyzont, Jugurta przypomniał sobie, że widział podobne owej wiosny podczas ofensywy w Grecji. Tyle że tu, na Północy, wszystko było potężniejsze, bardziej zniewalające i groźniejsze. Tutaj bowiem kwiaty miały wysokość mężczyzny, a nawet drzew i krzewów, rozchyłały się przed nimi, tworzyły uliczki lub wąwozy, które po ich przejściu zamykały się na powrót. To były gęstwiny, a nie łąki. Śnieżne labirynty. Ju-

gurta dziwił się tylko, jak indiański poganiacz psów potrafi utrzymać nerwy na wodzy.

Zbity z tropu, po chwili zdjął ciemne okulary ochronne. Widziadło zniknęło, wszystko znów było białe, jednostajne i nieruchome. Pewnie sunęli po śniegu, pod którym spoczywała ziemia. Przed nim siedział spokojnie woźnica, psy polarne ciągnące sanie kiwały rytmicznie głowami, widział poruszające się śpiesznie muskularne łapy, kiedy obracały obrośnięte gęstym futrem karki, widział ciemne, jakby osmalone sadzą łby, mądre jasne ślepia i parę, która buchała z otwartych pysków. Daleko w tyle terkotały spokojnie motorowe sanie z chorymi. Wokół rozciągała się dżungla — może to były nawisy śnieżne, przypominające kobiece ciała, takie były piękne i krągłe, lub nadbrzeżne zarośla zamarznionych małych rzek, które musieli pokonać. Może i była tutaj prawdziwa (a nie złudna, zwodnicza) łąka, ale tylko podczas krótkiego lata; Kircheiss opowiadał, że tundra wtedy kwitnie — a nad nią unoszą się w powietrzu chmary arktycznych komarów, ogromne roje, niemal chmury, brązowych i nieruchomych, niczym jakieś zastony. Dokładnie tych właśnie słów użył Kircheiss.

Ach, i oto znowu się pojawiła ta straszna wizja! Miał gorączkę czy śnił z otwartymi oczami, co to było? Powietrze zrobiło się czarne od nacierających nań komarów. Słyszał ich buczenie. Nagle powróciły także falujące, rozkołysane łąki, tyle że obraz wydał mu się teraz dużo bardziej plastyczny, pęczniejący. Kwiaty, z początku niskie i podobne do chwastów, mógł chwycić rękoma. W dotyku przypominały coś pozabawionego życia, jak filcowate liście szarotki. Później jednak stały się wyższe, kołysały się na wietrze na podobieństwo bujnych ciał kobiecych. Kiedy rozchylał blade korony kwia-

tów, w środku połyskiwały szmaragdowe i niebieskawe głębie. Czy były to otchłanie pełne obcej, wymarłej roślinności, czy kwiaty namalowane przez mróz — a może lód? Tak, to był lód! Kiedy bowiem cienka warstwa śniegu rozpryskiwała się pod płozami, ukazywało się szkliste podłoże. Sanie jadące przed nimi wypolerowały do połysku koleiny, i przez lodową pokrywę widać było zamrożone mchy i porosty. Jechali więc po grubym jasnozielonym lustrze. Dotykając lodu płozy skrzypiały i śpiewały, Indianin mlaskał językiem lub wydawał krótkie ochryple okrzyki, ilekroć psy się poślizgnęły, warcząc zatrzymywały się i otrząsały ze śniegu. I wcale nic rzekome kwiaty były pozbawione życia, lecz jego własne palce, które zdrętwiały, czuł, jak ręce obumierają mu do łokci, te futrzane rękawice z jednym palcem okazały się tandetą.

Pustkowie poprzecinane było rzekami, usiane jeziorkami i wgłębieniami zbiorników wodnych, Jugurta widział je na mapie geologów. Jazda po lodzie oznaczała, że albo opuścili, albo zgubili drogę międzyterytorialną — jedyną w całym okręgu — i teraz posuwają się według kompasu i radia. Wiedział, że piloci w jadących na czele saniach motorowych posługując się odbiornikiem tranzystorowym prowadzą nasłuch nadawanych znowu regularnie przez AL Ju 12 (zaszyfrowanych) meldunków pozycyjnych. Obóz przejściowy był ich Gwiazdą Polarną.

Już poprzedniego wieczora nadszedł meldunek, według którego AL Ju 12 wysłał w kierunku południowo-wschodnim oddział posiłkowy utworzony z obozowego SS. Spotkanie miało nastąpić dokładnie w zamieszkałej niegdyś przez Eskimosów i duchoborców miejscowości o nazwie Kuharuk (angielska nazwa: Ten-Little-Fingers), którą Laale i Kircheiss znali bardzo

dobrze. Według ich obliczeń do spotkania powinno dojść trzeciego dnia podróży, a więc nazajutrz, w godzinach przedpołudniowych.

Łąki rozplynęły się w oparach mgły, sen mara — Bóg wiara, przez zielone szkła okularów znów widział jedynie nieskończoną śnieżną pustynię. Pozostało tylko, a nawet się wzmoгло, buczenie komarów. Szum w uszach. Z przyzwyczajenia zatkał sobie nos i wtłoczył powietrze z płuc w nozdrza, żeby wyrównać ciśnienie — pomimo to brzęczenie się nasiliło. Co się działo? Karawana raptownie stanęła, dało się słyszeć ogłuszające „prrrr“ Indian, jego sanie także się zatrzymały. Ujrzał, że radca budowlany i geologowie biegną wzdłuż rzędu sań, gwałtownie machając rękami, i coś krzyczą. Z pojazdów wysiadały w pośpiechu poruszające się sztywno, groteskowe opatulone postacie uciekinierów, również jego hiwi wyskoczył z sań i umknął w bok niczym łasica. Zanim Jugurta zdążył zrozumieć okrzyki, pojął ich sens: samoloty!

Prędko wyplątał się z niedźwiedziej skóry, w którą był opatulony, i wyskoczył z sań, omal nic zderzył się przy tym z nadbiegającym Duńczykiem.

— Kryć się! — ktoś krzyknął. — Wszyscy kryć się!

Instynktownie przywarł do ziemi, lecz teren wokół był płaski jak deska, nie dawał nawet najmniejszej osłony. Sanie motorowe! Sigga! W dwóch olbrzymich susach znalazł się przy niej. Chora spała lub była nieprzytomna, musiał ją podnieść z pośłania niczym martwy ciężar. Kierowca sań i drugi chory (który prawdopodobnie czuł się już lepiej, Jugurta widział go nawet na nartach) pomogli mu umieścić sztywne ciało pod podwoziem. Tam schronili się także oni sami i leżeli teraz bez ruchu pod ciepłym dymiącym silnikiem.

Brunatna rapsodia

Przywarli do ziemi, usłyszawszy samolot ze świdrującym wyciem zbliżający się do nich. Tuż nad ich głowami — lotem koszącym! Mimo hałasu słyszeli suchy terkot karabinu maszynowego i odgłosy pocisków trafiających w blaszane części pojazdu. Po obu stronach wystrzeliły w górę małe fontanny śniegu, lód rozpryskiwał się w drobną mgiełkę, fruwały odłamki metalu. Ledwo zdążyli zaczerpnąć powietrza, gdy nadleciała z hukiem następna maszyna. I znów po jęczącej blasze zadudniły wystrzelone z ogromną szybkością pociski, a ślady ognia kaemu pędziły po śniegu niczym maleńkie trąby powietrzne. Od czasu do czasu głucho odgłosy wybuchów. I znowu, i znowu. Bez końca. Z częstotliwości ataków Jugurta wywnioskował, że w akcji bierze udział niewielka liczba samolotów. Ale trwało to całą wieczność.

Nalot trwał może kilka minut. Długich i pełnych trwogi minut. Kiedy odważyli się wyjść z ukrycia, wyraźnie się już ściemniało, noc stała u progu. Wyglądało na to, że napastnicy się wynieśli, słychać było głośnie jęki i stękanie, a także ostre, wydawane jakby w największych męczarniach krzyki, syczały płomienie, lecz najgorszą udręką dla uszu było nieprzerwane żałosne wycie psów. To, co ukazało się ich oczom, przypominało rzeźnię. Umierający, krzycząc rozdzierająco, tarzali się w śniegu, ranni pełzali powoli na czworakach pośród płonących wraków sań, dookoła, w fosforyzującym śniegu, leżały czarne nieruchome kukły o dziwnie powykręcanych kończynach. Czuć było zapach spalenizny, odchodów i krwi. Szybko zapadająca niby-noc przykryła ten straszliwy obraz szarym prześcieradłem.

We trzech umieścili na powrót Siggę w saniach, które ucierpiały trochę podczas nalotu. Sigga rozglądała się dookoła

błędnym wzrokiem, wydawała się niczego nie rozumieć. Indiański hiwi grzebał z zapamiętaniem w silniku, reszta go nie interesowała. Jugurta zobaczył Doris nadchodzącą wraz z drugą dziewczyną, która miała na imię Thusnelda lub jakoś podobnie. Doris wyraźnie utykała, drasnęła ją jakiś odłamek, „nic wielkiego“, sama opatrzyła sobie ranę. Jugurta poprosił mocno szokowaną dziewczynę, by zaopiekowała się Siggą. Apteczka została niestety zniszczona.

A czy ocalały sanie z prowiantem? Oto leżały, przewrócone podmuchem detonacji, roztrzaskane, zwęglony szkielet. Z psów żył tylko jeden, ocalał jakimś cudem, trupy czterech pozostałych tkwiły w uprzęży. Kiedy Jugurta i młody przemysłowiec szukali żywności — udało im się jedynie odnaleźć parę puszek konserw — biedny zwierzak obskakiwał ich skowycząc i liżąc im rękawice.

Wróg albo strzelał pociskami zapalającymi, albo zrzucił kanistry z benzyną. (Na napalm to nic wyglądało). Jeden z rannych, który poprosił Jugurtę o papierosa, opowiadał, że widział, jak z atakujących maszyn tryskały co jakiś czas ogniste promienie — ale były to pewnie zwidy. Jak się okazało, najwięcej ucierpiała tak zwana straż tylna, a więc około dwudziestu pięciu sari i ich pasażerowie, którzy jechali za saniami z chorymi. (Szczątki ostatnich sań leżały jeszcze rozrzucone na lodzie pokrywającym rzeczkę). Kilkakrotnie trafione zostały bowiem sanie wiozące karabiny, skrzynie z amunicją zajęły się ogniem i wyleciały w powietrze, na szczęście nic wszystkie naraz, tylko jedna po drugiej.

Nagle padły strzały, tu i tam. Błyskawicznie przypadszy do ziemi Jugurta wyciągnął pistolet, przemysłowiec nie miał broni. Karabin Jugurty musiał leżeć gdzieś niedaleko w śnie-

gu, odrzucił go, kiedy przenosili Siggę w bezpieczne miejsce. Strzały padały coraz gęściej, przechodząc w regularny ogień ciągły, słychać było także terkot kaemu. Leżeć tutaj dalej i przymarzać do powierzchni nie miało sensu, musiał nawiązać kontakt z dowództwem ekspedycji — gdzie właściwie byli radca budowlany, Kircheiss i Laale? Czy w ogóle żyli? Otoczony rojem świszczących pocisków zaczął szukać broni i w końcu ją znalazł. Przez śnieg biegły krzyżujące się ślady ognia z broni pokładowej, również na kolbach karabinów widoczne były uszkodzenia od kul. Przemysłowiec miał zostać przy saniach z chorymi i starym 98K osłaniać kobiety.

W półmroku arktycznej nocy Jugurta już to czołgając się, już to skokami posuwał się do przodu. Płonące resztki sań dogasały, z niskiego nieba padały pojedyncze płatki, znak, że było cieplej niż rano. Karabinowy ogień przycichł, ożywił się tylko od czasu do czasu. Strzały zdawały się padać ze wszystkich stron, ale było to chyba złudzenie akustyczne, w stepie dźwięk niesie się zupełnie inaczej. Możliwe też, że niektóre strzały pochodziły od swoich.

Od czasu do czasu wołano na niego, jakiś ciężko ranny, którego kożuch był cały poplamiony krwią, błagał o dobiecie, lecz Jugurta nie zwracał na niego uwagi. Tylko raz zatrzymał się zdziwiony. Z jednego z wraków sań zwisały jakieś zwłoki, śmiertelna kula dosięgła pewnie mężczyznę w chwili, gdy wyskakiwał z pojazdu, twarz miał zwróconą do góry. Jugurta znał przecież ten jowialny uśmiech, ujmujący nawet teraz, kiedy był ostatnim grymasem. Należał do owego styryjskiego dyrektora huty, który tak ciągle krakał. Patrzcie, również śmierć potrafiła być pogodna.

Racica budowlany i geologowie — a więc żyli, zbliżając

się rozróżniał ich głosy — najwidoczniej przywrócili porządek w przedniej części karawany. Za saniami lub tym, co z nich pozostało, czuwali tutaj wszędzie ludzie z bronią gotową do strzału, to było naprawdę imponujące. Zagadnął jednego z mężczyzn, który wydał mu się znajomy — tak, razem trzymali wczoraj wartę i tamten bez przerwy opowiadał kawały, kawały o Kopflerze i inne, wszystkie bardzo niesmaczne. Dowiedział się od niego, że Kircheiss próbuje uruchomić krótkofalówkę umieszczoną w saniach dowództwa, ale rozłożoną na części. Zamierzano nadać sygnał SOS i ściągnąć w ten sposób wysłany im na spotkanie przez AL Ju 12 oddział, który wyposażony był w urządzenia radiowe, oraz zażądać z obozu helikopterów transportowych i bojowych, i tak dalej. Tylko czy się powiedzie...?

— Jak wygląda sytuacja tam na dole? — zapytał radca budowlany, który umyślnie, jak gdyby nie dosłyszał, nie odpowiedział na wschodniomarchijskie „Heitla“ Jugurty, kiedy ten zbliżył się do niego z podniesionym ramieniem.

— Źle — odparł Jugurta — źle, całkiem źle. — Denerwował go impertynencki ton radcy. — Z prowiantu prawie nic nic ocalało.

— Proszę tam wrócić i przyprowadzić tutaj wszystkich, którzy potrafią jeszcze utrzymać broń w ręku. Musimy uformować się w jeża. Rannych proszę zostawić tam, gdzie są — i tak nic możemy im już pomóc, a będą to zbędne gęby do wyżywienia. I niech pan zbierze ile się da broni i resztę prowiantu. Każdy strzał jest cenny. Także każda konserwa jest cenna. Tamci...

Radca budowlany wykonał nieokreślony gest i sięgnął po swoją lornetkę. Rozmawiali osłonięci saniami dowództwa, cięż-

kim, masywnym pojazdem gąsienicowym, używanym zazwyczaj do odśnieżania lub holowania. Sanie prawie w ogóle nic ucierpiały. Jugurta wyrztał zza narożnika. W mroku dookoła rozbłyskiwały strzały — pojedynczo i seriami. Pociski syptały się jak grad.

— Tamci mają też granatniki. Niestety. I mnóstwo ludzi. Szanse wynoszą w tej chwili sto do zera. Wpadliśmy jak śliwka w kompot. A kiedy nastanie dzień, znów przylecą te bąki. Były tylko dwa, i to stare graty, ale dokonały strasznego spustoszenia.

Pojawił się Kircheiss. Odważnymi skokami pokonywał luki między saniami. Biegł nisko schylony.

— Aparat funkcjonuje, szefie. Od jakiegoś czasu próbuję nawiązać łączność z oddziałem posiłkowym — bez rezultatu. Żadnego odzewu. Diabli wiedzą, co się dzieje.

Rzeczywiście, diabli wiedzą, co się tu dzieje.

— Próbować dalej, Kircheiss! — A kiedy Kircheiss skacząc jak pantera ruszył śpiesznie z powrotem, ponieważ Laale pomachał na niego z daleka, radca krzyknął jeszcze za nim: — Musimy nawiązać łączność, musimy! — I znów zwracając się do Jugurty: — W tę krwawą jatkę wpakowali nas ci przekłenci Nanukowie (przezwise Eskimosów) — cholerna banda! Sami zdrajcy. Powinno się ich wszystkich postawić pod ścianą albo powiesić. Mimo to wolę mieć Nanuków na karku niż Amerykanów przed samym nosem. — (Jugurta pomyślał: Idioty, dlaczego wzięłeś Indian, a nie Eskimosów!)

Wtem od strony wroga dobiegł potężny huk wystrzału, z wyciem nadleciał pocisk, słychać było, jak gdzieś daleko z tyłu spada na ziemię, wydając przy tym młaśnięcie niczym stos mokrej bielizny. Nie było żadnej detonacji.

— Wstrzeliwują się — powiedział radca budowlany bardziej do siebie niż do Jugurty, obaj rzucili się na ziemię. — Średni kaliber, moim zdaniem... Słyszał pan coś? To nie zapalnik uderzeniowy, lecz działający z opóźnieniem. Nie podnosić się!

Upłynęło pół minuty i granat rozerwał się. Silny podmuch wybuchu, stalowe odłamki zaświszczały całkiem blisko.

Przypadli do ziemi, w każdej chwili spodziewając się następnego wybuchu.

— Jak się ma pańska żona?

— Nie najlepiej.

Jugurta zadygotał ze złości. To była wina tego łajdaka, że Sigga dzisiaj czuła się tak podle. Blondi!

— Cierpi na rozpad popromienny, rozpad szpiku kostnego. Jeszcze w obozie wyczytałem to w świadectwie lekarskim. Od razu bardzo zainteresowałem się panią von Eyck (radca budowlany wymienił prawdziwe nazwisko Siggi ironicznym tonem). — Leyen, niechże pan będzie mężczyzną i z tym skończy. Człowieku, to przecież nie ma sensu. Chce pan, żeby Nanukowie swoimi nożami-piłami...? L-b-t! 1-b-t! (popularny skrót hasła „Landgrafie, bądź twardy“). To rozkaz partyjny!

Czegóż to ten nędznik nie wiedział! Pani von Eyck! Wtykał swój nos we wszystko, nic tylko w antycząstki. Rozkaz partyjny — do diabła z wszelkimi partyjnymi rozkazami!

— Trzeba się wziąć w garść, Leyen. Przyjemnej zabaaawy!

Jugurta jakby dostał obuchem w głowę. Czołgając się z powrotem spostrzegł, że mimo strzelaniny zaczęto budować z wraków swego rodzaju zamek warowny, oszańcowany czworobok. Ta prymitywna twierdza przypominała zarazem pułapkę na myszy. Operacja „Winnetou“ powinna się raczej nazywać: ope-

racja „Zasrany Zaulek”.

— Przyjemnej zabawy — mruknął do siebie. Przeczłogał się obok uśmiechniętego na wieki dyrektora huty i obok umierającego, który prosił go o skrócenie męczarni (ciągle jeszcze się ruszał). I oto wreszcie dostał się do swoich sań powiantowych ze skamlącym psem. Zwierzę powitało go przeciągłym wyciem, szarpiąc się w skórzanej uprzęży.

Doris i Thusnelda przykucnęły dygocąc, na wpół zeszywniałe z zimna, za saniami z chorymi, akurat tutaj ostrzał był wyjątkowo silny. Kobiety straciły swojego opiekuna. Młody człowiek leżał w śniegu z twarzą zwróconą ku ziemi, przygniótzszy ciałem karabin. Okazał się nie dość ostrożny, zaraz po odejściu Jugurty dosięgła go śmiertelna kula. Nie było także hiwi. Najpierw daremnie próbował uruchomić silnik, a potem zbiegł. Jugurta polecił dziewczynom, żeby wycofały się „na czoło “ i wzięły ze sobą trochę prowiantu — na pewno przydadzą się w obozie. On i Siggga zaraz dołączają do nich. Dziewczyny tak były wystraszone, że usłuchały go bez żadnych sprzeciwów. Jugurta pochwycił tylko rozpaczliwe spojrzenie Doris.

Rozkaz partyjny: Przyjemnej zabawy! Patrzył długo w marmurową twarz Sigggi, głęboko utrwalił sobie w pamięci jej skamieniałe rysy. Naturalnie to było najlepsze... niewiele by czuła. Oczywiście, nie mógł jej tutaj zostawić, o tym nic było nawet mowy, ale nic mógł jej także wlec do obozu. Tam zrobiłby to zresztą radca budowlany. Jugurta stracił nagle czucie w nogach, ręce mu drżały, a w trzewiach zaczęło burczeć. Stabeusz, mięczak! Szybko, zanim zupełnie się rozklei!

Odkrył jej głowę i przegiął ją powoli do przodu. Następnie zgarnął jej włosy na twarz, odstonił kark, a potem kciu-

kiem i palcem wskazującym lewej ręki zaczął go obmacywać szukając najwyższych kręgów szyjnych i policzył w myśli: c-jeden, c-dwa. Błyskawicznie stanęła mu przed oczami scena w jej sypialni, kiedy klęczał na tapczanie trzymając w palcach zawieszony na włosie wahadełko... Jego Bursztynowa Czarownica!

Rozkaz partyjny. Przyjemnej zabawy.

Prawą ręką przyłożył pistolet dokładnie tam, gdzie kończył się kark i zaczynała potylica. Drżenie rąk wzmogło się do tego stopnia, że głowa Siggii, którą podtrzymywał, zaczęła się chwiać. (Byle tylko nie obudziła się z głębokiego snu!) Tak jak nauczono go w SS, skierował lufę ukośnie do góry i nacisnął spust. Jeszcze raz. A potem zrobiło mu się ciemno przed oczami...

Chłód pozwolił mu odzyskać przytomność, trząśnięcie na całym ciele. Czując neodparty przymus spojrzenia swojej ofierze w twarz wspiął się na sanie. Ale nie miał odwagi tego zrobić, zbierało mu się na wymioty, znów musiał walczyć z własną niemocą. Tchórz! Mięczak! Sięgnął ręką pod futro stanowiące przykrycie i poczuł ciepło, które utrzymało się w głębi sani. Jak długo już nie żyła? Cztery minuty, pięć, a może więcej? Dla niej mogło to być równie dobrze cztery, pięć, sześć milionów lat.

Wszystko było bez sensu — po prostu do dupy — życie było do dupy. W skrzącym śniegu leżał płaski przedmiot o kanciastych kształtach, pistolet, schował go, po czym długo przyglądał się swoim dłoniom, obracał je na wszystkie strony. Próbowował zgiąć palec, myśląc zarazem o czymś innym. Palce miał tak zgrabiłe, że z wielkim trudem wsadził je do futrzanych rękawic. Strzały dobiegały teraz z dużo bliższej odległości, a może słuch go mylił? Uniósł głowę i zaczął wpatrywać

się w noc. Przed szczątkami sań martwi leżeli niczym trumny, ale dalej... Ujrzał tam ciemne podłużne obiekty, które tu i ówdzie się poruszały. Czołgały się. Czołgały się w jego stronę.

Prześlizgnął się do zwłok przemysłowca, by mu wyszarpnąć karabin. Trup nic chciał oddać broni — podobnie jak Senkpiehl nic chciał oddać swojej. Dalej!

Zwierzę! Oswobodził psa z szorów, ale natychmiast tego pożałował, ów bowiem zaczął wyć z radości, tańczył dookoła niego jak szalony, skakał nań i lizał go po twarzy. Leżeć, ty bestio! Gdzieś w oddali odpowiedziały psy przy saniach wroga, wydawało się, jakby to sama noc się rozszechnęła. Chcąc uspokoić zwierzę, Hollriegl — nie ma powodu, by teraz jeszcze nazywać go Jugurtą — zakrył mu na chwilę dłonią pysk. Pies pojał, w czym rzecz, i węsząc podążył za swym wybawicielem, który jak on chodził na czworakach, a więc musiał należeć do tego samego gatunku.

Z lewej strony leżały ocalałe konserwy. Hollriegl nawet ich nie dotknął. Uśmiechnął się zimno. Skoro zakończył swoją sprawę tutaj, należało szybko załatwić jeszcze jedną. Na przemian czołgając się i biegnąc w pochylonej pozycji, pośpieszył dalej.

Doprawdy, ten świat był do dupy! Jego życie było do dupy, Fuhrer był do dupy, wszystko było jednym ogromnym gównem. Znów poczuł mdłości i gwałtowne rżnięcie w brzuchu, miał wzdęcia na podłożu nerwowym. Gdyby choć mógł się wyrzygać, wyrzygać z siebie wszystko!

Nawet to nie było mu dane, niestety, musiał tę chęć jakoś zwalczyć w sobie. Zauważył, że coś za sobą wlecze. Ach, uprząż psa. Akurat mijał swojego przyjaciela, dyrektora huty — jemu te szory będą świetnie pasować. *Pour le merite* pierwszej

klasy. Sympatyczny jegomość, Wschodniomarchijczyk z wyboru. Heitla!

Hiwi porządnie się naharowali, wyrazy uznania! Powstawał prawdziwy fort, jakby żywcem wzięty z filmów o Dzikim Zachodzie, twierdza wznoszona na gruzach. „Silną twierdzą jest nasz Bóg, dobrą tarczą i bronią“. Ale gdzie on był — ten nasz Bóg? I kto nim był? Kule gwizdały pośród nocy, strzelano z przodu i z tyłu, prawdopodobnie istniały wyraźne fronty — my tutaj w twierdzy, wy tam w śniegu. Przeciwnik okopał się dookoła obozu i walił ze wszystkich luf — miał pewnie cholernie dużo zbędnej amunicji, było to raczej strzelanie dla prestiżu. Chyba że miało na celu wykruszenie sił obrońców, może wiedziano, że odsiecz jest w drodze? Znalazszy się w krytycznej strefie Hollriegl posuwał się do przodu jedynie po parę centymetrów i zaraz nieruchomiał, pies pełtł tuż przy nim. (Jaki krzepiący potrafi być dotyk wilgotnego psiego pyska!) Stąd widać było, że forteca radcy budowlanego jest szczelnie otoczona.

Hollriegl zaczął machać rękami i krzyżeć, nie chciał zostać postrzelony przez swoich. — Kircheiss! — ryczał na całe gardło. — Laale! — Były to jedyne nazwiska, jakie znał. Kiedy już niewiele kroków dzieliło go od barykady, na której ktoś wywiesił wojenną flagę Rzeszy, na równinie pojawił się błysk.

Usłyszał głuchy huk i niemal równocześnie odgłos padającego pocisku, fala uderzeniowa przypominała gorącą ścianę. Przedmioty wokół niego zawirowały, a przed nim spadło z góry pionowo w śnieg coś dużego i ciężkiego. Pies przywarł do niego i zaskamlał. Hollriegl poczuł nagle lekkość w brzuchu, narobił w spodnie. Dziwne, pomyślał, w staroniemieckich sagach o bohaterach nic mówi się w ogóle o trawieniu, dawni olbrzy-

mi nic mieli kiszek. Ale teraz naprzód!

Wykorzystując przerwę wdrapał się na szaniec, pies poszedł w jego ślady. Radosne szczekanie. A więc wreszcie dotarł.

Uciekinierzy jak krety wygrzebywali się ze swoich nor. Ktoś powiedział, że z przodu formuje się oddział rozpoznawczy, pytano już o niego. Hollriegl usunął się chyłkiem, miał wszystkie powyżej uszu. Widział, jak radca budowlany robi przegląd oddziału, sądząc po ubraniu i wzroście, hiwi, był tam też Laale, który pełnił prawdopodobnie funkcję tłumacza, dołączyli do nich Kircheiss i obydwie kobiety. Radca budowlany, stojący na gąsienicy motorowych sań, stanowił w tym momencie wręcz idealny cel.

Hollriegl, ukryty za innym pojazdem, wybrał wygodne stanowisko i wyjął z futerału laser. Laser zabija cicho, jedynie syczy, wymarzona broń do strzelania z zasadzki. Należało przycisnąć ten guzik, kiedy cel pojawi się w wizjerze. Tym razem Hollriegl nie drżał, a nawet, można by tak rzec, miał najspokojniejsze ręce na świecie, także łzawienie przestało mu przeszkadzać, gdy przyłożył laser do ramienia i spojrzął przez obiektyw. W krzyżu podziałowym ukazał się radca w dużym powiększeniu, co w tej sytuacji nie było dla niego szczególnie korzystne. W każdym razie człowiek godny podziwu, luminarz nauki. *Bon.* Hollriegl uruchomił mechanizm i ujrzał, jak radca budowlany kurczy się w trakcie zwęglania. Pozdrowienia od Blondi!

Usłyszał piskliwy wrzask kobiet, wszyscy zaczęli krzyczeć, niemal chórem. Wyszarpnął zza pasa pistolet i przyłożył do skroni, trzymając rękojeść zwróconą do góry, kciuk na spuście, lewą ręką przycisnął do głowy wylot lufy, była lodowato zimna, poczuł wręcz ból. Trzask, jeszcze jeden trzask. Niech

to diabli, wystrzelał wszystkie naboje! Gdzie magazynek?

Gorączkowo przetrząsnął wszystkie kieszenie, ogarnęła go wściekłość, najchętniej rozwaliby sobie czaszkę tym żelastwem. Pies obskakiwał go z wyrazem zachwytu w błyszczących ślepiach.

Widział Kircheissa i hiwi, jak się zbliżają do niego, ktoś musiał go obserwować. Na ładowanie pistoletu było już za późno. Ale nic dostaną go!

Wspiął się na barykadę i zeskoczył z drugiej strony na ziemię, pies razem z nim. A potem wybiegł na falujące białą pola, na spotkanie zbawiennym kulom.

STOPNIE W HIERARCHII SŁUŻBOWEJ WAŻNIEJSZYCH ORGANIZACJI

Kierownicy polityczni NSDAP

reichsleiter

gauleiter

hauptbefehlshaber

oberbefehlshaber

befchlshaber

hauptdienstleiter

oberdicnstleiter

dienstleiter

hauptbereichsleiter

oberbereichsleiter

bereichsleiter

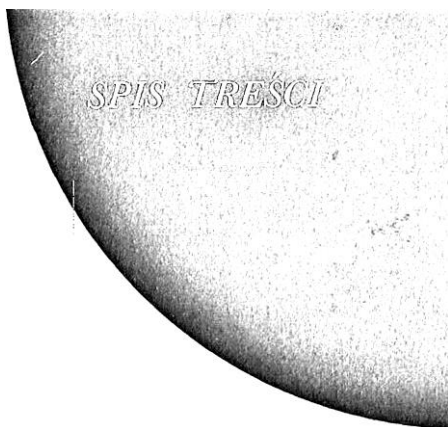
hauptabschnittsleiter

oberabschnittsleiter
abschnittsleiter
hauptgemeinschaftsleiter
obergemeinschaftsleiter
gemeinschaftsleiter
obereinsatzleiter
cinsatzleiter
hauptbereitsehaftsleiter
oberbereitschaftsleiter
bereitschaftsleiter
hauptarbeitsleiter
oberarbeitsleiter
arbeitsleiter
oberhelfer
helfer
politischer leiter — kandydat (towarzysz partyjny)
politischer leiter — kandydat
Schutzstaffel (SS)
reichsfuhrer SS
oberstgruppenfuhrer
obergruppenfuhrer
gruppenfuhrer
brigadefuhrer
oberfuhrer
standartenfuhrer
obersturmbannfuhrer
sturmbannfuhrer
hauptsturmfuhrer
obersturmfuhrer
untersturmfuhrer
hauptscharfuhrer

Brunatna rapsodia

oberscharfuhrer
scharfuhrer
unterscharfuhrer
rottenfuhrer
sturmmann
SS-Mann
Hitlerjugend (HJ)
reichsjugendfuhrer
stabsfuhrer
obergebietsfuhrer
gebietsfuhrer
hauptbannfuhrer
oberbannfuhrer
bannfuhrer
oberstammfuhrer
stammfuhrer /unterbannfuhrer
hauptgefolgschaftsfuhrer
obergefolgschaftsfuhrer
gefolgschaftsfuhrer
oberscharfuhrer
scharfuhrer
oberkameradschaftsfuhrer
kameradschaftsfuhrer
oberrottenfuhrer
rottenfuhrer
hitlerjunge

Brunatna rapsodia



Amazonka

Brunatna rapsodia

Arcy-Żyd Trzeciej Rzeszy

Naftalina

W katakumbach

Gundlfinger pracuje nad dowodem na istnienie Boga

Pogrzeb w Kyffhauser

Miserere

„Operacja Bifrost“

Na łąkach asfodelowych

Dodatek

Autor tej powieści, austriacki pisarz Otto Basil, urodził się w Wiedniu w roku 1901. Studiował germanistykę i paleontologię, w 1920 roku zaczął publikować swoje pierwsze utwory — wiersze i eseje. Pracował w różnych zawodach — był m.in. pianistą kawiarnianym, nauczycielem, dziennikarzem, urzędnikiem, kierownikiem literackim w teatrze.

W 1937 roku założył „Plan“, czasopismo poświęcone sztuce,

które zostało zawieszono po wkroczeniu Niemców do Austrii. Podczas wojny Basil, pracując jako tłumacz i urzędnik w przemyśle ciężkim, stykał się często z przedstawicielami wyższych kręgów partyjnych i wojskowych Trzeciej Rzeszy. (Zebrał dzięki temu bogaty materiał obserwacyjny, dotyczący tych środowisk, który okazał się cennym tworzywem przyszłej powieści.) Jednocześnie nawiązał kontakt z ruchem oporu i stał się członkiem austriackiego podziemia.

Po wojnie Basil poświęcił się całkowicie pracy literackiej — zajmował się przede wszystkim krytyką literacką i teatralną, a od czasu do czasu publikował swoje książki (m.in. biografie Georga Trakla i Johanna Nestroya). Międzynarodowy rozgłos zdobył jedyną swą, wydaną w roku 1966 powieścią *Wenn das der Fuhrer wusste*. Zmarł w roku 1981.

W serii Biblioteka Dzieł Wyborowych „Tukan” Wydawnictwa ALFA ukazały się już następujące pozycje:

Francis Scott Fitzgerald PO TEJ STRONIE RAJU

Pierwsza powieść znanego pisarza osadzona głęboko w realiach Ameryki „epoki jazzu”, jedna z najlepszych w literaturze amerykańskiej książek o młodości. Jej bohater studiuje na Uniwersytecie Princeton i „studiuje życie” — stara się zrozumieć otaczający go świat i samego siebie, odnosi pierwsze sukcesy literackie i miłosne, przeżywa pierwsze wielkie uczucie.

Peter George

DOKTOR STRANGELOVE

Niezrównoważony psychicznie generał amerykański doprowadza do wybuchu III wojny światowej. Prezydent Stanów Zjednoczonych wspólnie z premierem ZSRR, porozumiewając się przez „gorącą linię”, próbują ocalić świat. W swej

najbardziej znanej powieści (na jej podstawie Stanicy Kubrick zrealizował słynny film pod tym samym tytułem) autor wyraził lęki i obsesje swego pokolenia dotyczące zagłady ludzkości.

Gunther Grass

PŁODY UMYŚŁU CZYLI NIEMCY WYMIERAJĄ

Przeplatające się wątki tej fascynującej powieści ukazują niezwykłą złożoność niemieckiej rzeczywistości lat 1979-1980. Bezlitosna krytyka własnego narodu dokonana przez znakomitego pisarza nazywanego „sumieniem Niemiec“.

Tadeusz Konwicki **ZORZE WIECZORNE**

(nakład wyczerpany)

Tadeusz Konwicki **ZWIERZOCZŁEKOUPIÓR**

Wznowienie znanej powieści wybitnego pisarza. Utrzymana w konwencji utworu dla dzieci, ta opowieść o chłopcu, który w towarzystwie mówiącego psa odbywa niezwykle podróż do tajemniczej krainy, jest w istocie przeznaczona dla czytelnika dorosłego.

Cleave Staples Levis **PÓKI MAMY TWARZE**

Powieść znanego współczesnego pisarza brytyjskiego stanowiąca próbę nowej interpretacji mitu o Erosie i Psyche.

Gustav Meyring **GOLEM**

Słynna, należąca do klasyki światowej literatury fantastycznej, odznaczająca się wysokimi walorami literackimi powieść o sztucznym człowieku stworzonym przez włożenie w usta glinianej figury kartki z magicznymi znakami.

Leo Perutz

NOCĄ POD KAMIENNYM MOSTEM

Uznana jednogłośnie przez krytykę za najlepszy utwór Perutza powieść łącząca realizm z subtelną fantastyką. Rzecz dzieje

Brunatna rapsodia

się w Pradze na przełomie XVI i XVII wieku. Główne postacie to cesarz Rudolf II i jego najbogatszy poddany — Żyd Mordechaj Meisl. Cesarza i żonę Meisla, piękną Esterę, łączy miłość — między obu mężczyznami tworzą się powikłane relacje, wzajemna niechęć, ale i zależność.

Isaac Bashevis Singer NIEWOLNIK

(nakład wyczerpany)

Otto Basil
**BRUNATNA
RAPSODIA**

Hitler wygrał wojnę, bomba atomowa spadła nie na Hiroszimę, lecz na Londyn. Imperium Germańskie obejmuje pół świata — Japończycy zawładnęli większą częścią Azji.

Wszędzie, od Irlandii po Ural, wznoszą się zamki warowne SS, klasztory rasowej matki, obozy dla podludzi. Żydów wytępiono całkowicie, Słowianie stali się niewolnikami rasy panów, w Stanach Zależnych Ameryki Północnej rządzi podporządkowany Berlinowi Ku-Klux-Klan.

Ale oto umiera Hitler. Japończycy uderzają na Rzeszę, wybucha trzecia wojna światowa. Obie strony stosują na szeroką skalę broń jądrową, niszcząc się wzajemnie bez żadnych skrupułów. W ogólnym chaosie usiłuje się odnaleźć bohater powieści, szeregowy członek partii nazistowskiej, Albin Totila Höllriegl.



SERIA
Z
TUKANEM

Wydawnictwo ALFA

Brunatna rapsodia
